



W I L B U R
SMITH

Ognisty bóg

O książce

„Gra o tron” w scenerii starożytnego Egiptu

Nad brzegiem lśniącego Nilu genialny Taita – eunuch, który wspiął się na najwyższe urzędy i został doradcą faraona – trafia w sam środek splątanych intryg, niebezpieczeństw i namiętności. Zadanie, które mu powierzono – zniszczenie barbarzyńskiej armii zagrażającej Egiptowi i zawarcie przymierza z Kretą – zmusza go do wyruszenia w górę Nilu, potem przez Półwysep Arabski, aż do magicznego miasta Babilonu i na Morze Śródziemne. Dźwigając na barkach ciężar losów Egiptu, Taita wkracza w świat, w którym granica pomiędzy lojalnością i zdradą jest ruchoma jak piaski pustyni, podstępni wrogowie ukrywają się w cieniu, a w mroku czai się śmierć.

W I L B U R SMITH

Ognisty bóg

Z angielskiego przełożył
JAN JACKOWICZ



Wydanie elektroniczne

WILBUR SMITH

Światowej sławy pisarz pochodzący z Afryki, piszący po angielsku. Debiutował w 1964 roku powieścią **Gdy poluje lew**. Była to pierwsza pozycja z jego najbardziej popularnej sagi historyczno-przygodowej opisującej dzieje rodziny Courtneyów, w której skład weszły m.in. **Odgłos gromu, Płonący brzeg, Władza miecza, Monsun, Triumf słońca** oraz **Assegai**. Pełny dorobek Smitha obejmuje 35 powieści. Akcja większości z nich rozgrywa się w Afryce XX wieku, ale fascynacja pisarza starożytnością zaowocowała powstaniem tak zwanego „cyklu egipskiego”, w skład którego weszły **Bóg Nilu, Siódmy papirus, Czarownik** oraz **Zemsta Nilu. Ognisty bóg** to piąta książka z tej serii.

Po jego prozę chętnie sięgają twórcy filmowi. Na duży ekran przeniesiono **Kopalnię złota, Zakrzyczeć diabła i Najemników**. Na podstawie kilku innych tytułów, m.in. **Płonącego brzegu, Władzy miecza, Boga Nilu** i **Siódmego papirusa**, powstały miniseriale telewizyjne.

Smith jest miłośnikiem dzikiej przyrody; pasjonuje się współczesną historią Afryki, co znajduje odzwierciedlenie w jego twórczości literackiej. Sporo podróżuje, zwykle w okresie zimowym. Mieszka w Wielkiej Brytanii, Szwajcarii i w Republice Południowej Afryki.

www.wilbursmithbooks.com

Tego autora

ZAKRZYCZEĆ DIABŁA
NAJEMNICY
PTAK SŁOŃCA
OKO TYGRYSA
ŁOWCY DIAMENTÓW
OKRUTNA SPRAWIEDLIWOŚĆ
KOPALNIA ZŁOTA
STRACENICY
PIEŚŃ SŁONIA
GNIEW OCEANU
ORZEŁ NA NIEBIE

Hector Cross

PIEKŁO NA MORZU
OKRUTNY KRĄG

Saga Courtneyów

DRAPIEŻNE PTAKI
MONSUN
BŁĘKITNY HORYZONT
TRIUMF SŁOŃCA
ASSEGAI

*

GDY POLUJE LEW
ODGŁOS GROMU
UPADEK WRÓBLA

*

PŁONĄCY BRZEG
WŁADZA MIECZA

PŁOMIENIE GNIEWU
OSTATNIE POLOWANIE
ZŁOTY LIS

Saga Ballantyne'ów
LOT SOKOŁA
POSZUKIWACZE PRZYGÓD
PŁACZ ANIOŁÓW
LAMPART POLUJE W CIEMNOŚCI

Saga egipska
BÓG NILU
CZAROWNIK
ZEMSTA NILU
SIÓDMY PAPIRUS
OGNISTY BÓG

Tytuł oryginału:
DESERT GOD

First published in 2014 by HarperCollins Publishers
HarpersCollins Publishers, 77-85 Fulham Palace Road, London W6 8JB
Copyright © Wilbur Smith 2014
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Jan Jackowicz 2015

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Zdjęcie na okładce: Dudarev Mikhail/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-218-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

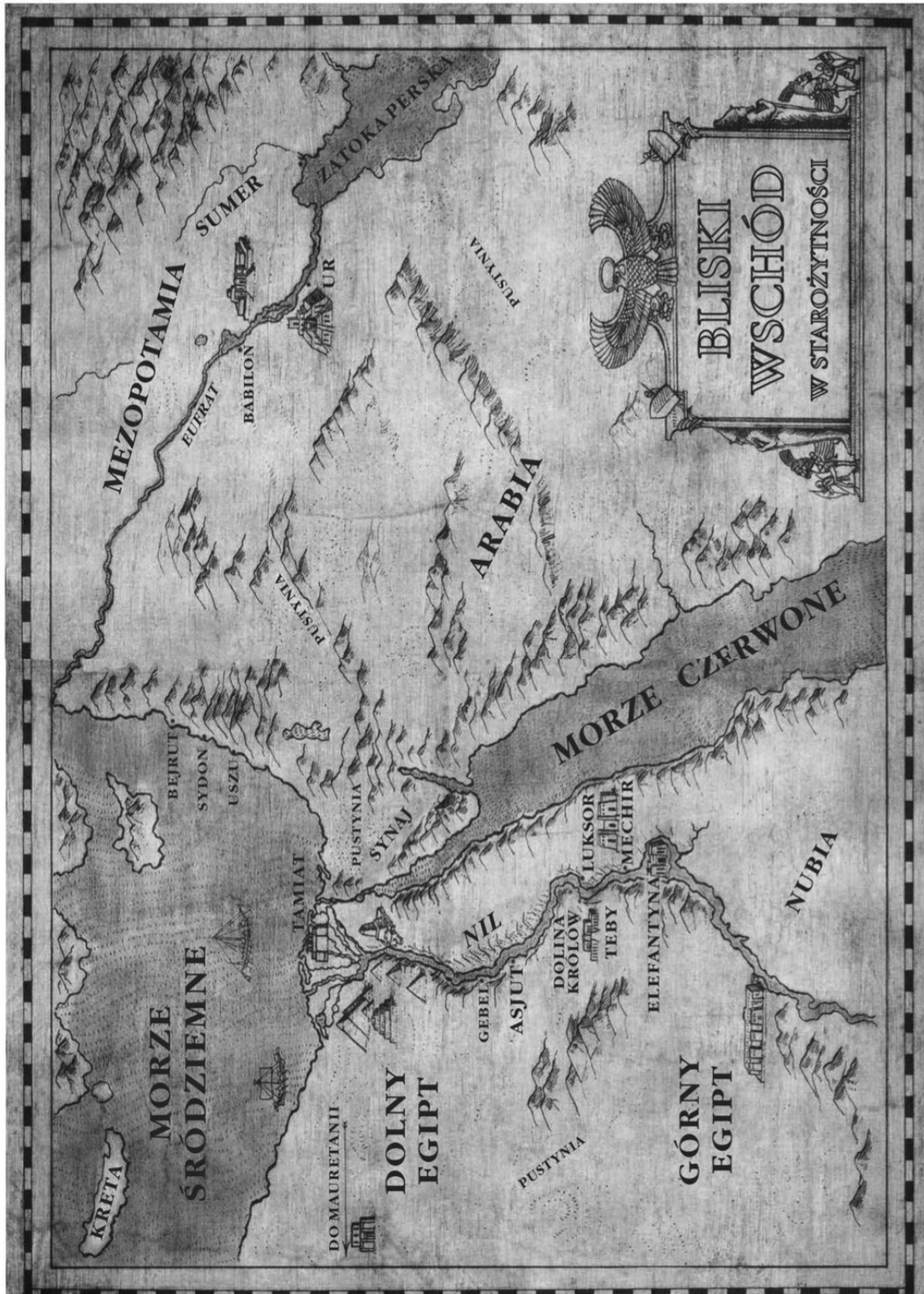
www.wydawnictwoalbatros.com



Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

*Dedykuję tę powieść mojej najdroższej żonie i towarzyszce, Niso.
Dopóki cię nie spotkałem, nie wiedziałem, co to szczęście.
Teraz wypełniasz każdy mój dzień miłością, śmiechem
i szczęściem.*

Z tobą u boku nie zamieniłbym się na życie nawet z królem.



MEZOPOTAMIA

SUMER

BABILON

UR

EUFRAT

PUSTYNIA

ARABIA

PUSTYNIA

SYNAJ

PUSTYNIA

BEJRUT

SYDON

USZU

MORZE CZERWONE

MORZE ŚRÓDZIEMNE

KRETA

DO MAURETANII

DOLNY
EGIPT

GEBEL

ASJUT

PUSTYNIA

NIL

DOLINA
KROLOW

TEBY

ELEFANTYNA

LUKSOR

MECHIR

NUBIA

GÓRNY
EGIPT

BLISKI
WSCHÓD

W STAROŻYTNOCI



Aton zamrugał małymi oczkami osadzonymi głęboko w fałdach tłuszczu, a potem uniósł wzrok znad planszy do gry w bao, która leżała między nami. Spojrzał w kierunku dwóch młodych księżniczek z królewskiego rodu Tamose, które pluskały się nago w przejrzystych wodach rozlewiska.

– Nie są już dziećmi – zauważył zdawkowo, bez śladu lubieżnego zainteresowania. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie pod daszkiem z palmowych liści obok jednego z rozlewisk wielkiej rzeki Nil.

Domyślałem się, że jego słowa na temat dziewcząt są próbą oderwania mojej uwagi od następnego ruchu kamieniami bao. Aton nie lubił przegrywać, toteż bez większych skrupułów uciekał się do różnych sztuczek, byle tylko przewaga była po jego stronie.

Zawsze zajmował wysoką pozycję wśród moich najstarszych i najdroższych przyjaciół. Podobnie jak ja jest eunuchem, a niegdyś był niewolnikiem. W tamtym okresie, na długo przed osiągnięciem dojrzałości płciowej, jego właściciel wybrał go z powodu wyjątkowej inteligencji i bystrości umysłu. Pragnął go kształcić i rozwijać jego umysłowe zdolności, chciał też uchronić je od wyjałowienia przez seksualne zachcianki. A ponieważ Aton był wartościowym nabytkiem, o przeprowadzenie kastracji poprosił najsłynniejszego lekarza w Egipcie. Pan Atona od dawna już nie żył, a sam Aton wzniósł się wysoko ponad status niewolnika. Jest teraz marszałkiem królewskiego pałacu

faraonów w Tebach, a oprócz tego kieruje siecią informatorów i tajnych agentów w całym cywilizowanym świecie. Jego organizację przewyższa tylko jedna, ta, której przewodzi ja. W tej dziedzinie, podobnie jak w większości innych spraw, prowadzimy przyjazną rywalizację i bardzo niewiele rzeczy sprawia nam większą przyjemność i satysfakcję niż zadanie ciosu konkurentowi.

Bardzo lubię towarzystwo Atona, ponieważ nie tylko mnie bawi, ale często zaskakuje dobrymi radami i spostrzeżeniami. Przy różnych okazjach jest też w stanie wypróbować moje umiejętności w grze bao. Zazwyczaj nie szczędzi mi pochwał. Ale przeważnie stanowi tylko tło dla mojego geniuszu.

W tym momencie obaj obserwowaliśmy Bekathę, jedną z dwóch królewskich księżniczek, młodszą o prawie dwa lata od siostry, choć trudno się tego domyślić, bo jest wyrosnięta jak na swój wiek, a jej piersi zaczęły już nabierać kształtu i sutki sterczą zadziornie w chłodnych wodach Nilu. Jest gibka, zwinna i chętnie się śmieje; ma też bardzo żywe usposobienie. Jej rysy odznaczają się szlachetnością – nos jest wąski i prosty, broda mocna i zaokrąglona, a wargi wygięte w subtelny łuk. Ma gęste włosy połyskujące odcieniami miedzi w promieniach słońca. Odziedzyczyła tę cechę po ojcu. I choć czerwony kwiat jej kobiecości jeszcze nie zakwitł, wiedziałem, że czas jest już bliski.

Kocham ją, ale mówiąc prawdę, odrobinę mocniej kocham jej starszą siostrę.

Tehuti jest według mnie piękniejsza. Gdy tylko na nią popatrzę, wydaje mi się, że znowu widzę jej matkę. Królowa Lostris była wielką miłością mojego życia. Tak, kochałem ją, jak mężczyzna kocha kobietę. Gdyż w przeciwieństwie do mojego przyjaciela Atona zostałem pozbawiony męskości dopiero po osiągnięciu pełnej dojrzałości i zaznałem rozkoszy kobiecego ciała. Co prawda, miłości do królowej Lostris nie skonsumowałem, ponieważ zostałem wykastrowany, zanim królowa przyszła na świat, ale była tym bardziej intensywna, że nigdy jej nie posmakowałem. Pielęgnowałem królową, gdy była

dzieckiem, i opiekowałem się nią przez jej długie i radosne życie, doradzając i wskazując drogę, oddając jej całego siebie. Aż wreszcie umarła w moich ramionach.

Przed odejściem do podziemnego świata królowa Lostris szepnęła mi coś, czego nigdy nie zapomnę: „Kochałam tylko dwóch mężczyzn w moim życiu. Ty, Taito, byłeś jednym z nich”.

Były to najśodsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszałem.

Zaprojektowałem i nadzorowałem budowę jej królewskiego grobowca i złożyłem w nim jej piękne niegdyś ciało. Pragnąłem zejść wraz z nią do podziemnego świata, wiedziałem jednak, że nie mogę, gdyż musiałem zostać i zaopiekować się jej dziećmi, tak jak opiekowałem się nią. Prawdę mówiąc, nie było to uciążliwe brzemię, moje życie bowiem wzbogaciło się dzięki temu świętemu obowiązki.

W szesnastym roku życia Tehuti była już w pełni rozwiniętą kobietą. Miała lśniąca i nieskazitelną cerę. Jej ramiona i nogi były szczupłe i eleganckie jak u tancerki lub jak ramiona wielkiego bitewnego łuku jej ojca, który mu wyciąłem, a potem umieściłem na pokrywie sarkofagu przed zamknięciem jego grobowca.

Miała pełne biodra, talię zaś cienką niczym szyjka dzbana na wino. Jej piersi były jędrne i zaokrąglone. Głowę okrywała lśniąca aureola gęstych złotych loków, a oczy miała równie zielone jak matka. Próżno szukać słów, które wyraziłyby urok jej postaci, a uśmiech Tehuti ścisnął mi serce, ilekroć go ku mnie skierowała. Miała łagodne usposobienie i rzadko wpadała w złość, ale była nieustraszona i okazywała silną wolę, gdy tylko stanęła przed jakimś wyzwaniem. Kocham ją prawie tak mocno, jak ciągle kocham jej matkę.

– Dobrze się nimi opiekowałeś, Taito – pochwalił mnie Aton z właściwą sobie szczodrością. – To skarby, które wciąż jeszcze mogą uratować nasz ukochany Egipt przed barbarzyńcami.

Pod tym względem, jak i w wielu innych sprawach, Aton i ja pozostawaliśmy w pełnej zgodzie. Był to prawdziwy powód, dla którego obaj usiedliśmy w tym oddalonym, ustronnym miejscu, chociaż wszyscy w pałacu łącznie z faraonem byli przekonani, że

spotkaliśmy się tu, żeby kontynuować naszą niekończącą się rywalizację w bao.

Nie odpowiedziałem od razu na jego uwagę, ale spuściłem wzrok na planszę. Aton wykonał swój ostatni ruch, gdy ja ciągle przyglądałem się dziewczętom. Był najzdolniejszym graczem w bao w Egipcie, a to oznaczało tyle, co powiedzieć „w cywilizowanym świecie”. Ma się rozumieć, zaraz po mnie. Zazwyczaj wygrywam z nim trzy z czterech partii, jakie rozgrywamy.

Rzuciwszy okiem, stwierdziłem, że i ta będzie jedną z owych trzech. Ostatni ruch Atona okazał się nieprzemyślany. Ustawił kamienie w sposób nierozważny. Jednym z niewielu popełnianych przez niego błędów było to, że często, gdy dochodził do wniosku, że ma zwycięstwo w zasięgu ręki, zapominał o ostrożności i lekceważył zasadę siedmiu kamieni. A potem starał się przypuścić atak z południowego zamku, czym umożliwił mi przejęcie kontroli nad jego flanką wschodnią lub zachodnią. Tym razem był to wschód. Nie potrzebowałem ponownej zachęty. Uderzyłem jak kobra.

Zakołysał się do tyłu na stołku, oceniając mój zaskakujący ruch, a gdy w końcu pojął jego genialność, pociemniał z oburzenia i głos uwiązł mu w gardle.

– Coś mi się zdaje, że cię nie cierpię, Taito. A jeśli nawet tak nie jest, to z pewnością powinienem.

– Po prostu miałem szczęście, mój stary. – Starałem się nie popaść w uniesienie. – To przecież tylko gra.

Aton wydał pogardliwie policzki.

– To największy idiotyzm, jaki kiedykolwiek usłyszałem od ciebie, Taito. To nie jest tylko gra. To prawdziwy powód do życia. – Naprawdę był rozgniewany.

Sięgnąłem pod stół po miedziany dzban z winem i napełniłem kubek Atona. Było to wyśmienite wino, najlepsze w całym Egipcie, które wziąłem prosto z pałacowych piwnic faraona. Aton nadal wydymał policzki i starał się podtrzymać swoją złość i obrażoną minę, ale jakby całkiem nieświadomie jego pulchne

palce zamknęły się wokół ucha kubka. Wypił dwa łyki, zamykając oczy. Odstawił naczynie i westchnął.

– Być może masz rację, Taito. Istnieją inne dobre powody, żeby żyć. – Zaczął chować kamienie bao do zawiązywanych skórzanymi rzemykami woreczków. – A więc jakie masz wieści z północy, Taito? Zadziw mnie jeszcze raz nadmiarem swojej inteligencji. – Doszliśmy w końcu do prawdziwego powodu tego spotkania. Zagrożenie zawsze kryło się na północy.

Przeszło sto lat temu potężny Egipt uległ rozdarciu wskutek zdrady i rebelii. Czerwony uzurpator, fałszywy faraon i zdrajca, celowo nie wymieniam jego imienia, oby pozostało przeklęte na całą wieczność, zbuntował się przeciwko prawdziwemu faraonowi i zajął cały obszar na północ od Asjut. Nasz umiłowany Egipt popadł w trwającą sto lat wojnę domową.

Z kolei sukcesor czerwonego uzurpatora został pokonany przez dzikie i wojownicze plemię, które przybyło z północnych stepów za Synajem. Barbarzyńcy ci, zwani Hyksosami, przetoczyli się przez cały Egipt, zdobywając go w całości dzięki broni, o której istnieniu nawet nie słyszeliśmy: konia i wozu bojowego. Gdy tylko pokonali czerwonego oszusta i zajęli północną część kraju, od Morza Śródziemnego aż po Asjut, zwrócili się przeciwko nam na południu.

My, prawdziwi Egipcjanie, byliśmy bezbronni. Zostaliśmy wypędzeni z naszej ziemi i zmuszeni do wycofania się w kierunku południowym, poza katarakty na Nilu, na pustkowie na końcu świata. Cierpieliśmy tam, podczas gdy moja pani, królowa Lostris, odbudowywała naszą armię.

Odegrałem w tym odrodzeniu niebagatelną rolę. Nie jestem z natury człowiekiem chełpliwym, jednakże teraz mogę stwierdzić, nie obawiając się zakwestionowania moich słów, że gdybym nie kierował moją panią i nie doradzał jej samej i jej synowi, księciu Memnonowi, który obecnie jest faraonem o imieniu Tamose, zamierzony cel nie zostałby przez nich osiągnięty.

Oprócz innych licznych zasług dla niej wspomnę tylko, że zbudowałem pierwsze rydwany z kołami szprychowymi, które były lżejsze i szybsze niż rydwany Hyksosów, wyposażone w koła z litego drewna. Potem znalazłem konie, które mogły je pociągnąć. Gdy byliśmy gotowi, faraon Tamose, który tymczasem dorósł do wieku męskiego, poprowadził naszą nową armię z powrotem przez katarakty na północ do Egiptu.

Wódz Hyksosów Salitis twierdził, że jest królem, ale nim nie był. W najlepszym razie można by go uznać za herszta rabusiów i człowieka wyjętego spod prawa. Armia, którą dowodził, dwukrotnie liczniejsza niż nasza, była równie dobrze uzbrojona co okrutna.

Zaskoczyliśmy jednak Hyksosów i stoczyliśmy z nimi potężną bitwę koło Teb. Rozbiliśmy ich wozy i wycięliśmy ludzi. Pozostałych przy życiu popędziliśmy z powrotem ku północy. Zostawili na polu bitwy dziesięć tysięcy trupów i dwa tysiące zniszczonych rydwanów.

Jednakże zadali naszym dzielnym wojskom straty na tyle ciężkie, że nie mogliśmy ich ścigać i rozbić całkowicie. Od tego czasu Hyksosi czają się w delcie Nilu.

Król Salitis, stary rabuś, już nie żyje. Nie zginął na polu bitwy pod ciosem dobrego egipskiego miecza, co byłoby sprawiedliwe i właściwe. Umarł w łóżku ze starości, otoczony gromadą swoich odrażających żon i upiornych latorośli. Był wśród nich jego najstarszy syn Beon. I teraz on chełpi się, że jest królem i faraonem, władcą Górnego i Dolnego Egiptu. Po prawdzie nie jest nikim więcej jak tylko panoszącym się swobodnie mordercą, jeszcze gorszym niż jego ojciec. Szpiedzy donoszą mi regularnie, że Beon stale odbudowuje hyksoską armię, której zadaliśmy tak ciężkie rany w bitwie pod Tebami.

Raporty są niepokojące, ponieważ mamy wielkie trudności ze zdobywaniem surowców, dzięki którym moglibyśmy odrobić straty poniesione w ostatniej bitwie. Otoczone lądem południowe królestwo odcięte jest od wielkiego Morza Śródziemnego oraz od handlu z innymi cywilizowanymi krajami i miastami świata,

bogatymi w skórę, drewno, miedź, antymon, cynę i inne materiały wojenne, jakich nam brakuje. Odczuwamy też niedobór ludzi. Potrzebujemy sprzymierzeńców.

Za to nasi wrogowie, Hyksosi, mają doskonałe porty w delcie, gdzie Nil wpada do morza. Nieprzerwanie przybywają do nich statki handlowe. Dzięki naszym szpiegom wiem również, że Hyksosi starają się zawrzeć przymierza z innymi wojowniczymi narodami.

Spotkałem się z Atonem w tym izolowanym miejscu, żeby omówić te problemy i zastanowić się nad nimi. Przetrwanie naszego umiłowanego Egiptu zależy od siły naszych mieczy. Już wcześniej wielokrotnie to omawialiśmy, ale teraz byliśmy gotowi do podjęcia ostatecznych decyzji, które należało przedstawić faraonowi.

Jednak królewskie księżniczki miały inne plany. Zobaczyły, jak Aton zbiera kamienie biao, i uznały to za sygnał, że teraz mogą skupić na sobie całą moją uwagę. Jestem oddany im obu, ale są zbyt wymagające. Wyskoczyły z wody, rozbryzgując ją na wszystkie strony, i zaczęły się ścigać, która dobiegnie do mnie jako pierwsza. Bekatha to jeszcze dziecko, ale jest bardzo szybka i zdecydowana. Zrobi prawie wszystko, żeby osiągnąć to, co chce. Wygrała z Tehuti o pierś i opadła zimna i mokra na moje kolana.

– Kocham cię, Tata! – zawołała, obejmując mnie rękami za szyję i przycisnęła mokry kłęb rudych włosów do mojego policzka. – Opowiedz nam coś, Tata.

Pokonana w wyścigu Tehuti musiała się zadowolić gorszą pozycją u moich stóp. Naga i ociekająca wodą wdzięcznie opadła na ziemię i objęła mnie za nogi, przyciskając je do piersi, a potem oparła podbródek na moich kolanach i spojrzała mi w oczy.

– Tak, Tata, proszę. Opowiedz nam o naszej mamie i o tym, jaka była piękna i mądra.

– Najpierw muszę porozmawiać z wujem Atonem – zaprotestowałem.

– Och, szkoda. Ale nie rozmawiaj zbyt długo – poprosiła Bekatha. – To takie nudne.

– Obiecuję, że nie zajmie mi to wiele czasu. – Obejrzałem się na Atona i gładko przeszedłem na język hyksoski. Obaj płynnie mówimy językiem naszego śmiertelnego wroga.

Uznałem za swój obowiązek poznać naszego nieprzyjaciela. Mam łatwość uczenia się języków obcych. Od powrotu do Teb miałem wiele lat na to, żeby się uczyć. Aton nie brał udziału w exodusie do Nubii. Nie ma awanturniczej żyłki. Został więc w Egipcie i cierpiał pod panowaniem Hyksosów. Jednak nauczył się wszystkiego, czego mogli go nauczyć, łącznie z ich językiem. Za to żadna z księżniczek nie rozumie ani słowa w tym języku.

– Och, nie lubię, jak mówisz tym wstrętnym żargonem. – Bekatha skrzywiła się, a Tehuti przyznała jej rację.

– Jeżeli nas lubisz, Taito, mów po egipsku. – Objąłem Bekathę i pogłaskałem Tehuti po ślicznej główce. Mimo to nadal rozmawiałem z Atonem w języku, o którym dziewczęta miały tak złe zdanie.

– Nie zwracaj uwagi na paplanie dzieciaków. Mów dalej, stary przyjacielu.

Aton przestał się uśmiechać i podjął swoje wywody:

– A więc zgadzamy się, Taito. Potrzebujemy zarówno sprzymierzeńców, jak i handlu z nimi. A jednocześnie musimy pozbawić obu tych rzeczy Hyksosów.

Kusiło mnie, żeby odpowiedzieć mu zjadliwie, ale podenerwowałem go już wystarczająco w partii bao. Kiwnąłem więc głową z poważną miną.

– Jak zwykle bezbłędnie uchwyciłeś istotę rzeczy i zwięźle zarysowałeś problem. Sprzymierzeńcy i handel. Bardzo dobrze, Atonie. Ale czym możemy z nimi handlować?

– Mamy złoto z naszych kopalni w Nubii, które odkryliśmy, będąc na wygnaniu za kataraktami. – Aton nigdy na krok nie opuścił Egiptu, ale słuchając go, można było pomyśleć, że to on powiódł nas na wygnanie. Uśmiechnąłem się w duchu, jednak zachowałem poważną minę, podczas gdy on mówił dalej: – Chociaż ten żółty metal nie jest tak cenny jak srebro, to ludzie również go pożądamy. Biorąc pod uwagę stos tego kruszcu, jaki

faraon zgromadził w swoim skarbcu, możemy z łatwością kupić sobie przyjaciół i sprzymierzeńców.

Kiwnąłem głową na zgodę, chociaż wiedziałem, że zarówno Aton, jak i wielu mu podobnych, którzy nie przebywają tak blisko tronu jak ja, znacznie przeceniają zasoby skarbcza faraona. Podjąłem temat i postanowiłem go poszerzyć:

– Jednak nie zapominaj o tym, co wytwarza żyzny czarny muł, jaki matka Nil nanosi na swoje brzegi z każdym dorocznym wylewem. Ludzie muszą jeść, Atonie. Kreteńczycy, Sumerowie i mieszkańcy miast greckich mają niewiele ziemi ornej. Znajdują się ciągle pod silną presją konieczności zdobycia zboża, żeby wyżywić swoją ludność. A my dzięki Nilowi mamy zboże w wielkiej obfitości.

– Tak, tak, Taito. Mamy zboże, mamy też konie na sprzedaż, hodujemy najlepsze konie bojowe na świecie. No i mamy inne rzeczy, jeszcze rzadsze i cenniejsze. – Aton zamilkł i dyskretnie spojrział na śliczne dziecko, które przytulałem do piersi, a potem na drugie, które siedziało mi na kolanach.

Nie trzeba było mówić nic więcej na ten temat. Naszymi najbliższymi i najpotężniejszymi sąsiadami byli Kreteńczycy i Sumerowie z krainy między Tygrysem i Eufratem. Oba te narody były raczej śniade i czarnowłose. Ich władcy pożąдали jasnowłosych i jasnoskórych kobiet z plemion egejskich i królewskiego rodu Egiptu. Jednak blade i cklive kobiety greckie nie mogły się równać z naszymi lśniącymi klejnotami znad Nilu.

Rodzicami moich dwóch księżniczek byli Tanus, mężczyzna o ogniste rudy kędziorach, i jasnowłosa królowa Lostris. Przekazali im swoje charakterystyczne cechy i ich dwie córki zaczynały być znane w całym świecie. Wysłannicy z dalekich stron odbyli już uciążliwe podróże przez szerokie pustynie i głębokie wody do pałacu w Tebach, żeby delikatnie dać faraonowi Tamose do zrozumienia, że ich panowie są zainteresowani zawarciem małżeńskiego i militarne go przymierza z jego domem. Wśród władców, którzy przysłali

swoje delegacje, byli król Sumerów Nemrod i Najwyższy Minos z Krety.

Na moje żądanie faraon łaskawie przyjął obu wysłanników, a także szczodre dary w srebrze i drewnie cedrowym, jakie mu złożyli. Potem przyjaźnie wysłuchał ich ofert zaślubienia jednej lub obu sióstr Tamose, ale wyjaśnił, że obie dziewczyny są zbyt młode do zawarcia małżeństwa i że powinni wrócić do tego tematu, gdy jedna i druga osiągną dojrzałość. Działo się to jakiś czas temu, teraz jednak okoliczności się zmieniły.

W tamtym okresie faraon omówił ze mną sprawę ewentualnego przymierza między Egiptem a Sumerem lub Kretą. Wskazałem mu grzecznie, że Kreta byłaby dużo lepszym sojusznikiem niż Sumerowie.

Po pierwsze, Sumerowie nie należeli do ludów morskich i chociaż mogli wystawić potężną, dobrze wyekwipowaną armię z kawalerią i wozami bojowymi, nie posiadali godnej uwagi floty. Przypomniałem faraonowi, że nasz południowy Egipt nie ma dostępu do Morza Śródziemnego. Podczas gdy Hyksosi kontrolują północne brzegi Nilu, my jesteśmy w zasadzie krajem śródlądowym.

Sumerowie także mieli ograniczony dostęp do morza, a ich flota niewiele znaczyła w porównaniu z flotami innych krajów, takich jak Kreta czy nawet położona na zachodzie Mauretania. Sumerowie zawsze niechętnie podejmowali ryzyko wyprawiania się na morze ciężko wyładowanymi statkami. Obawiali się zarówno piratów, jak i morskich burz. Droga lądowa między naszymi krajami także była najeżona trudnościami.

Hyksosi kontrolowali przesmyk oddzielający Morze Śródziemne od Morza Czerwonego, łączący Egipt z Pustynią Synajską na północy. Aby do nas dotrzeć, Sumerowie musieliby wędrować przez Synaj szlakiem położonym dużo bardziej na południe, a potem wsiadać na statki, żeby przepłynąć przez Morze Czerwone. Droga ta postawiłaby przed ich armią tak wiele trudności, z których ostatnią nie byłoby brak wody i niedostateczna liczba statków umożliwiających przewiezienie

przez Morze Czerwone, że wykorzystanie jej mogłoby się okazać niemożliwe.

Moją propozycją, którą uprzednio przedstawiłem faraonowi, a teraz wyłożyłem Atonowi, był układ między naszym umiłowanym Egiptem a Najwyższym Minosem Krety. „Najwyższy Minos” to tytuł dziedzicznego władcy Krety, odpowiednika naszego faraona. Sugestia, że jest on potężniejszy od naszego faraona, byłaby równoznaczna ze zdradą. Powiedzmy więc tylko, że o jego flocie krążą opinie, jakoby miała składać się z przeszło dziesięciu tysięcy wojennych i handlowych galer tak nowoczesnych, że nie mógł ich prześcignąć ani pokonać żaden inny statek.

Mamy to, czego pragną Kreteńczycy – zboże, złoto i śliczne panny na wydaniu. Kreteńczycy mają to, czego potrzebujemy my – najgroźniejszą istniejącą flotę wojennych okrętów, która byłaby w stanie zablokować porty Hyksosów w delcie Nilu oraz przewieźć armię sumeryjską na południowe wybrzeża Morza Śródziemnego i w ten sposób zamknąć Hyksosów w śmiertelnych kleszczach, w których ich armia zostałaby zmiażdżona przez nasze wojska.

– Świetny plan! – pochwalił mnie Aton. – Niemal niezawodny. Z wyjątkiem jednego drobnego, niemal nic nieznaczącego szczegółu, który przeoczyłeś, mój stary, drogi Taito. – Wyszczrzył zęby w chytrym uśmiechu, smakując odwet za cięgi, jakie dopiero co otrzymał ode mnie na planszy bao. Nigdy nie byłem mściwy, ale w tym momencie nie mogłem się powstrzymać od chęci sprawienia sobie odrobinę bardziej niewinnej uciechy kosztem Atona. Zdobyłem się na zrobienie przerażonej miny.

– Och, nie mów mi tego, proszę! Przemyślałem wszystko tak dokładnie. W którym miejscu mojego planu tkwi błąd?

– Spóźniłeś się. Najwyższy Minos Krety zawarł już sekretne przymierze z królem Hyksosów Beonem. – Aton cmoknął ustami i klepnął się wesoło w jedno ze swoich słońwiatych ud.

Zdecydowanie zbił moją propozycję lub przynajmniej tak mu się wydawało.

– Ach, tak! – odparłem. – Przypuszczam, że masz na myśli port handlowy, który Kreteńczycy w uzgodnieniu z Beonem otworzyli pięć miesięcy temu w Tamiacie, przy ujściu wysuniętej najbardziej na wschód odnogi Nilu w delcie.

Teraz z kolei Aton powinien poczuć się zbity z tropu.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś? Skąd o tym wiesz?

– Proszę cię, Atonie! – Rozłożyłem ręce w błagalnym geście. – Chyba nie oczekujesz, że wyjawię ci imiona wszystkich moich szpiegów? – Aton prędko wrócił do równowagi.

– Najwyższy Minos i Beon zawarli już porozumienie, jeśli wręcz nie pakt wojenny. Choć jesteś taki mądry, Taito, o czym wszyscy wiemy, niewiele możesz zdziałać, żeby temu zaradzić.

– A jeśli Beon planuje zdradę? – zapytałem tajemniczo.

Aton spojrzał na mnie głupkowato, całkowicie zaskoczony.

– Zdradę? Nie rozumiem, Taito. Na czym miałyby ona polegać?

– Atonie, masz niejakie pojęcie o tym, ile srebra Najwyższy Minos Krety trzyma w swojej nowej twierdzy w Tamiacie na terytorium Hyksosów?

– Domyślam się, że musi być go sporo. Skoro Najwyższy Minos zaproponował Beonowi, że zakupi od niego większą część przyszłorocznych zbiorów zboża, to w takim razie musi mieć pod ręką znaczne ilości srebra – przyznał ostrożnie Aton. – Być może nawet dziesięć albo i dwadzieścia lakhów.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy, mój drogi przyjacielu, aczkolwiek wymieniłeś zaledwie małą część problemów, przed jakimi stoi Najwyższy Minos. Nie ośmieliłby się wysłać ciężko wyładowanych okrętów ze skarbem, żeby popłynęły przez otwarte morze w okresie burz. Tak więc przez pięć miesięcy w roku nie może wysłać sztabek srebra na południowe wybrzeża Morza Śródziemnego, do których zimą może dotrzeć, pokonując przeszło sto mil od swojej wyspy.

– Och, rzeczywiście! – odparł prędko Aton, próbując podważyć moją konkluzję. – Wiem, co masz na myśli. To oznacza, że przez cały ten czas Najwyższy Minos nie może prowadzić handlu z krajami i ludami, które żyją na tej części afrykańskich brzegów Wielkiego Morza!

– Przez całą zimę połowa świata jest dla niego niedostępna – zgodziłem się z nim. – Ale gdyby mógł zdobyć bezpieczną bazę na wybrzeżu egipskim, jego flota byłaby osłonięta przed zimowymi sztormami. A wtedy przez cały rok jego okręty mogłyby uprawiać handel między Mezopotamią i Mauretanią pod osłoną lądu. – Zamilkłem na chwilę, żeby umożliwić mu dostrzeżenie całej wielkości tego, co planował Najwyższy Minos, a potem bez skrępowania podjąłem moje wywody: – Dwadzieścia lakhów nie wystarczyłoby do przeprowadzenia jednej setnej tego rodzaju interesów. Bardziej prawdopodobne jest to, że aby prowadzić handel zimą, musi on trzymać w swojej nowej twierdzy w Tamiacie pięćset lakhów. Nie zgodzisz się, że taka ilość srebra mogłaby skłonić do zastanowienia się nad zdradą każdego człowieka, a co dopiero tak przewrotnego z natury i drapieżnego oszusta jak Beon?

Oszołomiony potęgą przedstawionej przeze mnie wizji Aton zaniemówił na pięćdziesiąt uderzeń serca. Gdy w końcu się ocknął, odezwał się schrypniętym z emocji głosem:

– Masz więc dowód na to, że Beon, niepomny zawartego niedawno układu z Najwyższym Minosem, planuje szturm na twierdzę Tamiat, żeby zawładnąć skarbem kreteńskiego króla? To właśnie masz na myśli, Taito?

– Nie powiedziałem, że mam dowód potwierdzający takie zamiary Beona. Niczego nie oświadczałem, zadałem ci tylko pytanie. – Zachichotałem, widząc zakłopotanie Atona. Nie było to grzeczne z mojej strony, ale nie mogłem się powstrzymać. Nigdy dotąd podczas naszej długiej przyjaźni nie zauważyłem, żeby tak się zagubił, szukając argumentu na odparcie moich słów czy ciętej odpowiedzi. Potem zrobiło mi się go żal.

– Atonie, obaj wiemy, że Beon jest dzikim półgłówkiem. Potrafi pokierować rydwanem, machnąć mieczem, napiąć łuk czy obrabować miasto. Wątpię jednak, aby był zdolny zaplanować wizytę w wychodku bez długich i mozolnych deliberacji.

– W takim razie, kto go wyręcza w planowaniu tego najazdu na skarb Najwyższego Minosa? – zapytał Aton. Nie odpowiedziałem od razu, ale po prostu rozparłem się na moim stołku i uśmiechnąłem do niego. Aton wytrzeszczył na mnie oczy. A potem jego mina się rozjaśniła. – Ty? Z pewnością nie, Taito! Jak możesz planować obrabowanie Najwyższego Minosa z pięciuset lakhów srebra, a potem zabiegać u tego Kreteńczyka o wsparcie i sojusz?

– Trudno jest w mroku odróżnić Hyksosa od Egipcjanina, zwłaszcza jeśli ten Egipcjanin ma na sobie hyksoski strój bitewny, posługuje się hyksoską bronią i mówi językiem Hyksosów – zauważyłem. Aton pokręcił głową i ponownie zaniemówił. Ale ja przycisnąłem go jeszcze mocniej. – Zgodzisz się ze mną, że taki podstępny atak na zawsze pogrzebałby wszelkie szanse na to, aby Kreta i Hyksosi kiedykolwiek mogli zawrzeć przymierze przeciwko nam?

Uśmiechnął się w końcu.

– Jesteś człowiekiem tak przebiegłym, Taito, że zastanawiam się, jak w ogóle mogę ci zaufać! – Po czym zapytał: – Jak duży garnizon mają Kreteńczycy w Tamiacie?

– Obecnie składa się on z prawie dwóch tysięcy żołnierzy i łuczników. Choć prawie wszyscy oni są najemnikami.

– Ach, tak! – Aton był pod wrażeniem. Znowu zamilkł, ale po chwili odezwał się: – Ilu ludzi byś potrzebował, a raczej powinienem zapytać, jak wielu ludzi potrzebowałby Beon, żeby urzeczywistnić ten łotrowski plan?

– Tylu, żeby ich wystarczyło – odparłem wymijająco. Nie chciałem zdradzać Atonowi wszystkich moich planów. Pogodził się z tym i przestał naciskać mnie wprost. Jednak zadał mi kolejne podstępne pytanie:

– Nie zostawiłbyś przy życiu żadnych Kreteńczyków w twierdzy Tamiat? Wyrzuciłbyś ich wszystkich?

– Oczywiście, że pozwoliłbym uciec większości z nich – zaprzeczyłem stanowczo. – Chcę, żeby jak najwięcej ich wróciło na Kretę i ostrzegło Najwyższego Minosa przed zdradzieckim królem Beonem.

– A skarb Kreteńczyków? – spytał Aton. – Te pięćset lakhów srebra? Co by się z nimi stało?

– Skrzynie faraona świecą niemal pustkami. Nie możemy uratować Egiptu, mając pusty skarbiec.

– Kto będzie dowodził tą wyprawą? – zapytał. – Ty sam, Taito? Popatrzyłem na niego osłupiałym wzrokiem.

– Wiesz przecież, Atonie, że żaden ze mnie wojownik. Jestem lekarzem, poetą i subtelnym filozofem. Jednak jeśli faraon będzie nalegał, żebym przyjął na siebie taką rolę, jestem gotów towarzyszyć wyprawie jako doradca oficera dowodzącego.

– Kto zatem obejmie dowództwo? Może Kratas?

– Kocham Kratasa, to świetny żołnierz, ale jest stary, uparty i nieskory do przyjmowania rozumnych rad czy sugestii. – Wzruszyłem ramionami i Aton zachichotał.

– Och, subtelny bardziej, doskonale opisałeś generała Kratasa. Ale jeśli nie jego, to kogo faraon wyznaczy do objęcia tej funkcji?

– Prawdopodobnie Zarasa.

– Ach! Słynnego kapitana Zarasa z oddziału Błękitnych Krokodyli gwardii królewskiej? To jeden z twoich ulubieńców, Taito. Może nie?

Zignorowałem jego docinek.

– Nie mam ulubieńców. – Przy różnych okazjach ja również potrafię trochę naciągnąć fakty. – Ale Zaras jest po prostu najlepszym kandydatem do wykonania tego zadania – odparłem oględnie.

Gdy przedstawiłem faraonowi plan zdyskredytowania króla Beona w oczach Najwyższego Minosa Krety i wbicia żelaznego klina między dwie potęgi naszych najgroźniejszych wrogów, jakich mieliśmy – był zdumiony błyskotliwą prostotą mojego projektu.

Udało mi się wyprosić prywatną audiencję u Tamose. Faraon oczywiście zgodził się bez żadnych wybiegów. Byliśmy sami na przestronnym, obsadzonym palmami tarasie, który otaczał salę tronową i skąd rozpościerał się widok na Nil w jego najszerszym w południowym Egipcie miejscu. Oczywiście po minięciu Asjut rzeka poszerza się, a jej nurt zwalnia, przechodząc przez terytoria zabrane nam przez Hyksosów, i płynie w kierunku delty, aby wpaść do Morza Śródziemnego.

Na obu końcach tarasu stały strażę, pilnując, aby nie dojrzał nas ani nie podsłuchał zarówno przyjaciel, jak i wróg. Strażnicy znajdowali się pod bezpośrednim dowództwem godnych zaufania oficerów, ale trzymali się dyskretnie poza zasięgiem wzroku, żeby nie rozpraszać naszej uwagi. Spacerowaliśmy po marmurowej posadzce. Dopiero teraz, gdy byliśmy sami, wolno mi było iść z faraonem ramię w ramię, choć byłem związany z nim blisko od chwili jego urodzenia.

Prawdę mówiąc, to ja byłem tym, który przyjął poród, gdy przychodził na świat. Ja chwyciłem w dłonie jego niemowlęce ciało, gdy królowa Lostris wypychała je ze swego królewskiego łona niemalże z siłą katapulty wyrzucającej kamień. Maleńki

książę rozpoczął ziemską wędrówkę od tego, że opróżnił na mnie swój pęcherz. Uśmiechnąłem się teraz na to wspomnienie.

Od tego dnia byłem jego opiekunem i mentorem. Byłem tym, który nauczył go podcierać sobie tyłek, czytać, pisać, strzelać z łuku i prowadzić rydwan bojowy. Ode mnie nauczył się też, jak rządzić ludem. Aż w końcu wyrósł na przystojnego młodego człowieka, dzielnego wojownika i doświadczonego władcę naszego umiłowanego Egiptu. Wciąż jednak byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Posunąłem się nawet do stwierdzenia, że faraon kocha mnie jak ojca, którego nigdy nie poznał, a ja kocham go jak syna, którego nigdy nie miałem.

Słuchając mojej propozycji, żeby użyć podstępu, zatrzymał się i odwrócił do mnie z rosnącym zdziwieniem. Gdy dotarłem do kluczowego momentu planu, chwycił mnie za ramiona dłońmi, które od machania mieczem, napinania łuku i kierowania zaprzężonym w czwórkę koni rydwanem były twarde i mocne niczym brąz.

– Tata, ty stary nicponiu! – wykrzyknął mi prosto w oczy. – Nie przestajesz mnie zdumiewać. Tylko tobie mogła się przyśnić taka nieprawdopodobna intryga. Musimy od razu zabrać się do zaplanowania szczegółów. Dobrze pamiętam, jak bardzo nie lubiłem chwil, w których zmuszałeś mnie, żebym się uczył języka Hyksosów, a teraz bardzo by mi tego brakowało. Nie mógłbym stanąć na czele tej wyprawy, gdybym nie był w stanie udąć jednego z naszych wrogów.

Poświęciłem kilka godzin na taktowne wybiegi, zanim zdołałem go przekonać, że groźba pozostawienia Egiptu bez przywódcy w tak kluczowym momencie naszych dziejów dalece przeważa nad chwałą czy inną korzyścią, jakiej mógł się spodziewać po udanym zdobyciu minojskiej twierdzy w Tamiacie i skarbu, który w sobie kryła. Dziękuję Horusowi, że nasz faraon jest wystarczająco młody, aby okazać giętkość rozumowania, i zarazem przeżył dostatecznie wiele lat, żeby mieć odrobinę zdrowego rozsądku. Już dawno temu nauczyłem

się manipulować nim tak, żeby nie zdawał sobie sprawy, że to robię. Koniec końców zazwyczaj udaje mi się postawić na swoim.

Faraon uwzględnił moją sugestię i na dowódcę wyprawy wyznaczył Zarasa. Mimo że ma dopiero dwadzieścia pięć lat, a więc jest prawie w tym samym wieku co faraon, zdobył już znaczną sławę, o czym świadczy jego stopień wojskowy. Pracowałem z nim wcześniej wiele razy i wiedziałem, że zasłużył na swoją dobrą reputację. Najważniejsze zaś dla mnie jest to, że odnosi się do mnie z wielką rewerencją.

Na koniec naszego spotkania faraon Tamose przekazał mi pieczęć królewskiego sokoła. W ten sposób scedował na mnie pełnię swojej władzy. Okaziciel pieczęci odpowiadał tylko przed faraonem. Żaden człowiek pod karą śmierci nie mógł kwestionować jego poczynań ani przeszkadzać mu w wypełnianiu zadań zleconych przez króla.

Faraon miał zwyczaj powierzania pieczęci sokoła wybranemu przez siebie emisariuszowi podczas uroczystej ceremonii w obecności starszyny dworu, ale miałem świadomość, że dziś, w tak nietypowej sytuacji, postanowił zrobić to w całkowitej tajemnicy. Mimo wszystko byłem poruszony, że obdarzył mnie tak wielkim zaufaniem.

Padłem więc przed nim na kolana i dotknąłem czołem posadzki. Ale faraon pochylił się i pomógł mi wstać.

– Nigdy mnie nie zawiodłeś, Taito – powiedział, obejmując mnie. – Wiem, że nie zrobisz tego także teraz.

Poszedłem od razu poszukać Zarasa. Dałem mu do zrozumienia, jak ważna jest nasza misja i jak dzięki niej może zyskać szacunek faraona. Sukces wyprawy mógł go utwierdzić na drodze do awansu i królewskiej łaski. Dostrzegłem jego obawy, choć starał się je przede mną ukryć.

Wspólnie ustaliliśmy listę dwustu dwudziestu ludzi, którzy mieli wziąć udział w naszej wyprawie. Z początku Zaras upierał się, że tak mały oddział nie wystarczy, aby pokonać kreteński garnizon liczący prawie dwa tysiące żołnierzy. Gdy wyjaśniłem, że będziemy działać w szczególnych okolicznościach, o jakich nie wspomniałem ani Atonowi, ani nawet faraonowi, zaakceptował mój plan w całej rozciągłości.

Zgodziłem się, żeby sam dobrał sobie ludzi. Nalegałem tylko, aby wszyscy wybrani przez niego żołnierze mówili płynnie językiem Hyksosów. Zaras był zbyt młody, żeby wziąć udział w exodusie do Nubii, gdy Hyksosi zajęli południowy Egipt. Mając szesnaście lat, został zmuszony do wstąpienia do hyksoskich legionów. Dzięki temu mówił w języku wroga tak, jakby to była jego mowa ojczysta, i w każdej sytuacji mógł uchodzić za jednego z nich. Jednak jako lojalny Egipcjanin był wśród pierwszych, którzy wrócili na łono ojczyzny, kiedy Tamose poprowadził nas przez katarakty, żeby zetrzeć się z Hyksosami w bitwie pod Tebami i przegnać w panice i zamieszaniu ich niedobitki z powrotem ku północy.

Ludzie, których Zaras wybrał do oddziału mającego wziąć udział w wyprawie, byli świetnie wyszkoleni, przeważnie pod jego własną komendą. Wszyscy byli zarówno żołnierzami, jak i żeglarzami. Gdy nie wojowali w obsadach rydwanów, stanowili załogę na pokładach rzecznych galer. Zaras nie musiał uczyć ich niczego więcej.

Powiedziałem mu, żeby podzielił swoje wojsko na małe piętnasto-lub dwudziestoosobowe drużyny, które nie zwrócą na siebie uwagi, opuszczając Teby.

Gdy pokazałem dowódcy straży przy miejskiej bramie pieczęć królewskiego sokoła, nie zadał mi żadnych pytań. Przez trzy kolejne noce drużyny Zarasa wymykały się po ciemku z miasta i kierowały ku wschodnim pustkowiom. Zebrały się w ruinach starożytnego miasta Akita, gdzie na nie czekałem.

Miałem ze sobą wozy wyładowane prawdziwymi hełmami, zbrojami, mundurami i bronią Hyksosów. Była to drobna część łupu, jaki zdobyliśmy na wrogu w bitwie pod Tebami.

Wyruszyliśmy z Akity na wschód, w stronę brzegów Zatoki Sueskiej przy północnym krańcu Morza Czerwonego. Żołnierze ukryli wrogie umundurowanie pod szatami Beduinów.

Razem z Zarasem dosiedliśmy koni i wysunęliśmy się przed główną grupę. Dotarliśmy do małej rybackiej wioski Al Nadas na brzegu zatoki i tam zaczekaliśmy na resztę oddziału.

Zaras wynajął przewodnika, którego zatrudniał już wcześniej, i gorąco go polecał. Miał na imię Al Namjoo. Był to jednooki, wysoki i małomówny mężczyzna. Czekał na nas w Al Nadas.

Namjoo wynajął od wieśniaków wszystkie dostępne rybackie stateczki, żebyśmy mogli przedostać się na wschodni brzeg. Zatoka miała w tym miejscu szerokość niespełna dwudziestu mil, toteż dobrze widzieliśmy niskie wzgórza Synaju na przeciwległym brzegu.

Pokonaliśmy zatokę nocą, gdy drogę oświetlały tylko gwiazdy. Wyładowaliśmy się na wschodnim brzegu w pobliżu innej małej wioski rybackiej. Była to Zuba, gdzie już czekał na nas jeden z synów Al Namjoo. Miał ze sobą przeszło sto osiołków,

które wynajął, żeby poniosły nasze ciężkie wyposażenie. Wciąż jeszcze musieliśmy pokonać ku północy prawie dwieście mil dzielących nas od Morza Śródziemnego, ale ludzie byli zaprawieni do działania w trudnych warunkach, więc poruszaliśmy się szybko.

Al Namjoo trzymał się wschodniej strony Przesmyku Sueskiego, który łączy Afrykę z Azją, żeby maksymalnie zmniejszyć ryzyko natknięcia się na wojska Hyksosów. W końcu wyszliśmy na skaliste południowe wybrzeże Morza Śródziemnego w pobliżu fenickiego portu Uszu. Był on położony mniej więcej w połowie drogi między granicą sumeryjską a częścią północnego Egiptu znajdującą się ciągle w rękach hyksoskich najeźdźców.

Zostawiłem Zarasa i jego ludzi w urządzonym naprędce obozie poza obrębem portu i ruszyłem dalej, mając czterech wybranych ludzi do pomocy oraz dwa osiołki objuczone sztabkami złota ukrytymi w skórzanych workach wypełnionych zbożem. Po trzech dniach targowania się z kupcami z portu stałem się posiadaczem trzech średniej wielkości galer, które czekały na brzegu poniżej świątyni fenickiego boga Melkarta. Każdy z tych statków był w stanie pomieścić sto osób. Kosztowały mnie drogo, dlatego w workach ze zbożem, które zabraliśmy z Teb, pozostało niewiele złota.

Rozgłosiłem w porcie, że jesteśmy grupą najemników podróżujących na wschód, żeby oddać się na usługi asyryjskiemu królowi Al Haturrowi, oblegającemu właśnie miasto Birrayut. Gdy tylko nasi żołnierze znaleźli się na pokładach, odbiliśmy od brzegu. Wypłynąwszy na pełne morze, byliśmy ciągle w zasięgu wzroku mieszkańców Uszu, toteż skręciliśmy i powiosłowaliśmy na wschód w kierunku Libanu. Jednak gdy nie można już było dostrzec nas z lądu, zmieniłem kurs na przeciwny i skierowaliśmy się ponownie w stronę Egiptu i delty Nilu.

Od lądu wiał lekki sprzyjający nam wietrzyk. Podnieśliśmy główny żagiel i w regularnych odstępach czasu zmienialiśmy wiosłarzy przy długich wiosłach. Ponownie minęliśmy Uszu, ale

płynąc w odwrotnym kierunku. Utrzymywałem nasze statki poza horyzontem i poza zasięgiem widoczności z portu.

Chociaż na każdej z galer tłoczyło się co najmniej siedemdziesiąt osób, rozwijaliśmy niezłą prędkość i pod dziobem każdej z nich widać było kędzierzawą pianę. Późnym popołudniem drugiego dnia obliczyłem, że kreteński fort Tamiat jest już niecałe sto mil przed nami.

Oczywiście razem z Zarasem znajdowaliśmy się na pokładzie galery płynącej na czele. zaproponowałem mu, żebyśmy zbliżyli się do brzegu, ponieważ zostawiliśmy Uszu daleko za rufą i możemy teraz być widoczni z lądu. Dzięki temu było mi dużo łatwiej nawigować i oceniać naszą pozycję. W końcu, gdy słońce dotknęło powierzchni morza przed nami i wokół zapadły ciemności, wskazałem sternikowi płytką, pustą zatokę z piaszczystymi brzegami. Gdy tylko kile naszych galer zaczęły szorować po piasku, ludzie wyskoczyli za burtę i wyciągnęli je na brzeg.

Podróż z Teb do miejsca, w którym się teraz znaleźliśmy, była długa i wyczerpująca, ale byliśmy zaledwie kilka mil od celu. Tego wieczoru w naszym obozie panował zaraźliwy nastrój podniecenia i wyczekiwania, połączony ze złymi przeczuciami, jakie w przeddzień bitwy nawiedzają nawet najśmielszych wojowników.

Zaras wybrał dwóch ze swoich najlepszych ludzi, żeby dowodzili pozostałymi galerami. Pierwszy z nich miał na imię Dilbar. Był wysokim, przystojnym mężczyzną o muskularnych ramionach i potężnych dłoniach. Od pierwszej chwili zwrócił moją szczególną uwagę i zaskarbił moją sympatię. Miał ciemne i przenikliwe oczy, a jego prawy policzek naznaczony był błyszczącą różową blizną od miecza. Nie odbierała ona niczego z jego przyjemnego wyglądu. Gdy wydał jakiś rozkaz, ludzie reagowali natychmiast i chętnie.

Dowódcą trzeciej galery był krępy mężczyzna o szerokich ramionach i byczym karku. Miał na imię Akemi. Był jowialnym mężczyzną odznaczającym się tubalnym głosem i zaraźliwym

śmiechem. Jego ulubioną bronią był topór z długim trzonkiem. Gdy żołnierze już się posilili, Akemi podszedł do mnie.

– Taito, panie mój – powiedział na powitanie. Gdy żołnierze użyli tego tytułu po raz pierwszy, zaprotestowałem, wskazując nieśmiało, że nie mam do niego prawa. Zignorowali moje protesty, a ja dłużej się nie upierałem. – Ludzie mnie pytali, czy dzisiejszego wieczoru zaszczycisz nas swoim śpiewem.

Mam wyjątkowy głos, a pod moimi palcami lutnia staje się niebiańskim narzędziem. Rzadko odmawiam tego rodzaju prośbom.

Na wieczór przed bitwą o Tamiat wybrałem *Lament królowej Lostris*. Jest to jedna z moich najślawniejszych kompozycji. Gdy zgromadzili się przy obozowym ognisku, odśpiewałem wszystkie sto pięćdziesiąt wersów. Najlepsi śpiewacy spośród nich wtórowali mi chórem, podczas gdy inni włączali się do refrenu, nucąc cicho. Pod koniec wśród słuchaczy było bardzo niewiele, którzy mieli suche oczy. Moje łzy w najmniejszym stopniu nie odjęły siły i piękna mojemu wykonaniu.

Następnego dnia przy pierwszych przebłyskach świtu nasz obóz był na nogach. Żołnierze mogli się już pozbyć beduińskich płaszczy i zawojów oraz otworzyć worki zawierające hyksoskie zbroje i broń. Większość zbroi zrobiono z wyściełanej skóry, ale hełmy miały kształt brązowych misiurek z metalowym ochroniaczem nosa. Wszyscy uzbrojeni byli w potężne zakrzywione łuki i kołczany pełne strzał z krzemiennymi grotami i lotkami z barwnych piór w stylu hyksoskim. Miecze nosili w pochwach przywiązanych rzemieniami do pleców, tak że ich rękojeści wystawały nad lewe ramię, gotowe do uchwycenia. Klingi z brązu nie były proste jak w przepisowej broni egipskiej, ale zakrzywione na wschodnią modłę.

Broń była zbyt ciężka, a zbroje zbyt gorące, aby ludzie mogli je mieć na sobie podczas wiosłowania w prażącym słońcu. Obwiązali zatem lędźwie opaskami, wyposażenie bitewne zaś złożyli na pokładzie, wciskając je między nogi pod wiosłarskie ławy.

Większość żołnierzy miała jasną cerę, a wielu z nich także jasne włosy. Kazałem im dotąd przyciemniać brody i skórę sadzą z ognisk, aż wszyscy staną się równie smagli, jak pierwszy lepszy z hyksoskich legionistów.

Nasze trzy zatłoczone galery odbiły od brzegu i wypłynęły na wiosłach z zatoki. Statek, na którym znalazłem się razem z Zarasem, przewodził pozostałym. Stałem na rufie obok sternika trzymającego długie wiosło sterowe. Od tego samego kupca

w porcie Uszu, który sprzedał mi galery, kupiłem też sporządzoną na papirusie mapę z zaznaczonymi szczegółami południowego wybrzeża Morza Śródziemnego między Gebel i Wadi al Nilam. Twierdził, że narysował mapę własnoręcznie na podstawie swoich obserwacji. Rozłożyłem ją teraz na pokładzie między stopami i przycisnąłem rogi kamieniami, które zabrałem z plaży. Prawie od razu zdołałem zidentyfikować kilka nierówności terenu na brzegu. Wydawało się, że moja mapa jest zachęcająco dokładna.

W porannych godzinach dwa razy dostrześliśmy na horyzoncie żagle innych statków, ale w obu wypadkach skręciliśmy ostro i ominęliśmy je z daleka. Potem, gdy słońce znalazło się wprost nad naszymi głowami, obserwator na dziobie wykrzyknął kolejne ostrzeżenie, wyciągając rękę przed siebie. Osłoniłem oczy i spojrzałem we wskazanym przez niego kierunku. Byłem zdziwiony, widząc, że powierzchnia morza wzdłuż całego horyzontu bieli się jak kipiela, jakby szedł na nas silny szkwał. Nie była to pora sztormów.

– Każ opuścić żagle! – rzuciłem do Zarasa. – Wiosła na pokład, miejcie też na dziobach kotwice morskie gotowe do rzucenia. – Gwałtownie burząca się woda pędziła w naszym kierunku, dlatego przywiązaliśmy takielunek, szykując się na atak wiatru. W miarę zbliżania się do naszych uszu kipiela morskiej zaczęły dochodzić coraz głośniejsze, grzmiące odgłosy.

Chwyciłem się mocno drewnianej pokrywy luku przede mną i zebrałem się w sobie. Sycząca woda dotarła do kadłuba. Ryk stał się ogłuszający, ludzie wykrzykiwali rozkazy i zaklęcia, podczas gdy spienione wody mknęły wzdłuż burt statku. Jednak ku mojemu zdziwieniu nie było wiatru. Nabrałem z miejsca pewności, że ten sztorm bez wichury jest zjawiskiem nadprzyrodzonym. Zamknąłem oczy i zacząłem śpiewać modlitwę do wielkiego boga Horusa, błagając go o wsparcie, i rękami przyłgnałem do uchwyty na pokrywie luku.

Po chwili poczułem na ramieniu rękę, która szarpała mnie gwałtownie, a jednocześnie usłyszałem głos wrzeszczący mi do

ucha. Wiedziałem, że to Zaras, ale nie otworzyłem oczu. Czekałem, aż bogowie zrobią ze mną to, co uznają za stosowne. Jednak Zaras szarpał mnie nadal, a ja wciąż pozostawałem przy życiu. Ostrożnie otworzyłem oczy, bezgłośnie się modląc. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, co Zaras do mnie krzyczy, i zaryzykowałem szybki rzut oka za burtę.

W morzu kłębiły się ogromne, lśniące cielska, które swym kształtem przypominały groty strzał. Potrzebowałem jeszcze chwili, by uświadomić sobie, że są to żywe stworzenia i że każde z nich ma co najmniej wielkość konia. Chodziło o gigantyczne ryby. Pływały obok siebie tak gęsto, że te na dole wypychały inne na powierzchnię w kłębowisku fal i bryzgów. Olbrzymia ławica rozciągała się jak okiem sięgnąć.

– Tuńczyki! – krzyczał do mnie Zaras. – To tuńczyki!

Górny Egipt jest krajem śródlądowym, toteż nigdy nie miałem okazji spędzić wystarczająco wiele czasu na otwartym morzu, żeby być świadkiem migracji podobnie wielkiego stada tuńczyków. Czytałem jednak tak dużo na ten temat, że powinienem był wiedzieć, co się dzieje. Zdałem sobie sprawę, że mogę narazić się na śmieszność, dlatego otworzyłem oczy i zawołałem równie głośno do Zarasa:

– Jasne, że to tuńczyki. Przygotuj harpuny!

Zauważyłem te łowieckie narzędzia, gdy po raz pierwszy wszedłem na pokład. Były złożone pod ławkami wioślarzy. Przypuszczałem, że używano ich do odpierania piratów i korsarzy, gdyby chcieli dostać się na pokład statku. Ich trzony prawie dwukrotnie przewyższały długością wzrost wysokiego mężczyzny, a ostrza wykonane były z ostrego jak brzytwa krzemienia. Za hakiem znajdowało się oko, do którego przywiązana była linka upleciona z włókna kokosowego. Na drugim końcu linki był uwiązany rzeźbiony drewniany pływak.

Rzuciłem wprawdzie rozkaz przygotowania harpunów, ale w typowy dla siebie sposób Zaras rzucił się do jego wykonania jako pierwszy. Jak zwykle chciał, żeby inni poszli za jego przykładem.

Chwycił jedno z długich narzędzi umocowane pod ławą wioślarską i rzucił się z nim do burty statku, odwiązując po drodze linkę zabezpieczającą. Wskoczył na nadburcie galery i z łatwością ułożył na swoim ramieniu trzon długiego harpuna, którego grot wycelowany był w lśniącą ławicę ryb mknącą obok statku niczym rzeka płynnego srebra. Tuńczyki wpatrywały się w niego wielkimi okrągłymi oczami, jakby wytrzeszczały je z przerażenia.

Przyglądałem się, jak zbiera siły, a potem rzuca harpun ostrzem w dół, celując w kłębiącą się pod nim płynną masę. Trzon ciężkiej broni zakołysał się, gdy grot uderzył w cel. Harpun znikł pod powierzchnią wody, zmieciony gwałtowną reakcją ogromnej ryby nadzianej na krzemienne ostrze.

Zaras zeskoczył na pokład i chwycił uciekającą chropowatą linkę, która znikła za burtą tak błyskawicznie, że jej kontury rozmazały się, a ona sama zaczęła dymić z powodu tarcia o drewnianą okrężnicę. Na pomoc skoczyło mu trzech ludzi z załogi. Chwycili linkę i zaczęli walczyć z potężną rybą, żeby ją zmusić do podpłynięcia pod burtę statku.

Za przykładem Zarasa poszło czterech innych żołnierzy, którzy wyciągnęli harpuna spod ław wioślarzy i podbiegli z nimi do nadburcia. Grupki ludzi po obu stronach galery zaczęły mocować się z masywnymi stworzeniami, pokrzykując z podniecenia, przeklinając i wydając bezsensowne polecenia.

Jedna po drugiej ryby zostały wyciągnięte na pokład i zatłuczone. Zanim ostatni z nadzianych na harpuna tuńczyków został uśmiercony i oprawiony, reszta potężnej ławicy znikła w głębinach równie nagle i tajemniczo, jak się pojawiła.

Tej nocy znowu wyszliśmy na brzeg i przy świetle płonących na plaży ognisk urządziliśmy sobie ucztę, opychając się soczystym mięsem tuńczyków. Jest ono najwyżej cenionym przysmakiem na wszystkich morzach. Przyprawialiśmy je zaledwie odrobiną soli. Niektórzy nie mogli się doczekać upieczonych ryb na węglach i pożerali je na surowo, jeszcze

ociekające krwią, a następnie popijali łykiem wina ze skórzanych bukłaków.

Byłem pewien, że to doda im sił i następnego ranka będą niecierpliwie wyczekiwać pojawienia się wroga. W przeciwieństwie do zboża czy innych mdłych pokarmów mięso budzi demony w sercu wojownika.

Tak więc tego wieczoru zaśpiewałem im *Balladę o Tanusie i błękitnym mieczu*. Jest to bitewny hymn Błękitnych Krokodyli, który mocno ich rozognił. Wszyscy przyłączyli się do chóralnych śpiewów, nie bacząc na szorstkie głosy, a gdy zapadła cisza, w ich oczach dostrzegałem groźne wojownicze błyski. Byli gotowi na spotkanie z każdym wrogiem.

Nazajutrz wczesnym rankiem, gdy tylko światło budzącego się dnia pozwalało dostrzec podwodne rafy i znaleźć bezpieczną drogę między nimi, zepchnęliśmy galery znowu na wodę.

Im bardziej zbliżaliśmy się do licznych odgałęzień delty Nilu, tym byłem pewniejszy naszego położenia, aż w końcu późnym popołudniem znaleźliśmy się na wysokości ujścia, które od wschodu ograniczał niski porośnięty lasem cypel, a od zachodu odkryty mulisty brzeg. Na wcinającym się w morze cyplu widać było ruinę wieży wzniesionej z pobielonych wapnem cegieł z rzeczno-mulnego mułu. Dach wieży zawalił się, podobnie jak prawie cała ściana od strony morza. Jednak większa część konstrukcji ciągle stała, upewniając mnie, że jest to znak nawigacyjny wskazujący wylot kanału prowadzącego do Tamiatu, prawdopodobnie wzniesiony w tym miejscu przez jakiegoś dawno zmarłego egipskiego żeglarza.

Podbiegłem do jednego z masztów i wspiąłem się po nim aż do ustawionej ukośnie rei trójkątnego żagla. Usiadłem na niej, oplatając ją nogami i obejmując maszt. Z tej wysokości miałem wyraźny widok na wszystko, co znajdowało się w głębi lądu, i natychmiast odróżniłem kanciaste zarysy budowli wzniesionej ludzkimi rękami, którą widać było w oddali nad wierzchołkami drzew. Była pobielona wapnem, podobnie jak znak przy wejściu do kanału. Nie miałem wątpliwości, że jest to wieża obserwacyjna handlowego fortu i minojskiego skarbcza, którego

szukaliśmy. Ześlizgnąłem się z powrotem na dół po maszcie i gdy tylko dotknąłem stopami pokładu, krzyknąłem do sternika:

– Podnieś wiosło sterowe! Obróć je o trzy kreski na prawą burzę! – Zaras podszedł do miejsca, w którym stałem.

– Tak? – zapytał. Zazwyczaj wesoły i towarzyski, w takich chwilach staje się człowiekiem podejmującym błyskawiczne decyzje i reagującym jeszcze szybciej.

– Tak – przytaknąłem i posłałem mu krótki chłodny uśmiech, jednocześnie kiwając głową sternikowi, żeby potwierdzić mój rozkaz. Zawróciliśmy w stronę otwartego morza. Pozostałe dwie galery popłynęły za nami. Zaczęliśmy ukośnym kursem oddalać się od brzegu. Jednak zaledwie minęliśmy następny cypel i znaleźliśmy się w miejscu osłoniętym przed wzrokiem ewentualnych wartowników na wieży fortu Tamiat, nakazałem kolejną zmianę kursu. Zawróciliśmy i popłynęliśmy prosto w kierunku błotnistej labiryntu delty.

Wiedziałem z mapy, gdzie znajdę miejsce, które wyglądało na pewne kotwicowisko. Opuściliśmy maszty i złożyliśmy je płasko na pokładach, przeciskając się jednocześnie przez gęste zarośla papirusu i wysokich trzcin w stronę płytkich wód wybranego przeze mnie rozlewiska. Tutaj byliśmy całkowicie osłonięci przez obfitą roślinność. Zakotwiczyliśmy nasze statki w odległości jednej długości od siebie, mając kile tuż nad błotnistym dnem. Mogliśmy brodzić między nimi w płytkiej wodzie, która w najgłębszych miejscach sięgała nam tylko do podbródków.

O zachodzie słońca, kiedy na niebie pokazał się wschodzący księżyc, ludzie posilili się tym, co zostało z pieczonych połci tuńczyków. Zaras przechodził spokojnie od galery do galery, żeby wybrać ośmiu najlepszych żołnierzy i zapowiedzieć im, by przed świtem następnego ranka byli gotowi do udziału w rekonesansie.

Godzinę przed wschodem słońca wsiedliśmy do dwóch łódek, które ciągnęliśmy na holu za galerami. Powiosłowaliśmy przez szerokie rozlewisko do miejsca położonego najbliżej cypla, na którym stała strażnicza wieża fortu.

W ciemności słyhać było krzyki lecących nad naszymi głowami bagiennych ptaków i szelest ich skrzydeł. Kiedy zrobiło się widniej, mogłem już odróżnić w powietrzu długie rzędy wodnego ptactwa, które ciągnęło kluczami na tle rozjaśniającego się nieba. Były tu dzikie kaczki i gęsi, bociany, czaple i żurawie z długimi szyjami i wyciągniętymi do tyłu nogami, ibisy, białe egretty i chyba więcej niż pięćdziesiąt jeszcze innych gatunków. Podnosiły się wielkimi stadami z powierzchni wody, spłoszone naszymi wiosłami. W końcu zza widnokregu wyłoniło się słońce i naszym oczom ukazały się rozległe obszary otaczającej nas delty, dzikiego i bezludnego miejsca, nienadającego się na ludzkie siedziby.

Gdy w końcu dotarliśmy do twardszej ziemi, musieliśmy przeciągnąć łódki przez płycizny i ukryć je w trzcinach. Nie byłem pewien położenia fortu oraz jego otoczenia, dlatego przedzieraliśmy się po omacku przez gęste trzciny, starając się zachowywać jak najostrożniej.

Nagle wyszliśmy na brzeg głębokiego kanału, który przecinał ściany papirusu z południa ku północy, w kierunku otwartych wód Morza Śródziemnego. Miał szerokość około stu pięćdziesięciu kroków i w mojej ocenie był zbyt głęboki, aby można go było przebyć, brodząc po dnie. Po jego przeciwnej stronie zobaczyłem płaski dach wieży obserwacyjnej, którą zauważyliśmy poprzedniego dnia. Nad flankami pokazały się hełmy co najmniej trzech wartowników, którzy najwyraźniej obchodzili swoje rewiry.

Raptem usłyszałem odgłosy statku, nadpływającego kanałem od strony morza w kierunku miejsca, w którym się zaszliśmy. Ostrzegłem moich towarzyszy, żeby zachowali ciszę. Skrzypienie takielunku, okrzyki żeglarza, który stał na dziobie i sondował dno, oraz głucho łomotanie wiosła w dulkach rosły ciągle, aż nagle zza zakrętu kanału wyłonił się ogromny morski statek.

Nigdy dotąd nie widziałem okrętu tego typu ani rozmiarów, ale na podstawie opisów, jakie przysyłali mi moi szpiedzy,

domyśliłem się, że jest to kreteńska triera. Był to zarazem okręt handlowy i wojenny. Miał trzy pokłady i trzy rzędy wiosł.

Długi ostry dziób wzmocniono kutymi blachami z brązu, służącymi do taranowania nieprzyjacielskich statków. Dwa maszty umożliwiały podniesienie dużej powierzchni żagli, chociaż teraz, gdy przeciskał się wąskim kanałem na wiosłach, były one zwinięte. Okręt prezentował się pięknie, urzekając długimi czystymi liniami i wysoką rufą. Patrząc na niego, nietrudno było zrozumieć, dlaczego Kreta stała się największą potęgą morską w świecie. Był to najszybszy i najpotężniejszy okręt ze wszystkich, jakie pływały po morzach. Chociaż widać było, że jest mocno obciążony i płynie głęboko zanurzony w wodzie, żadna inna jednostka nie mogłaby rzucić mu wyzwania. Obserwując go, zastanawiałem się, jaki ładunek wiezie w ładowniach.

Kiedy znalazł się naprzeciwko naszej kryjówki w trzcinach, mogłem przyjrzeć się jego dowódcom. Trzech z nich stało na rufie obok czterech ludzi z załogi, którzy manipulowali długim wiosłem sterowym. Chociaż blachy chroniące policzki zasłaniały większą część ich twarzy, sprawiali wrażenie, że są wyżsi i silniejsi niż przeciętni Egipcjanie. Zauważyłem też, że spody ich tunik sporządzone są z najcieńszego płótna lnianego, a broń ślicznie grawerowana i polerowana. Wyglądali bardziej na wojowników niż na kupców.

Gdy okręt przepłynął obok nas do miejsca, w którym leżeliśmy, z podmuchem wiatru doleciał ciągnący się za nim smrodek. Wiedziałem, że górny rząd wiosł obsługiwany jest przez ludzi z załogi, którzy byli raczej wojownikami niż zwykłą siłą roboczą. Na rozkaz kapitana mogli zerwać się z ławy wiosłarskiej i chwycić za broń leżącą u ich stóp. Walczyli jak żołnierze i uczestniczyli w podziale łupów.

Jednakże niższe rzędy ław zajmowali niewolnicy przykuci do drewnianego poszycia pokładu. Zapach, jaki poczułem, pochodził od tych nieszczęśników, którzy cały swój żywot spędzali na

ławach. Wiosłowali, spali, jedli, wypróżniali się i w końcu umierali tam, gdzie ich posadzono.

Kreteńska galera przemknęła przed nami i niedługo potem usłyszeliśmy głośnie rozkazy rzucane przez oficerów. Wiosła z górnego rzędu podniosły się z wody niczym skrzydła srebrnej mewy, a potem zostały złożone na pokładzie, i tylko dolne rzędy nadal zanurzały się i popychały okręt delikatnymi pociągnięciami, w miarę jak skręcał w ostatni odcinek kanału i kierował się w stronę lśniących białą ścian fortu przeświecających w oddali między kołyszącymi się czubkami gąszczy papirusów.

Wtedy zdarzył się najbardziej niezwykły wypadek, coś, na co kompletnie nie byłem przygotowany. Zza zakrętu kanału wyłonił się drugi okręt, niemal identyczny z pierwszym, i przepłynął na wiosłach przed miejscem, w którym się przyczailiśmy. Był równie głęboko zanurzony w wodzie, najwyraźniej wiozł ciężki ładunek.

Wreszcie ku memu najwyższemu zdumieniu i zadowoleniu kanałem nadpłynęła trzecia ciężko wyładowana triera i także przepłynęła koło nas. Podążała za dwoma siostrzanymi statkami w kierunku fortu.

Uświadomiłem sobie, co właściwie się wydarzyło. Trzy miesiące wcześniej zostałem poinformowany przez moich szpiegów, że w Aggaferze, głównym porcie Krety, szykowane są do wypłynięcia na morze trzy statki skarbcze. Minęło jednak wiele miesięcy, zanim ta informacja do mnie dotarła. W tym czasie jakieś nieprzewidziane okoliczności musiały spowodować odłożenie wypłynięcia konwoju. Najbardziej prawdopodobną przyczyną mogły być niekorzystne warunki pogodowe. Szpiegdy nie byli w stanie ostrzec mnie na czas o tym opóźnieniu.

Spodziewałem się, że dotrę do fortu Tamiat długo po przybyciu konwoju, wyładowaniu ładunku i wyruszeniu w powrotną drogę do Aggaferu.

Szansa, że zjawię się w Tamiacie dokładnie w tym samym momencie, co konwój ze skarbem, były tak niewielkie, że

musiało się to stać za sprawą boskiej interwencji. Od młodych lat wiedziałem, że jestem ulubieńcem bogów, zwłaszcza wielkiego boga Horusa, do którego się modłę. Bo inaczej jak mógłbym zostać obdarowany od urodzenia tak wieloma talentami i cnotami? Jak zdołałbym przeżyć tyle straszliwych zagrożeń i śmiertelnych pułapek, w których mniej ważna istota z całą pewnością by zginęła? Jak inaczej mógłbym zachować tak młody wygląd, urodę i umysłową bystrość, gdy wszystkim wokół robią się zmarszczki, siwieją włosy i dotyka ich wynikająca z wieku słabość? Jest we mnie coś, co odróżnia mnie od pozostałych śmiertelników.

Był to jeszcze jeden przykład łaski i wyrozumiałości Horusa. Podziękowałem mu szeptem i przysiągłem, że przy najbliższej okazji złożę mu hojną ofiarę. A potem podpełzłem bliżej do miejsca, w którym leżał Zaras, i pociągnąłem go za rękaw.

– Muszę przeprowić się przez kanał, by znaleźć się bliżej kreteńskiego fortu – powiedziałem. W naszym ukochanym Egipcie mamy do czynienia z dwiema zagadkami, z którymi nigdy nie mogłem dojść do ładu. Pierwsza polega na tym, że chociaż używamy konia jako zwierzęcia jucznego oraz wozu jako naszej głównej broni bitewnej, prawie żaden Egipcjanin nigdy nie wsiądzie na grzbiet rumaka, żeby na nim pogalopować. Drugą zagadką jest to, że choć żyjemy nad brzegami potężnej rzeki, prawie żaden Egipcjanin nie umie pływać. Jeśli zapytacie któregoś z nich dlaczego, zazwyczaj wzruszy ramionami i odpowie:

– Bogowie marszczą brwi, widząc takie nieokrzesane zachowanie.

Jak powiedziałem wcześniej, nie jestem taki jak inni. Waham się, czy mógłbym powiedzieć, że góruję nad nimi pod każdym względem. Wystarczy wspomnieć, że jestem zarówno doświadczonym jeźdźcem, jak i silnym, niezmordowanym pływakiem.

Wiedziałem, że Zaras nie ma żadnej z tych umiejętności, chociaż muszę oddać mu pełną sprawiedliwość i zaznaczyć, że

nigdy nie widziałem go w opałach, kiedy ma w ręku wodze zaprzęgu. Tak więc kazałem mu zabrać ze sobą pływak z kory drzewa korkowego, żeby mógł utrzymać się na powierzchni. Obaj rozebraliśmy się, pozostawiając tylko opaski na biodrach, i weszliśmy do kanału. Zaras przywiązał swój miecz do pływaka. Ja umieściłem mój na plecach. Zaras sapał i prychał jak hipopotam, podczas gdy ja płynąłem jak foka i dotarłem do przeciwległego brzegu kanału, zanim on dopłynął na jego środek.

Gdy zdołał wreszcie dokończyć przeprawę, pomogłem mu wydostać się na brzeg. Kiedy już odzyskał oddech, podpełzliśmy skrycie przez trzciny w kierunku kreteńskiego fortu. Po zajęciu pozycji, z której rozciągał się dobry widok na potężną budowlę, uświadomiłem sobie, dlaczego Kreteńczycy wybrali to miejsce. Znajdowało się ono w najwyższym punkcie wąskiego grzbietu wapiennej skały, wcinającej się w miękkie tereny napływowe i zapewniającej mocne oparcie, na którym mogli wznieść swoją fortecę.

Ten wapienny jęczor dzielił nurt głównego kanału, tworząc naturalną fosę dookoła fortu. W stworzonym przez zakole rzeki basenie, u stóp twierdzy, cumowało kilka, a może kilkanaście różnego rodzaju statków. Większość z nich stanowiły zwykłe barki, których, jak przypuszczałem, Kreteńczycy używali do przewożenia budulca. Nie było wśród nich ani jednej jednostki morskiej. Wyjątek stanowiły trzy wspaniałe trójrzędowce, które widzieliśmy płynące przed chwilą. Wszystkie stały nie na kotwicy w basenie, ale były już zacumowane przy kamiennym nabrzeżu bezpośrednio poniżej głównej bramy fortu Tamiat. Brama była szeroko otwarta, a na nabrzeżu zgromadzili się umundurowani żołnierze, którzy witali nowo przybyłych. Na widok hełmów z pióropuszcami i złotych ozdób, jakimi się pysznili, domyśliłem się, że wielu z nich to wysokiej rangi oficerowie.

W czasie, jaki wspólnie z Zarasem poświęciliśmy na przepłynięcie kanału oraz dotarcie do tego miejsca, załoga pierwszej triery zdjęła już pokrywy luków i sznur półnagich

niewolników zaczął właśnie rozładunek statku. Niewolnicy pracowali pod okiem ubranych w półbroje i uzbrojonych w krótkie miecze nadzorców. Wszyscy dzierżyli bicz z plecionych rzemieni z surowej skóry.

Niewolnicy przenosili po kładkach na brzeg identyczne drewniane skrzynie. Mimo iż nie były one duże, najwidoczniej musiały być ciężkie, bo uginali się pod ich ciężarem. Rozładowywanie przebiegało zbyt wolno, aby zadowolić nadzorców, którzy coś tam perorowali i wygłaszali do pracującej gromady.

Na naszych oczach jeden z niewolników potknął się, schodząc z kładki na nabrzeże. Upadł ciężko i wypuścił skrzynię, która chwiała się na jego głowie. Uderzyła o kamienne płyty nabrzeża i otworzyła się.

Poczułem przyspieszone bicie serca na widok błysków promieni słońca odbijających się od metalicznych powierzchni sztabek srebra, które wysypały się na nabrzeże. Sztabki były małe i prostokątne, nie dłuższe niż męska dłoń. W skrzynce mieściło się ich dwadzieścia lub więcej. Najprawdopodobniej jedna skrzynka tych sztabek wystarczyłaby na zbudowanie takiej triery, która wiozła je przez Morze Śródziemne. Wszystkie moje nadzieje i oczekiwania zostały zaspokojone. Jak się spodziewałem, znalazł się tu ogromny skarb.

Trzej nadzorcy otoczyli kołem leżącego niewolnika i z zadowoleniem zaczęli unosić swoje baty wysoko nad głowę, smagając rzemieniami błyszczącą od potu skórę. Mężczyzna wrzasnął i zaczął wykręcać się na wszystkie strony, starając się osłonić rękami głowę. Jeden z rzemieni trafił go w twarz i wyrwał mu gałkę oczną z prawego oczodołu. Zawisła na wiązce nerwów, kołysząc się na jego policzku, gdy nieszczęśnik zaczął kręcić głową w obie strony. W końcu upadł zemdłony, niezdolny już, żeby się osłonić. Jeden z oprawców podszedł i chwycił leżącego na plecach za pięty, a potem odciągnął go na krawędź nabrzeża i zepchnął do rzeki. Ciało chlupnęło w wodę i prędko zatoneło, znikając pod błotnistą powierzchnią.

Pozostali niewolnicy zareagowali od razu na krzyki nadzorców i trzaskanie ich batów. Rząd półnagich mężczyzn poruszył się znowu, ślaniając się pod ciężarem skrzynek, jakby praca nie została przerwana ani na chwilę.

Klepnąłem Zarasa w ramię, żeby zwrócić jego uwagę, a potem obaj odpełzliśmy z powrotem w głąb trzcin. Gdy byliśmy już bezpiecznie osłonięci, poprowadziłem go w stronę przeciwnego krańca fortu, znajdującego się na brzegu drugiej odnogi rzeki. Przez mniej więcej godzinę manewrowałem ostrożnie, zanim udało mi się znaleźć dobre miejsce, z którego mogłem mieć widok na strategiczny rozkład fortu i jego otoczenia. Teraz byłem już w stanie osobiście zweryfikować raporty dostarczane mi przez szpiegów.

Chociaż mury fortu były potężne i prawdopodobnie nie do pokonania, zamykała się w nich niezbyt wielka przestrzeń. Dostępna powierzchnia na skalnym grzebieniu była mocno ograniczona i wystarczyła jedynie na wzniesienie samego skarbcza oraz baraków służących za koszary dla oddziału straży, której zadaniem było odparcie ewentualnej próby lądowania jakiejś niewielkiej grupy napastników przybyłych kanałem od strony morza.

Najwyraźniej jednak Kreteńczycy też byli świadomi tego, że muszą mieć pod ręką dużo potężniejszą armię złożoną z kilku tysięcy ludzi, żeby oprzeć się każdemu większemu oddziałowi wroga, który mógł wylądować na wybrzeżu i pomaszerować w głąb lądu, żeby przypościć bardziej zdecydowany szturm na twierdzę. Rozwiązali ten problem, przerzucając most pontonowy przez obie odnogi kanału po to, aby ich wojska obronne mogły szybko dotrzeć z obu brzegów do fortu osadzonego na wyspie pośrodku rzeki.

Z miejsca, w którym leżałem, miałem dobry widok na płaski i suchy teren położony po drugiej stronie wschodniej odnogi kanału. To tam Kreteńczycy zbudowali ufortyfikowany obóz, który był miejscem skoszarowania głównego korpusu ich armii. Otoczyli go obronną palisadą z zaostrzonych pali, których

wysokość dwukrotnie przewyższała wzrost przeciętnego mężczyzny. Obliczyłem, że obóz może pomieścić dwa albo trzy tysiące żołnierzy.

W każdym z czterech rogów kwadratowego obozu stała wieża obserwacyjna. Zauważyłem też, że dachy budynków wewnątrz palisady pokryte są grubą warstwą czarnego mułu z brzegu rzeki, który wysechł i stwardniał. Zapewniał osłonę przed strzałami zapalającymi, jakie nieprzyjaciel mógł miotać nad palisadą.

Od bramy umieszczonej w zwróconym ku rzece boku obozu Kreteńczycy poprowadzili korytarz osłonięty ścianami z wysuszonych cegieł z czarnego mułu, dochodzący do krańca mostu pontonowego. Miał on chronić ich wojsko przed strzałami wroga, gdy robili wypad z obozu.

Za pontony podtrzymujące most posłużyły im barkasy zakotwiczone burta przy burcie w poprzek obu kanałów rzeki. Oparli na nich przejście zbite z ociosanych desek. Most umożliwiał dużej liczbie żołnierzy szybkie dotarcie z obozu tam, gdzie akurat mogli być potrzebni.

– Szczegółowo zaplanowali to wszystko – zauważył Zaras, przyglądając się fortyfikacjom.

– Z tego właśnie Kreteńczycy słyną najbardziej... z dokładności – przytaknąłem, wciąż jednak badałem teren, szukając jakichkolwiek słabych punktów w ich urządzeniach obronnych. Mimo usilnych starań znalazłem tylko jeden. Był nim most pontonowy, ale ufałem, że będę umiał go wykorzystać.

Przeniosłem moją uwagę z powrotem na nabrzeże, gdzie wciąż cumowały trzy wielkie triery. Zastanowił mnie sposób, w jaki Kreteńczycy rozładowywali pierwszy statek. Doszedłem do wniosku, że robią to niezbyt sprawnie. Gdyby mnie obarczono takim zadaniem, ustawiłbym nad otwartymi lukami trójnogi, na nich zawiesiłbym bloki i za ich pomocą podnosiłbym umieszczone na paletach skrzynki ze srebrem do poziomu pokładu. Tam czekałyby już na nie wózki, które przewoziłyby ładunek przez nabrzeże do bramy fortu.

Kreteńscy niewolnicy wnosili każdą skrzynkę po drabinie z dna ładowni na główny pokład. W tym tempie rozładowanie każdego ze statków zajmie im kilka dni.

Ogarnął mnie niepokój. Nie uświadamiałem sobie w pełni ogromu zadania, które sobie postawiłem, dopóki nie zobaczyłem na własne oczy, jak to wygląda z bliska. Łatwo było mówić o przejęciu setek lakhów w sztabkach srebra, ale sprawa zaczęła się przedstawiać zupełnie inaczej, gdy zapoznałem się z fizyczną wagą takiego skarbu i uświadomiłem sobie problem zawładnięcia nim oraz przetransportowania go przez setki mil po morzu, górach i pustyni w sytuacji, gdy ścigałaby mnie mściwa armia.

Zacząłem się martwić, że podjąłem się nierealnej misji, i pomyślałem ze smutkiem, że nawet gdybym położył rękę na tak dużym ładunku, być może jedynym rozwiązaniem byłoby wywieźć go na głębokie wody Morza Śródziemnego i tam wyrzucić za burtę, aby znalazł się na wieki poza zasięgiem zarówno króla Beona, jak i Najwyższego Minosa.

Ze wszystkimi moimi ludźmi, jacy zdołaliby ująć z życiem przed gniewem Kreteńczyków, mógłbym uciec z powrotem do bezpiecznych Teb. Być może później udałoby się przekonać Najwyższego Minosa, że winowajcą jest król Beon, ale miałem co do tego wątpliwości.

Rozwiązanie nie przyszło mi do głowy od razu i nawet ja musiałem zmagać się z problemem przez prawie godzinę, leżąc z Zarasem w papirusowej gęstwinie. A potem nagle doznałem olśnienia, które uderzyło mnie jak piorun. Pomysł był tak genialny, że nawet ja zdumiałem się jego pięknem.

Przyszło mi do głowy, żeby od razu wyjaśnić wszystko Zarasowi, ale potem doszedłem do wniosku, że lepiej będzie nie przytłaczać go czymś tak prostym, a zarazem tak diabelsko skomplikowanym.

Spojrzałem w górę na słońce. Jakiś czas temu dobiegło zenitu, a teraz zaczęło się zniżać i było już w połowie drogi do widnokręgu. Rzuciłem znowu okiem na trzy statki ze skarbem

i myślę, że się szeroko uśmiechnąłem. Wyczułem, że Zaras intensywnie mi się przygląda. Domyślił się, jak sędzę, że w końcu jestem na tropie jakiegoś rozwiązania, i niecierpliwie czekał na moje rozkazy, na których wyjawienie nie byłem jeszcze gotowy.

– Wystarczy! – powiedziałem. – Idziemy stąd.

– Dokąd, Taito?

– Z powrotem do naszych łodzi. Mamy do wykonania mnóstwo pracy, zanim zapadnie noc.

Słońce już zachodziło, gdy w końcu udało się nam przepłynąć i przebrnąć z powrotem do miejsca, gdzie zostawiliśmy nasze trzy małe galery. Na nasz widok ludzie nie posiadali się z radości. Jak myślę, doszli do wniosku, że zostaliśmy wykryci i uśmierceni przez wroga, a oni pozostali bez dowódcy, zdani na własne ograniczone możliwości. Podbiegli, żeby wysłuchać rozkazów.

Pierwsze z wielu wyzwania, jakie miałem przed sobą, polegało na przerzuceniu okrytych zbroją i dźwigających ciężkie uzbrojenie ludzi, z których prawie żaden nie umiał pływać, przez głębokie kanały rzeczne w pobliżu fortu.

W tym celu wybrałem najmniejszą i najlżejszą z naszych trzech galer. Potem kazałem żołnierzom pozdejmować z pozostałych dwóch kadłubów liny i inne luźne elementy takielunku, które mogły się nam przydać. Zastanawiałem się, czy nie spalić obu łodzi, ale Kreteńczycy z pewnością dostrzegliby dym i wysłali ludzi, żeby sprawdzić, skąd się wziął. Poleciałem więc tylko przedziurawić ich dna i zatopić je w najgłębszej części.

Potem przeciągnęliśmy wybraną przeze mnie łódź przez płycizny do wschodniego brzegu, położonego bliżej fortu. Potrzebowałem wszystkich moich ludzi, żeby przeciągnąć ją po suchym gruncie do kanału rzecznoego. Kazałem im przywiązać liny kotwiczne zabrane z obu zatopionych łodzi do dziobu tej, którą ciągnęliśmy.

Gdy stu ludzi pociągnęło za każdą z nich, kil łodzi zadziałał jak płoza i kadłub prześlizgnął się dość łatwo po papirusowych

łodygach, które spłaszczyły się pod jego ciężarem. Mimo wszystko musieliśmy pokonać prawie pół mili łądu, zanim dotarliśmy do kanału. Dochodziła już północ i prawie pełny księżyc wisiał już wysoko na niebie.

Dałem ludziom kilka minut na krótki odpoczynek na brzegu oraz na wdzianie zbroi i przełknięcie zimnego posiłku. Potem owinęliśmy szmatami wiosła i zabierając za każdym razem po pięćdziesiąt osób, przeprawiliśmy się przez kanał. Gdy wszyscy znaleźli się po jego drugiej stronie, podzieliłem oddział na dwie grupy.

Większą z nich, liczącą blisko sto pięćdziesiąt osób, posłałem pod dowództwem Zarasa, żeby przekradła się przez pola trzcinowe i podeszła możliwie najbliżej do głównej bramy fortu, nie narażając się na wykrycie przez strażę. Mieli się ukryć i czekać na mój sygnał.

Zanim wyruszyli, wyjaśniłem Zarasowi mój plan. Zamierzałem popłynąć galerą z pięćdziesięcioosobową załogą. Chciałem zaatakować i zniszczyć most pontonowy, który łączył główny obóz wroga z wyspą, na której stał skarbiec. Zanim się rozstaliśmy, ucisnąłem krótko Zarasa i powtórzyłem rozkazy, żeby nie doszło do żadnego nieporozumienia.

Kiedy wyruszyli, wszedłem na pokład czekającej galery i rzuciłem wiosłarzom rozkaz, żeby wzięli się energicznie do wiosła. Nurt był szybki i silny, ale przyłożyli się krzepko i trzymając się brzegu położonego dalej od fortu, osiągnęliśmy niezłą prędkość, płynąc pod prąd. Niebawem mogliśmy już dostrzec pobieloną wapnem wieżę połyskującą w świetle księżyca. Jej widok zachęcił załogę do jeszcze większego wysiłku.

Pokonaliśmy ostatni zakręt kanału i fort znalazł się przed nami. Trzy triery stały tam, gdzie je ostatnio widziałem, przycumowane do kamiennego nabrzeża. Księżyc świecił wystarczająco jasno, żebym mógł stwierdzić, że dwie z nich zanurzają się głęboko w wodzie, nadal obciążone ładunkiem sztab srebra. Trzecia triera była bardziej wynurzona. Duża część jej ładunku musiała zostać przeniesiona na brzeg. Jednak

sądziłem, że w jej ładowniach znajduje się jeszcze przeszło połowa skrzynek ze skarbem.

Nigdzie nie było widać kreteńskich straży. Na żadnym z wielkich statków nie dostrzegłem palących się lamp. Jednakże przy jednym z końców nabrzeża rozpalono ognisko, a po obu stronach bramy fortu paliły się pochodnie wetknięte w uchwyty.

Zdjąłem z głowy hełm z brązu i położyłem go na kolanach. Potem poprawiłem jasnożółtą tkaninę, którą obwiązałem wokół szyi, żeby zasłonić dolną połowę twarzy. Jest to nadzwyczajny rodzaj tkaniny zwanej jedwabiem. Jest niezmiernie rzadka i trzeba za nią zapłacić sto razy więcej srebra, niż wynosi jej waga. Pochodzi z kraju położonego na końcu świata, gdzie przedają ją nie ludzie, ale robaki. Posiada magiczne właściwości – jest w stanie odpędzić złe czary i takie choroby, jak pomór i żółta febra. Teraz użyłem jej zwyczajnie po to, aby zasłonić twarz.

Mam charakterystyczne rysy i nie chciałem ryzykować rozpoznania, czy to przez przyjaciela, czy przez wroga. Piękno ma swoją cenę. Moje oblicze jest prawdopodobnie najbardziej znane w cywilizowanym świecie, to znaczy w Egipcie, zaraz po twarzy faraona. Ponownie włożyłem hełm i stałem się człowiekiem bez twarzy wśród innych pozbawionych twarzy ludzi.

Gdy podpłynęliśmy bliżej nabrzeża, płomienie pochodni rzucały wystarczająco wiele migocących blasków, abym mógł dojrzeć owinięte w koce sylwetki wartowników, którzy przykucnęli tuż obok ognia.

Było dla mnie rzeczą oczywistą, że kreteńscy oficerowie nie chcą spędzać nocy w zatłoczonym forcie ze wszystkimi swoimi ludźmi. Po zapadnięciu zmroku musieli zabrać większość żołnierzy i udać się wraz z nimi przez most do starannie zbudowanego obozu po drugiej stronie kanału z myślą o czekających tam wygodach. Odpowiadało to moim zamiarom.

Trzymając się najdalej od nabrzeża, jak tylko kanał na to pozwalał, wiosłowaliśmy spokojnie obok przycumowanych galer i majaczących nad nami ścian fortu. Gdy zostawiliśmy je za sobą,

mogłem już dojrzeć przed nami rząd barkasów podtrzymujących most pontonowy przerzucony nad kanałem.

Wiosłowaliśmy dalej, aż według mojej oceny znaleźliśmy się co najmniej dwieście lub trzysta kroków w górę rzeki za mostem. Skierowałem naszą łódź w poprzek prądu i obróciłem jej dziób w sam środek długiego i wąskiego mostu pontonowego. Rzuciłem wiosłarzom cichy rozkaz, żeby przestali wiosłować i złożyli wiosła na pokładzie, po czym poddaliśmy się prądowi, który poniósł nas w kierunku środkowych barkasów.

W ostatniej chwili pociągnąłem za ster, żeby obrócić łódź bokiem do mostu, po czym zatrzymaliśmy się, mając prawą burzę mocno dociśniętą przez prąd do drewnianej przeprawy.

Moi ludzie już na to czekali. Dwie małe grupki, po trzech każda, skoczyły z dziobu i rufy naszej łodzi i mocno przywiązały ją do mostu. Reszta, uzbrojona w topory i miecze, błyskawicznie przedostała się na pontony. Nie czekając na dalsze rozkazy, zaczęli ciąć liny łączące ze sobą długi rząd barkasów.

Odgłosy uderzeń z pewnością poniosły się przez kanał do obozu na jego przeciwległym brzegu, gdyż niemal od razu usłyszeliśmy bębny Kreteńczyków bijące na alarm. W obozie rozpętało się piekło; naszych uszu dobiegły głośne rozkazy podoficerów, szczęk i dzwonienie broni o tarcze, grzechotanie zbroi i walenie bębnow. A potem błysnęły światła, ponieważ zapalono pochodnie i odblaski płomieni zaczęły się odbijać od polerowanych metalowych tarczy i napierśników.

Z wylotu przejścia prowadzącego od palisadowej ściany obozu do mostu wysypała się długa kolumna biegnącej truchtem piechoty. Kreteńczycy wbiegli czwórkami na wąski most, który zachwiał się i zakołysał pod nabijanymi ćwiekami podeszwami ich sandałów.

Prędko pierwszy szereg wroga natarł na naszych żołnierzy zajętych niszczeniem mocowań, gdy ich sylwetki zamajaczyły w świetle pochodni. Liny między pontonami opierały się ciągle siekierom moich ludzi. Gdy kreteńscy żołnierze znaleźli się zaledwie pięćdziesiąt kroków od nas, usłyszałem, jak jeden

z dowodzących natarciem oficerów rzuca głośny rozkaz. Nie rozumiałem języka, ale natychmiast pojąłem, co on oznacza.

Nie wstrzymując biegu po kładce, kreteńscy piechurzy z pierwszych szeregów odchyliłi się do tyłu i w naszą stronę poleciały oszczepy. Ciężkie pociski spadły między tych, którzy ciągle walili toporami w wiązania łączące rząd barkasów. Zobaczyłem, jak oszczep uderzył w plecy jednego z moich towarzyszy i przedziurawił go tak, że grot wyszedł na dobre dwa łokcie z jego piersi. Nieszczęśnik runął za burtę barkasa, na której wcześniej starał się utrzymać równowagę, i został wessany przez czarną wodę. Żaden z jego zajętych robotą kolegów nawet nie rzucił na niego okiem. Nadal zawzięcie machali toporami, starając się przeciąć liny konopne wiążące pontony.

Usłyszałem ostry trzask ustępującej liny, a potem zgrzytanie i trzeszczenie listew trących o siebie kadłubów, gdy zaczęły pękać następne wiązania przytrzymujące barkasy.

Most zaczął się w końcu rozpadać. Ale jego oddzielone już połowy ciągle przytrzymała nasza łódź, która była do nich przywiązana. Zacząłem dziko wrzeszczeć do moich chłopców, żeby wrócili na pokład. Oczywiście, nie chodziło mi o zabezpieczenie mojej osoby. Jedynym moim zmartwieniem było ich bezpieczeństwo.

Po pontonowej kładce nadbiegali ciągle niepowstrzymanym potokiem Kreteńczycy w zbrojach. Nacierali zbitą falangą, rycząc wyzywająco i miotając oszczepy. Moi ludzie gramolili się z powrotem do naszej małej łodzi i chowali przed pociskami, które uderzały w listwy naszego kadłuba.

Zacząłem krzyczeć, żeby jeden z nich przeciął liny, którymi ciągle byliśmy połączeni ze środkową częścią mostu. Moje wołania utonęły w zgiełku. Nie słyszałem nawet własnego głosu. Wyrwałem topór z rąk jednego z moich ludzi, który skulił się na dnie łodzi, i pobiegłem do dziobu.

Po kładce biegł w moją stronę Kreteńczyk. Obaj w tym samym momencie dotarliśmy do dziobu łodzi. Kreteńczyk rzucił oszczepem i próbował dobyć miecza, który zdawał się utknąć

w pochwie. Wyciągnął go, gdy znaleźliśmy się naprzeciwko siebie.

Zauważyłem, że się uśmiecha. Myślał, że ma mnie w garści i że za chwilę mnie zabije. Zamachnął się mieczem, celując w moją pierś, ale zobaczyłem ten zamiar w jego oczach i zdołałem uprzedzić jego cios. Uchyliłem się w bok i koniec jego miecza znalazł się pod moją pachą. Wtedy chwyciłem go za łokieć.

Próbował się uwolnić i mocno wychylił się w moją stronę, ale kładka zachwiała się pod nim, więc nie mógł złapać równowagi. W tym krytycznym momencie zwolniłem chwyt na ręce, w której trzymał miecz. Nie był na to przygotowany i zachwiał się do tyłu, wyciągając ramiona w moim kierunku, żeby się nie przewrócić.

Machnąłem toporem, celując w jedyną część jego ciała nieosłoniętą przez zbroję – przegub ręki trzymającej miecz. Ja również chwiałem się w takt kołyszącej się łodzi, toteż uderzenie nie było bezbłędne. Nie odciąłem mu dłoni tak, jak zamierzałem, ale mój topór zagłębił się aż do kości w wewnętrzną stronę jego nadgarstka. Usłyszałem pęknięcie rozstępujących się ścięgien. Jego palce otworzyły się bezwiednie i wypuściły miecz, który zagrzechotał na deskach mostu. Kreteńczyk zatoczył się do tyłu, wpadając na jednego ze swoich kompanów, którzy tłoczyli się za nim. Trzymając się nawzajem, przelecieli przez krawędź mostu i z głośnym pluskiem uderzyli o powierzchnię wody. Ciężkie zbroje pociągnęły ich natychmiast w głąb.

Ciągle miałem w ręku siekiere, a dwie liny przytrzymujące dziób naszej łodzi do mostu pontonowego były tak mocno napięte, że woda tryskała z zaciągniętych węzłów. Uniosłem siekiere nad głowę i uderzyłem, celując w grubszą z nich i wkładając w ten cios całą moją wagę i siłę. Lina pękła z trzaskiem niczym cięciwa łuku. Nasza łódź pochyliła się ostro, gdy cały ciężar spoczął na pojedynczej cieńszej linie. Uderzyłem ponownie i lina pękła, wijąc się i strzępiąc w powietrzu. Uwolniony dziób uniosł się gwałtownie, a nasza łódź zakołysała się swobodnie pod naporem nurtu.

Jeżeli chodzi o sam most, to nasze działania okazały się daleko bardziej brzemienne w skutkach. Ponieważ jego połowy były ciągle mocno przywiązane do pachołków po obu brzegach rzeki, a na środku kanału nic ich już nie łączyło, nurt rzeki prędko oderwał je od siebie. Przyglądałem się zbitej ciżbie Kreteńczyków rzuconych na wszystkie strony po kładce, która podskakiwała i miotała się pod ich stopami.

Pod ciężarem ich napierającej masy pontony stawały się coraz bardziej niestabilne, a odziani w ciężkie zbroje żołnierze tracili równowagę i zataczali się jak pijani, warcząc na siebie i spychając się nawzajem do wody.

Patrzyłem w przerażeniu, jak jeden z pontonów przewraca się i około dwudziestu żołnierzy wypada poza krawędź pomostu. W ciągu paru minut większość Kreteńczyków znalazła się w ciemnej wodzie, zmagając się z nurtem i topiąc niczym szczury na dnie studni.

Sprawa była dla mnie tym bardziej tragiczna, że ludzie ci nie byli nawet naszymi wrogami, a ja celowo zaplanowałem całą tę niszczycielską akcję, żeby podstępnie zachęcić ich do zawarcia z nami przymierza. Bardzo niewielkim pocieszeniem była dla mnie świadomość, że zrobiłem to dla mojego umiłowanego Egiptu i faraona. Skutki moich działań wprawiły mnie w przerażenie.

Jednak po chwili ogromnym wysiłkiem woli odrzuciłem na bok poczucie winy i wyrzuty sumienia. Pomyślałem, że to, co się stało, już się nie odwróci. Starłem się wymazać z pamięci tych utopionych ludzi i myśleć o moich własnych żołnierzach i stratach, jakich doznaliśmy. Z trudem odwróciłem się i precyzyjnie z powrotem na rufę łodzi. Zacząłem wrzeszczeć na załogę, żeby wyładować złość. Ryczałem, żeby znowu chwycili za wiosła i popychałem ich na ławki wiosłarskie, kopiąc i okładając pięściami tych, którzy ociągali się ze zdziwieniem.

W końcu chwyciłem za wiosło sterowe i ludzie zaczęli ruszać jednocześnie wiosłami. Przełożyłem ster i skierowałem łódź

w stronę kamiennego nabrzeża pod główną bramą fortu, gdzie stały na cumach triery ze skarbem.

Wyskoczyłem z naszej małej łodzi, gdy tylko dziób dotknął kamiennych stopni nabrzeża. Czekał tam na mnie Zaras z mieczem w dłoni, ciężko dysząc z wysiłku i szczerząc zęby jak głupek.

– Zdobyliśmy wszystkie trzy statki ze skarbem i nawet fort jest już w naszych rękach! – powiedział, wskazując okrwawioną klingą otwartą na oścież bramę. – Wrzawa, jakiej narobiłeś przy moście pontonowym, była świetnym sposobem na odwrócenie uwagi strażników z fortu. Wycięliśmy ich w pień, gdy przyglądali się twoim wyczynom, całkowicie nieświadomi naszej obecności. Nie sądzę, żeby któryś z nich uciekł, ale jeśli nawet mu się udało, to i tak nie odbiegł zbyt daleko. – Zamilkł na chwilę, żeby wziąć oddech, a potem zapytał: – A jak ci poszło przy moście, Taito? – Byłem zadowolony, że nawet w gorączce bitwy i zwycięstwa pamiętał o tym, żeby mówić językiem Hyksosów.

– Most jest zniszczony, a połowa wrogów wpadła do rzeki i się potopiła – poinformowałem go krótko, a potem odwróciłem się do Akemiego, który podbiegł, widząc, że wchodzę na nabrzeże. – Przejmij dowództwo na łodzi i zatrzymaj z tuzin ludzi do wiosłowania – poleciłem mu i wskazałem skupisko małych, nieobsadzonych jednostek, zacumowanych w basenie utworzonym przez zakole rzeki. – Zabierz ze sobą pochodnie, parę garnków z żarem z ogniska i spal te łodzie, zanim przejmą je Kreteńczycy i użyją do przewiezienia swoich ludzi przez kanał, żeby zaatakować nas znowu w środku nocy.

– Już się robi, panie mój – odparł Akemi.

– Zachowaj tylko największą z nich – dodałem. – Ten duży dwumasztowiec, który stoi na samym końcu. Tego jednego nie puszczaj z dymem, ale przyprowadź go tutaj. Przywiążemy go do nabrzeża i zostawimy, kiedy będziemy odpływać. – Zarówno Akemi, jak i Zaras spojrzeli na mnie krzywo, ale tylko Zaras ośmielił się zakwestionować moje polecenie.

– Mamy zostawić go Kreteńczykom? Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

– Zrobimy to po to, żeby wyżsi oficerowie kreteńscy mogli jak najszybciej pożegłować z powrotem na Kretę i poinformować swojego króla o zdradzie jego hyksoskich sprzymierzeńców. Nawet potężny Minos poczuje się głęboko urażony stratą pięciuset lakhów srebra. Po odebraniu tej wiadomości zapragnie zemścić się krwawo na królu Beonie.

Zaczekałem na miejscu, żeby przyjrzeć się Akemiemu i jego załodze, jak odpływają od nabrzeża, kierując się w głąb basenu. Zobaczyłem, że każde czterem ludziom przejść na pokład dwumasztowca. Chwilę potem podnieśli żagiel na dziobie i podprowadzili statek do nabrzeża, żeby go przycumować poniżej miejsca, w którym stałem.

Tymczasem Akemi stanął na dziobie naszej małej łodzi. Jego ludzie przy wiosłach skierowali ją wzdłuż szeregu zakotwiczonych jednostek. Mijając je, Akemi wrzucał do każdej z nich zapaloną żagiew. Poczulem zadowolenie dopiero wtedy, gdy szalejące płomienie objęły je wszystkie. Odwróciłem się, żeby odszukać w zamieszaniu Zarasa.

– Zabierz ze sobą tych ludzi i chodź ze mną – poleciłem mu, a potem pobiegłem po nabrzeżu w kierunku najbliższej kreteńskiej triery. – Obejmiesz dowództwo na tej trierze, Zarasie – powiedziałem. – Ale ja pożegluję razem z tobą.

– Oczywiście, dostojny panie – odparł Zaras. – Kilku moich ludzi jest już na jej pokładzie.

– Dilbar będzie kapitanem na tamtej – dodałem, wskazując drugą trierę. – A Akemi weźmie trzeci minojski statek ze

skarbem.

– Jak rozkażesz, panie.

Wydawało się, że Zaras awansował mnie ze zwykłego Taity na dostojnego pana. Jednak nadal pozostał wobec mnie na tyle poufały, żeby zadawać nieogłędne pytania. Zrobił to natychmiast.

– Jak już wypłyniemy na pełne morze, to w którą stronę poześlujemy? Na wschód do Sumeru czy na zachód do brzegów Mauretanii? – Pozwolił sobie nawet udzielić mi małej ojcowskiej rady. – Mamy sprzymierzeńców w obu tych krajach. Na wschodzie rządzi król Nemrod, władca „kraju nad dwiema rzekami”. Na zachodzie mamy pakt z królem Szan Dakim z Anfy w Mauretanii. Do którego z nich się zwrócimy, Taito?

Odpowiedziałem pytaniem na jego pytanie:

– Powiedz mi, Zarasie, który król lub władca w całym świecie powierzyłby ci skarb w postaci pięciuset lakhów srebra?

Zaras wyglądał na rozbawionego. Nie pomyślał o tym.

– Być może... no cóż, na pewno nie Szan Daki. Jego ludzie to korsarze, a on sam jest królem złodziei.

– A co powiesz o Nemrodzie? – zapytałem. – Bo ja nie jestem pewny, czy powierzyłbym mu kawałek srebra większy od mojego kciuka.

– Komuś musimy zaufać – zaprotestował Zaras. – Chyba że znajdziemy bezludny piaszczysty brzeg i zakopimy tam srebro do czasu, aż będziemy mogli po nie wrócić.

– Pięćset lakhów! – przypomniałem mu. – Musielibyśmy poświęcić rok na wykopanie wystarczająco głębokiego dołu, no i trzeba by góry piachu, żeby go zasypać. – Z rozbawieniem przyglądałem się jego zakłopotanej minie. – Wiatr nam sprzyja! – zauważyłem, spoglądając na minojską flagę z wyobrażeniem złotego byka z Krety powiewającą ciągle na maszcie triery, którą mu powierzyłem. – A bogowie faworyzują zawsze dzielnych śmiałków.

– Nie, Taito – zaoponował Zaras. – Wiatr wcale nam nie sprzyja. Wieje od morza, prosto w kanał. Przygwoździ nas do lądu. Trzeba będzie użyć wszystkich wiosł, żeby wydostać się na

otwarte morskie wody. Jeśli nie ufasz ani Szan Dakiemu, ani Nemrodowi, to do kogo masz zaufanie? Do kogo mamy się zwrócić?

– Ufam tylko faraonowi Tamose – odparłem i po raz pierwszy dojrzałem wyraz zawodu na jego twarzy.

– Zamierzasz więc wrócić do Teb tą samą drogą, którą tu dotarliśmy? Będziemy dźwigać skarb na naszych głowach z Uszu przez pustynię synajską, a potem płynąć z nim wpław przez Morze Czerwone? Stamtąd zostanie już niewiele drogi do Teb. Faraon będzie zaskoczony na twój widok, możesz być tego pewien. – Obrzucił mnie drwiącym spojrzeniem.

– Nie. – Uśmiechnąłem się do niego z wyrozumiałością. – Pożeglujemy stąd na południe Nilem. Zabierzemy wszystkie te kreteńskie monstra wraz ze srebrem w ich ładowniach i popłyniemy prosto do Teb.

– Czyś ty zwariował, Taito? – Zaras przestał się śmiać. – Nad każdym łokciem Nilu stąd aż po Asjut panuje Beon. Nie damy rady pokonać trzystu mil, płynąc przez sam środek hyksoskich hord. To czyste szaleństwo. – Był tak podniecony, że się zapomniał i przeszedł na egipski.

– Jeżeli zna się język hyksoski, wszystko jest możliwe! – odparłem upominającym tonem. – W każdym razie zatopiliśmy już dwie nasze galery, a ja przed opuszczeniem Tamiatu zamierzam spalić również trzecią, właśnie po to, żeby mieć pewność, że nie zostawimy za sobą śladów wskazujących na to, kim naprawdę jesteśmy.

– W imię Wielkiej Matki Ozyrysa i jej ukochanego syna Horusa, mam wrażenie, Taito, że ty naprawdę wierzysz w to, co mówisz. – Zaras znowu zaczął się uśmiechać. – I zamierzasz przycisnąć mnie tak, żeby na moje usta wystąpiła piana jak u szaleńca, co zresztą robisz od samego początku, i liczysz na to, że w tym szaleństwie wykonam każde twoje polecenie. Zgadłem?

– Szaleństwo w bitwie staje się czymś normalnym i rozsądnym. To jedyny sposób, żeby przeżyć. Chodź za mną, Zarasie. Zamierzam zawieźć cię do domu – odparłem, a potem

ruszyłem po drewnianej kładce na pokład triery. Przede mną weszło na nią dwudziestu ludzi Zarasa. Stwierdziłem, że opanowali już statek i unieszkodliwili całą jego załogę. Na pokładzie klęczeli w rzędzie ze zwieszonymi głowami Kreteńczycy, mając ręce związane za plecami. Było ich tylko sześciu i większość z nich krwawiła od świeżych ran. Nasi ludzie stali nad nimi z dobytymi mieczami.

– Dobra robota, chłopaki – rzuciłem im zachęcająco i odwróciłem się do Zarasa. – Każ teraz swoim ludziom zerwać z jeńców mundury i zbroję, a potem odeślij ich pod strażą na ląd. – Podczas gdy Zaras wydawał rozkazy, udałem się na górny pokład z ławami wiosłarzy. Były puste, a długie wiosła złożono na pokładzie. Miałem jednak pięćdziesięciu własnych ludzi, żeby wypełnić je znowu. Niemal bez zatrzymania ruszyłem następnym zejściem prowadzącym na pokład niewolników. Uderzyły mnie smrodliwe wyziewy. Były tak silne, że aż mnie zatkało, ale nie przestałem schodzić.

Dymiące lampy oliwne w uchwytach pod niskim pułapem zapewniały dość światła, abym mógł dostrzec rzędy prawie nagich ciał niewolników, którzy kulili się na ławach wiosłarskich albo spali, opierając głowy na długich wiosłach przed sobą. Ci, którzy nie spali, obrzucili mnie obojętnym spojrzeniem. Zadźwięczały łańcuchy na kostkach u nóg, gdy paru z nich się poruszyło.

Przyszło mi do głowy, żeby wygłosić do nich kilka słów, być może z zapewnieniem, że odzyskają wolność po dotarciu do Teb, jeśli będą wiosłować mocno i niezmordowanie. Ale porzuciłem tę myśl, gdy uświadomiłem sobie, że są istotami ludzkimi tylko po części. Niegodziwe uwięzienie i okrutne traktowanie sprowadziło ich do poziomu zwierząt. Moje uprzejme słowa nic by dla nich nie znaczyły. Przemawiało do nich już tylko smaganie batem.

Pochyliłem się niemal do pasa, żeby nie uderzyć głową w nisko zawieszony górny pokład, i pobiegłem przejściem między ławami w kierunku rufy. Dotarłem do drzwi, które z całą

pewnością prowadziły do ładowni. Były zamknięte na mocny mosiężny zamek. Tuż za mną szedł Zaras. Odsunąłem się na bok, żeby mógł poluzować go mieczem i wyważyć drzwi.

Zdjąłem z uchwytu jedną z oliwnych lamp i uniosłem ją wysoko, a potem wszedłem do przestronnej ładowni. Zobaczyłem skrzynki ze srebrnymi sztabkami, ułożone jedna na drugiej na całą wysokość. W środku stosu zauważyłem jednak sporo wolnego miejsca. Przeprowadziłem szybkie obliczenia, żeby ustalić, ile cennych skrzynek Kreteńczycy przenieśli już na ład. Doliczyłem się co najwyżej setki.

Przez chwilę nurtowała mnie tchórzliwa myśl, żeby zrezygnować z tej małej części skarbu i pożegłować z tym, co mieliśmy na pokładzie, jednak po chwili ją odrzuciłem.

– Korzystaj z tego, że bogowie się uśmiechają, Taito, zanim znowu nie zaczną marszczyć brwi – mruknąłem do siebie i odwróciłem się do Zarasa. – Chodź ze mną. Zabierz tylu ludzi, ilu będziesz mógł.

– Dokąd się udajemy?

Wskazałem puste miejsce po wyniesionych z ładowni skrzynkach.

– Idziemy do fortu, żeby ustalić, gdzie Kreteńczycy złożyli te brakujące skrzynki. Jest w nich dość srebra, żeby wyekwipować całą armię i wysłać ją na pole bitwy. Nie wolno nam dopuścić, żeby jakakolwiek jego część wpadła w ręce Beona.

Pospieszaliśmy z powrotem na pokład, a potem zesliśmy po kładce na nabrzeże. Za nami szło dziesięciu naszych ludzi i prowadziło schwytych kreteńskich żeglarzy, całkowicie pozbawionych odzienia. Weszliśmy w bramę fortu i zastaliśmy tam Dilbara, który wraz z trzydziestką swoich ludzi pilnował żołnierzy i niewolników ujętych na ładzie.

Poleciłem Dilbarowi zedrzeć ubrania również z nich. Potrzebowałem wszystkich mundurów i zbroi Kreteńczyków, jakie tylko mogliśmy zdobyć. Minojscy oficerowie nosili naszyjniki, pierścienie, opaski na ramionach i bransolety ze srebra, złota i drogich kamieni.

– Zedrzyj też te świecidełka z jeńców – poleciłem Dilbarowi. Wybrałem ze stosu dwa nadzwyczajnej piękności klejnoty i wsunąłem je do mojej skórzanej torby. Podobnie jak większość kobiet, również moje dwie księżniczki uwielbiają piękne i błyszczące ozdóbki.

Przeniosłem uwagę na schwytanych niewolników, którzy stali w otępieniu, skuci łańcuchami. Zobaczyłem od razu, że choć stanowili mieszaninę składającą się z Libijczyków, Hurrian i Sumerów, większość pochodziła z Egiptu. Najprawdopodobniej zostali schwytani przez Hyksosów i przekazani Kreteńczykom, żeby pomogli im w budowaniu fortu. Jeden z nich zwracał uwagę inteligentną twarzą i wyglądem człowieka, który nie poddał się jeszcze rozpacz.

– Zabierz tego tutaj do następnego pomieszczenia – poleciłem Dilbarowi, który chwycił Egipcjanina i pociągnął go do przedsionka fortu. Tam powiedziałem mu, żeby zostawił nas samych. Gdy Dilbar się oddalił, przez chwilę w milczeniu przyglądałem się niewolnikowi. Robił wrażenie zrezygnowanego, ale w jego oczach dostrzegłem buntownicze iskierki, które starał się ukryć.

Dobrze! – pomyślałem. On ciągle jest człowiekiem.

W końcu przemówiłem do niego cicho w naszym słodkim języku:

– Jesteś Egipcjaninem – powiedziałem. Jeniec drgnął i zobaczyłem, że mnie zrozumiał. – Z którego pułku? – spytałem, ale on wzruszył ramionami, udając, że nie rozumie pytania. Popatrzył sobie pod nogi. – Popatrz na mnie! – poleciłem mu, zdejmując hełm z brązu, a potem odwiązałem jedwabną opaskę, która zakrywała dolną połowę mojej twarzy. – Popatrz na mnie! – powtórzyłem. Jeniec uniósł głowę i wzdrygnął się zaskoczony. – Wiesz, kim jestem? – spytałem.

– Jesteś Taitą. Widziałem cię w świątyni Hathor w Luksorze, gdy byłem dzieckiem. Ojciec powiedział mi, że jesteś jednym z największych żyjących Egipcjan – wyszeptał przerażony,

a potem rzucił się do moich stóp. Byłem poruszony tym pokazem uwielbienia, ale zachowałem surowy ton głosu.

– Tak, żołnierzu. Jestem Taitą. A ty kim jesteś?

– Mam na imię Rohim, jestem z Dwudziestego Szóstego Pułku Rydwanów Bojowych. Pięć lat temu schwytały mnie hyksoskie świnie.

– Chcesz wrócić ze mną do naszego umiłowanego Egiptu? – spytałem. Odpowiedział mi uśmiechem. Brakowało mu zęba w górnej szczęce, a jego twarz była posiniaczona. Bito go, ale nadal pozostał egipskim wojownikiem.

– Dochowam ci wierności aż do śmierci! – odparł zdecydowanym tonem.

– Gdzie Kreteńczycy złożyli skrzynki, które musiałeś wynosić ze statku wczoraj?

– W skarbcu u stóp schodów, ale drzwi są zamknięte.

– Kto ma klucz?

– Tłuscioch z zieloną szarfą. On jest dozorcą niewolników. – Widziałem tak wyglądającego człowieka, klęczał razem z innymi więźniami.

– Czy ma też klucz do twoich łańcuchów, Rohim? Będziesz go potrzebował, bo jesteś znowu wolnym człowiekiem.

Rohim uśmiechnął się na myśl o tym.

– Trzyma wszystkie klucze na łańcuchu, którym jest opasany. Ukrywa je pod szarfą.

Dowiedziałem się od Rohima, że wśród niewolników z fortu jest przeszło osiemdziesięciu egipskich łuczników i rydwanistów, schwytanych przez Hyksosów. Gdy uwolniliśmy ich z łańcuchów, z zadowoleniem zabrali się do wynoszenia skrzynek ze srebrem i składania ich na trierze Zarasa.

Podczas gdy noszono skrzynki, Rohim poprowadził mnie do zbrojowni. Kiedy wyłamaliśmy drzwi, wpadłem w zachwyty na widok przechowywanych tam kolekcji mundurów, zbroi i broni.

Kazałem przenieść na statki całe to wyposażenie i złożyć na głównym pokładzie wioślarzy, gdzie w razie potrzeby można było łatwo po nie sięgnąć.

Na koniec zamknęliśmy wszystkich schwytanych Kreteńczyków w szopach dla niewolników, a potem weszliśmy na pokłady trzech czekających na nas trójrzędowców.

Rozdzieliłem równomiernie między trzy statki pozostałych przy życiu naszych ludzi, dzięki czemu wszystkie ławy dla wiosłarzy miały pełną obsadę. Na moje polecenie niewolnicy przykuci na niższych pokładach otrzymali posiłek z czerstwego chleba, suszonej ryby i piwa, jakie znaleźliśmy w spiżarniach fortu. Wzruszające było patrzeć, jak pchają jedzenie do ust zrogowaciałymi dłońmi, czarnymi od brudu i własnych wyschniętych ekskrementów. Popijali piwem, które im daliśmy, aż ich skurczone żołądki nie mogły pomieścić więcej. Kilku z nich wymiotowało na dno między nagimi stopami. Ale jedzenie i przyjazne traktowanie ich ożywiło. Wiedziałem, że będą dobrze mi służyć.

Gdy po wschodniej stronie nieba pojawiły się pierwsze blaski świtu, byliśmy gotowi do drogi. Stałem obok Zarasa na dziobie pierwszej triery, mając na głowie wciśnięty głęboko hyksoski hełm, a nos i usta osłonięte jedwabnym szalem.

Zaras wydał rozkaz, że odbijamy, i na wszystkich pokładach wiosłowych ozwały się uderzenia w bębny. Długie wiosła zaczęły się zanurzać, pociągać i wynurzać z wody w wybijanym rytmie. Poleciałem przekazać rozkazy ludziom przy wiosle sterowym i skierowaliśmy się do głównego kanału rzeki. Dwie pozostałe triery poszły kolejno w nasze ślady. Uszeregowani jedna za drugą pozęglowaliśmy śmiało na południe w kierunku stolicy Hyksosów i dwustu mil rzeki opanowanych przez wroga.

Nad rzeką ciągnął się gęstą chmurą dym z palących się łodzi, od czasu do czasu zasnuwając obóz Kreteńczyków na przeciwległym brzegu. Gdy jednak powiew północnego wiatru rozwiął dymną zasłonę, zobaczyłem, że mój rozkaz skierowania się na południe zaskoczył nie tylko moją załogę.

Na otwartym brzegu rzeki stali w pełnym szyku bojowym kreteńscy żołnierze, którzy przeżyli zniszczenie mostu pontonowego. Dowodzący nimi oficerowie wybrali miejsce, w którym kanał żeglowny zbliżał się do nurtu. Szeregi ich łuczników stały tuż nad rzeką, tak blisko, jak tylko mogli podejść do wody. Byli przygotowani na to, że będziemy próbowali przepłynąć pod gradem ich strzał w kierunku północnym, żeby dotrzeć do otwartego morza. Stali z naciągniętymi łukami, gotowi do wypuszczenia strzał nałożonych na napięte cięciwy.

Czterech spośród wyższych oficerów, którzy mieli najwyższe pióropusze na hełmach i najwięcej ozdób połyskujących na piersiach i ramionach, siedziało na koniach. Ustawili rumaki za formacjami łuczników i czekali, by wydać rozkaz wypuszczenia strzał w naszym kierunku, kiedy będziemy przepływać obok nich w drodze do Morza Śródziemnego.

Jakżeż byli zdziwieni, widząc, że obieramy kurs w stronę południowego odgałęzienia kanału i zaczynamy się od nich oddalać. Przez krótką chwilę żaden z nich nie zareagował. Zaczęli się ruszać, gdy za naszym statkiem popłynęła triera dowodzona przez Dilbara. Wreszcie, gdy śladem mojej triery pożegłował Akemi, którego statek zamykał naszą flotyllę, kreteńscy oficerowie zaczęli wykrzykiwać gorączkowe rozkazy. Wyraźnie słyszałem ich wołania niosące się po wodzie. Roześmiałem się, widząc, jak spinają rumaki i rzucają się galopem wzdłuż rzeki, w daremnej próbie przecięcia nam drogi.

Kreteńscy łucznicy zaczęli łamać doskonale uporządkowane szyki i bezładną gromadą ruszyli za swoimi oficerami, ale niebawem zatrzymali się, widząc, że bezlitośnie się od nich oddalamy. Unieśli łuki i zaczęli miotać za nami całe chmary strzał. I choć szybowały wysokimi torami, żadna nie sięgnęła

celu i wszystkie wpadały do wody daleko za rufą statku Akemiego.

Konni oficerowie nie zaprzestali jednak pościgu. Poganiali swoje wierzchowce po ścieżce flisackiej, próbując nas dopędzić. Kiedy stopniowo zaczęli się zrównywać z trierą Akemiego, wyciągnęli miecze. Unieśli się w strzemionach, wykrzykując obelgi i wyzwiska pod adresem ludzi Akemiego.

Akemi otrzymał ode mnie wyraźne rozkazy, żeby nie strzelać do Minojczyków. Choć stanowiliby łatwy cel dla jego łuczników zajmujących pozycje na górnym pokładzie triery, zostali całkowicie zignorowani. Odniosłem wrażenie, że wprawiło ich to we wściekłość. Galopowali ścieżką flisacką, wyprzedzając najpierw statek Akemiego, a potem Dilbara. W końcu zrównali się z dziobem prowadzącej triery, na którym stałem.

Na mój rozkaz nasi ludzie nawet nie próbowali chować się przed nimi. Czterech kreteńskich oficerów mogło przyjrzeć się dobrze naszym oryginalnym hyksoskim mundurom i wyposażeniu, gdy galopowali ścieżką flisacką zaledwie sto kroków od nas.

Pędząc za nami, pokonali już przeszło trzy mile i ich konie zaczęły nagle słabnąć. Morska bryza przybrała na sile, popychając nas na południe, i stopniowo zostawiliśmy ich w tyle. Flisacka dróżka zamieniła się w bagno. Spod kopyt koni bryzgały kawałki czarnego mułu, a biegnące z wysiłkiem zwierzęta zaczęły zapadać się po kolana w błocie. Musieli wstrzymać pościg. Zatrzymali konie i przyglądali się ze smutnymi minami, jak zostawiamy ich daleko za rufą.

Byłem bardzo zadowolony z tego, w jaki sposób się to wszystko odbyło. Minojscy oficerowie zobaczyli wszystko, co chciałem im pokazać, to znaczy trzy statki hyksoskich piratów, którzy z ładunkiem pięciuset lakhów w sztabkach srebra należących do Najwyższego Minosa oddalali się rzeką na południe, w kierunku Memfis, stołecznego miasta króla Beona.

Teraz nadszedł czas na podjęcie przygotowań do odegrania kolejnej roli. Wydałem rozkaz wyniesienia na pokład zdobytych przez nas w Tamiacie kreteńskich mundurów i broni. Nasi ludzie, śmiejąc się i żartując, pozbyli się mundurów i ekwipunku Hyksosów, aby wciągnąć na siebie kompletne minojskie zbroje w całej ich wystawnej wspaniałości, od pozłacanych hełmów i grawerowanych mieczy po buty z cholewami z doskonale wyprawionej, miękkiej skóry.

Akemi i Dilbar otrzymali ściśle polecenia, żeby zabronili swoim ludziom wyrzucania do rzeki niepotrzebnych już mundurów hyksoskich. Gdyby nurt poniósł je na północ i zostały odnalezione przez minojskich żołnierzy w Tamiacie, mój podstęp zostałyby odkryty.

Kreteńczycy nie musieli by zbyt wyobraźni, żeby zdać sobie sprawę, w jaki sposób wyprowadziliśmy ich w pole. Kazałem więc dobrze powiązać w tłumoki zbędne wyposażenie hyksoskie i złożyć je pod pokładem.

Pędziliśmy na południe, mając wiatr bezpośrednio od rufy i żagle wypełnione powietrzem oraz rzędy wiosł unoszących się i opadających niczym srebrne skrzydła klucza wielkich białych łabędzi w locie. Minojskie triery były największymi i najszybszymi statkami, jakie pływały po morzach. Pomimo potężnego obciążenia ludźmi i ładunkiem ich szybkość podnosiła na duchu. Niezależnie od rozwijanej przez nas prędkości, ogarniało nas także zaraźliwe podniecenie, którego źródłem była

świadomość, że kierujemy się w stronę domu. Wszystko to wprawiło moich ludzi w doskonały nastrój.

Kiedy opuściliśmy deltę i zostawiliśmy za sobą miriady jej dopływów, aby znaleźć się w końcu w głównym korycie rzeki, nasze trzy statki ustawiły się w szeregu obok siebie i zaczęły się ścigać w drodze na południe. Załogi rzucały sobie z jednej triery na drugą wyzwania i żartobliwe wyzwiska.

Przemykaliśmy obok zakotwiczonych łodzi rybackich i błyskawicznie wyprzedzaliśmy inne małe jednostki, wyładowane produktami rolnymi i towarami na sprzedaż. Mijając je, zaglądałem do nich z wysokości górnego pokładu. Dostrzegłem wśród ich załóg kilka egipskich twarzy, które wlepiały w nas zdziwione spojrzenia, gdy płynęliśmy obok siebie, ale większość z nich stanowili Hyksosi.

Odróżnienie tych dwóch nacji jest dla mnie prostą sprawą. Egipcjanie są przystojnymi ludźmi o żywych i inteligentnych twarzach, wysokich czołach, dużych, szeroko rozstawionych oczach i pięknie rzeźbionych rysach. Krótko mówiąc, zazwyczaj wystarczy spojrzeć, żeby stwierdzić ich wyższość.

Hyksosi zaś mają bardzo niewiele takich cech. Nie odczuwam do nich żadnego nieuzasadnionego uprzedzenia. Jednak mam wszelkie powody, żeby żywić do nich głęboką i zawziętą nienawiść. Wszyscy oni, bez wyjątku, to złodzieje i bandyci. Lubują się w okrucieństwie i torturach. Ich chropowaty, gardłowy język obraża uszy cywilizowanych ludzi. Czczą Seta, który jest najgłupszym ze wszystkich bogów. Ukradli nam ziemię i zniewolili lud.

Ale nie jestem fanatykiem. Wręcz czuję odrazę do takich ludzi. Naprawdę zrobiłem, co mogłem, żeby znaleźć godne pochwały cechy w narodowym charakterze Hyksosów. Niestety, nie odkryłem żadnej, i wszyscy bogowie wiedzą, że to nie moja wina.

Teraz, gdy spoglądałem na przedstawicieli tej nieszczęsnej rasy, przyszła mi do głowy błaha myśl, że kiedyś w przyszłości byłoby rzeczą właściwą, abym wyraził moją dezaprobatę

w bardziej zdecydowany i niedwuznaczny sposób. Powiniennem zdobyć się na gest, który nawet król Beon mógłby uznać za całkowicie zasłużony.

Będzie to naprawdę radosny dzień dla wszystkich Egipcjan, pomyślałem i uśmiechnąłem się, ale potem ta myśl nabrała bardziej konkretnych kształtów w mojej świadomości. Dlaczego ten dzień nie miałby nadejść raczej wcześniej niż później? W mojej głowie pojawił się nagle cały niemal gotowy plan, od jego poczęcia do narodzenia minęła chwila.

W kajucie kapitana na niższym pokładzie widziałem papirusowe zwoje i tabliczki do pisania. Kreteńczycy są wykształconymi ludźmi. Używają odmiany pisma klinowego, która nie różni się od pisma Sumerów. Jestem w stanie odczytać i rozpoznać te symbole, chociaż przyznaję, że w tym okresie nie mówiłem jeszcze językiem minojskim.

Jak można się spodziewać, Hyksosi są kompletnymi analfabetami. Jednak dowiedziałem się od moich szpiegów, że schwytali i zamienili w niewolników egipskich pisarzy, których zmuszają do odczytywania, pisania oraz tłumaczenia naszych hieroglifów.

Doszła mnie też wieść, że od tych samych skrybów nauczyli się używania ptaków do przesyłania wiadomości szybko i na duże odległości. Podobnie jak małpy, Hyksosi są wielkimi naśladowcami. Rzadko udaje się im rozwiązać jakiś problem za pomocą oryginalnej myśli, za to często popełniają plagiaty, wykorzystując odkrycia większych umysłów niż ich własne.

Przeprosiłem w paru słowach Zarasa i pospieszyłem na dół do kajuty pod głównym pokładem. Wyposażenie do pisania było tam, gdzie widziałem je ostatnio. Znajdowało się w szkatule zdobionej miniaturowymi przedstawieniami Thota; boga pisma namalowano z głową ibisa.

Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie i otworzyłem szkatułę. Z zadowoleniem stwierdziłem, że oprócz zwojów papirusu różnych rozmiarów i kształtów oraz kompletu pędzelków i kałamarzy z atramentem znajdują się tam cztery

miniaturowe zwitki wielkości mojego paznokcia na kciuku, zręcznie utkane z kosmyków końskiej grzywy. Zwitki można było mocować do nóg zwykłych gołębi, które hodujemy i spożywamy. Ptaki te mają też dziwną zdolność bezbłędnego powracania do gołębnika, w którym hodowano je od urodzenia, niosąc przy tym bezwiednie taki właśnie zwitek umocowany do nogi, zawierający wiadomość.

Prędko wybrałem wystarczająco mały kawałeczek papirusu, żeby zmieścił się w gołębiu zwitku. Potem wybrałem najlepszy z pędzelków do pisania i roztarłem świeżą laseczkę węgla na atrament.

Nie musiałem zastanawiać się nad kompozycją mojego listu, ponieważ miałem go już w głowie. Gdy trzeba, umiem malować hieroglify, które nie tylko są maleńkie i precyzyjne, ale również jasne i czytelne, ponieważ zostałem obdarowany świetną ręką do pisania.

„Do potężnego Beona, Faraona Górnego i Dolnego Egiptu”. Na początek umieściłem zwyczajowe pozdrowienie. Oczywiście on nie jest nikim takim, ale są to tytuły, do których aspiruje. „Ja, Najwyższy Minos Krety, ślę Ci pozdrowienie. Na dowód mojej szczerzej przyjaźni i łaski wysyłam Waszej Łaskawości trzy statki z daniną. Wypłyną one w drugi dzień miesiąca Epifi z Tamiatu w delcie Nilu. Mam nadzieję, że dotrą do Twojego pałacu w Memfis piątego dnia tego samego miesiąca. Opóźniłem poinformowanie Cię o tym aż do ostatnich godzin, żeby zapobiec przechwyceniu tej wiadomości przez ręce złych ludzi, zanim stanie się przedmiotem Twojej szlachetnej uwagi. Ufam, iż w swej przyjaźni przyjmiesz te dary w duchu szacunku i zgody, z jakim zostały wysłane”.

Gdy tylko atrament wysechł na maleńkim kawałku papirusu, zwinąłem go delikatnie i umieściłem w jednym z gołębi kokoników. Zapieczętowałem go klejem z gumy arabskiej. Opuściłem kajutę, udałem się na niższy pokład i podszedłem do drzwi ładowni.

Zamek nie został naprawiony po ostrej interwencji Zarasa i z łatwością go otworzyłem, a potem zamknąłem za sobą. Sprawdziłem zawartość stojącej z boku skrzynki, którą otworzyłem wcześniej, żeby się upewnić, co zawiera. Pokrywa nie była solidnie umocowana, więc podważyłem ją znowu sztyłem należącym do mojego kreteńskiego ubioru. Potem klęknąłem obok niej i wyjąłem jedną ze sztabek srebra. Była ciężka, ale umieściłem ją w sakiewce przy pasie. Potem wróciłem na górny pokład i stanąłem obok Zarasa. Przemówiłem do niego cicho, tak żeby nikt z załogi nie słyszał moich słów.

– Za godzinę powinniśmy dotrzeć do rzeczno-portu Kuntus, gdzie Beon ma swoich celników, którzy pobierają cło od przepływających statków...

Zaras przerwał mi zduszonym chichotem:

– To nie ma znaczenia, dostojny panie. Nie zabawimy tam długo. Zmiotę ich na bok jak moskity...

– Nie, Zarasie. Podniesiesz wiosła i opuścisz żagle, żeby łódź celnika mogła podpłynąć do nas. A kiedy podpłynie, okażesz mu pełen szacunek. Muszę pomówić z poborcą podatków, ponieważ potrzebuję jego współpracy. – Odwróciłem się w stronę burty, żeby Zaras nie zdążył zasypać mnie następnymi pytaniami. Prawdę mówiąc, nie byłem pewien, czego mogę się spodziewać po dotarciu do Kuntusu.

Mknęliśmy w górę rzeki, wprowadzając w kompletne zaskoczenie wszystkie inne pływające jednostki. Byliśmy najszybszymi statkami na Nilu. Nawet konny jeździec nie mógłby nas prześcignąć, żeby uprzedzić o tym, że się zbliżamy. Na widok naszych statków płynących pod prąd wszystkie łodzie starały się nas ominąć, odpływając do brzegu albo opuszczając żagle i kierując się na północ, żeby dać się ponieść prądowi i zejść nam z drogi. Nie wiedzieli, kim jesteśmy. Ale w tych niełatwych czasach, gdy nad całym światem wisiały czarne chmury wojny, żaden rozsądny człowiek nie podejmował niepotrzebnego ryzyka.

Gdy pokonaliśmy następny szeroki zakręt rzeki, zobaczyłem leżący przed nami na wschodnim brzegu port Kuntus. Rozpoznałem go dzięki wysokiej kamiennej wieży obserwacyjnej na wzgórzu nad miastem. Na maszcie ustawionym na jej szczycie powiewała wielka czarna chorągiew. Był to emblemat poborcy ceł. Domyślałem się, że wyznacza on ludzi mających za zadanie obserwować ze szczytu wieży wszystkie statki, które mogłyby próbować przemknąć obok miasta, nie płacąc cła.

Kiedy podpłynęliśmy bliżej portu, od kamiennego nabrzeża odbiła, niosąca również czarną flagę, feluka i wzięła kurs, żeby nas przechwycić na środku rzeki. Poleciałem Zarasowi zwinąć żagle i podnieść wiosła, żeby feluka mogła dobić do naszej burty. Na jej pokładzie znajdowali się uzbrojeni Hyksosi. Zaras wychylił się przez burtę i nawiązał głośną rozmowę z jednym z nich. Mężczyzna powiedział, że nazywa się Grall i jest prowincjonalnym administratorem ceł.

Ulżyło mi ogromnie, że rozmowa odbywa się w języku Hyksosów. Gdyby ten nędznik Grall odezwał się do nas po minojsku, byłoby nam nadzwyczaj trudno wyjaśnić, dlaczego nikt na pokładzie minojskiej triery nie potrafi wymówić ani słowa w tym języku. W tym samym momencie postanowiłem, że przy pierwszej okazji zacznę się uczyć języka mieszkańców Krety. Miałem nadzieję, że przy moich zdolnościach językowych w ciągu kilku miesięcy będę mógł uchodzić za urodzonego Kreteńczyka.

Grall żądał z pokładu feluki w imieniu króla Beona, żeby umożliwiono mu wejście na nasz statek. Zgodnie z moim poleceniem Zaras nie oponował, ale natychmiast polecił naszej załodze opuścić drabinkę linową, żeby Grall mógł wejść na pokład.

Był niskim żylastym mężczyzną i wdrapał się po drabince ze zręcznością małpy.

– Pan jest kapitanem tego statku? – spytał Zarasa. – Mam obowiązek sprawdzić manifest celny waszego statku.

– Z pewnością, panie – odparł potakująco Zaras. – Ale najpierw zapraszam pana do mojej kajuty na szklanekę naszego wybornego minojskiego wina. Potem otrzyma pan wszystko, czego zażąda. – Przyjaznym gestem ujął niskiego człowieka za ramię i poprowadził go zejściówką pod pokład, do kajuty kapitana.

Aż do tej chwili trzymałem się z tyłu. Odczekałem, aż usłyszę odgłos zamykania drzwi kajuty pod moimi stopami, a potem bezszelestnie ruszyłem ich śladem pod pokład.

Wspólnie z Zarasem zaplanowaliśmy troskliwie to spotkanie i zabezpieczyliśmy się, robiąc w ścianie dziurkę do podglądania, przez którą mogłem widzieć i słyszeć wszystko, co dzieje się w kajucie. Zobaczyłem, że Zaras sadza gościa twarzą naprzeciwko dziurki. Grall okazywał więcej niż przypadkowe podobieństwo do wielkiej jadowitej ropuchy. Miał tak jak ona szeroką gębę i oczy jak dwa paciorki. W dodatku jego twarz szpeciły wielkie brodawki. Gdy przełknął łyk wina, które nalał mu Zaras, całe jego gardło ściągnęło się, jakby połykał szczura wodnego, który jest ulubionym pożywieniem jadowitej ropuchy. Byłem zafascynowany tym widowiskiem, równie prawdziwym, co zgodnym z naturą.

– Oczywiście jesteście świadomi, panie, że król Beon udzielił naszym statkom dyplomatycznego zwolnienia od cła. – Zaras powiedział to z szacunkiem i pewnością, które uwiarygodniały jego słowa.

– Decyzja, czy kwalifikujecie się do takiego zwolnienia czy też nie, należy do mnie, kapitanie – oświadczył Grall, opuszczając swój kubek z winem. – Jednakże, jeśli nawet kwalifikujecie się do zwolnienia, być może będę musiał obciążyć was moimi wydatkami. – Na jego ustach pojawił się chytry, porozumiewawczy uśmiezek. – Ale zapewniam, chodzi o drobną kwotę.

– Oczywiście. – Zaraz kiwnął głową. – Wszyscy musimy z czegoś żyć. Cieszę się jednak, że mam okazję pomówić z panem prywatnie. Muszę wysłać do Memfis list do króla Beona

z wiadomością, że niebawem przypłyniemy. Wiozę mu mnóstwo sztabek srebra, jako daninę od Najwyższego Minosa. – Sięgnął pod stół i wydobyl spod niego srebrną sztabkę, którą dałem mu wcześniej. Położył ją na środku stołu. – O, takich jak ta.

Grall odstawił powoli swój kubek i wlepił wzrok w sztabkę. Jego oczy niemal wychodziły z oczodołów. Otworzył swoje żabie usta, tak że wino wyciekło mu po zwisającej dolnej wardze i spłynęło na rzadki zarost. Wydawało się, że stracił zdolność mówienia. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie widział takiego skarbu.

– Zastanawiałem się, czy ma pan tu, w Kuntusie, gołębie pocztowe, ptaki, które mogłyby polecieć do Memfis i zanieść królowi moją wiadomość, żeby uprzedzić go wcześniej o naszym przybyciu do stolicy – ciągnął Zaras. Grall wydał niezrozumiałe skrzeknięcie i kiwnął głową. Nie był w stanie odpowiedzieć sensownie ani oderwać oczu od błyszczącej srebrnej sztabki. – Moglibyśmy potraktować tę błyskotkę jako zapłatę dla pana za tę nieocenioną usługę. – Zaras popchnął sztabkę o pół palca w jego kierunku. – Na znak przymierza między naszymi wielkimi krajami – dodał, kładąc obok niej gołębi kokonik z moim listem w środku. – Oto wiadomość, która powinna zostać wysłana do waszego króla Beona, jeśli byłby pan tak łaskaw.

Jedna z dłoni Gralla popęzła po stole niczym wielki owłosiony pajak i otworzyła się nad sztabką. Uniósł ją z szacunkiem i wsunął pod poplamioną skórzaną kurtkę, którą miał na sobie, a potem zawiązał rzemyki. Ręce trzęsły mu się z podniecenia. Sztabka wybrzuszała się mocno pod kurtką, ale on przycisnął ją czule do piersi niczym matka karmiąca dziecko.

Wstał, chwiejąc się na nogach i wolną ręką sięgnął po gołębi kokonik.

– Domyślam się, Wasza Dostojność, że plyniecie z misją dotyczącą spraw państwowych najwyższej rangi – powiedział i ukłonił się nisko Zarasowi. – Proszę mi wybaczyć moje najście. Oczywiście uważam za wielki przywilej i honor, że jeden z moich ptaków poniesie waszą wiadomość do króla Beona. Jeszcze dziś

przed zachodem słońca król otrzyma wasz list. Nawet mając tak wspaniały statek, nie zdołacie dotrzeć do Memfis wcześniej niż pojutrze przed południem.

– Jesteście wyjątkowo uprzejmi, panie. Odprowadzę pana bezpiecznie na pokład pańskiej feluki – zaoferował się Zaras, ale Grall był już w połowie drabinki prowadzącej na górny pokład.

Wspólnie z Zarasem przyglądałem się feluce, która szybko wracała do Kuntusu. Ociągałiśmy się z odpłynięciem wystarczająco długo, żeby zobaczyć, jak Grall drapie się z feluki na nabrzeże, a potem spieszy do miasteczka. Dopiero wtedy kiwnąłem głową, dając znak Zarasowi. Postawiliśmy żagle i opuściliśmy na wodę trzy rzędy wiosł, żeby wrócić na kurs ku południowi.

Obejrzałem się z rufy i zobaczyłem jeźdźca, który wyjechał spomiędzy podniszczonych domków Kuntusu i pogalopował dróżką do wieży obserwacyjnej na wzgórzu. Osłoniłem oczy przed słońcem i ujrzałem, że zatrzymuje się u stóp wieży i rzuca wodze czekającemu słudze, a potem zeskakuje na ziemię i biegnie do wnętrza budowli.

Krótko potem ten sam człowiek ukazał się na szczycie wieży. Obserwowałem pod słońce jego sylwetkę, jak unosił ręce nad głowę. Z jego złożonych dłoni wyfrunął purpurowy gołąb i wzbił się szybkimi uderzeniami skrzydeł.

Ptaka okrążył wieżę trzy razy, a potem skierował się prosto na południe. Doleciał nad środek rzeki, wznosząc się bystro. Ale gdy przelatował dokładnie nad naszym statkiem, był ciągle wystarczająco nisko, żebym mógł sobie wyobrazić maleńki kokonik umocowany do jednej z jego nóg wsuniętych pod rozpostarty ogon.

Przez resztę popołudnia kontynuowaliśmy żeglugę na południe. A potem, gdy tylko słońce zaszło za wzgórze na zachodnim brzegu, poleciłem Zarasowi znaleźć bezpieczne kotwicowisko na noc. Wybrał odcinek płytkiej wody poza głównym nurtem, w zakolu rzeki.

Wiedziałem, że Grall był dokładny w swej ocenie i że ciągle znajdujemy się o prawie cały dzień żeglowania na północ od Memfis. Zaras postawił na pokładzie wszystkich statków wartę kotwiczną. Potem wystawił dodatkowych wartowników na brzegu, żeby mieć pewność, że żadni bandyci nie zakradną się na nasze pokłady pod osłoną nocnych ciemności.

Po kolacji, którą zjedliśmy przy jednym z ognisk, omówiłem z moimi trzema kapitanami taktykę taranowania nieprzyjacielskiego okrętu. Studiowałem teorię tego manewru w trakcie pisania mojego sławnego traktatu o walce na morzu. Wyjaśniłem im szczegółowo, jak zadać możliwie najwięcej zniszczeń wrogemu statkowi i jego załodze, nie uszkadzając w trakcie tych działań własnej jednostki i nie narażając na śmierć swoich ludzi. Powtórzyłem im po wielekroć, że najważniejsze jest poinstruować członków załogi, jakie pozycje powinni zająć przed kolizją z nieprzyjacielskim okrętem.

Pod wszelkimi innymi względami był to spokojny, pozbawiony wydarzeń wieczór. Przed wschodem słońca byliśmy znowu na nogach i gdy tylko rozwidniło się na tyle, żeby widzieć drogę przed dziobem, podnieśliśmy kotwice i postawiliśmy żagle.

W ciągu nocy wiatr stęzał i teraz wiał mocno z północnego wschodu. Popychał nas do przodu tak żwawo, że podnoszące się spod dziobu bryzgi moczyły nam twarze, gdy spoglądaliśmy przed siebie, stojąc odwróceny plecami w stronę rufy. Ludzie byli w doskonałym nastroju. Również niewolnicy, ciągle przykuci do niższych pokładów, dobrze reagowali na podniesienie im racji żywnościowych i na moją obietnicę, że po dotarciu do Teb zostaną wyzwoleni. Nawet kiedy stałem przy wiosle sterowym, dochodziły mnie ich śpiewy.

Myślę, że prawdopodobnie byłem jedynym człowiekiem na pokładzie, który miał złe przeczucia w odniesieniu do planowanej przez nas akcji. Od czasu, gdy opuściliśmy Teby, wszystko szło wyśmienicie i ludzie zaczęli wierzyć, że jestem nieomylny, a oni niezwycześni. Uświadamiałem sobie wystarczająco dobrze, że oba te przekonania są fałszywe. Nawet ja nie wiedziałem, co nas czeka, gdy dotrzemy do Memfis. Zacząłem gorzko żałować, że okazałem aż tyle śmiałości, żeby uprzedzić króla Beona o naszym przybyciu. Spoglądając na sprawę z perspektywy czasu, myślę, że byłoby dużo lepiej i bezpieczniej przemknąć się ukradkiem nocą przez jego stolicę, z owiniętymi wiosłami. Spokoju sumienia nie przywrócił mi nawet Zaras, który podszedł do mnie, gdy rozmyślałem przy burcie, i klepnął mnie po plecach tak dobrodusznie, że zachwiałem się od uderzenia.

– Taito, pomimo twojej sławy nigdy nie myślałem, że siedzi w tobie kawał tak brawurowego diabła. Nie znam nikogo innego, komu mogłaby się nawet przyśnić którakolwiek z twoich eskapad. Powinieneś napisać balladę, która uczciłaby twoje bohaterskie wyczyny. Jeśli jej nie napiszesz, będę się czuł zobowiązany zrobić to za ciebie. – Parsknął śmiechem i klepnął mnie znowu. Poczulem jeszcze większy ból niż przy pierwszym klapsie.

Żeglowaliśmy przez stare egipskie ziemie. Ze względu na to, że wiele lat temu zostały one opanowane przez naszych wrogów, nie odwiedzałem tego odcinka rzeki od chłopięcych lat. Było to

terytorium nieprzyjazne zarówno dla mnie, jak i dla wszystkich ludzi na pokładzie, z jednym wyjątkiem.

Był nim Rohim z Dwudziestego Szóstego Pułku Rydwanów Bojowych, egipski niewolnik, którego spotkałem i uwolniłem w forcie Tamiat. Spędził pięć lat w niewoli u Hyksosów i przez połowę tego czasu był przykuty do wiosłarskich ław galery patrolującej ten odcinek Nilu.

Stał za mną i Zarasem, gdy żeglowaliśmy trierą na południe ze wzdętymi żaglami i pociągającymi mocno wiosłami. Potrafił wskazać zakręty i zakola kanału nawigacyjnego na długo przedtem, nim do nich dotarliśmy, i ostrzec nas przed przeszkodami ukrytymi pod powierzchnią wody.

Po zapadnięciu zmroku ponownie stanęliśmy na noc na kotwicy. Ale następnego ranka o świcie byliśmy znowu pod żaglami, płynąc w górę Nilu. Był to piąty dzień miesiąca Epifi, ten właśnie, który wymieniłem w liście do Beona, uprzedzając go o naszym przybyciu do Memfis.

Żeglowaliśmy przez cztery godziny, aż w końcu wpłynęliśmy do wąskiej odnogi między niskimi urwiskami. Gdy wyłoniliśmy się z niej, ujrzeliśmy przed naszym dziobem spokojną wodę, która ciągnęła się przez dobre dwie mile.

– To już ostatni odcinek przed dotarciem do Memfis – powiedział nam Rohim. – Tam, w głębi, kanał żeglowny skręca w lewo, a zaraz za zakrętem rzeki ukaże się miasto Memfis leżące na obu brzegach.

– Zatrzymaj statek! – rzuciłem do Zarasa. – Niech wiosłarze odpoczną aż do zakrętu. Każ im się napić wody z bukłaków. Muszą być przygotowani, żeby na mój sygnał nadać nam prędkość taranowania. – Gdy tylko podnieśliśmy wiosła na pokład, pozostałe dwie triery natychmiast poszły za naszym przykładem. Trzy nasze statki płynęły dalej wąskim kanałem tylko pod żaglami.

Na rzece panował ożywiony ruch łodzi wszelkich typów i rozmiarów, od galer do łodzi rybackich i barkasów. Zachowywały się zupełnie inaczej niż jednostki, jakie

napotykaliliśmy wcześniej. Chociaż z szacunkiem ustępowały nam drogi, nie próbowały przed nami uciekać. Gdy je mijaliśmy, ich załogi wymachiwały do nas rękami i wykrzykiwały przyjazne pozdrowienia.

– Oczekują nas – powiedziałem z zadowoloną miną do Zarasa, próbując ukryć, że poczułem ulgę. – Wydaje się, że nasz gołąb znalazł drogę do swojego gołębnika.

Zaras spojrział na mnie z nieukrywanym zdziwieniem.

– Czy nie to zaplanowałaś, dostojny panie? Spodziewałaś się czegoś innego? – zapytał.

Potrząsnąłem głową i odwróciłem się. Opada mnie zniechęcenie, gdy ludzie oczekują, że dokonam cudów za sprawą zwykłej rutyny. Wiem, że jestem bardziej przebiegły i chytry niż większość pozostałych śmiertelników, wiem też, że lepiej jest mieć szczęście niż bystry umysł, ale, moim zdaniem, szczęście jest kapryśną kochanką. Nigdy nie jestem pewien, kiedy mnie opuści.

Ruszyłem przejściem między ławami wioślarzy i także tutaj znalazłem równie dziecięcą ufność i bezgraniczne oczekiwania. Ludzie witali mnie uśmiechami i głupimi żarcikami, które odwzajemniałem im z taką samą otwartością.

Tak naprawdę chciałem jednak sprawdzić, czy na łuki ukryte pod ławami nałożone są cięciwy, a kołczany obok nich wypełnione strzałami.

Mając silny wiatr prosto od rufy, sunęliśmy szparko pod prąd i ostatni zakręt rzeki zdawał się przybliżać w wyścigowym tempie. Bez pośpiechu, uśmiechając się ciągle i wymieniając żarty z wioślarzami, wróciłem na moje miejsce przy wiośle sterowym.

Rzuciłem okiem w lewo i w prawo, żeby się upewnić, że triery Dilbara i Akemiego płyną obok nas w szyku grota strzały, gotowe do ataku. Zarówno Dilbar, jak i Akemi unieśli ręce, żeby mnie pozdrowić i zasygnalizować gotowość do bitwy. Gdy wchodziliśmy w zakręt, kiwnąłem głową Zarasowi i wykrzyknąłem jedno słowo:

– Wiosła!

Rozpostarliśmy na nowo skrzydła, pióra wioseł musnęły powierzchnię wody.

– Ciągnąć! – zakomenderowałem i końce wioseł zanurzyły się, chwyciły wodę i popchnęły nas do przodu, niemal podwajając naszą prędkość. Bębniści podjęli wybijanie tempa pociągnięć, podnosząc je, gdy nasza prędkość zaczęła rosnać.

Nagle wyszliśmy z zakrętu. Otworzyły się brzegi po obu stronach rzeki i naszym oczom ukazało się miasto Memfis. Oślepiające światło słońca odbijało się od marmurowych ścian i wież, od kopuł i dachów pokrytych płatami złota. Przed nami rozpościerał się widok na wspaniałe pałace i świątynie, rzucając niemal wyzwanie wspaniałości moich ukochanych Teb.

Przy obu brzegach rzeki stały w trzech lub czterech rzędach małe łodzie wypełnione ludźmi. Tłoczyli się nieprzeliczoną ciżbą. Większość jednostek udekorowano białymi i czerwonymi chorągiewkami, które to barwy, jak mi wiadomo, są u Hyksosów symbolami radości i szczęścia. Tłumy machały na powitanie palmowymi gałązkami. Ich głosy stapały się w zgiełkliwych śpiewach i dzikich wyciach.

Na środku Nilu pozostawiono szeroki pas zupełnie wolny od łodzi, żeby zrobić nam miejsce. Na drugim końcu tej wodnej drogi zakotwiczona była flotylla wspaniałe pomalowanych barek i rzecznych galer. Pośrodku nich znajdowała się barka królewska, która zaćmiewała wszystkie inne na rzece, z wyjątkiem naszych trzech statków.

– Podnieś tempo do prędkości taranowania – rzuciłem głośno do Zarasa, starając się przekrzyczeć wrzawę. – Czerwona barka w środku ich formacji musi należeć do Beona. Steruj na nią.

Uniosłem obie ręce i upewniłem się, że jedwabna maska okrywa dolną połowę mojej twarzy niemal po oczy, a potem mocno wcisnąłem na głowę hełm z brązu. Chciałem mieć całkowitą pewność, że w jakimś nieprzychylnym momencie w przyszłości nikt z dworu Beona mnie nie rozpozna.

Dwaj ludzie przy wiosle sterowym nieomylnie mierzyli taranem z brązu na dziobie naszej triery w środek paradnej barki króla Beona. Dwie pozostałe nasze triery trzymały się nieco z tyłu, o pół długości statku od obu naszych burt, tak żebyśmy uderzyli jako pierwsi. Nasz bębniarz wybijał tempo pociągnięcia wiosłami dla prędkości taranowania, a moje serce biło niemal dokładnie w tym samym rytmie.

Prędko odległość między nami a czerwoną barką zmniejszyła się z czterystu do dwustu kroków. Zobaczyłem, że barka zakotwiczona jest zarówno od dziobu, jak i od rufy, w związku z czym stała zwrócona burtą do prądu. Na środku górnego pokładu znajdowała się wysoka piramida ze stopniami, zwieńczona na szczycie płóciennym baldachimem. Pod baldachimem dostrzegałem tron i siedzącą na nim wielką ludzką postać. Ciągle jednak była ona zbyt daleko ode mnie, żebym mógł być pewien jakichś szczegółów.

Wokół tronu stała honorowa straż włóczników w zbrojach i z pełnym uzbrojeniem. Ich hełmy i napierśniki lśniły groźnym bitewnym blaskiem.

Po obu stronach królewskiej barki zakotwiczone były mniejsze jednostki. Tłoczyli się na nich dworzanie z otoczenia Beona. Wydawało mi się, że jest ich kilkuset, ale byli upakowani tak gęsto, że nie można było dokładnie ocenić ich liczby, w dodatku większość kobiet kryła się za wyższymi mężczyznami. Wszyscy byli roześmiani, pozdrawiali nas i machali rękami. Niektórzy z mężczyzn mieli na sobie ceremonialne zbroje i zdobne metalowe hełmy. Inni, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, ubrani byli w odświętne stroje uszyte z egzotycznych materiałów we wszelkich możliwych do pomyślenia kolorach. W swej fantastycznej wielobarwności przypominali chmurę świeżo wyklutych motyli, które trzepocą skrzydłami, wirują i tańczą na wietrze.

Na mniejszej łodzi, która była przycumowana wzdłuż do burty wielkiej królewskiej barki, stała grupa muzyków wygrywających barbarzyńskie hyksoskie melodie. W tej

kakofonii uderzenia bębenków stapały się z dźwiękami lutni, a trąby ze zwierzęcych rogów starały się przekrzyczeć drewniane i trzcinowe piszczałki.

Pędziliśmy tak żwawo w kierunku królewskiej barki, że teraz mogłem już odróżnić szczegóły, wcześniej niewyraźne z powodu odległości. Pod malowanym baldachimem, na szczycie podium w kształcie piramidy, na tronie z kutego srebra siedział król Beon. Odziedziczył ten tron po swoim ojcu, królu Salitisie.

Ponieważ widziałem Beona na polu bitwy pod Tebami, rozpoznałem go od razu. Wtedy dowodził lewym skrzydłem Hyksosów, mając pod swoją komendą czterdzieści tysięcy piechoty i łuczników. Nie był to typ człowieka, którego łatwo zapomnieć.

Potężnej postury, ubrany był w białe szaty wydęte jak namiot, powiewający wokół wystającego brzucha. Jego czarna kręcona broda zapleciona była w grube sznury, z których kilka zwisało mu do pasa, a inne odrzucił na ramiona. W warkoczyki wplecione były łańcuszki i inne ozdoby z błyszczącego srebra i złota. Głowę wieńczył mu wysoki hełm z polerowanego srebra nabijany szlachetnymi kamieniami układającymi się w lśniące, ozdobne wzory. Wyglądał wspaniale, niemal jak jakiś bóg. Nawet ja, który odczuwam obrzydzenie do wszystkiego, co hyksoskie, byłem pod wrażeniem.

Król Beon uniósł jedną rękę, zwracając otwartą dłoń w geście pozdrowienia lub może błogosławieństwa. Nie byłem pewien, jakie miał intencje, ale się uśmiechał.

W paru zwięzłych słowach wskazałem Zarasowi najbardziej czułe miejsce kadłuba królewskiej barki, w którym ześrodkowane było naprężenie jego głównych wręg. Znajdowało się tuż przed wysokim podium, wysunięte lekko ku dziobowi.

– Wyceluj w to miejsce, Zarasie, i trzymaj na nie kurs aż do momentu uderzenia.

Byliśmy teraz tak blisko, że mogłem dostrzec, że król Beon już się nie uśmiecha. Opadła mu szczeka, odsłaniając pocerniałe przednie zęby. Nagle zamknął usta. Wraz z tym spóźnionym

odruchem uświadomił sobie, że mamy wrogie zamiary. Oparł się owłosionymi szponami na podłokietnikach tronu i próbował podnieść na nogi. Ale robił to niezgrabnie i powoli.

Dworzanie stłoczeni na barkach po obu stronach królewskiego statku nagle uświadomili sobie zagrożenie ze strony naszych rozpędzonych trier, które kierowały się prosto na nich. Usłyszałem dzikie wrzaski kobiet. Mężczyźni zaczęli przepychać się do burt zakotwiczonych barek, wyciągając broń i rzucając w naszą stronę daremne wyzwania i wściekłe ryki. Na moich oczach wiele kobiet zostało przewróconych i stratowanych. Inne ciągnięto do burt łodzi. Te, które się przy nich znalazły, same skakały albo były wrzucane do Nilu. Pędziliśmy na to kłębowisko niczym górska lawina.

– Wiosła! – zawołał głośno Zaras, starając się przekrzyczeć lamenty i wrzaski Hyksosów. Wioślarze po obu stronach naszej triery unieśli wiosła do pozycji pionowej i umocowali je w zagłębieniach, żeby nie zostały ścięte przy uderzeniu. Nasz rozpęd nie zmniejszył się, gdy pokonywaliśmy ostatnie kilkanaście łokci otwartej wody.

W ostatniej chwili przed uderzeniem padłem na kolana na pokład i chwyciłem się ławy wioślarskiej przede mną. Zobaczyłem, że ludzie wokół mnie biorą wreszcie na serio moje instrukcje. Wszyscy zgięli się wpół, obejmując rękami uda i przyciskając twarze do kolan.

Uderzyliśmy w królewską barcę dokładnie w miejscu, które wskazałem Zarasowi. Masywny taran z brązu na dziobie z hukiem i trzaskiem rozpruł listwy jej poszycia. Nagłe wyhamowanie sprawiło, że większość naszych ludzi została zrzucona z ław na pokład, ale mnie udało się utrzymać chwyt na sztywnej ławie z twardego drewna. Byłem w stanie obserwować wszystko, co dzieje się wokół mnie.

Pełna siła rozpędu i ciężar naszej triery skupiły się na małej powierzchni burty królewskiej barki. Przyglądałem się, jak taran przecina ją z łatwością, niczym ostrze ciężkiego topora uderzające w kłoc drewna opałowego. Odcięte połowy kadłuba

zakołysały się pod naszym dziobem, gdy zaczęliśmy brać je pod siebie.

Zobaczyłem, jak hyksoscy gwardziści wylatują ze stopni królewskiej piramidy, koziołkując i wirując niczym jesienne liście porwane z wysokich gałęzi sykomory przez zimową wichurę. Król Beon został rzucony najwyżej ze wszystkich. Jego białe szaty furkotały wokół potężnego korpusu, a zaplecione warkocze brody tłukły go po twarzy. Wpadł do rzeki, wymachując rękami i nogami. Dzięki powietrzu uwięzionemu w jego szatach utrzymał się na powierzchni mniej niż trzydzieści kroków od miejsca, w którym dźwigałem się z trudem na nogi, używając jako podpory ławy wioślarskiej.

Pozostałe nasze triery uderzyły po obu stronach w mniejsze barki i łodzie Hyksosów. Wywracały je bez trudu, rozdierając ich kadłuby i wyrzucając jak z katapulty przerażonych pasażerów do rzeki.

Resztki wraku królewskiej barki ocierały się o burty naszej triery przy akompaniamencie rozdieranych żagli, pękających lin, latających drzazg z klepek poszycia i rozpaczliwych krzyków ludzi miażdżonych między ścierającymi się kadłubami. Pokład naszego statku przechylił się pod ostrym kątem, ludzie i luźne elementy wyposażenia zaczęły się ześlizgiwać ku lewej burcie.

Chwilę potem nasz piękny statek uwolnił się, z niemal kobiecym wdziękiem odzyskał równowagę i wyprostował się na wodzie.

– Wiosła! – wrzasnął Zaras i ludzie szybko zareagowali na jego komendę. Unieśli ciężkie wiosła z uchwytów i osadzili je w dulkach.

– Ciągnąć do tyłu! – krzyknął znowu Zaras. Tylko wioślarze z tylnych ław mogli dosięgnąć wody wiosłami. Ludziom na przednich ławach blokował drogę wrak pogrążonej w wodzie barki królewskiej.

Ci, którzy mogli to zrobić, zanurzyli pióra swoich wiosel w wodzie i uwolnili nas paroma potężnymi pociągnięciami. Odcięte połowy królewskiej barki szybko wypełniły się wodą.

Przewróciły się na bok i poszły na dno. Na powierzchnię wydostały się z bulgotaniem bąble uwięzionego w nich powietrza.

Obejrzałem się na pozostałe dwie triery. Dilbar i Akemi wykrzykiwali rozkazy do swoich ludzi. Ich załogi wdrapały się prędko na ławy, chwyciły za wiosła i zaczęły pociągać nimi w rytm uderzeń bębnów. Sternicy kierowali je znowu na miejsce w szyku, obok naszego prowadzącego statku.

Woda między nami pokryła się poszarpanymi resztkami statków i podskakującymi głowami ludzi, którzy z wysiłkiem walczyli o życie. Krzyki tonących mężczyzn i kobiet były równie żałosne, jak beczenie owiec gnanych przez bramę rzeźni, gdy poczują krew zaszlachtowanych wcześniej zwierząt.

Przez długą chwilę przyglądałem się z przerażeniem tej rzezi. Czułem się niemal przygnieciony poczuciem winy i wyrzutami sumienia. Nie byłem już w stanie zmusić się do tego, żeby w tych ginących ludziach widzieć jedynie hyksoskie bestie. Byli istotami ludzkimi próbującymi ratować swe życie. Moje współczujące serce było przy nich.

Ale potem znowu zobaczyłem króla Beona i moje odczucia momentalnie się zmieniły. Moje serce wróciło na miejsce równie szybko i bezbłędnie, jak gołąb do gołębnika. Przypomniałem sobie, co Beon uczynił naszym dwustu najlepszym i najdzielniejszym łucznikom, gdy jego hyksoskie dzikusy schwytały ich w bitwie pod Naquadą. Zabarykadował ich w świątyni Seta na wzgórzu, nad polem bitwy, i spalił żywcem, składając z nich ofiarę dla swego potwornego boga.

Teraz trzymał się jedną ręką połamanej deski z królewskiej barki, podczas gdy w drugiej dzierżył zdobiony klejnotami miecz, rąbiąc nim głowy kobiet ze swego haremu, które próbowały się uratować razem z nim dzięki jego desce. Odpędzał je bezlitośnie, nie chcąc podzielić się tą podporą z choćby jedną z nich. Zobaczyłem, jak uderza młodziutką dziewczynę, nie starszą od mojej ukochanej Bekathy. Jego miecz rozciął jej czaszkę aż po brodę, jakby miał przed sobą dojrzały owoc granatu. Podczas gdy

jej jasna krew tryskała, zabarwiając wodę wokół, Beon obrzucił ją jakimś wyzwiskiem i uderzył znowu.

Pochyliłem się błyskawicznie i wyciągnąłem zakrzywiony łuk bojowy spod ławy naprzeciwko mnie. Z kołczana koło moich stóp sterczało mnóstwo strzał. Założyłem jedną z nich na cięciwę, prostując się i naciągając ją maksymalnie. Jak każdy doświadczony łucznik, zawsze wypuszczam strzałę, gdy cięciwa dotyka moich ust. Jednak tym razem ręce trzęsły mi się z wściekłości i strzała nie trafiła w cel. Zamiast przeszyć gardło Beona, tak jak zamierzyłem, przyszpiliła jego przedramię do deski, na której leżał, tej samej, dla której zabił swoją młodziutką oblubienicę.

Zaras i inni przyglądający mi się ludzie zawyli z uciechy. Wiedzieli, jak dobrze potrafię strzelać, i sądzą, że celowo zraniłem Beona w ramię. Założyłem następną strzałę i tym razem, przyznaję to otwarcie, chciałem się popisać przed moją widownią. Rozmyślnie przygwoździłem do deski rękę Beona, w której trzymał miecz. Teraz leżał rozciągnięty na drewnianej desce, jakby był ukrzyżowany. Wył niczym przerażony szakał, którym był w istocie.

Jestem z natury współczującym człowiekiem, więc nie pozwoliłem mu cierpieć o wiele dłużej, choć na to ze wszech miar zasługiwał. Moja trzecia strzała trafiła go dokładnie w środek gardła.

Załogi wszystkich trzech trier poszły za moim przykładem. Ludzie chwycili za łuki i stłoczyli się przy burtach, żeby zasypać gradem strzał łotrów taplających się nieudolnie w wodzie pod nimi.

Nie miałem sił, żeby temu zapobiec, lub może zabrakło mi motywacji, żeby to uczynić. Wielu z moich ludzi straciło ojców i braci z rąk tych szubrawców. Ich siostry i matki zostały przez nich zgwałcone, a domy puszczane z dymem.

Stałem więc i patrzyłem, jak moi żołnierze wycinają w pień hyksoską arystokrację. Dopiero gdy ostatni, najeżony strzałami

trup został porwany z prądem, odzyskałem kontrolę nad moimi ludźmi i zagnałem ich z powrotem na ławy wiosłarskie.

Zupełnie nieskruszeni, ciągle wyjący z krwiożerczą radością, podnieśli żagle i pochylili się znowu nad wiosłami. Zostawiliśmy Hyksosów na łasce i niełasce ich odrażającego boga Seta i pomknęliśmy na południe w kierunku Teb i prawdziwego królestwa Egiptu.

Granica między naszym umiłowanym Egiptem a terytoriami zajętych przez hordy Hyksosów nigdy nie została dokładnie wyznaczona. Walki polegające na atakach i kontratakach prowadzone były ze zmiennym szczęściem i losy wojny ważyły się w całym kraju.

Opuściliśmy Teby piątego dnia miesiąca Paini. W tamtym czasie naczelną wodzą Kratas przepędził hyksoskich najeźdźców dwadzieścia mil na północ od miasta Szeik Abada. Ale teraz upłynął już ładny kawał miesiąca Epifi, więc wiele mogło się zmienić podczas naszej nieobecności. Ciągłe jednak mieliśmy po swojej stronie element zaskoczenia.

Ani Hyksosi z frontowej linii wojsk, ani ludzie z naszej armii walczący pod dowództwem wodza Kratasa nie byli przygotowani na cudowne pojawienie się minojskich okrętów wojennych na naszym Nilu, przeszło czterysta mil od brzegów Morza Śródziemnego.

Na południowych odcinkach Nilu nie było żadnych statków hyksoskich ani egipskich, które mogłyby stawić czoło naszym trierom. Dopiero co dowiedliśmy, że nie sposób nas zatrzymać. Oczywiście Hyksosi mogli posłać gołębie, próbując uprzedzić o naszej eskapadzie swoje wojska stojące między nami i Egiptem. Ale gołębie to wolne duchy, latające tylko do miejsc, w których się wylęgły, a nie tam, dokąd najbardziej chcieliby je wysłać ich opiekunowie.

Nie stawaliśmy już na kotwicy na noc, ponieważ byliśmy na rodzinnych wodach i znaleźliśmy każdy zakręt i każdą piaszczystą ławicę, każdy kanał i każdą przeszkodę w tej części rzeki.

Sześć dni i sześć nocy po opuszczeniu Memfis, kilka godzin przed północą, gdy właśnie wstawał Księżyc w pierwszej kwadrze, minęliśmy strefę zajętą przez obozujące armie.

Na przestrzeni kilku mil po obu brzegach Nilu rozrzucone były ogniska strażnicy walczących ze sobą legionów. Dzielił je tylko wąski pas ciemności, wyznaczający ziemię niczyją.

Nie zapalaliśmy na naszych statkach żadnych świateł z wyjątkiem małej osłoniętej lampki na rufie, która służyła nam do utrzymania wzajemnego kontaktu w ciemnościach. Te blade światełka nie były widoczne z brzegów rzeki. Nie życzyłem sobie, aby rozpoznała mnie którakolwiek z armii, toteż trzymaliśmy się środka rzeki. Posuwaliśmy się do przodu, nie napotykając żadnych przeszkód, aż w końcu znaleźliśmy się w naszym ukochanym Egipcie.

O świcie natknęliśmy się na małą flotyllę ośmiu rzecznych galer płynących w naszym kierunku od strony Teb. Już z daleka zauważyłem, że są wyładowane egipskimi żołnierzami. Podnoszono właśnie na nich niebieskie flagi faraona Tamose. Domyśliłem się, że muszą to być egipskie statki zaopatrzeniowe wiozące posiłki dla armii Kratasa.

Na widok naszej dziwnej flotylli płynącej wprost na nich, wszystkie bez wyjątku przełożyły w panicznym strachu ster, próbując uciec przed nami. Kilka dni temu kazałem moim ludziom uszyć prymitywne, ale rozpoznawalne niebieskie flagi, przygotowując się na takie właśnie spotkanie. Każda z naszych trier podniosła jedną z nich na szczyt masztu i galery odpłynęły do brzegu, żeby nas przepuścić. Ich załogi wlepiały w nas zdziwione spojrzenia, gdy przepływaliśmy obok nich w kierunku Teb, posyłając im tylko przelotne pozdrowienie. Jestem pewien, że żadna z nich nie widziała nigdy takich statków, jak nasze triery.

Było to spotkanie, którego wolałbym uniknąć, gdyby to było w ogóle możliwe. Stałoby się dużo lepiej, gdyby los trier ze skarbem pozostał na zawsze zagadką dla Najwyższego Minosa Krety. Nie powinien on nigdy zwątpić w to, że Hyksosi są fałszywymi sprzymierzeńcami, którzy zagarnęli jego nieprzeliczone srebrne sztabki. Żeby to osiągnąć, musiałem dopilnować, aby zdobyty przez nas skarb, bez względu na to, jak wielki i okazały, zniknął bez śladu. Zadanie to mogłoby zniechęcić mniej wybitnego człowieka, ale ja znalazłem już rozwiązanie.

W okresie poprzedzającym wypędzenie naszego ludu z ojczyzny przez Hyksosów, czyli przed exodusem, naszym władcą był faraon Mamose. Ja, Taita, byłem wówczas niewolnikiem wielkiego Intefa, który był nomarchą Karnaku i wielkim wezyrem wszystkich dwudziestu dwóch nomów Górnego Egiptu. Jednak oprócz wielu innych jego tytułów i honorów mój właściciel był też nadzorcą nekropoli i strażnikiem królewskich grobowców.

Odpowiadał za utrzymanie miejsc pochówku wszystkich faraonów, zarówno zmarłych, jak i żyjących. Ale, co ważniejsze, był też oficjalnym architektem grobowca faraona Mamose.

Mój pan Intef nie był obdarzony żadnymi twórczymi zdolnościami. Jego talenty sprowadzały się raczej do umiejętności pustoszenia i niszczenia. Wątpię, czy umiałby zaprojektować oborę dla bydła czy choćby gołębnik, a co dopiero wyszukany grobowiec, odpowiedni dla faraona. Zatrzymując dla siebie królewską łaskę i fawory, jakie towarzyszyły temu tytułowi, pozostawił mi całą uciążliwą pracę, której nie lubił i nie mógł wykonać z uwagi na swoje ograniczone zdolności i umiejętności.

Moje wspomnienia dotyczące Intefa nie należą do przyjemnych. To on polecił jednemu ze swoich ulubionych pacholków, żeby pozbył się mnie nożem do trzebienia. Był człowiekiem okrutnym i skrajnie bezlitosnym. Ale koniec końców zdołałem przecież wyrównać nasze rachunki.

Na długo przed szczęśliwym dniem, w którym do tego doszło, zaprojektowałem wszystkie komory, tunele i salę pogrzebową wspaniałego grobowca faraona Mamose. A potem nadzorowałem robotników, murarzy, artystów i wszelkiego rodzaju rzemieślników zatrudnionych przy tym przedsięwzięciu.

Zewnętrzny sarkofag faraona Mamose został wyrzeźbiony z ogromnego bloku granitu. Był wystarczająco pojemny, aby pomieścić siedem srebrnych, wchodzących jedna w drugą trumien, które dokładnie pasowały do siebie. Ostatnia z nich, wewnętrzna, przeznaczona była na zabalsamowane ciało faraona. Wszystkie zaś składały się na masywną całość. Ciężar ten należało przenieść z wielkim szacunkiem ze świątyni pogrzebowej na brzegach Nilu do odległego od niej o przeszło trzy tysiące kroków grobowca u stóp Doliny Królów.

Aby umożliwić to przeniesienie, wykopano pod moim nadzorem kanał, który biegł prosto jak strzała od brzegów Nilu przez nadbrzeżną, czarnoziemną równinę do wejścia do królewskiego grobowca. Był on wystarczająco szeroki i głęboki, aby mogła do niego wpłynąć barka pogrzebowa faraona.

Przeznaczenie zdecydowało jednak inaczej i faraon Mamose nie przeleżał nawet jednego dnia w swoim grobowcu, gdyż wcześniej Hyksosi przepędzili nas z kraju. Gdy wyruszaliśmy na długie wygnanie, dowodząca nami jego żona, królowa Lostris, kazała zabrać w drogę jego zabalsamowane ciało.

Wiele lat później królowa Lostris poleciła mi zaprojektować i zbudować kolejny grobowiec na dzikim nubijskim pustkowiu, odległym o tysiące mil na południe. To tam spoczywał obecnie Mamose.

Przez te wszystkie lata pierwotny grobowiec w Dolinie Królów pozostawał pusty. Ale dla moich planów ważniejsze było to, że kanał, który zbudowałem od świątyni pogrzebowej na brzegu Nilu do królewskiego grobowca, był ciągle w doskonałym stanie. Wiedziałem o tym, ponieważ całkiem niedawno jechałem jego brzegiem z dwiema małymi księżniczkami, żeby im pokazać pusty grobowiec ich ojca. Muszę przyznać, że żadna z nich nie

okazała większego zainteresowania tą lekcją historii własnego rodu.

Mimo upływu lat dokładnie pamiętałem wymiary barki pogrzebowej faraona Mamose. Moja pamięć jest niezawodna. Nigdy niczego nie zapominam, żadnej postaci ani twarzy.

Zmierzyłem teraz długość i szerokość zdobytych przez nas minojskich galer ze skarbem. Następnie poleciłem Zarasowi, żeby zakotwiczył na krótko na spokojnej wodzie, po czym zanurkowałem pod kile, żeby zmierzyć, jak głęboko zanurzają się one z pełnym ładunkiem sztabek w ładowniach. Pomiary różniły się nieco dla poszczególnych statków.

Wyłynąłem na powierzchnię zadowolony z wyników moich badań. Teraz mogłem już porównać rozmiary barki pogrzebowej faraona Mamose z wymiarami zdobycznych galer. Największa z trier mogła przepłynąć kanałem pogrzebowym, mając zapas dziesięciu łokci wolnej przestrzeni po obu stronach kadłuba oraz piętnastu łokci wody pod kilem. Jeszcze bardziej zachęcające było to, że przez te wszystkie lata wyłożyłem kanał blokami granitu i zaprojektowałem system śluz oraz żurawie do podnoszenia poziomu wody, aby zawsze był wypełniony wodą z Nilu.

Uzyskałem potwierdzenie, że jeśli odnosimy się do bogów z pełnym szacunkiem i respektem, jakiego są godni i jakiego oczekują, często okazują nam wdzięczność. I choć bywają kapryśni, tym razem pamiętali o mnie.

Zaplanowałem ostatni odcinek naszej podróży tak, żeby dotrzeć do wejścia do kanału pogrzebowego krótko po zachodzie słońca. Przycumowaliśmy w ciemności do kamiennego nabrzeża naprzeciwko świątyni pogrzebowej faraona Mamose. Oczywiście Mamose jest teraz bogiem i ma własną świątynię, tę właśnie, z której rozciąga się widok na Nil i która wznosi się tylko parę kroków od nabrzeża, gdzie teraz dobiliśmy z Zarasem.

Nie jest także zbyt imponująca. Muszę przyjąć odpowiedzialność za ten stan rzeczy. Gdy wróciliśmy do Teb z wygnania i pokonaliśmy Hyksosów w bitwie koło tego miasta,

moja pani, królowa Lostris, postanowiła wznieść świątynię poświęconą jej małżonkowi, zmarłemu dawno temu faraonowi. Chciała go uczcić, a zarazem złożyć podziękowanie za nasz bezpieczny powrót z dzikiego pustkowia.

Oczywiście zbudowanie świątyni powierzyła mnie. Gdy zapoznałem się z rozmiarami i wspaniałością budowli, jaką sobie wymarzyła, byłem zarówno zszokowany, jak i zaniepokojony. Przewyższyłaby i zaćmiła wielki pałac faraonów stojący naprzeciwko niej po drugiej stronie rzeki. Faraon Mamose sprowadził nasz umiłowany Egipt niemal do stanu nędzy budową swoich dwóch grobowców, jednego tutaj, przy wejściu do Doliny Królów, i drugiego, jeszcze bardziej skomplikowanego i kosztownego, w Nubii.

Teraz moja pani, którą uwielbiałem i ubóstwiałem, ponownie planowała zubożenie kraju kolejną budowlą ku jego pamięci.

Na szczęście mam znaczny wpływ na jej jedyne go syna, obecnego faraona Tamose, który jest rozsądnym młodzieńcem. Nauczyłem się także, wykorzystując czasami przykre doświadczenia, jak zapanować nad najbardziej szalonymi ekscesami mojej królowej. Świątynia poświęcona Mamose, której wymiary w końcu ustaliliśmy, była dwa razy mniejsza niż pałac poborcy podatków w Tebach, a nawet udało mi się zrezygnować z marmurowych posadzek.

Tej wielkości budowla nie wymagała już posługi tylu kapłanów, ilu przewidywała moja królowa. Starłem się nie ulegać jej sugestiom, aż w końcu uniosła ręce w geście rezygnacji i zgodziła się na moją propozycję, aby ograniczyć się do czterech kapłanów, zamiast planowanych pierwotnie czterystu.

Teraz, gdy razem z Zarasem pokonaliśmy drogę od rzeki do tylnego wejścia do świątyni i weszliśmy do głównej nawy, nie zapowiadając naszej wizyty, stwierdziliśmy, że ci czterej pobożni mężczyźni znajdują się w stanie bardziej niż umiarkowanego upojenia tanim palmowym winem. Znajdowali się w towarzystwie dwóch młodych kobiet, które z jakiegoś tajemnego i niejasnego powodu nie miały na sobie żadnego

odzienia. Pogrążyły się właśnie w rytualnej modlitwie wraz z dwoma kapłanami faraona Mamose, która polegała na tarzaniu się po podłodze z wypalanych cegieł z mułu, wzajemnym obłapianiu się i wydawaniu okrzyków szaleńczego oddania. Dwaj inni kapłani stali nad nimi, klaszcząc w dłonie i zachęcając tamtych czcicieli, aby włożyli jeszcze więcej wysiłku w ten pokaz religijnej dewocji.

Minęła chwila, zanim którekolwiek z nich zdało sobie sprawę z naszej obecności. W tym momencie obie panie pospiesznie pozbierały swoje ciuszki i znikły w sekretnych drzwiach za posągiem boga Mamose. Nie zobaczyliśmy ich więcej, nie zostały też wspomniane w naszej rozmowie z kapłanami.

Kapłani Mamose są dobrze do mnie usposobieni. Od śmierci królowej Lostris jestem odpowiedzialny za wypłacanie im comiesięcznych pensji. Cała czwórka padła przede mną na kolana, korząc się żywiołowo i błagając boga, by na moją głowę spłynęło jego błogosławieństwo.

Gdy tak klęczeli, wyjąłem spod płaszcza faraonową pieczęć sokoła. Zaniemówili ze strachu. Arcykapłan podpełzł do moich stóp i próbował je pocałować. Śmierdział okropnie potem, tanim winem i jeszcze tańszymi kobietami. Cofnąłem się o krok, po czym Zaras wyperswadował mu dalsze okazywanie pobożności, przykładając miecz płaską stroną do jego gołych pośladków.

Następnie zwróciłem się do wszystkich czterech w krótkich, ale stanowczych słowach, ostrzegając ich surowo, że nie wolno im wspomnieć ani nadmienić nikomu z wyjątkiem faraona Tamose we własnej osobie o obecności trzech dużych okrętów wojennych, które przycumowane są do nabrzeża naprzeciwko frontowych drzwi ich świątyni. W dodatku przy ich świątyni i przed pustym grobowcem przy drugim końcu kanału mają stać dzień i noc straże. Tylko tym ludziom pod komendą kapitana Zarasa będzie w przyszłości wolno wchodzić do tych świętych miejsc. Te same straże mają też dopilnować, aby wszyscy czterej kapłani samowolnie nie opuszczali tego przybytku.

Na koniec poleciłem arcykapłanowi, żeby wręczył mi pęk kluczy do grobowca i wszystkich innych pomników znajdujących się pod jego opieką. Gdy rozstawaliśmy się z nimi, wciąż jeszcze zapewniali o swojej obowiązkowości i oddaniu mnie oraz faraonowi, przyrzekli też całkowite posłuszeństwo wobec moich rozkazów. Wróciłem z Zarasem na nasze statki.

Spadek terenu między wejściem do Doliny Królów a wlotem kanału przy rzece wynosi niecałe dwadzieścia łokci, ale trzeba było użyć czterech oddzielnych śluz, żeby podnieść każdą z trier do poziomu umożliwiającego dotarcie do grobowca. Wprowadziliśmy za pomocą wiosł pierwszy statek do śluzy przed świątynią i zamknęliśmy wrota za jego rufą. Poziom wody w śluzie był o pięć łokci niższy niż w następnym odcinku kanału.

Pokazałem moim trzem kapitanom, jak się otwiera wrota, aby woda z położonej wyżej sekcji kanału spłynęła do śluzy i powoli podniosła ogromny statek do tego samego poziomu. Wówczas pięćdziesięciu ludzi przy linach holowniczych przeciągnęło wielką trierę do następnej śluzy. Tymczasem za jej rufą powtarzano całą procedurę związaną z podnoszeniem następnej triery.

Żaden z moich ludzi nigdy nie widział niczego podobnego i nie było w tym nic dziwnego, ponieważ to ja wymyśliłem owo urządzenie. Drugiego takiego nie było i nie ma w całym świecie. Byli nim tak zachwyceni i podnieceni, że uznali je za czarnoksiężstwo. Nie wiedzieli jednak, że magiczne sztuczki zazwyczaj wymagają ciężkiej pracy.

Na szczęście miałem przeszło dwustu ludzi, których mogłem zatrudnić przy tej robocie. Wraz z nimi pracowali też niewolnicy, którzy zostali przykuci przez Minojczyków pod pokładami. Teraz zostali uwolnieni, ale byli zobowiązani zapracować na swoją wolność.

Woda, która przeciekła z położonej wyżej części kanału w celu podniesienia statku, musiała zostać uzupełniona. Osiągnąłem to, pompując świeżą wodę z rzeki za pomocą baterii żurawi. Każdy z nich obsługiwany był przez dwóch ludzi

i opatrzone wiadrem oraz przeciwwagą. Całą tę wymagającą i pracochłonną procedurę trzeba było powtarzać cztery razy przy podnoszeniu każdej triery.

Przed wprowadzeniem statku do pierwszej śluzy jego maszty i żagle składano na górnym pokładzie. Potem kadłub okrywano plecionymi matami trzciniowymi, aż zaczął przypominać bezkształtną stertę śmieci. Chodziło o to, aby mieszkańcy Teb, spojrzawszy po przebudzeniu się następnego ranka na przeciwległy brzeg rzeki, nie dostrzegli na nim nic dziwnego. Trzy wielkie triery miały zniknąć tak, jakby nigdy ich nie było.

Świtało już prawie, zanim przeciągnęliśmy statki przez równinę i zacumowaliśmy je przed wejściem do grobowca Mamose. Ludzie byli wyczerpani, dlatego poleciłem Zarasowi, żeby wydał im dodatkowe racje suszonej ryby, piwa i chleba, i pozwoliłem im wypocząć w czasie gorących dziennych godzin.

Udałem się flisacką ścieżką nad kanałem z powrotem do świątyni. Wydawało się, że kapłani pozbierali się już po wyczerpujących rytuałach, oddawaniu czci i modlitwach z poprzedniego wieczoru. Przewieźli mnie łodzią świątynną przez rzekę, ponieważ zamierzałem złożyć faraonowi sprawozdanie z naszej udanej wyprawy.

Był to przyjemny obowiązek, którego dopełnienia nie mogłem się wprost doczekać. Moje uwielbienie dla faraona ustępuje tylko czci, jaką darzyłem jego matkę, królową Lostris. Oczywiście jest rzeczą daremną porównywać uczucia najwyższego poświęcenia się, więc rozmyślnie nie wymieniam tu królewskich księżniczek. Powiem tylko, że moje oddanie królewskiej rodzinie dotyczy wszystkich należących do niej osób.

Skruszeni kapłani wysadzili mnie na schodkach, naprzeciwko bazarów w nadbrzeżnej części miasta, które pomimo wczesnej pory były już zatłoczone. Ruszyłem wąskimi uliczkami w kierunku bramy pałacu. Nikt nie rozpoznał mojej twarzy ukrytej pod poobijanym hełmem i grubą warstwą brudu. Obskoczyła mnie tylko grupka małych oberwańców, którzy zaczęli skakać wokół mnie, wykrzykując złośliwe przezwiska

i rzucając we mnie kamieniami. Złapałem jeden z tych pocisków i odrzuciłem z powrotem, nadając mu znacznie większą prędkość od tej, z jaką doleciał do mnie. Urwis, który najwyraźniej przewodził bandzie, wrzasnął z bólu i złapał się za krwawiące obficie przecięcie na głowie, a potem czmychnął na czele swoich kompanów w bezpieczne miejsce.

Dotarłszy do pałacu, zdjąłem hełm i jedwabną szarfę, toteż dowódca pałacowej straży od razu mnie rozpoznał. Przywitał mnie z szacunkiem.

– Muszę się zobaczyć z faraonem! – powiedziałem. – Wyślij posłańca, żeby mu powiedział, że będę czekał, aż zechce łaskawie mnie przyjąć.

– Bardzo mi przykro, Taito, dostojny panie. – Nie zwróciłem mu uwagi na niestosowność tego zwrotu. Zaczynałem się przyzwyczajać do mojego nowego tytułu. – Faraona nie ma w Tebach i nie oczekujemy jego szybkiego powrotu.

Skinąłem głową. Poczulem rozczarowanie, ale tak naprawdę nie byłem zaskoczony. Faraon poświęca większą część czasu i energii na niekończącą się kampanię przeciwko Hyksosom w północnej części kraju.

– W takim razie zaprowadź mnie do szambelana, wielmożnego Atona.

Gdy wszedłem do jego prywatnego pokoju, Aton ruszył do drzwi, żeby mnie uściskać.

– I jakie przynosisz wieści, stary przyjacielu? – zapytał. – Jak ci się udała nowa przygoda?

– Wieści naprawdę poważne – odparłem, robiąc ponurą minę. – Skarb Najwyższego Minosa w jego forcie w Tamiacie został splądrowany, zamordowano też króla Beona.

Aton powstrzymał mnie wyciągniętym ramieniem i wlepił we mnie wzrok.

– Żartujesz sobie ze mnie, poczciwy Taito – rzekł oskarżycielskim tonem. – Każdy uczciwy człowiek musi zapłakać, słysząc o czymś takim! Kto mógł popełnić tak haniebne zbrodnie?

– Ach, Atonie! Obie popełniła ta sama banda. Ale być może byłbyś w stanie ją rozpoznać – odparłem, unosząc prawą dłoń na wysokość jego nosa. Aton wlepił w nią oczy z dobrze udawanym zakłopotaniem. Ktoś, kto utrzymał się tak długo na stanowisku królewskiego szambelana, musiał być utalentowanym aktorem.

Jednak chwilę potem potrząsnął głową i zaczął chichotać, z początku cicho, ale w krótkim czasie jego chichoty zamieniły się w głośny śmiech, aż w końcu zaczął parskać i pohukiwać z uciechy. Zataczał się po całym pokoju, potykając o meble i pękając ze śmiechu. Brzuch i wszystkie inne części ciała trzęsły mu się przy tym jak galareta. Nagle przestał się śmiać i popędził do sąsiedniego pomieszczenia. Nastąpiła chwila ciszy, jednak zanim zdążyłem ruszyć za nim, usłyszałem odgłosy przypominające przelewanie się Nilu przez katarakty. Wrócił dopiero po dłuższej chwili. Miał znowu poważną minę i wyglądał swoją szatę.

– Masz szczęście, mój drogi przyjacielu, że dotarłem na czas do kubła, bo inaczej mogłeś się utopić jak król Beon.

– Skąd wiesz, że król Beon się utopił?

– Oprócz uszu i oczu, które widzisz w mojej twarzy, mam jeszcze inne.

– Jeśli wiesz aż tyle, to w takim razie powiedz mi coś o skarbie Minosa.

– Nic o nim nie słyszałem. – Zaprzeczył ruchem głowy. – Czy to nie ty powinieneś coś o nim wiedzieć?

– Tylko tyle, że się myliłeś.

– W czym się myliłem?

– Powiedziałeś mi, że jego wartość może sięgnąć stu lakhów, prawda? – Aton skinął głową. – Bardzo źle go oceniłeś.

– Możesz mi to udowodnić? – zapytał.

– Mogę zrobić coś więcej, Atonie. Mogę dać ci możliwość, żebyś go zważył – zapewniłem go. – Ale zanim opuścimy pałac, muszę zostawić wiadomość faraonowi.

Aton wskazał szkatułkę z przyborami do pisania, która stała otwarta w rogu pokoju.

– Napisz wiadomość, a faraon otrzyma ją bezpośrednio do rąk przed północą – zapewnił mnie. Moja wiadomość była krótka i tajemnicza.

– Proszę, miej dla mnie cierpliwość – poprosiłem Atona błagalnym tonem, kiedy mu ją wręczyłem. – Ale ja przez prawie dwa księżyce nie kąpałem się ani nie zmieniałem ubrania. Muszę zajrzeć do mojego pokoju w pałacu, zanim wraz z tobą wrócę do grobowca faraona Mamose. – Nie uznałem za stosowne wspomnieć, że od powrotu nie widziałem się też z księżniczkami.

Gdy tylko dotarłem do mojego mieszkania, wysłałem jednego z niewolników do kwater królewskich kobiet z wiadomością do Ich Wysokości.

Obie wpadły z siłą i gwałtownością wiejącego od pustyni chamsinu właśnie w chwili, gdy wchodziłem do wanny z gorącą wodą. Są to jedyne osoby na świecie, nie licząc moich niewolników, którym pozwalam oglądać się bez ubrania. Ale wszyscy moi niewolnicy są eunuchami jak ja, więc tak naprawdę się nie liczą.

Teraz Tehuti i Bekatha przysiadły na marmurowej obudowie wanny i zasypały mnie pytaniami. Nawet nie zwróciły uwagi na to, że jestem nagi. Wiele lat temu Bekatha wydała opinię na ten temat, również w imieniu swojej siostry: „Jesteś dokładnie taki sam, jak ja i Tehuti, wszyscy troje wyglądamy dużo przyjemniej bez tych wszystkich dyndających fatałaszków, którymi się obwieszamy”.

Zaczęła przebierać w wannie drobnymi stópkami, narzekając przy tym:

– Tak się nudziłyśmy, odkąd wyjechałeś. Gdzie byłeś i co robiłeś, że zajęło ci to tyle czasu? Musisz przysiąc, że następnym razem zabierzesz nas ze sobą. – Wylałem sobie na głowę dzban gorącej wody, żeby uniknąć składania przysięgi, którą chciała mi narzucić.

– Ale, ale, Taito, przywiozłeś nam jakieś prezenty? Czy też zapomniałeś o nas? – Tym razem do przepytywania mnie

przystąpiła Tehuti. Jako starsza siostra pewniej chwyciła istotną wartość rzeczy.

– Oczywiście, mam coś dla was obu. Jak mógłbym zapomnieć o takich dwóch małych utrapienicach? – odparłem. Obie klasnęły z zachwytem w dłonie.

– Pokaż nam! – pisnęła Bekatha.

– Och tak, kochany Taito – wsparła ją Tehuti. – Proszę, pokaż, co nam przywiozłeś. My tak bardzo cię kochamy.

– W takim razie podajcie mi moją sakwę. – Powiedziałem, że leży na moim posłaniu w sąsiednim pokoju. Jak zwykle pierwsza dopadła jej Bekatha. Wróciła tanecznym krokiem, wymachując skórzaną torbą. A potem klapnęła na marmurową posadzkę, krzyżując pod sobą nogi, i oparła torbę na kolanach.

– Otwórz ją – rzekłem. Pamiętając o moich księżniczkach, wybrałem dwa jubilerskie cacka z łupu zdobytego na minojskich oficerach, których schwytaliśmy w Tamiacie. – Jest tam coś owiniętego w czerwoną szmatkę? – spytałem.

Bekatha pisnęła z podniecenia.

– Tak, mój najlepszy i najukochańszy Taito. Czy to dla mnie? W tym czerwonym to moje?

– Oczywiście, dla ciebie.

Drżącymi z podniecenia dłońmi rozwinęła małe zawiniątko. Gdy uniosła złoty naszyjnik, jej oczy wypełniły się łzami szczęścia.

– To jest najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam! – szepnęła.

Na łańcuszku zawieszono były dwie złote figurki. Mimo małych rozmiarów były wykonane ze wszystkimi subtelnymi detalami. Większa z nich miała kształt szarżującego byka, który opuścił głowę i gotów był uderzyć groźnie zakrzywionymi rogami. Jego oczy, przedstawione za pomocą dwóch małych zielonych kamieni, połyskiwały złością. Wypukły grzbiet wyrażał zwierzęcą siłę i wściekłość. Atakował drugą figurkę, smukłą postać pięknej dziewczyny. Wydawało się, że tańczy tuż przed jego śmiertelnie groźnymi rogami. Jej głowę wieńczył kwiecisty

wieniec, a dwa rubiny udawały sutki jej piersi. Z głową odrzuconą do tyłu śmiała się do oszalałego byka.

– Jest tak zwinna, że byk nigdy jej nie dosięgnie. – Bekatha zakołysała naszyjnikiem i dwie figurki zaczęły tańczyć w jej dłoniach.

– Masz zupełną rację, Bekatho. To maskotka, która oddała zagrożenie. Kiedy będziesz mieć ten naszyjnik na sobie, nic ci nie będzie groziło. Tańczący byk nie dopuści, żeby stała ci się jakaś krzywda. – Wziąłem naszyjnik z jej rąk i zapiąłem go na jej szyi. Spojrzała na niego z góry i poruszyła ramionami, żeby wprawić obie figurki w płąsy na połyskującej skórze jej wciąż jeszcze płaskiej piersi. Wyglądała prześlicznie z uśmiechem na ustach.

Tehuti czekała spokojnie, aż przeniosę na nią moją uwagę. Odwracając się do niej, czułem się trochę winny. Nie lubię faworyzować nikogo.

– Prezent dla ciebie owinięty jest w niebieskie płótno, Wasza Królewska Wysokość.

Tehuti rozwinęła je ostrożnie i oniemiała na widok pierścienia, który rzucał oślepiające blaski.

– Nigdy nie widziałam niczego, co by tak błyszczało! – zawołała.

– Włóż go na środkowy palec – powiedziałem.

– Jest za duży. Ślizga się i obraca.

– To dlatego, że jest to szczególny kamień. Nie powinnaś nigdy pokazywać go żadnemu mężczyźnie, z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem kogo?

– Z wyjątkiem tego, w którym chciałabyś obudzić miłość. W przeciwnym razie powinnaś ukrywać go w dłoni. Pamiętaj, że czar zadziała tylko raz. Tak więc bądź bardzo ostrożna, wybierając tego, któremu pokażesz ten pierścień.

Tehuti mocno zacisnęła pierścień w dłoni.

– Nie chcę, żeby jakiś mężczyzna się we mnie zakochał – odpowiedziała stanowczo.

– A czemuż to, moja słodziutka?

– Bo jeśli tylko któryś z nich zakocha się w kobiecie, wtedy stara się wsadzić w nią dziecko. A jak to dziecko już tam jest, to nie chce wyjść. Słyszałam wrzaski kobiet z haremu i chciałabym tego uniknąć.

– Któregoś dnia być może zmienisz zdanie. – Uśmiechnąłem się. – Ale ten kamień ma jeszcze inne zalety, dzięki którym jest taki szczególny.

– Opowiedz nam jakie. Dlaczego on jest taki szczególny, Taito? – Bekatha nie czuła się zniechęcona głupiutkimi obiekcjami siostry.

– Po pierwsze dlatego, że jest to najtwardsza rzecz na całym świecie. Nic nie może go przeciąć i nic nie może go zadrapać, nawet najostrzejszy sztylet z brązu. Dlatego nazywa się diament. Czyli „twardy kamień”. Nie daje się zmoczyć wodą. Ale przylepia się do skóry kobiety, która go posiada, jak za sprawą magii.

– Nie wierzę ci, Taito. – Tehuti przybrała nieufną minę. – To kolejna z twoich niestworzonych historyjek.

– Zaczekaj, a zobaczysz, czy nie powiedziałem prawdy. Ale pamiętaj... – pomachałem do niej groźnie palcem – ...nigdy nie pokazuj go mężczyźnie, dopóki mocno go nie pokochasz i nie będziesz chciała, żeby on pokochał cię na zawsze. – Nigdy się nie dowiem, dlaczego jej to powiedziałem. Jedyнным wytłumaczeniem może być to, że dziewczęta lubią moje opowiastki, a ja nie chcę sprawiać im zawodu.

Podniosłem się z wanny i zawołałem Rustiego, mojego głównego niewolnika, żeby mi przyniósł ręcznik do wytarcia.

– Ty znowu gdzieś wyjeżdżasz, Taito – zarzuciła mi Tehuti. Rozwinęła już w sobie kobiecy instynkt. – Wróciłeś tylko na godzinę i znowu cię nie będzie. Być może tym razem odejdziesz na zawsze. – Była bliska płaczu.

– Nie! Nie! – Odrzuciłem ręcznik i objąłem ją. – To nieprawda. Idę tylko do pustego grobu twojego ojca na wschodnim brzegu.

– Jeżeli mówisz prawdę, to zabierz nas ze sobą – zaproponowała Bekatha.

– Och tak, prosimy! Pozwól nam iść z tobą, Taito – wsparła ją Tehuti.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym pomysłem i stwierdziłem, że odpowiada mi tak samo jak dziewczętom.

– Dobra myśl, ale jest jeden mały problem. – Udałem, że się waham. – To, co nas tam czeka, to wielka tajemnica, więc będziecie musiały przysiąc, że nie powiecie nikomu o tym, co tam zobaczycie, ani co będziecie robić.

– Tajemnica! – wykrzyknęła Bekatha i jej oczy błysnęły z radości. – Przysięgam, Taito. Przysięgam na wszystkich bogów, że nigdy nie powiem ani słowa żadnej żywej duszy.

Trzy statki ze skarbem były ciągle przycumowane do nabrzeża przed wejściem do grobowca faraona Mamose, gdy Aton, ja i obie księżniczki tam dotarliśmy.

Zaras i jego ludzie porządnie się napracowali podczas mojej nieobecności. Zgodnie z instrukcjami ustawili wokół grobowca ekrany z trzcinowej plecionki, żeby uniemożliwić podglądanie nas z okolicznych wzgórz. Byłem zdecydowany pracować całą noc przy rozładowywaniu trier. Jednak szpiegzy Hyksosów mogli się podkraść pod osłoną nocy, a my oczywiście musielibyśmy pracować przy świetle pochodni. Ekrany miały istotne znaczenie dla zachowania tajemnicy.

Wykorzystując doświadczenia, jakie zdobyłem w Tamiacie, opracowałem szczegółowo plan rozładowania, który wydał mi się najlepszy. Poinstruowałem Dilbara oraz grupę jego ludzi, w jaki sposób mają zbić mocne palety z ociosanych drewnianych listew, wyjętych z pokładu pierwszej triery, i dopilnowałem ich roboty. Palety miały boki o długości ośmiu łokci i powinny pasować do luków ładowni. Potem na górnych pokładach wszystkich statków nad lukami kazałem ustawić trójnogi z blokami linowymi. Za ich pomocą moi ludzie opuszczali palety do ładowni, gdzie inne grupy robotników pakowały na nie skrzynki ze sztabkami.

Następnie ładunek dwudziestu skrzynek był podnoszony na pokład, przesuwany w powietrzu nad burtą i opuszczany na nabrzeże.

– Co jest w tych skrzynkach, Taito? – zapytała Tehuti. Konspiracyjnym gestem dotknąłem boku nosa.

– To wielka tajemnica. Ale bardzo prędko pokażę wam, co się w nich kryje. Okażcie jeszcze odrobinę cierpliwości.

– Nie znoszę sytuacji, gdy coś zmusza mnie do cierpliwego czekania – przypomniała mi Bekatha. – Choćby nawet przez krótką chwilę.

Długi rząd ludzi odbierał skrzynki po zdjęciu ich z palet. Ciągnął się on od nabrzeża po wejście do grobowca, potem przez cztery kondygnacje schodów, pokryte ozdobnymi malowidłami tunele, trzy obszerne przedsionki, by dotrzeć w końcu do czterech komór przeznaczonych na skarbcce. Zostały one ulokowane wokół komory grobowej faraona, w której czekał na jego zabalsamowane ciało pusty ciągle sarkofag. Ten obszerny kompleks podziemnych komór został wycięty w skale. Realizacja całego przedsięwzięcia kosztowała mnie i dwa tysiące robotników aż dwadzieścia lat pracy, i wciąż jest przedmiotem mojej w pełni zasłużonej dumy.

– Dziewczęta, możecie bardzo pomóc wujowi Atonowi i mnie – powiedziałem księżniczkom. – Umiecie liczyć i pisać, a to potrafi tylko jeden na stu tych durni. – Kiwnąłem głową w stronę rzędu półnagich, ciężko harujących mężczyzn.

Dwie dziewczyny wcieliły się w role księgowych, traktując to jak zabawę. Były zachwycone, że mogą pochwalić się swoim wykształceniem.

Wcześniej przekazałem odpowiednie instrukcje Zarasowi, który podczas mojej nieobecności ustawił w pierwszym skarbcu dwie ciężkie wagi. Teraz wraz z Atonem przystąpiliśmy do ich obsługi. Po podwieszeniu skrzynki do ramienia przyrządu podawaliśmy dziewczętom jej wagę. Bekatha pracowała z Atonem, a moją asystentką była Tehuti. Obie zapisywały wagę każdej ze skrzyń na długim zwoju papirusu i sumowały te dane po każdych dziesięciu skrzynkach.

Po wypełnieniu pierwszego skarbcza obliczyliśmy, że zawiera dwieście trzydzieści trzy lakhy czystego srebra. Posłałem ludzi na

górze i dałem im godzinę odpoczynku na jedzenie i picie. Gdy zostaliśmy w skarbcu sami, zaspokoilem ciekawość dziewcząt i pokazałem im, co mieści się w skrzynkach, spełniając w ten sposób dane im przyrzeczenie. Otworzyłem pokrywę jednej z nich, wyjąłem sztabkę srebra i zgodziłem się, żeby wzięły ją do ręki i obejrzały.

– Nie jest tak ładna jak mój naszyjnik – zauważyła Bekatha, bawiąc się maskotką zwisającą z jej szyi.

– Czy wszystkie są twoje, Taito? – spytała Tehuti, rozglądając się w zamyśleniu po stosach skrzynek.

– Należą do faraona – odparłem. Tehuti skinęła głową z powagą. Przyglądałem się, jak robi obliczenia. Wiedziałem, że doskonale radzi sobie z rachunkami. W końcu uśmiechnęła się, gdy zsumowała całość.

– Bardzo cię lubimy, Taito. – Użyła przy tym królewskiego zwrotu „my”, korzystając z przysługującego jej prawa.

Gdy ludzie wrócili, zaprzęgam ich znowu do pracy. Przenieśli wagę dźwigniową do drugiej komory skarbcza, która była niewiele mniejsza od pierwszej. Znaleźliśmy w niej miejsce na złożenie następnych dwustu szesnastu lakhów srebra.

W tym momencie na dół zszedł Zaras, żeby poinformować, że pierwsze dwie triery zostały całkowicie rozładowane, ale w ładowni ostatniej triery znajduje się ciągle znaczna liczba skrzynek ze skarbem, które trzeba przenieść na ląd.

– Nadchodzi świt, Taito, mój dostojny panie – ostrzegł mnie, ponieważ zupełnie straciłem rachubę mijającego czasu. – A ludzie są prawie zupełnie wyczerpani. – Miał mroczną minę, a w tonie jego głosu można było wyczuć ślad przygany. Przyszło mi do głowy, żeby ostro mu się odciąć, ponieważ nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby krytykowali mnie moi podwładni, a sam też byłem zmęczony, chociaż nie wyczerpany. Pomimo smukłej figury jestem bardziej wytrzymały niż większość innych ludzi. Powstrzymałem się jednak.

– Twoi ludzie dobrze pracowali, Zarasie, podobnie jak ty. Jednak zamierzam poprosić cię o jeszcze trochę wyrozumiałości. Wyjdę razem z tobą teraz na nabrzeże, żeby sprawdzić, ile pozostało do zrobienia. – I w tym momencie popełniłem poważny błąd.

Obejrzałem się na Tehuti, która siedziała na stołku za moimi plecami, opierając głowę na zwoju papirusu. Na jej twarz opadły

zbitą falą złote loki, zupełnie ją zakrywając. Była tak zapracowana, że nie znalazła czasu, żeby je przeczesać.

– Tehuti, pracowałaś jak młoda niewolnica – zwróciłem się do niej. – Chodź ze mną na górę. Odetchniesz chłodnym nocnym powietrzem, które cię ożywi. – Tehuti podniosła się, potrząsnęła głową, odrzucając włosy z twarzy, i spojrzała na Zarasa. On również spojrzał na nią.

Zobaczyłem w świetle lampy, że źrenice zielonych oczu Tehuti poszerzają się, i w tej samej chwili usłyszałem mroczny śmiech bogów. Dobiegł mnie z oddali kpiącym echem, a ja instynktownie zrozumiałem, że nasz mały świat dramatycznie się zmienił.

Stali bez ruchu niczym dwa marmurowe posągi, wpatrując się w siebie.

Próbowałem spojrzeć na Zarasa jej oczami. Choć potrafię lepiej osądzić raczej kobiecą niż męską urodę, po raz pierwszy zauważyłem, że ten chłopak jest o wiele bardziej przystojny niż jego przeciętni rówieśnicy. Wprawdzie miałem świadomość, że jego rysy nie wyróżniają się niczym szczególnym, ale otaczająca go aura była doprawdy imponująca. Miał szlachetną postawę i taki sam sposób bycia.

Wiedziałem, że jego ojciec był w Tebach kupcem, który własnym wysiłkiem zdobył znaczny majątek. Zadbał też, by jego syn otrzymał najlepsze wykształcenie, jakie można opłacić srebrem. Zaras był inteligentny i bystry, a jego wojskowy stopień dowodził, że jest również dobrym żołnierzem. Jednak jego przodkowie byli niskiego stanu, więc z pewnością nie był kandydatem na życiowego partnera księżniczki z królewskiego rodu Tamose. W każdym razie decyzja o tym, kto mógł nim zostać, należała do faraona, któremu w tej sprawie niewiele mogłem doradzić.

Błyskawicznie wszedłem między nich, zasłaniając jedno drugiemu. Tehuti popatrzyła na mnie jak na obcego człowieka, którego nigdy dotąd nie widziała. Wzdrygnęła się lekko, gdy dotknąłem jej ręki, i spojrzała na mnie.

– Chodź ze mną, Tehuti – powiedziałem, przyglądając się jej twarzy. Z wielkim wysiłkiem zapanowała nad sobą.

– Tak, oczywiście. Wybacz mi. Moje myśli błądziły gdzie indziej, Taito. Oczywiście, idę z tobą.

Wskazałem jej wyjście ze skarbcza.

Zaras ruszył tuż za nią. Szedł sprężystym krokiem, a na jego twarzy malował się strach i zarazem uczucie dumy. Znałem go dobrze, ale nigdy nie widziałem go w takim stanie.

Ponownie wszedłem między młodych.

– Zostań tu, kapitanie Zarasie. Dopilnuj, żeby przeniesiono wagę balansową do następnego skarbcza, a potem niech ludzie sobie odpoczną jeszcze przez chwilę. – Były to trywialne rozkazy, jak na oficera jego rangi, ale trzeba było koniecznie przerwać jego chwilowe niebezpieczne zafascynowanie.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że Tehuti i Zaras mogli nigdy dotąd się nie spotkać. Ona żyła w małym światku pałacowego haremu, z którego pozwalano jej wychynąć tylko w towarzystwie surowych przyzwoitek. Ja byłem prawdopodobnie najważniejszym ogniwem tego ochronnego łańcucha.

Była piękną księżniczką, więc jej dziewictwo miało nieocenioną wartość dla korony i państwa. Mogło się oczywiście zdarzyć, że Zaras dojrzał ją z daleka w czasie którejś z królewskich procesji albo na widowisku z okazji święta religijnego. Nigdy jednak nie służył w pałacowej gwardii. Cała jego kariera wojskowa przebiegała na pierwszej linii frontu albo na szkoleniach i ćwiczeniach jego żołnierzy. Byłem pewien, że aż do tego dnia nigdy nie znalazł się wystarczająco blisko Tehuti, aby doznać olśnienia jej nadzwyczajną prezencją i urodą.

Udzieliłem Zarasowi zwięzłych instrukcji.

– Dopilnuj, żeby ludzie się posilili i żeby każdy z nich dostał dodatkowy kubek piwa. Niech odpoczywają, dopóki nie dam sygnału, żeby wrócili do pracy. – A potem poprowadziłem obie księżniczki na górę, zostawiając Zarasa, który nie odrywał od nas oczu.

Gdy wyszliśmy za drzwi grobowca, przystanąłem, żeby spojrzeć ku wschodowi, i stwierdziłem, że niebo znaczą już różowawe zwiastuny świtu. Potem rozejrzałem się po ludziach i zauważyłem, że wielu z nich chwieje się ze zmęczenia. Zaras miał słuszość pod obu względami.

Pospieszyłem po kładce na trzecią trierę i gdy dotarłem na pokład, moich uszu doszły dźwięki trąb i stukot kół rydwanów bojowych, które przybliżały się szybko od strony rzeki i miasta na jej drugim brzegu. Podbiegłem do relingu i spojrzałem w kierunku pogrążonej w ciemnościach równiny.

Zobaczyłem światła pochodni i wielkie kłębowisko cieni, które mogły oznaczać tylko jedno. Faraon wrócił do Teb i otrzymał wiadomość ode mnie. Serce zabiło mi żywiej, jak robi to zawsze wtedy, gdy wiem, że władca jest gdzieś w pobliżu. Pobiegnę z powrotem po kładce, rzucając rozkazy ludziom, żeby zapalili dodatkowe pochodnie i utworzyli honorowy szpaler, ale faraon był szybszy ode mnie.

Z nocnego mroku wyłonił się z łoskotem jego rydwan wraz z podążającą z tyłu resztą towarzyszącej mu drużyny. Ujrzawszy mnie, wykrzyknął radosne powitanie i odchylił się do tyłu, pociągając lejce owinięte wokół jego nadgarstków.

– Cieszę się, że cię widzę, Taito. Brakowało nam ciebie. – Rzucił lejce drugiemu woźnicy i zeskoczył na ziemię, gdy koła jeszcze się toczyły. Utrzymał się na nogach niczym wprawny wojownik, jakim rzeczywiście jest, i podszedł szybkim krokiem.

Objął mnie żelaznym uściskiem i uniósł w górę na oczach wszystkich moich ludzi, zapominając o mojej randze. Ale jestem w stanie wybaczyć mu wszystko, dlatego roześmiałem się razem z nim.

– Rzeczywiście, Wasza Wysokość. Trwało to o wiele za długo. Godzina bez Waszej Wysokości jest jak tydzień bez słońca.

Faraon postawił mnie na ziemi i rozejrzał się z pytającą miną. Zauważyłem, że pokryty jest kurzem i brudem po trudach kampanii, co w najmniejszym stopniu nie odbierało mu wdzięku i szlachetności prawdziwego faraona. Zobaczył swoje siostry czekające, żeby się z nim przywitać i złożyć mu uszanowanie. Objął je po kolei, a potem odwrócił się znowu do mnie, wskazując trzy wielkie galery stojące przy nabrzeżu.

– Co to za okręty? Nawet ze złożonymi masztami i wiosłami na pokładach są dwa razy większe niż jakiegokolwiek jednostki, które zdarzyło mi się oglądać wcześniej. Skąd je wytrzasnąłeś, Taito? – Wiadomość, jaką mu zostawiłem, była krótka i nie zawierała szczegółów. Faraon nie czekał jednak na moją odpowiedź, ale natychmiast zadał następne pytanie: – I skąd się wzięły wszystkie te zbójcekie gęby? Wysłałem cię z garstką ludzi, Taito, a ty wracasz na czele małej armii.

Przeciągnął wzrokiem po rzędzie ludzi, który zaczynał się na nabrzeżu i ginął w głębi królewskiego grobowca. Stojący najbliżej nas odstawili skrzynki ze sztabkami i rzucili się na ziemię, żeby złożyć mu hołd.

– Potężny władco, niech cię nie zmylą pozory. Nie ma tu żadnych zbójów. To sami dzielni ludzie i prawdziwi wojownicy, żołnierze twojego Egiptu.

– Ale co mi powiesz o tych okrętach? – Odwrócił się i zaczął przyglądać z najwyższym zainteresowaniem galerom. – Jak wytłumaczysz ich obecność?

– Faraonie, pozwól, że zabiorę cię do miejsca, w którym będziemy mogli porozmawiać swobodniej – powiedziałem błagalnym tonem.

– Och, bardzo dobrze, Taito. Ty zawsze lubowałeś się w tych twoich małych sekretach, może nie? – odparł i ruszył w kierunku wejścia do grobowca, nie oglądając się na mnie. Poszedłem więc za nim, aby zejść do grobowca człowieka, który uchodził za jego ojca.

Zatrzymał się za drzwiami prowadzącymi do pierwszej komory ze skarbem i rozejrzał po stosach drewnianych skrzynek, które zapełniały przestronne wnętrze. Pomyślałem, że może znowu zacznie mnie wypytywać, tym razem o zawartość skrzynek, ale powinienem był się domyślić, że nie zniży się do czegoś takiego.

– To dziwne, że każda z tych drewnianych skrzynek naznaczona jest emblematem Najwyższego Minosa. – Nie wyrzekł ani słowa więcej i przeszedł do następnej komory, a potem do trzeciej, w której klęknął przed nim Aton.

– A jeszcze dziwniejsze jest to, że mój szanowny szambelan uczestniczy w twoich małych figlach, Taito. – Faraon usiadł na niepełnym ciągle stosie skrzynek, wyciągnął przed siebie nogi i popatrzył na nas obu z wielce zaciekawioną miną. – No, to gadaj teraz, Taito. Opowiedz mi wszystko!

– Może lepiej będzie, jeżeli ci to pokażę, faraonie – zaproponowałem, a potem podszedłem do otwartej już wcześniej skrzynki. Uniosłem pokrywę i sięgnąłem po tę samą lśniącą sztabkę, którą pokazałem księżniczkom. Przyklęknąłem na jedno kolano, żeby mu ją podać. Wziął ją ode mnie i powoli obrócił w dłoniach. Przeciągnął czubkiem palca po odbitym na niej stemplu probierczym, który przedstawiał rozszalałego kreteńskiego byka. W końcu zapytał cichym głosem:

– Ta sztabka ma wagę i wygląd szczerego srebra. Z pewnością nie może tak być?

– Z pewnością może tak być i tak jest, faraonie. Wszystkie skrzynki, jakie tu widzisz, pełne są takich samych sztabek.

Faraon zamilkł znowu na dłuższą chwilę, a ja dostrzegłem pojawiające się na jego twarzy pod kurzem i opalenizną

rumieńce wielkiego wzruszenia. Gdy odezwał się znowu, miał ochrypliły głos.

– Ile tego jest, Tata? – Użył mojego poufałego imienia, co zawsze było oznaką jego wdzięczności i afektu wobec mnie.

– Wszystkie te skrzynki są pełne, Mem – odparłem, rewanżując mu się użyciem jego dziecięcego imienia. Byłem jedynym człowiekiem, któremu kiedykolwiek zezwolił na korzystanie z tego rodzaju swobody.

– Daj spokój tym twoim niemądrym zabawom. Powiedz, ile srebra mi przywiozłeś? Mam kłopot z uzmysłowieniem sobie tego bogactwa. – Jego głos pobrzmiwał ciągle grozą.

– Zważyliśmy z Atonem jego większą część – odparłem.

– Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie, Tata.

– Zważyliśmy tylko srebrne sztabki z dwóch pierwszych minojskich okrętów oraz część z trzeciego, ostatniego. Jak dotąd suma wynosi czterysta czterdzieści dziewięć lakhów, faraonie. Na zważenie czeka wciąż jeszcze jakieś sto lakhów, chociaż może ich być nawet sto pięćdziesiąt.

Faraon zamilkł znowu, kręcąc głową i marszcząc brwi.

– Prawie sześćset lakhów. To dość, żeby wybudować miasto dwa razy większe niż Teby, ze wszystkimi świątyniami i pałacami.

– A potem zbudować dziesięć tysięcy okrętów i ciągle mieć w zapasie tyle, żeby wystarczyło na tuzin wojen, mój faraonie – potwierdziłem cichym głosem. – Dość, żeby odzyskać twój cały umiłowany Egipt z rąk hyksoskich barbarzyńców.

– Dajesz mi do ręki środki, za które można zniszczyć Beona i wszystkie jego hordy – zgodził się ze mną faraon, wraz z tą wizją jego głos ożywił się i przybrał na sile.

– Spóźniłeś się, faraonie. – Aton podniósł się ze stołka i stanął przede mną, żeby zwrócić na siebie uwagę faraona. – Król Hyksosów Beon utopił się i już nie żyje – powiedział, a potem odstał do tyłu i wskazał na mnie szerokim ruchem ręki. – Zabił go Taita – oświadczył ze swadą.

Wzrok faraona prześlizgnął się znowu na mnie.

– Czy to, o czym zapewnia Aton, to prawda? Zabiłeś Beona, niezależnie od innych twoich usług dla mojej korony? – spytał faraon. Pokornie schyliłem głowę na potwierdzenie. Uważam chełpliwość za rzecz odrażającą u każdego człowieka, a już szczególnie u mnie. – Opowiedz mi o tym, Taito, chcę się dowiedzieć ze wszystkimi szczegółami, jak doszło do śmierci tej potwornej bestii.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, uprzedził mnie Aton:

– Proszę, mój faraonie, posłuchaj mnie znowu z całą swoją królewską uwagą – powiedział i uklonił się przed królem. – Ta opowieść jest jej godna. Gdy odniesiemy ostateczne zwycięstwo nad hyksoskim tyranem, zajmie ona miejsce w naszej wspaniałej wojennej historii. Przyszłe pokolenia będą o niej śpiewać swoim synom, a synowie ich synom. Błagam Waszą Wysokość, żeby mi pozwolił urządzić dzisiejszego wieczoru uroczystość, na której będziemy świętować ten triumf w obecności wszystkich członków wysokiej rady państwowej i całej twojej rodziny królewskiej. Będzie to święto, podczas którego będziemy mogli należycie uczcić bohaterskie czyny, jakie prawdopodobnie nie mają sobie równych w naszych dziejach.

– Masz słuszność, dostojny Atonie. Taita obdarował mnie uczcią, której nie da się przełknąć za jednym zamachem. Powinniśmy smakować każdy kęs. Muszę poinformować radę o tym niewiarygodnym darze losu. Mam tu pod ręką, w pałacu w Tebach, ośmiu doradców. Dostojny Kratas nadchodzi tuż za mną z północy, a wy, Taita i ty, panie Atonie, już tu jesteście. W ciągu trzech lub czterech godzin możemy zebrać pełną radę.

– To dość czasu, żebyś mógł się wykąpać i odpocząć, mój faraonie – powiedziałem, rzucając okiem na jego okryte kurzem ubranie.

– To jest rzetelnie zapracowane błoto, Taito, w dodatku dobrze opłacone krwią Hyksosów. – Faraon uśmiechnął się, szczerząc zęby – Ale jak to się często zdarza, masz rację. Każ moim sługom zagrzać wodę do kąpieli.

Zanim Wysoka Rada Egiptu zdążyła zgromadzić się w komplecie, trzecia, ostatnia, triera była już rozładowana, a srebrne sztabki z jej ładowni zważone. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, dobiegły też końca przygotowania do uroczystego święcenia triumfu.

Poszedłem z tą informacją do faraona, spodziewając się, że jeszcze odpoczywa. Aby uchronić go od jazdy do pałacu i powrotu do grobowca przed zapadnięciem nocy, poleciłem urządzić tutaj tymczasową kwaterę. W komorze grobowej jego ojca nigdy nie złożono żadnych zwłok, nie została więc naznaczona stygmatem śmierci. Było to ciche, chłodne miejsce, dobrze przewietrzane dzięki otworom wentylacyjnym przewierconym przez skałę do samej góry. Jego słudzy ustawili tam posłanie i wszystkie należące do niego przenośne meble polowe.

Jednak faraon wcale nie odpoczywał. Bardzo rześki chodził zwawo po komnacie, dyktując depesze trzem sekretarzom. Miał na sobie czysty mundur, na który włożył polerowany i zdobiony złotem napierśnik z brązu. Miał świeżo umyte i zakręcone włosy. Wyglądał równie urodziwie, jak piękna była jego matka.

Gdy chciałem uklęknąć przed nim na jedno kolano, powstrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Nie, Taito – rzekł strofującym tonem. – Mam niezłomny zamiar niezwłocznie mianować cię członkiem mojej wewnętrznej rady. Nie będziesz już musiał klękać przede mną.

– Faraon jest zbyt łaskawy. Nie zasługuję na taki zaszczyt – odpowiedziałem, pragnąc zachować skromność.

– Jasne, że nie zasługujesz – zgodził się ze mną faraon. – Robię to tylko po to, żeby oszczędzić ci tego ustawicznego dygania przede mną. Przysięgam na wrastające paznokcie u nóg Seta, jakby powiedział Kratas, że przyprawiasz mnie o zawrót głowy. Stań prosto i podaj mi dokładną wartość skarbu, jaki zdobyłeś dla mnie.

– Obiecałem ci sześćset lakhów, mój faraonie, ale do tej sumy brakuje nam dwudziestu lakhów.

– To jest dość, a nawet jeszcze więcej, abym ja mógł odzyskać moje królestwo, a ty nadal nosić głowę na karku. – Czasami jego królewskie poczucie humoru bywa upiorne. – Czy już przybyli pozostali członkowie rady?

– Wszyscy, łącznie z dostojnym Kratasem. Zjawił się godzinę temu.

– Zaprowadź mnie do nich.

Gdy wyszliśmy za bramy grobowca, uświadomiłem sobie od razu wspaniałość i pełny wymiar tego, co Aton wykombinował na moją cześć. Faraon poprowadził mnie między szeregami królewskich gwardzistów w pełnych ceremonialnych strojach do wielkiego namiotu rozstawionego na brzegu kanału.

Cały dwór już tam był, gotów nas powitać. Obecna była rodzina królewska, dwie siostry faraona i jego dwadzieścia trzy żony oraz sto dwanaście nałożnic. Poza tym znajdowali się tu szlachetni panowie, wodzowie wojsk i radcy państwowi wraz ze sztabami wysokich urzędników. Wszyscy mężczyźni i kobiety w całym Egipcie, których faraon obdarzył zaufaniem, dzieląc się z nimi sekretem dotyczącym minojskich milionów, zgromadzili się tu, żeby mnie uczcić.

Widząc, że wchodzimy, podnieśli się jednocześnie, a mężczyźni dobyli mieczów i unieśli je, tworząc triumfalny szpaler dla faraona i dla mnie. Gdy ruszyliśmy pod nim, dobiegły nas dźwięki bohaterskiego marsza granego przez liczny zespół lutni i rogów.

Dopiero po dłuższej chwili dotarłem wraz z faraonem do przygotowanych dla nas miejsc. Wszyscy uczestnicy zgromadzenia chcieli mnie dotknąć, uścisnąć mi ręce i obsypać lawiną komplementów i gratulacji.

Błyskawicznie pod ścianami namiotu stanęły ogromne, wyższe od człowieka amfory z czerwonym winem. Gdy w końcu całe towarzystwo usiadło, służący napełnili wielkie czary i postawili jedną z nich przed faraonem. Oddalił ją ruchem ręki.

– Jesteśmy tu po to, żeby uczcić Taitę. Podajcie mu dobrego czerwonego wina i niech wypije jako pierwszy.

Wszystkie oczy w wielkim namiocie zwrócone były na mnie, gdy wstałem z miejsca i uniosłem czarę w stronę faraona.

– Cała cześć należy się faraonowi. To on uosabia nasz umiłowany Egipt. A bez faraona i Egiptu znaczymy tyle co pył i kurz. Wszystkie nasze drobne wysiłki są niczym. – Uniosłem czarę do ust i pociągnąłem tęgi łyk, podczas gdy wszyscy ci wielcy panowie i damy zaczęli podnosić się z miejsc i wykrzykiwać moje imię. Nawet faraon się uśmiechnął.

Czułem, że im mniej powiem, tym mocniej mnie pokochają, więc skłoniłem się faraonowi i usiadłem.

Faraon stanął nade mną i położył mi prawą dłoń na ramieniu. A potem przemówił donośnym jasnym głosem, który popłynął do wszystkich zakątków wielkiego namiotu:

– Dostojny Taita zyskał moją przychylność – zaczął zwyczajnie. – Oddał mnie i Egiptowi przysługę równie wielką lub nawet większą niż ktokolwiek przed nim. Zasługuje na to, żeby zostać uhonorowanym przeze mnie i przez wszystkich Egipcjan żyjących i tych, którzy dopiero się urodzą. Od tej chwili będzie znany jako dostojny pan Taita z Mechiru. – Faraon zamilkł na chwilę i w namiocie zapanowała niezmacona cisza, w której większość szacownego towarzystwa próbowała ukryć tajemnicze miny. Mechir to wioska na wschodnim brzegu Nilu, trzydzieści mil na południe od Teb. Jest to skupisko nieokreślonych domków z mułu, zamieszkanych przez populację złożoną z równie nieokreślonych okazów ludzkiej rasy. Faraon dał nam krótką

chwilę, byśmy mogli zastanowić się nad tym zagadkowym dziwołogiem.

– Obdarowałem go też i chciałbym, żeby zachował je na zawsze, królewskimi ziemiami na wschodnim brzegu Nilu między południowym murem miasta Teby a miastem Mechir.

Zgromadzeni westchnęli ze zdziwieniem. Brzeg rzeki od Mechiru aż po Teby to trzydzieści mil nawadnianych, najżyźniejszych pól ze wszystkich posiadłości królewskich.

Jednym tchem faraon zrobił ze mnie jednego z dziesięciu najbogatszych ludzi w Egipcie.

Przyjąłem stosowny wyraz twarzy, okazując zdumienie i zachwyt dla jego wspaniałomyślności. Gdy jednak całowałem go w prawą rękę, nawiedziła mnie brzydka myśl, że skoro uczyniłem go jednym z najbogatszych królów na świecie, żaden z nas nie ucierpiał zbyt na tej wymianie uprzejmości.

Teraz faraon uniósł swoją srebrną czarę i uśmiechnął się do zebranych.

– Moje drogie królowe, drodzy książęta i księżniczki, moi panowie i panie, wznoszę toast. Wypijmy za wdzięczność i chwałę dla dostojnego pana Taity, życząc mu długiego życia.

Wszyscy zerwali się na nogi, unosząc wysoko kielichy, i wykrzyknęli jednym głosem:

– Wdzięczność, chwała i długie życie dla dostojnego pana Taity.

Prawdopodobnie po raz pierwszy w naszej historii zdarzyło się, że egipski faraon wznosił toast za jednego ze swoich poddanych. Ale teraz zajął swoje miejsce i ruchem ręki zaprosił resztę towarzystwa, żeby zrobiła to samo.

– Panie Atonie! – zawołał w stronę osób siedzących przy końcu stołu. – Wino jest doskonałe. Jestem pewien, że ta ucztę mu dorówna. – Aton ma opinię największego smakosza w kraju. Niektórzy mówią, że jest to główny powód, dla którego zdobył wysoki status mistrza królewskich ceremonii.

Nie zawsze zasługujemy na krążące o nas opinie. Aton jest świetny, ale nie najlepszy. Filety z okoni złowionych w Nilu były

niedostatecznie posolone, a deserowy drop przesmażony. W dodatku dał kucharzowi pałacowemu zbyt wiele swobody w użyciu przyprawy baharat. Gdyby mnie obarczono tym zadaniem, sądzę, że jedzenie byłoby lepiej przygotowane. Jednak wino było wystarczająco dobre, żeby pokryć te drobne niedociągnięcia.

Towarzystwo było w świetnym i hałaśliwym nastroju w chwili, gdy Aton podniósł się ze swego miejsca, żeby przedstawić osobę, która miała wygłosić pochwałę. Nawiedziła mnie przelotna myśl, jakiego poetę bym wybrał, gdybym był na jego miejscu. Naturalnie ja nie wchodziłem w rachubę już z tej racji, że sam byłem przedmiotem kompozycji. Oczekiwałem więc, że Aton wybierze prawdopodobnie Rezę lub Thoiaka, i to jednego z nich spotka ten wielki zaszczyt.

Ale Aton zadziwił nas wszystkich. Chociaż oddał sprawiedliwość uznanym bardom egipskim i obsypał ich pochwałami, próbował uzasadnić swą ostateczną decyzję, podkreślając fakt, że wybrany przez niego poeta jest naocznym świadkiem tego, co się wydarzyło. Oczywiście był to absurdalny pomysł. Od kiedy to fakty mają decydować o tym, czy opowieść będzie dobra?

– Wielki faraonie i królewskie damy, proszę się przysunąć i nadstawić uszu na słowa dzielnego oficera z Gwardii Błękitnych Krokodyli, który żeglował z dostojnym Taitą. – Zawiesił znacząco głos, żeby wzmóc napięcie oczekiwania, a potem obwieścił: – Przed wami kapitan Zaras.

Całe towarzystwo zamarło w bezruchu, gdy Zaras wyszedł spomiędzy fałd zasłaniających wejście do namiotu i uklęknął przed faraonem, który wyglądał na równie zaskoczonego jak wszyscy obecni. Przyszło mi na myśl, że jestem jedyną osobą w tym zgromadzeniu, która kiedykolwiek słyszała o kapitanie Zarasie z Gwardii Błękitnych Krokodyli. Potem coś zaświtało mi w głowie równie jasno jak błysk słońca na wypolerowanej klindze miecza.

Spojrzałem prędko na księżniczkę Tehuti siedzącą między panem Kratasem a panem Madalekiem, królewskim skarbnikiem. Pochyliła się do przodu na swoim stołku, wpatrując się w Zarasa z rozognioną twarzą i wyrazem najwyższego oczarowania. Nie klaskała ani w żaden inny sposób nie dawała do zrozumienia, że pochwała wybór Atona, ale byłem pewien, że była to jej sprawka. W jakiś sposób zmusiła Atona, żeby podjął tę śmieszłą decyzję.

Nigdy nie lekceważyłem dyplomatycznych talentów moich księżniczek, ale ta sprawa pachniała czarodziejską magią. Przeniosłem uwagę na Bekathę i natychmiast stwierdziłem, że ona też należy do spisku.

Siedząc przy drugim końcu stołu, przewracała oczami i robiła idiotyczne miny, próbując przyciągnąć uwagę starszej siostry. Tehuti rozmyślnie starała się jej nie zauważać.

Byłem zły jak nigdy dotąd. Ale wypełniało mnie również współczucie dla Zarasa. Był świetnym młodzieńcem i dobrym oficerem, toteż pokochałem go niczym własnego syna. A teraz stanął wobec całego świata, żeby zrobić z siebie pośmiewisko. I to straszliwe okrucieństwo popełniły dwie bezduszne królewskie psotnice.

Ponownie zwróciłem wzrok na Zarasa. Wydawało się, że jest nieświadomy katastrofy, która go czekała. Wysoki i przystojny stał w mundurze, zachowując spokój i opanowanie. Pragnąłem znaleźć jakiś sposób, żeby go uratować, ale byłem bezsilny. Być może był w stanie wydukać swoje niezborne wypociny niczym uczeń w szkole, ale zawsze już ci surowi sędziowie będą porównywać jego wysiłki z Rezą i Thoiakiem lub nawet, niech bogowie i boginie mi to wybaczą, z uznanymi arcydziełami napisanymi moją ręką.

Potem usłyszałem ciche szepty kobiecych głosów, przypominające brzęczenie pszczoł zbierających nektar na ukwieconej wiosennej łące w ogrodzie. Rozejrzałem się po towarzystwie i stwierdziłem, że Tehuti nie jest jedyną kobietą oczarowaną Zarasem. Niektóre ze starszych dam okazywały

zainteresowanie jego osobą w sposób jeszcze bardziej krzykliwy. Uśmiechały się i szeptały, kryjąc się za wachlarzami. Zaras nigdy nie był na dworze i z tego powodu nie miał, jak dotąd, okazji stać się obiektem ich lubieżnych spojrzeń.

Zaras uniósł rękę rozkazującym gestem i w namiocie zapadła tak głęboka cisza, że moich uszu dobiegło dalekie wycie szakala gdzieś na pustyni.

Chwilę potem zaczął mówić. Słuchałem jego głosu, gdy wydawał rozkazy swoim ludziom, komenderując nimi w bitewnej wrzawie i zachęcając ich do walki w chwilach słabości, ale tak naprawdę nigdy nie zwracałem uwagi na jego barwę i głębię. Teraz jego głos zabrzmiał jak dzwon, niosąc się niczym chamsin nad pustynnymi wydmami. Miał w sobie grzmot sztormowych fal rozbijających się na morskiej rafie i szum wiatru wysoko w gałęziach cedru.

Już po deklamacji kilku pierwszych zwrotek bez reszty podbił słuchaczy.

Dobierał słowa z nadzwyczajną subtelnością. Prawdopodobnie nawet ja nie mógłbym wprowadzić do nich wielu poprawek. Ponadto deklamował je z hipnotyczną niemal płynnością, tak że niepodobna było się im oprzeć. Niosły się niczym rwący nurt wezbranego Nilu.

Gdy opisał lot trzech strzał, które posłałem hyksoskiemu szalbierzowi, Beonowi, wszyscy egipscy dostojnicy zerwali się na nogi i zaczęli wykrzykiwać pochwały, a faraon ścisnął mnie za ramię tak gwałtownie, że przez wiele dni miałem tam wielkie siniaki.

Byłem tak poruszony, że zacząłem śmiać się i płakać wraz z pozostałymi słuchaczami, a w końcu podniosłem się razem z nimi, żeby oklaskiwać barda.

Po wyrecytowaniu ostatniej zwrotki Zaras odwrócił się w stronę wejścia do wielkiego namiotu i rozłożył szeroko ręce.

– A wtedy szlachetny Taita zawołał głośno do wszystkich bogów Egiptu i faraona Tamose: „To tylko symbol łupu, jaki zdobyłem dla ciebie. To zaledwie tysięczna część skarbu, jaki

kładę przed tobą. Na dowód i świadectwo miłości i obowiązku, jakie jestem ci winien, faraonie Tamose”.

Spoza ścian namiotu dobiegły uroczyste uderzenia bębna i przez uchylone wejście do środka wkroczyło dziesięciu wojowników w zbrojach i z hełmami na głowach. Nieśli paletę, na której ułożona była piramida lśniących sztabek srebra.

Wszyscy obecni w najwyższym uniesieniu zerwali się jak jeden mąż, wykrzykując pochwały i wyrazy uznania.

– Niech żyje władca i faraon! – zakrzyknęli. – Chwała panu Taicie!

Gdy Zaras zakończył swój występ, publiczność nie chciała go wypuścić. Faraon rozmawiał z nim przez kilka minut, mężczyźni ściskali mu ręce i klepali po plecach, a kilka kobiet, którym wino uderzyło do głowy, chichotało i ocierało się o niego jak kotki.

Gdy podszedł do mnie, objęliśmy się w krótkim uścisku.

– Dobrze napisane i dobrze wyrecytowane, Zarasie – pochwaliłem go. – Jesteś zarazem wojownikiem i poetą.

– Cieszę się, słysząc to z ust barda o twojej sławie, Taito, panie mój dostojny. – Jego odpowiedź mnie wzruszyła, bo zauważyłem, że rzeczywiście tak myśli. Zostawił mnie i zaczął przeciskać się między gośćmi. Nie dał do zrozumienia, dokąd ostatecznie zmierza, ale w końcu skłonił się przed księżniczką Tehuti. Oboje znajdowali się po drugiej stronie namiotu.

Jednak ja równie łatwo jak hieroglify na zwoju papirusu umiem czytać słowa z ust innych, nie słysząc ich brzmienia.

– Powinieneś się wstydzić, kapitanie Zarasie! Twoja poezja wycisnęła mi łzy z oczu! – powiedziała na początek Tehuti. Usłyszawszy jej słowa, Zaras przyklęknął przed nią na jedno kolano. Widziałem tylko tył jego głowy, więc nie mogłem zobaczyć, jak jej odpowiedział. Ale Tehuti zareagowała śmiechem.

– Galant z ciebie, kapitanie. Ale wybaczę ci tylko pod jednym warunkiem. To znaczy, jeśli obiecasz, że któregoś dnia, ale niedługo, zaśpiewasz nam znowu. – Zaras musiał wyrazić zgodę, bo Tehuti odparła: – Trzymam cię za słowo.

Zaras podniósł się i zaczął wycofywać z szacunkiem.

Dobrze! – pomyślałem. Odejdź stamtąd, niemądry chłopcze. Nie jesteś jej równy. Znalazłeś się w większym zagrożeniu niż to, jakie kiedykolwiek może cię spotkać na polu bitwy.

Ale Tehuti zatrzymała go pełnym wdzięku gestem.

– Jestem taka niezręczna! – Przeczytałem znowu z jej ust. – Wydaje mi się, że upadł mi jeden z moich pierścieni. Jeszcze przed chwilą miałam go na palcu. Znajdziesz mi go, kapitanie?

Zaras zabrał się do szukania z gorliwością szczeniaczka. Znowu pochylił się do jej stóp, przeszukując ziemię wokół. Prawie od razu podniósł coś do góry, a kiedy się wyprostował, był zwrócony połową twarzy do mnie, mogłem więc czytać z jego ust.

– Czy to ten pierścień zgubiła Wasza Wysokość?

– Tak, w istocie. To ten. Podarowała mi go bardzo wyjątkowa osoba, człowiek, którego wychwalałeś tak pięknie tego wieczoru. – Tehuti nie od razu wyciągnęła rękę, żeby odebrać błyskotkę z jego dłoni.

– Wasza Wysokość ma na myśli pana Taitę?

– Tak! – Potwierdziła skinieniem głowy. – Kapitanie, spójrz na kamień w pierścieniu, który masz w palcach. Popatrz, jaki jest czysty.

– Jest przejrzysty jak woda – zgodził się Zaras, unosząc pierścień tak, że padło na niego światło najbliższej lampy. Zmusiwszy go, żeby dokładnie mu się przyjrzał, Tehuti była usatysfakcjonowana i wyciągnęła do niego rękę.

– Dziękuję, kapitanie. – Zaras położył pierścień w zagłębieniu jej dłoni, a Tehuti uśmiechnęła się do niego.

Jeśli nawet w tym pierścieniu nie kryją się żadne czarodziejskie moce – pomyślałem w duchu – twój uśmiech, księżniczko Tehuti, ma w sobie dość magii, żeby wywołać zawalenie się murów zarówno Memfis, jak i Teb. Jak taki złotodziób jak Zaras mógłby się oprzeć twoim sztuczkom?

Pierwsze i najpilniejsze zadanie, jakie stanęło przede mną, polegało na tym, że musiałem sprawić, aby trzy wielkie kreteńskie galery zniknęły bez śladu. Nie mogłem pozwolić, by Najwyższy Minos Krety powziął jakiegokolwiek wątpliwości, że to król Hyksosów Beon jest odpowiedzialny za kradzież skarbu. Jego wściekłość powinna być tym większa, że uważał sprawcę rabunku za swego sprzymierzeńca.

Z początku zamierzałem spalić okręty i wrzucić popioły do Nilu, żeby zagadka ich zniknięcia pozostała tajemnicą po wszystkie czasy. Ale potem przyszło mi do głowy, że w ten sposób zniszczyłbym także wielką ilość drewna.

Egipt jest krajem niemal zupełnie pozbawionym większych lasów. Drewno jest dla nas niemal tak cenne, jak złoto i srebro. Pomyślałem o okrętach wojennych i rydwanach, które mógłbym zbudować z kadłubów trzech trier, i doszedłem do wniosku, że nie przyłożę pochodni do łupu zdobytego z takim trudem.

Omówiłem sprawę z faraonem i dostojnym Kratasem, jako najwyższymi wodzami naszej armii.

– Ależ Taito, ty stary szelmo, gdzie w całym Egipcie znajdziesz miejsce, żeby ukryć tyle drewna? – zapytał Kratas. – Nie pomyślałeś o tym, prawda?

Faraon pospieszył mi z pomocą.

– Możesz być absolutnie pewny tego, mój panie Kratasie, że Taita o tym pomyślał. Taita myśli o wszystkim.

– Faraon jest dla mnie zbyt uprzejmy. Ale spróbuję zrobić, co w mojej skromnej mocy – mruknąłem.

Kratas skwitował moje słowa, wybuchając głośnym śmiechem:

– Nie ma w tobie ani krzty skromności, Taito. Nawet jak ci się zdarzy puścić bąka, to ten twój smrodek jest zarozumiały i ostentacyjny.

Uwielbiam pana Kratasa za jego nieokrzesanie; w całym Egipcie nie ma nikogo, kto mógłby go prześcignąć w czystym, skończonym prostactwie. Zignorowałem ten docinek i odwróciłem się do Tamose.

– Faraon ma jak zwykle rację. W związku z tą sprawą przyszło mi do głowy kilka pomysłów. Przede wszystkim będziemy musieli postawić cały pułk przy grobowcu twojego ubóstwionego ojca, dobrego faraona Mamose, żeby żołnierze pilnowali srebrnych sztabek. Ten pułk może służyć dwom celom. – Teraz nawet Kratas zaczął przysłuchiwać się z uwagą.

– Mów dalej, Taito! – ponaglił mnie faraon.

– A więc, faraonie, zmierzyłem na nowo przedsiionki grobowca. Gdybyśmy rozebrali kadłuby trier na pojedyncze listwy, w tych podziemnych komorach jest dość miejsca, żeby je tam upakować. Czekająby w ukryciu, w razie gdyby były potrzebne, żeby ich użyć w jakimś innym wojennym przedsięwzięciu. – Odwróciłem się do Kratasa i rzuciłem mu wyzywające spojrzenie. – Pan Kratas ma bez wątpienia lepszy plan. Być może moglibyśmy przenieść te kadłuby na głębokie wody Morza Czerwonego, żeby pan Kratas mógł je zatopić, obciążając je ekskrementami, które tak obficie spływają z jego szlachetnych warg?

– Na gnidy w skołtunionych kłakach łonowych Seta, to jak dotąd jeden z twoich najlepszych żartów, Taito. Muszę go zapamiętać! – Kratas wybuchnął śmiechem. Jak widać, jest w stanie przełknąć żart, który go ośmiesza. To jedna z wielu cech, jakie w nim podziwiam.

Połowa pułku biedziła się przez wiele tygodni, żeby rozebrać triery na listwy, a potem opatrzyć każdą z nich numerem i złożyć w podziemnych przedsionkach. Ale w końcu dokonałem tej sztuki ze znikaniem i wielkie statki rozplynęły się całkowicie w nicości.

Dzięki temu podstępowi odniosłem też dodatkową korzyść. Udało mi się przekonać faraona, żeby zadaniem rozbierania i składania statków na przechowanie obarczył Zarasa, wydając mu też surowe polecenie, by nie opuszczał rejonu grobowca, dopóki zadanie nie zostanie wykonane. Tak więc kiedy księżniczki, Tehuti i Bekatha, oddzielnie i w porozumieniu wypytywały mnie, gdzie przebywa, mogłem z całą uczciwością poinformować je, że faraon wysłał go z sekretną wojskową misją, której wypełnienie zajmie mu dłuższy czas.

Pałac w Tebach był dla Zarasa dużo niebezpieczniejszym miejscem niż jakiegokolwiek pole bitwy z Hyksosami. Leżałem w nocy, pocąc się ze strachu o mojego protegowanego. Całkiem niezależnie od tego, że widziałem w nim lojalnego przyjaciela, który ryzykował dla mnie życie, był nieustraszonym żołnierzem, erudytą, a teraz objawił się jako poeta. Mieliśmy wiele wspólnego. Jednak podobnie jak wszyscy mężczyźni w jego wieku miał jedną główną słabość, której w żaden sposób nie mitygowało to, że przez większość czasu nie zdradzał się z nią, ukrywając ją pod swoją tuniką.

Wiem też, jak bezlitosne i nierozważne mogą być młode kobiety, kiedy przegrzeją się im jajniki. Gonady mojej małej kochanej Tehuti buchnęły płomieniem w chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Nie byłem w stanie wymyślić żadnego skutecznego sposobu, żeby zdusić ten ogień.

W pierwszych dniach po powrocie do Teb przytłoczyły mnie sprawy, które cisnęły się na mnie ze wszystkich stron, gdzie tylko się obróciłem.

Faraon wymagał od mnie, żebym o każdej porze był gotów omawiać z nim polityczną burzę, jaka rozszalała się między Hyksosami a Najwyższym Minosem.

Zgodziłem się z Atonem co do tego, że wobec pilnych potrzeb i groźnej sytuacji powinniśmy zawrzeć rozejm między naszymi rywalizującymi siatkami wywiadowczymi, nawiązać współpracę i połączyć nasze wysiłki w bieżących operacjach z myślą o bezpieczeństwie, a być może nawet ostatecznym przetrwaniu naszego umiłowanego Egiptu.

O każdej godzinie nocy zarówno pod moimi drzwiami, jak i drzwiami Atona pojawiali się dziwni, bezimienni mężczyźni i kobiety, przynosząc wieści oraz informacje z północy. Więcej doniesień docierało tylko od ludzi zajmujących się gołębiami pocztowymi, które pokonywały tę samą drogę. Czasami przychodziło mi na myśl, że skoro tak wielka liczba naszych ptaków lata w tym samym czasie, niebo powinno w istocie nabrać purpurowego zabarwienia ich skrzydeł.

Wraz z Atonem musieliśmy badać i omawiać każde słowo, jakie do nas dochodziło, dokładnie oceniając wagę informacji przed przekazaniem ich faraonowi i jego sztabowi głównemu.

Jednym z ważniejszych doniesień naszych wywiadowców był raport o kremacji króla Beona, którego moje strzały pozbawiły

życia na Nilu koło Memfis. Hyksosi mają barbarzyński zwyczaj spopielenia ciał zabitych bohaterów, zamiast ich balsamowania, jak to robimy my, ludzie bardziej rozwinięci i cywilizowani.

Jednocześnie składają też ofiary z ludzi w celu zjednania sobie bogów, którym przewodzi Set. Dowiedzieliśmy się z Atonem, że stu naszych egipskich wojowników, którzy zostali schwytani przez Hyksosów, zostało wrzuconych żywcem w ogień stosu pogrzebowego Beona, a za nimi poszło sto dziewczic, które miały uprzyjemnić Beonowi przebywanie w zaświatach. Niektóre z nich miały zaledwie pięć lat, tyle żeby wiedzieć, co się z nimi dzieje, gdy wchodziły w płomień. Czy po wysłuchaniu tej opowieści jakakolwiek rozumna osoba może jeszcze twierdzić, że Hyksosi nie reprezentują najniższej formy zwierzęcego życia?

Byłem pierwszą osobą w Tebach, która się dowiedziała, że po spaleniu ciała Beona na nowego króla Hyksosów został koronowany jego młodszy brat Gorrab.

Można było założyć, że najważniejszą troską Gorraba będzie pomszczenie śmierci brata. Wycofał więc z pierwszej linii frontu dziesięć tysięcy swoich żołnierzy, którzy stali naprzeciwko sił egipskich na granicy między Szeik Abada i Asjut. Decyzja Gorraba była korzystna dla Egiptu, dlatego faraon mocno wspierał działania wzdłuż tego frontu. Hyksosi nigdy nie oszczędzają życia własnych żołnierzy i zawsze są gotowi przyjąć bitwę na wyczerpanie, jeśli nadarza się okazja ku temu. Aż do tego momentu faraon zadawał ciężkie straty armii Beona, ale mocne ciągi dostawali również jego ludzie.

Teraz nagle nacisk ustąpił i faraon otrzymał możliwość połączenia na nowo swoich sił oraz poprawienia ich pozycji, gdy Gorrab nakazał prawie jednej czwartej swojej armii wycofać się na północ, żeby zaatakować wojska Kreteńczyków, które pozostawiłem nietknięte w Tamiacie.

Gorrab był świadkiem śmierci swojego brata. Dowodził strażą na pokładzie królewskiej barki. Widział, jak trzy kreteńskie triery uderzają prosto na nich, jego uwadze nie umknęły też

minojskie mundury oficerów oraz żołnierzy z ich załóg, gdy przypuścili niesprowokowany i zdradziecki atak.

Widział także, jak jeden z kreteńskich łuczników z rozmysłem posłał trzy strzały do jego bezbronnego brata próbującego ze wszystkich sił utrzymać się na wodzie. Później wydobył z rzeki przeszyte strzałami ciało króla Beona i opłakał jego śmierć, podkładając zapaloną pochodnię pod stos kremacyjny. Wreszcie własnymi rękami włożył sobie na głowę hyksoską koronę i ogłosił wojnę totalną z Kretą.

Aton i ja z radością śledziliśmy kampanię Gorraba przeciwko Minojczykom. Dowiedzieliśmy się od naszych szpiegów, że główni minojscy dowódcy pożeglowali z Tamiatu z powrotem na Kretę galera, którą im zostawiłem. Mała galera mogła pomieścić tylko czterdziestu ludzi, inni zostali w forcie. Gdy galera dotarła na Kretę, jej dowódca zameldował Najwyższemu Minosowi o haniebnym i podstępny ataku Hyksosów na fort oraz o uprowadzeniu kreteńskich statków ze skarbem. Poinformował Minosa, że piraci nie zrobili nic, żeby zataić swoją tożsamość, i mieli na sobie kompletne mundury Hyksosów, a on sam słyszał, jak rozmawiają w ich języku.

Najwyższy Minos natychmiast wysłał swe galery wojenne do Tamiatu, żeby zabrać dwa tysiące kreteńskich żołnierzy, którzy tam utknęli. Jednak jego okręty przybyły za późno.

Król Gorrab dotarł tam przed nimi na czele dziesięcioletniej armii. Kreteńscy dzielnie się im przeciwstawili, niestety, większość z nich została wycięta, a niedobitki się poddały. Gorrab kazał ściąć ich wszystkich i ułożyć z ich głów piramidę na nabrzeżu naprzeciwko fortu. Płynący z odsieczą Kreteńscy przybyli dopiero w chwili, gdy król Gorrab wrócił już do Memfis, pozostawiwszy stos ludzkich głów gnijących w słońcu i wystawionych na pastwę dzikich zwierząt, które pożerały to, co zostało z ludzi Minosa. Flotylla pożeglowała z powrotem na Kretę, żeby poinformować władzę o masakrze.

Najwyższy Minos poprzysiągł zemstę przed ołtarzem dziwnych kreteńskich bogów i wysłał swoją flotę, żeby niszczyła hyksoskie porty i bazy wzdłuż całego północnego wybrzeża Afryki.

Gorrab zrewanżował mu się, urządzając pogromy wszystkich Minojczyków żyjących pod jego berłem w północnym Egipcie. Minojczycy to lud mądry i gospodarny. Niezwykle uzdolniony we wszelkich rzemiosłach i zawodach. Jednak przede wszystkim trudnią się kupiectwem i prowadzeniem przedsiębiorstw. Gdziekolwiek można wyczuć słodki zapach srebra i zysku, tam można znaleźć Minojczyków.

Bo w jaki inny sposób mieszkańcy tak małej wyspy jak Kreta mogliby stać się potęgą dominującą we wszystkich krajach otaczających Morze Śródziemne?

Kilka tysięcy Kreteńczyków mieszkało w północnym Egipcie. Król Gorrab spadł na tę ludność z całym okrucieństwem i zwierzęcą zaciekłością, z jakiej Hyksosi są znani. Wyciągali ich z domów, gwałcili ich kobiety i dzieci, nawet jeśli były w bardzo młodym wieku. Potem zaganiali wszystkich: mężczyzn, kobiety i dzieci do świątyń, które Minojczycy wzniesli swoim bogom, i podpalali dachy nad ich głowami.

Minojczycy próbowali ratować się ucieczką z kraju, ale tylko bardzo niewielu to się udało. Szczęśliwców, którzy mieszkali w miastach i portach na wybrzeżu Morza Śródziemnego, zabrały statki Najwyższego Minosa. Inni, żyjący w głębi lądu, uciekali na pustynie, które otaczają nasz umiłowany Egipt. Umierali tam z pragnienia i pod ciosami Beduinów, którzy również są ludźmi okrutnymi i drapieżnymi.

Jednak kilkuset Minojczyków opuściło Memfis i uciekło z rodzinami na południe do Asjut, a niektórzy z nich zdołali umknąć ścigającym ich wozom bojowym Hyksosów i dotrzeć do naszych wojsk, zajmujących pozycje na linii frontu. Pan Kratas rozkazał naszym ludziom, aby udzielali schronienia i osłony uciekinierom i traktowali ich w łagodny sposób.

Gdy tylko dotarły do mnie te wieści, wskoczyłem na konia i najszybciej, jak mogłem, pogałem do naszych legionów stojących naprzeciwko Hyksosów.

W wojskach tych było kilku starszych dowódców, których znałem z czasów, gdy byli młodzieńcami. Kształciłem ich w sztuce wojennej i moje wpływy pomogły im w awansie na obecne wysokie stopnie wojskowe.

Pan Remrem teraz dowodził pułkiem, pozostając pod rozkazami najwyższego wodza, generała Kratasa.

Hay, który w chwili, gdy go pojmałem, był wyrzutkiem wyjętym spod prawa, teraz pełnił funkcję wyższego oficera dowodzącego pięcioma setkami wozów bojowych. Wszyscy ci starzy przyjaciele i znajomi z zadowoleniem witali mnie w swoim obozie, łącznie z tym starym, karygodnym potępieńcem Kratasem, który był głównodowodzącym i podlegał tylko faraonowi. W wieczór mojego przybycia pan Kratas próbował upić mnie na umór. Jednak to ja byłem jednym z tych, którzy zaprowadzili go na posłanie, a nawet trzymałem go za głowę, gdy zebrało mu się na wymioty. Następnego ranka podziękował mi szorstko i posłał swego ordynansa, żeby zaprezentował mi minojskich uciekinierów, którzy zdołali umknąć przed gniewem króla Gorraba i dotrzeć do naszych linii.

Nieszczęśników tych było około czterdziestu. Stanowili grupę godną pożałowania, jako że uciekli jedynie z lichym dobytkiem i niepełnymi rodzinami zdziesiątkowanymi przez Hyksosów.

Ruszyłem powoli między rzędami uciekinierów, odnosząc się do nich łagodnie i z szacunkiem, ale również sprytnie ich przepytując.

Dotarłem wreszcie do rodzinnej grupki, która tuliła się do siebie na samym końcu szeregu. Ojciec mówił znośnie po egipsku, ale z silnym obcym akcentem. Nazywał się Amythaon. Jeszcze trzy tygodnie wcześniej był w Memfis kupcem handlującym zbożem, winem i skórą. Cieszył się takim powodzeniem, że nawet ja słyszałem o nim od moich szpiegów

w tym mieście. Hyksosi spalili mu dom i skład towarowy i na jego oczach dotąd gwałcili mu żonę, aż wykrwawiła się na śmierć.

Jego syn był dziewiętnastoletnim młodzieńcem o imieniu Ikarion. Polubiłem go natychmiast. Był wysoki i mocno zbudowany. Miał bujną czuprynę kręconych czarnych włosów i wesołą twarz. W odróżnieniu od ojca nie wydawał się aż tak przygnieciony i złamany nieszczęściem.

– Oczywiście uciekłeś z Memfis na skrzydłach, które sam zrobiłeś? – spytałem go.

– Jasne, że tak – odparł Ikarion. – Ale trzymałem się z dala od słońca, panie. – Natychmiast podchwycił aluzję do jego imienia.

– Umiesz czytać i pisać, Ikarionie?

– Tak, panie. Chociaż nie sprawia mi to tyle przyjemności, co mojej siostrze. – Odwróciłem się do jego siostry, która chowała się za oboma mężczyznami z jej rodziny, i przyjrzałem się jej twarzy. Była dość ładna, miała długie ciemne włosy i jasne, inteligentne oblicze, ale nie dorównywała urodą moim księżniczkom. Poza tym bardzo niewiele jest takich dziewcząt, które są od nich ładniejsze.

– Nazywam się Loxias i mam piętnaście lat – powiedziała, uprzedzając moje pytania. Była prawie w takim samym wieku jak moja droga Tehuti. Mówiła doskonale po egipsku, jakby był to jej język ojczysty.

– Umiesz pisać, Loxias?

– Tak, panie. Umiem posługiwać się wszystkimi trzema systemami, hieroglificznym, klinowym i pismem minojskim, linearnym.

– Loxias zajmuje się księgami handlowymi i prowadzi całą moją korespondencję – wtrącił jej ojciec Amythaon. – To mądra dziewczyna.

– Mogłabyś nauczyć mnie mówić po minojsku i pisać pismem linearnym? – zapytałem.

Loxias zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Być może, ale to zależy od twoich zdolności, dostojny panie Taito. Minojski nie jest łatwym językiem. – Zauważyłem, że użyła

mojego pełnego imienia i tytułu. Domyśliłem się z tego, że jej ojciec nie pomylił się w swoich przechwałkach.

– Wypróbuj mnie. Powiedz coś po minojsku – zachęciłem ją.

– Z przyjemnością – zgodziła się Loxias, a potem wypowiedziała długą sekwencję sepleniących i egzotycznie brzmiących zwrotów.

Powtórzyłem je. Mam muzyczny słuch do dźwięków, zarówno instrumentalnych, jak i mówionych. Potrafię bezbłędnie odtworzyć intonację i akcent każdej ludzkiej mowy. W tym przypadku nie miałem pojęcia, co wypowiadam, ale powtórzyłem to doskonale. Wszyscy troje spojrzeli na mnie z zaskoczeniem, a Loxias spłonila się nawet z przestraczem.

– Oszukujesz mnie, dostojny panie Taito. Nie potrzebujesz moich lekcji. Wymawiasz to prawie tak samo dobrze jak ja – powiedziała oskarżycielskim tonem. – Gdzie się uczyłeś naszego języka?

Uśmiechnąłem się tajemniczo i zostawiłem ją z tą zagadką.

Zarekwirowałem konie z pułku Haya i tego samego dnia we czworo wyruszyliśmy na południe do Teb. Znalazłem małej, zagubionej rodzinie wygodne mieszkanie niedaleko murów miasta, w jednej z niewielkich wiosek należących do posiadłości Mechir, którą zostałem niedawno obdarowany.

Spędzałem z Loxias po kilka godzin dziennie, ucząc się mówić i pisać po minojsku. Po zaledwie kilku miesiącach Loxias oświadczyła, że nie jest w stanie nauczyć mnie niczego więcej.

– Uczeń prześcignął nauczycielkę. Myślę, panie Taito, że jest wiele rzeczy, których ty mógłbyś mnie nauczyć.

Moje księżniczki nie były tak gorliwymi ani pilnymi uczennicami jak ja. Na początku obie były nieugięte i twierdziły, że nie chcą mieć do czynienia z tak głupim i dzikim językiem jak minojski. Nie życzą też sobie zadawania się z młodą minojską wieśniaczką niskiego stanu. Powiedziały mi, że jest to ich wspólna decyzja, absolutnie ostateczna i nieodwracalna, i nic na to nie poradzę. Wszystko to powiedziała Tehuti, a jej młodsza siostra stała obok niej i kiwała głową na potwierdzenie.

Poszedłem porozmawiać z ich starszym bratem, faraonem Tamose. Wyłuszczyłem mu potrzebę rozwijania i wykorzystywania przez Egipcjan pączkujących stosunków z Kretą i wyjaśniłem, dlaczego zależy to w dużej mierze od zdolności obu dziewcząt do porozumienia się z Najwyższym Minosem i jego dworzanami. Potem przedstawiłem szczegółowe plany, jakie wiązałem z jego siostrami.

Faraon posłał po dwie małe buntowniczkę i upomniał je surowo. Zakończył swoje przemówienie tak okropnymi i przekonującymi groźbami, że nawet ja się przeraziłem na myśl, gdyby je spełnił. Księżniczki natychmiast zmieniły swoją absolutnie ostateczną decyzję. Ale przez kilka następnych dni dąsały się na mnie, i to nawet mocno.

Prędko jednak zapomniały o urazie, gdy ustanowiłem nagrodę dla uczennicy, która, zdaniem ich nauczycielki Loxias, okazała w poprzednim tygodniu największe postępy w przyswajaniu nowego języka. Nagrodą był zawsze jakiś bardzo pożądany kobiecy fatałaszek albo świecidełko, jakie Amythaon znalazł mi na miejskim targowisku.

Niebawem były już w stanie płynnie rozmawiać, sprzeczać się i wyrażać swoje emocje po minojsku, a Loxias przeszła samą siebie, ucząc ich wielu słów i wyrażeń, które bardziej nadawały się do karczem czy domów publicznych w miejskich slumsach niż do pałacu. W ciągu następnych miesięcy trzy małe diablice miały ubaw, szokując mnie tymi zwrotami. Prędko cała trójka utworzyła tak dobraną paczkę, że księżniczki zabrały Loxias do królewskiego haremu, żeby tam z nimi zamieszkała.

Posiadłość Mechir służyła mi za wymówkę do wymykania się z pałacu, gdy tylko poczułem chęć, żeby pojeździć konno bez skrępowania po moich ziemiach, zazwyczaj w towarzystwie księżniczek i nieodłącznej Loxias. Nauczyłem je dosiadać konia okrakiem, co było godnym uwagi osiągnięciem dla każdego Egipcjanina, zarówno mężczyzny, jak i kobiety, a cóż dopiero dla sióstr faraona.

Na dodatek sporządziłem z myślą o dziewczętach specjalne łuki, troskliwie dopasowując je do ich siły. Nabrawszy pewnej praktyki, były w stanie naciągnąć cięciwę tak, że dotykała ich ust, i umieścić dwie strzały na trzy w tarczy, którą ustawiłem w odległości stu kroków. Podsycałem ich entuzjazm dla tego sportu, ustanawiając nagrody i obsypując przesadnymi pochwałami najlepszą łuczniczkę dnia.

Gdy moi ludzie obsiewali pola zbożem, dzikie ptactwo zlatywało się całymi stadami, żeby kraść ziarno. Płaciłem dziewczętom z ekstrawagancką hojnością za każdego ustrzelonego przez nie ptaka. Wszystkie trzy prędko stały się świetnymi łuczniczkami i potrafiły ustrzelić skrzydlatego szkodnika wysoko w locie.

Miałem świadomość, że jazda konna i strzelanie z łuku są umiejętnościami, które im się przydadzą w późniejszym życiu.

Rozkoszowałem się chwilami, jakie mogłem spędzić z moimi podopiecznymi, ponieważ po każdym powrocie do pałacu trafiałem znowu we władcze ręce faraona. Rzadko zdarzało się,

żeby w ciągu jednego dnia wzywał mnie do siebie tylko raz. Przywoływał mnie, żebym pomógł mu rozwiązać jakiś problem, udzielił rady albo podzielił się opinią w jakiejś sprawie. Nauczyłem się nie tracić pewności siebie, gdy odrzucał moją radę, żeby wrócić do niej niedługo potem już jako do swojego własnego pomysłu.

W tym okresie stanąłem również przed wyzwaniem, jak wykorzystać skarb, który przywiozłem faraonowi Tamose z minojskiego fortu w Tamiacie.

Faraon niecierpliwie palił się do tego, żeby wykorzystać zdobycz dla podniesienia dobrobytu poddanych. Musiałem odwieść go od pomysłu płacenia krajowych długów srebrnymi sztabkami, na których wybite były stemple probiercze Najwyższego Minosa Krety.

– Wielki faraonie, obaj mamy świadomość, że Minos ma swoich szpiegów w każdym mieście naszego umiłowanego Egiptu – wyjaśniłem mu. – W krótkim czasie któryś z nich mógłby wysłać na Kretę wiadomość, że wszystkie bazyry i karczmy w Tebach zalane są srebrnymi sztabkami ze znakiem byka z Krety.

– Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie będę mógł skorzystać ze sztabek, które mam ułożone w skarbcu? – zapytał, wskazując brodą grobowiec ojca po drugiej stronie Nilu. – Tylko dlatego, że Minos mógłby zostać poinformowany o ich istnieniu? – Ton jego głosu był ostry, a mina zagniewana.

– Proszę o wybaczenie, królewski władco Egiptu. Jesteś ojcem tego kraju. Skarb należy do ciebie i możesz go używać, jak tylko zechcesz. Jednakże musimy zmienić jego wygląd po to, żeby żaden żyjący człowiek, a w szczególności Najwyższy Minos, nie był w stanie go rozpoznać.

– Jak to zrobimy, Taito? – Jego gniew odrobinę zelżał. Jednak w końcu spojrzął mi w oczy z wyrazem przyjaźni i zainteresowania.

– Musimy podzielić sztabki na dużo mniejsze części, wszystkie o takiej samej wadze, powiedzmy... pół debena. Na każdej z nich mógłby zostać odbity obraz twojej królewskiej głowy.

– Hm! – mruknął faraon. Wiedziałem, że pomysł umieszczenia jego głowy na srebrnych płatkach mu się spodoba. – Ale jak je nazwiemy, te moje srebrne kawałki, Tata?

– Z pewnością faraon wymyśli lepszą nazwę, ale mam wrażenie, że one powinny nosić nazwę srebrnych memów.

Faraon uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Myślę, Tata, że to bardzo trafny pomysł. A jaki obrazek odbijemy na odwrotnej stronie?

– Oczywiście będzie to decyzja faraona. – Pochyliłem głowę i dzięki temu uniknąłem jego wzroku.

– Oczywiście, że ja o tym zadecyduję – zgodził się Tamose. – Ale widzę, że chciałbyś coś zasugerować.

Wzruszyłem ramionami.

– Wasza Królewska Wysokość, towarzyszę ci od chwili narodzin.

– Tak. Horus może zaświadczyć, że słyszałem to z twoich ust wystarczająco wiele razy. Kiedy opowiadasz, że rozpocząłem życie od nasikania na ciebie, to zawsze myślę, że powinienem być sikać mocniej i dłużej.

Udałem, że jego ostatnie słowa nie dotarły do moich uszu.

– Zawsze byłem tuż obok ciebie, lojalnie i wiernie. Kontynuowanie tej tradycji mogłoby się okazać korzystne. – Zawiesiłem głos, ale mnie ponaglił.

– Mów dalej! Aczkolwiek myślę, że wiem, dokąd zmierzasz.

– Być może. Z całą skromnością podsuwam myśl, że faraon mógłby nakazać, żeby odwrotną stronę jego srebrnego mema ozdobił obrazek zranionego sokoła – zaproponowałem.

Faraon wybuchnął śmiechem.

– Ty nigdy mnie nie zawodzisz, Tata. Obmyśliłeś to wszystko od samego początku! – Ranny sokół ze złamanym skrzydłem jest moim osobistym hieroglifem.

Pod królewskimi auspicjami, zadbawszy o utrzymanie tego przedsięwzięcia w absolutnej tajemnicy, urządziłem mennicę w obrębie grobowca Mamose, żeby rozpocząć ręczne bicie pieniądza. Aby te kawałki srebra nie pozostały bezimienne, wymyśliłem dla nich nową nazwę: „moneta”. Faraon przyjął ją bez zastrzeżeń.

Bicie monety było moim kolejnym osiągnięciem, które dowodziło nadzwyczajnego przyspieszenia na drodze postępu i podnoszenia dobrobytu w naszym umiłowanym Egipcie. Obecnie gładko funkcjonujący system monetarny jest podstawowym instrumentem rządu i handlu. Był to jeden z moich darów dla Egiptu, dzięki któremu zawsze będziemy najwybitniejszym narodem świata. Chociaż od tej pory inne narody zaczęły nas naśladować, srebrny mem jest teraz monetą rozpoznawalną i przyjmowaną z radością we wszystkich krajach.

Za moim poduszczeniem faraon nazwał grobowiec swego ojca „Mennicą Królewską” i w ten sposób usunął z tego miejsca szkodliwe znamię śmierci i grzebania umarłych. Dopełniwszy tego aktu, mianował mnie gubernatorem tej instytucji, powiększając w ten sposób znacznie i tak już szeroki zakres moich powinności i odpowiedzialnych funkcji. Jednak nigdy nie narzekam, gdy wzywa mnie obowiązek.

Jedną z moich pierwszych czynności w nowej roli gubernatora było mianowanie Zarasa na stanowisko strażnika mennicy królewskiej i skarbu. Przekonałem faraona, żeby oddał pod jego rozkazy batalion gwardzistów, którzy służyliby mu za pomocników w wykonywaniu tych obowiązków. Oczywiście w ten sposób Zaras znalazł się całkowicie pod moją kontrolą. Od czasu, gdy księżniczka Tehuti wykombinowała podstęp, którym zmusiła go, by przyjrzał się pierścieniowi z diamentem, dzięki czemu jej zamiary stały się dla mnie jasne, postanowiłem pilnować troskliwie, żeby Zaras pozostawał w izolacji na

zachodnim brzegu Nilu. Wiedziałem, że jeśli moja droga podopieczna wbije sobie coś do głowy, to bardzo trudną, a może wręcz niemożliwą rzeczą będzie wyperswadować jej to i odciągnąć ją od tej myśli.

Jedynym sposobem, jaki zdołałem wymyślić, było ucięcie wszelkich kontaktów między nią a Zarasem do chwili, gdy będę w stanie wyraźnie ustalić jej przyszłość. Rzecz jasna, powinna zostać królową i małżonką najpotężniejszej z wojskowego punktu widzenia osobistości w świecie, a nie zabawką czy markietanką zwykłego żołnierza, choćby nawet ten żołnierz był przyjemny i sympatyczny.

Jedna z nowych informacji na temat zagadkowej postaci Najwyższego Minosa, jaka do mnie dotarła, głosiła, że zdradza on predylekcję do pięknych kobiet królewskiego rodu. Jednak, prawdę mówiąc, nie było na to żadnych dowodów. Była to tylko zwykła pogłoska, która dzięki częstemu powtarzaniu stała się niemal faktem.

Mimo to miałem nadzieję, że ta mroczna, ale wszechwładna postać zapala nieodpartym uczuciem do moich małych księżniczek i dzięki temu będę mógł manipulować Minojczykiem według mojej woli, z jak największą korzyścią dla naszego umiłowanego Egiptu. Pocieszałem się myślą, że Tehuti nie może liczyć na większy zaszczyt ani wziąć na siebie większego obowiązku niż zająć miejsce na tronie i uratować ojczyznę od barbarzyńcy. Gdy tylko to sobie uświadomi, prędko odrzuci trywialne zafascynowanie Zarasem.

Tymczasem jednak powinienem zadbać, żeby ten wartościowy młodzieniec pozostawał w obrębie Mennicy Królewskiej, i dawać mu niewiele lub nawet żadnej okazji do przeprowadzania się przez rzekę, aby tam krążył wokół królewskiego haremu niczym pies, który wyczuwa sukę podczas rui.

Aż do tego czasu faraon i my, członkowie jego królewskiej rady, z najwyższą uwagą śledziliśmy rosnący konflikt między Najwyższym Minosem a królem Hyksosów Gorrabem. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby zwiększyć wrogość między nimi. Niestety, mieliśmy ograniczone możliwości. Kreta położona była zbyt daleko i nie pozostawaliśmy w kontakcie z jej władcą.

Czekając na odpowiedni moment, w którym mógłbym doprowadzić do skutku moje plany dotyczące Tehuti i Bekathy, postanowiłem ustalić, co mogę zrobić w sprawie Krety i Najwyższego Minosa. Zarówno Amythaon, jak i jego córka Loxias udzielili mi bezcennych informacji o wyspiarskim państwie, jego historii, ludności, zasobach i, co najważniejsze, jego władcach.

Używam liczby mnogiej „władcy” rozmyślnie, gdyż wydaje się, że Kreta ma czterech królów. Najwyższy Minos, jak to sugeruje jego tytuł, dominuje nad trzema innymi, drugorzędnymi królami. Mieszkają oni w oddzielnych pałacach, które są jednak połączone z głównym pałacem w Knossos wspaniałymi drogami wyłożonymi marmurowymi płytami. W Egipcie nie nazywalibyśmy ich królami, ale satrapami albo rządcami.

Gdy dokładniej wypytałem Amythaona, dowiedziałem się, że urodził się w małej wiosce położonej zaledwie o trzy mile od murów Knossos, głównej twierdzy Najwyższego Minosa. Jego ojciec był urzędnikiem w pałacu i jako dziecko Amythaon oglądał

wiele świąt i procesji z udziałem Minosa. Był moim pierwszym rozmówcą, który widział Minosa na własne oczy.

Według Amythaona jest to wspaniała i imponująca postać, która zawsze, gdy pojawia się publicznie, ma na twarzy maskę. Ma kształt głowy byka i wykonana jest z czystego srebra. Żaden z poddanych nigdy nie widział twarzy króla.

– Jest nieśmiertelny – oświadczył Amythaon. – Rządzi narodem od czasu jego narodzin, które giną w pomroce dziejów.

Przytaknąłem z mądrą miną, ale przyszło mi na myśl, że jeśli żaden z jego poddanych nigdy nie widział jego twarzy, to skąd wiedzą, że jest ciągle tą samą osobą, która rządzi nimi od niepamiętnych wieków? Wydało mi się dość prawdopodobne, że po śmierci aktualnie rządzącego Najwyższego Minosa jego następcą po prostu wdziewa srebrną maskę z głową byka i kontynuuje rządy.

– Ma sto żon – dodał Amythaon i popatrzył na mnie, spodziewając się, że informacja wywrze na mnie wielkie wrażenie. Zrobiłem przerażoną minę. – Najwyższy Minos bierze za żony kobiety, które otrzymuje od wszystkich pozostałych królów miast-państw z wysp rozsianych po Morzu Egejskim. Przysyłają mu je w charakterze daniny cztery razy na rok, gdy odbywają się uroczystości poświęcone zmianom pór roku.

– Ilu królów jest wasalami Najwyższego Minosa, Amythaonie?

– To potężny monarcha, panie mój. Ma w sumie dwudziestu sześciu wasali – rzekł Amythaon. – Łącznie z trzema sprawującymi władzę na samej Krecie.

– A ile żon mu przysyłają?

– Każdy z wasali przysyła mu co roku siedem żon.

– W sumie daje to sto osiemdziesiąt dwie kobiety rocznie. Dobrze to obliczyłem, Amythaonie? – Przyglądałem mu się, gdy liczył na palcach, aby w końcu kiwnąć potakująco głową.

– Prawidłowo, panie mój.

– W takim razie możesz mi wyjaśnić, jakim sposobem ma ciągle sto żon, jak zapewniłeś mnie na początku?

– Nie jestem tego pewien, dostojny panie. Tak powiedział mi mój ojciec, gdy byłem dzieckiem – odparł Amythaon z niepewną miną. Aby wybawić go z zakłopotania, kontynuowałem zadawanie pytań.

Amythaon okazał się jeszcze bardziej pomocny w opisie topografii Krety i jej ludności. Miałem kilka pozornie dokładnych map wyspy, które jednak poważnie różniły się między sobą. Amythaon obejrzał je wraz ze mną, pracowicie poprawiając ich treść i szczegóły, a w końcu przeniósł zmiany na główną mapę, która zgodnie z jego zapewnieniami była bez zarzutu.

Mapa ukazywała wszystkie miasta i wioski, porty i kotwicowiska, drogi i przełęcze na grzbietach kreteńskich gór.

Z uwagi na swoje powiązania rodzinne Amythaon był też w stanie podać mi wiarygodne liczby odnoszące się do minojskiej armii i floty.

Składała się na nią znaczna liczba pieszych żołnierzy. Jednakże byli to głównie najemnicy rekrutowani z innych helleńskich wysp lub spośród Medów i Aryjczyków ze wschodniej Azji. Amythaon powiedział mi też, że z uwagi na górzysty teren Krety Minojczycy, w porównaniu z Hyksosami i naszym faraonem, mają stosunkowo niewiele rydwanów bojowych.

Wydaje się, że Najwyższy Minos wynagradza to sobie potęgą floty, która zdecydowanie przewyższa wszystkie inne na Morzu Śródziemnym. Amythaon był w stanie podać mi oszacowania dotyczące liczby i rodzajów składających się na nią okrętów.

Wymienione przez Amythaona liczby były tak wielkie, że wydały mi się z pewnością przesadzone. Przyszło mi na myśl, że jeśli się mylę i Amythaon podał mi dokładne dane, to Najwyższy Minos jest naprawdę potężnym człowiekiem.

Uzbrojony we wszystkie te informacje doszedłem w końcu do wniosku, że my, Egipcjanie, powinniśmy włączyć się aktywnie po stronie Krety w wojnie Minojczyków z Hyksosami i że moglibyśmy wywrzeć decydujący nacisk potrzebny do tego, żeby ostatecznie pokonać barbarzyńskich Hyksosów i przepędzić ich z naszego rodzinnego kraju.

Wraz z Atonem skonfrontowaliśmy te informacje z doniesieniami wywiadowczymi, jakie zdołaliśmy zebrać od naszych szpiegów. Aton był pod wrażeniem ogromu nagromadzonych przeze mnie danych, które znacznie przewyższały to, czego on zdołał się dowiedzieć, ale nie lekceważyłem jego wysiłków.

Po długiej dyskusji zgodziliśmy się co do tego, że najlepiej będzie, jeśli podejmiemy bezpośrednie, przyjazne działania wobec Minojczyków i będziemy zmierzać do zawarcia z nimi przymierza, dzięki któremu nasze dwa narody mogłyby się stać dominującą potęgą na ziemi, potęgą, której Hyksosi nie mogliby nigdy rzucić wyzwania.

W przyпыwie entuzjazmu właśnie wtedy popełniłem błąd. Powiedziałem Atonowi:

– Przypominam sobie, że w okresie poprzedzającym wtargnięcie Hyksosów do Egiptu utrzymywaliśmy stałe, nieznaczne wprawdzie, ale wzajemnie korzystne dyplomatyczne kontakty z Kretą. Jednak inwazja Hyksosów na Górny Egipt odizolowała naszą południową część kraju. Z tego powodu

podtrzymywanie stosunków z Kretą stało się niemal niemożliwe. Nasze dwa kraje rozeszły się, rozdzielone za sprawą klina białego między nas przez Hyksosów.

Aton słuchał mnie ze zdziwieniem, które zaświtało na jego puchowatej twarzy. Kiedy zamilkłem, żeby wysłuchać jego odpowiedzi, nadal patrzył na mnie w milczeniu. Musiałem go przycisnąć.

– I co o tym myślisz, Atonie? Czy mój plan nie przemawia do ciebie?

Aton zignorował moje pytanie, ale ostrym tonem wrócił do tego, co powiedziałem na początku.

– Czy ja dobrze cię zrozumiałem, Taito? Powiedziałeś, że pamiętasz czasy sprzed najazdu Hyksosów na nasz kraj? – Zazwyczaj jestem skrajnie powściągliwy w odniesieniu do mojego wieku. Nawet tacy ludzie jak Aton, którzy znają mnie dobrze, sądzą, że jestem o kilka dekad młodszy, niż ma to miejsce w rzeczywistości. Gdybym powiedział im, ile dokładnie mam lat, w najlepszym razie wzięliby mnie za szaleńca, a w najgorszym za kłamcę. Najazd Hyksosów wydarzył się prawie dziewięćdziesiąt lat temu i rzeczywiście dobrze go pamiętam. Teraz jednak musiałem naprawić mój błąd.

Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, po prostu zachichotałem.

– Wyraziłem się niezręcznie. Miałem na myśli to wszystko, co czytałem i słyszałem o czasach sprzed inwazji Hyksosów, kiedy to Egipt był w przyjaznych stosunkach z Kretą – wyjaśniłem, a potem pospiesznie dodałem: – Jeśli zamierzamy podjąć próbę odnowienia tych przyjacielskich układów i zawrzeć między naszymi krajami nowy pakt o wzajemnej obronie, nadzwyczaj trudno będzie dokonać tego wprost. Nie zgadzasz się z tym, Atonie?

Nie odpowiedział od razu. Miał ciągle ten dziwny wyraz twarzy, zauważyłem też, że jego wzrok przesuwają się z mojej szyi na ręce, które spoczywały na cedrowym biurku przede mną. Podobnie jak ja, Aton wie o tym, że ślady niszczącego działania

czasu są zawsze bardziej widoczne na tych częściach ludzkiego ciała.

Jednak ja jestem wyjątkiem. Skóra pokrywająca całe moje ciało jest gładka i nieskazitelna jak u chłopca, któremu nie wyrósł jeszcze na brodzie nawet jeden włos. Aton nie mógł znaleźć dowodu na mój rzeczywisty wiek. Kiwnął więc w zamyśleniu głową i przeniósł całą swoją uwagę znowu na temat, jaki poruszyłem.

– Oczywiście to, co mówisz o obecnej sytuacji, jest prawdziwe, Taito. Byłoby rzeczą prawie niemożliwą nawiązać bezpośredni kontakt z Minosem. Poprawnie zidentyfikowałeś problem; teraz powiedz mi, jakie widzisz rozwiązanie. – Złagodził swoje wyzwanie miłym tonem głosu.

– Wiesz oczywiście, że Najwyższy Minos utrzymuje misję dyplomatyczną na dworze Nemroda, króla Akadu i Sumeru, w jego stolicy Babilonie.

– Oczywiście! – zgodził się Aton. – Ale nawet gdybyśmy wysłali do Babilonu emisariusza, żeby nawiązał kontakt z posłem z Krety, to czy nie sądzisz, że musiałby on podjąć podróż jeszcze bardziej uciążliwą niż ta, którą sam odbyłeś, żeby zaatakować fort w Tamiacie?

– Rzeczywiście, Atonie, Babilon leży prawie dwa razy dalej, a droga jest zdecydowanie bardziej niebezpieczna i niepewna. Nasz wysłannik musiałby podróżować na wschód do brzegów Morza Czerwonego. Następnie musiałby nie tylko przepłynąć przez nie, ale także przebyć rozległą i wrogą Pustynię Arabską, która rozciąga się za morzem. To jest kraj przeklęty przez wszystkich życzliwych nam bogów, zamieszkały wyłącznie przez wrogie plemiona Beduinów oraz przez wszelkiego rodzaju rzezimieszków i ludzi wyjętych spod prawa, którzy wymknęli się z rąk sprawiedliwości. Odległość z Teb do Babilonu wynosi dobrze ponad tysiąc pięćset mil, a podróż wcale by się na tym nie skończyła.

– Dlaczego nie, Taito? Czyż obaj nie doszliśmy do wniosku, że Minos ma w Babilonie swojego posła?

– Tak rzeczywiście jest. Ale ten poseł nie miałby mocy i autorytetu, żeby negocjować przymierze między Kretą a Egiptem. Musiałby opatrzyć naszego posłańca listem polecającym i wysłać go na Kretę, na dwór Najwyższego Minosa. Nasz człowiek musiałby znaleźć statek w portach Tyru albo Sydonu, na wysuniętym najbardziej na wschód krańcu Morza Śródziemnego. Po uzgodnieniu przewiezienia z kapitanem statku, musiałby potem żeglować z nim przez pół Morza Śródziemnego, unikając zimowych sztormów oraz napadu piratów i wojennych galer Hyksosów, żeby dotrzeć do cytadeli Najwyższego Minosa w Knossos na Krecie.

– Jak myślisz, Taito, ile czasu mogłaby mu zająć taka podróż?

– Prawdopodobnie potrwałaby rok, gdyby miał szczęście, a bogowie byli mu przychylni, lub dwa razy dłużej, gdyby nie byli.

– W ciągu dwóch lat wiele może się zmienić – zadumał się Aton.

– Ale wcale by się na tym nie zakończyła – zauważyłem. – Bo jak już Najwyższy Minos zbadałby posłanie od faraona i omówił je ze swoją radą, nasz wysłannik musiałby przywieźć ich odpowiedź tą samą drogą do Teb. Pokonanie całej tej okrężnej trasy mogłoby mu zająć nawet trzy albo i cztery lata.

– Nie! – wykrzyknął z przekonaniem Aton. – Nie możemy pozwolić sobie na czekanie tak długo. Do tego czasu król Gorrab mógłby już wdrzeć się do Teb ze stu tysiącami swoich krwiożerczych łotrów. Musi istnieć inne rozwiązanie.

– Jestem pewien, że masz słuszość, mój drogi Atonie. A zatem co byś proponował? – Przeniosłem z powrotem na niego rozwiązanie problemu. Czasami nawet moja cierpliwość może zostać wystawiona na próbę, jeśli muszę podsuwać pomysły otaczającym mnie ludziom, tak jakby byli dziećmi, które trzeba karmić łyżeczką.

– Nie miałem okazji rozważyć tej sprawy tak jak ty. Być może sam znalazłeś już jakieś rozwiązanie? – Uśmiechnął się przymilnie, a ja oczywiście złagodniałem. Często myślę, że jestem

zbyt wyrozumiały dla ludzi, którzy nie są tak bystrzy jak ja. Wielki Horus dobrze wie, że otrzymuję za to bardzo niewiele podziękowań.

– A co, gdyby wyznaczony przez faraona egipski poseł otrzymał tak potężną eskortę, że mógłby odbyć bezpieczną i szybką podróż przez Morze Czerwone i pustynię po jego drugiej stronie, nie bojąc się zbójów czy Beduinów? Co by było, gdyby ten poseł został zaopatrzony w wystarczającą ilość srebra, żeby wynająć w Tyrze statek, który byłby wystarczająco duży i szybki, żeby uciec przed każdym piratem czy wojenną galerą Hyksosów, albo nawet ich pokonać?

– Ach! – Oczy Atona zabłysły.

– Co by było, gdyby ten świetny statek pożegłował prosto do Knossos na Krecie? A do tego, gdyby poseł wiozł prezenty, które są bardzo pożądane i cenione przez Najwyższego Minosa? – Przechyliłem na bok głowę i przyjrzałem mu się chytrze z ukosa. – Masz w ogóle jakieś pojęcie o tym, jakie prezenty Minos mógłby ocenić jako mu najmiłsze?

– Myślę, że tak, mój stary przyjacielu. – Aton się roześmiał. – Jeśli prawdą jest to wszystko, co słyszałem, Minos ma parę tak ciężkich jaj, że cieszy się życiem kilka razy lepiej, niż my byśmy się cieszyli, gdyby ciebie i mnie nie pozbawiono naszych wisiorków. Ma niezaspokojony apetyt na te rzeczy, na których nam szczególnie nie zależy.

Roześmiałem się razem z moim przyjacielem przez wzgląd na niego, chociaż nie uważam, żeby ten mój fizyczny brak był szczególnie zabawny.

– Ale powiedz mi, Taito, co byśmy przez to wszystko zyskali? W jaki sposób pomogłoby to nam skoordynować ofensywę przeciwko legionom króla Gorraba? Dowództwo egipskiej armii wciąż rezydowałoby z faraonem w Tebach. Każdy jego rozkaz musiałby być przesyłany na wielkie odległości, które ty i ja już omówiliśmy i oplakaliśmy.

– Znowu trafiłeś prosto w sedno sprawy – pochwaliłem go. – Jednak ja też się trochę nad tym zastanawiałem. Gdyby

wyznaczony przez faraona poseł miał przy sobie królewską pieczęć sokoła, mógłby podejmować bitewne decyzje w porozumieniu z Minosem i jego sztabem na Krecie bez narażania się na tak wielkie opóźnienia. Szybkie reakcje na zmieniające się okoliczności bardzo często umożliwiają wygrywanie bitew.

Aton potrząsnął głową tak gwałtownie, że jego policzki zatrzępotwały niczym skrzydła pelikana.

– Nigdy! Faraon w żadnym razie nie przekazałby dowództwa nad swoimi armiami i prowadzenia wojny nikomu, komu by nie ufał bez reszty.

– Ach tak, Atonie! Uważasz, że w Egipcie nie ma nikogo, komu faraon bezgranicznie wierzy?

– Nie, nie uważam... – Aton urwał i zaczął wpatrywać się we mnie z oburzeniem. – Ty, Taito? Z pewnością nie masz na myśli tego, że wraz z pieczęcią sokoła mogłoby ci zostać powierzone samodzielne dowodzenie północnym skrzydłem armii egipskiej? Nie jesteś żołnierzem, Taito! Co ty wiesz o działaniach wojennych?

– Jeżeli nie czytałeś moich zwojów zatytułowanych *Sztuka prowadzenia wojny*, to ja kwestionuję twoje prawo do osądzania mnie w tej sprawie. Wszyscy słuchacze szkoły wojskowej muszą studiować moje dzieło, traktując je jako najbardziej wiarygodne źródło wiedzy.

– Przyznaję, że nigdy go nie czytałem. Twoje sławne zwoje są zbyt długie, a poza tym jest to temat, który nie budzi mojego szczególnego zainteresowania, jako że nie wydaje się, żebym kiedykolwiek mógł dowodzić legionem – przyznał Aton. – Ale miałem na myśli to, że pisanie na pergaminie to nie to samo, co podejmowanie decyzji w bitewnej gorączce. Masz jakąś bezpośrednią, praktyczną wiedzę na temat dowodzenia armią?

– Biedny Atonie, tak mało o mnie wiesz – powiedziałem litościwym tonem. – Zanim porzucimy ten temat, mógłbym wspomnieć choćby o tym, że zaprojektowałem pierwsze rydwany bojowe dla naszej armii, byłem też woźnicą rydwanu,

na którym faraon Tamose walczył w bitwie pod Tebami. Faraon polegał na moich radach, gdy podejmował natychmiastowe decyzje w bitewnym wirze. Mój udział w tej bitwie był taki, że po naszym zwycięstwie faraon nagroził mnie złotym medalem „Za Męstwo” i złotym Medalem Chwały. Tamtego dnia faraon powierzył mi swoje życie. Teraz mógłby powtórzyć tamten wybór.

– Nic o tym nie wiedziałem, Taito. Wybacz moje zarozumiałstwo, stary przyjacielu. Jesteś wszechstronnym człowiekiem.

Od czasu do czasu uważam za konieczne przypomnieć Atonowi, gdzie jest jego miejsce i pozycja w porządku rzeczy. Jednak za nadzwyczaj pożyteczną uznałem jego pomoc w nakreślaniu petycji odnoszącej się do misji na Krecie, którą przygotowywałem z myślą o przedłożeniu jej faraonowi Tamose. Aton, gdy zostanie właściwie ukierunkowany, doskonale wychwytyje szczegóły.

Faraon nie dyskredytował tak ochoczo moich zdolności jak Aton, zwłaszcza w świetle sukcesu, który niedawno odniosłem w forcie Tamiat. Był na tyle przychylnie usposobiony do pomysłu, aby z należytą uwagą rozważyć moje plany nawiązania kontaktu z Minosem. Siedział ze mną przez całe dwa dni, omawiając wszelkie szczegóły, szukając słabego punktu w mojej propozycji i analizując ją pod kątem możliwych przeoczeń. W końcu po prostu ją przyjął.

– Nie dostrzegam w twoich planach żadnych oczywistych błędów, Tata. Jednak jest rzeczą możliwą, że pan Kratas i jego zespół dowódców mogliby mieć jakieś obiekcje.

W obecności faraona i pełnej rady przedłożyłem moje plany panu Kratasowi. Słuchając moich wywodów, Kratas zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju rady. Jego twarz robiła się coraz bardziej purpurowa z oburzenia. Pomachał mi palcem przed nosem i zaczął walić wielkimi owłosionymi pięściami w stół, kierując głośno do wszystkich bogów, zarówno tych dobrych, jak i złych, swoje obawy i ostrzeżenia przed katastrofą. Kratas ma duszę skończonego łotra i zachowuje się jak półgłówek. Jest jednak świetnym wojownikiem, a może wielkim.

Czekałem, aż jego głos ochrypnie i wyczerpie mu się repertuar przekleństw, bezsensownych przysięg i złorzeczeń ze swego bogatego słownika, a potem zamilknie i zacznie połykać otwartymi ustami powietrze niczym ryba, którą przed chwilą

wyciągnięto z rzeki. Dopiero wtedy zabrałem ponownie głos, przemawiając łagodnym i rozsądnym tonem.

– Jest jedna rzecz, o której nie wspomniałem, mój panie. Będę musiał zabrać ze sobą na Kretę Haya i Remrema. Jestem pewien, że zdołasz znaleźć odpowiednich ludzi, którzy zastąpią ich w twoim sztabie.

Kratas wlepił we mnie wzrok w niemym przerażeniu, a potem nagle zaczął się śmiać. Jego wesołość zaczęła się od niechętnego, stłumionego chichotu, rosnącego stopniowo, by w końcu zamienić się w rechot, który wypełnił pokój bardziej niż przekleństwa, jakie rzucał zaledwie przed chwilą. Wydawało się, że nogi osłabły mu z uciechy tak bardzo, że nie były w stanie udźwignąć ciężaru jego potężnej postaci. Zatoczył się do tyłu i opadł na swoje krzesło. Mebel został specjalnie zaprojektowany dla jego wagi i podróżuje wszędzie razem z nim. Teraz jednak w proteście przeciwko takiemu obciążeniu konstrukcja sprzeciwiła się głośnym trzaskiem, a nogi wygięły się, grożąc złamaniem.

Kratas przestał się śmiać równie nagle, jak zaczął, i uniósł obiema rękami dół tuniki, żeby otrzeć z twarzy łzy radości, odsłaniając przy tym swoje potężne przyrodzenie. Następnie opuścił tunikę na kolana i zwrócił się do faraona normalnym już głosem:

– Wasza Wysokość, gdyby poddać plan Taity trzeźwej ocenie, to można by znaleźć w nim pewne zalety. Tylko on mógł go wymyślić i tylko on mógł pokazać, że ma jaja i dość odwagi, żeby wyłożyć go przed radą – powiedział, a potem chwycił się za głowę z kpiącą miną, udając skruchę. – Wybaczcie mi, panowie, ale myślę, że być może użyłem nieodpowiedniej metafory – dodał poważnym tonem i znów zaczął zanosić się od śmiechu.

– Czy to oznacza, że Hay i Remrem mogą towarzyszyć mi w podróży na Kretę? – Zdołałem zachować kamienną twarz, pomimo jego nieszczęsnej aluzji do wisiorców, których mi brakuje.

– Weź ich, Taita. Twoje aspiracje do wojennej chwały zasługują na nagrodę. Zabierz z moim błogosławieństwem dwóch spośród moich najlepszych ludzi. Być może zdołają cię uratować przed tobą samym, bez względu na to, czy masz te jaja, czy nie, chociaż poważnie wątpię, żeby ktokolwiek był do tego zdolny.

Przygotowania do podróży do Babilonu trwały prawie dwa miesiące.

Moim największym zmartwieniem było zapewnienie bezpieczeństwa i wygody księżniczkom oraz ich otoczeniu. Potrzebowały osiemdziesięciu trzech niewolnic i służących troszczących się o ich codzienne potrzeby. Znalazły się wśród nich kucharki, dziewczki kuchenne, pokojówki, garderobiane, kosmetyczki, fryzjerki, masażystki, muzyczki i jeszcze inne, których zadaniem było dostarczanie rozrywek. Dziewczęta nalegały ponadto, żeby zabrać wraz z nimi wróżbiarkę i trzy troszczące się o ich potrzeby duchowe kapłanki Hathor, której względy zapewniały radość, miłość i macierzyństwo. Na przekór moim radom ich wielki brat z wyrozumiałością odnosił się do tych dziwacznych wymagań, niczego im nie odmawiając.

Jego skarbiec był zapełniony, szastał więc zasobami, nie skąpiąc srebrnej monety. Myślę, że po wielu wymuszonych biedą, oszczędnych latach rządów te niezwykle ekstrawagancje sprawiały jemu samemu więcej radości niż jego siostrze.

Zachęczone w ten sposób moje podopieczne doszły do wniosku, że potrzebują też opiekunów dla całego asortymentu ich ulubionych kotów, małą, ptaków, psów myśliwskich i sokołów, które oczywiście ze sobą zabierały. Stanowili oni uzupełnienie stajennych i parobków, potrzebnych do zajmowania się dwudziestoma końmi wybranymi z królewskich stajni.

Z mojego punktu widzenia podstawową sprawą było to, by dziewczęta mogły przywdziać wspaniałe stroje i wyglądać jak najlepiej po dotarciu na Kretę, gdy znajdą się pod badawczymi spojrzeniami Najwyższego Minosa i jego dworzan. Faraon zgodził się ze mną i do pracy zasiadły najlepsze w całym Egipcie krawcowe, żeby kroić i szyć świetne kreacje, jakie zaprojektowałem dla każdej z księżniczek.

Wraz z dziewczętami obchodziliśmy stoiska na tebańskich bazarach i udało się nam zapełnić kilka dużych sekretarzyków błyszczącą biżuterią, którą starannie dobieraliśmy, żeby oczarować Minosa i olśnić jego oraz jego ministrów bogactwem i wspaniałością naszego królestwa. Na tydzień przed terminem wyjazdu z Teb Tehuti i Bekatha, wystrojone we wszystkie te świecidełka, paradowały przed faraonem i przede mną, żebyśmy mogli je podziwiać i chwalić. Byłem pewien, że żaden mężczyzna, król czy zwykły poddany, nie byłby zdolny oprzeć się ich piękności.

Obie dziewczyny popadły w histeryczne niemal podniecenie z powodu tych zabiegów oraz opisów Krety, jakie przedstawiła im Loxias. Żadna z nich nie widziała jeszcze morza ani po nim nie żeglowała. Nigdy nie oglądały wysokich gór ani gęstych lasów pełnych wysokich drzew. Nie widziały także szczytów wyrzucających dym i płomienie. Niemal co wieczór przytrzymywały Loxias i mnie do późnych godzin, wypytując i domagając się szczegółowego opisu tych cudów.

Królewska mennica na zachodnim brzegu pracowała przez ostatnie dni i noce, zamieniając setkę dużych kreteńskich sztabek w całe wozy srebrnych memów, które miały pokryć wydatki na podróż i nasze utrzymanie w czasie pobytu na Krecie oraz w innych obcych krajach, jakie mieliśmy odwiedzić po drodze.

Wojskowa eskorta, która miała towarzyszyć naszej karawanie aż do Babilonu, została utworzona z dwóch konnych batalionów Gwardii Błękitnych Krokodyli. Była to najślawniejsza formacja egipskiej armii. Faraon przystroił wszystkich żołnierzy w nowo

sporządzone komplety zbroi, składające się z grzebieniastych hełmów, napierśników, napleczników oraz nagolenników. Do ich uzbrojenia należały zakrzywione łuki bojowe, włócznie, miecze i tarcze. Koszt przygotowania całego tego ekwipunku przekroczył dwa tysiące srebrnych debenów. Jednak wspaniały wygląd gwardzistów wywierał wrażenie na każdym, kto na nich spojrzał.

– To niska cena za uratowanie naszego umiłowanego Egiptu. – Wzruszył ramionami faraon, kiedy podałem mu koszty. – Nie ma sensu, żebyś teraz narzekał. Sam wymyśliłeś to wszystko, Tata.

Nie mogłem mu zaprzeczyć.

Przygotowania do drogi szły tak gładko, że powinienem był przewidzieć kłopoty, zwłaszcza w sytuacji, gdy księżniczka Tehuti, tak to przynajmniej wyglądało, była w nie bardzo zaangażowana.

Planowałem wyjazd z Teb w ostatni dzień miesiąca Epifi, w którym zawsze dopisywało mi szczęście. Gdy jednak pokazałem nocnik z moimi świeżymi ekskrementami ulubionej wróżbiarce, obejrzała je i ostrzegła mnie, że wybrałem niepomyślną datę, która działa na moją niekorzyść.

Poradziła mi odłożyć początek podróży do pierwszego dnia miesiąca Messori. Zawsze uważałem jej wróżby za godne zaufania. Z bólem serca przyjąłem radę i poinformowałem wszystkich, którzy mieli wyruszyć z karawaną, oczywiście łącznie z księżniczkami, o odłożeniu wyjazdu.

Godzinę potem obie wpadły bez zaproszenia ani ostrzeżenia do mojego pokoju w pałacu. Inicjatorką napaści była Tehuti, ale jak zwykle Bekatha rezolutnie wspierała starszą siostrę.

– Och, przyrzekłeś co innego, Tata! Jak możesz być tak okrutny i psuć nam zabawę, Tata? Całe wieki wyczekiwałyśmy na ten dzień. Już nas nie kochasz?

Nie jestem mięczakiem i w większości przypadków potrafię narzucić innym moją żelazną wolę, ale nie dotyczy to księżniczek. Gdy atakują wspólnie, żaden człowiek nie ośmieli się im przeciwstawić, nawet ja.

Następnego dnia o świcie przeprowiłem się przez Nil i konno ruszyłem ścieżką obok kanału do królewskiej mennicy. Jechałem tam, żeby uprzedzić Zarasa o przesunięciu daty wyjazdu, zgodnie z żądaniami królewskich księżniczek, i upewnić się, że dostarczy

na czas ostatnie dziesięć worków srebrnych memów do królewskiego magazynu w pałacu.

Zabieraliśmy ze sobą w sumie przeszło dziesięć lakhów srebra, dość, żeby zbudować flotę okrętów wojennych i opłacić armię najemników. Cały czas towarzyszyły mi złe przeczucia związane ze zlekceważeniem rady mojej wróżbiarki i z ryzykiem przewiezienia tak olbrzymiego skarbu.

W królewskiej mennicy było gorąco i hałaśliwie niczym w kuźni. W paleniskach huczały płomienie, a stukot młotów całkiem mnie ogłuszył.

Zobaczyłem Zarasa w głębi warsztatu. Był rozebrany do tuniki i wymachiwał brązowym młotem, unosząc go wysoko nad głowę. Jego muskularne ramiona świeciły od potu, który ściekał mu też po policzkach i kapał z brody. Ten chłopak, w typowy dla siebie sposób, nie chciał stać z boku i przyglądać się beczynnemu, gdy do wykonania była robota. Pomimo wysokiej wojskowej rangi pogrążył się całym sercem w służebnej pracy bicia monet.

Przyglądałem mu się z przyjemnością. Nie widziałem się z nim przez kilka tygodni i niemal zapomniałem, jak bardzo byłem z niego zadowolony podczas naszej wspólnej wyprawy do Tamiatu. Poczulem nawet ostre ukłucie żalu, że nie ośmieliłem się zabrać go w długą podróż do Babilonu i Knossos, aby mi służył pomocą.

Zaras musiał wyczuć na sobie moje spojrzenie. Podniósł wzrok i natychmiast mnie dojrzał. Odrzucony z impetem młot zadzwonił na kamiennej posadzce, a Zaras, oparłszy ręce na biodrach, wyszczerzył do mnie zęby przez dym i opary unoszące się w kuźni.

Pomimo naszej przyjaźni byłem zaskoczony jego ciepłym powitaniem, gdy podszedł do mnie wielkimi krokami.

– Już myślałem, że o mnie zapomniałeś i porzuciłeś, że bym tu gnił, ale powinienem był się domyślić, że to nieprawda. Człowiek taki jak ty nigdy nie opuszcza przyjaciół. Wypolerowałem zbroję i wyostrzyłem miecz. Jestem gotowy wyruszyć z tobą, gdy tylko dasz rozkaz wymarszu.

Poczułem, że ogarnia mnie wielkie zakłopotanie, i musiałem sięgnąć po cały zapas zimnej krwi, żeby nie zdradzić, że się go zaparłem, ani w jakiś inny głupi sposób nie dać poznać po sobie, jak bardzo jestem strapiony.

– Nie spodziewam się po tobie niczego innego – odparłem, mając nadzieję, że uśmiecham się w sposób przekonujący. – Ale skąd się dowiedziałeś... – Głos zamarł mi w gardle i w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że nie mam zielonego pojęcia, do czego on nawiązuje.

– Dziś rano ordynans ze sztabu wojennego przyniósł mi rozkaz. Ale, oczywiście, domyśliłem się, że musiał zostać wydany na twoją prośbę. – Znowu roześmiał się głośno, a ja pomyślałem, jak przyjemny i niewymuszony jest jego śmiech. – Nie mam innego przyjaciela w wysokich sferach.

– Czyja pieczęć była na rozkazie, Zarasie?

– Waham się, czy wymówić głośno to imię, ale... – Rozejrzał się z tajemniczą miną, a potem sięgnął do zwisającej mu z biodra torby, wyjął mały zwitek papiirusu i trzymając go ostrożnie i z głębokim szacunkiem, wręczył mi go.

Wzdrygnąłem się na widok królewskiego symbolu, którym zwitek był opieczetowany.

– Faraon? – Zdziwiło mnie, że Tamose zechciał zająć się taką drobną sprawą.

– Nikt inny. – Zaras przyglądał się z uroczystym skupieniem, jak rozwijam zwój. Rozkaz był krótki i jasny.

„Natychmiast staw się pod rozkazy pana Taity. On wyda ci dalsze polecenia, które masz wykonać bez sprzeciwu, pod karą śmierci”.

– Dokąd się udajemy, Taito? – Zaras zniżył głos do gorączkowego szeptu. – I co będziemy robić, jak już tam dotrzemy? Jestem pewien, że dojdzie do ostrych potyczek. Nie myślę się, prawda?

– Odpowiem ci na to pytanie w odpowiednim momencie. W tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej. – Potrząsnąłem zdecydowanie głową. – Ale zachowaj gotowość.

Zaras zasalutował zaciśniętą pięścią, ale choć udało mu się przybrać poważną minę, jego oczy ciągle rzucały wesołe iskry.

Omówiłem pobieżnie sprawę bicia monety, z którą przyszedłem do niego, a potem pospieszyłem z powrotem do pałacu. Rozpaczliwie chciałem pomówić z faraonem i prosić go o unieważnienie rozkazu dla Zarasa, ale nawet ja nie mogłem dostać się przed jego oblicze niezapowiedziany czy niezaproszony. Jeśli ktoś prosi o audiencję, musi dostosować się do ścisłych reguł królewskiego protokołu.

Poszedłem prosto do prowadzącego do królewskich komnat przedpokoju, w którym siedziało ze skrzyżowanymi nogami kilka tuzinów królewskich skrybów. Pochylali się nad pisarskimi pulpitemi i pracowicie machali pędzelkami, kaligrafując listy i rozporządzenia faraona. Główny skryba rozpoznał mnie od razu i pospieszył na moje rozkazy. Nie był jednak w stanie udzielić mi pomocy.

– Faraon opuścił pałac o świcie tego ranka. Nie zostawił żadnej informacji, kiedy może wrócić. Wiem, że chętnie by z tobą pomówił, gdyby był obecny. Może zechcesz poczekać na jego powrót, dostojny panie Taito?

Już miałem odrzucić jego sugestię, gdy nagle usłyszałem łatwy do rozpoznania głos faraona, którego echo rozchodziło się po korytarzach pałacu. Faraon wszedł do przedpokoju, a za nim mrowie urzędników i dygnitarzy. Gdy tylko mnie zobaczył, skrzywił w moją stronę i klepnął mnie po ramieniu.

– Cieszę się, że tu jesteś. Znowu uprzedziłeś moje życzenia, Tata. Już miałem posłać po ciebie. Chodź ze mną. – Trzymając ciągle rękę na moim ramieniu, poprowadził mnie do wewnętrznego pokoju i natychmiast wciągnął do głębokiej dyskusji dotyczącej paru skomplikowanych tematów. A potem równie nagle, jak mnie przywitał, pożegnał się ze mną i skupił uwagę na zwojach rozłożonych przed nim, na niskim stole.

– Błagam o jeszcze jedną chwilkę, Mem. – Faraon uniósł głowę i rzucił mi pytające spojrzenie. – Chodzi o sprawę kapitana Zarasa i rozkazy dla niego...

– Kogo? – Faraon zdawał się lekko rozbawiony. – Jakie rozkazy?

– Dla Zarasa. Kapitana Zarasa, który był ze mną w Tamiacie.

– A, o niego! – odparł. – Tak, wiem, że chcesz, by ci towarzyszył w misji na Kretę. Ale nie rozumiem, dlaczego zwróciłeś się aż do mnie o pozwolenie, żeby wciągnąć go na listę uczestników wyprawy, ani z jakiego powodu nie omówiłeś sprawy bezpośrednio ze mną, jeżeli uważałeś, że to konieczne. To zupełnie do ciebie niepodobne, prosić moją siostrę, żeby posłużyła ci za pośrednika. – Spojrzał na leżące przed nim zwoje. – W każdym razie sprawa jest załatwiona i mam nadzieję, że jesteś zadowolony, Tata?

Oczywiście, miałem przypuszczenia dotyczące tego, kto mógł nakreślić całą tę sprawę, ale aż dotąd nie doceniałem śmiałości i przebiegłości księżniczki. Po raz pierwszy włączyła się bezpośrednio w tryby sprawowania wojskowej władzy. I teraz musiałem podjąć natychmiastową decyzję, czy powinienem tchórzliwie skapitulować, czy też zdecydować się na konfrontację z księżniczką Tehuti, która bez żadnych skrępowań korzystała ze swoich królewskich prerogatyw i sięgała po wszelkiego rodzaju podstępny, byle tylko zrealizować swoją wolę. Zwiesiłem głowę.

– Władco Egiptu, z wdzięcznością przyjmuję twoją wspaniałomyślność.

Pogodziłem się z tym, co nieuchronne.

Gdy dokończyliśmy już wszelkich przygotowań i nasza karawana gotowa była do wyruszenia z Teb, poprosiłem pana Atona o wypuszczenie gołębia pocztowego. Ptak wylągl się w gołębniku utrzymywanym przez egipskiego posła w Babilonie i wiedział, gdzie znajduje się jego rodzinne gniazdo. W wiadomości, którą poniósł gołąb, prosiłem naszego posła, by poinformował króla Akadu i Sumeru Nemroda, że do jego stolicy wyruszyły z dyplomatyczną misją królewskie księżniczki i że faraon Tamose byłby niezmiernie wdzięczny, gdyby Jego Wysokość król Nemrod zgotował królewskim damom serdeczne przyjęcie.

Cztery dni później inny gołąb powrócił z Babilonu do królewskiego gołębnika w Tebach i przyniósł wiadomość od króla Nemroda, przekazaną przez egipskiego posła w tym mieście.

Król potwierdził swoje zaangażowanie w przymierze między dwoma krajami i wyraził zadowolenie, że będzie mógł powitać w swoim pałacu królewskie damy z nadzieją, że pozostaną w nim przez dłuższy czas, żeby cieszyć się jego gościnnością.

Gdy tylko otrzymaliśmy tę wiadomość, wysłałem przodem Zarasa z liczną wojskową eskortą, żeby oczyścił przed karawaną drogę prowadzącą z Teb do najbliższych brzegów Morza Czerwonego. Wytłumaczyłem to potrzebą upewnienia się, czy na trasie nie ma bandytów ani rozbójników, którzy mogliby

urządzić zasadzkę. Prawdziwa motywacja polegała na tym, by utrzymać go jak najdalej od mojej drogiej Tehuti.

Nie jestem pewien, w jaki sposób księżniczka dowiedziała się o mojej próbie wyprowadzenia jej w pole. Wszędzie ma swoich szpiegów, a królewski harem jest gniazdem intryg i plotkarstwa.

Rozkaz objęcia dowództwa awangardy wydałem Zarasowi tego ranka i teraz siedziałem w moim ogrodzie obok stawu rybnego, ciesząc się kubkiem wina, którym mam zwyczaj witać zapadnięcie nocy i celebrować miniony dzień ze wszystkimi osiągnięciami, sukcesami i przypadkowymi potknięciami. Zjawiała się za moimi plecami cicho jak cień i zakryła mi oczy chłodnymi, gładkimi dłońmi, a potem szepnęła mi do ucha:

– Zgadnij, kto to?

– Nie mam pojęcia, kim jesteś, Wasza Królewska Wysokość.

– Och! Musiałeś zerknąć w moją stronę! – zaprotestowała, wsunęła mi się na kolana i objęła mnie rękami za szyję. – Tak bardzo cię kocham, najdroższy Tata. Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz. A czy ty zrobisz wszystko, o co ja cię poproszę? – Przycisnęła mnie mocniej.

– Oczywiście, Wasza Królewska Wysokość. Zrobię wszystko, co nie zagrazi twojemu bezpieczeństwu ani nie narazi najlepszych interesów naszego umiłowanego Egiptu.

– Nigdy nie poprosiłabym cię o nic takiego. – Wydawała się zgorszona tym, że ośmielałem się przypisywać jej podobne intencje. – Jednak podróż przez tę okropną pustynię do Sumeru i Akadu będzie trwała długo. Moja siostra i ja będziemy się z pewnością nudzić i łaknąć rozrywki. Byłoby rozkosznie, gdybyśmy miały pod ręką barda, który mógłby nam śpiewać i deklamować swoją poezję.

– Czy to dlatego poprosiłaś swojego brata, faraona Tamose, żeby przydzielił kapitana Zarasa do karawany, która zawiezie nas wszystkich do Babilonu?

– Kapitana Zarasa! – wykrzyknęła, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – Pojedzie z nami? To fantastycznie. Jest utalentowanym poetą i ma tak cudowny głos. Wiem, że ty także

go lubisz. Mógłby w godzinach dziennych jechać konno z Bekathą i ze mną, no i zabawiać nas przez ten czas.

– Kapitan Zaras jest przede wszystkim oficerem i wojownikiem, a nie wędrującym minstrelem. Mamy już ze sobą trupę zawodowych muzyków, aktorów i aktorek, błaznów, żonglerów, tancerek, akrobatek oraz tresowane zwierzęta, łącznie z niedźwiedziem pokazującym sztuczki. Zaras będzie dowodził awangardą karawany. Będzie oczyszczał drogę i zapewniał ochronę nam wszystkim, a szczególnie tobie i twojej małej siostrzyczce.

Z ust Tehuti zniknął przymilny uśmiech. Odchyliła się do tyłu i utkwiała we mnie lodowate spojrzenie.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki niedobry, Taito? – spytała. Stałem się znowu Taitą i zabrzmiało to jak rodzaj ostrzeżenia, że mogę paść ofiarą królewskiej niełaski. – Proszę cię o taką drobnostkę.

– Oto mój powód, Wasza Wysokość. – Sięgnąłem po jej prawą rękę i obróciłem ją dłońią do dołu, żeby odsłonić pierścień z diamentem. Nie zdjęła go z palca od dnia, w którym jej go podarowałem, z jednym wyjątkiem, gdy zmusiła Zarasa, żeby go znalazł.

Wyszarpnęła dłoń z moich rąk i schowała ją za plecami. Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Wypowiedziała mi wojnę i wyciągnęła metaforyczny sztylet. Podniosła się i odeszła bez słowa, nie oglądając się i kołysząc wdzięcznie biodrami.

Pierwszego dnia miesiąca Messori Zaras dotarł wraz z dowodzoną przez siebie strażą przednią do portu Sagafa położonego nad Morzem Czerwonym. Wypuścił gołębia z wiadomością do mnie, że znalazł flotyllę arabskich *dawa* z trójkątnym żaglem oraz barek, które stały przy brzegu gotowe przyjąć na swoje pokłady całą naszą karawanę i przeprowadzić ją na drugi brzeg. Mając to potwierdzenie, wydałem polecenie wyruszenia.

Faraon towarzyszył mi konno na czele karawany, gdy wspinaliśmy się na skarpy nad Nilem. Dotarłszy na górę, zsiadliśmy z koni.

Po obu stronach faraona usiadły księżniczki na wyściełanych stołkach. Wszyscy obecni przy tym doradcy i wyżsi urzędnicy otoczyli kołem królewski tercet. Na wezwanie faraona podszedłem do niego i przyklęknąłem u jego stóp. Stał nade mną i zwrócił się do obecnych.

– Wzywam wszystkich zgromadzonych w tym miejscu moich ukochanych i wiernych poddanych, żeby byli świadkami tego, co tu nastąpi. – Wszyscy, łącznie z Tehuti i Bekathą, odpowiedzieli okrzykiem:

– Niech żyje faraon! Oby jego wola została uczczona i wypełniona!

Faraon uniósł obiema rękami nad głowę maleńką złotą figurkę sokoła.

– To jest moja pieczęć sokoła, mój znak i mój sygnet. Ten, któremu jej użyję, będzie przemawiał z całym danym mi od bogów autorytetem. Niech uświadomi to sobie w pełni i pamięta o mojej potędze i moim gniewie.

Pozostając na klęczkach, złączyłem dłonie. Faraon podszedł do mnie i położył na nich pieczęć sokoła.

– Używaj jej mądrze, dostojny panie Taito, i zwróć mi ją przy następnym spotkaniu.

– Władco Egiptu, twoja wola jest dla mnie rozkazem. Będę jej posłuszny! – wykrzyknąłem mocnym, czystym głosem.

Faraon podniósł mnie na nogi i uściśnął.

– Niech życzliwość Horusa i wszystkich bogów Egiptu towarzyszy twoim wysiłkom – rzekł i odwrócił się do swoich sióstr, żeby się z nimi pożegnać. A potem wsiadł na konia pośrodku swego orszaku. Dotknął ostrogami boków rumaka i odjechał galopem w dół zbocza, w kierunku lśniących murów Teb na brzegu matki Nil. Minął koniec naszej karawany, który wspinał się na szczyt w przeciwnym kierunku.

Niewolnicy rozwinęli markizę utkaną z wielbłądziego włosia, żebyśmy mogli usiąść pod nią osłonięci od słońca, które stało wysoko i mocno przygrzewało. Siedzieliśmy, patrząc, jak faraon i jego eskorta znikają w migocącej za nami dali.

Dotarło do nas i zaczęło nas mijać czoło naszej karawany. W straży przedniej jechał batalion Gwardii Błękitnych Krokodyli. Tuż za nimi podążało pięćdziesiąt wielbłądów i ich arabscy poganiacze. Każde z tych niezgrabnych zwierząt dźwigało cztery ogromne skórzane bukłaki z wodą, które zwisały po dwa z obu stron ich garbatych grzbietów. Byliśmy zmuszeni polegać na nich wobec dużej odległości dzielących źródła wody i oazy na spalonych słońcem obszarach Arabii.

Za wielbłądami i cenną wodą jechał drugi batalion Gwardii Błękitnych Krokodyli. Zostali umieszczeni w doskonałym miejscu, z którego mogli strzec naszych zapasów wody, ale także skoczyć do tyłu, żeby osłonić księżniczki i nasz słaby środek, gdybyśmy natknęli się na wrogów.

Chociaż zaplanowałem naszą trasę tak, żeby szerokim łukiem od południa i wschodu omijała Synaj, który Hyksosi uważali za swoje terytorium, zrobiłem wszystko co możliwe, żeby Gorrab nie dowiedział się o naszych zamierzeniach i nie wysłał batalionu swoich rydwanów bojowych, by nas przechwycić.

Za zwartą formacją gwardzistów podążało następnych pięćdziesiąt kościstych, stawiających duże kroki wielbłądów. Dźwigały namioty, meble i inne specjalne sprzęty obozowe, które można było ustawiać podczas wszystkich przystanków na odpoczynek.

Za nimi postępowała na piechotę hałastrą markietanek, służących i niewolników. Za ich plecami szło kolejnych dwadzieścia wielbłądów. Niosły ciężkie worki ze srebrnymi monetami.

Straż tylną stanowił trzeci batalion Gwardii Błękitnych Krokodyli, któremu towarzyszyły luźne konie, wielbłądy i wozy bagażowe. Gdy ta ostatnia grupa mijała miejsce, w którym siedzieliśmy, dałem rozkaz zwinięcia osłaniającej nas markizy.

Ruszyliśmy, żeby zająć nasze miejsce w środku długiej, wijącej się prawie na milę procesji ludzi, zwierząt i wozów. To ociężałe, poruszające się powoli przez pustynne piaski zbiorowisko potrzebowało pełnych dziesięciu dni na dotarcie do zachodniego brzegu Morza Czerwonego.

Zaras wyjechał nam na spotkanie z portu Sagafa. Wraz ze swoją honorową gwardią minął galopem czoło karawany i pociągnął za cugle dopiero wtedy, gdy znalazł się na wysokości królewskiego towarzystwa. Zeskoczył z siodła, żeby przywitać się z księżniczkami.

Uklęknął na jedno kolano przed Tehuti i pozdrowił ją zaciśniętą dłonią. Odwzajemniła mu się szczerym uśmiechem.

– Kapitanie Zarasie, bardzo się cieszę, że resztę podróży do Babilonu odbędziemy w twoim towarzystwie. Dobrze pamiętam deklamację o szturmie na fort w Tamiacie, którą nas uraczyłeś, gdy wraz z panem Taitą wróciliście z tamtej misji. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś zechciał dziś wieczorem zjeść z nami kolację, a potem zabawić nas jakąś inną recytacją. Jeżeli chodzi o resztę drogi do Babilonu, moim życzeniem i rozkazem jest, żebyś ustąpił miejsca w awangardzie tej karawany innemu oficerowi, a sam zajął miejsce w szeregach bezpośredniej ochrony mojej siostry, księżniczki Bekathy, i mnie.

Zakasłałem wystarczająco ostro i głośno, żeby mogła mnie usłyszeć, ale ona zlekceważyła mój zakamuflowany protest i skupiła całą uwagę na Zarasie, który miał zakłopotaną minę i odpowiadając jej, lekko się zająknął. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby zacinał się przy mówieniu.

– Wasza Królewska Wysokość, jej życzenie jest dla mnie rozkazem. Ale proszę mi wybaczyć, muszę niezwłocznie poinformować o tym pana Taitę, którego faraon postawił na

czele tej karawany i któremu powierzył królewską pieczęć sokoła.

Byłem pod wrażeniem lojalności Zarasa wobec mnie oraz śmiałej próby przypomnienia Tehuti, kto koniec końców sprawuje tu władzę. Biedny chłopak desperacko starał się wywinąć z niezręcznej sytuacji, w jaką próbowała go wciągnąć księżniczka.

Postanowiłem przyjść mu z pomocą i osłonić go przed królewskim gniewem, jaki zawisł nad jego głową. Tehuti nie była przyzwyczajona, żeby kwestionowano jej nawet najdrobniejsze polecenia. Ale zaskoczyła mnie znowu. Zamiast rozprawić się ostro z Zarasem, uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Proszę zrobić to niezwłocznie, kapitanie Zarasie. Żołnierski obowiązek ma pierwszeństwo przed wszystkimi innymi względami.

Zaras wskoczył na siodło i gdy tylko znalazł się koło mnie, rozmyślnie pociągnąłem go na skraj skarpy, skąd widać było rozrzucone niżej na morskim brzegu domostwa Sagafy. Chodziło mi o to, żeby księżniczka nie mogła podsłuchać naszej rozmowy.

Zaras zorientował się natychmiast i zniżył głos, informując mnie o tym, że w czasie oczekiwania na nasze przybycie skorzystał z okazji, żeby przeprowić się szybką arabską łodzią do małego portu rybackiego el Kumm na przeciwległym brzegu morza. Popłynął tam, żeby upewnić się, czy nasze rozkazy dotarły do beduińskiego przewodnika i czy czeka on ze swoimi ludźmi, gotów poprowadzić nas przez Pustynię Arabską.

Był to Al Namjoo, ten sam przewodnik, który prowadził nas przez półwysep Synaj w naszej podróży do wybrzeży Morza Śródziemnego i fortu Tamiat.

– Miło mi poinformować cię, panie, że Al Namjoo czeka na nasze przybycie już przeszło dwa miesiące, od chwili, gdy otrzymał ode mnie pierwszą wiadomość, że jesteśmy w drodze. – Zaras wydawał się zadowolony z siebie. – Są z nim jego dwaj synowie, ale wysłał ich do przodu, żeby sprawdzili źródła z wodą oraz oazy na szlaku karawan. Jak dotąd meldunki, które

nadsyłają, potwierdzają, że wszędzie znajduje się dobra woda, jak można się tego spodziewać o tej porze roku.

– Jestem spokojniejszy, słysząc dobre wieści – odparłem, spoglądając na niego z ukosa. – Mów dalej, Zarasie. Zamierzałeś powiedzieć mi coś jeszcze – zachęciłem go.

Spojrzał na mnie z przestachem.

– Ale w jaki sposób... – zaczął.

Dokończyłem rozpoczęte przez niego zdanie:

– ...się domyśliłem? Ano, domyśliłem się, ponieważ nie jesteś dość sprytny, żeby ukryć przede mną cokolwiek. Ale to raczej komplement pod twoim adresem, a nie wymówka.

Zaras pokręcił głową i uśmiechnął się smutno.

– Zbyt długo byliśmy rozdzieleni, panie mój. Zapomniałem o tym, że potrafisz czytać w myślach ludzi. Ale rzeczywiście, panie, chciałem właśnie wspomnieć o pewnej sprawie, jednak obawiałem się, że mógłbyś mnie wziąć za panikarza.

– Nic, co mi powiesz, nie obudzi we mnie takich podejrzeń – zapewniłem go.

– W takim razie muszę poinformować cię, panie, że gdy przebywałem w obozie Al Namjoo, z pustyni przyprawiono trzech uciekinierów. Byli w opłakanym stanie, niemal bez życia, z powodu pragnienia i odniesionych ran. Prawdę mówiąc, jeden z nich umarł krótko potem, jak dotarł bezpiecznie do naszych namiotów, a drugi nie był w stanie mówić.

– Co się stało, Zarasie? – zapytałem. – Jaki los spotkał tych nieszczęśników?

– Panie mój, pierwszy z nich został obdarty ze skóry rozpalonym mieczem, tak że większa jej część spaliła się na jego ciele. Śmierć była dla niego jedynie szczęśliwym wybawieniem od cierpień. Jeśli chodzi o drugiego człowieka, to w najbardziej brutalny sposób wyrwano mu język z gardła. Był w stanie tylko chrząkać i pobekiwać, jak jakieś zwierzę.

– W imię miłościwego Horusa, kto im to uczynił? – spytałem.

– Trzeci z nich uniknął tak brutalnych obrażeń. Zdołał nam powiedzieć, że był naczelnikiem karawany pięćdziesięciu

wielbłądów i takiej samej liczby mężczyzn i kobiet wiozących sól oraz miedziane sztabki z miasta Turok, gdy napadł na nich Jaber al Hawsawi. To osobnik, którego ludzie nazywają Szakalem.

– Znam go tylko z jego złej sławy – przyznałem. – To jeden z najgroźniejszych ludzi w całej Arabii.

– Jest wiele powodów, dla których trzeba się go obawiać, panie mój. Ot tak, wyłącznie dla zabawy, wykastrował i wypatroszył wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety z karawany. Oczywiście, przed tą masakrą Szakal i jego ludzie gwałcili schwytanych, zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

– Gdzie Szakal przebywa obecnie? Czy ten człowiek wiedział, dokąd udała się jego banda?

– Nie, mój panie. Szakal znowu zniknął bez śladu na pustyni. Ale pewna jest jedna rzecz, a mianowicie, że będzie węszył wzdłuż szlaków karawanowych niczym zwierzę, od którego wziął przydomek.

W tym momencie Tehuti obróciła się w siodle i zawołała do nas przez ramię:

– O czym to rozprawiacie z tak poważnymi minami? Podjedźcie tu, bliżej Bekathy i mnie. Jeżeli opowiadacie sobie nawzajem jakieś historyjki, to my też chcemy ich posłuchać.

Nawet ja nie ośmielałam się dwa razy z rzędu zlekceważyć jej poleceń. Obaj pobudziliśmy nasze konie i zrównaliśmy się z księżniczkami. Tehuti zręcznie wjechała swoim wierzchowcem między Zarasa i mnie, żeby uniemożliwić nam omawianie rzeczy, które jej nie interesowały. W tym momencie nierówna, kamienista droga, którą się posuwaliśmy, doprowadziła nas na grzbiet wzgórza. Tehuti szarpnęła za cugle konia i wydała okrzyk zdziwienia i zadowolenia.

– Popatrzcie! Och, popatrzcie tylko! Widzieliście kiedy tak szeroką i błękitną rzekę? Na rogatą głowę Hathor, ona musi być sto razy szersza od naszego Nilu. Nie mogę nawet dojrzeć jej przeciwległego brzegu.

– To nie jest rzeka, Wasza Wysokość – powiedział Zaras. – To jest morze, Morze Czerwone.

– Jest ogromne – zachwycała się Tehuti. Zaras nie znał jej wystarczająco dobrze, żeby się domyślić, że odgrywa komedyjkę z myślą o nim. – To musi być największe morze na całym świecie!

– Nie, Wasza Królewska Wysokość – poprawił ją z szacunkiem. – Jest to najmniejsze ze wszystkich mórz. Największe jest Morze Śródziemne, ale mądrzy ludzie obliczyli, że jeszcze większy jest Wielki Mroczny Ocean, na którym pływa cały nasz świat.

Tehuti odwróciła się do niego, otwierając szeroko pełne podziwu oczy.

– Kapitanie Zarasie, ma pan tak ogromną wiedzę, być może wie pan tyle, co pan Taita. Musi pan co najmniej kilka godzin dziennie jechać koło mnie i Bekathy, żeby nas instruować w tych sprawach.

Niełatwo jest odwieść Tehuti od celu, jaki sobie postawi.

Przeprawa przez Arabię była znacznie trudniejsza i bardziej wymagająca niż nasza podróż do Tamiatu rok wcześniej. Wtedy podróżowaliśmy grupą liczącą mniej niż dwustu ludzi przemieszczających się szybko i bez bagaży, w dodatku musieliśmy przeprowić się tylko przez Zatokę Sueską, ten wysunięty ku zachodowi wąski pas wody wciśnięty między Egipt i Synaj. Ma niecałe pięćdziesiąt mil szerokości.

Teraz musieliśmy trzymać się dużo bardziej ku południowi, żeby za wszelką cenę uniknąć wejścia na półwysep Synaj, gdzie mogły się cziąć hyksoskie rydwany bojowe wysłane przez Gorraba, żeby nas przechwycić.

Ponadto musieliśmy przeprowić się przez Morze Czerwone w jego najszerszym miejscu. Wymagało to pokonania więcej niż dwustu mil i przetransportowania przeszło tysiąca ludzi i zwierząt w pięćdziesięciu otwartych łodziach. Każdy z tych małych stateczków był w stanie jednorazowo pomieścić zaledwie dziesięć wielbłądów. Każdy z nich musiałby dokonać kilku przepraw.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie te okoliczności, przetransportowanie naszej karawany do Arabii musiało potrwać co najmniej dwa miesiące.

Przetrzymywałem księżniczki wraz z ich otoczeniem w obozie na egipskim brzegu, podczas gdy główne części karawany przewożone były przez wąskie morze. Z doświadczenia

wiedziałem, że niemądrze jest skazywać księżniczki na to, żeby się nudziły, ani pozostawiać im zbyt wiele wolnego czasu.

Królewska część obozowiska była dokładnie odgradzona od całej reszty. Chociaż miała rozmiary małej wioski, pod względem wystawności wyposażenia oraz nadmiaru wygod i luksusów, w jakich pławili się jej mieszkańcy, przewyższała nawet duże miasto.

Co kilka dni księżniczki wyjeżdżały konno na polowanie, któremu sam przewodziłem. Tropiliśmy raczej pustynne gazy, które lekko jak ćmy śmigały przed naszymi oczami po słonych równinach, albo wspinaliśmy się na wzgórza, gdzie na turniach i krawędziach stromych klifów ukazywały się koziorożce z zakrzywionymi rogami. Gdy te polowania sprzykrzyły się dziewczętom, dla odmiany wypuszczały swoje tresowane sokoły na dzikie kaczki i gęsi, które mrowiły się wzdłuż morskiego brzegu.

Kiedy indziej urządzałem pikniki na przybrzeżnych wyspach, podczas których księżniczki mogły pływać w przezroczystej wodzie albo polować z włócznią na mieczniki lub na olbrzymie okonie morskie rojące się w podmorskich rafach koralowych.

Nalegałem tylko na to, żeby ich ranki wypełnione były nauką. Zabrałem ze sobą dwóch odczytanych skrybów, żeby uczyli je pisać i ćwiczyli w sztuce matematyki i geometrii. Lubilem też sam zajmować się nimi jako nauczyciel. Nasze zajęcia wypełniała poważna, ciężka praca, przerywana wybuchami radości i dziewczęcych chichotów. Były to moje ulubione godziny dnia. Gawędziły z Loxias po minojsku, wyłączając mnie z rozmowy, jakbym nie był w stanie zrozumieć ani słowa w tym języku. Omawiały najbardziej intymne sprawy, ze wszystkimi sprośnymi szczegółami. Loxias była najstarsza z całej trójki, więc siłą rzeczy zajęła pozycję autorytatywnej przewodniczki po wszelkich sprawach cielesnych i erotycznych. Jednak słuchając jej, można było zauważyć, że nie ma w tej materii żadnego doświadczenia. Jeśli chodzi o szczegóły, całkowicie poddawała się swojej żywej i płodnej wyobraźni.

W czasie tych zajęć mogłem poznać je naprawdę dobrze i dowiedzieć się, co faktycznie dzieje się w tych pięknych i mocno zajętych małych główkach.

Każda z nich twierdziła, że odkryła miłość swojego życia. Loxias zdecydowała się na pana Remrema. Jednak w jego obecności milczała jak głaz, nie mogąc wykrztusić ani słowa, zdolna tylko do tego, żeby się zaczerwienić i spuścić oczy. Myślę, że najbardziej przerażała ją okoliczność, że był członkiem rady królewskiej, ona natomiast zwykłą dziewczyną z ludu, w dodatku cudzoziemką. Zdawała się wcale nie przejmować tym, że Remrem jest prawie dwa razy od niej starszy, miał już trzy żony i nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Bekatha uległa urokowi Haya, słynnego jeźdźca i woźnicy rydwanów bojowych. Nic niemal nie wiedziała o tym, że zanim go schwytałem, związał się przysięgą krwi z podłym kryminalistą Bastim, zwanym Okrutnikiem. Zrobiłem, co mogłem, żeby go oswoić i ucywilizować, ale ciągle miał w sobie żyłkę barbarzyńcy, szczególnie jeśli chodziło o poczucie humoru. Bekatha niczego nie uwielbiała bardziej niż trząść się po najbardziej wyboistym terenie, jaki Hay był w stanie znaleźć, gdy wyjeżdżał swoim rydwanem, i przylepiać się do niego obiema rękami, obejmując go w pasie i wrzeszcząc niczym dusza zagubiona w Hadesie. Oboje lubili żartować i zasypywać się obelgami, które były zupełnie niezrozumiałe dla innych słuchaczy, ale pobudzały ich do śmiechu. W dowód szczególnego uznania Bekatha zaczęła obrzucać go przez stół kawałkami chleba i owocami, gdy przyjął zaproszenie, żeby zjeść z nami obiad.

Tehuti trzymała się z dala od tych przekomarzań i okazywania uczuć. Nikt z nas nie wywierał na nią żadnych nacisków.

Wieczory upływały nam na wzajemnym zadawaniu sobie zagadek, opowiadaniu historyjek i rymowaniu, śpiewaniu oraz grze na instrumentach muzycznych albo na odgrywaniu teatralnych scenek i recytowaniu poezji.

Dzięki tym wybiegom i troskliwemu planowaniu zajęć udawało mi się uchronić moje trzy podopieczne od popełnienia jakichś niebezpiecznych głupstw, w związku z czym dni przelatywały równie prędko jak wędrownie ptaki. W końcu główna część naszego konwoju została przeprowiona na wschodni brzeg morza i przyszedł czas na nas.

Piętnastego dnia miesiąca Athyr wszyscy zebraliśmy się przed świtem na brzegu, asystując trzem kapłankom Hathor, które przy zręcznej pomocy Tehuti i Bekathy poświęciły bogini ładnego białego tryka.

Przyrzekliśmy bogini, że poświęcimy jej wielbłąda, jeśli obejdzie się z nami życzliwie, gdy znajdziemy się na wodzie, i doprowadzi nas bezpiecznie na drugi brzeg. A potem zajęliśmy miejsca na pokładach łodzi i odbiliśmy od brzegu.

Bogini musiała usłyszeć nasze prośby, gdyż zesłała rześki, ciepły wiatr z Egiptu, który wypełnił nasze żagle i zaczął popychać żwawo całą flotyllę po lekko rozfalowanych wodach. Przed zachodem słońca Afryka zniknęła za horyzontem za naszymi plecami.

Gdy zapadły ciemności, każdy ze statków podniósł oliwną lampę na szczyt masztu, żeby umożliwić nam utrzymanie się w zasięgu wzroku. Sterując według gwiazd, płynęliśmy wschodnim kursem. Gdy nastał świt, ujrzeliśmy ciemne, odległe brzegi Arabii, majaczące na tle świeżego błękitu porannego nieba i przypominające rząd wyszczerbionych zębów rekina. Sterowaliśmy w ich kierunku przez cały dzień i słońce było jeszcze na szerokość dłoni nad horyzontem, gdy pięćdziesięciu ludzi z Gwardii Błękitnych Krokodyli zaczęło brodzić w płytkiej wodzie, żeby chwytać kadłuby naszych łodzi i wciągać je na brzeg. Dziewczęta zeszły na azjatycki ląd, nie mocząc sobie delikatnych drobnych stópek. Królewski obóz ze wszystkimi jego rozkoszami był już rozłożony wysoko nad linią wody, gotowy na ich przyjęcie. Przygotowano go na moje polecenie.

Jednak staraliśmy się nie przebywać zbyt długo w tym miejscu, ponieważ każdego dnia zużywaliśmy ogromne ilości

cennej słodkiej wody.

Główny konwój i wozy bagażowe wyruszyły wiele dni przed nami. Do tego czasu musiały pokonać już więcej niż sto mil. Drugiego dnia po przybyciu do Arabii dosiedliśmy koni i wielbłądów, żeby wyruszyć w ślad za konwojem.

Gdy tylko oddaliliśmy się od strefy oddziaływania morza, które łagodziło upały, stojące wysoko na niebie słońce natychmiast okazało się zbyt gorące, abyśmy mogli kontynuować jazdę w godzinach południowych. Od tej chwili wyruszaliśmy w dalszą drogę codziennie późnym popołudniem, gdy słońce nie piekło już tak złośliwie. Jechaliśmy nocami, zatrzymując się tylko na godzinę około północy, żeby napoić konie i wielbłądy wodą, którą główna karawana zostawiała nam w specjalnych kryjówkach. Potem ruszaliśmy dalej, kontynuując wędrówkę po wschodzie słońca. Gdy żar stawał się nie do zniesienia, rozbijaliśmy namioty i kładliśmy się w ich cieniu, pocąc się niemiłosiernie, dopóki słońce nie zniżyło się wystarczająco ku zachodowi, byśmy mogli powtórzyć ten sam schemat.

W końcu, po piętnastu dniach i nocach, dogoniliśmy główną kolumnę karawany. Do tego czasu zużyliśmy już więcej niż połowę wody ze skórzanych bukłaków. Na dzień każdego z nich pozostało zaledwie kilka dzbanów mulistej, zielonkawej wody o obrzydliwym smaku. Byłem zmuszony ograniczyć dzienną rację do czterech kubków na osobę.

Dopiero teraz weszliśmy na właściwą pustynię. Przed nami jak okiem sięgnąć ciągnęły się pofałdowane wydmy. Nasze konie zaczynały okazywać oznaki wyczerpania. Nawet jeśli niosły lekkiego jeźdźcę, kroczenie po miękkim piasku stało się dla nich bardzo uciążliwe. Poleciałem dołączyć je do stada luzaków idących bez obciążenia na czele karawany, a w ich miejsce dla

dziewcząt i reszty naszego towarzystwa wybrałem najlepsze wielbłądy wyścigowe.

Al Namjoo zapewnił mnie, że następne źródło wody znajduje się tylko kilka dni marszu przed nami. Zabrałem więc księżniczki i ich przyjaciółkę, aby razem z Zarasem dowodzącym doborową eskortą wyprzedzić główną kolumnę i znaleźć obiecaną wodę.

Jako przewodnik pojechał z nami najstarszy syn Al Namjoo, Haroun. Mogliśmy poruszać się dużo szybciej niż główny korpus. Jechaliśmy ostro przez całą noc i o pierwszym brzasku Haroun zatrzymał się na szczycie kolejnej monstrualnej wydmy piaszczystej w ceglastym kolorze i wskazał ręką przed siebie.

Przed nami rozciągało się wysokie urwisko prążkowanych skał. Poziome warstwy kontrastowały ze sobą żywymi kolorami, od miodowego złota i kredowej bieli po czerwień i smugi zabarwione na niebiesko i czarno. Pod działaniem wiatru niektóre miększe warstwy uległy głębszej erozji niż skała przylegająca do nich od góry i od dołu. W miejscach tych tworzyły się wiszące galerie i wydłużone, głębokie jamy wyglądające niemal tak, jakby były zaprojektowane przez jakiegoś szalonego architekta.

– To miejsce nosi nazwę Miyah Keiv – powiedział Haroun. Znajomość języka arabskiego wystarczyła mi do wyjaśnienia, że nazwa ta znaczy Jaskinia Wodna.

Haroun poprowadził nas w górę pod pionową skalną ścianę, u podstawy której otwierała się nisko sklepiona, pozioma szczelina. Była ona na tyle wysoka, że rosły mężczyzna mógł do niej wejść, nie schylając się. Miała też przeszło sto kroków szerokości i była tak głęboka i mroczna, że nie mogłem dojrzeć, jak daleko zagłębia się w ścianę urwiska.

– Woda znajduje się w głębi tej jaskini – powiedział Haroun.

Księżniczki i Loxias nakłoniły swoje wielbłądy, żeby uklęknęły, a potem zeskoczyły z wyciętych z drewna siodeł. Poprowadziłem wszystkie trzy do szczeliny, podczas gdy Zaras odsuwał swoich ludzi, żeby zrobić nam miejsce.

Kamienne dno opadało stopniowo pod naszymi stopami i w miarę jak się zagłębialiśmy, dzienne światło nikło, a powietrze stawało się coraz chłodniejsze, aż w końcu różnica między jego temperaturą a słonecznym żarem na zewnątrz sprawiła, że zaczęliśmy dygotać z zimna.

Zacząłem wyczuwać w powietrzu wilgoć, a moich uszu dobiegły odgłosy kapania wody gdzieś przed nami. Miałem gardło ściśnięte z pragnienia. Próbowałem przełknąć ślinę, jednak miałem jej za mało w ustach. Dziewczęta uczepliły się moich rąk i pociągnęły mnie po pochyłości na sam dół.

Przed nami rozpościerało się duże rozlewisko, jego powierzchnia błyszczała światłem odbitym, które wpadało przez wejście do jaskini. To samo światło tworzyło iluzję, że woda jest czarna jak atrament z mątwy. Żadne z nas nie zawahało się ani na moment i całą czwórką zanurzyliśmy się w niej z radosnymi okrzykami, ciągle mając na sobie tuniki i sandały. Opadłem na kolana, aż dosięgła mojej brody. Popatrzyłem po sobie i stwierdziłem, że ta woda nie tylko nie jest czarna, ale odznacza się przejrzystością diamentu, który podarowałem Tehuti. Napełniłem nią usta i westchnąłem z przyjemnością.

Piłem najlepsze wina z piwnic pałacu faraona w Tebach, ale żadne z nich nie mogło się równać z tym boskim, tajemniczym źródłem.

Dziewczęta dotarły na środek jeziora i zaczęły chlapać wodą na mnie i jedną na drugą, sapiąc przy tym i popiskując z zimna. Zachęcony tą wrzawą Zaras zszedł po pochyłości ze swymi ludźmi. Wszyscy zanurzyli się w ciemnej wodzie przy akompaniamencie pokrzykiwań i śmiechów.

Gdy już popiliśmy sobie tyle, ile mogły pomieścić nasze brzuchy, gwardziści napełnili skórzane bukłaki, jakie przynieśliśmy ze sobą, i wynieśli je, żeby napoić wielbłądy. Zaras nie zezwolił im na zaprowadzenie zwierząt do jeziora. Skalny strop był za niski, żeby mogły przejść pod nim, istniało też zbyt duże ryzyko, że mogą zanieczyścić tę wspaniałą wodę swoimi odchodami.

Haroun potwierdził moją ocenę, że w tym momencie główny trzon karawany znajduje się co najmniej trzy dni marszu za nami. Nie martwiło mnie to nadmiernie, ponieważ dziewczęta były zmęczone podróżą i kilkudniowy postój mogły dać im okazję do odpoczynku i odzyskania sił.

Tak naprawdę niepokoiło mnie to, że nie byliśmy tu zabezpieczeni przed możliwymi atakami. Położenie źródła z pewnością było znane wszystkim beduińskim plemionom w promieniu setek mil. Nasze zwierzęta, broń i zbroje były wysoko cenione przez te plemiona i mogły przyciągnąć uwagę żyjących wśród nich bandziorów. Gdyby ci ostatni dowiedzieli się o naszej obecności koło źródła, a także o tym, jak nieliczną stanowimy grupę, popadlibyśmy w poważne zagrożenie. Musieliśmy zachować czujność i dopilnować, żeby nic nas nie zaskoczyło.

Gdy tylko Zaras i jego ludzie się odświeżyli, wyprowadziłem ich z groty, postawiłem strażę oraz zorganizowałem obronę w celu zabezpieczenia najbliższej okolicy.

Następnie zabrałem ze sobą Zarasa i Harouna, żeby zbadać nasze bezpośrednie otoczenie i rozejrzeć się za wszelkimi śladami obecności innych ludzi, którzy mogli tu być niedawno. Wszyscy trzej byliśmy w pełni uzbrojeni. Ja przewiesiłem przez jedno ramię łuk, a na drugim miałem kołczan z trzydziestoma strzałami. Do prawego biodra przypasałem też dodatkowo miecz z brązu, wsunięty do pochwy.

Gdy wspięliśmy się na szczyt najbliższej wydmy, rozdzieliliśmy się. Jednak przed odejściem uzgodniliśmy, że spotkamy się przy Miyah Keiv, zanim słońce znajdzie się w zenicie, czyli mniej więcej za godzinę. Wysłałem Zarasa, żeby zatoczył koło w kierunku północnym, a Harouna, żeby zbadał coś, co wyglądało na szlak karawanowy w pobliskiej dolinie. Sam zaś ruszyłem grzbietem wysokiej wydmy na południe.

Trudno było pozostać niewidocznym, ponieważ teren nie zapewniał prawie żadnej osłony, mimo to starałem się poruszać tak, żeby ewentualny nieprzyjaciel nie dostrzegł mnie na otwartej przestrzeni.

Prędko poddałem się urokom krajobrazu, który wydawał się pusty i niegościnnie, ale zarazem odznaczał się niebywałym pięknem. Wokół mnie w nieskończoność ciągnęły się wydmy, które były równie zmienne, jak fale podnoszące się na spokojnym morzu, gładkie i giętkie niczym ciało pięknej kobiety, wolne od ostrych krawędzi, miękkie i zarazem rzeźbione. Szczyty tych piaszczystych fal targał wiatr, zmieniając na moich oczach ich kształty. Pozostawione na nich ślady stóp i końskich kopyt bardzo prędko stałyby się nie do rozróżnienia i w krótkim czasie znikłyby zupełnie.

Przemierzając je, nie dostrzegałem w tym tak odmiennym świecie niczego, co by mi mówiło, że kiedykolwiek przedtem przebywał tu człowiek lub zwierzę. Aż nagle zauważyłem mały kawałek wyblakłej od słońca kości wystający z piasku u moich stóp. Przykląknęłam, żeby go wydobyć, i ze zdumieniem stwierdziłem, że jest to czaszka kozodoja z krótkim, otwartym dziobem. Ptaka musiały przywiać w to miejsce, tak odległe od jego zwykłych terenów łowczych, jakieś nietypowe dla pory roku wiatry.

Zawróciłem i zjechałem w dół po zboczu wydmy. Dotarwszy na dno, skierowałem się w stronę wejścia do podziemnego jeziora. Zbliżając się do niego, usłyszałem głośnie śmiechy kobiet i chlapanie wody.

Zaras wrócił przede mną. Jego ludzie rozsiedłali wielbłądy i przeprowadzili je pod nawis nad wejściem do groty, gdzie mogły ukłknąć, osłonięte od bezpośredniego działania słońca. Ludzie oporzadzali je i karmili racjami zboża za skórzanych obroczeniaków. Zawołałem do Zarasa:

– Znalazłeś coś?

– Nie, panie mój. Zupełnie nic.

– Gdzie jest Haroun? Czy już wrócił?

– Jeszcze nie, ale niebawem będzie z powrotem – odparł Zaras.

Zatrzymałem się z wahaniem u wejścia do groty. Wszystko wydawało się absolutnie normalne i na swoim miejscu. Nie mogłem więc pojąć, skąd bierze się nękające mnie zaniepokojenie, a byłem wystarczająco doświadczonym człowiekiem, żeby go nie lekceważyć.

Nie wszedłem do groty, ale skręciłem w bok i ruszyłem wzdłuż skalnej ściany w odwrotnym kierunku. Doszedłem do miejsca, w którym pionowo przecinała ją wąska szczelina. Stąd nie widziałem już wejścia do groty. Nie zauważyłem poprzednio tej skazy i przyglądałem się jej przez chwilę, a potem doszedłem do wniosku, że mógłbym wspiać się nią na szczyt urwiska, żeby zobaczyć, co znajduje się za nim. Wyciągnąłem rękę i położyłem ją badawczo na wystającej skale.

Słońce tak nagrzało jej powierzchnię, że parzyła niczym żarzący się węgiel. Odsunąłem rękę tak ostrym szarpnięciem, że wypadła z niej czaszka ptaka, którą znalazłem na wydmach. Przez chwilę oblizywałem oparzony palec, aż ból zelżał, a potem pochyliłem się, żeby podnieść czaszkę. Ale zanim dotknąłem jej palcami, znieruchomiałem nagle.

W ubitym piasku blisko skalnej ściany zauważyłem pojedynczy odcisk ludzkiej stopy, którego wiatr nie zdążył jeszcze zasypać. Gdy mu się przyglądałem, połowa odcisku zapadła się w miękkie piaszczyste podłoże, demonstrując w ten sposób, jak niedawno został on odcisnięty.

Z pewnością nie zostawiła go żadna z naszych dziewcząt. Był to ślad dużej męskiej stopy obutej w sandał z gładką skórzaną podeszwą. Zza moich pleców ciągle dochodziły słabe głosy i od czasu do czasu śmiech Zarasa i jego ludzi. Prędko cofnąłem się do miejsca, z którego było już widać wejście do groty i stojącą przed nim grupę ludzi. Wystarczyło mi jedno krótkie spojrzenie, żeby nabrać absolutnej pewności co do mojego wcześniejszego przypuszczenia. Wszyscy mężczyźni mieli na nogach identyczne wojskowe sandały z podeszwami nabijanymi mosiężnymi ćwiekami.

Wśród nas był ktoś obcy.

Moje myśli skupiły się na sprawie bezpieczeństwa dziewcząt. Przechyliłem głowę, żeby wsłuchać się w głosy, które ciągle dochodziły z głębi jaskini. Natychmiast rozpoznałem dwa z nich, ale nie potrafiłem wychwycić trzeciego. Starając się ukryć moje podenerwowanie przed ludźmi, przeszedłem obok nich i zagłębiłem się w jaskini. Ruszyłem prędko po skalnej pochyłości w kierunku jeziora. Zatrzymałem się na chwilę, żeby przyzwyczaić oczy do mroku, i wlepiłem spojrzenie w blade, dojrzałe już ciała, które tarzały się i kręciły w ciemnych wodach niczym dokazujące foki. Ale były tylko dwa.

– Bekatho! – zawołałem, czując, że mój głos pobrzmiwa rosnącym przerażeniem. – Gdzie jest Tehuti? – Głowa młodszej siostry wyskoczyła z wody. Do jej twarzy przykleił się kłęb mokrych, rudozłotych włosów.

– Wyszła na zewnątrz, Tata, żeby złożyć ofiarę Setowi! – W ich dziewczęcym żargonie oznaczało to, że poszła za swoją potrzebą.

– W którą stronę się udała?

– Nie wiem, nie patrzyłam za nią. Powiedziała tylko, że wychodzi, żeby się załatwić.

Tehuti była wymagającym i wstydliwym dzieckiem. Wiedziałem, że się gdzieś ukryje, zanim zaspokoi jakąkolwiek fizjologiczną potrzebę. Nie zrobiłaby tego w jaskini. Wyszłaby na pustynię. Pobiegłem z powrotem w kierunku wejścia do groty. Zaras i jego ludzie stali ciągle tam, gdzie ich ostatnio widziałem,

skupieni w gromadkę po lewej stronie wejścia. Zawołałem do Zarasa:

– Widziałeś, księżniczkę Tehuti, gdy wychodziła z jaskini?

– Nie, panie mój.

– A inni twoi ludzie? Czy któryś z was ją widział?

Żołnierze pokręcili w milczeniu głowami.

Tehuti wolała przemknąć niezauważona. Być może znalazła inne wyjście z grotty, pomyślałem, a potem odwróciłem się i pobiegłem z powrotem w kierunku szczeliny w skalnej ścianie, obok której widziałem obcy odcisk.

– Wysłuchaj mnie, Horusie! – zwróciłem się do boga, modląc się z całej duszy. Poczułem, że w moim wnętrzu uwalnia się dziwna moc, którą nauczyłem się przywoływać w chwilach głębokiej i rozpaczliwej potrzeby. – O Horusie, otwórz mi oczy. Spraw, żebym widział. O mój słodki boże, spraw, żebym widział! – Zamknąłem mocno oczy na dziesięć uderzeń serca, a kiedy otworzyłem je znowu, mój wzrok nabrał jasnej ostrości. Wielki Horus mnie wysłuchał. Zacząłem widzieć wewnętrznym okiem. Kolory wokół się ożywiły, kształty stały się wyraźniejsze, z ostrzej zarysowanymi konturami.

Spojrzałem wzdłuż dolnej części skalnej ściany i zobaczyłem ją. Nie była to Tehuti, ale pamięć o tym, gdzie przebywała niedawno, niczym jej echo albo cień. Była to smuga na jasnym tle, drobny, nieuchwytny obłoczek. Nie miał on nawet ludzkiego kształtu czy konturów ludzkiej postaci, ale byłem pewien, że to ona. Tańczyła, oddalając się ode mnie wzdłuż linii równoległej do prążkowanej skalnej ściany.

Instynktownie wyczułem, że ktoś ją ścigał i że chciała ująć zagrożeniu. Wyczuwałem jej przerażenie, które odbijało się echem w moim sercu, i smakowałem na języku trwogę, która ją przenikała.

– Za broń, Zarasie! – wrzasnąłem, nie zdając sobie sprawy, że mój głos może mieć taką siłę. – Zostaw pięciu ludzi, żeby pilnowali Bekathy i Loxias. Reszta niech wsiada na wielbłądy i rusza za mną!

Wiedząc, że Zaras mnie usłyszał, pobiegłem bez oglądania się za siebie, koncentrując całe moje jestestwo na efemerycznej chmurce, która nie była samą Tehuti, ale jej prawdziwą istotą.

Nagle poczułem, jakby u nóg urosły mi skrzydła. Biegłem coraz prędeziej, ale mała chmurka również przyspieszyła, ciągnąc mnie za sobą, jakbym był uwiązany do niej na niewidzialnej nitce. A potem nagle znikła mi z oczu w miejscu, w którym prążkowana skała skręcała, wyginając się i piętrząc ku górze.

Mój wzrok utracił świetlistą ostrość i znowu stał się normalny. Stopy zwolniły i zrobiły się ociężałe, pozbawione łaski zesłanej przez boga. Zmusiłem się, żeby iść dalej, aż dotarłem do miejsca, w którym znikła mi z oczu. Zatrzymałem się, dysząc chrapliwie.

Rozejrzałem się wściekle, ale nic nie dojrzałem. Zniknęła.

Po chwili spojrzałem na ziemię pod moimi stopami i zobaczyłem, że chociaż wyobrażająca ją chmurka się rozplynęła, Tehuti zostawiła na piasku prawdziwe odciski bosych stóp w osłoniętym przed wiatrem miejscu. Podniosłem oczy, żeby spojrzeć na ślady, i zauważyłem, że zaledwie parę kroków przede mną zatarły się znowu, ale sprawcą tego nie był wiatr.

Piasek został poruszony stopami ludzi noszących sandały z gładkimi podeszwami. Nie byłem pewien, ilu ich było, jednak domyślałem się, że co najmniej kilkunastu. Było jasne, że ścigali oni Tehuti, a kiedy ją dopędzili i schwytali, broniła się. Dostrzegłem nawet miejsce, w którym zachowały się ślady jej wysiłków. Gdy coś ją do tego pobudziło, Tehuti znajdowała w sobie siłę dzikiego żbika, ale było dla mnie rzeczą oczywistą, że nie spodziewała się napaści i że ci ludzie bardzo prędko ją obezwładnili.

Pociągnęli ją wspólnie do stóp skalnej ściany. Zauważyłem, że skałę przecina w tym miejscu inna szczelina. Ta była jednak szersza i nie tak stroma jak tamta, którą widziałem wcześniej.

Przypominała raczej schody niż skalny komin. Byłem pewien, że mógłbym wspiąć się nią z łatwością, ale wielbłądy musiałyby znaleźć inną drogę, żeby dotrzeć na szczyt urwiska. Obejrzałem

się i zobaczyłem Zarasa, który prowadził w moją stronę pierwszego wielbłąda, idąc wzdłuż podstawy skalnej ściany. Gdy dotarł do mnie, krzyknął niecierpliwym tonem:

– Co się dzieje, Taito? Co chcesz, żebyśmy zrobili?

– Tehuti została uprowadzona. Porywacze musieli zacząć się i czekać tu na nią. Oddaliła się samowolnie i wtedy ją schwytali. – Wyciągnąłem rękę, wskazując szczelinę, która prowadziła w górę urwiska. – Zaciągnęli ją tam, na górę, gdzie nasze wielbłądy nie mogą się dostać.

– Co to za ludzie? Skąd się tu wzięli?

– Nie wiem, Zarasie. Nie zadawaj niemądrych pytań. Ruszaj wzdłuż podstawy tej skały i jedź dotąd, aż znajdziesz sposób, żeby się na nią wspiąć. Ja idę prosto za nimi.

– Wyślę połowę moich ludzi, żeby poszli z tobą i wsparli cię w razie potrzeby. Potem obejdem tę skałę z innymi i spotkamy się na szczycie.

Nie odpowiedziałem mu, zachowując oddech na wspinaczkę, jaka mnie czekała. Wspinałem się w stałym tempie, oszczędnie gospodarując siłami. Słyszałem ludzi Zarasa, którzy pieli się za mną. Chociaż wszyscy byli dużo młodszy ode mnie, posuwałem się stale przed nimi.

W połowie wysokości skały usłyszałem głosy dochodzące z góry. Zatrzymałem się na parę sekund, żeby posłuchać. Nie mówię płynnie po arabsku, ale zrozumiałem wystarczająco wiele, żeby pojąć istotę sprawy.

Ludzie znajdujący się nade mną byli Beduinami, którzy ponaglali się nawzajem, żeby się pospieszyć. Potem usłyszałem cichy krzyk Tehuti; rozpoznałbym ten głos wszędzie i w każdych okolicznościach.

– Trzymaj się, Tehuti! – zawołałem do niej, odrzuciwszy głowę do tyłu. – Już idę. Nadchodzi też Zaras ze wszystkimi swoimi ludźmi.

Dźwięk jej głosu zachęcił mnie do zwiększenia wysiłku. Podjąłem wspinaczkę z nową siłą i determinacją. Potem

usłyszałem dochodzące z góry rżenie konia, stukot kopyt i brzęk uprzęży. Ludzie, którzy ją uprowadzili, wsiadali na konie.

Tehuti krzyknęła znowu, ale sens jej słów zgubił się w krzykach Arabów szykujących się do odjazdu, a potem rozległy się strzały z batów. Porywacze popędzili swoje wierzchowce do galopu. Konie zaczęły parskać, a potem na miękkim piasku zadudniły ich kopyta.

W tym momencie uświadomiłem sobie, dlaczego bandyci zostawili konie na szczycie urwiska. Wiedzieli, że będą mogli prędko do nich dotrzeć, podczas gdy my musieliśmy tracić czas na szukanie innej drogi, żeby obejść z naszymi wielbłędami niemożliwą do pokonania skalną ścianę.

Rzuciłem się w górę, żeby pokonać kilka ostatnich kroków, i wydostałem się na krawędź urwiska. Zatrzymałem się, żeby się zorientować w sytuacji.

Zobaczyłem przed sobą gromadę około dwudziestu Arabów na koniach, ubranych w zakurzone burnusy i z turbanami na głowach. W tym momencie wszyscy siedzieli już na koniach i większość z nich oddalała się od miejsca, w którym stałem, poganiając wierzchowce dzikimi wrzaskami i wydając triumfujące okrzyki. Jeden z bandytów zmagił się ciągle z Tehuti. Przerzucił ją przez przód siodła i usiadł za nią. Był to wysoki, potężnie zbudowany osobnik z kręconą czarną brodą. Dokładnie odpowiadał opisowi bandyty Hawsawiego, czyli Szakala, jaki przekazał mi Al Namjoo. Ale nie mogłem mieć co do tego pewności.

Tehuti kopała go i krzyczała, jednak on z łatwością przytrzymał ją na siodle, przyciskając jedną ręką jej ramiona. Zauważyłem, że tunikę i włosy ciągle ma mokre po kąpielu w jeziorku. Jej wilgotne loki zwisały i kołysały się koło głowy.

Obejrzała się i zobaczyła mnie na krawędzi urwiska. Jej twarz rozjaśniła się wzruszająco w przyływie nadziei. Wyczytałem z jej ust, że wymawia moje imię.

– Tata! Pomóż mi, proszę!

Pociągając wolną ręką za cugle, jej porywacz obrócił rumaka, a potem pobudził go piętami do galopu przez usianą skałami równinę, oddalając się prędko ode mnie. Tylko raz obejrzał się w moją stronę, szczerząc zęby w triumfującym uśmiechu. Teraz miałem już pewność, że to Szakal. Przeleciało mi przez głowę pytanie, w jaki sposób mógł się dowiedzieć, że kierujemy się do źródła Miyah Keiv w prążkowanym urwisku.

Jego banda otoczyła go ścisłym kołem. Nie mogłem nawet dokładnie ich policzyć. Przyglądałem się ich odjazdowi, czując, że ogarnia mnie fala dzikiej, ale bezsilnej wściekłości, która mnie zadusi.

Prędko wyrwałem się z odrętwienia i zsunąłem z ramienia zakrzywiony łuk. Trzema szybkimi ruchami nałożyłem cięciwę i sięgnąłem do kołczana, żeby wyjąć strzałę.

Dystans powiększał się szybko. Wiedziałem, że za chwilę Tehuti i jej porywacz znajdą się poza zasięgiem strzału. Stałem w pozycji, wyciągając lewe ramię w kierunku celu, i uniosłem wzrok ponad odległy horyzont, oceniając konieczny kąt podniesienia lotu strzały, żeby dosięgła Szakala.

Moje serce napełniło się radością, gdy uświadomiłem sobie, że ciało Szakala znajduje się między Tehuti a mną, i że bezwiednie osłania ją przed moją strzałą. Mogłem wypuścić ją swobodnie, nie obawiając się, że mógłbym ją trafić. Naciągnąłem cięciwę i lotka strzały musnęła mi wargi. Wszystkie mięśnie moich ramion i górnej części torsu napięły się do bólu w ogromnym wysiłku potrzebnym do napięcia łuku. Tylko bardzo nieliczni ludzie potrafią napiąć mój łuk do pełnego naciągnięcia. To nie jest tylko sprawa zwierzęcej siły. Wymaga to również przyjęcia pozycji i zachowania równowagi, a także osiągnięcia jedności z łukiem.

Otworzyłem trzy palce napinające łuk i cięciwa odskoczyła, zdzierając skórę z wewnętrznej strony mojego przedramienia. Poczułem, że z zadanej rany tryska jasna krew. Nie miałem najmniejszej możliwości, żeby zabezpieczyć ramię skórzaną osłoną i uchronić się od tego.

Jednak nie czułem bólu. Moje serce poszybowało w górę równie szybko jak strzała, którą wypuściłem, gdy zobaczyłem, że oddałem doskonały strzał. Byłem pewien, że wieprz, który trzymał Tehuti, nie żyje, choć jeszcze o tym nie wie.

Chwilę potem wykrzyknąłem głośno z wściekłością i poczuciem zawodu, widząc, że jeździec, który galopował tuż za hersztem bandy, zmienił nagle tor jazdy. Tylko Horus może wiedzieć, dlaczego to zrobił, być może chciał uniknąć jakiejś dziury w ziemi. Bez względu na powód tego manewru, zasłonił cel. Zobaczyłem, że moja strzała spada na niego niczym atakujący z góry sokół i trafia go w górną część grzbietu, o dwa palce w bok od kręgosłupa. Odrzucił do tyłu głowę i skręcił się z bólu, próbując dosięgnąć ponad ramieniem trzonu strzały. Ale ciągle zasłaniał mi cel.

Założyłem drugą strzałę i posłałem ją w ślad za pierwszą, mając rozpaczliwą nadzieję, że być może ranny jeździec zsunie się z siodła i spadnie na ziemię, gdy strzała będzie jeszcze w locie, otwierając w ten sposób drogę do ciała Hawsawiego. Ale ranny Arab trzymał się uparcie na końskim grzbiecie i dopiero gdy druga strzała trafiła go w szyję, jego bezsilny trup zsunął się z siodła i potoczył w tumanach kurzu podnoszonego przez galopujące przed nim konie.

Teraz jednak Hawsawi był już poza zasięgiem mojego łuku. Posłałem za nim kolejną strzałę, chociaż wiedziałem, że nie ma żadnej szansy, aby go dosięgła. Ale bezustannie przeklinałem siebie i wszystkich bogów ciemności, którzy wspierali Hawsawiego, gdy moja ostatnia strzała spadła dwadzieścia kroków za kopytami jego konia.

Ruszyłem biegiem do miejsca, w którym leżał trup Araba przeszyty dwiema moimi strzałami. Chciałem go dopaść, nim wyzionie ducha, żebym zdołał wydusić z niego jakieś informacje. Gdybym miał szczęście, być może udałoby mi się nawet uzyskać pewność, jak nazywa się złoczyńca, który porwał Tehuti, i gdzie mogę go znaleźć.

Ale los zrządził inaczej. Bezimienny bandyta był już martwy, gdy się nad nim pochyliłem. Jedno jego oko było wbite do wnętrza czaszki, tak że widać było tylko białko, podczas gdy drugie wpatrywało się we mnie w niemym oburzeniu. Mimo to kopnąłem go, i to kilka razy. Potem usiadłem obok niego i posłałem rozpacziwą modlitwę do Hathor, Ozyrysa i Horusa, prosząc każde z nich, żeby zapewnili Tehuti bezpieczną ochronę do chwili, gdy zdołam do niej dotrzeć.

Najbardziej nie cierpię u bogów tego, że rzadko są pod ręką, gdy się ich najbardziej potrzebuje.

Czekając na przybycie Zarasa, zabrałem się do wycinania strzał z trupa bandyty. Nie ma w całym Egipcie człowieka zdolnego do wystrugania strzały, która dorównałaby mojej.

Dotarcie do mnie zabrało Zarasowi jeszcze prawie godzinę. W tym czasie banda Beduinów dawno już zniknęła w blasku i kurzu za widnokręgiem. Jestem człowiekiem, który zazwyczaj całkowicie panuje nad emocjami. Mogę zachować spokój i opanowanie wobec katastrofy czy tragedii. Rozumiem przez to splądrowanie miasta, zmasakrowanie armii i inne drobniejsze tego rodzaju nieszczęścia. Ale uprowadzenie Tehuti wprowadziło mnie w gwałtowną, rozdygotaną, bezsilną wściekłość. W miarę jak to oczekiwanie się przedłużało, moje wzburzenie kipiało i wrzało coraz mocniej.

Obróciłem furię przeciwko ludziom, którym Zaras polecił wspinać się za mną. Wrzeszczałem na nich, wyrzucając im, że okazali tak wielką opieszałość i nieskuteczność. Oskarżyłem ich o tchórzostwo i świadome ociąganie się, gdy ja potrzebowałem ich pomocy.

Kiedy w końcu dostrzegłem kurz podnoszony przez wielbłądy Zarasa, które zbliżały się wzdłuż górnego skraju prążkowanej skały, nie mogłem już powstrzymać się ani chwili dłużej. Zacząłem biec w ich kierunku. Wołałem do Zarasa, żeby się pospieszył, gdy znajdował się jeszcze poza zasięgiem mojego głosu.

Jednak kiedy zbliżył się na tyle, żebym mógł dojrzeć jego minę, uświadomiłem sobie, że martwi się równie mocno jak ja, a może nawet bardziej. Na moje głośnie i przejmujące krzyki, żeby się pospieszył, odpowiadał mi jeszcze głośniejszymi

błaganiami, żebym mu powiedział, gdzie jest Tehuti i czy jeszcze żyje.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że wzajemne oczarowanie, jakiemu uległo tych dwoje młodych, nie jest przypadkowe i przelotne. Połączyło ich uczucie równie wielkie i czyste, jak namiętność, którą ja żywiłem do matki Tehuti, królowej Lostris. Zauważyłem, że cierpienie Zarasa z powodu utraty ukochanej księżniczki dorównuje pod względem niszczycielskiej siły uczuciom, jakie niegdyś budziła we mnie jej matka.

W chwili gdy sobie to uświadomiłem, opadła mnie refleksja, że dla całej naszej trójki świat nie jest już taki sam jak wcześniej.

Przyglądałem się, jak Zaras galopuje ze swymi ludźmi w moim kierunku, wyciskając z wielbłądów wszystko co możliwe. A były to bez wyjątku wspaniałe zwierzęta.

Jakkolwiek konie Beduinów były w stanie prześcignąć moje wielbłądy na krótkim dystansie, nie mogły utrzymać tego tempa dłużej niż przez dwie, trzy godziny. Ponadto wielbłądy mogły biec przez cały dzień po piaszczystym i zdradliwym gruncie. Niedawno napiły się wody. Nie musiały gasić ponownie pragnienia przez dziesięć lub nawet więcej dni. W pustynnych warunkach bez wody, w spiekocie i na miękkim piasku, po którym ciężko było się poruszać, jutro o świcie konie powinny być już u kresu sił, podczas gdy wielbłądy mogły biec nawet przez cały następny tydzień.

Gdy Zaras podjechał do mnie, miałem już dla niego gotowe rozkazy. Na grzbiecie każdego z jego wielbłądów siedział uzbrojony człowiek. Natychmiast poleciłem połowie z nich zsiąść i pospieszyć na piechotę z powrotem do jaskini, żeby trzymać straż przy pozostałych dwu dziewczętach. Oczywiście bezpieczeństwo Bekathy było sto razy ważniejsze niż bezpieczeństwo Loxias, chociaż bardzo polubiłem małą kreteńską dziewczynę.

Zarasowi przyszedł do głowy dobry pomysł, żeby obciążyć każdego wielbłąda pełnym bukłakiem wody. To tłumaczyło jego opóźnione przybycie. Teraz połowa siodła była pusta, mogłem więc przerzucać jeźdźców w stałych odstępach czasu. Ucieszyłem

się też, że Zaras zabrał ze sobą naszego głównego przewodnika, Al Namjoo. Nikt nie znał tego terenu lepiej niż on.

Gdy zajęliśmy miejsca w siodłach i stwierdziłem, że każdy jeździec prowadzi za sobą na linie zapasowego wielbłąda, a woda w bukłakach chlupocze i bulgocze zachęcająco, byłem gotów założyć się o worek srebrnych memów, że dopędzę Hawsawiego, nim minie jutrzejsze południe.

Wiatr zelżał do słabego wietrzyku, ale ciągle było zbyt gorąco, żebyśmy mogli poczuć większą ulgę. W każdym razie jego powiewy nie miały już tyle siły, żeby zatrzeć ślady Szakala, zanim będę miał okazję im się przyjrzeć. Utrzymywałem wielbłądy w bezpiecznym tempie.

Obliczyłem upływ czasu z kąta padania promieni słonecznych i trzy godziny później byłem pewien, że poczyniliśmy znaczne postępy w naszym pościgu. Zatrzymaliśmy się na krótko, żeby zmienić wielbłądy, i przed wyruszeniem w dalszą drogę pozwalałem ludziom wypić po dwa kubki wody. Jak dotąd nie przyspieszaliśmy zbyt, ale utrzymywaliśmy kołyszący krok, którym wielbłądy będą biegały swobodnie i łatwo.

Po następnych dwóch godzinach otrzymałem pozytywny dowód, że siły uciekinierów są na wyczerpaniu. Natknęliśmy się na jednego z koni Szakala, który osłabiony kuśtykał powoli śladem swoich pobratymców. Byłem dość zadowolony z naszych postępów i powiedziałem Zarasowi, że mam nadzieję dopędzić ich nawet przed zapadnięciem nocy.

Przewidywanie to okazało się przedwczesne. Godzinę po jego wyrażeniu natknęliśmy się na miejsce, w którym uciekinierzy rozdzielili się po raz pierwszy. Uniosłem rękę, dając mojej kohorcie sygnał do zatrzymania się. Następnie potwierdziłem go, wydając Zarasowi komendę:

– Zezwól ludziom, żeby zeszli na ziemię i rozprostowali nogi. Niech każdy wypije dwa kubki wody. Ale muszą trzymać się z tyłu, żeby nie naruszyć śladów, zanim ich nie odczytam.

Rozdzielanie się w trakcie ucieczki to stara sztuczka Beduinów, polegająca na dzieleniu się na dwie równe grupy,

które odjeżdżają w przeciwnych kierunkach. W tym momencie było to podwójnie skuteczne, ponieważ nie mieliśmy możliwości ustalenia, która z grup zabrała ze sobą Tehuti. Musielibyśmy również rozdzielić nasze siły, żeby ścigać obie.

Zsiadłem na ziemię i wręczyłem cugle mojego wielbłąda Zarasowi. Ruszyłem pieszo, zachowując ostrożność, aż doszedłem do miejsca, w którym banda się rozdzieliła. Stwierdziłem, że zrobili to, nie zsiadając z koni. Tak więc nie byłem w stanie dostrzec odcisków stóp Tehuti. Przysiadłem i ponownie poprosiłem o pomoc moich bogów.

– Wielki Horusie, pozwól mi widzieć. Błagam cię, otwórz te słabe, ślepe oczy i pokaż mi drogę. Otwórz mi oczy, ukochana Hathor, a ja złożę ci krwawą ofiarę, żeby sprawić radość twojemu sercu.

Zamknąłem powieki i wysłuchałem dwudziestu uderzeń mojego serca, zanim otworzyłem je znowu. Rozejrzałem się uważnie na wszystkie strony, ale mój wzrok się nie zmienił. Pustynia wyglądała tak samo jak przedtem. Nigdzie nie było przezroczystej poświaty oświetlającej okrutne piaski ani żadnych tańczących cieni, które mogłyby mnie poprowadzić.

W tej samej chwili usłyszałem głos i przechyliłem głowę, żeby lepiej go słyszeć. Ale był to tylko wiatr świszczący wśród wydm. Obróciłem powoli głowę, żeby ten wietrzyk mógł musnąć moje ucho. I w tym momencie ją usłyszałem, cicho, ale wyraźnie.

– Pozwól, żeby Hathor pokazała ci drogę. – Był to głos Tehuti. Rozejrzałem się prędko, spodziewając się, że znajdę ją na moim ramieniu. Nie było jej tam jednak. Zamknąłem ponownie oczy i zacząłem czekać na mały cud, mając pewność, że się wydarzy. Pochyliłem w milczeniu głowę z zamkniętymi oczami, korząc się przed boginią Hathor w żalu za moje wcześniejsze poniżające myśli, które do niej kierowałem.

– O słodka Hathor, Hathor, Hathor, jesteś nam teraz potrzebna. Tehuti i ja cię potrzebujemy.

W tym momencie przed moimi zamkniętymi oczami zaczęła ożywać scena sprzed wielu lat. Znowu byłem z Tehuti w małej

trzcinowej łódce, płynąc po świętych wodach Nilu. Uśmiechała się rozkosznie, trzymając w rękach prezent, który dopiero co jej wręczyłem, by uczcić zakwitnięcie czerwonego kwiatu jej kobiecości. Był to śliczny klejnot, w którego wykonanie włożyłem całą moją miłość i wszystkie umiejętności. Na delikatnym, ślicznym łańcuszku zawieszona była maleńka złota głowa Hathor, rogatej bogini miłości i dziewictwa.

Uśmiechając się ciągle, Tehuti opasała szyję złotym łańcuszkiem i zapięła zapinkę na karku. Złota głowa dyndała w zagłębieniu jedwabistej skóry między jej piersiami, a obraz bogini uśmiechał się do mnie zagadkowo.

„Będę nosiła ją zawsze na szyi, Tata”, przypomniały mi się słowa Tehuti. „Za każdym razem, gdy poczuję jej dotyk na skórze, pomyślę o tobie i pokocham cię jeszcze bardziej”. Tehuti dotrzymała przyrzeczenia. Gdy nawet po krótkiej przerwie spotykaliśmy się znowu, pokazywała mi tę błyskotkę, bujając złotym łańcuszkiem, a potem podnosiła boginię do swoich ust.

Nie byłem w stanie udzielić sobie odpowiedzi, a nawet próbowałem usunąć z głowy pytanie, dlaczego pomyślałem o tym właśnie teraz, gdy tak bardzo liczył się czas i szybkość pościgu. Wspomnienie utrzymywało się przed moimi oczami. Wraz z nagłym przyływem podniecenia olśniła mnie myśl, że ten klejnot jest w tej chwili przepojony samą istotą Tehuti. Powinienem umieć odkryć ją równie bezbłędnie, jakby tu była we własnej osobie. Nadlatujący z wiatrem głos potwierdził to, co już wyczułem.

– Znajdź Hathor, a wtedy znajdziesz i mnie.

Zerwałem się na nogi i stwierdziłem, że ciągle stoję w miejscu, w którym gang Hawsawiego się rozdzielił. Zobaczyłem, że jedna z dwu dziesięcioosobowych grup skręciła ku północy. Postanowiłem najpierw podążyć jej śladem. Ruszyłem powoli, trzymając się obok odcisków pozostawionych przez kopyta ich koni.

Uruchomiłem szósty zmysł, żeby móc odbierać wskazówki albo od Tehuti, albo od Hathor. Nic nie poczułem. Poszedłem

dalej i uświadomiłem sobie, że coś się we mnie gotuje. Było to uczucie głębokiej frustracji i osamotnienia, które rosło z każdym krokiem.

Zawróciłem i ruszyłem z powrotem. Nieprzyjemne wrażenie zaczęło stopniowo słabnąć, a wreszcie wyparowało zupełnie, gdy dotarłem do miejsca, w którym gang się rozdzielił.

Druga grupa bandytów skierowała się na południe. Poszedłem jej tropem.

Prawie natychmiast poczułem podniesienie na duchu. Co parę kroków stwierdzałem, że czuję się coraz bardziej podniecony, aż wreszcie poczułem, że drobna i ciepła dłoń ujmuje mnie za rękę i ściska ją. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że moja ręka jest pusta, ale mimo to miałem całkowitą pewność, że obok mnie ktoś jest i prowadzi mnie.

Ruszyłem biegiem, przepatrując powierzchnię pustyni. Dopiero po kolejnych stu krokach dojrzałem, że coś błyszczy przede mną na wyschniętym, żółtym piasku. To coś było w nim do połowy ukryte, ale rozpoznałem to od razu. Przyklęknąłem na jedno kolano, odgarnąłem pokrywający je sypki piasek, podniosłem maleńki płatek żółtego złota i dotknąłem nim ust.

Obejrzałem się na Zarasa. Stał obok wielbłąda i patrzył na mnie. Pomachałem mu ręką, dając znak, żeby do mnie podjechał. Wsiadł prędko na siodło i pognał swojego wielbłąda, ciągnąc za cugle mojego.

– Skąd masz pewność, że pojechała w tę stronę, a nie w tamtą?
– zapytał, wręczając mi cugle mojego wielbłąda.

– Znasz to świecidełko? – Otworzyłem dłoń i pokazałem mu łańcuszek z głową bogini. Zaras przytaknął bez słowa. – Rzuciła je tutaj, żeby zostawić mi znak.

– Ona jest taka cudowna – powiedział Zaras pełnym uwielbienia głosem. – W całym świecie nie ma drugiej kobiety, która mogłaby się z nią równać.

Po dwóch godzinach jazdy natknęliśmy się na następnego beduińskiego konia, który nie miał siły dalej iść. Stał ze zwieszoną głową, niezdolny zrobić kroku. Jeździec musiał

okładać go bezlitośnie batem, zanim go porzucił. Zad zwierzęcia był pocięty od razów, a na ranach połyskiwała czarna, zaschnięta krew.

– Daj mu wody – poleciłem Zarasowi, który zeskoczył z siodła, żeby napełnić skórzane wiadro z bukłaka, który niósł jego wielbłąd. Jednocześnie ja też zeskoczyłem na ziemię i stanąłem za łopatką konia. Wyjąłem miecz. Zaras podsunął wiadro nieszczęsnemu zwierzęciu i uniósł je do jego pyska. Oczekałem, aż przełknie kilka łyków, a potem chwyciłem miecz obiema rękami i uniosłem go nad głowę. Zwierzę piło ciągle, gdy opuściłem miecz, wkładając w to całą moją siłę.

Obcięta równo głowa odpadła od szyi. Tułów konia osunął się na przednie kolana, a z przeciętych naczyń krwionośnych trysnęła obficie krew. Chwilę potem zwierzę przewróciło się na bok.

– Nie marnuj wody – upomniałem Zarasa, wycierając klingę do czysta o grzbiet konia, a potem wsunąłem ją z powrotem do pochwy.

Popatrzyłem, jak Zaras wlewa pozostałą w wiadrze wodę z powrotem do bukłaka. Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby się opanować. Cierpiałem niemal równie mocno, jak wcześniej cierpiał ten koń, zanim zadałem mu litościwy cios mieczem. Pogardzam niepotrzebnym okrucieństwem i przysparzaniem wszelkich cierpień, a jeździec dosiadający tego konia bestialsko nadużył jego sił. Zadbalem jednak, żeby nie okazać moich rzeczywistych odczuć. Gdyby moi ludzie zauważyli, jak się naprawdę czuję, prawdopodobnie wzięliby mnie za ekscentryka i stracili nieco szacunku, jakim mnie darzyli.

Zanim słońce dotknęło horyzontu, minęliśmy następne trzy osłabione z wyczerpania konie. Zauważyłem głębsze odciski kopyt w piasku i domyśliłem się, że kilku uciekających Arabów musiało usiąść za plecami kompanów. Inni zmuszeni byli iść na piechotę, trzymając się rzemiennych strzemion swoich towarzyszy, żeby utrzymać się na nogach.

Z każdą godziną dystans między nami malał. Nie przerwałem pościgu po zachodzie słońca. Księżyc w pełni oświetlał nam drogę. Jego promienie były tak srebrzyście jasne, że rzucały cień w każdym zagłębieniu po kopycie pozostawionym przez konie Arabów. Byłem w stanie dostrzec je już z daleka. Hathor jest boginią księżycy, byłem więc pewien, że jest to jej odpowiedź na moje modlitwy. Poruszaliśmy się w tempie, które według mojej oceny musiało być dwa razy szybsze od tempa uciekających. Wielbłądy nie traciły ochoty do biegu.

Minęliśmy następne dwa padłe konie leżące koło szlaku, ale kiedy zauważyłem, że już nie cierpią, nie traciłem czasu na zajmowanie się nimi. Potem natrafiłem na ludzką postać, która leżała wprost na naszej drodze. Było w niej coś znajomego. Tym razem wstrzymałem mojego wielbłąda i zmusiłem go, żeby klęknął.

– Uważaj, Taito! – zawołał do mnie zaniepokojony Zaras. – To może być pułapka. Być może tylko udaje martwego, a w rękę trzyma nóż, gotowy do uderzenia.

Posłuchałem jego ostrzeżenia i wyciągnąłem miecz. Gdy jednak stanąłem nad leżącą postacią, człowiek poruszył się, uniósł z trudem głowę i spojrzał na mnie. Na twarz mężczyzny padło światło księżycowe i wtedy go rozpoznałem.

Wlepiłem w niego oczy, zdumiony tak bardzo, że w pierwszej chwili nie mogłem wykrztusić ani słowa.

– O co chodzi, Taito?! Co ci jest?! – zawołał do mnie Zaras. – Znasz go?!

Nie odpowiedziałem wprost na jego pytania.

– Przyślij mi tu Al Namjoo – poleciłem, nie oglądając się w jego stronę. Mężczyzna u moich stóp skamlał z przerażenia. A potem zakrył dolną część twarzy poszarpanym zawojem, którym obwiązał sobie szyję, i odwrócił ode mnie głowę.

Usłyszałem głos Zarasa, który wołał do Al Namjoo, żeby podjechał do mnie, a potem odgłosy zmuszania wielbłąda, żeby uklęknął za moimi plecami.

– Podejź do mnie, Al Namjoo – rzuciłem ostrym tonem. Usłyszałem chrzęst jego stóp na piasku, gdy ruszył w moim kierunku. Nie obejrzałem się na niego.

– Jestem tu, panie – powiedział cicho.

– Rozpoznajesz tę osobę? – Trąciłem czubkiem sandała mężczyznę leżącego u moich stóp.

– Nie, panie, nie widzę jego twarzy... – szepnął cicho Al Namjoo, ale z drżenia jego głosu domyśliłem się, że kłamie. Pochyliłem się, chwyciłem róg zawoju i zerwałem go z twarzy mężczyzny. Usłyszałem ciężki oddech Al Namjoo.

– Teraz widzisz jego oblicze – powiedziałem. – Kto to jest?

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Rozciągnięty na ziemi człowiek zakrył sobie twarz łokciem i zaczął łkać, wydając urywane jęki. Nie miał odwagi spojrzeć na nas.

– Powiedz mi, Al Namjoo, kim jest ta kupa śmierdzącego świńskiego łajna. – Użyte przeze mnie słowa świadczyły o tym, jak bardzo byłem rozgniewany i strapiony.

– To mój syn, Haroun – szepnął starzec.

– A dlaczego twój syn płacze, Al Namjoo?

– Płacze, panie mój, bo zawiódł zaufanie, jakim obaj go obdarzyliśmy.

– W jaki sposób to uczynił, starcze?

– Powiedział Al Hawsawiemu, czyli Szakalowi, gdzie może nas znaleźć. Poprowadził go do sadzawki w jaskini, żeby się tam zaczął i zaczekał na nas.

– Jaka jest właściwa kara za taką zdradę, Al Namjoo?

– Karą jest śmierć. Musisz zabić Harouna, panie.

– Nie – odparłem, dobywając miecza. – Nie zabiję go. Jest twoim synem. Ty sam musisz go zabić.

– Nie mogę zabić własnego syna, panie. – Al Namjoo odsunął się ode mnie. – Byłby to najczarniejszy i najbardziej haniebny czyn, jaki można sobie wyobrazić. Mój syn i ja zostalibyśmy wtrąceni na całą wieczność do mrocznych podziemi Seta.

– Zabij go, a ja pomodłę się za twoją duszę. Wiesz, że jestem potężnym człowiekiem i pośrednikiem do świata bogów. Zawsze

istnieje możliwość, że przychyliła się do moich próśb. Musisz zaryzykować i oprzeć na tym swoje nadzieje.

– Proszę, łaskawy panie. Oszczędź mi tego straszliwego obowiązku. – Teraz on również zaczął cichutko szlochać. Widziałem łzy połyskujące na jego brodzie srebrnymi odblaskami światła księżycowego. Padł na kolana i zaczął całować mnie po stopach.

– Odpowiednią karą dla niego jest wyłącznie śmierć z ręki ojca – odparłem, odrzucając jego błagania. – Podnieś się, Al Namjoo. Zabij go, bo inaczej ja zabiję najpierw twoich dwóch młodszych synów, Talala i Moose, potem zabiję Harouna, a na koniec ciebie. Nie będzie męskiego potomka w twoim rodzie. Nie będzie nikogo, kto by się pomodlił nad twoimi prochami.

Al Namjoo stanął chwiejnie na nogach. Włożyłem mu do ręki miecz. Popatrzył raz jeszcze na mnie, ale kiedy zobaczył, że moja wola jest twarda jak diament, zrezygnowany spuścił wzrok.

– Zrób to! – ponagliłem go. Al Namjoo obiema rękami otarł łzy z twarzy. Potem zdecydowanym ruchem uniósł głowę i mocno chwycił rękojeść miecza. Przeszedł obok mnie i stanął nad Harounem. – Zrób to! – powtórzyłem. Uniósł miecz i uderzył, najpierw raz, potem drugi, a w końcu trzeci. Wypuścił miecz z dłoni i upadł na ciało najstarszego syna. Przycisnął jego rozłupaną głowę do piersi i żółtawy mózg przeciekł między jego palcami. Zaczął jęklonie zawodzić.

Podniosłem miecz i wytarłem jego ostrze o trupa. Potem wróciłem do mojego wielbłąda i wdrapałem się na siodło. Zostawiłem Al Namjoo, żeby pogodził się ze stratą, i podjąłem pościg za Szakalem.

Moje miłosierne uczucia nie obejmowały całego rodzaju ludzkiego, a wspaniałomyślność nie odnosiła się do wszystkich grzechów popełnianych przeciwko mnie.

W pierwszych odblaskach świtu dotarliśmy do miejsca, w którym Al Hawsawi rozdzielił oddział po raz drugi. Był to akt rozpacz. Musiał nabrać pewności, że nie zgubiłem jego tropu po pierwszym rozdzieleniu.

Zsiadłem z wielbłąda i zacząłem badać ślady, żeby ocenić liczbę Beduinów.

W jednej grupie były cztery konie, a w drugiej trzy. Każdy koń niośł dwóch jeźdźców. W sumie było ich czternastu. W dodatku było czterech idących pieszo.

Podniosłem wzrok, żeby podążyć za tropem pozostawionym przez większą grupę, która skręciła ku północy, i serce zabiło mi żywiej, gdy zobaczyłem kierujące się w tę samą stronę maleńkie i słabe ślady stóp, które znałem tak dobrze. Zabrali ze sobą Tehuti.

Teraz jednak szła na piechotę, a z pozostawionych przez nią śladów domyśliłem się, że ciągnęło ją wbrew jej woli dwóch Arabów. Podbiegłem bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć. Uczucie ulgi zamieniło się w gniew, gdy zobaczyłem, że jedna z jej gołych stóp krwawi. Przecięła ją na ostrych odłamkach krzemienia, którym usłany był piasek.

Ślady były wyraźne i jednoznaczne. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że Tehuti jest w grupie, która udała się na północ, a mimo to czułem, że moje poirytowanie mogło mi uniemożliwić właściwą ocenę. Musiałem upewnić się co do tego podwójnie.

– Stójcie tu, dopóki was nie zawołam! – krzyknąłem do Zarasa. Zostawiłem go i ruszyłem wzdłuż szlaku wyraźnych śladów stóp. Przebyłem zaledwie sto dwadzieścia kroków, gdy ślady pozostawione przez Tehuti znikły zupełnie, ale ten fakt zbytnio mnie nie zmartwił.

Byłem pewien, że została uniesiona z ziemi przez któregoś z jadących na koniu Arabów, prawdopodobnie przez samego Al Hawsawiego. Prawdopodobnie usiadła znowu za jego siodłem. Wskazywały na to w oczywisty sposób nie tylko ślady, ale przemawiała też za tym aura emanująca z głowy Hathor, którą trzymałem w prawej dłoni.

Obejrzałem się i dałem Zarasowi sygnał, żeby podjechał do mnie. Zaras podprowadził mojego wielbłąda. Wskoczyłem na siodło i poprowadziłem naszą kohortę po śladach Arabów, którzy skręcili ku północy, zabierając ze sobą Tehuti.

Jechaliśmy po lekko pofałdowanym terenie i kiedy dotarliśmy na szczyt najbliższego wzniesienia, uświadomiłem sobie, że aura bijąca ze złotego klejnociku Tehuti traci swoją moc. Wstrzymałem ostro mojego wielbłąda. Powoli rozejrzałem się po szeroko rozsianych wydmach.

– Co cię niepokoi, panie mój? – zapytał Zaras, podjechawszy bliżej.

– Koniec końców, Tehuti nie pojechała w tę stronę – odparłem pewnym siebie głosem. – Szakał nas oszukał.

– To niemożliwe, Taito. Ja też widziałem ślady jej stóp. Nie mogło być żadnych wątpliwości – powiedział prowokującym tonem Zaras.

– Czasami kłamstwo jest oczywiste dla oka, podczas gdy prawda pozostaje ukryta – odpowiedziałem mu, zawracając wielbłąda.

– Nie rozumiem, panie mój.

– Wiem o tym dobrze, Zarasie. Jest mnóstwo rzeczy, których nigdy nie zdołasz pojąć. Nie będę więc tracił ani chwili na próby wyjaśnienia ci tego. – Było to nieładne z mojej strony, ale musiałem przerzucić na kogoś moją frustrację.

Usłyszałem stłumione pomruki i narzekania ludzi, gdy uświadomili sobie, że muszą zawrócić i pojechać za mną. Zaras uciszył ich jednym warknięciem.

Dojechałem do miejsca, w którym zgubiłem ślady gołych stóp Tehuti, ponieważ Al Hawsawi posadził ją znowu w siodle. Zeskoczyłem na ziemię i rzuciłem cugle mojego wielbłąda jednemu z ludzi, żeby go potrzymał.

Byłem pewien, że jest coś, co przeoczyłem, ale nadal mi to uciekało.

Podszedłem do miejsca, w którym dwie grupy Beduinów się rozdzieliły, i dokładnie przyjrzałem się ziemi. Zastanawiałem się, czy nie ma jakichś śladów wskazujących na odwrotny kierunek. Wyglądało na to, że nie. Po rozdzieleniu się obie grupy trzymały się prostej linii i żaden z Arabów nie zawrócił.

Mimo wszystko wiedziałem, że szukam odpowiedzi na jakąś anomalię, tyle że nie umiałem jej zidentyfikować.

– Musiała zawrócić – szepnąłem do siebie. – Nie kontynuowała jazdy z tamtą grupą, więc musiała się cofnąć.

Spróbowałem zastanowić się jeszcze raz. Dlaczego użyłem tego zwrotu, dlaczego uważałem, że „musiała się cofnąć”? W tym kontekście był on nie na miejscu, a ja zazwyczaj bezbłędnie posługuję się językiem.

– Przecież ludzie nie chodzą tyłem – powiedziałem głośno. Poczulem, że jestem bardzo blisko rozwiązania zagadki. – Ale jeśli człowiek chce się cofnąć, to albo zawraca, albo idzie tyłem i... – Nie dokończyłem zdania. To było to! Znalazłem odpowiedź!

Pobiegłem do miejsca, gdzie kończyły się ślady nagich stóp Tehuti.

Ponieważ teraz wiedziałem, czego szukać, znalazłem to natychmiast. Obok jej śladów widać było odciski męskich stóp. Wydawało się, że kierują się w tę samą stronę, ku północy, jak wszystkie inne w tej grupie. Jednakże teraz odnalazłem subtelne różnice.

Te dziwne męskie ślady zaczynały się tam, gdzie kończyły się ślady Tehuti. Były na wierzchu, na wszystkich innych śladach.

Ten, kto je zostawił, niósł spory ciężar. Co ciekawe, przy każdym kroku pięta jego sandałów odrzucała drobną smużkę piasku do tyłu, podczas gdy należało oczekiwać, że to czubki jego sandałów będą odrzucać odrobinę piasku do przodu.

– Te ślady zostawił sam Szakał – powiedziałem głośno. Domyśliłem się tego, wyobrażając sobie, niemal widząc, jak to się odbyło. – Najpierw postawił Tehuti na ziemi, w miejscu, w którym banda się rozdzieliła. Zmusił ją, żeby ruszyła do przodu przed jego koniem, zgodnie z kierunkiem śladów pozostawionych przez grupę jadącą na północ. Gdy zrobiła sto dwadzieścia kroków, zeskoczył na ziemię. Posłał swojego konia z oddziałem udającym się ku północy, a potem wziął dziewczynę na ręce i poniósł ją z powrotem do miejsca, w którym czekała na niego pierwsza grupa, z tym że pokonał tę drogę tyłem, dźwigając ją na ramieniu. Z pierwszą grupą pozostał inny koń, który czekał na niego i Tehuti. I na tym koniu odjechał wraz z Tehuti na południe, licząc na to, że będziemy ścigać grupę północną. Wszystko było diabelnie skomplikowane i mylące. Uśmiechnąłem się ponuro.

– Ale nie dość mylące – powiedziałem głośno, odczuwając zadowolenie.

Zaras i jego ludzie patrzyli na mnie z wielce tajemniczymi minami i zakłopotaniem, które pogłębiło się jeszcze, gdy odwróciłem się plecami do wyraźnych, niemal dotykalnych śladów Tehuti, i poprowadziłem ich z powrotem do miejsca, gdzie dwie grupy Beduinów się rozdzieliły.

Wyruszając w pościg za mniejszą grupą, która udała się ku południowi, spodziewałem się, że Zaras lub któryś z jego ludzi zaprotestuje, i byłem trochę rozczarowany, że żaden z nich nie zdobył się na odwagę, żeby podważyć moją decyzję. Z każdą milą, którą pokonałem, prowadząc ich na południe, rosło ciepło emanujące ze złotej głowy bogini, którą ścisnąłem w rękę.

Domyślałem się, że Tehuti musi teraz bardzo cierpieć. W chwili gdy została porwana przez Szakala, miała na sobie tylko cienką bawełnianą tunikę. Mogła ona jedynie w nieznacznym stopniu złagodzić ucisk drewnianego siodła czy osłonić ją przed słonecznym żarem. Widziałem krew, która ciekła z jej zranionej stopy, gdy zmuszono ją, żeby szła na piechotę. Stopy egipskiej księżniczki są delikatniejsze niż stopy młodych wieśniaczek.

Jedynym pocieszeniem było dla mnie przekonanie, że Szakal nigdy nie pozwoli sobie ani żadnemu ze swych ludzi dokonać gwałtu na jej ciele, które ledwie przekroczyło próg dojrzałości. Była zbyt cenna w dziewiczym stanie. Z pewnością był człowiekiem wystarczająco byстрыm, by zdawać sobie sprawę, że za cenę okupu za nią mógłby kupić dziesięć tysięcy ślicznych młodych niewolnic. Mimo to kusiło mnie mocno, żeby zwiększyć tempo pościgu i wycisnąć z wielbłądów ile się da po to, by oszczędzić jej choćby jedną godzinę dodatkowych cierpień.

Powstrzymywał mnie przed tym zdrowy rozsądek. Wiedziałem, że Szakal może mieć pod ręką więcej rozpaczliwych sztuczek i że muszę mieć w zapasie coś, co mógłbym im przeciwstawić. Utrzymywałem wielbłądy w swobodnym truchcie, ale nie zatrzymywaliśmy się już, żeby się napić czy odpocząć. Jechaliśmy przez cały ranek.

Godzinę po tym, jak słońce minęło południowy zenit, zaczęliśmy piąć się w górę zbocza prowadzącego na kolejny

grzbiet zbitego piaskowca. Gdy dotarliśmy na szczyt, rozejrzałem się po leżącym w dole zagłębieniu, rozciągającym się na szerokość wielu mil. Była to dolina gigantycznych naturalnych rzeźb uformowanych przez wiejące tu od wieków wiatry. Zwały i wieże skamieniałej czerwonej skały sięgały swymi głowami tak wysoko, że zdawały się muskać brzuch bladoniebieskiego nieba, ale ich nadgryzione przez wiatr podstawy zamieniły się w smukłe kolumny, na których kołysały się masywne głowice.

Moje oczy były najstarsze w całym oddziale, lecz jak zwykle dowiodły, że są najostrzejsze. Jako pierwszy dostrzegłem uciekinierów. Nawet gdy wskazałem ich Zarasowi i innym ludziom, nie byli w stanie dojrzeć grupki ludzi ukrytej w cieniu u podstawy jednego z gigantycznych skalnych monolitów. Usprawiedliwiało ich to, że rozgrzane powietrze podnoszące się ze spieczonych od słońca skał było rozedrgane i tworzyło miraż, zakłócając rzeczywisty obraz.

Chwilę potem promień światła słonecznego odbił się od ostrza lub grotu włóczni i ten błysk natychmiast przyciągnął ich uwagę. Za moimi plecami ozwały się triumfalne okrzyki i krwiożercze zawołania bitewne ludzi z naszej kohorty, jednak wiedziałem, że najgorsze jest jeszcze przed nami. Staliśmy naprzeciwko zdesperowanych ludzi i Tehuti znalazła się w większym zagrożeniu niż kiedykolwiek wcześniej od czasu porwania jej przez Szakala.

Energicznym ruchem ręki uciszyłem ich i poprowadziłem z powrotem za krawędź grzbietu. Pozostawiłem tylko godnego zaufania podoficera i jego dwóch ludzi, żeby obserwowali Beduinów. Gdy tylko skryliśmy się za linią horyzontu i nie można było nas dostrzec na tle nieba, pozwoliłem pozostałym ludziom zeskoczyć z siodeł, żeby odpoczęli i przygotowali broń do walki.

Z tłumoka na grzbiecie mojego wielbłąda wyjąłem bojowy łuk w skórzanym pokrowcu i kołczan ze strzałami. Wziąłem je w rękę i kiwnąłem na Zarasa, żeby ruszył za mną. Usiadłem na głazie piaskowcowym, dając Zarasowi znak, żeby usiadł koło mnie.

– Wszystkie ich konie są wykończone. Oni nie mogą już uciekać. Szakał wybrał ten teren, żeby zająć na nim pozycję obronną – oznajmiłem, a potem zacząłem wyjaśniać dokładnie Zarasowi, co ma robić, jeśli zamierzamy odbić Tehuti ze szponów bandyty w taki sposób, by nie poniosła żadnej szkody. Skończywszy, poleciłem mu powtórzyć moje instrukcje, aby uniknąć nieporozumień.

W trakcie rozmowy zamocowałem na łuku nową cięciwę. Potem wybrałem z kołczana trzy strzały, które na pierwszy rzut oka wydawały się doskonałe. Zacząłem kręcić nimi między dłońmi, żeby wykryć najmniejsze skrzywienie. Gdy przeszły moją ścisłą kontrolę, wetknąłem je pod pas. Następnie umieściłem odrzucone strzały z powrotem w kołczanie. Nie wyglądało na to, żebym miał szansę wystrzelić więcej niż jedną strzałę, a do tego musiałbym posłać ją z bardzo dużej odległości. Gdyby nadarzyła się następna okazja, nie miałbym nawet jednej chwili na wybieranie strzał.

– Jestem gotowy, Zarasie. – Podniosłem się i klepnąłem go po ramieniu. – A ty?

Zaras zerwał się na nogi.

– Tak, Taito! Jestem gotowy umrzeć dla księżniczki. – Deklaracja zabrzmiała może nieco melodramatycznie, ale poruszyła mnie szczerść Zarasa. Młodzieńcza miłość odznacza się szczególną gotowością do poświęceń.

– Myślę, że zarówno księżniczka Tehuti, jak i ja wolelibyśmy, żebyś pozostał przy życiu – zauważyłem oschłym tonem, a potem poprowadziłem go z powrotem do czekającej kohorty.

Podczas gdy Zaras wydawał ludziom rozkazy, ja wziąłem od jednego z gwardzistów jego zbroję z krokodylej skóry i hełm z brązu, po czym włożyłem je na siebie, żeby ukryć moje charakterystyczne szaty i długie, powiewające włosy. Nie chciałem wyróżniać się spośród moich ludzi.

Dokończywszy przygotowań, wsiedliśmy znowu na wielbłądy i po ponownym przekroczeniu grzbietu wzniesienia zaczęliśmy schodzić w dolinę monolitów piaskowcowych, prowadząc

wielbłądy statecznym krokiem w kierunku miejsca, w którym czekał na nas Szakał wraz ze swymi ludźmi.

Skorzystałem z ostatniej okazji, żeby poprawić skórzaną osłonę na lewym przedramieniu, zabezpieczającą przed tnącym działaniem cięciwy. Rana, którą tak niedawno sobie zadałem, była ciągle otwarta i sączyła się z niej krew.

Tym razem kohortę prowadził Zaras. Nasi ludzie jechali w zwartym szyku dwadzieścia kroków za nim. Nie zajmowałem już miejsca na czele, u boku Zarasa.

Nie zwracając na siebie uwagi dzięki pożyczonej zbroi, zająłem pozycję w drugim rzędzie, na skraju lewej flanki. Ukryłem mój łuk pod suknem podłożonym pod siodło wielbłąda, gdzie wróg nie mógł go dostrzec, zanim go nie uniosę.

Zaras jechał w sporej odległości przed naszą formacją, dzięki czemu mógł skupić na sobie uwagę Szakała. Odwrócił swój miecz, trzymając go rękojeścią do góry. Był to przyjęty znak rozejmu.

Byłem pewien, że Szakał będzie oczekiwał tego zaproszenia do rokowań, ponieważ znaleźliśmy się w sytuacji patowej. Nie mógł uciekać. Wszystkie jego konie były wykończone, a ludzie skrajnie wyczerpani.

Jednak nie mogliśmy przypuścić szturm, żeby się z nim rozprawić, gdy trzymał ciągle nóż na gardle Tehuti.

Musiałem postawić na to, że Zaras podprowadzi mnie na odległość, z której będę mógł oddać pewny strzał z łuku do Szakała, tak by nie sprowokować go do morderczej reakcji. W miarę przybliżania się mogłem coraz lepiej zbadać teren.

Na podstawie widocznych śladów ustaliłem, że oddział Al Hawsawiego stopniał z powodu rozdzielania się i trudnych pustynnych warunków do piętnastu niedobitków. Za to ja miałem pięćdziesięciu sześciu gwardzistów, wliczając w to Zarasa.

Wszyscy byliśmy w miarę wypoczęci i gotowi do bitwy. Gdyby wywiązała się walka do upadłego, mogła się skończyć tylko

w jeden sposób. Padliby w niej wszyscy porywacze, ale wtedy zginęłaby również księżniczka Tehuti.

Szakał troskliwie wybrał swoją ostatnią pozycję pod wysokim nawisem bloku piaskowcowego. Skała zabezpieczała go z obu stron, ale dawała mu też dodatkową przewagę. Nakrycie z piaskowca, które wystawało nad nim, ograniczało zasięg nawet tak wielkiego łuku bojowego jak mój. Nie mogłem przymierzyć się do strzału z dystansu i posłać strzały wystarczająco wysoko, żeby śmiertelnie przeszyć Szakała, ponieważ moja strzała najpierw uderzyłaby w skalny blok nad jego głową. Musiałem znaleźć się bliżej i posłać ją bardziej płaskim torem.

Jednak czerwona skała ograniczała Szakała niczym ściana więzienia. Odcinała mu jakąkolwiek drogę odwrotu. Musiał podjąć z nami negocjacje, których przedmiotem było życie jego ludzi i jego samego za życie księżniczki.

Prowadzeni przez Zarasa jechaliśmy powoli w stronę miejsca, w którym Szakał czekał na nas w zasadzce.

Teraz widziałem już wyraźnie, że wierzchowce Beduinów padły ofiarą pragnienia i trudnych warunków. Arabowie przeciągnęli trupy kilku ostatnich koni i utworzyli z nich półkole zwrócone na zewnątrz, w naszą stronę. Ich niedobitki przykucnęły za tą prowizoryczną i dramatycznie nieodpowiednią barykadą. Widać było tylko czubki ich głów, groty włóczni i klingi zakrzywionych bułatów, którymi próbowali nas odstraszyć.

Gdy zbliżyliśmy się do nich jeszcze bardziej, zobaczyłem, że co najmniej trzech Arabów trzyma w rękach łuki z nałożonymi strzałami, gotowymi do wystrzelenia w naszą stronę. Ale Beduini nie są dobrymi łucznikami. Ich łuki są słabe i mają zasięg dwa razy mniejszy niż potężna zakrzywiona broń, jaką miałem, wsuniętą pod sukno pod moim kolanem.

Teraz wszystko zależało od tego, jak blisko Zaras podprowadzi mnie do tych kiepskich fortyfikacji, zanim Al Hawsawi krzyknie do nas, żebyśmy się zatrzymali. Z każdym

krokiem mojego wielbłąda starałem się ocenić kurczący się między nami dystans.

Dotarliśmy do krytycznego punktu, z którego mogłem już obniżyć lot mojej strzały i mieć pewność, że dosięgnę każdego z Arabów bez obawy, że uderzy ona w wiszące nad ich głowami kamienne sklepienie. Mruknałem z uczuciem ulgi. Od tego miejsca każdy krok mojego wielbłąda stawiał mnie w coraz mocniejszym położeniu.

Jadący przede mną gwardzista posłużył mi za osłonę, gdy wyciągnąłem rękę i chwyciłem za łuk bojowy. Potem, nie spoglądając w dół, wolną ręką wybrałem jedną ze strzał tkwiących za moim pasem. Położyłem ją na górnej części uchwytu łuku i przytrzymałem palcem wskazującym lewej dłoni.

Wielbłąd przybliżył mnie o kolejnych pięć powolnych i statecznych kroków, gdy ze środka grupy Beduinów podniósł się jeden z nich i stanął twarzą do nas. Odrzucił kaptur burnusa, żeby odsłonić twarz, i zawołał do nas po arabsku:

– Stać! Ani kroku dalej! – Echo odbiło się od piaskowcowego sklepienia nad jego głową.

Rozpoznałem w nim natychmiast czarnobrodego złoczyńcę, którego widziałem trzy dni wcześniej, jak przerzucił Tehuti przez swoje siodło, a potem posłał mi zwycięskie spojrzenie pod uniesionym ramieniem. Natychmiast to potwierdził, wołając znowu:

– Jestem Al Hawsawi, wódz walczących Beduinów. Wszyscy boją się mojej potęgi.

Pochylił się i zza trupa swojego konia podniósł Tehuti i postawił ją na nogach.

Trzymał ją w takiej pozycji, żebyśmy mogli dojrzeć i rozpoznać jej twarz. Lewą ręką ścisnął ją od tyłu za gardło. Dławiła się tak mocno, że nawet nie próbowała stawiać oporu czy wołać. W prawej ręce trzymał obnażony miecz. Osłonięty ciałem Tehuti, wpatrywał się w nas znad jej ramienia.

Szakał zerwał z niej wszelkie skrawki jej odzienia. Domyślałem się, że zrobił to, żeby ją upokorzyć, a ponadto

zademonstrować, jak całkowicie nad nią panuje. Jej członki wydawały się smukłe i dziecięce w porównaniu z potężnym, owłosionym ramieniem, które zamknął wokół jej szyi. Skóra na jej nagim ciele mieniła się niczym macica perłowa. Zdjęta przerażeniem otworzyła oczy tak szeroko, że zdawały się wypełniać twarz.

Zaras zeskoczył z grzbietu wielbłąda i trzymając ciągle miecz rękojeścią do góry, ruszył powoli w kierunku miejsca, w którym bandyta przytrzymał Tehuti. Uniósł przyłbicę hełmu, odsłaniając twarz dokładnie tak samo, jak to zrobił Al Hawsawi.

Zauważyłem, że gdy Tehuti rozpoznała Zarasa, strach zniknął z jej oczu, a w jego miejsce pojawił się ostry błysk odwagi i nadziei. Poruszyła wargami, wypowiadając jego imię, ale dźwięk został zduszony przez grube ramię wokół jej gardła.

Byłem z niej dumny tak samo, jak niegdyś byłem dumny z jej matki. Ale odsunąłem na bok wszystkie te rozprasające myśli i wspomnienia. Mierzyłem oczami odległość, obliczając w myśli lot i odchylenie strzały.

Poczułem lekki wietrzyk na lewym ramieniu, ale zauważyłem, że Al Hawsawi jest przed nim osłonięty przez wielką płytę piaskowca. Tylko mistrz łuku mógł być pewien, że go trafi, biorąc pod uwagę najpierw odchylenie strzały w prawo pod wpływem wiatru, a potem skrawek przestrzeni ze stojącym powietrzem, gdy będzie ona pokonywać ostatnie kilka łokci przed uderzeniem w cel.

Szakał zaczynał popadać we wściekłość i rzucać obelgi pod adresem Zarasa, ostrzegając go, żeby się zatrzymał i nie podchodził bliżej. Trzymał swój krótki miecz w prawej ręce i przyciskał czubek jego ostrza z brązu do miękkiej wypukłości podbródka Tehuti.

– Nie ruszaj się, bo inaczej zabiję tę sukę i posiekam na kawałki jej cuchnące i zarażone przyrodzenie! – wrzasnął do Zarasa.

– Nie ma powodu, żeby ktoś musiał tu stracić życie! – odkrzyknął mu Zaras uspokajającym i pojednawczym tonem. –

Możemy przecież porozmawiać. – Nie zatrzymał się jednak i podchodził nadal. Dźgnąłem mojego wielbłąda, żeby przesunął się do przodu. Zaras zyskiwał dla mnie cenne kawałki terenu. Z każdym krokiem wielbłąda moja strzała stawała się coraz groźniejsza.

A co ważniejsze, Zaras zmuszał Al Hawsawiego, żeby obrócił się lekko twarzą w jego kierunku. Tym samym powiększał dla mnie pole celu.

Teraz potrzebowałem tylko, żeby odwrócił uwagę Szakala na czas, jaki był mi potrzebny do naciągnięcia łuku i wypuszczenia strzały oraz na jej lot do celu.

Nie poruszając głową, wydałem odgłos imitujący krzyk polującego sokoła, kiedy zaczyna pikować na zdobycz. Moim znakiem jest raniony sokół. Wyćwiczyłem się w wydawaniu jego krzyku. Nawet najlepiej wyszkolony sokolnik nie jest w stanie odróżnić mojej imitacji od dźwięku wydawanego przez prawdziwego ptaka. Skalne ściany wzmocniły krzyk i odbiły go echem, tak że poniósł się wyraźnie ponad obelgami Al Hawsawiego.

Wszyscy Beduini są zamięłowanymi sokolnikami, toteż Szakal nie potrafił się oprzeć, usłyszawszy moje wezwanie. Uciął nagle potok obraźliwych słów i spojrzał w górę, sądząc, że odgłos dobiega stamtąd. Odwrócił swoją uwagę tylko na chwilę, ale tego właśnie potrzebowałem.

Uniosłem łuk razem z nałożoną na niego strzałą. Pasowały do siebie niczym ciała niebiańskich kochanków. Naciągnąłem cięciwę i gdy dotknęła moich ust, zwolniłem chwyt. Strzała poszybowała w górę, osiągnęła swój zenit, przemknęła pod skalnym nawisem nad głową Szakala, nie dotykając go, i zaczęła opadać.

Odnosiłem wrażenie, że porusza się z dostojnym wdziękiem, ale zdawałem sobie sprawę, że może ją doścignąć tylko oko tak bystre jak moje.

Chwilę potem zobaczyłem, że oczy Szakala obracają się w oczodołach. Rzecz nie do wiary, ale dojrzał moją strzałę lub

może wyczuł niczym dziki zwierz, że opada ku niemu. Jego głowa szarpnęła się lekko w górę, a tułów zaczął się obracać. Strzała trafiła go w górną część klatki piersiowej, ale nieco z boku, na szerokość dłoni. To drobne drgnięcie wystarczyło, aby cel zszedł lekko z linii strzału. Wiedziałem, że nie przeszła mu serca.

Mimo to ciężar i prędkość strzały sprawiły, że uderzenie odrzuciło go do tyłu. Instynktownie wyciągnął ręce na boki, próbując odzyskać równowagę, jednak nogi ugięły się pod nim i upadł na plecy, rozciągając się na skalistym podłożu.

Padając, pociągnął za sobą Tehuti i zakręcił nią jak frygą. Zobaczyłem, że dziewczyna wygina się w locie i ląduje na ziemi z kocią zręcznością. Zerwała się znowu na nogi i stanęła, naga i śliczna, oszołomiona na moment nagłym zamieszaniem.

Zaras czekał w gotowości na krzyk sokoła, który uzgodniliśmy wcześniej. Usłyszawszy go, rzucił się w kierunku Tehuti.

Poruszał się zwinnie jak polujący gepard. Żeby dotrzeć do niej, musiał przebiec koło rozciągniętego ciała Szakala. Zobaczył strzałę w jego piersi i pomyślał, że go zabiłem. Nie zwracał już na niego uwagi. Dobiegł do Tehuti, zanim którykolwiek z Beduinów zdał sobie sprawę, co się dzieje. Chwycił ją i pociągnął za sobą, osłaniając swoim potężnym ciałem. Podrzucił miecz, który trzymał rękojeścią do góry, a potem chwycił go w locie drugą ręką za rękojeść i stanął w pozycji obronnej, gotów przeciwstawić się nacierającym na niego Arabom.

– Naprzód! – Popchnąłem naszych ludzi do ataku, żeby osłonili tamtych dwoje. – Brać ich, chłopaki! – Pobudziłem mojego wielbłąda do galopu ciężkiego, a jednocześnie założyłem następną strzałę. Zobaczyłem, że jeden z arabskich łuczników przystaje w biegu i unosi łuk, mierząc do Zarasa.

Posłałem moją strzałę chwilę wcześniej, zanim Arab zdążył wypuścić swoją. Trafiłem go w gardło na czas, żeby przeszkodzić mu w oddaniu strzału. Jego pocisk poleciał w bok, a on opadł na kolana, ściskając trzon wystającej mu z szyi strzały, podczas gdy z jego otwartych ust zaczęła tryskać jasnoczerwona krew.

Jeden z jego nieustraszonych kompanów skoczył na Zarasa, unosząc wysoko zakrzywiony bułat i wymierzył cios w jego głowę. Zaras odbił klingę Araba w bok, a potem, wykorzystując rozpęd przeciwnika, odciął mu w łokciu rękę, w której trzymał miecz. Arab wrzasnął i zatoczył się do tyłu, ściskając kikut. Potknął się o klęczącego człowieka ze strzałą w szyi. Zwalili się obaj na ziemię, przeszkadzając w ataku swoim kompanom.

Wypuściłem trzecią strzałę i obaliłem następnego beduińskiego bandytę. Zaras odwrócił głowę i posłał mi pełen uznania uśmiech. Trudno uwierzyć, ale uświadomiłem sobie, że ten młody głupek jest rzeczywiście zadowolony z siebie.

– Wracaj tu! – krzyknąłem do niego. – Zaprowadź Tehuti w bezpieczne miejsce.

Zaras uniósł ją, jakby była małym dzieckiem, i przewiesił sobie przez lewe ramię.

– Postaw mnie na ziemi! – wrzasnęła Tehuti, przebierając dziko nogami, żeby się uwolnić. Zaras zignorował jej protesty i zaczął się wycofywać w naszą stronę, podczas gdy my biegliśmy jak najszybciej do przodu, żeby osłonić jego odwrót.

Al Hawsawi leżał ciągle tam, gdzie obaliła go moja strzała. Wszyscy przenieśliśmy uwagę z niego na atakujących Beduinów. Wina za to, co się teraz stało, obciążała jednakowo mnie, jak i pozostałych. Wiedziałem, że Szakał zdołał się uchylić od strzału w serce i że prawdopodobnie ciągle był żywy. Ale sądziłem, że co najmniej go unieruchomiłem i że nie stanowi już zagrożenia dla nikogo z nas. Leżał bezwładnie twarzą do ziemi z rozrzuconymi na boki ramionami i nogami, przyciskając swój miecz, który utkwiał pod nim.

Aby dosięgnąć Tehuti, Zaras musiał przebiec koło niego. Cofając się teraz, znów się do niego przybliżył. Cała jego uwaga skupiona była na Arabach, którzy mu zagrażali.

Nagle Szakał przekręcił się na plecy i uniósł do pozycji siedzącej. Trzymał miecz w prawej ręce, jednak nie miał siły, żeby się podnieść.

– Strzeż się, Zaras! – krzyknąłem do niego, szukając na ślepo następnej strzały, ale przeszkadzała mi w tym zamknięta pokrywa kołczana. – Za tobą, Zaras! Uważaj na Szakala!

Być może mój głos utonął w bitewnym tumultie lub może Zaras nie zrozumiał mojego ostrzeżenia. Zrobił następny krok do tyłu i znalazł się w zasięgu klingi Hawsawiego.

Szakał pochylił się ku niemu, wydając bezładny, rozpaczliwy okrzyk. Zadał pchnięcie od dołu i od tyłu. Ciosowi brakowało siły, ale czub miecza Hawsawiego był wystarczająco ostry, żeby przedziurawić skórzany dół tuniki Zarasa i zagłębić się między jego silnymi, młodymi nogami.

Al Hawsawi zrobił słaby ruch, żeby uwolnić klingę z uścisku mięśni Zarasa, ale nie miał dość siły, żeby to zrobić. Przewrócił się do tyłu i podparł na łokciu. Zaczął chrapliwie wciągać powietrze do płuc i w takt jego oddechów zaczął się również kołysać trzon mojej strzały wystający z jego piersi, a jednocześnie z kącika ust spłynęła mu strużka krwi.

Całe ciało Zarasa wygięło się, a potem zamarło w bezruchu. Miecz wysunął mu się z prawej ręki i upadł koło stóp. Tehuti wywinęła się z chwytu jego lewej ręki i wylądowała na nogach.

– Biegnij do Taity – szepnął do niej, starając się zapanować nad bólem. – Ja umieram. Taita cię obroni. – Zgiął się i ścisnął rękami za podbrzusze, czując ostrze miecza głęboko w swoim wnętrzu.

Tehuti zlekceważyła jego polecenie. Stała obok niego bez ruchu. Odniosłem wrażenie, że w pierwszym momencie nie była w stanie pojąć, co się wydarzyło, dopiero po chwili spojrzała w dół i zobaczyła, że spod tuniki Zarasa wystaje rękojeść miecza Szakala, a spomiędzy jego nóg kapie krew.

Zaras osunął się na kolana. Pochylił głowę, dotykając czołem ziemi.

Twarz stojącej nad nim Tehuti wykrzywiła się w przypływie gniewu.

– Zabiłeś Zarasa! – syknęła do Al Hawsawiego. – Zabiłeś mężczyznę mojego życia! – Wydała głośny krzyk i pochyliła się,

żeby chwycić leżący na ziemi miecz Zarasa. Odwróciła się do Szakala z siłą, która nie pozostawała w żadnej proporcji do jej delikatnego ciała, wkładając w ten ruch furję zupełnie niepasującą do jej kobiecej delikatności. Wbiła ostrze miecza w gardło Szakala.

Z przeciętej tchawicy dobył się świszczący oddech. Uchwycił obiema rękami gołe ostrze, jakby chciał powstrzymać Tehuti przed ugodzeniem go po raz drugi. Z szaleńczą siłą wyrwała miecz z jego gardła. Prześlizgując się między jego zaciśniętymi palcami, ostra jak brzytwa klinga poprzecinała je do kości.

Tehuti pochyliła się nad nim i uderzyła znowu, a potem jeszcze kilka razy, zagłębiając miecz w jego piersi, między żebra i w trzewiach.

Moi ludzie przemknęli obok niej w pościgu za niedobitkami Beduinów, pochylając się z sodeł i przesywając ich długimi włóczniami.

Zostawiłem ich samym sobie. Wstrzymałem mojego wielbłąda koło Tehuti i zsunąłem się z siodła. Otoczyłem ją ramionami i trzymałem dotąd, aż się uspokoiła, a potem wyjąłem miecz z jej rąk.

– Zabiłaś go z dziesięć razy – upomniałem ją ostro. – Teraz twojej pomocy potrzebuje Zaras. – Wiedziałem, że na dźwięk jego imienia dziewczyna powściągnie swoją furję i pozbiera się na nowo.

Wolałem nie poruszać Zarasa, bo często w ten sposób pogarsza się stan takiego zranienia, jakie on otrzymał. Poleciałem ludziom wznieść nad nim prowizoryczną osłonę w miejscu, w którym leżał.

Podczas gdy żołnierze zajmowali się daszkiem, poleciałem podoficerowi gwardzistów zebrać najczystsze i najmniej poplamione krwią szaty z ciał Arabów i przynieść je do mnie. Użyłem ich, żeby osłonić Tehuti przed promieniami słońca i przed spojrzzeniami ludzi, którzy wpatrywali się w nią jak urzeczeni.

Następnie kazałem odciągnąć zdechłe konie Arabów i trupy Szakala oraz jego ludzi na milę w kierunku, w którym wiał wiatr, i porzucić je na pustyni. W tym upale zaczną gnić za godzinę. Po raz ostatni popatrzyłem za Szakalem, którego nagie ciało ciągnął za linkę obwiązaną wokół kostek u jego nóg wielbłąd. Głowa podskakiwała mu na kamienistym podłożu, a ręce, wyciągnięte w moim kierunku, trzepotały jakby na pożegnanie.

Miałem przy sobie torbę z medykamentami oraz nieduży zapas ziół i leków. Towarzyszą mi zawsze i wszędzie, jakby były częścią mojego ciała. Ale zanim zacząłem badać ranę Zarasa, zdałem sobie sprawę, że są nieodpowiednie do czekającego mnie zadania.

Nie miałem żadnego przeszkolonego pomocnika. Towarzyszący mi gwardziści byli bardzo skuteczni, gdy chodziło

o odbieranie ludziom życia, ale okazywali bezdenną ignorancję, gdy trzeba je było ratować albo przychodzić mu z pomocą.

Jedyną osobą, której mogłem ufać, była Tehuti. Wcześniej pomagała mi leczyć ranne konie i inne zwierzęta domowe. Jednak ciągle była dla mnie dzieckiem. Nie chciałem, żeby patrzyła, jak Zaras umiera, co było raczej nieuchronne. Ale nie miałem wyboru.

– Będziesz musiała mi pomóc go opatrzyć, księżniczko – powiedziałem, przygotowując łyk wywaru z czerwonego szepenu, który miał dość mocy, żeby oszołomić wołu.

– Oczywiście – odparła spokojnie, ale z tak wielkim zdecydowaniem, że siłą rzeczy przypomniałem sobie jej matkę. – Powiedz mi tylko, co mam robić, a ja to wykonam.

– Najpierw dopilnuj, żeby wypił to wszystko. – Wręczyłem jej miedziany kubek wypełniony po brzegi narkotykiem. Tehuti położyła sobie na kolanach głowę Zarasa. Przyłożyła naczynie do jego ust i ścisnęła mu nozdrza, zmuszając go w ten sposób do przełknięcia płynu. Tymczasem ja wyłożyłem moje chirurgiczne narzędzia.

Gdy źrenice oczu Zarasa rozszerzyły się i ogarnęło go odrętwienie wywołane przez narkotyk, zdjęliśmy z niego zbroję i dół tuniki. Potem nagiego jak noworodka położyliśmy go na brzuchu na łożu z derek kładzionych pod siodła. Ja oczywiście widziałem już wcześniej nagiego Zarasa, ale jak zawsze byłem pod wrażeniem jego wspaniałej budowy. Poczulem głęboki przypływ żalu, że niebawem będziemy musieli to arcydzieło natury powierzyć ziemi.

Rozłożyłem jego nogi tak, żebym mógł dosięgnąć miejsca, w którym weszło ostrze miecza Szakala. Oczywiście klinga ciągle zamykała ranę. Znam innych, którzy twierdzą, że są chirurgami, a którzy wyrwaliby ją beztrąsko lub raczej bezmyślnie, pieczętując w tym momencie los pacjenta.

Badając kąt i głębokość, na jaką weszło ostrze, zauważyłem, że pchnięcie miecza całkowicie ominęło jego męskie narządy. Stwierdziłem ten stan rzeczy z mieszanymi uczuciami.

Ucieszyłem się tym w duchu z uwagi na Zarasa i Tehuti. Jednak spoglądając na sprawę z perspektywy własnych doświadczeń, nie byłem już takim optymistą. Być może byłoby lepiej, gdyby te podstawowe organy Zarasa zostały unieszkodliwione przez tnącą krawędź miecza. W takim przypadku za jednym zamachem zostałyby usuniętych wiele problemów, które zgodnie z moimi przewidywaniami majaczyły przede mną, a także przed nimi. Ale teraz odłożyłem te niegodne myśli na bok i skupiłem całą uwagę na wyjęciu klingi.

Przeszyła jego lewy pośladek. Jeśli następnie napotkała na swej drodze spojenie grubych kości miednicy, to mogła nie wejść głębiej.

Niestety, tak się nie stało. Miałem pewność, że znalazła drogę, po której weszła do chronionej przez kości jamy brzusznej, gdzie znajdowały się wnętrzności Zarasa. Miałem okazję przeprowadzać sekcję i badać setki ludzkich zwłok. Wiem, jaką drogę odbywa przez te mięsiste przewody spożywane przez nas jedzenie, aby ulec w końcu wydaleniemu przez otwór umieszczony między naszymi pośladkami.

Byłem tym poważnie zaniepokojony. Gdyby miecz Szakala przedziurawił któryś z tych przewodów w brzuchu Zarasa, jego zawartość mogła wycieknąć do jamy brzusznej. Ta substancja, którą zwiemy potocznie łajnem, zawiera szkodliwe wydzieliny ludzkie, które przydają jej charakterystycznego niemiłego zapachu. Jak na nieszczęście, wydzieliny te są również trujące i jeśli zostaną uwolnione we wnętrzu ciała, spowodują jego zakażenie. Nieuchronnym tego skutkiem jest śmierć.

Miecz musiał wyjść na zewnątrz za jednym pociągnięciem. Wezwałem sześciu naszych najsilniejszych ludzi, żeby przytrzymali Zarasa, bo choć podałem mu potężny opiat, z powodu bólu ten usypiający środek mógł się okazać nieskuteczny.

Tehuti usiadła przy nim i oparła sobie na kolanach jego głowę. Zaczęła bawić się jego włosami i nucić mu niczym matka swemu dziecku. Przytrzymujący go ludzie zajęli miejsca

i unieruchomili mu kończyny, przyciskając je do dołu. Uklęknąłem między jego nogami i obiema rękami chwyciłem rękojeść miecza.

– Trzymać go! – rzuciłem rozkazująco, a potem odchyliłem się do tyłu i wytężyłem wszystkie siły, starając się utrzymać klingę wzdłuż kanału, jakim weszła, żeby uniknąć dalszych uszkodzeń jego mięśni i trzewi.

Całe ciało Zarasa zeszywniało. Wszystkie jego mięśnie nabrały twardości marmuru. Zaczął wyć i ryczeć z bólu niczym ranny bawół. Sześciu silnych ludzi wysiłało się, żeby go utrzymać. Przez długą chwilę nic się nie działo. Klinga z brązu zakleszczyła się niczym w imadle, utkwiała w środku, przyciśnięta kością miednicy i utrzymywana ssącą siłą ściskającej ją tkanki. Potem to ssące działanie ustąpiło i klinga wysunęła się z rany. Wywinąłem koziołka przez plecy.

Zaras wydał ostatni wstrząsający jęk i pogrążył się w omdleniu. Przyłożyłem do rany poduszczkę z jagnięcej wełny, którą przygotowałem wcześniej, i poleciłem Tehuti:

– Przytrzymaj ją na miejscu, ale przyciśnij całym ciałem i staraj się powstrzymać krwawienie.

Spojrzałem na ludzi, którzy go trzymali.

– Puścić go! – poleciłem. Skupiłem uwagę na mieczu, który miałem w dłoni, i zmierzyłem na oko głębokość, na jaką wszedł.

– Półtorej długości dłoni, pół łokcia – oceniłem pełen obaw, które przewyższały nadzieje. – Głęboko, zbyt głęboko!

Na chwilę uniosłem poduszkę, którą Tehuti przyciskała do rany. Pochyliłem się, żeby się przyjrzeć zranionemu miejscu.

Szczelina miała szerokość moich dwóch złożonych palców. Gdy tylko przestałem ją przyciskać, wypłynął z niej cienki strumyczek krwi. Wyglądała czysto i dobrze. Pochyliłem się nad nią i powąchałem krew. Nie było w niej zapachu fekaliiów.

Poczułem nowy przypływ nadziei. Czy to możliwe, żeby ostra jak brzytwa klinga z brązu nie uszkodziła mu jelit?

Tehuti wpatrywała się we mnie w napięciu.

– Co robisz, Taito?

– Staram się ocenić, jakie mamy szanse.

Przyłożyłem poduszeczkę z jagnięcej wełny z powrotem do rany, żeby zakryć jej wylot, i skropiłem ją destylatem winnym, żeby unieszkodliwić groźne wydzieliny. Potem stanąłem okrakiem nad plecami Zarasa i położyłem dłonie na jego pośladkach. Przemogłem się i je rozchyliłem. Wyrwało mi się ciche westchnienie ulgi. Wszystko było czyste i szczelnie zaciśnięte.

Musiałem przeprowadzić jeszcze jeden test. Położyłem ręce w zagłębieniu jego krzyża i mocno nacisnąłem. Dał się słyszeć odgłos uwalniania gazów z jego kiszek, a potem z jego odbytu trysnęły wodniste odchody i strumyk jasnej krwi. Niemiły zapach sprawił, że Tehuti i ja się skrzywiliśmy.

Teraz miałem już przykrą pewność, że miecz rzeczywiście uszkodził jego wnętrzości. Pogrążyłem się w smutku i beznadziei. Zaras skazany był na śmierć. Żaden chirurg na tym świecie, choćby najzręczniejszy, nie mógł go uratować, nawet ja. Należał już do Seta.

Nie spojrzałem na Tehuti, chociaż czułem na sobie jej wzrok. Byłem bezradny i to uczucie napełniło mnie najgłębszą rozpaczą. Nie jest to stan, z którym mógłbym się kiedykolwiek pogodzić.

– Taito – szepnęła Tehuti. Ciągłe nie byłem w stanie podnieść na nią oczu i przyznać, że jestem bezsilny. – Taito, proszę cię! – powtórzyła nieco głośniejsze. – Przecież możesz uratować mu życie, prawda? Możesz uratować dla mnie Zarasa.

Musiałem jej odpowiedzieć, nie mogłem pozwolić, żeby cierpiała choć chwilę dłużej.

Uniosłem głowę i spojrzałem na nią. Na jej twarzy malowało się cierpienie i smutek, jakich nie widziałem nigdy dotąd, chociaż całymi tuzinami widywałem świeżo owdowiałe kobiety.

Miałem już na końcu języka odpowiedź, która przekreśliłaby wszelkie jej nadzieje, zaprzeczyłem nawet ruchem głowy. Ale nie byłem w stanie wymówić słowa „nie”. Nie mogłem porzucić tych dwojga młodych ludzi.

– Tak! Jestem w stanie uratować go dla ciebie, Tehuti! –
Miałem świadomość, że jest to stwierdzenie okrutne, bez serca.
Najgorsza prawda jest z pewnością lepsza niż fałszywe nadzieje,
ale nie mogłem znieść jej niepokoju i rozpacz.

Zacząłem błagać w duchu dobrych bogów, żeby wybaczyli mi
to moje kłamstwo, i ruszyłem do walki z Setem o duszę Zarasa.

Miałem pewność tylko co do jednego, że muszę działać szybko. Żadne ludzkie ciało nie jest w stanie przeżyć cierpienia przeciągającego się ponad miarę.

Nie dysponowałem żadnymi innymi wskazówkami, do których mógłbym się zastosować. Nie było na tym świecie innego chirurga, który kiedykolwiek ośmielił się udać tam, dokąd szykowałem się zapuścić.

Pozostała mi jedna butelka soku z czerwonego szepenu, która mogła utrzymać Zarasa w stanie omdlenia najwyżej przez godzinę. Musiałbym zużyć ją całą.

Musiałbym otworzyć jamę brzuszną Zarasa i znaleźć miejsce, w którym jego jelita uległy uszkodzeniu. Musiałbym naprawić przecięcia od miecza, zaszywając je. Potem musiałbym wymyć złe wydzieliny, które mogły wyciec z jego jelit do jamy brzusznej.

Na szczęście, podobnie jak my wszyscy, Zaras jadł niewiele od czasu, gdy opuściliśmy Miyah Keiv. Mieliśmy mało jedzenia, więc ściśle racjonowałem nasze zapasy. W jego jelitach nie powinno znajdować się wiele strawionego pokarmu. Miałem napar kory wierzbowej i sok z cedru, jednak było ich za mało, żeby mogły wypłukać trucizny. Najbardziej skuteczny był destylat wina. Miałem przy sobie tylko mały bukłaczek tego specjału. Nalałem cennego płynu do małej pojedynczej miski i razem z Tehuti umyliśmy w nim ręce.

Dawno temu odkryłem, że gorąco redukuje, a może nawet zupełnie likwiduje wydzieliny. Dwaj moi ludzie, zgodnie

z udzielonymi im instrukcjami, postawili na ogniu duży garnek z wodą. Gdy woda zaczęła wściekle wrzeć, zawiesiłem w niej noże chirurgiczne z brązu, igły i nici chirurgiczne ze skręconych jelit baranich.

Wmusiłem do gardła Zarasa kolejną sporą porcję wywaru z czerwonego szepenu, a tymczasem Tehuti obmyła destylatem winnym jego brzuch.

Następnie muskularni gwardziści ponownie przytrzymali Zarasa. Umieściłem między jego zębami poduszkę z podwójnej warstwy skóry, żeby się nie połamały i nie uszkodziły, gdyby w razie przyływu bólu zacisnął mocno szczęki. Wszystko było przygotowane. Nie mogłem znaleźć wymówki dla dalszego odkładania.

Zrobiłem pierwsze długie nacięcie na jego brzuchu, zaczynając od miejsca tuż poniżej pępka i prowadząc je aż do wzgóрка łonowego. Zaras wył przez skórzany knebel i rzucał na boki głową.

Pokazałem Tehuti, jak ma trzymać otwarcie, zaczepiając palcami po obu stronach długiego nacięcia i odciągając na bok obie części. Teraz mogłem już włożyć do jego jamy brzusznej obie dłonie, aż po nadgarstki. Miałem w pamięci drogę, jaką klinga miecza pokonała po wejściu do jego brzucha, i prowadziłem poszukiwania wzdłuż niej.

Niemal od razu znalazłem w śliskim kłębowisku jelit przecięcie o długości mojego małego palca. Wychodziły z niego brzydtko pachnące resztki strawionego jedzenia.

Zaszyłem przecięte miejsce nicią chirurgiczną, posługując się przy robieniu dokładnych, regularnych szwów zakrzywioną igłą z brązu. Potem ująłem ciągliwy, węzowaty kłęb jelit i ścisnąłem w obu dłoniach, żeby się upewnić, że nic nie przecieka. Szew był szczelny, ale pod naciskiem moich dłoni trysnęły brunatne i mętne nieczystości z trzech innych przecięć, ukrytych głębiej w trzewiach.

Zaszyłem szczelnie mniejsze przecięcia, starając się znaleźć delikatną równowagę między szybkością a skutecznością moich

działań. Zauważyłem, że Zaras zaczyna słabnąć pod wpływem ekstremalnych środków, jakie musiałem wobec niego zastosować.

W chwili gdy z zadowoleniem stwierdziłem, że nie przeoczyłem żadnego innego przecięcia od klingi miecza, zarówno Tehuti, jak i ja przyzwyczailiśmy się już do zapachu fekaliiów. Ale przypominały mi one bezustannie, jak ważną sprawą jest wypłukanie z wnętrza jego ciała wszelkich wydzielin, zanim zabiorę się do zamykania otwartej jamy brzusznej. Złe musi być wszystko, co tak okrutnie cuchnie.

Podczas gdy Tehuti ciągle przytrzymywała otwarcie jamy brzusznej, nabrałem pełne usta destylatu winnego i zacząłem pryskać nim przez zaciśnięte wargi do zakątków i zwojów jego trzewi. Potem przewróciliśmy Zarasa na bok, żeby płyn mógł wysączyć się z jego brzucha.

Następnie opłukaliśmy ponownie jego jelita gotowaną wodą, którą ostudziłem do temperatury ciała.

Kiedy pozbyliśmy się wody z brzucha, obmyliśmy go naszą własną uryną. Jest to jeden z najbardziej skutecznych środków przeciwko wydzielinom, ale uryna musi być świeża i wolna od zanieczyszczenia jakimkolwiek innym płynem czy substancją cielesną. Najlepiej, jeśli idzie bezpośrednio ze zdrowego pęcherza, nie kontaktując się z zewnętrznymi narządami rozrodczymi dawcy, naskórkiem penisa i napletkiem mężczyzny czy wargami sromowymi kobiety.

Jeżeli chodzi o mnie, nie było z tym kłopotu. Usunięcie symboli mojej płci miało miejsce tak dawno temu, że wspomnienie tego wydarzenia nie przyprawia mnie już nawet o wzdrygnięcie. Podczas gdy ja opróżniałem mój płyn do brzucha Zarasa, Tehuti wycierała swoje intymne zakątki wełnianą poduszczką nawilżoną destylatem winnym.

Gdy odsunąłem się na bok, przykucnęła nad Zarasem i rozsunęła wargi sromowe, a potem skierowała szumiący strumień do jego jamy brzusznej. Gdy skończyła, przekręciliśmy

bezwładnego Zarasa na bok, żeby odsączyć jego jamę brzuszną po raz trzeci i ostatni.

Następnie zaszyłem jego brzuch, recytując przy każdym szwie linijkę modlitwy na zamykanie rany:

„Zamknąłem twoje okrutne czerwone usta, o zły Secie! Opuść to miejsce. Rozkazuję ci: wyjdź!”.

„Wyjdź ze mnie, Anubisie o głowie szakala, bożku cmentarzy. Pozwól mi żyć dalej”.

„Płacz nad nim, Hathor o dobrotliwym sercu. Okaż mu swoją litość i ulżyj jego cierpieniom. Pozwól mu żyć”.

Było już ciemno, gdy obwiązałem brzuch Zarasa lnianymi pasmami, które oderwałem od dołu mojej szaty, i złożyłem go na posłaniu w specjalnie przygotowanym dla niego osłoniętym miejscu. Wraz z Tehuti usiedliśmy po jego obu stronach, gotowi nieść mu pociechę i pomoc, jakie były nam dostępne.

Gdy Zaras zaczął majaczyć, rozmawiać i zмагаć się z rzekomymi i prawdziwymi demonami, które tłumnie zbiegły się do jego łóża, Tehuti położyła się koło niego i wzięła go w ramiona. Przycisnęła go mocno i zaczęła śpiewać.

Rozpoznałem tę kołysankę. Była to jedna z pieśni, które królowa Lostris śpiewała małej Tehuti. Zaras zaczął się stopniowo uspokajać.

Jego ludzie rozpalili wartownicze ogniska naokoło schronienia, w którym czuwaliśmy. Myślę, że modlili się za niego tak jak my. Słyszałem pomruki ich głosów przez długą i gorącą noc.

Gdy zbliżał się świt, zasnąłem. Nie było już nic innego, co mógłbym zrobić, oprócz zebrania sił, jakie mi pozostały, na posługę kapłańską. Byłem pewien, że niebawem zostanę wezwany, żeby ją odprawić.

Poczułem, że szarpie mnie za ramię drobna, gorąca dłoń, i natychmiast się obudziłem. Zobaczyłem przez szpary w sklepieniu naszej niszy, że zbliża się ranek. Spałem krótko, ale miałem z tego powodu wyrzuty sumienia, jakbym popełnił morderstwo.

– Taito, obudź się. Musisz mi pomóc.

Wyczułem, że się zmusza, żeby nie płakać.

– O co chodzi, księżniczko?

– Jego skóra płonie. Zaras pali się w środku. Jest tak gorący, że jak się go dotknie, można się niemal oparzyć.

Miałem pod ręką spiczasty patyk z drewna cedrowego, pokryty woskiem. Wsunąłem jego czubek w dogasające węgle ogniska i dmuchnąłem na niego. Kiedy wybuchnął płomieniem, zapaliłem oliwną lampkę przy głowach pościela i pochyliłem się nad Zarasem.

Jego twarz była zaróżowiona i błyszcząca od potu. Miał otwarte oczy, ale nie widział z powodu popadnięcia w maignę. Gdy próbowaliśmy przytrzymać go i uspokoić, zaczął opędzać się od nas. Przewracał głowę z boku na bok i wykrzykiwał do nas przekleństwa.

Spodziewałem się tego. Dobrze znałem palącą gorączkę, która zwiastuje pogorszenie się stanu zdrowia. Widziałem wiele przypadków, w których występowały niemal identyczne objawy. Wszystkie kończyły się śmiercią pacjenta. Ale miałem gotową pierwszą linię obrony.

Wezwałem sześciu osiłków i wspólnie zdołaliśmy owinąć Zarasa w kokon z derek kładzionych pod siodła, tak że nie mógł zrobić nic więcej oprócz poruszania głową. Potem nasączylismy koce wiadrami wody i zaczęliśmy je wachlować, żeby przyspieszyć parowanie. Obniżyło to temperaturę ciała Zarasa tak wydatnie, że zaczął się trząść od pozornego chłodu.

Kontynuowaliśmy te zabiegi przez większą część ranka, ale około południa siły zaczęły opuszczać Zarasa. Przechodził to samo, co wszyscy moi poprzedni pacjenci. Nie miał już sił, żeby opierać się terapii, którą aplikowałem mu na siłę.

Nie wydawał żadnych dźwięków oprócz szczękania zębami. Jego skóra nabrała bladego odcienia.

Odwinęliśmy koce. Tehuti wzięła go znowu w ramiona i spojrzała na mnie nad jego mokrym i drżącym ciałem.

– Powiedziałeś, że możesz go uratować, Taito. Ale teraz widzę, że nie jesteś w stanie tego zrobić.

Głębia jej rozpacz ukuła mnie równie głęboko, jak miecz Szakala zranił Zarasa.

W czasach exodusu, gdy zostaliśmy wygnani z naszej ojczyzny przez hyksoskich najeźdźców, uciekliśmy na południe przez katarakty Nilu do dalekiej Afryki.

Przeżyliśmy na pustkowiu wiele lat wędrówki, aż wreszcie nabraliśmy dość sił, żeby wrócić i odzyskać prawa należne nam z urodzenia. W okresie tym poznałem i nauczyłem się rozumieć czarne plemiona. Zazdrościłem im ich siły i wyjątkowych umiejętności. Szczególnie pociągało mnie plemię Szylluków i zaprzyjaźniłem się z wieloma jego członkami.

Jeden z nich, o imieniu Umtaggas, był znachorem i znawcą starożytnej medycyny. Inni moi towarzysze niedoli odnosili się do niego jak do prymitywnego szarlatana zadającego się z demonami. Uznawali w nim istotę zaledwie o stopień wyższą od dzikich zwierząt, których żyło mnóstwo w tym dalekim południowym kraju. Ale ja uświadomiłem sobie, że jest mędrcom znajdującym się na wielu rzeczach, które umykały nam, intruzom z północy. Nauczył mnie więcej, niż ja mogłem nauczyć jego.

Gdy w końcu ugiął się pod ciężarem lat i był tylko kilka dni od śmierci, wcisnął mi w ręce skórzaną torbę pełną wysuszonych na słońcu czarnych grzybów nieznanego mi gatunku. Pokrywała je gruba warstwa zielonej pleśni. Uprzedził mnie, żebym jej nie usuwał, ponieważ jest to główny składnik posiadający leczniczą moc. Potem poinstruował mnie, jak przygotować z tych grzybów wywar, ostrzegając przy tym, że częściej zabija on, niż leczy. I że powinienem sięgać po niego tylko wtedy, gdy mój pacjent znajdzie się już nad otchłanią śmierci, a ja nie będę dysponował żadnymi innymi środkami.

Od powrotu do naszego umiłowanego Egiptu ośmieliłem się użyć tego wywaru tylko przy siedmiu okazjach. W każdym z nich mój pacjent był umierający. Wystarczyłoby piórko nektarnika, aby przeważać szalę i odesłać go do krainy wieczności. Pięciu moich pacjentów zmarło niemal natychmiast, gdy tylko wzięli wywar do ust. Jeden przez dziesięć dni utrzymywał się z trudem na krawędzi życia i śmierci, przez cały ten czas powoli odzyskując siły, gdy nagle i nieoczekiwanie nastąpił jego koniec.

Tylko mój siódmy pacjent przeżył ranę od strzały, która przeszła mu płuca, a potem doprowadziła do złego stanu zdrowia. W pełni odzyskał swoje siły. Nadal żyje w Tebach i każdego roku w rocznicę tego wydarzenia, które nazywa cudem, odwiedza mnie ze swoimi wnuczkami.

Dobrze wiem, że trudno jest chwalić się uratowaniem jednego pacjenta z siedmiu, ale widziałem wyraźnie, że Zarasowi pozostała mniej więcej godzina życia, a Tehuti obrzucała mnie pełnym wyrzutu spojrzeniem swoich ogromnych oczu.

W torbie ze skóry gazeli została mi niecała garstka pokrytych pleśnią grzybów. Zagotowałem je w miedzianym garnku z wodą, aż sok zrobił się czarny i lepki. Odstawiłem go, żeby ostygł, a potem włożyłem drewniany klin w zęby Zarasa i przesunąłem do kącika jego ust, żeby miał je otwarte, gdy będę podawał mu łyżką ten wywar. Tylko raz, przy jednej z poprzednich okazji, wzięłem na język kropelkę tego eliksiru. Było to doświadczenie, którego nie zamierzam więcej powtarzać.

Zaras zareagował na smak wywaru tak samo jak ja. Bronił się przed nim dziko. Aby go obezwładnić, znowu potrzebnych było sześciu pomocników, a do tego jeszcze Tehuti. W efekcie wymiotował przeszło połowę tego, co przełknął dzięki moim wysiłkom. Zebrałem jego wymiociny i nakarmiłem go nimi ponownie. Potem wyjąłem mu klin spomiędzy szczęk, zacisnąłem je mocno i przytrzymałem głowę w tej pozycji, żeby mieć pewność, że cenne grzyby zostaną w jego wnętrzu, pomimo powtarzanych przez niego prób pozbycia się ich znowu.

Następnie wraz z Tehuti owinęliśmy go derkami spod siodeł i odesłaliśmy naszych pomocników. Usiedliśmy po jego obu stronach i zaczęliśmy czekać na jego śmierć.

O zachodzie słońca wydawało się, że ten czas już nadszedł. Pomimo koców temperatura ciała obniżyła mu się tak, że przypominał świeżo złowionego w sieć zębacza, a jego oddech był prawie niesłyszalny. Oboje na zmianę przykładaliśmy uszy do jego ust, żeby nasłuchiwać, czy kołaczą się w nim jakieś resztki życia.

Trochę po północy, gdy na niebie pokazał się księżyc, Tehuti powiedziała mi stanowczym tonem:

– Jest zimny jak trup. Położę się koło niego, żeby go ogrzać. – Zdjęła poplamione krwią, niedopasowane do jej figury odzienie, które z myślą o niej kazałem ściągnąć z zabitych Beduinów, i wsunęła się pod koc obok Zarasa.

Żadne z nas od trzech dni nie zmrużyło oka, ale nie zasnęliśmy również i teraz. Nie próbowaliśmy rozmawiać. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Straciliśmy wszelką nadzieję.

Nadeszła najciemniejsza godzina nocy, pora cmentarnych duchów. W naszej prowizorycznej osłonie, w miejscu, w którym zostały złączone dwa koce, pozostała nieduża szczelina. Spojrzałem w górę i zobaczyłem wpasowaną w nią wielką i czerwoną wędrującą gwiazdę, którą zwiemy okiem Seta.

Złośliwy bóg spoglądał na nas z góry. Straciłem resztki odwagi. Byłem pewien, że Zaras przegrał tę bitwę i że Set przyszedł, żeby go zabrać.

Potem wydarzyło się coś dziwnego i cudownego. Światło gwiazdy nagle znikło. Poczułem, że serce skacze mi do gardła. Nie byłem w stanie zgłębić tej wróżby, ale byłem pewien, że jest dobra. Podniosłem się cicho, żeby nie niepokoić Tehuti, która skuliła się na legowisku przy Zarasie. Schyliłem się i wyszedłem spod naszej osłony, a potem uniosłem głowę, żeby popatrzeć na nocne niebo.

Cały firmament płonął miriadami gwiazd, z wyjątkiem miejsca prosto nad moją głową, gdzie chwilę wcześniej widziałem czerwone oko Seta, spoglądające na mnie z góry. Teraz to oko było zasłonięte.

Zakryła je maleńka, ciemna chmurka. Jedyna chmurka na całym niebie. Nie była większa od mojej zaciśniętej dłoni, ale zdołała oślepić złośliwego boga Seta.

Chwilę później usłyszałem głosy. Dochodziły nie z rozgwieźdzonego nieba nade mną, ale z prymitywnego schronienia, które dopiero co opuściłem.

– Gdzie ja jestem? – usłyszałem szept Zarasa. – I dlaczego mam tak okropnie obolały brzuch?

Natychmiast odpowiedział mu głos, który znałem tak dobrze:

– Nie ruszaj się ani nie próbuj wstawać, Zarasie, ty niemądry chłopaku. Musisz leżeć spokojnie. Zostałeś mocno zraniony.

– Księżniczka Tehuti! Ty w moim łóżku? – Coraz mocniejszy głos Zarasa był zszokowany i drżący. – I nie masz na sobie ubrania. Jeżeli Taita nas przyłapie, to nas pozabija.

– Nie tym razem, Zarasie – zapewniłem go, wróciwszy chyłkiem pod daszek. Klęknąłem z rozradowanym sercem obok legowiska, na którym oboje tulili się do siebie. – Ale z całą pewnością to zrobię, jeśli was przyłapie znowu.

Zbadałem dokładnie Zarasa, gdy tylko pozwoliło mi na to coraz jaśniejsze światło wschodzącego dnia. Miał normalną temperaturę, taką samą jak moja ręka. Ze szwów, które założyłem na wielkim przecięciu jego brzucha, znikły punkty, w które wdało się ostre zapalenie. Obwąchałem strupy i stwierdziłem, że są czyste.

Zaras miał pragnienie i Tehuti przyniosła mu dużą czarę wody. Wypił ją i poprosił o więcej. Był to pewny sygnał, że zdrowieje. Jednak było to również przypomnienie, że nasze bukłaki są niemal puste, a najbliższa świeża woda znajduje się w jaskini, w której zostawiliśmy Bekathę i resztę naszej kompanii. Byliśmy oddaleni od niej o trzy dni marszu. Musieliśmy natychmiast wyruszyć w drogę powrotną.

Mimo protestów Zarasa, który twierdził, że może iść, a co najmniej jechać na wielbłądzie, zignorowałem te jego przechwałki, a potem wymyśliłem i sporządziłem dla niego nosze, które można było ciągnąć za wielbłądem. Składały się z dwóch długich włóczni, między którymi rozciągnięta była derka spod siodła. Umocowałem je z obu stron do siodła wielbłąda tak, że ich groty ślizgały się po piasku jak sanie. Położyliśmy na nich Zarasa.

Tehuti nalegała, że chce jechać na jego wielbłądzie. Usiadła na nim tyłem, mogła więc czuwać nad jego bezpieczeństwem. Gdy teren był nierówny i skalisty, zeskakiwała na ziemię i wsiadała

do noszy z Zarasem, żeby go podtrzymywać i chronić przed zbyt ostrymi wstrząsami.

W czasie całej drogi kręciła się wokół niego i bezwstydnie zabiegała o jego względy. Zaras protestował wprawdzie, ale byłem pewien, że cieszą go jej zaloty.

Po południu trzeciego dnia Zaras uparł się, że wstanie ze swoich noszy i przejdzie krótki kawałek drogi obok nich. Pochylał się przy tym i utykał jak staruszek, podpierając się jedną ręką na noszach. Tehuti podtrzymywała go za drugą, żeby pomóc mu zachować równowagę i dodać mu otuchy. Gawędziła z nim, żartując niewinnie i wmawiając mu, jaki to z niego mądry chłopak. Gdy w pewnej chwili go rozśmieszyła, musiał się zatrzymać i chwycił się obiema rękami za brzuch, ale wydawało się, że nawet to nie jest w stanie zniechęcić go do żartów.

Gdy zatrzymaliśmy się na odpoczynek, zaniepokojony obejrzałem szwy Zarasa i z uczuciem ulgi stwierdziłem, że są nienaruszone. Podałem mu ostatnią pozostałą w butelce dawkę soku z czerwonego szepenu, po której spał jak dziecko.

Następnego dnia przybyło mu sił i przeszedł dłuższy odcinek szybszym krokiem. Zdawałem sobie sprawę, że towarzystwo Tehuti wpływa na niego bardziej ozdrowiająco niż moje, toteż wysforowałem się na czoło naszej kolumny. Ale choć trzymałem się dyskretnie poza zasięgiem głosu, byłem w stanie śledzić ich rozmowy.

Oboje byli całkowicie nieświadomi tego, że potrafię czytać z ruchu warg, dlatego rozmawiali ze sobą bez skrępowania. Ich żarty były trochę zbyt rubaszne i nieprzyzwoite, jak na młodą panią tak wysokiego rodu. Ale pozwoliłem im cieszyć się tymi chwilami radości, bo żadne z nas nie wiedziało, kiedy otrzymamy następną możliwość ku temu.

Doszło między nimi do wymiany słów, które zostały mi w pamięci do dzisiejszego dnia, chociaż oboje byli z pewnością przekonani, że nikt na całym świecie nie dowiedział się o tym.

Tempo naszego marszu było ograniczone z uwagi na stan Zarasa, więc nasz powrót do Myiah Keiv był dużo wolniejszy niż

pościg za Szakalem i jego bandą. Piątego dnia wciąż jeszcze nie dotarliśmy do celu. Wysłałem do przodu pięć szybkich wielbłądów z moimi ludźmi, żeby przywieźli nam wodę, ale ciągle nie wracali. Prawie wszystkie bukłaki były puste, pozostało nam też bardzo niewiele jedzenia. Byłem zmuszony obniżyć dzienną rację do trzech małych kubków wody i pół bochenka czerstwego chleba na osobę. Oczywiście ograniczenie to nie dotyczyło księżniczki. Jej królewskim prawem było jeść i pić, co tylko sobie zażyczyła z naszych niemal wyczerpanych zapasów. Zachowałem kilka rzeczy do jej wyłącznego użytku, w tym pół krążka sera i jeszcze mniejszy kawałek suszonej solonej wołowiny. Pomimo moich nalegań Tehuti nie chciała skorzystać z mojej szczodrości i ograniczyła się do ogólnej racji.

Wieczorem czwartego dnia zobaczyłem, że ukradkiem wyciąga z rękawa swojego płaszcza gruby kawał twardego sera, a potem jeszcze jeden suszonej wołowiny, i stara się namówić Zarasa, żeby je przyjął.

– Jesteś ranny, Zarasie. Musimy wzmocnić twoje siły.

– Jestem tylko zwykłym żołnierzem, Wasza Wysokość – zaprotestował Zaras. – Jesteś dla mnie zbyt łaskawa. Jestem ci wdzięczny za twoją uprzejmość, ale zupełnie nie czuję głodu.

– Jesteś bardzo rycerski, Zarasie. – Tehuti mówiła tak cicho i nieśmiało, że nawet ja miałem trudności z odczytywaniem słów z jej warg. – Uratowałaś mi życie i niemal nie straciłaś własnego. Dałabym ci chętnie wszystko, czego tylko ode mnie zapragniesz. – Jeśli nawet jej słowa były dwuznaczne, to wypowiedziała je z miną niepozostawiającą żadnych wątpliwości.

Poczułem, że moje serce mięknie. Miło było patrzeć, jak pączkuje ich piękna miłość. Ale lepiej niż ktokolwiek inny wiedziałem, że surowy obowiązek każe mi okiełznać ją prędko i zmiażdżyć.

Dotarliśmy w końcu do prążkowanego urwiska, które górowało nad Miyah Keiv. Pozostałe osoby z naszej kompanii, które tam na nas czekały, wybiegły nam tłumnie na spotkanie. Otoczyły nas z okrzykami radości i rzuciły się do stóp księżniczki Tehuti. Potem uniosły ją w górę i poniosły do miejsca, w którym jej siostra Bekatha z panem Remremem i pułkownikiem Hayem czekali, żeby ją powitać.

Świętowaliśmy przez trzy noce z rzędu. Zabiliśmy trzy młode wielbłądy i upiekliśmy ich słodkie mięso na węglach pięćdziesięciu ognisk. Co wieczór księżniczka Tehuti kazała otwierać piętnaście dużych amfor z piwem i częstować nim wszystkich. Uważałem, że to przesada, ale mimo to powściągnąłem moje skrupuły i skosztowałem nawet kubek czy dwa tego napoju. Okazałem jednak więcej szacunku dla mniej obfitych zasobów wina z piwnic pałacu faraona. Usprawiedliwiłem się przeświadczeniem, że nektar zostałby zmarnowany, gdyby trafił do prostackich gardeł żołnierskiej hałasty.

Przygrywali nam dworscy muzycy, a całe towarzystwo tańczyło i śpiewało wokół ognisk aż do zachodu księżyca. Księżniczki zmuszały mnie wtedy, żebym śpiewał, ale przywoływałem do pomocy Zarasa. Szkoliłem go, gdy tylko nastęczała się ku temu okazja. Udało mi się dodać blasku i wyrafinowania jego naturalnym zdolnościom, które ustępowały

tylko moim. Gdy śpiewaliśmy w duecie, słuchacze wstrzymywali oddechy, żeby nie uronić ani jednej wspaniałej nuty.

Kolejnego wieczoru poszedłem spać, czując się raczej zadowolony z siebie. Bardzo prędko zasnąłem. Rzadko zapadam w bardzo głęboki sen. Mój umysł jest zbyt aktywny i czujny, żeby pozwolić sobie na tego rodzaju pobłażanie.

Obudziłem się, mając pewność, że ktoś ukradkiem wszedł do mojego namiotu i w kompletnych ciemnościach pochyla się nad posłaniem. Słyszałem jego oddech i byłem pewien, że w złych zamiarach ominął warty pilnujące królewskiej zagrody i że stanowi poważne zagrożenie i niebezpieczeństwo.

Nie zmieniając tempa oddechu ani nie wydając najcichszego zdradliwego odgłosu, sięgnąłem po miecz, który zawsze wisi w specjalnej pochwie w głowach mojego posłania.

Przez tkaninę namiotu wnikało światło gwiazd, a ponieważ dodatkowo widzę w nocy jak kot, dojrzałem zarys wiszącej nade mną głowy mordercy. Prawą ręką wyciągnąłem miecz z pochwy, jednocześnie sięgając lewą do szyi bandyty, żeby ją zamknąć w miażdżącym uścisku.

– Zabiję cię, jeżeli się poruszysz! – ostrzegłem go, ale w odpowiedzi usłyszałem dziewczęcy pisk. W tej samej chwili poczułem słodki i łagodny zapach oddechu napastnika i nieomylnie wyczułem wypukłości i zagłębienia w jego ciele, które przyciskałem do siebie.

– Nie zabijaj mnie, Taito. To ja, Bekatha! I tak już umieram. Przyszłam do ciebie po ratunek. Dostałam śmiertelnego krwotoku. Proszę, zrób coś, żebyśmy nie umarła.

Uwolniłem ją skwapliwie z uścisku i wyskoczyłem z posłania. Zużyłem tylko minutę na zapalenie knota oliwnej lampki. Tymczasem Bekatha skuliła się na moim legowisku, łkając żałośnie i trzymając się za brzuch.

– To jest takie bolesne. Proszę, zrób coś, żeby przestało mnie boleć.

Wziąłem ją czule w ramiona.

– Gdzie jest to krwawiące miejsce, moja mała?

– Między nogami. Proszę, zatrzymaj to krwawienie. Ja nie chcę umierać.

Jęknąłem w duchu. Więc teraz będę miał do czynienia już nie z jedną, ale z dwoma dziewczynami w stanie seksualnego pobudzenia. A pułkownik Hay prędko może mieć więcej zmartwień niż tylko uchylanie się od kawałków chleba i daktyli, którymi bywa obrzucany przy obiedzie.

Zwlekaliśmy z odjazdem spod Miyah Keiv, ponieważ czekałem, aż rany Zarasa zagoją się wystarczająco, żeby mógł wyruszyć w ostatni odcinek podróży do Kraju Dwóch Rzek i do Babilonu. Miał to być najdłuższy i najbardziej uciążliwy etap, toteż postanowiłem nie narażać jego zdrowia na żadne ryzyko.

Czuję się często zaskoczony tym, jak wiele utrapień zdolny jest znieść młody organizm i jak szybko potrafi wrócić do zdrowia. Pomimo rany od miecza, którego klingę zaledwie kilka dni temu Szakał wbił mu w trzewia, a również i tego, że otworzyłem i zaszyłem z powrotem jego brzuch, Zaras poruszał się tak, jakby trenował przed dorocznymi igrzyskami urządzanymi przez faraona w pierwszym tygodniu miesiąca Epifi przed świątynią Horusa w Tebach, żeby święcić dożynki.

Z początku te ćwiczenia polegały jedynie na krótkim spacerze wzdłuż podstawy urwiska w towarzystwie Tehuti. Mniej więcej co pięćdziesiąt kroków czuł się zmuszony przystanąć. Chwytał się wtedy za brzuch, starając się nie jęczeć, i wzruszał ramionami na widok wyciągniętej ręki Tehuti.

Pomimo moich ostrzeżeń i protestów każdego dnia wydłużał odległość i zwiększał tempo marszu. Prędko zaczął wkładać pełną zbroję i nosić na ramieniu kawał piaskowca.

Codziennie kazałem mu się rozbierać i badałem jego rany. Wydawało się, że zamykają się i ściągają w blade blizny niemal na moich oczach. Miał rzadką zdolność ignorowania i zwalczania cielesnego bólu. Zmuszał swoje zranione mięśnie do pracy, gdy

inna, nie tak odważna, osoba została by unieruchomiona i niezdolna do zrobienia kroku przez całe tygodnie albo i dłużej. W jego przypadku ta aktywność zdawała się raczej przyspieszać proces zdrowienia, niż go opóźniać.

Jednak faktem było, że rany Zarasa zapędziły go na skraj przepaści. Nawet moje wszechstronne umiejętności ledwie wystarczyły, żeby go uratować, a obraz innych pacjentów, których leczyłem zapleśniałymi grzybami, był ciągle zbyt żywy w mojej pamięci.

Ale niezależnie od zadowolenia, jakiego dostarczył mi Zaras, i faktu, że stał się on symbolem i dowodem moich lekarskich umiejętności, dostrzegłem w jego osłabionym stanie fizycznym doskonałą okazję, żeby odseparować go od księżniczki Tehuti, zanim oboje znajdą okazję, żeby całkowicie zrujnować moje tak troskliwie opracowane plany ustanowienia przymierza między Najwyższym Minosem Krety a faraonem Tamose, przymierza, które miało fundamentalne znaczenie dla przeżycia Egiptu jako suwerennego kraju.

Tak więc w piąty wieczór po naszym powrocie do prążkowanego urwiska wezwałem do mojego namiotu pana Remrema i pułkownika Haya, żeby wydać im nowe rozkazy. Poleciałem też Zarasowi, żeby również wziął udział w tej odprawie. Oczywiście miałem na myśli to, żeby on i Hay byli tylko obserwatorami, a nie uczestnikami jakichkolwiek poważnych dyskusji.

Nasza czwórka zasiadła właśnie do omówienia pilnych spraw, przy czym każdy miał przed sobą na stole kielich wina, żeby złagodzić niepokój związany z czekającym nas podejmowaniem trudnych decyzji, gdy nagle poczułem na karku chłodny powiew wieczornego powietrza. Obróciłem się szybko, spodziewając się, że odkryję szpicla podsłuchującego nasze rozmowy, ale z osłupieniem zobaczyłem w wejściu do namiotu księżniczkę Tehuti. Wraz z nią niósł się zapach jej wyjątkowych perfum.

– Moi panowie, nie przeszkadzajcie sobie w waszych deliberacjach. Proszę zupełnie nie zwracać na mnie uwagi. Nie

odezwę się ani słówkiem. Będę siedzieć tak cicho, że prędko całkiem zapomnicie o mojej obecności.

Żeby podkreślić swoją całkowitą dyskrecję, włożyła wspaniałą strój z rzadkiego, bardzo cieniutkiego, złotego jedwabiu, który zakupiłem dla niej za wielkie pieniądze na rynku w Tebach. Wówczas chętnie przystała na mój warunek, że nie będzie go nosić aż do przybycia na Kretę i włoży go dopiero tam, na prezentację przed Najwyższym Minosem. Czyżby zapomniała o naszej umowie?

Na nogach miała srebrne pantofelki. Z jej szyi zwisał naszyjnik z boginią Hathor, a do tego sznur mieniących się, barwnych kamieni, głównie szafirów i szmaragdów. Włosy były lśniącym cudem, który ustępował tylko jej uśmiechowi.

Tak ślicznej Tehuti nie oglądałem nigdy dotąd.

Z szelestem złotych spódnic usiadła u moich stóp, oparła łokcie na kolanach i podparła podbródek splecionymi dłońmi, tak że pierścień z diamentem, który otrzymała ode mnie, zaczął rozsiewać świetliste blaski. Następnie posłała przeciągły uśmiech Zarasowi, starając się wyglądać całkowicie niewinnie.

Jak i skąd kobiety dowiadują się rzeczy, które są tak tajemnicze dla nas, gorszych śmiertelników należących do płci przeciwnej? Nie informowałem jej o naszym spotkaniu. Pozostałych uczestników wezwałem zaledwie godzinę wcześniej, nie dając im żadnych wskazówek dotyczących tego, co zamierzałem omówić. Nie miała żadnej możliwości dowiedzieć się o moich planach. Ale pojawiła się tu w bitewnym stroju i ze stanowczym błyskiem w oczach, który znałem tak dobrze.

– Proszę cię, drogi Taito, kontynuuj to, co zamierzałeś powiedzieć. Przyrzekłam, że nie będę ci przerywać.

– Dziękuję, Wasza Królewska Wysokość – odparłem z wahaniem. Zastanawiałem się, czy jest w ogóle jakiś sposób na uniknięcie konfrontacji. Oczywiście był. Miałem pieczęć sokoła. Przemawiałem głosem króla. Nikt nie śmiałyby mi się przeciwstawić. Ale ona? Zebrałem się na odwagę.

– Moi panowie, rozmawiałem z naszym przewodnikiem, Al Namjoo, oraz z szefem królewskiej stajni, Condosem. Obaj zgodzili się ze mną, że nasza grupa jest zbyt liczna, aby mogła przebywać dłużej w tym miejscu, koło Miyah Keiv. Przypominam wam, że mamy przeszło trzysta koni i wielbłądów, oprócz naszych ludzi i królewskich dam. Jeśli będziemy zużywać wodę z grotu w takim tempie jak obecnie, to za kilka dni jej zapas w jeziorze będzie kompletnie wyczerpany. Zgodzicie się ze mną wszyscy, że byłaby to katastrofa.

– Oczywiście! Nie ulega wątpliwości, że musimy ruszać w dalszą drogę. – Wygłaszając poparcie dla mojej sugestii, Remrem bawił się swoją brodą, która, jak mi było wiadomo, miała srebrnosiwe zabarwienie, ale on farbował ją henną na jasnorudy kolor, żeby ukryć swój wiek. Remrem jest wielkim panem oraz przebiegłym i dzielnym wojownikiem. Kocham go, jakby był moim bratem, którym zresztą jest pod wieloma względami. Jednak Remrem ma jedną wadę. Jest nieznośnie próżny na punkcie swojego wyglądu.

Kiwnąłem głową, dziękując mu za wsparcie, i podjąłem dalsze wywody:

– To nie jest takie proste, jak by się mogło wydawać, mój panie. Al Namjoo informuje mnie, że następna oaza na naszej drodze nazywa się Zaynab, co się tłumaczy jako Cenny Klejnot. Leży przeszło dwieście mil przed nami. Pokonanie tej odległości zajmie nam dziesięć dni. Oznacza to, że kiedy do niej dotrzemy, nasze zwierzęta opadną już z sił i będą boleśnie odczuwać pragnienie. Będziemy musieli zatrzymać się w Zaynab na co najmniej dwa tygodnie, żeby wypoczęły i odzyskały siły. Jednak Zaynab to mała oaza. Znajdująca się tam woda nie wystarczy, by zaspokoić potrzeby całej naszej kompanii przez okres dłuższy niż zaledwie kilka dni. – Urwałem, żeby Remrem, lub któryś z pozostałych obecnych, mógł podsunąć sensowne rozwiązanie tego dylematu. Dzięki temu mógłbym po części obarczyć winą kogoś innego, gdyby księżniczka Tehuti sprowokowała nas wszystkich do zamieszania i podniesienia zgiełku, co z pewnością

by zrobiła, gdyby tylko poznała wszystkie szczegóły mojego planu. Zapadło ciężkie milczenie, poczułem się więc zmuszony, żeby mówić dalej i samotnie stawić czoło możliwym skutkom. – Jedynym dostępnym nam rozwiązaniem jest podzielenie naszej grupy i wysłanie połowy ludzi i zwierząt przodem do Zaynabu. Druga połowa zostanie tutaj jeszcze przez dwa tygodnie, żeby tamci zyskali konieczną przewagę. I ten podział zachowamy przez pozostałą część podróży. Nie połączymy się, dopóki nie dotrzemy do Kraju Dwóch Rzek. Dzięki temu w żadnej oazie nie będzie nam grozić całkowite wyczerpanie zapasu wody, do którego mogłoby dojść w razie jednoczesnego przebywania w niej nas wszystkich.

Zapadła cisza, w czasie której obecni starali się rozważyć kwestię.

– Jak zawsze, Taito, twój plan ma wiele zalet – odezwał się w końcu Remrem swoim głośnym huczącym głosem. – A jeśli znam cię choć trochę, to już podjąłeś decyzję, jak podzielić nasze siły.

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem lekko głową na potwierdzenie.

– Ty, mój panie Remremie, obejmiesz komendę nad oddziałem czołowym. Znajdzie się w nim połowa ludzi i wszystkie wielbłądy. Ponadto zabierzesz pod swoją komendę królewskie damy, księżniczkę Bekathę i księżniczkę Tehuti. Oczywiście, kreteńska dziewczyna, Loxias, pojedzie z nimi jako dama do towarzystwa.

– Jestem ci wdzięczny, panie. Wielce sobie cenię zaufanie, jakim mnie obdarzasz. – Remrem potrafił nadać nawet tak miłym słowom pompatyczne brzmienie.

Odetchnąłem głęboko i podjąłem przemówienie:

– Ja wyruszę za wami dwa tygodnie później, razem z końmi. Zatrzymam też przy sobie kapitana Zarasa i pułkownika Haya. Będę potrzebował Haya, żeby zajął się rumakami. – Spojrzałem na niego, a on kiwnął głową. Hay nie zniósłby oddzielenia od jego ulubionych zwierząt. Następnie zwróciłem się do Zarasa: –

Za dwa tygodnie od tej chwili twoje rany będą już wystarczająco wyleczone, żebyś mógł bezpiecznie podróżować.

Mój plan był niemal genialny. Księżniczki pojechałyby przodem z Remremem. Ja zatrzymałbym Zarasa i Haya przy sobie. Za jednym zamachem oddzieliłbym dziewczęta od chłopaków i urządził wszystko tak, że zarówno Zaras, jak i mój żywy inwentarz dotarliby do Babilonu w dobrej formie, mając pod dostatkiem wody do picia. Co najważniejsze, miałbym pewność, że również moje księżniczki dotrą tam nietknięte, zachowując niewinność.

Wolałem nie spoglądać na Tehuti. Miałem nadzieję, że nie zostawiłem jej miejsca na jakiś manewr, więc powinna skapitulować z właściwym sobie wdziękiem.

– Nie! – Jej głos był cichy, ale wyraźny. – Absolutnie nie sędzę, żeby to była dobra myśl, panie Taito. – Z drogiego Taity zamieniłem się znowu w pana Taitę.

A jednak byłem zbyt dobrej myśli. Sięgnąłem do rękawa i ująłem w dłoń królewską pieczęć sokoła, którą zawsze noszę przy sobie. Potrzebowałem całego autorytetu, jaki był mi dostępny.

– Tak mi przykro to słyszeć, Wasza Królewska Mość. Byłem pewien, że dojrzysz konieczność dokonania tych posunięć, jak to zrobił z tak wielką gotowością pan Remrem. – Wyjąłem z rękawa pieczęć sokoła i zacząłem obracać ją z roztargnieniem w palcach.

– Och, czyżbyś chciał podarować mi tę błahostkę? – Nie czekając na moją odpowiedź, Tehuti wyciągnęła rękę i wyjęła ją z moich rąk. Byłem tak zaskoczony, że oddałem ją bez protestu.

– Czy to prawda, co mówią, panie Taito?

– Ale co, Wasza Wysokość?

– Powiadają, że ten, kto ma w ręku królewską pieczęć sokoła, mówi w imieniu faraona.

– Tak, Wasza Wysokość. To prawda.

– Popatrz, kto trzyma ją teraz, panie mój. – W tym momencie trzech pozostałych mężczyzn zdali sobie sprawę, że są świadkami próby sił, i bezskutecznie starali się ukryć ciekawość. Było

oczywiste nawet dla mnie, że zaczynam się ośmieszać. Poczułem, że na moim czole pojawia się zmarszczka. Wygładziłem ją, pochylając się z szacunkiem w stronę Tehuti.

– Oczekuję, że przemówisz szlachetnym głosem faraona! – powiedziałem, pozwalając sobie na drobny żart. Nie zostało to dobrze przyjęte. Uśmiech Tehuti zamienił się w tragiczne ruiny, a jej śliczne oczy wypełniły się łzami.

– Och, drogi Taito – szepnęła. Zabrzmiało to niemal jak szloch.
– Proszę cię, nie bądź dla mnie aż tak okrutny. Jesteś moim jedynym ojcem, jakiego kiedykolwiek oglądałam. Błagam cię, nie odsyłaj mnie. Przyrzekłeś mojemu bratu i mojej matce, że zawsze będziesz się o mnie troszczył. Jesteś jedynym człowiekiem, którego kocham i któremu ufam – powiedziała załamującym się głosem, a potem oddała mi pieczęć sokoła. – Proszę! Weź ją. I odeślij mnie, jeśli musisz. Zrobię, co tylko mi rozkażesz.

Uczestnicy spotkania przestali się uśmiechać. Na ich twarzach pojawiło się zdumienie i przerażenie. Jak jeden mąż obrócili na mnie oskarżycielskie spojrzenia. Nagle zamieniłem się w okrutnego łotra.

Oczywiście, żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, jak wyrafinowaną aktorkę mają przed sobą. Za pomocą paru słów zrobiła ze mnie tyrana i ostatniego szubrawca. W jednej chwili straciłem całą chęć do kontynuowania sporu.

– Wybacz mi, Tehuti. Powiedz mi, jakie są twoje życzenia, a ja je spełnię.

– Bekatha i ja chcemy tylko tego, żeby zostać z tobą, nasz prawdziwy ojczulku. To wszystko. – Przełknęła jeszcze jeden szloch, ale to było już niepotrzebne. Wiedziała, że wygrała. Osiągnęła swój cel, ani razu nie wymieniając imienia mężczyzny, o którego tak naprawdę się sprzeczałyśmy.

Cztery dni później w chłodzie późnego popołudnia pan Remrem odmaszerował na północ z połową naszego towarzystwa w kierunku oazy Zaynab odległej o dwieście mil. Zabrałem Tehuti i pojechaliśmy z Remremem, żeby być świadkami szczęśliwego pokonania przez jego grupę pięciu pierwszych mil drogi. Na koniec pożegnaliśmy się z nim i oboje zawróciliśmy w kierunku Miyah Keiv. Nasza ochrona, złożona z dwudziestu gwardzistów z formacji Błękitnych Krokodyli, została za nami w dyskretnej odległości, wystarczająco blisko jednak, żeby rzucić się na pomoc, gdyby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo, ale nie tak, żeby podsłuchać naszą rozmowę.

Zanim opuściliśmy Miyah Keiv, poprosiłem księżniczkę Bekathę, żeby także z nami pojechała, ale ku memu zdziwieniu odmówiła, tłumacząc się tym, że chce dokończyć pisanie zwoju z hieroglifami, które zadałem jej jako lekcję do odrobienia. Zazwyczaj Bekatha nie jest tak pilną i pełną poświęcenia uczennicą. Teraz miałem się dowiedzieć, kto obudził w niej nagłe zainteresowanie pisaniem.

Przez pierwszą milę Tehuti i ja jechaliśmy strzemię w strzemię w milczeniu. Potem zapytała mnie nagle:

– Znałeś dobrze mojego ojca, prawda? Prawie nic o nim nie wiem. Nigdy dotąd o nim nie mówiłeś. Proszę, Taito, opowiedz mi o nim.

– Wszyscy Egipcjanie bardzo dobrze znają twojego ojca. Był nim boski faraon Mamose, ósmy o tym imieniu i z tej linii. Był

filarem królestwa, sprawiedliwym, wielkim, wszytkowidzącym, wszechmiłosiernym...

– Nie, nie był – zaprzeczyła stanowczo. – Nie okłamuj mnie, proszę, drogi Taito. – Jej oskarżenie wprawiło mnie w straszliwe zakłopotanie. Obróciłem się w siodle i wytrzeszczyłem na nią oczy, starając się zebrać myśli.

– Wydaje się, że zostałem źle poinformowany! – rzuciłem, próbując zbyć ją lekceważącym śmiechem, ale zabrzmiało to fałszywie nawet w moich uszach. – Jeśli nie był to faraon, to w takim razie powiedz mi, kogo spotkało tyle szczęścia, żeby mieć cię za córkę. Szczerze mu zazdroszczę.

– Moim prawdziwym ojcem był pan Tanus, a jego ojcem był Pianki, pan Harrabu. Jego matka była wyzwoloną niewolnicą Tehenu, miała jasne włosy i niebieskie oczy, które ja po niej odziedziczyłam. Powiadają, że była bardzo piękna. Mówią też, że mój ojciec był do niej podobny i też był bardzo piękny. Twierdzą, że był najpiękniejszym mężczyzną w Egipcie.

– Kto ci naopowiadał tych wszystkich... – Chciałem już powiedzieć: „tych wszystkich wierutnych bredni”, ale powstrzymałem się wysiłkiem woli.

– Powiedziała mi to moja matka, królowa Lostris. Zapewnij mnie teraz, że mnie okłamała.

Byłem oszołomiony i jak nigdy dotąd bliski popadnięcia w paniczny strach. Zatrząsł się tron faraona i fundamenty mojego umiłowanego Egiptu. Cały firmament groził zawaleniem się na moją głowę. Było to najbardziej niebezpieczne oświadczenie, jakie kiedykolwiek usłyszałem.

– Komu jeszcze o tym mówiłaś? – wysapałem w końcu.

– Nikomu, tylko tobie.

– Wiesz, co się stanie, jeśli kiedykolwiek powiesz o tym komuś innemu?

– Drogi Taito, nie jestem kompletną idiotką. – Pochyliła się i ujęła mnie za rękę, niczym matka, która uspokaja przestraszone dziecko.

– Jesteś pewna, że nie wspomniałaś o tym swojemu bratu? – spytałem, podnosząc coraz bardziej głos, który świdrował mi w uszach. – Czy faraon wie o tym? A Bekatha? Powiedziałaś jej?

– Nie. – Jej głos był spokojny, pewny siebie. – Bekatha jest ciągle głupiutką małą dziewczynką. A gdyby Mem dowiedział się, że nie jest prawdziwym faraonem, toby go zabiło.

– To też powiedziała ci twoja matka? – Gwałtownie sięgnąłem po jej rękę, jej ostatnie słowa wprawiły mnie w przerażenie. – Powiedziała ci wszystko? Proszę, zapewnij mnie, że źle cię zrozumiałem!

– Zrozumiałeś mnie doskonale. Moja matka powiedziała mi, że wszyscy troje jesteśmy potomkami pana Tanusa, a nie faraona Mamose. Jesteśmy trojgiem dzieci z nieprawego łoża.

– Tehuti, dlaczego opowiadasz mi o tym wszystkim właśnie teraz?

– Ponieważ niedługo znajdę się w sytuacji bardzo podobnej do tej, w której znalazła się moja matka. Uratowałeś jej... – zaczęła. Pokręciłem przecząco głową. – Nie kręć głową przede mną, panie Taito. – Roześmiała się, patrząc mi w oczy. Naprawdę śmiała mi się w twarz! – Uratowałeś moją matkę, a teraz musisz zrobić to samo dla mnie.

To ostatnie było zgodne z prawdą. Królowa Lostris była jedyną prawdziwą miłością mojego życia, ale umarła i jej miejsce zajęła Tehuti. Nie mogłem odmówić jej niczego, jednak mogłem przynajmniej ustanowić własne reguły gry i warunki. Zapewne je zignoruje, tak samo jak to zrobiła jej matka, ale przynajmniej podejmę taki wysiłek.

– Powiedz mi dokładnie, Tehuti, czego ode mnie oczekujesz.

– Moja matka poślubiła króla, ale miała męża z własnego wyboru. Urodziła jego dzieci, a nie dzieci króla. Nie mogłaby tego zrobić bez czyjś wsparcia. Ty pomogłeś jej zrealizować to wszystko. Czy nie tak się to potoczyło?

– Tak, tak to się odbyło – wyznałem. Odniosłem wrażenie, że pozostaje mi tylko potwierdzić jej słowa.

– Większą część życia spędziłam w haremie mojego brata – ciągnęła Tehuti. – On ma dwieście żon, ale kocha tylko jedną z nich. Najwyżej z nich wszystkich postawił Masarę, i ona dała mu trzech synów. Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła mieć to co ona. Ale ja przyglądałam się cierpieniom jego pozostałych żon. Odkąd zostały jego żonami, mój brat odwiedził je nie więcej niż raz lub dwa razy. Wiesz, co one robią, Taito? – spytała tonem pełnym wyrzutu. Pokręciłem głową. – Zabawiają się same lub z innymi kobietami z haremu, zamiast z mężczyzną... z mężczyzną, którego pożądają i kochają. Mają sztuczne penisy z kości słoniowej lub ze srebra. Wkładają sobie te okropne rzeczy same albo jedna drugiej. – Urwała i wzdrygnęła się. – To takie smutne. Nie chcę być taka jak one.

Zobaczyłem, że jej twarz blednie i okrywa się smutkiem. Dojrzałem nagle łzy w kącikach jej oczu. Nie odgrywała już wyczonej scenki.

– Wiem, że zamierzasz zawieźć mnie do dziwnego i obcego kraju. I tam oddasz mnie staremu człowiekowi, który jest pomarszczony i osiwiwały, komuś, kto ma zimne ręce i brzydki oddech. Będzie mnie przyprawiał o mdłości. Będzie wyczyniał ze mną obrzydliwe rzeczy... – Urwała i przełknęła łzy. – Zanim do tego dojdzie, chcę choć raz mieć to, co dałeś mojej matce. Chcę mieć mężczyznę, który sprawi, że będę się śmiać, a serce żywiej zabije mi w piersi. Chcę mężczyzny, który naprawdę mnie kocha i którego ja naprawdę kocham.

– Chcesz Zarasa – powiedziałem przyciszonym głosem.

Tehuti uniosła głowę i spojrzała na mnie przez łzy.

– Tak, chcę Zarasa. Choć raz chcę się poczuć kochana i wypełnić serce tym uczuciem. Chcę mieć Zarasa jako mojego męża i chcę go poczuć głęboko w moim wnętrzu. Jeśli dasz mi to choćby na krótki czas, wtedy pojedę i spełnię obowiązek względem mojego faraona, względem Egiptu i względem ciebie, mój drogi Taito.

– Przysięgniesz mi, Tehuti, że nie powiesz o tym nigdy żadnej osobie, nawet własnym dzieciom?

- Moja matka... – zaczęła, ale ja przerwałem ostro jej protest.
- Wydarzeniom związanym z twoją matką towarzyszyły szczególne okoliczności. One nie będą takie same w twoim przypadku. Naprawdę musisz mi to szczerze przyrzec.
- Przyrzekam ci to, z ręką na sercu – odparła Tehuti.
- Nie miałem żadnych powodów, żeby wątpić w jej szczerłość.
- Musisz zrozumieć że nie będziesz mogła dać Zarasowi dzieci, nigdy, rozumiesz?
- Chciałabym, żeby było inaczej, Taito. Bardzo bym chciała mieć maleńkiego Zarasa, z mojej krwi. Ale wiem, że to się musi odbyć tak, jak mówisz.
- Co miesiąc, kiedy nadejdzie czas kwitnienia czerwonego kwiatu twojej kobiecości, dam ci do wypicia specjalny wywar. Dziecko zostanie usunięte z twojego łona razem z twoją krwią.
- Będę płakać, gdy o tym pomyślę.
- Kiedy zostaniesz już żoną Najwyższego Minosa, rozstaniesz się na wszystkie czasy z Zarasem. Zamieszkasz w królewskim haremie na Krecie. Zaras wróci do Egiptu. Nigdy więcej go nie zobaczysz. Rozumiesz to, Tehuti? – W odpowiedzi kiwnęła głową.
- Mów! – rzuciłem rozkazująco. – Powiedz, że zrozumiałaś.
- Zrozumiałam – odparła wyraźnie.
- W noc twoich zaślubin z Minosem przygotuję ci pęcherz jagnięcia z krwią, który pęknie, kiedy weźmie cię do swojego łóża. Przekona go to o twoim dziewictwie i twojej niewinności.
- Rozumiem – szepnęła.
- Nikomu o tym nie powiesz – dodałem nalegającym tonem. – Nawet swojej siostrze, a zwłaszcza jej. – Bekatha była niepoprawną pleciugą słynącą z tego, że nie potrafiła dotrzymać tajemnicy.
- Nie powiem nikomu – zgodziła się Tehuti. – Nawet mojej siostrzyczce.
- Zdajesz sobie sprawę, Tehuti, w jakim znajdziesz się zagrożeniu? Minos będzie miał nad tobą władzę życia i śmierci. Szaleństwem jest oszukiwać króla. Musisz zrobić, co w twojej mocy, żeby nikt nigdy nie odkrył prawdy.

– Rozumiem. Wiem, że bierzesz na siebie takie samo ryzyko jak ja. Kocham cię za to jeszcze bardziej.

Było to oczywiste szaleństwo, ale popełniłem w swoim długim życiu wiele szaleństw. Mogłem się pocieszyć tylko tym, że ciągle miałem odrobinę czasu, żeby poczynić przygotowania. Rany Zarasa ograniczały jego fizyczne możliwości. Nie był jeszcze w stanie rzucić się w wir dzikich miłosnych szaleństw. Jednak prędko wracał do zdrowia.

Dwa dni później Zaras przyszedł do mnie i zapytał, czy może zwrócić się do mnie o zezwolenie.

– Od kiedy to musisz mnie prosić o takie rzeczy? Nie udzielałem ci wcześniej żadnych zezwoleń, ale ich brak nigdy nie stanowił dla ciebie najmniejszej przeszkody.

Zaras popadł w zakłopotanie.

– Księżniczka Tehuti chce, żebym ją nauczył posługiwać się bronią i poinstruował, jak używać miecza. Powiedziałem jej, że musiałbym mieć na to twoje zezwolenie.

– Prawdopodobnie to nie było mądre, Zarasie. Zazwyczaj Jej Królewska Wysokość otrzymuje to, czego sobie życzy.

– Nie chciałem okazać jej braku szacunku – pospieszył z zapewnieniem Zaras. Roześmiałem się, widząc jego strapioną minę.

– Księżniczka jest świetną łuczniczką – zauważyłem. – Jest bardzo szybka. Ma ostry wzrok i dobre, mocne ręce. Więc raczej nie wątpię w to, że mogłaby nauczyć się dobrze władać mieczem. Jest to umiejętność, która może jej się przydać w jakimś momencie w przyszłości. Kto wie? Być może któregoś dnia nawet uratuje jej życie. – Nie jestem pewien, dlaczego to powiedziałem. W rzeczywistości okazało się, że była to jedna z tych wielkich przepowiedni, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek wygłosić. – Masz jakieś obiekcje związane z tym, o co cię prosi księżniczka, Zarasie?

– Najmniejszych, mój panie – zapewnił mnie pospiesznie. – Przeciwnie, uważam to za wielki honor i przywilej.

– Więc rozpocznij naukę. Będę bardzo ciekaw, jak ci z tym pójdzie. – Nie myślałem więcej o tej sprawie, ale stwierdzenie to nie jest do końca prawdziwe. Myślałem o bardzo niewielu innych sprawach. W następnych tygodniach Zaras i Tehuti byli przedmiotem mojej wielkiej udręki.

Zaras z każdym dniem nabierał sił. Jeśli był twardy dla podległych mu ludzi, to wobec siebie okazał się skrajnie bezlitosny.

Każdego ranka od świtu do południa prowadził swoich ludzi po najbardziej nierównym terenie, każąc się im ścigać. Biegałem razem z nimi. Zostałem obdarzony nadzwyczajną siłą i wytrzymałością i jestem w stanie dorównać mężczyznom, którzy są dwa razy młodszy ode mnie, a nawet jeszcze młodszym.

Z początku widziałem, że Zaras bardzo cierpi, i byłem pod wrażeniem jego umiejętności ukrywania własnych niedomagań przed wszystkimi, z wyjątkiem mnie. Ale już po kilku dniach dotrzymywał mi kroku, prowadząc swoich ludzi w takt batalionowej pieśni marszowej i śmiejąc się beztrosko z moich żartów i dowcipów.

Pochwalałem jego przedsiębiorczość i ciągłe dążenie do podniesienia sprawności. Ale z drugiej strony wszystko ma swoje granice. Zachowanie, które jest do przyjęcia u zwykłych ludzi, nie zawsze przystoi członkom wyższych warstw społeczeństwa.

Gdy bez konsultacji ze mną Zaras postanowił, że w przyszłych porannych biegach każdy z jego ludzi będzie musiał nieść worek piasku równy jednej czwartej wagi jego ciała, przypomniało mi się, że zaniedbuję inne ważne obowiązki. Zamiast bezmyślnie gnać po pustyni, próbując współzawodniczyć z bandą młodych urwisów, powinienem odsłaniać przed księżniczkami tajniki matematyki i astrologii, miałem też do napisania ostatnie rozdziały traktatu o genealogii bogów. Moim zdaniem umysł powinien mieć zawsze pierwszeństwo przed mięśniami.

Dzięki odłożeniu odjazdu spod Miyah Keiv, żeby umożliwić panu Remremowi i jego oddziałowi dotarcie do oazy Zaynab, miałem czas na czytanie i planowanie naszego przybycia do Babilonu. Czas mijał przyjemnie, choć niezbyt szybko.

Inne osoby z naszego towarzystwa przeżywały bardziej spektakularne i dramatyczne wydarzenia. Głównym z nich był koniec przyjaznych relacji między Bekathą i pułkownikiem Hayem.

Pod wpływem nalegań Bekathy Hay udzielał jej każdego wieczoru lekcji konnej jazdy. Pod jego opieką prędko zamieniała się w nieustraszoną kawalerzystkę. Nigdy zresztą nie odczuwała najmniejszego lęku, a pod względem postawy i pewności, z jaką utrzymywała się w siodle, przewyższała większość żołnierzy Haya. Ci sympatyczni młodzi ludzie byli zresztą z natury raczej woźnicami wozów bojowych i większość wolała znajdować się za końskim zadem niż na grzbiecie rumaka.

Poza tym przepadała za konną jazdą i trzymała się w siodle z wdziękiem, czego sam ją nauczyłem. Zawsze potrafiła wydobyć z wierzchowca wszystko, na co było go stać. Uwielbiała demonstrować swoje umiejętności i gdy tylko miała widzów, pokazywała się zawsze z najlepszej strony.

Pewnego wieczoru Hay szkolił ją w grze w kule. Kula była duża i ciężka, sporządzona z pasków splecionej surowej skóry. Walczące ze sobą drużyny składały się z czterech jeźdźców, a gra polegała na tym, żeby wprowadzić kulę między dwa pionowe

słupy ustawione na końcu oznaczonego placu, podczas gdy drużyna przeciwników starała się temu przeszkodzić. Zawodnicy ścierali się ze sobą ostro i hałaśliwie, a ich rywalizację zwykle oglądał i oklaskiwał tłum widzów.

Tego szczególnego wieczoru Hay polecił księżniczce ćwiczyć wychyłanie się z siodła i chwytanie kuli, która toczyła się i podskakiwała na piaszczystym gruncie przed jej koniem. Jak zwykle, grze przyglądała się widownia złożona z około pięćdziesięciu wolnych od służby gwardzistów i innych wałkoni, którzy ustawili się wokół placu.

Bekatha wjechała pełnym galopem. Miała wolne obie ręce, ponieważ nie trzymała cugli i kierowała koniem kolanami.

Hay stał na linii bocznej i czekał na nią, trzymając w rękach kulę. Gdy nadjechała, rzucił kulę tak, że potoczyła się przed jej koniem. Bekatha wychyliła się z siodła, żeby ją chwycić, opierając się całym ciężarem na strzemieniu bliższym podskakującej kuli. Jako człowiek poinformowany i światły uznałem ten manewr za niezwykle elegancki i godny sportowca. Tłum widzów ryczał zachęcająco, więc przyłączyłem się również do tych okrzyków.

Bekatha wyglądała jak karzełek na grzbiecie ogromnego rumaka, ale mimo to była w stanie wychylić się wystarczająco daleko, żeby chwycić jeden z czterech uchwytów na toczącej się kuli. Triumfującym gestem zaczęła już nawet podnosić zdobycz.

W tym momencie rzemienne strzemię pękło i ku mojemu zaskoczeniu Bekatha zsunęła się z siodła. Ruszyłem biegiem, nim jeszcze dosięgła ziemi. Byłem pewien, że się zabiła lub co najmniej ciężko poraniła. Hay zareagował równie szybko, a do tego stał bliżej niej w chwili, gdy spotkało ją to nieszczęście.

Z zadowoleniem i uczuciem ulgi zobaczyłem, że Bekatha zrywa się na nogi i staje, dygocąc ze wstydu i złości. Wylądowała na kupie świeżych końskich odchodów. Okoliczność ta złagodziła upadek i prawdopodobnie uratowała jej życie, ale nie przydała zbyt wiele jej wyglądowi, a już zupełnie nic jej godności.

Była wysmarowana od czubka ognistych loków do samego dołu rzadkim zielonkawym łajnem. Hay podbiegł do niej tuż przede mną i znieruchomiał, gapiąc się z zakłopotaniem. Wyraźnie widziałem, że nie ma najmniejszego pomysłu, co powinien uczynić. Zanim zdołałem do nich dotrzeć, żeby uciszyć Bekathę i załagodzić tę krytyczną sytuację, Hay zrobił jedyną rzecz, która z pewnością mogła ją tylko zaostrzyć. Wybuchnął śmiechem.

Bekatha zareagowała na to w jedyny właściwy sobie sposób. Spuściła ze smyczy swój sławetny temperament. Ciągle trzymała w prawej dłoni kulę i rąbnęła nią Haya w głowę. Nie spodziewał się takiego ataku i zupełnie się nie pilnował. Uderzenie zostało wymierzone z bliskiej odległości. Kula była ciężka, a wysuszona na słońcu skóra twarda jak kość. Trafiła go w garb jego wystającego nosa, z którego strumieniem trysnęła krew. Ale nawet tego było mało, żeby załagodzić zranioną dumę Bekathy.

Pochyliła się i jednym szybkim ruchem zgarnęła z kupy, w której stała obiema nogami, porcję zielonkawej mazi w złożone dłonie, a potem ruszyła prosto na Haya i opróżniła je, celując mu prosto w zraniony nos.

– Jeżeli uważasz, że ja jestem śmieszna, to powinieneś teraz popatrzeć na siebie, pułkowniku Hay – rzuciła lodowatym tonem. A potem obróciła się na pięcie i wybiegła z placu, kierując się do królewskiej części obozu. Nikt inny w tłumie widzów nie miał odwagi, żeby się roześmiać, nawet ja.

Hay nigdy już nie został zaproszony na posiłek przy królewskim stole. Nigdy więcej nie udzielał lekcji Ich Królewskim Mościom.

Kilka dni później podsłuchałem rozmowę między Bekathą a Loxias. Prowadziły ją po minojsku, siedząc w namiocie królewskiego obozu, który wyznaczyłem na pokój szkolny dla dziewcząt. Stałem na zewnątrz, koło tylnej ściany namiotu, podziwiając widok różnobarwnych skał górujących nad obozem. Oczywiście nie było to świadome podsłuchiwanie moich uczennic, ale czasami, gdy przed wejściem do namiotu

przystawałem na krótko w tym wyjątkowym miejscu, niechcący moich uszu dochodziły ich interesujące dialogi.

– Wybaczyłaś już pułkownikowi Hayowi? – zapytała Loxias.

– Nigdy mu nie wybaczę – odparła porywczo Bekatha. – Jest niezdarą i dzikusiem. Jak już zostanę królową Krety, to prawdopodobnie każę go ściąć.

– To by mogło być zabawne. Zaprosisz mnie na egzekucję?

– Ja nie żartuję, Loxias. Mówię poważnie, naprawdę.

– Ale przecież powiedziałaś mnie i Tehuti, że on jest jedynym mężczyzną na świecie, którego wybrałaś dla siebie?

– Zmieniłam zdanie – odparła dumnym tonem Bekatha. – Czego mogłabym się spodziewać po brzydkim staruchu bez manier, który ma czterdzieści żon równie obrzydliwych jak on sam?

– On nie jest taki stary, Bekatho, no i raczej przystojny. Wiem na pewno, że ma w Tebach tylko pięć żon, a niektóre z nich są całkiem ładne.

– To staruch – odparła stanowczo Bekatha. – Prawdopodobnie jest nawet starszy niż Taita. A co do jego przystojnej figury, to wcale nie wpadam w zachwyt na widok jego złamanego nosa i końskiego gówna na twarzy. Niech się nim cieszą te jego żony, wszystkie pięć. Nie chcę mieć z nim absolutnie nic wspólnego.

Wybaczyłem jej te ostre słowa i wzmiankę o moim wieku. Przynajmniej jedno z moich najbliższych zmartwień zostało usunięte. Nie musiałem już strzec dziewictwa Bekathy, pozostała mi tylko sprawa niewinności jej starszej siostry.

Zakaślałem głośno i głosy w namiocie ucichły. Kiedy odchyliłem zasłonę i wszedłem do środka, głowy obu młodych dam pochylone były nad tabliczkami do pisania. Obie zajęte były w sposób godny najwyższej pochwały pracą, którą im wyznaczyłem. Polegała ona na przepisywaniu zwoju z historią Egiptu z wiarygodnej wersji, którą osobiście napisałem kilka lat wcześniej, i tłumaczeniu jej na język Kreteńczyków. Bekatha ledwie rzuciła na mnie okiem, kiedy stanąłem koło niej.

– Wasza Wysokość, jestem pod wrażeniem twojej pilności i perfekcji hieroglifów. Ale dlaczego nie ma z tobą twojej siostry?

– Och, ona jest zbyt zajęta tam, na dworze – odparła, wskazując pędzelkiem, który trzymała w palcach. – Powiedziała mi, że przyjdzie do nas później – dodała, a potem skupiła całą uwagę na zwoju, nad którym pracowała.

Słyszałem wprawdzie chóralne głosy gwardzistów dochodzące z prowizorycznego placu musztry w rogu naszego obozu, ale było to coś tak zwyczajnego, że nie zwróciłem na nie uwagi. Ale teraz, gdy Bekatha obudziła moją ciekawość, wyszedłem z namiotu i udałem się tam, żeby przyjrzeć się sprawie. Wokół placu musztry zgromadziło się mrowie stajennych, magików, służących, niewolników i innych cywilnych członków naszej grupy. Byli tak pochłonięci oglądaniem tego, co mieli przed oczami, że musiałem ich poszturchiwać kijem, zanim rozsunęli się na boki, żebym mógł przejść. Dotarwszy na skraj pola, zatrzymałem się i zacząłem się rozglądać za Tehuti, ale w pierwszej chwili jej nie dostrzegłem.

Zaras stał zwrócony twarzą do swoich ludzi. Wszyscy mieli na sobie półbroje. Przez podniesione przyłbice hełmów można było dojrzeć ich twarze. Stali na baczność, trzymając wyciągnięte miecze w pozycji „prezentuj broń!”, gołe klingi dotykały ich warg.

– Pozycja do starcia! – ryknął Zaras. – Dwanaście atakujących cię i pchnięć. Raz...

– Raz! – odpowiedzieli chórem jego ludzie i w doskonałym unisono wykonali niskie pchnięcie w lewo, a potem się cofnęli. Klingi błysnęły niczym złoto w nisko wiszącym słońcu.

Nagle mój wzrok spoczął na drobniejszej postaci w środku pierwszego szeregu. Przez chwilę nie wierzyłem własnym oczom. Potem uświadomiłem sobie, że się nie mylę i że to rzeczywiście jest Tehuti. Miała na sobie doskonale dopasowany mundur gwardzisty. Co najmniej trzy spośród jej nubijskich służebnic były doświadczoneymi szwaczkami i mogły uszyć go jej w ciągu jednego wieczoru. Każdy z kowali w pułku mógł przekuć

półbroję tak, żeby pasowała na jej szczupłą figurę. Wymachiwała ciężkim regulaminowym mieczem odlanym dla mężczyzny o połowę potężniejszego od niej.

Miała zarumienione policzki, a włosy mokre od potu, którym nasiąknęła też jej tunika. Byłem załamany. Wyglądała jak chłopska dziewczucha, która spędziła dzień na koszeniu żyta albo na dziobaniu motyką poletka jej męża. Otaczała ją banda nieokrzesanych żołnierzy, a ona zachowywała się tak, jakby nie wstydziała się własnego wyglądu ani nie miała odrobiny szacunku dla swojej sfery i wysokiej pozycji społecznej.

Zgodziłem się naturalnie, żeby brała u Zarasa lekcje szermierki. Przyznaję, że nawet zachęcałem ją do tego. Jednak przyjąłem za rzecz oczywistą, że będzie pobierać te lekcje prywatnie, w miejscu niedostępnym oczom zwykłej hałastry.

Dobrzy bogowie chętnie potwierdzą, że nie jestem snobem, ale bratanie się osób królewskiego rodu z pospólstwem powinno mieć swoje granice.

W pierwszym odruchu chciałem wbiec na plac musztry, chwycić Tehuti za kark, zaciągnąć ją do prywatnej części królewskiego obozu i upomnieć w najsurowszych słowach, żeby w przyszłości ubierała się bardziej stosownie i zachowywała z większą godnością, gdy znajdzie się na widoku publicznym.

Jednak po chwili zwyciężył we mnie rozsądek. Byłem pewien, że przeciwstawi mi się bez wahania wobec całego pułku i pozbawi mnie części szacunku i strachu, z jakimi żołnierze się do mnie odnosili. Stałem i trząsałem się ze zgrozy, ale nie zdecydowałem się na ten śmiały krok.

Przyglądałem się z podziwem, jak z wytrawną zręcznością i wdziękiem zadaje ciosy i przyjmuje kolejne pozycje bitewne. Otaczający ją twardzi wojownicy wyglądali przy niej jak niezdarni oracze. Ani razu nie zgubiła kroku ani rytmu. Gładko przerzucała miecz z jednej dłoni do drugiej, wymierzając pchnięcia i cięcia szybko i dokładnie zarówno lewą, jak i prawą ręką. Jej oblicze przybrało wyraz skupionej i zdecydowanej maski. Fechtunek w jej wykonaniu miał w sobie wiele zręczności

i piękna, a szczupłe dziewczęce ramiona nie zdradzały najmniejszych oznak słabości, gdy wymachiwała ciężką klingą. Kazała jej szeptać i śpiewać pieśń śmiertelnej groźby, wykonując kolejne ćwiczenia. W końcu znieruchomiła niczym posąg z kości słoniowej, zachowując równowagę w pełnym wychyleniu i trzymając miecz tak, jakby był wykonany z pajęczyny, a nie z ciężkiego metalu.

– Spocznij! – rzucił Zaras. Publiczność wybuchnęła pochwalnym chórem, bijąc brawo i tupiąc nogami. Potem jakiś pojedynczy głos wykrzyknął jej imię, dzieląc je na sylaby.

– Tee-huu-tii!

Zawołanie zostało natychmiast podjęte przez innych:

– Tee-huu-tii!

Ich zachwyty były zaraźliwe. Wypełniła mnie duma i miłość do mojej małej podopiecznej. Przyłapałem się na tym, że i mnie ogarnął ferwor uwielbienia dla bohaterki tego widowiska.

– Tee-huu-tii. – Zapomniałem o własnej godności i przyłączyłem się do chóru.

Do Miyah Keiv przybył z północy ostatni jeździec na wielbłądzie. Przywiózł list od pana Remrema informujący mnie, że niebawem jego oddział wyruszy z oazy Zaynab, w której żołnierze odpoczywali od dwóch tygodni.

Remrem zapewnił mnie, że wszystko idzie zgodnie z planem. Nie stracił żadnego człowieka, a tylko jednego wielbłąda, który złamał nogę w walce z innym samcem. Musiał zarznąć to zwierzę i przeznaczyć mięso na racje żywnościowe dla swoich ludzi. Nakłaniał mnie, żebym w jak najszybszym tempie pomaszerował z moją grupą do Zaynab, gdzie ich już nie będzie, a do czasu mojego przybycia woda powierzchniowa zostanie w pełni uzupełniona z podziemnego źródła.

Wydałem Zarasowi odpowiednie rozkazy, ale zwijanie obozu i ładowanie bagaży na zwierzęta zajęło nam jeszcze dwa dni. Znalazłem w tym czasie chwilę, żeby wezwać Zarasa do mojej kwatery. Kazałem mu się rozebrać, żeby sprawdzić, jak przebiega gojenie się ran. Stwierdziłem, że chłopak jest w świetnej kondycji fizycznej. Miałem kłopot ze znalezieniem szwów chirurgicznych, zwłaszcza z uwagi na to, że ciemne owłosienie na jego ciele znacznie urosło i je zakryło. Zapewnił mnie, że pomimo wewnętrznych obrażeń jego jelita funkcjonują równie dobrze, jak przedtem, toteż nie widziałem potrzeby udowadniania, że jest inaczej. Tego samego ranka przyglądałem mu się, jak w pełnej zbroi i z wielkim workiem piachu na ramieniu wracał na czele oddziału z biegu na dziesięć mil.

Wyruszyliśmy z Miyah Keiv późnym popołudniem, gdy słoneczny żar nie był już tak kąśliwy. Jechaliśmy przez całą noc przy świetle przybywającego księżyca, pokonując prawie dwadzieścia mil, i rozłożyliśmy się obozem po wschodzie słońca, gdy żar jego promieni stał się zbyt dokuczliwy. Byłem bardzo zadowolony. Zanim udałem się na spoczynek, obszedłem nowy obóz, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Jestem zawsze zaskoczony, gdy widzę, jak wysoko cenią sobie kilka moich uprzejmych słów nawet najniżej usytuowani ludzie z mojego otoczenia. Często zapominamy o szacunku, z jakim odnoszą się do nas osoby mniej utalentowane niż my sami.

Jednak tym razem mój wewnętrzny spokój legł w gruzach z powodu odgłosów, jakie powitały mnie, gdy wracałem do odgradzonej, królewskiej części obozu. Właściwie to słyszałem je już, gdy byłem dość daleko. Płacz, rozpaczliwe łkania i gorzkie zawodzenia niosły się wyraźnie w pustynnym powietrzu. Ruszyłem biegiem, przekonany, że w naszych progach zagościły tragedia i śmierć.

Gdy wszedłem do środka ogrodzenia, odkryłem, że królewskie służące i słudzy niemal oszaleli z przerażenia. Nie byli w stanie odpowiedzieć na moje naglące pytania. Ich głupota tak mnie zniecierpliwiała, że chwyciłem jedną z nubijskich służebnych za ramiona i zacząłem nią trząść, próbując dobyć z niej odrobinę rozumu. Posunięcie to okazało się bardzo niemądre. Otaczające mnie hałasy tylko się wzmogły.

Prędko puściłem dziewczynę z zapewnieniem, że nie zamierzam jej karać, a potem skierowałem się do środkowego namiotu, który należał do Tehuti. Wszedłszy do środka, musiałem utorować sobie drogę przez ciżbę głośno lamentujących niewiast, żeby dostać się w pobliże księżniczki, która spoczywała na swoim posłaniu. Leżała na brzuchu, ukrywając twarz w dłoniach. Całe jej ciało wstrząsały łkania.

Gdy tylko usłyszała mój głos, wyskoczyła z posłania i rzuciła mi się w ramiona.

– O co chodzi, moja mała? Czy ktoś umarł? Co tak strasznego ci się przydarzyło?

– Mój pierścień! Zgubiłam mój pierścień... i... jestem pewna, że ktoś go ukradł.

– Jaki pierścień? – Na moment popadłem w kompletną dezorientację.

Tehuti uniosła lewą rękę, prostując wszystkie palce.

– Zniknął mój magiczny pierścień z diamentem, który przywiozłeś mi z fortu w Tamiacie.

– Uspokój się. Znajdziemy go. – Poczulem ulgę, widząc, że to nieszczęście nie jest znowu takie wielkie.

– Ale co będzie, jeśli nie uda ci się go znaleźć? To jest coś, co kocham najbardziej na całym świecie. Zabiję się, jeśli się nie odnajdzie.

– Po pierwsze, każ tym wszystkim kobietom stąd wyjść, żebyśmy mogli porozmawiać spokojnie i rzeczowo. – Musiałem sięgnąć po kij i użyć najbardziej przekonujących argumentów, żeby usunąć z namiotu gdakające kobiety. Następnie wróciłem do posłania Tehuti, usiadłem obok i ująłem ją za rękę.

– Powiedz mi teraz, gdzie i kiedy widziałaś go po raz ostatni – poprosiłem.

Przez chwilę Tehuti zastanawiała się nad moim pytaniem. Przyglądając się jej twarzy, zauważyłem, że pomimo wszystkich tych szlochów, lamentów i gróźb, że popełni samobójstwo, w jej ślicznych oczach nie ma łez. Teraz, gdy zostaliśmy sami, odniosłem wrażenie, że jest nawet dość spokojna, a nawet zadowolona z siebie. Obudziło to natychmiast moje podejrzenia.

– Och, tak! Już pamiętam! – Jej oblicze rozjaśniło się w teatralnym odprężeniu. – Teraz sobie przypominam. Wiem, gdzie musiałam go zgubić. Wczoraj po południu, tuż przed opuszczeniem Miyah Keiv, Bekatha i ja poszłyśmy popływać po raz ostatni w skalnym jeziorku. Pamiętam, że przed wejściem do wody zsunęłam pierścień z palca i położyłam go w tej samej skalnej szczelinie co zawsze, żeby go nie zgubić. Musiałam go tam zostawić.

– Jesteś pewna? Nie zgubiłaś go w innym miejscu? – spytałem z poważną miną, udając, że wierzę jej kłamstewkom i fantazjom.

– Tak, jestem tego pewna. Nie, nie mogłam go zgubić gdzie indziej – zapewniła mnie z taką samą powagą.

– W takim razie to bardzo proste. – Uśmiechnąłem się do niej. – Twoje zmartwienia się skończyły, Tehuti. Wyślę pułkownika Haya z powrotem do Miyah Keiv, żeby go odszukał. Jeśli pojedzie na swoim najlepszym koniu, to do jutra rana powinien już wrócić.

– Ale... – Na jej twarzy pojawiło się zniechęcenie. Załamała ręce ze zmartwioną miną. – Nie... nie chcę, żebyś posyłał tam Haya.

– Dlaczego? – spytałem niewinnym tonem. – To porządny człowiek.

– Myślę... – Urwała, starając się znaleźć przekonywający argument. Zostawiłem jej dość czasu na wymyślenie następnego wybiegu.

– Trudno będzie mi opisać Hayowi dokładnie miejsce, w którym go zostawiłam. Jest cudzoziemcem i niezbyt dobrze mówi po egipsku.

Nie spuszczałem z niej oka. Zauważyłem, że unika mojego wzroku.

– Może i ma cudzoziemski akcent, ale wystarczająco dobrze mówi naszym językiem, żeby dowodzić pułkiem. – Odrzuciłem jej wymówkę, ale nie dała za wygraną i błyskawicznie zebrała myśli.

– Nie mam zaufania do Haya. Wiesz przecież, jak upokorzył biedną małą Bekathę. Prawdopodobnie ukradnie mój pierścień. Nie położyłabym nic w zasięgu jego rąk.

– W takim razie powinnaś może raczej sama wrócić do tej jaskini, żeby go odszukać.

– Nie pomyślałam o tym! – wykrzyknęła z zapalem, widząc, że doszedłem do właściwego wniosku, na którego trop naprowadzała mnie przez cały czas. – Masz rację, Taito. Będę musiała pojechać sama.

– Ale nie możesz pojechać sama. Muszę wysłać kogoś, żeby ci towarzyszył. Oczywiście nie Haya, bo nie ufasz cudzoziemcom. – Udałem, że zastanawiam się nad sprawą. – Posłałbym pana Remrema, ale niestety nie ma go tutaj. W każdym innym momencie sam pojechałbym z tobą, ale bolą mnie plecy i muszę dać im odpocząć. – Sięgnąłem obiema rękami do krzyża i wydałem cichy jęk bólu.

– Mój biedny Taito! Nigdy bym nie dopuściła, żebyś nadwerężył się jeszcze bardziej – powiedziała, wpatrując się z niepokojem w moją twarz.

– Mam! – wykrzyknąłem. – Będę musiał wysłać z tobą kapitana Zarasa!

Tehuti spuściła oczy. Była pewna, że ją nabieram, i znalazła w sobie dość wdzięku, żeby okazać zakłopotanie. Ale spojrzała na mnie i stwierdziła, że mam niewinną minę. Przestała udawać i zachichotała przymilnie. A potem zarzuciła mi ręce na szyję i ścisnęła tak mocno, że aż mnie zaboląło.

– Kocham cię, Taito – szepnęła. – Naprawdę, szczerze cię kocham.

Uścisnąłem ją równie mocno.

– Byłoby rozsądniej, gdybyś zostawiła ten stary brzydki pierścień u mnie, żeby naprawdę nie zsunął ci się z palca – szepnąłem jej na ucho.

Tehuti sięgnęła ręką do rękawa. Kiedy wyjęła ją z powrotem, była zaciśnięta w pięść. Uniosła ją prowokacyjnym gestem na wysokość moich oczu.

– Powierzyłabym ci wszystko, co mam, z wyjątkiem tego.

Otworzyła dłoń i w jej zagłębieniu ujrzałem sławetny pierścień z diamentem.

– Kiedy wrócę, będę go miała na palcu i nigdy więcej go nie zdejmę. Zawsze będzie symbolem mojej miłości do Zarasa. Nawet jeśli obowiązek zmusi mnie do zrezygnowania z niego na zawsze, ten pierścień pozostanie ze mną i będzie mi go przypominał.

Godzinę później odjechała z Zarasem. Popędzali konie na południe z taką niecierpliwością, że błyskawicznie znikli za

odległą wydmą, a ich osobista ochrona została pół mili za ich plecami.

Czułem się tylko trochę winien tego skandalicznego zaniedbania obowiązków. Ale mój grzech przesłoniło poczucie dumy, że mogłem podarować te przelotne chwile szczęścia dwojgu tak bardzo mi drogich młodych ludzi.

Nie spodziewałem się po obojgu, że będą się spieszyć z powrotem z Miyah Keiv, żeby dołączyć do karawany. I nie sprawili mi zawodu. Czekaliśmy w oazie Zaynab prawie tydzień, zanim w końcu wrócili.

Gdy zsiadli z koni przed moim namiotem wodza, Tehuti szepnęła do Zarasa:

– Zaczekaj tu, zaraz wracam. Muszę porozmawiać z nim sama.

Stali w pełnym słońcu, więc nie mogli zauważyć, że przyglądam się im z cienistego wnętrza namiotu. Ale potrafiłem odczytać wszystko z ust Tehuti, choć o tym nie wiedziała.

Pobiegła w kierunku wejścia do namiotu. Gdy zobaczyła, że wychodzę jej na spotkanie, wydała cichy okrzyk radości i rzuciła się w moje ramiona. Obejmując ją, zdałem sobie sprawę, że w ciągu tych paru dni dokonała się w niej cudowna przemiana. Aż dotąd była dzieckiem, teraz zaś stała się w pełni dojrzałą kobietą. Bezwartościowy metal zamienił się w królewskie złoto.

– Znalazłaś to, po co tam pojechałaś? – zapytałem, nie wypuszczając jej z ramion.

– Och, tak, znalazłam. – Uniosła rękę do moich oczu. Błysnął diament w pierścieniu, ale nie tak jasno jak jej oczy. – Uwielbiam go. Ale jeszcze bardziej kocham inny skarb, który znalazłam w tamtej jaskini.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli rozwodzić się nad tym – przerwałem jej pospiesznie i wysunąłem się z jej objęć. – Nie

chcę o tym słyszeć.

– Ale ja zamierzam opowiedzieć ci wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami, bo jest to najcudowniejsza rzecz na świecie, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła – oświadczyła z najwyższą szczerością.

Wyjrzałem przez wejście do namiotu. Biedny Zaras ciągle tam stał z miną winowajcy, całkiem jak mały chłopczyk, którego przyłapano w ogrodzie na kradzieży jabłek i oczekuje za to porządnego lania. Postanowiłem nie poruszać więcej tego tematu.

Łączyły mnie z Tehuti tak bliskie duchowe więzy, że coś z jej ekstatycznego nastroju zdawało się udzielać również i mnie, a ode mnie przeszło na resztę naszej kompanii.

Obozowisko zamieniło się w szczęśliwe miejsce wypełnione uśmiechami i wybuchami radości. Byłem mile zaskoczony dyskrecją, z jaką Tehuti i Zaras kontynuowali swój romans. Myślę, że byłem prawdopodobnie jedyną osobą, która wiedziała o jego istnieniu. Nawet Bekatha, której oczom umyka bardzo niewiele spraw, zdawała się nie mieć o nim pojęcia. Byłem zadowolony, a nawet dumny z tego, że postanowiłem być raczej strażnikiem ich miłości niż przeszkodą dla niej. Przypominało mi to dawne czasy, kiedy odgrywałem tę samą rolę w romansie ojca i matki Tehuti.

Pobyt w oazie Zaynab wydał się nam wszystkim zbyt krótki. Jednak musieliśmy ruszać w dalszą drogę. Tydzień po tygodniu pokonywaliśmy trasę wiodącą przez wspaniałe pustkowia, które Remrem wraz z oddziałem przebył przed nami. Jak żadne inne miejsce na świecie, pustynia ma w sobie piękno i dostojeństwo, które uspokajają szalone serca i przybliżają nas do bogów. Był to jeden z najbardziej pamiętnych i satysfakcjonujących okresów mojego życia.

Ale z każdym odcinkiem drogi ku północy przybliżaliśmy się do pana Remrema i jego kolumny, aż w końcu dopędziliśmy go i połączyliśmy znowu nasze siły. Wszystko to było częścią moich troskliwie opracowanych planów. Połączenie nastąpiło w chwili,

gdy znajdowaliśmy się tylko czterdzieści mil na południe od Eufratu, choć nie było żadnych oznak, że tak potężna rzeka płynie tak blisko przed nami. Wciąż otaczały nas gołe, usiane skałami wzgórza i piaszczyste, spalone słońcem doliny.

Jednooki przewodnik Al Namjoo przyprowadził nas do ostatniej oazy przed dotarciem do rzeki. Miejsce to nazywało się Khrus. Znajdował się tu zespół około piętnastu studni dostarczających dobrej słodkiej wody, z której korzystała ludna wioska i która służyła rozległym plantacjom palm daktylowych i innych upraw. Wody było pod dostatkiem, żeby umożliwić również krótki pobyt dużej liczbie ludzi i zwierząt należących do naszej karawany.

Gdy rozbiliśmy już obóz, przyszedł do mnie Al Namjoo, na którego brzydkiej gębie malowała się jeszcze bardziej ponura mina niż zwykle.

– Czcigodny panie Taito! – zaczął, kłaniając się przede mną. Domyślałem się, że po egzekucji jego zdradliwego syna tak służalcze zachowanie może zapowiadać jedynie jakieś horrendalne żądanie albo wyjątkowo niemile i zasmucające oświadczenie.

– Droga dla karawan od tego miejsca do chaldejskiego miasta Ur nad brzegiem rzeki Eufrat jest uczęszczana i wyraźnie zaznaczona. Rzeka jest już niedaleko. Nie jest możliwe, żebyście skręcili gdzieś w bok, panie – powiedział.

– W takim razie, Al Namjoo, nie będziesz miał kłopotów z zaprowadzeniem nas do Ur, zgodnie z tym, cośmy ustalili, prawda?

– Potężny panie Taito, odwołuję się do twojego zrozumienia i współczucia. Nie mam odwagi wejść do miasta Ur. Kosztowałoby mnie to więcej, niż warto jest moje nędzne życie. Mam tam śmiertelnych wrogów. Ci Akadowie to mściwi i niebezpieczni ludzie. Błagam cię, panie, żebyś mnie zwolnił i pozwolił mi wrócić na południe do Zuby, żebym mógł tam opłakiwać mojego najstarszego syna. – Otarł łzę w kąciку pustego oczodołu. Nie był to przyjemny widok.

– Oczywiście chcesz, żebym ci wypłacił pełne wynagrodzenie, jakie uzgodniliśmy? – zapytałem.

Al Namjoo rzucił się na kolana i zaczął wyrywać kępkę kręconych włosów z brody.

– Jesteś moim ojcem i moim panem. Decyzja należy do ciebie, ale ja jestem biednym człowiekiem. Muszę się zająć wdową po Harounie i wszystkimi jej dziećmi. Los nie był dla mnie łaskawy. – Słuchałem litanii jego nieszczęść, zastanawiając się nad tą prośbą. Nie mogłem pominąć faktu, że był ojcem zdradzieckiego syna i że zwykle syn jest ulepiony z tej samej gliny co rodzic. Z drugiej strony, zmusiłem go, żeby zabił własne dziecko. Zadawałem sobie pytanie, czy w ten sposób nie wyrównaliśmy rachunków? Być może dość się już nacierpiał?

Jestem z natury uprzejmy i hojny, ale być może jest to raczej wadą niż cnotą. Wzruszyłem ramionami i powiedziałem:

– Wykonałeś dla mnie dobrą robotę, Al Namjoo. Możesz odejść z moim błogosławieństwem. – Otworzyłem sakiewkę i wyjąłem z niej dwa srebrne memy. Upuściłem je w jego złożone dłonie. Potem pozwoliłem mu ucałować moje stopy i odejść.

Cztery dni później stałem na niskim wzgórzu powyżej chaldejskiego miasta Ur i po raz pierwszy spojrzałem na nie i na zielonkawy Eufrat. Zasmuciło mnie, że rzeka jest szersza niż nasza matka Nil, gdyż aż do tego czasu nigdy nie wątpiłem, że mamy największą rzekę na świecie.

Brzegi Eufratu, jak okiem sięgnąć w obu kierunkach, porośnięte były gęstymi lasami. Borom tym wydarto szerokie pola uprawne. Po surowym pustynnym krajobrazie, wśród którego podróżowaliśmy tak długo, te przestrzenie bujnej zieleni były rozkoszą dla oczu. Poniżej, na brzegu rzeki, rozłożyło się miasto Ur. W jego środku wznosił się wielki ziggurat, świątynia poświęcona Isztar, głównej bogini mieszkańców Sumeru i Akadu. Była to budowla w kształcie piramidy opatrzona pięcioma coraz mniejszymi tarasami rozmieszczonymi jeden powyżej drugiego. Służyła nie tylko jako świątynia, ale była również schronieniem

dla kapłanów i kapłanek, gdy rzeka występowała z brzegów i zalewała okolicę.

Ruszyliśmy do miasta drogą prowadzącą w dół. Jechałem na czele kolumny, mając obok siebie pana Remrema i księżniczki. Zanim dotarliśmy do podnóża wzniesienia, z głównej bramy miejskiej wyłoniła się procesja kapłanów i kapłanek, którzy wyszli nam na spotkanie.

Chociaż Babilon odległy był tylko o sto dwadzieścia mil w górę rzeki, nie chciałem przybywać do stołecznego miasta króla Nemroda natychmiast po przebyciu pustyni. Zależało mi, żeby wyrzucić na Sumerach wrażenie bogactwa i pompy. W naszym obecnym stanie, nadwerżonym podróżą, wyglądaliśmy raczej jak pustynni Beduini, a nie jak przedstawiciele jednego z największych i najzamożniejszych narodów świata.

Gdy procesja się przybliżyła, rozpoznałem kroczącego na jej czele pana Phat Tura, który siedł pomiędzy arcykapłanem i kapłankami świątyni. Był egipskim posłem w Sumerze i poznaliśmy się dawno temu, nim jeszcze opuścił Teby, żeby objąć swoje obecne stanowisko. Miałem pewność, że dobrze przygotował nasze przybycie do Babilonu, ponieważ zawsze zdawał się godnym zaufania urzędnikiem. Zsiadłem z wielbłąda, żeby się z nim ciepło przywitać. Idąc razem w kierunku czerwonych murów miejskich, gawędziliśmy jak starzy przyjaciele.

– Zgodnie z twoją prośbą, Taito, wynająłem dziesięć dużych, wygodnych barek rzecznych, żeby powiozły ciebie, księżniczki i głównych członków waszej delegacji w górę rzeki do Babilonu, gdy tylko będziecie gotowi do wyruszenia. Oczywiście chętnie dotrzymam wam towarzystwa. Ale tymczasem proponuję z szacunkiem, żeby większa część waszej karawany ruszyła przodem drogą do Babilonu i tam zaczekała na wasze przybycie.

Gdy rozgościliśmy się w pomieszczeniach, które Phat Tur urządził dla nas w wielkim zigguracie, słońce już zachodziło. Zostawiłem księżniczki z ich służebnicami, żeby rozpakowały wszystkie kobiece fatałaszki i ozdoby, jakie przywiozły ze sobą

z Teb. W końcu mogły zacząć się stroić, muskać i szykować do przybycia na dwór króla Nemroda w Babilonie.

Wyjaśniłem królewskim damom, jak ważną rzeczą jest, żeby pokazały się z jak najlepszej strony i olśniły zarówno Jego Wysokość króla Nemroda, jak i posła z Krety, który będzie później referował wszystko swojemu panu, Najwyższemu Minosowi.

Tego wieczoru jadłem kolację z Phat Turem i Remremem. Usiedliśmy na szerokim tarasie zigguratu pod sklepieniem gwiazd i zaspokoiliśmy nasze apetyty olbrzymim złotym okoniem rzeczonym, który był długi jak moja ręka i został tego ranka złowiony w sieć w Eufracie. Popiliśmy soczyste różowe mięso kilkoma pękatymi flaszkami przyjemnego czerwonego wina z winnic znajdujących się na brzegu rzeki.

Po jedzeniu mogliśmy skoncentrować się na moich wielkich planach doprowadzenia wojny przeciwko Hyksosom do jej ostatecznego zakończenia.

– Jak o tym dobrze wiecie, moim zamiarem jest wciągnąć zarówno króla Nemroda, jak i Najwyższego Minosa do wojskowego przymierza z naszym ukochanym faraonem. Gdy tylko osiągniemy ten cel, król Gorrab znajdzie się między kowadłem a trzema wielkimi młotami, które będą go walić dopóty, dopóki go nie unicestwią.

– Jak zwykle, mój dobry Taito, urzekasz doborem słów, ale są one nieszczególnie budujące. Nie mam zupełnej jasności co do tego, kto ma być tym kowadłem, a kto młotami, o których z taką swadą opowiadasz – sprzeciwił się Remrem.

Westchnąłem w duchu. Czasami rozmowa z Remremem przypomina wchodzenie z kaleką na górę. Trzeba mu pomagać przy każdym kroku.

– Musisz mi wybaczyć. Użyłem metafory. Powinienem wyrazić się jaśniej. Kowadłem jest pustynia Sahara, a młotami armie Krety, Sumeru i naszego Egiptu.

– W takim razie to, co być może miałeś na myśli, oznacza, że powinniśmy okrążyć Gorraba – wyłożył mi pedantycznie

Remrem. – Twoja aluzja do młotów i kowadeł była cokolwiek myląca. Zawsze lepiej jest wyrażać się zwyczajnie i jasno, nie sądzisz?

– Niewątpliwie tak, i jestem ci wdzięczny, mój panie, za twoją uczoną radę – odparłem z takim opanowaniem, że zdziwiło to mnie samego. – Jednakże myśl, którą próbowałem wyrazić, sprowadza się do tego, że ani Kreta, ani Sumer nie pałą się do podjęcia walki przeciwko Hyksosom tak mocno jak my. – Z uczuciem ulgi przeniosłem uwagę z Remrema na Phat Tura. – Bardzo bym chciał usłyszeć twoje zdanie na temat stanowiska króla Nemroda. Być może mógłbyś rzucić na tę sprawę nowe światło.

– Z wielkim utęsknieniem czekałem na okazję spotkania się z tobą twarzą w twarz, żeby wyjaśnić ci sprawy pełniej, niż to było możliwe za pośrednictwem listów wędrujących na gołębiczych nóżkach. – Phat Tur pochylił z szacunkiem głowę. – Wiesz oczywiście, że Nemrod odziedziczył koronę po ojcu, królu Marduku, gdy ten zmarł czternaście lat temu.

– Tak – potwierdziłem. – Wiem o tym wszystkim.

– Król Marduk poświęcił ostatnie trzydzieści lat swego panowania na przebudowę Babilonu i przekształcenie go w najpiękniejsze i najwspanialsze miasto na świecie.

– Rzeczywiście, słyszałem, że Marduk podjął szeroko zakrojone prace. Jednak wątpię, aby Babilon dorównał kiedykolwiek wspaniałością Tebom.

– W takim razie myślę, że czeka cię niespodzianka. – Phat Tur się uśmiechnął. – Uważa się powszechnie, że król Marduk wydał na ten projekt przeszło sześćset lakhów w srebrze. Pewne jest natomiast, że za sprawą tej swojej obsesji ogołocił skarbiec.

Popatrzyłem na niego w zamyśleniu. Udzielenie odpowiedzi zajęło mi dłuższą chwilę.

– Byłem skłonny przypuszczać, że Sumer jest równie bogaty, jak Kreta, jeśli nie bogatszy? – odparłem w końcu, kręcąc z powątpiewaniem głową.

– Tak. Tak myśli większość ludzi. Mieszkam w Babilonie od pięciu lat i z początku również wierzyłem w mit wielkiego bogactwa Sumeru. Dopiero bardzo niedawno poznałem prawdę. Król Nemrod nie ma dość funduszy, żeby opłacić własnych ministrów. Jego służba cywilna znajduje się w opłakanym stanie. Armia jest sparaliżowana wskutek braku broni i wyposażenia. Żołnierze dezercerują całymi formacjami, ponieważ nie jest w stanie wypłacić im żołdu. Prawdopodobnie nie mógłby podjąć ofensywy przeciwko Hyksosom, nawet jeśli jest w pełni świadom faktu, że jeżeli tego nie zrobi, wpędzi swój kraj w śmiertelne zagrożenie. – Zarówno Remrem, jak i ja wpatrywaliśmy się w niego bez słowa.

Remrem miał zasmuconą minę. Zdawałem sobie sprawę, że jego zdaniem cały nasz projekt wali się w gruzy. Wcześniej był pewien, że król Sumeru Nemrod zostanie naszym potężnym sprzymierzeńcem. Ale Phat Tur pracowicie niszczył tę nadzieję.

Za to mnie ogarnęło uniesienie. Ukazała mi się jasno otwierająca się przed nami droga. Nemrod był bankrutem. Tracił swoją armię i kraj. Z pewnością był zrozpaczony. Miałem prawie dziesięć lakhów srebra ukrytych w podwójnych dnach wozów oraz w workach uwiązanych do siodeł wielbłądów, a do tego setki lakhów ułożonych w stosy w skarbcu faraona w Dolinie Królów. Król Nemrod i jego Sumer należeli już do nas. Byłem w stanie podyktować naszą cenę. Nemrod nie odważy się odrzucić mojej oferty.

Miałem w ręku mój pierwszy młot, na przekór zarzutom i czepiani się Remrema, że wyrażam się zbyt górnolotnie. Drugi młot czekał na mnie na Krecie. Powinien kosztować bardzo niewiele srebra, ale mogło się okazać, że jego cena w postaci cierpień i złamanych serc będzie wręcz zdzierstwem.

Następnego ranka ogarnął mnie entuzjastyczny nastrój, gdy Rustie obudził mnie, przynosząc śniadanie, a wraz z nim puchar mojego ulubionego wina. Rozcieńczyłem wino wodą różaną i popijałem je, spacerując po tarasie i spoglądając w dół na potężną rzekę, która od zarania dziejów była centralnym punktem historii.

Ale pomimo zdobytych niedawno informacji na temat niewypłacalności króla Nemroda, rozciągającego się przed moimi oczami wspaniałego widoku na rzekę i odległe ośnieżone szczyty gór oraz wybornego wina w moim kielichu czułem, że ten nastrój się ulatnia. Byłem pewien, że przeoczyłem coś ważnego, ale to coś uciekało mi niczym moskit brzęczący wokół głowy i choć próbowałem, nie byłem w stanie tego zidentyfikować.

Obszedłem taras po raz kolejny, a potem nagle zatrzymałem się w pół kroku, z uniesioną lewą nogą. Rustie wpatrywał się we mnie z niepokojem.

– Coś jest niedobrze, panie mój? – zapytał.

Opuściłem nogę na posadzkę.

– Nic tak poważnego, że nie dałoby się tego rozwiązać – zapewniłem go. Podszedłem do stołu, który służył mi za biurko, i napisałem szybko kilka słów na skrawku papirusu. Złożyłem go, zapieczętowałem i wręczyłem Rustiemu. – Proszę, zanieś to natychmiast Jej Królewskiej Wysokości księżniczce Tehuti i dopilnuj, żeby otrzymała ten list do rąk własnych. A potem idź

do nadzorcy parobków stajennych i powiedz mu, żeby osiodłał dwa najlepsze konie i wyprowadził je na dziedziniec, niech czekają na mnie. Będę tam zaraz, jeśli nie prędezej. Nie chcę, żeby kazano mi czekać.

Rustie pospieszył, żeby wykonać moje polecenie.

Nie mogłem zrobić tego, co zamierzałem, wewnątrz zigguratu. Byłem pewien, że są tu sekretne pomieszczenia wbudowane w kamienne ściany, a także ukryte okna i miejsca do podsłuchiwania, obsadzone przez sługi Nemroda lub przynajmniej arcykapłana. Wyobrażałem sobie, z jaką uciechą donieśliby swoim panom, że wiozę ze sobą przejrząły owoc.

Wysączyłem resztę wina z kielicha w znacznie mniej ceremonialny sposób, niż na to zasługiwało, i pospieszyłem do mojego pokoju, żeby wdziać płaszcz do jazdy konnej. Potem zszedłem do stajni na tyłach zigguratu. Tehuti kazała mi czekać niecałe pół godziny, ale gdy wreszcie się zjawiała, była wesoła i roześmiana. Jej śliczna buzia promieniowała szczęściem i świetnym nastrojem, pojawiło się w niej także nowe i delikatne piękno, którego nie widziałem nigdy dotąd. Podbiegła, żeby mnie objąć, wspięła się na czubki palców i szepnęła mi do ucha:

– Rustie twierdzi, że masz dla mnie niespodziankę. Dlatego wolałam nie mówić pozostałym dziewczętom, że idę na spotkanie z tobą. – Roześmiała się, patrząc mi w oczy. – Powiedz mi! Powiedz! Wiesz, że nie cierpię sekretów, mój drogi Taito...

– Udajmy się w miejsce, w którym będziemy mogli być sami. – Pomimo jej nalegań i gróźb, że nie wytrzyma i umrze z ciekawości, podsadziłem ją na siodło, a potem pogalopowałem przodem na brzeg Eufratu. Kiedy wjechałem na flisacką dróżkę, zwolniłem do stępa i zaczekałem, aż Tehuti zrówna się ze mną.

– Jak możesz być tak okrutny? Wiem, że masz dla mnie prezent. Przysięgam na moją miłość do Ozyrysa, że nie zniosę tej tortury ani chwili dłużej.

– Tym razem nie mam dla ciebie prezentu. Wszystko, co mam, to tylko jedno proste pytanie. Ile czasu upłynęło od chwili, gdy wróciłaś razem z Zarasem z groty Miyah Keiv?

– Och, to łatwo policzyć. Czterdzieści trzy dni i... – urwała i spojrzała na słońce, żeby ocenić jego wysokość – ...i około siedmiu godzin.

Kiwnąłem głową, nie uśmiechając się.

– A czy od tamtej pory zauważyłaś, że czegoś ci brakuje?

– Och, nie! Popatrz! Mam ciągle mój magiczny pierścień. – Wyciągnęła rękę w moją stronę i diament na jej palcu błysnął niemal równie jasno jak jej oczy.

Nie odwzajemniłem jej uśmiechu, ale popatrzyłem obojętnie w te śliczne oczęta. Po krótkiej chwili mojego milczenia radość, która oblewała jej buzię, znikła. W jej miejsce pojawiło się zakłopotanie, a potem nagle uświadomiła sobie dokładnie, dokąd zmierzają moje pytania. Spojrzała w bok.

– Zapomniałaś mi powiedzieć, prawda, Tehuti? – spytałem bezlitosnym tonem. – Prawie od miesiąca nie miałaś czerwonego księżyca i próbowałaś ukryć to przede mną, chociaż dałaś mi słowo.

– Nie chciałam cię oszukać – szepnęła. – Chciałam tylko, żeby moje dziecko żyło we mnie trochę dłużej. Ale powiedziałabym ci o tym, Taito, naprawdę bym to zrobiła.

– Tak – potwierdziłem. – Jestem pewien, że powiedziałaś mi o tym, kiedy byłoby już za późno. Przez swoje bezmyślne samolubstwo stawiasz własne życie i tron Egiptu w zagrożeniu.

– Nie zrobię tego nigdy więcej, drogi Taito. – Głos uwiązł jej w gardle i odwróciła się ode mnie, żeby ukryć łzy. Wytarła je z oczu wierzchem dłoni, na której miała pierścień z diamentem.

– Tak twierdzisz... – Byłem zły i nie próbowałem tego ukryć. – Chodź teraz ze mną.

– Dokąd pojedziemy?

– Z powrotem, do mojej kwatery w zigguracie.

Miałem gotowy wywar, który zaparzyłem, zanim zszedłem do stajni, żeby się z nią spotkać. Zagotowałem we wrzątku suszoną korę ciernistej akacji, którą przywiozłem z dzikiego kraju za kataraktami matki Nil. Gdy dotarliśmy do moich pokoi, jadowite soki już ostygły. Wprowadziłem Tehuti do sypialni i posadziłem

ją na łóżku. Podałem jej kubek i kazałem jej wypić czarny wywar do ostatniej kropelki. Wiedziałem, że ma smak gorzki jak żółć, ale nie zamierzałem jej oszczędzać. Trzy razy zakrztusiła się i była bliska wymiotowania, ale nie ustępowałem.

Zlitowałem się nad nią dopiero wtedy, gdy kubek był pusty. Jej twarz zbielała tak, że przypominała kość wysuszoną na słońcu, a oczy były przekrwione i zalane łzami.

– Tak mi przykro, Taito. Postąpiłam niegodziwie i głupio. Zawiodłam twoje zaufanie i wiem, że nigdy mi tego nie wybaczysz.

Usiadłem koło niej, wziąłem ją w ramiona i zacząłem kołysać, dopóki nie przestała szlochać. Kiedy zasnęła, przykryłem ją futrzaną derką i zszedłem na dół, żeby porozmawiać z pozostałymi dwoma dziewczętami. Wyjaśniłem im, że Tehuti została zaatakowana przez zaraźliwą i niebezpieczną gorączkę, a ponieważ mogłyby się od niej zarazić, nie mogę pozwolić im na odwiedzanie jej, dopóki nie wyzdrowieje.

Wróciłem do Tehuti i przez kilka następnych pełnych udręki dni i nocy nie odstępowałem jej na krok. Za dnia czytałem jej, grałem na lutni i śpiewałem jej ulubione ballady. W nocy kładłem ją w moim łóżku i pielęgnowałem jak chore dziecko, dopóki nie poskutkował usypiający napój, który jej podałem.

Trzeciej nocy obudziły mnie jej bolesne jęki i narzekania. Wziąłem ją w ramiona i zacząłem kołysać, przez cały czas mrucząc czułości i słowa zachęty, dopóki nie poczułem, że zaczynają się skurcze macicy. Potem rozmasowałem jej brzuch, żeby złagodzić bóle i pomóc dobrym bogom w wydaleniu z jej łona nieżywego maleństwa.

Gdy w końcu wypchnęła je w strumieniu krwi i śluzu, uniosła się na łokciach i poprosiła:

– Pozwól mi popatrzeć na nie. Pozwól mi zobaczyć moje małe dziecko.

Umocowany do łożyska maleńki, skąpany w śluzie i krwi homunkulus był tak obrzydliwy, że jego widok straszylby ją przez resztę życia, byłem tego pewien. Nie mogłem spełnić jej

błagań. Wrzuciłem martwą drobinę do srebrnego kielicha do wina i gdy tylko zapadła noc, zszedłem z nim do stajni i pojechałem w głąb lasów, które porastały brzegi rzeki. Pochowałem go w tym małym srebrnym sarkofagu u stóp ogromnego płatana. Klęknąłem obok niezaznaczonego grobu i pomodliłem się do Izydy, bogini dzieci, żeby zatroszczyła się o jego małą duszyczkę.

Wróciłem do mojej sypialni w zigguracie. Myślałem, że Tehuti śpi, ale gdy wsunąłem się obok niej do łóżka, ciągle płakała. Przycisnąłem ją do siebie, odczuwając żal, że zadałem jej tyle bólu i sam popełniłem grzech, gasząc tę cenną iskrę życia skrzesaną przez mężczyznę i kobietę, których tak mocno kochałem.

W zigguracie w Ur spędziliśmy jeszcze dwanaście następnych nocy. Do tego czasu Tehuti wydobyła się już z tragicznych przeżyć. Jej uroda pozostała nienaruszona.

Rankiem ostatniego dnia wyjechałem konno przez miejską bramę razem z panem Remremem. Nasza karawana obozowała tuż za murami miasta. Namioty zostały złożone, bagaże załadowane na juczne zwierzęta i całe towarzystwo było gotowe do wyruszenia w ostatni, krótki etap długiej podróży do Babilonu.

Na Remrema czekał w szyku oddział jego straży osobistej. Pomachałem mu ciepło na pożegnanie. Mimo że jest to świetny żołnierz i rycerski człowiek, nawet krótkie przebywanie w jego towarzystwie może dać się porządnie we znaki. Spędzoną z nim godzinę można odczuć tak, jakby to był miesiąc. Byłem zadowolony, że już odjechał.

Czekałem, aż wraz z otaczającymi go oficerami zajmie miejsce na czele karawany. Uniósł prawą rękę i rogi zagrały sygnał do wymarszu. Bęben zaczął wybijać rytm i jego oddział odmaszerował. Zawróciłem konia i z lekkim sercem pojechałem z powrotem do Ur.

Gdy zjechałem nad rzekę, księżniczki oraz ich świta czekały na nabrzeżu. Barki, które wynajął Phat Tur, stały zakotwiczone na środku rzeki. Udekorowano je barwnymi chorągiewkami i flagami. Zsiadłem z konia i objąłem moje dwie podopieczne, a w

tym samym momencie czołowa barka podniosła kotwicę i skierowała się do nabrzeża, żeby rozpocząć załadunek.

Phat Tur dobrał załogi z właściwą sobie sprawnością. Wprowadził księżniczki na pokład pierwszej barki i powiódł je pod baldachim na rufie, gdzie znajdowały się pośłania, na których mogły spędzać godziny dzienne. Służący podali im w złotych kielichach sorbety na miodzie, chłodzone lodem przywiezionym w specjalnie izolowanych skrzynkach na szybkich wozach ze szczytów gór Zagros. Dziewczęta nigdy dotąd nie kosztowały niczego tak słodkiego i chłodnego, dlatego były zaskoczone i aż popiskiwały z uciechy.

Wiał świeży, pomyślny wiatr, który wypełnił żagle i dał wytchnienie wioślarzom, popychając barki w górę potężnej rzeki. Na otwartym pokładzie przygrywali muzycy, popisywali się klauni i żonglowali cyrkowcy. Zagrałem z Bekathą partię bao i pozwoliłem jej wygrać, a Zaras sprawił przyjemność Tehuti, recytując swój najnowszy poemat. Nie dorównał jednak poziomem wysokim standardom ustanowionym w opowiadaniu o ścierających się legionach i walkach na śmierć i życie. W miejsce bitewnego zgiełku pojawiły się cierpienia złamanych serc i niezaspokojone namiętności, wyciskając łzy z oczu co najmniej jednej słuchaczki z królewskiego audytorium, ale ja wcale się nimi nie wzruszyłem i życzyłem sobie nawet, żeby czym prędzej się skończyły.

Gdy nie byliśmy zajęci zabawianiem księżniczek, Phat Tur i ja prowadziliśmy knowania, obmyślając najłatwiejsze sposoby przejęcia dowództwa nad legionami i wozami bojowymi króla Nemroda. Pod nieobecność pana Remrema, który z pewnością opóźniłby znalezienie właściwych rozwiązań, zdołaliśmy wygładzić, udoskonalić i wykończyć nasze plany na długo przed tym, nim czołowa barka pokonała ostatni zakręt rzeki i naszym oczom ukazał się Babilon w całej swej wspaniałości.

Tym razem, jak w bardzo nielicznych momentach mojego życia, byłem naprawdę oszołomiony i zdumiony. Od razu zdałem sobie sprawę, że opisy tego miasta, które lekceważyłem, traktując je jako mocno przesadzone, były raczej niedopowiedziane i powściągliwe.

W porównaniu z tym lśniącym miastem rozciągającym się na obu brzegach rzeki moje ukochane Teby, piękna metropolia o stu bramach, mogły być uznane za skromną miejscinę. Rozpoznałem liczne pomnikowe budowle, które zapamiętałem z oglądanych wcześniej rysunków i szkiców. Jednak przedstawienie tych zachwycających dzieł sztuki na papirusowym zwoju było równie niedoskonałe, jak próba opisanie wspaniałego Morza Śródziemnego poprzez ukazanie wiadra słonej wody.

Na południowym brzegu dominował pałac Marduka. Został wzniesiony w całości z lśniącego białego marmuru. Phat Tur stał obok mnie na dziobie barki i potwierdzał to, w co wątpiły moje oczy.

– Fasada pałacu ciągnie się ze wschodu na zachód na długości pół mili i jest trzy razy wyższa od pałacu faraona w Tebach – wyjaśniał, rozkoszując się widokiem mojej oszołomionej miny. – Naprzeciwko niej na północnym brzegu rzeki znajdują się wiszące ogrody. Marduk rozmieścił je tam w taki sposób, że z każdego tarasu i okna pałacu można się cieszyć widokiem tego przepychu.

Ogrody składały się z rzędów otwartych galerii wielokrotnie przewyższających stojący naprzeciwko nich pałac. Geniusz architektów króla Marduka stworzył iluzję, że nie wspierają się na solidnym gruncie, ale za sprawą jakiegoś cudu zwisają z nieba. Pochylały się pod tak dobranym kątem, że obserwator w pałacu na przeciwległym brzegu rzeki mógł mieć rozległy widok na każde pojedyncze drzewo i roślinę, które porastały galerie niczym las.

Od czasu, gdy faraon obdarował mnie posiadłością Mechir nad brzegiem Nilu, moja fascynacja uprawą roślin zamieniła się w obsesję. Te cudowne ogrody na niebie sprawiły, że moje żyzne pola zaczęły mi wyglądać lichy i marnie.

– Kocham drzewa i wszystko, co zielone. One radują mi serce i rozświetlają duszę – zwierzyłem się Phat Turowi, gdy staliśmy tak razem, podziwiając wiszące ogrody.

– Król Marduk musiał kochać rośliny równie mocno jak ty – zauważył z poważną miną poseł. – Żeby zrealizować swoje ambicje, pogrążył cały naród w biedzie.

Uznałem, że roztropnie będzie zmienić temat. Dostojnik nie wiedział, jak wielki skarb znajduje się w workach uwiązanych do siodła wielbłądów. Każde nieostrożne słowo mogło naprowadzić króla Nemroda na jego trop, a wszyscy władcy są w głębi duszy rabusiami pożądającymi srebrnych sztabek. Nie miałem żadnego powodu, żeby uznać króla Nemroda za wyjątek od tej reguły.

– Jak oni doprowadzają wodę do tych drzew? – zapytałem Phat Tura.

– Inżynierowie króla Marduka zaprojektowali wodne śruby – odparł Phat Tur, wskazując ręką kolumny z brązu, które wyłaniały się ukośnie spod wody i sięgały najwyższych miejsc górnej galerii. Przyjrząwszy się im bliżej, stwierdziłem, że są to rury, w których coś ociężale się obraca.

– Co wprawia te elementy w ruch obrotowy? – zapytałem.

– Jak widzisz, nad nimi znajdują się wiatraki. A pod powierzchnią wody działają wirniki łopatkowe, które umożliwiają pompowanie wody – wyjaśnił Phat Tur. – Prąd rzeki

obraca śruby znajdujące się wewnątrz rur. Śruby obracają się i zagarniają wodę, przesuując ją aż do szczytu rury – dodał, unosząc rękę. – O, tam! Widzisz?

Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że z górnych wylotów rur spływają kaskady rzecznej wody do rynien, którymi płynie ona do wszystkich znajdujących się niżej zakątków galerii. Było to proste, jak wszystkie piękne pomysły. Poczuję się upokorzony, że sam tego nie wymyśliłem. Postanowiłem, że gdy tylko wrócę do Mechiru, zajmę się przede wszystkim wprowadzeniem w życie tego wynalazku. Czterokrotnie powiększyłem plony na moich polach, wprowadzając kompost i nawóz. Mógłbym podwoić je jeszcze, gdybym do nawadniania pól wykorzystał takie śruby. Oczywiście byłoby najlepiej, gdybym nie mówił nikomu w Tebach, że to nie jest mój wynalazek. Wszyscy w Egipcie uważają za coś oczywistego, że jestem geniuszem. Nie ma powodu, żeby sprawiać im zawód.

– A co to za budowla stoi tam, za ogrodami? – Wskazałem kamienną wieżę tak wysoką, że zdawała się muskać brzuchy chmur sunących z wiatrem od Zatoki Perskiej.

– To Wieża Chmur, poświęcona bogini Isztar. Również została wzniesiona przez Marduka, gdy podniósł siebie do statusu boga. Pragnął poślubić boginię Isztar. Jak wiesz, Taito, Isztar jest boginią miłości, seksu i zwycięstwa w wojnie. Były to rzeczy najwyżej cennie i pożądane przez Marduka. Kazał wznieść tę wieżę, żeby zaimponować bogini swoim bogactwem i potęgą oraz skusić ją, żeby zeszła na szczyt tej wieży, aby mógł ją poślubić. Potem oboje, już jako mąż i żona, staliby się władcami wszelkiego stworzenia. Jak na nieszczęście dla obojga, Marduk umarł, zanim wieża osiągnęła planowaną wysokość trzystu łokci. Dzięki temu Isztar zdołała oprzeć się pokusie zejścia na ziemię. – Phat Tur skwitował chichotem tę ironię losu. Uśmiechnąłem się również.

– Komu ta wieża będzie służyć, skoro Marduk nie może już z niej korzystać? – zapytałem, wiedziony ciekawością.

– Marduk przekazał ją w testamencie synowi, obecnemu królowi Nemrodowi, którego niebawem poznasz. A Nemrod nie ma ani pieniędzy, ani ochoty, żeby kontynuować plany ojca dotyczące zwabienia Isztar na ziemię z jej niebiańskiej siedziby.

– Słyszałem opowieści przedstawiające Nemroda jako wielkiego myśliwego, który zabił przeszło sto lwów i sto wielkich turów w górach Zagros – powiedziałem. – Jeśli jest tak wielkim łowcą, pewnie jest też wielkim miłośnikiem rodzaju żeńskiego? Dlaczego zatem pogardził okazją nawiązania flirtu z boginią?

– Myślę, że nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż zabawianie bogini w swoim łożu. Ma opinię zarówno wielkiego kobieciarza, jak i potężnego myśliwego. To wstyd, że rozmiary jego skarbcza nie są równie imponujące, jak ten jego narząd.

Ująłem Phat Tura pod ramię i poprowadziłem go na lewą burtę naszego statku, z której mieliśmy lepszy widok na pałac króla Nemroda. Przez dłuższą chwilę stałem zafascynowany rozmiarami i wspaniałością tej budowli, a potem mój wzrok powędrował dalej w górę rzeki i spoczął na zigguracie, stojącym na tym samym co pałac.

Była to jeszcze jedna przestronna budowla, trzy lub cztery razy większa od zigguratu w chaldejskim mieście Ur, w którym mieszkaliśmy po dotarciu do Eufratu. I miała raczej okrągły niż piramidalny kształt. Wokół korpusu budynku wznosił się nieprzerwaną spiralą taras, ciągnący się od samej ziemi aż po szczyt. Phat Tur zauważył, że całą uwagę poświęcam tej budowli.

– To jest świątynia Isztar, której nie należy mylić z Wieżą Bogini – wyjaśnił. – To fascynujące miejsce. Wolę nie opisywać ci teraz natury obrzędów, jakie odprawia się w jego ścianach. Czuję się zobowiązany zaprowadzić cię tam przy pierwszej okazji, żebyś sam mógł je obejrzeć.

– Umieram z ciekawości, mój drogi – zapewniłem go.

– Będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli będę w stanie ją zaspokoić.

Uśmiechnął się tajemniczo. A potem wskazał ręką tłum odświętnie ubranych ludzi, którzy zgromadzili się na kamiennej

przystani na brzegu rzeki, naprzeciwko ścian pałacu.

– Wraz z panem Tuggartą, wielkim szambelanem, zebrały się tam inne wysokie osobistości dworu króla Nemroda, żeby powitać cię jako wysłannika faraona i powiernika pieczęci sokoła. Chcą w ten sposób okazać ci wielki szacunek. A Jego Wysokość przyjmie cię osobiście w sali tronowej pałacu.

Pospieszyłem z powrotem do miejsca na rufie, gdzie przebywały księżniczki otoczone niewolnicami i służącymi. Złożyłem im głęboki ukłon, ponieważ z przystani pałacowej przyglądał się nam powitalny komitet dygnitarzy, ale zarazem przypomniałem dziewczętom szeptem, jak mają się zachowywać jako przedstawicielki faraona, władcy Egiptu. A potem zająłem miejsce za nimi, mając obok siebie Phat Tura.

Gdy wioślarze precyzyjnie dobili do przystani, skorzystałem z okazji, żeby się przyjrzeć arystokracji Sumeru czekającej, by nas powitać.

Natychmiast zauważyłem, że – jak to ma miejsce we wszystkich dobrze mi znanych krajach – kobiety, nawet te starsze, są bardziej przystojne i przyjemne dla oka niż mężczyźni. Ich śniada cera była połyskująca i nieskazitelna. Wszystkie bez wyjątku miały włosy czarne jak noc, a ich śliwkowe oczy były umiejętnie podmalowane. Prezentowały się dostojnie, nawet te młodsze.

Mężczyźni byli przeważnie wysocy i zwracali uwagę zawziętymi, surowymi rysami twarzy. Mieli duże, wystające i haczykowato zakrzywione nosy oraz wysoko umieszczone kości policzkowe. Ich ciemne włosy opadały na ramiona i były ufryzowane w ścisłe loki, a długie, karbowane brody zwisały aż do pasa. Sięgające kostek u nóg suknie, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, utkane były z wełny i przyciągały oko wymyślnymi wzorami.

Nie ulegało wątpliwości, że są to szlachetni, wojowniczy i groźni ludzie.

Z kamiennego nabrzeża opuszczono na pokład naszej barki pracowicie przyozdobioną kładkę. Zeszliśmy po niej na brzeg,

gdzie powitał nas pan Tuggarta. Phat Tur służył nam za tłumacza. Trzymałem się skromnie nieco z tyłu. Nie chciałem, żeby nasi gospodarze zorientowali się, że płynnie mówię ich językiem. Miałem świadomość czekających mnie trudnych negocjacji, dlatego chciałem wykorzystać w nich wszelkie atuty, jakie były mi dostępne.

Ruszyliśmy z nabrzeża prowadzeni przez pana Tuggartę w uroczystej procesji do sali tronowej w pałacu. Okazała się ona przepastnym, wysoko sklepionym pomieszczeniem. Miała ściany obwieszane trofeami z pól bitewnych i łowieckich wypraw. Ich bogactwo unaocznilo mi ponad wszelką wątpliwość, że król Nemrod zabił znacznie więcej niż sto lwów i sto turów, co przypisywały mu pogłoski i plotki. Powietrze w sali tronowej przenikał zapach źle wyprawionych skór zwierzęcych i czaszek oraz niemytych i pocących się ludzkich ciał. Już wcześniej Phat Tur ostrzegł mnie, że Sumerowie przypisują kąpieli wielce szkodliwy wpływ na zdrowie.

Gdy król Nemrod podniósł się z tronu ze złota i kości słoniowej, ustawionego na białym marmurowym cokole wyłożonym kamieniami półszlachetnymi, zauważyłem, że przewyższa wzrostem swoich najbardziej rosnących poddanych. Miał szerokie ramiona i mocno umięśnione ręce. Gdy uniósł prawą dłoń i rozłożył w pozdrowieniu okryte klejnotami palce, pomyślałem, że jest ona prawdopodobnie wystarczająco duża, żeby objąć mnie za głowę. Spojrzał z góry na księżniczki, z lubieżnym błyskiem w ciemnych oczach, co upewniło mnie natychmiast, że jest nie tylko potężnym myśliwym, ale także równie wielkim rozpustnikiem.

Korzystając z pośrednictwa tłumaczy, spędziliśmy następną godzinę na wymianie utartych i nieszczerych komplementów i życzeń. Potem król Nemrod wyszedł, a nas zaprowadzono do kwater w obrębie pałacu, które udostępniono nam na czas pobytu.

Miło mi było odkryć, że gospodarze docenili znaczenie i pozycję mojej osoby, demonstrując to charakterem

wyznaczonego dla mnie lokum. Były to obszerne i przewiewne pokoje wychodzące na rzekę i na stojącą blisko pałacu świątynię Isztar. Pomieszczenia zdobiły wspaniałe meble wykonane z rzadkich gatunków drewna i egzotycznych materiałów oraz wełniane i jedwabne draperie. Łóżko odznaczało się wielkimi rozmiarami, ale niezbyt zachęcającym kształtem. Od razu zdecydowałem, że będę spał gdzie indziej.

Z pomocą Phat Tura udało mi się nakłonić obsługę pałacu, żeby dostarczyła mi na taras przylegający do mojego apartamentu kilka dużych wiader gorącej wody. Następnie rozebrałem się i kazałem własnym niewolnikom lać wodę na moją głowę i całe ciało. Gdy dokończyłem kąpieli, słońce dotykało niemal horyzontu. Nadal panował obezwładniający dzienny upał, ale niebawem od strony ośnieżonych gór Zagros na wschodnim widnokrzęgu zaczęło napływać wraz z łagodną bryzą chłodniejsze powietrze.

Oddaliłem niewolników, ale pozostałem na tarasie, wciąż jeszcze nagi po kąpieli. Rozkoszowałem się widokiem zachodzącego słońca i grą światła na powierzchni rzeki płynącej w dole.

Nagle uświadomiłem sobie, że ktoś mnie obserwuje. Obróciłem się prędko w stronę stojącej obok pałacu wysokiej świątyni. Spiralny taras, prowadzący od samej ziemi na jej szczyt, przechodził tak blisko miejsca, w którym się znajdowałem, że, jak mi się wydawało, z łatwością mógłbym dosięgnąć go małym kamieniem rzuconym przez dzielącą nas przepaść.

Na świątynnym tarasie naprzeciwko mnie stała jakaś postać w płaszczu z kapturem. Nie mogłem dojrzeć jej oczu kryjących się w cieniu kaptura, ale miałem wrażenie, że wpatrują się we mnie. Czułem się najzupełniej swobodnie pod ich badawczym spojrzeniem, jednak zaciekawilo mnie, kim jest ów obcy. Mam pełną świadomość swojego wysokiego wzrostu i jeśli nie liczyć blizn po ranach zadanych mi wiele lat temu, moje ciało jest wyjątkowo kształtne. Ponadto dzięki ostrej jeździe konnej

i ćwiczeniom z bronią jestem także dobrze umięśniony. Zazwyczaj skromność nie pozwala mi mówić o sobie, że jestem piękny, ale w tym przypadku uczciwość nakazuje mi tak właśnie się wyrazić.

Zarówno obcy, jak i ja staliśmy spokojnie, przyglądając się sobie. Potem postać w płaszczu powoli uniosła obie ręce i odrzuciła z głowy kaptur, którego fałdy opadły na jej ramiona. Snułem przekorne przypuszczenia, że może to być mężczyzna, ale teraz stałem wobec oczywistego faktu, jak bardzo się myliłem.

Przede mną stała kobieta, której uroda wykraczała poza moje najsmielsze wyobrażenia o kobiecym pięknie. Miała boskie rysy twarzy, a jej widok wywołał we mnie nieodparte pragnienie, by nie odrywać od niej oczu. Szukałem słów, które byłyby w stanie ją opisać, ale wszystkie pochwały naszego wspaniałego języka zdawały się wobec niej blade i banalne. Nigdy dotąd nie doświadczyłem tak wzniosłych i uduchowionych emocji. Znajdowałem w niej wszystko, za czym zawsze tęskniłem, a czego mi odmówiono, wszystko, co miało dla mnie wartość, a co okrutny los po wsze czasy umieścił daleko poza moim zasięgiem. Była w niej cała ucieleśniona chwała kobiecości.

Powoli wyciągnąłem do niej rękę, zdając sobie sprawę z beznadziejności tego gestu i doskonale wiedząc, że ta wspaniała istota pozostanie dla mnie na zawsze niedostępna. Jednak miałem też pewność, że zachowam ją w całości w pamięci, aby nawiedzała mnie po wieczne czasy.

Uśmiechnęła się do mnie smutno, wyrażając w ten sposób współczucie dla mojego położenia i głęboki żal, że mnie to spotkało. A potem nakryła głowę kapturem płaszcza, odwróciła się ode mnie i znikła w zakamarkach świątyni, pozostawiając mnie w samotności.

Przyszło mi do głowy, że już nigdy nie będę mógł zasnąć, że od tej pory do dnia śmierci wszystkie moje noce będą wypełnione obrazami kobiety w płaszczu z kapturem. Nie była to jednak prawda.

Tego samego wieczoru, gdy wyciągnąłem się na polowym łóżku na tarasie pod gwiazdami i zamknąłem oczy, natychmiast zapadłem w głęboki sen pozbawiony marzeń sennych. Następną rzeczą, która dotarła do mojej świadomości, była pobudka przez Phat Tura, który potrząsał mną energicznie i natarczywie mówił, żebym się obudził.

Podniosłem się do pozycji siedzącej i zdałem sobie sprawę, że słońce jest już nad horyzontem, a za plecami Phat Tura stoi w szeregu drużyna służących i niewolników, trzymając w rękach wszystkie moje osobiste rzeczy, stroje i ekwipunek służący identyfikacji mojej osoby jako posła faraonńskiej dynastii Mamose oraz powiernika pieczęci sokoła.

– Rusz się, mój panie! – ponaglił mnie Phat Tur. – Król Nemrod zbiera radę wojenną i zaprasza cię na jej zamknięte posiedzenie.

Zamrugąłem w jasnym porannym słońcu. Obawiałem się, że poczuję się przybity i przygnębiony na wspomnienie dziwnej przygody z poprzedniego wieczoru. Zdziwiło mnie więc moje wspaniałe samopoczucie.

– Jeśli Jego Wysokość czeka, to w takim razie powiedz mi, dlaczego mitrzymy tu cenny czas? Bierzmy się do roboty. – Fakt,

że byłem skory do żartów w takim momencie, wskazywał, że jestem w pogodnym, kipiącym humorze.

Gdy dotarliśmy do pomieszczenia rady, na miejscu była już większość sumeryjskich dowódców wojskowych, wszyscy w pełnym umundurowaniu, z medalami i odznaczeniami. Brakowało tylko króla Nemroda. Jego pusty tron znajdujący się u szczytu długiego stołu był dla mnie ostrzeżeniem, że zamierza trzymać się z dala od pertraktacji, dopóki ja nie wyłożę moich propozycji dotyczących utworzenia przymierza.

Po czynnościach przewidzianych protokołem odpowiedziałem na mowy powitalne, angażując Phat Tura jako tłumacza. Ciągle czułem się niegotowy do poinformowania moich rozmówców, że posługuję się biegle ich językiem. Następnie otworzyłem negocjacje łakomym kąskiem, który powinien skusić Nemroda do osobistego uczestnictwa w rozmowach.

– Panowie, jestem oczywiście w pełni świadom, że wasza flota jest jedną z najgroźniejszych na wszystkich morzach: wasze okręty są najpotężniejsze, wasi oficerowie najbardziej utalentowani, a wasi żeglarze najbardziej waleczni. – Wydawało się, że z przyjemnością słuchają tych komplementów, które były przesadzone. Najwyższy Minos Krety posiada dużo większą i potężniejszą flotę. Prowadzi handel na wielokrotnie szerszych morskich obszarach niż Sumer. Ciągnąłem więc, przechodząc do przedstawienia im konkretnej propozycji. – Chcę zakupić sześć waszych znakomitych okrętów, żeby wykorzystać je w naszej walce z hyksoskim szalbierzem i uzurpatorem Gorrabem.

Na czele sumeryjskiej floty stał admirał Alorus. Był to wysoki i szczupły mężczyzna z pasemkami siwizny w troskliwie ufryzowanej brodzie, z sińcami pod oczami i krzywymi zębami, które zaczynały mu się psuć. Zareagował na moje życzenie uniesieniem brwi i chichotem, który nie był kpiący, ale łagodnie rozbawiony.

– Mój panie Taito, wiadomo mi, że król Nemrod pochwała wasze wojenne zamiary względem naszego wspólnego wroga.

Mam też świadomość, że przemawiam głosem Jego Wysokości, przypominając ci o tym, że już nawet jeden okręt wojenny jest rzeczą kosztowną, a co do floty w takiej liczbie... – Urwał, wymownie potrząsając głową.

– Coś wartościowego nigdy nie jest tanie – zgodziłem się z nim. – Mój faraon jest tego równie świadom, jak wasz król Nemrod. Ale Egipt znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Hyksosi panują nad północnym biegiem Nilu, od Akhenaten aż po Morze Śródziemne. Nie posiadamy morskich okrętów wojennych, którymi moglibyśmy się przeciwstawić hyksoskiemu uzurpatorowi Gorrabowi. Mamy tylko galery rzeczne, ale są one zablokowane na Nilu. Gdybyśmy mogli podjąć zaskakującą ofensywę przeciwko jego flocie na otwartym morzu, byłibyśmy w stanie dokonać wielkich spustoszeń.

Wyjąłem z rękawa zwój papirusu i położyłem na stole między admirałem a sobą. Obrzucił go obojętnym spojrzeniem. Dopiero gdy uświadomił sobie, że umieściłem na nim specyfikacje dotyczące sześciu sumeryjskich galer wojennych, chwycił go i zaczął uważnie mu się przyglądać. W końcu oderwał od niego oczy i spojrzał na mnie.

– Skąd pan wziął te informacje? – zapytał ostro. – Wszystko to jest ściśle tajne.

Wzruszyłem ramionami i potrząsnąłem głową, tak jakbym nie był w stanie zrozumieć pytania. Oczywiście wykazy te przygotowali nam szpiedzy Phat Tura.

– Czy bylibyście skłonni sprzedać nam te jednostki? – zapytałem spokojnym i rzeczowym tonem. – A jeśli tak, to jaką cenę król Nemrod mógłby uznać za właściwą i do przyjęcia?

– Proszę o wyrozumiałość. – Alorus podniósł się i skłonił przede mną. – Oczywiście zanim odpowiem na te pytania, będę musiał skonsultować sprawę z Jego Wysokością – rzekł, a potem pospiesznie opuścił pokój rady. Stojący pod przeciwną ścianą zegar wodny odmierzył prawie godzinę, zanim wrócił.

– Król Nemrod życzy sobie, żebym poinformował cię, panie, że każdy z tych konkretnych, wybranych przez ciebie okrętów

kosztuje sto pięćdziesiąt debenów w srebrze, przy czym cena obejmuje wybudowanie i spuszczenie na wodę. Gdyby zdecydował się sprzedać je wam, co jest mało prawdopodobne, nie mógłby wziąć pod uwagę niższej ceny niż ta, którą wymieniłem – oświadczył admirał Alorus.

Przeprowadziłem szybkie obliczenia, podczas gdy Phat Tur ciągle tłumaczył ofertę. Jeden srebrny lakh równy jest dziesięciu tysiącom debenów. W jednym worku przytroczonym do siodła miałem wystarczającą ilość tego metalu, żeby zakupić czterdzieści takich okrętów, ale moja kontrpropozycja wobec Alorusa opiewała na siedemdziesiąt pięć debenów w srebrze za jednostkę. Alorus opuścił pokój po raz drugi, żeby porozmawiać z królem, a gdy wrócił w towarzystwie samego Nemroda, nabrałem pewności, że król sprzeda je chętnie za moją cenę.

Jego Wysokość i ja targowaliśmy się jak arabscy handlarze koni przez pozostałą część poranka i większą część popołudnia. W końcu stanęliśmy na cenie pięciuset debenów w srebrze za wszystkie sześć okrętów, które miały mi zostać wydane do końca miesiąca Famenot w sumeryjskim porcie Sydonie na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Zadowolony z transakcji, którą oceniał jako korzystną, król Nemrod zaprosił mnie i księżniczki na specjalną ucztę, chcąc uczcić tego wieczoru naszą ugodę.

Gdy opuściliśmy pokój rady, Phat Tur pochylił się ku mnie i mruknął wystarczająco głośno, żebym usłyszał:

– Obiecałem, że zabiorę cię do świątyni Isztar. Świątynia nigdy nie zamyka podwojów, możemy więc udać się tam w każdej chwili. Do wieczornej uczyty zostało nam kilka godzin, które trzeba czymś wypełnić.

Byłem równie zadowolony z zakupu wojennych okrętów od Nemroda, jak on z tego, że mi je sprzedał. Przygotowałem się na to, że zapłacę za nie kwotę dwa razy wyższą. W rezultacie ogarnął mnie tak wesoły nastrój, że od razu odpowiedziałem na propozycję Phat Tura:

– Jeśli to jest tak pouczające i ciekawe, jak sugerowałeś, to chodźmy tam zaraz.

Wyszliśmy z pałacu i w czasie drogi nad rzeką w kierunku świątyni Isztar poseł przypomniał mi jej historię.

– Jak ci już mówiłem, król Marduk miał przeszło sto żon i konkubin, ale jego wielką namiętnością była bogini Isztar. Najpierw wznosił świątynię, żeby zyskać jej względy, a potem, gdy okazało się, że bogini nie daje się skusić, zaczął budować wielką wieżę na drugim brzegu. – Odwróciliśmy się obaj, żeby popatrzeć w zamyśleniu na szczyt tej nieukończzonej budowli, który wznosił się jeszcze wyżej niż górna galeria wspaniałych wiszących ogrodów. – Wspomniałem też, że Marduk zmarł, zanim zdążył osiąść boginię. Zwróć uwagę, że Marduk skupił afekty na pojedynczym celu, a jego syn Nemrod kieruje swoje

ambicje pod adresem znacznie szerszego grona. Chępi się, że zanim umrze, cielesnie pozna wszystkie dojrzałe sumeryjskie kobiety, zarówno młode, jak i stare, mężatki i dziewice.

– Jak na króla, który chce się zabawić, te jego ambicje nie są takie znowu nierozumne – zauważyłem z obojętną miną. – Wydaje się, że są podobnie do jego wyczynów myśliwskich. Nemrodowi bardziej zależy na ilości niż na jakości. Ale czy przypadkiem jego aspiracje nie przerastają tego, w co wyposażyła go natura?

– Wszyscy wiedzą, że król Nemrod jest nienasycony. – Phat Tur pokręcił głową. – Jak dotąd trwa niezachwianie w swym postanowieniu.

– Ale ja nie rozumiem, jak to się ma do świątyni jego ojca – powiedziałem.

– Po sześciu miesiącach zasiadania na tronie król Nemrod wydał rozporządzenie, które zobowiązuje każdą kobietę w królestwie, do spędzenia w świątyni jednego całego dnia. Bez względu na to, czy otrzyma wysoką czy niską zapłatę, musi się oddać każdemu mężczyźnie, który ją o to poprosi, czy jest przyjacielem, wrogiem czy cudzoziemcem. Żadna kobieta nie może odmówić ani żaden małżonek nie może jej tego zabronić.

– Czy to oznacza, że król Nemrod musi stać w kolejce ze wszystkimi poddanymi, żeby wybrać sobie damę spośród tych, które akurat są do wzięcia? – zapytałem.

Phat Tur uśmiechnął się chytrze i pokręcił głową.

– Zgodnie z królewskim dekretem kobiety muszą zająć wyznaczone im stanowisko o wschodzie słońca, ale tylko jednemu mężczyźnie wolno jest wejść do świątyni przed południem, żeby dokonać wyboru. Sam zgadnij, kto może nim być... – Posłał mi porozumiewawczy uśmiech. – Gdy minie południe, może tam już wejść każdy inny obywatel Sumeru, żeby wybrać kobietę spośród pozostających tego dnia do dyspozycji.

Gdy dotarliśmy do frontowego wejścia do świątyni, było już późne popołudnie. Stało przed nim w rzędzie pięćdziesięciu lub może więcej mężczyzn, czekających na swoją kolej, żeby wejść

do świętego przybytku. Byli wśród nich żołnierze i marynarze na przepustce, jedni mieli na głowach białe jarmułki, po których można było poznać, że to prawnicy, jeszcze inni byli ubrani w zabrudzone krwią czarne togi, które nosili lekarze. Pozostali składali się na pstrokatą zgraję zarówno starych, jak i młodych osobników ze wszystkich warstw królestwa, od arystokraty po robotnika.

– Kapłani i kapłanki bogini wyróżniają się tym, że noszą zielone togi – wyjaśnił Phat Tur. – Oto jeden z nich – dodał, wskazując mężczyznę, który wyszedł ze świątyni i spieszył w naszym kierunku. – Ma na imię Onyos. Uzgodniłem z nim, że oprowadzi nas po świątyni i wyjaśni ci jej tajemnice.

Onyos przywitał się z nami z szacunkiem, a potem poprowadził nas do zamkniętej na zasuwę furtki w ścianie znajdującej się nieco z boku od głównego wejścia. Gdy podeszliśmy do niej, furтка otworzyła się od wewnątrz i weszliśmy przez nią do głównej nawy świątyni.

Była tak obszerna, że łukowato sklepiony sufit wysoko nad nami krył się w mroku i cieniu. Z góry przedostawała się tylko pojedyncza wiązka słonecznego światła, która oświetlała złoty posąg bogini stojący na środku posadzki.

– Na dachu świątyni znajduje się ogromne zwierciadło z brązu – wyjaśnił Phat Tur, uprzedzając moje pytanie. – Umocowane jest na kołach i obracane przez dziesięciu niewolników, dzięki czemu od świtu do zmierzchu idzie za słońcem i odbija jego promienie, kierując je w dół, na posąg. – Efekt był wspaniały, a jaskrawo oświetlony posąg rzucał odbłaski migocącego światła na ściany nawy.

– Zauważyłeś malowidła na ścianach, mój panie Taito? – spytał poseł. – Powiadają, że ich wykonanie zajęło dwustu artystom dwadzieścia lat.

– Są zadziwiające – przytaknąłem niechętnie. – W żadnej innej świątyni, jaką zwiedzałem, nie było nic, co mogłoby się z nimi równać, nawet w pogrzebowej świątyni faraona Mamose. – Sam

zaprojektowałem freski w grobowcu Mamose, więc byłem nieszczerzy, robiąc tak śmieszne porównanie.

– Ich tematyka jest fascynująca, zgodzisz się ze mną, prawda?
– Na twarzy Phat Tura malowała się duma, jakby był właścicielem tych dzieł sztuki. – Przedstawiono na nich wszystkie ogniste namiętności bogini Isztar – dodał, a potem zaczął je wskazywać, jedną po drugiej. – Wojna...

Po wysokich ścianach świątyni maszerowały do bitwy zbrojne legiony. W tumanach kurzu pędziły do ataku rydwany bojowe. Niebo przesłaniały chmury strzał. Paliły się miasta, a gromady uciekinierów uchodziły przed szalejącymi armiami. Płaczące niewiasty unosiły swoje martwe dzieci i błagały najeźdźców o litość. Wielkie wojenne okręty tkwiły taranami z błyszczącego brązu w burtach mniejszych jednostek i zmiatały ich załogi do morza usłanego już pływającymi odłamkami i ciałami. Nad polem bitwy szybowała bogini, wskazując zwycięzców i skazując na potępienie przegranych.

– Wojna, miłość i seks... – Phat Tur obrócił się powoli, wskazując inne ściany, a potem odchylił się do tyłu, żeby skierować moją uwagę na łukowate sklepienie pięćdziesiąt łokci nad naszymi głowami. – Nigdy nie słyszałem o żadnej innej świątyni, która szczyciłaby się takim bogactwem sztuki erotycznej.

Mój wzrok powędrował za jego ręką. Wszędzie, gdzie spojrzałem, znajdowały się malowidła albo szczytujących mężczyzn i rozanielonych kobiet w lubieżnych objęciach, albo bogów z monstrualnie wielkimi genitaliami umieszczonymi głęboko w którymś z otworów ciała bogini. Nurzający się w morzu parującej spermy i kobiecych wydzielin uczestnicy tych orgii trwali w rozkosznych pozach, zamrożeni w nich na wieczne czasy.

A nad nimi wszystkimi unosiła się Isztar na lśniących białych skrzydłach, jej uroczą głowę otaczał ognisty obłok wzywający ich do jeszcze większego erotycznego zapamiętania.

Wraz z Phat Turem obeszliśmy powoli nawę, zachwycając się wyobraźnią dwustu anonimowych artystów, którzy poświęcili dwadzieścia lat na wyczarowanie tych monumentalnych dzieł.

Co parę kroków w obu ścianach nawy były duże nisze. Naliczyłem czternaście tych przybytków, po siedem z każdej strony. Nie byliśmy w stanie zajrzeć do nich, ponieważ wejścia zablokowane były ludźmi, zarówno mężczyznami, jak i kobietami, wpatrującymi się z przejęciem w głąb tych wnęk. Byłem pewien, że Phat Tur czeka, kiedy zadam pytanie, co się dzieje w środku, ale postanowiłem nie narażać na szwank mojej godności. W końcu zwrócił się do naszego przewodnika w zielonej todze. Kapłan poprowadził nas do najbliższej wnęki, poszturchując swoim kijem i ponaglając głośno wałkoni, którzy tłoczyli się w wejściu:

– Zróbcie przejście dla czcigodnych gości króla Nemroda!

Z pośępnymi minami i stłumionymi pomrukami tłum rozstał się i zamknął znowu za naszymi plecami, gdy dotarliśmy do pierwszego szeregu. Mieliśmy z tego miejsca niezakłócony niczym wgląd do wnętrza.

Przy ścianach okrągłego pomieszczenia leżały materace nakryte utkanymi z wełny pledami w jaskrawych kolorach.

– Czternaście wnęk, a w każdej czternaście kobiet na czternastu łóżach. Czternaście to magiczna liczba bogini Isztar, której poświęcone jest całe to frenetyczne szaleństwo – wyjaśnił wesołym tonem Phat Tur. Wiedziałem, że jest wyznawcą bogini Hathor i ma niewiele szacunku dla innych bogów.

Zajrzałem do wnętrza i policzyłem kobiety, żeby sprawdzić jego słowa. Ich liczba się zgadzała. Jednak żadna z czternastu wystawionych tu na widok publiczny niewiast nie była szczególnie atrakcyjna. Większość z nich miała już za sobą średnie lata swego życia, a niektóre były wręcz odrażające. Podzieliłem się z Phat Turem uwagą na ten temat i zgodził się skwapliwie z moją opinią.

– Król Nemrod wybrał już dla siebie wszystkie młode i ładne. Zebrał śmietankę z dzbana i zerwał z gałęzi najbardziej dojrzałe

owoce. Te oplakane stworzenia, które tu pozostały, to odrzucone przez niego.

Skupiłem znowu uwagę na kobietach znajdujących się w pomieszczeniu. Pięć z nich siedziało ze skrzyżowanymi nogami, każda na własnym posłaniu. Wszystkie nosiły na głowach wianki z czerwonych róż. To jedyna rzecz, jaką miały na sobie, poza tym były zupełnie nagie. Czekwały cierpliwie ze spuszczonej oczami.

– Czerwona róża to kwiat bogini – wyjaśnił Phat Tur, mając na myśli ich nakrycie głowy.

Pozostałe dziewięć posłań zajmowały kobiety, które zrzuciły swoje kwieciste korony i na oczach widzów spółkowały z mniej lub bardziej rozebranymi mężczyznami. Ci pomrukiwali, zagłębiając się w swoich partnerkach, które wyśpiewywały pochwalne hymny na cześć bogini, odwzajemniając gorliwy zapal przygodnych kochanków.

Z rosnącym niesmakiem przyglądałem się, jak jeden z mężczyzn nagle wygina plecy w paroksyzmie ekstazy, a potem wydaje przeciągły, wstrząsany dreszczami wrzask i zsuwa się z leżącej pod nim kobiety. Jego partnerka natychmiast podniosła się na nogi, sięgnęła po swoją szatę leżącą w głowach posłania i włożyła ją na siebie. Zatrzymała się tylko, żeby cisnąć w twarz mężczyzny drobnym miedziakiem, którym ten musiał jej zapłacić, a potem popłakując cicho, przepchnęła się przez zahipnotyzowany tłum do wyjścia i wybiegła na ulicę.

Tuż za mną stał jakiś marynarz. Trącił mnie łokciem w bok i wszedł do niszy. Podszedł do jednej z kobiet, która siedziała z kwiecistą koroną na głowie.

– Wzywam cię, żebyś spłaciła swój dług wobec bogini – zwrócił się do niej i rzucił monetę na jej podolek. Kobieta przyglądała mu się obojętnie, jak podciąga powyżej pasa dół tuniki, a potem wolną ręką pobudza z wigorem swój narząd do pełnego wzwodu. Miał wydatny brzuch pokryty gęstym dywanem czarnych kłaków. Kobieta skrzywiła się, zdejmując

z głowy różany wianek, a potem położyła się na materacu i rozłożyła kolana.

Ująłem Phat Tura pod ramię i pociągnąłem go przez tłum widzów na zewnątrz, a potem poprowadziłem zdecydowanym krokiem do wyjścia ze świątyni.

Widok plugawych nędzników, oddających się groteskowemu parodiowaniu czegoś tak w swej istocie pięknego, budzi we mnie raczej uczucie melancholii niż przyjemności.

Popołudnie następnego dnia spędziłem z Nemrodem, gdy wrócił już ze swoich nabożnych porannych praktyk w świątyni Isztar. W naszych rozmowach królowi towarzyszył sztab wojskowy i główni doradcy.

Wraz z panem Remremem próbowaliśmy go przekonać, aby poprowadził kampanię przeciwko Hyksosom z większą determinacją i zaangażowaniem. Gdy jednak wojskowa machina raz zgubi swoje ukierunkowanie i rozpęd, wprowadzenie jej mechanizmów na nowo w ruch jest rzeczą skrajnie trudną.

Wszystkie kłopoty wiązały się z brakiem funduszy w skarbcu Nemroda. Kwota, jaką zapłaciłem mu za sześć okrętów wojennych, była niczym wobec jego potrzeb. Choć wyciskał ostatnie soki ze swoich obywateli, nakładając na nich podatki, Nemrod od prawie dwóch lat nie był w stanie opłacać armii i floty. Broń, wozy bojowe i inne wyposażenie znajdowały się w opłakanym stanie. Resztki jego wojsk były o krok od buntu.

Z punktu widzenia oczekiwań faraona i naszego umiłowanego Egiptu sytuacja była niepewna, niemal katastrofalna. Gdyby Sumer nas zawiódł, to cały nasz wschodni front znalazłby się w zagrożeniu. Musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby wydobyć króla Nemroda z kłopotliwego położenia. Nie w jego własnym interesie, ale po to, aby nasz kraj mógł przeżyć.

Obliczyłem, że król Nemrod potrzebuje co najmniej trzydziestu lakhów srebra, aby Sumer mógł odzyskać wojskową siłę o jakimkolwiek znaczeniu.

Musiałem oddalić groźbę podwójnego kryzysu. Zagrożony był Nemrod, ale musiałem też przyznać, choć sprawiało mi to przykrość, że w równie trudnym położeniu znajduje się mój ukochany faraon. Nemrod był w nędzy, podczas gdy Memnon Tamose tarzał się w srebrze. Nemrod popadł w rezygnację z powodu ubóstwa, natomiast faraon był nowo wzbogaconym skąpcem. Siedział na bajecznym skarbie prawie sześciuset lakhów srebra. Nie miało znaczenia to, że skarb, z myślą o nim, zdobyłem ja, niemal bez niczyjej pomocy. Obecnie należał on do niego, ale dobrze znałem mojego Mema. Wychowywałem go od wczesnego dzieciństwa i ode mnie przejął całą wiedzę. Nauczyłem go, że srebro to kruszec, który bardzo trudno zdobyć, ale śmiesznie łatwo roztrwonić. Teraz w jakiś sposób musiałem go zmusić, żeby na pewien czas zapomniał o moich naukach. Musiałem go nakłonić, żeby rozstał się z trzydziestoma lakhami srebra i przekazał je człowiekowi, którego nie znał i któremu nie ufał. Nie byłem całkowicie pewien, czy ja ufam Nemrodowi. Zdawałem sobie jednak sprawę, że nie mamy wyboru. Musieliśmy obdarzyć go zaufaniem, jeśli nasz umiłowany Egipt miał się uratować.

Po pełnym trudnych wyzwań dniu spędzonym w towarzystwie króla Nemroda i jego rady wczesnym wieczorem wróciłem do mojej kwatery. Zjadłem sam kolację, która składała się tylko z dojrzałej figi oraz odrobiny sera i czerstwego chleba, ponieważ nie miałem apetytu. Oczywiście nalałem sobie kilka kropel wina, ale pierwszy łyk miał smak cierpkiego octu, odepchnąłem więc kielich i skupiłem się na obmyśleniu listu do Mema. Musiał się zmieścić na skrawku lekkiego pergaminu, który gołąb mógł ponieść do Teb, ale zarazem musiał przekonać faraona Tamose do podjęcia decyzji, którą mógł uznać za bezdenne szaloną.

Wiele godzin później wyrzuciłem szósty szkic listu i pogrążyłem się w rozpacz. Warto pamiętać, że jestem człowiekiem, który znakomicie posługuje się językiem, wciąż jednak nie mogłem znaleźć słów, które mogłyby przekonać

faraona. Miałem świadomość, że poniosłem porażkę, nim jeszcze podjąłem walkę. Wyprostowałem zdrętwiałe nogi i podniosłem się od stołu do pisania. Ruszyłem do drzwi prowadzących na taras. Popatrzyłem na sierp księżycy i z jego położenia na niebie wywnioskowałem, że jest już dobrze po północy.

Gdy mu się przypatrywałem, przepłynęła przed nim chmurka nie większa niż moja dłoń i pogrążyła świat wokół mnie w mroku. Przyszło mi do głowy, że brak światła księżycowego z pewnością pogłębi jeszcze moje strapienie. Ale to drobne zdarzenie wywarło w cudowny sposób całkowicie odwrotny wpływ na mój nastrój. Ogarnęło mnie poczucie głębokiego spokoju, odsuwając na bok rozpacz, która jeszcze przed chwilą ścisnęła mnie za serce.

Chwilę potem usłyszałem, że ktoś mnie woła. Głos był cichy, ale wyraźny niczym śpiew drozda o pierwszym brzasku, więc rozejrzałem się, żeby zobaczyć, do kogo może należeć. Nikogo nie dostrzegłem.

Nagle przejrzałem i wiedziałem już, jak rozwiązać problem srebra. Zdziwiłem się też niepomierzenie, skąd wzięły się moje wcześniejsze wahania.

Przecież byłem powiernikiem pieczęci sokoła. Miałem w rękę całą władzę faraona. Wiedziałem, że muszę wykorzystać tę władzę, aby uchronić kraj przed katastrofą, a faraona przed ruiną. Nawet gdyby moje działania miały być przeciwne woli faraona, nawet gdyby miały wywołać jego wściekłość.

Podjmując decyzję, zastanawiałem się, jak i skąd nadeszła ta podpowiedź. Rozwiązanie było tak obce mojej głęboko zakorzenionej lojalności i zasadom, że poczułem przypływ żalostnej trwogi, uświadamiając sobie, że decyzja nie była w pełni samodzielna.

Mała chmurka, która zakryła księżyc, przesunęła się dalej i łagodne światło księżycowe znowu załało nocny krajobraz. Zalśniło też na marmurowych ścianach świątyni Isztar.

Na tarasie naprzeciwko mnie stała dama w płaszczu z kapturem, dokładnie w tym samym miejscu, w którym

widziałem ją poprzednio. Podobnie jak wtedy jej twarz kryła się w cieniu kaptura srebrnoszarego płaszcza. Domyśliłem się źródła inspiracji, która nawiedziła mnie przed chwilą.

Rozpaczliwie chciałem zobaczyć znowu jej twarz. W cudowny sposób wyczuła moje pragnienie. Ruchem głowy odrzuciła kaptur na ramiona i odsłoniła oblicze. Było bledsze niż igrająca na nim księżycowa poświata. Miałem w pamięci jej cudowną postać, ale dziś wydała mi się jeszcze piękniejsza, piękniejsza niż cokolwiek, co widziałem lub sobie wyobrażałem do tej pory.

Wyciągnąłem w jej kierunku obie ręce nad głęboką pustką, która nas oddzielała. Ale kobieta posmutniała nagle, wyraz jej twarzy stał się jakby nieobecny. Zaczęła się oddalać i stopniowo rozplynęła w mroku nocy, aby zniknąć zupełnie. Wraz z nią zgasło również światło księżyca.

Gdy rankiem do mojego apartamentu przyszedł Phat Tur, byłem kompletnie ubrany i czekałem na niego. Moja siła i zdecydowanie uzyskały wsparcie i czułem się w najwyższym stopniu pewny siebie. Szedłem przez pałacowe przedsionki i korytarze krokiem tak lekkim i zwawym, że panowie Remrem, Phat Tur i cała reszta mojego otoczenia musieli biec, żeby za mną nadążyć.

Gdy weszliśmy do sali rady, tron Nemroda był pusty. Jednak komnatę zapełniali jego doradcy i dowódcy wojskowi. Podnieśli się z miejsc, żeby powitać mnie przy długim stole, a krótko po zajęciu przez nas miejsc trębacz za głównymi drzwiami odegrał fanfarę.

Do sali wszedł uroczystym krokiem król Nemrod. Widząc go o tak wczesnej porze, pomyślałem natychmiast, że zrezygnował dziś ze zbierania śmietany i zrywania owoców w świątyni Isztar, żeby być z nami.

Byłem świadom szacunku, z jakim się do mnie odnosił. Jego zachowanie wzmocniło moją ufność w to, co zamierzałem zrobić. Dopełniliśmy królewskiego protokołu, po czym wstałem i zwróciłem się wprost do króla:

– Wasza Wysokość, mam propozycję, która jest tak doniosła i tajna, że chciałbym złożyć ją wyłącznie twojej królewskiej osobie, w obecności twojego najbardziej zaufanego doradcy. Zapewniam, że moja oferta ma na celu obopólne korzyści, będzie

też poważnym krokiem w kierunku rozwiązania kłopotów, w jakich znajdujemy się w tym momencie.

Nemrod był wyraźnie zaskoczony i przez chwilę zwlekał z podjęciem decyzji, ale ja nie zamierzałem zaproponować alternatywy, więc w końcu uległ mojej natarczywej prośbie.

Po prawej ręce miałem pana Remrema, a po lewej Phat Tura, który służył za tłumacza. Nemrod dał znak admirałowi Alorusowi, żeby pozostał przy stole. Następnie zwolnił resztę rady.

Gdy w komnacie zostało nas tylko pięciu, wyjąłem z rękawa tuniki pieczęć sokoła i położyłem ją między nami na stole.

– Jestem pewien, że Wasza Wysokość jest świadoma znaczenia tego symbolu.

– Mimo iż widzę go po raz pierwszy na własne oczy, domyślam się, że jest to pieczęć sokoła, która potwierdza, że przemawiacie, panie, głosem i autorytetem faraona Egiptu Tamose.

– Tak jest w istocie, Wasza Wysokość.

Król Nemrod wlepił we mnie swoje chłodne ciemne oczy. Nie powiedział nic więcej, ale czekał skupiony, niczym lampart wyczuwający zbliżającą się ofiarę. Przyglądałem mu się równie uważnie.

– Wasza Wysokość, obaj jesteście zahartowanymi w boju wojownikami, którzy mają dość doświadczenia i mądrości, by wiedzieć, że wojny wygrywa się nie tylko dzielnym duchem i ostrą klingą miecza, ale również ciężarem srebra, jakie możemy rzucić przeciwko wrogowi.

– Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby ktoś tak się o tym wyraził, ale twoje słowa, panie, są mądre i pełne prawdy – zauważył spokojnym tonem Nemrod.

– W imieniu faraona Egiptu Tamose oraz władzą pieczęci sokoła, którą mi powierzono, oferuję Waszej Wysokości srebro o wadze i wartości trzydziestu lakhów, ale pod jednym warunkiem, że wejdiesz w wojskowe przymierze z Egiptem i że

posłużysz się tą subwencją wyłącznie w celu zniszczenia króla Gorraba i jego hyksoskich hord.

Usłyszałem, że siedzący obok mnie pan Remrem łapie głośno powietrze do płuc. Wiedział, że nie mam zezwolenia faraona na złożenie takiej propozycji, i zdawał sobie sprawę, jak wielkie podejmuję ryzyko. Ale ja nie raczyłem nawet na niego spojrzeć. Nemrod odchylił się do tyłu na tronie i wlepił we mnie wzrok z milczącym niedowierzaniem. Zobaczyłem, że na jego czoło tuż poniżej korony występują maleńkie kropelki potu.

Gdy w końcu przemówił, jego chrapliwy głos pobrzmiwał niedowierzaniem i chciwością.

– Czy rzeczywiście wasz faraon jest w stanie udzielić subwencji takiej wysokości?

– Zapewniam cię, że tak, Wasza Królewska Mość. Otrzymałem od faraona polecenie, żeby przypieczętować układ między naszymi dwoma krajami, niezwłocznie doręczając Waszej Wysokości kwotę trzech lakhów w srebrze. Jest to tylko poręczenie tego, co nastąpi w przyszłości.

Przez chwilę Nemrod spoglądał na mnie w milczeniu. Potem nagle zerwał się z miejsca i zaczął szybkim krokiem chodzić tam i z powrotem po komnacie. Wykrzywił twarz w morderczym grymasie i zaczął zagryzać usta tak mocno, że na haftowaną tunikę spłynęła mu po brodzie kropla krwi. Nie dał znać po sobie, że go zaboląło.

Nagle stanął przede mną i wlepił we mnie wzrok.

– Kwota trzech lakhów natychmiast i dwadzieścia siedem następnych w ciągu roku? – zapytał.

Zaczekałem, aż Phat Tur przetłumaczy jego słowa, i dopiero wtedy je potwierdziłem.

– Dokładnie, jak to ujęła Jego Wysokość. Jednak, królu, będziesz musiał wysłać pułk swoich najlepszych wojowników, żeby odebrać wyrównanie ze skarbcza w Tebach. Faraon nie podejmie ryzyka przewiezienia go pod eskortą swoich ludzi.

Nemrod zakręcił się i znowu zaczął chodzić. Jego podkute brązem sandały dzwoniły na płytach posadzki, kiedy kroczył tam

i z powrotem po całej komnacie. Zaczął mówić do siebie po sumeryjsku:

– Czy mogę zaufać temu przebiegłemu dziwolągowi bez jaj? Nie jest tajemnicą, że jest w porozumieniu z Setem i wszystkimi bogami ciemności. Są nawet tacy, co uważają, że jest jednym z najciemniejszych duchów z tamtego świata – mruknął, a potem, gdy uświadomił sobie, co powiedział, zakręcił się i krzyknął do Phat Tura: – Nawet nie próbuj tłumaczyć moich słów! Jeżeli to zrobisz, uduszę cię twoimi własnymi kichami, rozumiesz?

Phat Tur zbladł i spuścił wzrok.

– Jak Wasza Wysokość każe – odparł bez wahania.

Nemrod podjął chodzenie po sali i gadanie do siebie. Potem znowu stanął przede mną.

– Poinformuj go, że mu ufam – polecił Phat Turowi. – Ale zanim zgodzę się na zawarcie przymierza, muszę mieć wiążące potwierdzenie ze strony Tamose, faraona Egiptu. – Gdy wypowiadał ten warunek, zobaczyłem w jego oczach błysk pożądlivej chciwości.

– Jeśli jest to w ogóle możliwe, to jestem pewien, że faraon na to przystanie – zaryzykowałem ostrożnie.

– Chcę połączyć mój ród z królewskim rodem Egiptu – oświadczył Nemrod. – Chcę wziąć za żony dwie siostry faraona, Tehuti i Bekathę. Dzięki temu faraon i ja zostaniemy szwagrami.

Byłem oszołomiony rozmiarami jego pożądlivości, tupetu i lubieżności. Ten łotr chciał mieć zarazem pieniądze i cielesne rozkosze.

– Twoja oferta, królu, to wielki honor dla Egiptu. Jestem pewien, że w innych okolicznościach mój faraon nie wahałby się ani chwili i przyjąłby twoją propozycję – odparłem rzeczowym tonem, ukrywając poirytowanie przed tą wstrętną kreaturą, która obrzuciła mnie wyzwiskami, a teraz bezczelnie pożądała moich ukochanych dziewcząt. – Jednak faraon przyrzekł już uroczyście, że wyda obie swoje siostry za Najwyższego Minosa Krety, żeby przypieczętować wojskowe przymierze między naszymi dwoma krajami. Nie ośmieli się odwołać tego

przrzeczenia. Minojski władca nie zniósłby takiej obrazy honoru.

Nemrod wzruszył ramionami i mruknął coś sprośnego. Byłem jednak pewien, że nie poczuł się zbyt poważnie dotknięty moją odmową. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że z jego strony była to oportunistyczna próba wyciśnięcia z naszego układu wszelkich możliwych korzyści. Bez względu na to, ile się oferuje niektórym ludziom, zawsze będą się starali osiągnąć trochę więcej.

Nemrod jeszcze raz obszedł pokój, skupiając myśli, a potem podjął następną próbę:

– W żadnym wypadku nie chodzi o to, żebym miał nie wierzyć tobie, panie, i twojemu faraonowi, że będziecie honorować zawarty przez was układ, ale chciałbym się tylko dowiedzieć, w jaki sposób udało ci się ukryć je aż do tej pory, i z przyjemnością zobaczyć te trzy lakhy srebra, o których mówiłeś wcześniej – zwrócił się bezpośrednio do mnie, mając nadzieję, byłem tego pewien, że połknę haczyk i zdradzę się ze znajomością języka sumeryjskiego. Zawiodłem go i tym razem, spoglądając na Phat Tura i czekając, aż przetłumaczy jego słowa. Unikanie pułapek Nemroda zaczynało mi sprawiać przyjemność. Zabawa ta nie różniła się zbyt od gry kamieniami bao z Atonem.

Wysłałem Zarasa i Haya, żeby dostarczyli srebro z naszego pułkowego obozowiska za murami miasta. Aby je przewieźć, trzeba było dwóch wozów i pięćdziesięciu ludzi. Srebro utworzyło godny podziwu stos, gdy zostało w końcu złożone na posadzce sali rady. Nemrod chodził wokół połyskującej sterty, pieszcząc wzrokiem każdego mema i kierując do nich czułe słówka, jakby były jego ulubienicami.

Tego wieczoru znowu ucztowaliśmy przy stole Nemroda. Stwierdziłem, że dzisiejsze wino znacznie bardziej nadaje się do picia niż świństwo, jakie podał nam poprzednio. Jednak wpływ trunku na maniery i zachowanie mojego gospodarza oraz jego sług był dużo mniej chwalebny.

Wspomniałem już, że król Nemrod nie udał się tego dnia na swoje poranne wyczyny w świątyni Isztar. Czy to nam odpowiadało, czy nie, zostaliśmy ugoszczeni pokazem nienasyconych żądz wielkiego myśliwego. Pod koniec wieczoru połowa kobiet obecnych w sali została zmuszona do udziału w lubieżnych ekscesach.

Byłem zadowolony, że zostawiłem księżniczki zamknięte na klucz w ich pokojach, a przed drzwiami stanął na straży Zaras z kilkunastoma ludźmi.

Sześć wojennych galer, które zakupiłem od Nemroda, przechodziło naprawy w porcie w Sydonie. Miały być gotowe pod koniec miesiąca Famenot i dopiero wtedy mógłbym przejąć je pod swoją komendę.

Wykorzystałem ten czas na narady z Nemrodem i jego radą, podczas których opracowaliśmy i nakreśliśmy plany wspólnej kampanii przeciwko Hyksosom. Poleciałem panu Remremowi, żeby pozostał w Babilonie w charakterze wojskowego posła faraona.

Z wielką niechęcią zgodziłem się też na to, żeby pułkownik Hay został przy Remremie jako jego adiutant. Dzięki mojej opiece i szkoleniu Hay stał się mistrzem w dziedzinie prowadzenia walki za pomocą rydwanów bojowych. Miałem świadomość, że będzie mi bardzo brakować jego samego i jego wiedzy, gdy podejmiemy walki z hyksoskimi hordami w północnym Egipcie wzdłuż brzegów Morza Śródziemnego. Ale Bekatha otwarcie okazywała awersję do jego osoby. Byłem pewien, że wpadłaby we wściekłość, gdybym zabrał Haya na Krete.

W ciągu kilku tygodni po przejęciu przez Nemroda srebrnej zachęty warsztaty jego armii pełną parą podjęły wytwarzanie nowych zbroi i broni, naprawę starych rydwanów bojowych oraz budowanie setek nowych według dostarczonych przeze mnie, ulepszonych planów i specyfikacji. Ulice Babilonu wypełniły się kolumnami maszerujących rekrutów, a na targowiskach zapanował zgiełk targujących się klientów i przekupniów.

Dzięki Phat Turowi i jego szpiegom dowiedziałem się, że wszystkie inne miasta Sumeru przeżywają takie samo wojskowe ożywienie. Pozbawieni wcześniej zajęcia sumeryjscy wojownicy garnęli się teraz tysiącami pod królewskie chorągwie oraz do królewskiej srebrnej monety.

Praca, jaką podjąłem, była wystarczająco trudna i skomplikowana, więc doszedłem do wniosku, że nie będę pogarszał sprawy, udając, że nie mówię płynnie miejscowym językiem. Zacząłem rozmawiać z moimi gospodarzami chromym i dziecinnym sumeryjskim, który z każdym dniem stawał się coraz bardziej płynny i poprawny gramatycznie. Nawet Jego Wysokość król Nemrod musiał zaprzestać wygłaszania w mojej obecności do swoich pochlebców obelżywych uwag na mój temat. Prędko zacząłem wprowadzać gospodarzy w zakłopotanie ciętymi kpinkami i kalamburami, zabawiając się nimi w ich własnym języku.

Pewnego ranka przyglądałem się, jak admirał Alorus, stojący po drugiej stronie pola ćwiczeń na wozach, wygłasza do Nemroda uwagę, że tak szybkie opanowanie przeze mnie języka sumeryjskiego zakrawa na cud. Kiedy przeszedłem przez szerokie pole, żeby mu podziękować za komplement, Alorus odsunął się w przypływie podejrzliwego strachu i zrobił znak chroniący przed złym okiem. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek słyszał o czytaniu z ruchów warg. Ale oczywiście wierzył w magię, jak wszystkie wykształcone i rozsądne osoby.

W chłodzie popołudnia korzystałem z okazji, żeby popływać w Eufracie albo w towarzystwie księżniczek pojeździć konno po wzgórzach, położonych na południe od granic miasta. Bawiło mnie, jak często w naszych wypadach, nawet do najdalszych zakątków, napotykamy Zarasa. Wyglądało to niemal tak, jakby ktoś go uprzedzał, że niebawem nadjedziemy. Oczywiście tą osobą nie mogła być Tehuti. Gdy dostrzegła, że kręci się w pobliżu naszej trasy, jej zdziwienie niemal przewyższało moje.

Wieczorami nasi sumeryjscy gospodarze albo moi oficerowie zapraszali nas na kolację. Jeśli obecny był król Nemrod, nalegałem, żeby księżniczki siadały tuż koło mnie, dzięki czemu mogłem czuwać nad nimi.

Co noc siadałem na tarasie, mając nadzieję, że ukaże mi się znowu dama w płaszczu z kapturem. Wyczekiwałem jej długo po północy, ale za każdym razem spotykał mnie zawód.

Dni mijały szybko, wypełnione ustawiczną krzątaniną. Jakiś czas potem zjawił się posłaniec z portu w Sydonie z wiadomością, że sześć wojennych galer, które zakupiłem od Nemroda, będzie gotowych do spuszczenia na wodę dwadzieścia dni wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Nasza poruszająca się ociężale karawana potrzebowałaby prawie połowę tego czasu na dotarcie do portu. Wydałem Zarasowi i Hayowi polecenie, żeby dokończyli przygotowań do wyruszenia z Babilonu w kierunku wybrzeża.

Tego wieczoru, odprowadziwszy księżniczki do ich królewskiej kwatery we wschodnim skrzydle pałacu, wróciłem do siebie jeszcze przed pokazaniem się na niebie księżycy. Moi

niewolnicy zostawili zapalone lampki oliwne w pokoju i na tarasie obok posłania. Zgodnie z moimi instrukcjami wymieszali olej w lampkach z ziołami, których dym odganiał moskity i inne nocne owady, a zarazem ułatwiał mi zapadnięcie w spokojny sen i sprowadzał przyjemne marzenia senne.

Rustie, nadzorca moich niewolników, czekał, aż się położę. Przyszedł zabrać moje znoszone ubrania i postawił mi koło łóżka kielich z winem.

– Północ dawno już minęła, panie mój – powiedział upominającym tonem. – Od początku tygodnia nie spaliście więcej niż kilka godzin. – Rustie jest moim niewolnikiem od tak wielu lat, że obaj straciliśmy ich rachunek. Już dawno temu udzielił sobie pozwolenia na odnoszenie się do mnie tak, jakby był moją niańką.

Pozbyłem się z jego pomocą ubrań, a potem wyszedłem na taras i wziąłem do ręki kielich z winem. Zwilżyłem usta i westchnąłem z zadowoleniem. Było to dziesięcioletnie wino z moich własnych winnic w majątku Mechir. Potem odwróciłem się, żeby spojrzeć na taras świątyni Isztar. Byłem zawiedziony, ale pogodziłem się już z tym, że będzie pusty. Minęły całe tygodnie od chwili, gdy po raz ostatni oglądałem zakapturzoną damę.

Zwolniłem Rustiego, który odszedł, ciągle gderając, a potem zacząłem chodzić po marmurowych płytach, przeczesując w myśli najważniejsze momenty negocjacji, jakie tego wieczoru prowadziłem z królem.

Nagle zatrzymałem się w pół kroku. Księżycowa poświata zmieniła swój odcień, nabierając subtelnej złotej świetlistości. Spojrzałem na księżyc. Domyśliłem się natychmiast, że w grę wchodzi jakieś nadnaturalne siły, jednak nie potrafiłem ustalić od razu, czy są one dobrotliwe, czy też złośliwe. Zrobiłem dwoma palcami znak Horusa, żeby oddalić złe moce, i zacząłem spokojnie czekać na objawienie się mistycznych potęg.

Stopniowo uświadamiałem sobie subtelną i nieuchwytną woń wiszącą w ciepłym nocnym powietrzu. Nigdy dotąd nie

wciągałem do nosa czegoś równie pachnącego, ale choć nie potrafiłem umiejscowić źródła tego aromatu, moje zmysły się wyostrzyły. Nawiedziło mnie niezwykle, ale przyjemne uczucie, które najpierw uniosło się do szyi i ramion, a potem zaczęło opadać wzdłuż kręgosłupa, ostrzegając mnie, że tuż za moimi plecami obecna jest jakaś potężna istota.

Odwróciłem się w jej stronę i to, co zobaczyłem, zaskoczyło mnie tak bardzo, że kielich z winem wypadł mi z ręki i zadzwieczał na posadzce. Serce zamarło mi na chwilę w piersi, a potem zaczęło walić znowu przyspieszonym rytmem, niczym uderzenia kopyt konia, który poniósł.

Przede mną stała tajemnicza kobieta ze świątyni. Była tak blisko, że w cieniu rzucanym przez kaptur dostrzegałem subtelne rysy jej twarzy. Gdybym wyciągnął ręce, mógłbym jej dotknąć, ale nie byłem w stanie się ruszyć.

W końcu wrócił mi głos, jednak kiedy się odezwałem, był przyciszony i pełen uwielbienia.

– Kim jesteś?

– Mam na imię Inana. – Zarówno ton jej głosu, jak i sama odpowiedź wstrząsnęły mną do głębi. Jej słowa zabrzmiały w moich uszach niczym niebiańska muzyka. Uzmysłowiłem sobie od razu, że żaden tak piękny dźwięk nigdy nie mógłby wyjść z ludzkich ust. Sens tego, co powiedziała, był jeszcze bardziej uderzający. Albowiem Inana to starożytnie imię bogini Ishtar, z samych początków czasu.

– Ja nazywam się Taita. – Była to jedyna odpowiedź, na jaką się zdobyłem.

– Jeśli nie liczyć twojego imienia, to bardzo niewiele wiesz na swój temat, prawda? Nie znasz nawet imienia swego ojca ani swojej matki. – Mówiąc to, uśmiechała się z łagodną dobrocią.

– Nie, nie znałem ich – potwierdziłem prawdziwość jej słów. Współczującym gestem wyciągnęła do mnie rękę, a ja chwyciłem ją bez wahania. Natychmiast poczułem, że płynie do mnie jej ciepło i siła.

– Nie bój się, Taito. Jestem twoją przyjaciółką, a nawet kimś więcej.

– Nie boję się ciebie, Inano. – Wyciągnęła do mnie drugą rękę i gdy tylko ją ująłem, uświadomiłem sobie, że łączą nas potężne więzy krwi i ducha. – Ja ciebie znam! – wykrzyknąłem zdumiony – Czuję, że znam cię od samego początku. Powiedz mi, kim jesteś.

– Nie przyszłam, żeby opowiadać ci o sobie. Przyszłam opowiedzieć ci o tobie. Chodź ze mną, Taito. – Trzymając mnie ciągle za obie ręce, ruszyła tyłem, prowadząc mnie z otwartego tarasu do sypialni. Jej kroki, jeśli w ogóle można o nich mówić, nie wydawały dźwięku. Słysząc było tylko cichy szelest jej sukni. Wyczuwałem, że ukryte pod nią stopy nie dotykają ziemi i że płynie w powietrzu, zawieszona tuż nad posadzką.

Piękny oświetlony lampą pokój, do którego weszliśmy, był przez kilka ostatnich tygodni moim domem, myślałem więc, że znam wszystkie jego zakątki, ale teraz zobaczyłem, że w przeciwległej ścianie znajdują się drzwi, których aż dotąd nie zauważyłem. Gdy szedłem za Inaną w ich kierunku, drzwi otworzyły się same, jak za sprawą czarów. Panowały za nimi kompletne ciemności. Ciągle trzymając się za ręce, zanurzyliśmy się w mrok, który nas wchłonął. Zaczęliśmy opadać, ale trzymała mnie za ręce, więc nie czułem strachu. Powiew wywołany opadaniem smagał mi twarz z taką siłą, że musiałem zmrużyć oczy. Wydawało mi się, że ten lot w ciemności trwa całą wieczność, ale wiedziałem, że czas jest złudzeniem. Wreszcie poczułem pod nogami solidne oparcie i przestaliśmy się poruszać. Pojawiło się światło, które z początku było tylko migocącym lśnieniem. Znowu mogłem dojrzeć zarysy głowy Inany, a potem stopniowo pojawiła się cała jej sylwetka. Zobaczyłem, że stoi teraz przede mną zupełnie naga, tak jak ja.

W trakcie mojego długiego życia widziałem ciała wielu pięknych kobiet, ale Inana przewyższała je wszystkie. Miała rozkoszne biodra, a ich powabną linię podkreślała jeszcze jej cienka talia. Mimo iż była mojego wzrostu, jej członki były tak smukłe i delikatnie rzeźbione, że nie mogłem się powstrzymać

i wyciągnąłem obie ręce, żeby ich dotknąć. Przesunąłem lekko palcami od jej nadgarstków do ramion. Jej skóra była jedwabista, ale mięśnie pod nią napięte i twarde.

Miała wysoko upięte włosy, ale kiedy potrząsnęła głową, opadły lśniącymi kaskadami na ramiona, a potem sięgnęły kolan. Utworzyły falistą zasłonę, jednak nie zakryły jej piersi, które przedostały się przez nią niczym żywe stworzenia. Były doskonale okrągłe, białe jak kobyłe mleko i zakończone rubinowymi sutkami, które pomarszczyły się, gdy przesuwało się po nich moje spojrzenie.

Jej ciało nie miało owłosienia. Także łono pozbawione było zupełnie włosów. Brzeg wewnętrznych warg wystawał wstydliwie z pionowej szczeliny. Błyszczała na nich słodka rosa kobiecego pobudzenia.

Światło rozjaśniło się i uświadomiłem sobie, że stoimy w wiszących ogrodach wysoko nad Babilonem. Wokół nas było mnóstwo cudownie pięknych krzewów i kwiatów, ale piękność Inany sprawiała, że wydawały się zwyczajne. Inana zdjęła ze swoich ramion moje ręce i pocałowała je po kolei. Przeszedł mnie dreszcz, który przeniknął całą moją istotę.

– Czego chcesz ode mnie, Inano? – Pytanie nie zabrzmiało tak, jakbym wypowiedział je własnym głosem.

– Zamierzam połączyć się z tobą.

– Z pewnością wiesz, że nie jestem pełnowartościowym mężczyzną – szepnąłem zawstydzony. – Dawno temu zostałem pozbawiony męskości.

– Tak. – Jej głos był łagodny i współczujący. – Byłam przy tym, kiedy ci to zrobili. Czułam nóż równie ostro jak ty. Płakałam nad tobą, Taito. Ale cieszyłam się w duchu. Bo stosunek to jednak nie to samo co połączenie. Mówię nie o krótkotrwałym złączeniu cielesnym zmierzającym zbyt prędko do drobnego skurczu mięśni, skromnej nagrody dla mężczyzny, który daje swoje nasienie, i dla kobiety, która przyjmuje je do swego łona. To tylko wybieg natury. W ten sposób matka natura stwarza kolejną

śmiertelną istotę i skazuje ją na krótki i niewiele znaczący żywot, zbyt szybko kończący się śmiercią.

Odjęła moją prawą rękę od ust i poprowadziła ją w dół, a potem wepchnęła dwa moje palce głęboko między swoje mięsiste uda. Wsunąłem je do wąskiej i śliskiej szczeliny. Poczułem, że moje lędźwie rozogniają się pod wpływem bijącego od niej gorąca.

– Nie mówiłam o tym. – Czubkami palców popieściła łagodnie bliznę po okrutnej ranie między moimi nogami, gdzie niegdyś znajdowały się atrybuty męskości. – Ani o tym.

– Czy istnieje coś innego, Inano, co może połączyć mężczyznę i kobietę?

– Istnieje połączenie raczej dusz niż ciał. Stopień wyższych duchów. To jest prawdziwy cud egzystencji, który zdarza się niezwykle rzadko.

Pociągnęła mnie do dołu, na murawę tajemniczego ogrodu. Była ona jedwabista i miękka niczym brzuch edredona. Inana szybkim ruchem położyła się na mnie i nasze ciała złączyły się natychmiast intymnie i mocno, zgodnie z tym, do czego stworzyli je bogowie. Nasze nogi i ramiona splątały się, a oddechy wymieszały. Czułem bicie jej serca na moim.

Stopniowo nasze dwa serca zamieniły się w jeden wspólny organ i zaczęły bić jednocześnie. Nasze połączone oddechy zestroiły się w jedną wspólną parę płuc. Nigdy dotąd nie przeżyłem chwili takiego uniesienia i takiej pełni. Pragnąłem jeszcze głębiej zatopić się w jej ciele i pochłonąć ją całkowicie, tak abyśmy mogli stać się jednym organizmem.

Potem ogarnęło mnie przelotne uczucie strachu i bezradności, gdy poczułem, że jej dusza przejmuje kontrolę nad moją. Próbowałem się temu przeciwstawić, ale wtedy uświadomiłem sobie, że sam staram się zawładnąć jej duszą w tej samej chwili, w której ona robiła to z moją. Gdy ona zaczynała pozbawiać mnie wspomnień, ja przejmowałem jej pamięć. Jednak w trakcie tej wymiany nic się nie gubiło ani nie ulegało zapomnieniu. Dzieliliśmy egzystencję, która sięgała daleko w przeszłość.

– Teraz już wiem, kto jest moim ojcem – szepnąłem, słysząc we własnym głosie cudowną radość z tego odkrycia.

– Kto to jest? – spytała. Znała odpowiedź, zanim wypowiedziała pytanie, a ja słyszałem jej słowa, chociaż się nie odezwała.

– To Menojtios, bóg gniewu i moralności – odpowiedziałem, zatopiony w niebiańskim milczeniu, jakie zapadło między nami.

– W takim razie, kim jest twoja matka? – spytała Inana.

Natychmiast znalazłem odpowiedź w naszej wspólnej pamięci.

– Moja matka miała na imię Selias, ale była ziemską, śmiertelną istotą. Umarła, wydając mnie na świat.

– Jesteś więc półbogiem, Taito. Nie jesteś ani w pełni człowiekiem, ani bogiem. I nawet jeśli jesteś długowieczny, pewnego dnia ty też będziesz musiał umrzeć. – Inana opłótła moją duszę jeszcze ściślej i bardziej opiekuńczo. – Ale ten dzień jest ciągle daleko. Będę przy tobie, żeby cię osłaniać i wspierać, gdy on nadejdzie. A kiedy już odejdziesz, będę cię opłakiwać przez tysiąc lat.

– A kim ty jesteś, Inano? Dlaczego czuję się tak mocno z tobą związany, zarówno cieleśnie, jak i duchowo? Kim jest twój ojciec?

– Moim ojcem jest bóg światła Hyperion. To brat Menojtiosa. Oboje zrodziliśmy się zatem z tej samej boskiej krwi – odrzekła natychmiast.

– Usłyszałem twoją odpowiedź, nim jeszcze zadałem pytanie – powiedziałem bezgłośnie. – A twoja matka? Była śmiertelną kobietą czy boginią?

– Moją matką jest Artemida – odparła Inana.

– Artemida jest boginią łowów i wszelakich dzikich zwierząt – powiedziałem z uznaniem. – Jest dziewicą i opiekunką dziewic. Ale właśnie, w jaki sposób może być zarazem dziewicą i twoją naturalną matką?

– Musisz wiedzieć, Taito, że w naszym świecie bogów i półbogów wszystko jest możliwe. Mój ojciec Hyperion

przywrócił mojej matce dziewictwo w tej samej godzinie, w której mnie urodziła. – Uśmiechnąłem się na myśl o czarującej praktyczności rozwiązania zastosowanego przez jej ojca i poczułem, że Inana śmieje się razem ze mną. – Ale ja jestem dziewicą, jak moja matka, i z woli Zeusa, który jest ojcem wszystkich bogów, muszę nią pozostać na zawsze – dodała po chwili. – Zostałam ukarana w ten sposób za odepchnięcie Zeusa, który jest moim dziadkiem, gdy zapragnął popełnić kazirodztwo i chciał ze mną spółkować.

– To zbyt okrutna kara za tak błahą przewinę – powiedziałem współczująco.

– Nie sądzę, Taito. Uważam ją za najmiłą i najśłodszą nagrodę, gdyż jak inaczej ty i ja moglibyśmy być kochankami przez całe wieki, które już minęły i które dopiero nadejdą, i nadal zachować niewinność i czystość?

– W jaki sposób ktoś mógł poznać nasze przeznaczenie, Inano? Przecież w tak dawnych czasach, o jakich mówisz, jeszcze się nawet nie urodziłem.

– Byłam tam przy twoich urodzinach, Taito. Byłam przy tobie, kiedy pozbawiano cię męskości, i potem płakałam nad twoim nieszczęściem, chociaż wiedziałam, jak niezmiernie korzyści będziemy czerpać przez tysiąclecia z tego straszliwego uczynku.

– Mówisz o tysiącleciach, Inano. Czy będziemy razem aż tak długo?

Inana nie od razu odpowiedziała na moje pytanie.

– Chociaż nic o tym nie wiedziałeś, byłam blisko ciebie od dnia twoich narodzin. Wiem o wszystkim, co ci się przydarzyło, o każdej przelotnej radości i każdym rozdzierającym bólu.

– Ale dlaczego spotyka to mnie, Inano?

– Ponieważ jesteśmy jednością, Taito. Mamy wspólną krew i wspólny oddech.

– Nie mogę niczego ci uniemożliwić – przyznałem. – Ale nie jestem niewinny jak ty. Łączyłem się cieleśnie z kobietami.

Inana pokręciła ze smutkiem głową.

– Znałeś tylko jedną kobietę, Taito. Byłam tam, kiedy to się stało. Mogłam cię ostrzec, żebyś tego nie robił, ponieważ zapłaciłeś za tę przelotną przyjemność kastracją. – Poczułem jej oddech w ustach i jej smutek w sercu. – Mogłam oszczędzić ci cierpienia, ale gdybym tak uczyniła, gdybym ostrzegła cię przed konsekwencjami, to wtedy ty i ja nigdy nie moglibyśmy się połączyć tak jak w tej chwili, zachowując wieczną i boską czystość.

Zamyśliłem się nad jej słowami, a potem westchnąłem, czując, że to ona wzdycha we mnie.

– Wszystko wydarzyło się tak dawno temu. Nie pamiętam twarzy tamtej dziewczyny. Nie pamiętam nawet jej imienia – przyznałem.

– To dlatego, że usunęłam te rzeczy z twojej pamięci – szepnęła. – Jeśli sobie życzysz, mogę umieścić je tam z powrotem, i będziesz mógł zatrzymać je przy sobie przez następnych pięć tysięcy lat, ale nie przyniesie ci to radości. Chcesz tego?

– Wiesz przecież, że nie chcę. – W ten sposób odrzucałem tę biedną zagubioną duszę, która wraz ze mną była niewolnicą. W naszej wspólnej nędzy obdarzyliśmy się nawzajem odrobiną pociechy. Dała mi miłość. Ale już dawno temu połknęła ją otchłań kosmosu i czasu. Odeszła tam, gdzie nikt nie mógł za nią podążyć, nawet pozbawiony męskości półbóg.

Poddałem się nastrojowi chwili, ciesząc się tym, co znajdowałem w duszy i pamięci Inany, choć jednocześnie ona cieszyła się tym, co znalazła we mnie. Spleceni cieleśnie i duchowo, nie odczuwaliśmy już czasu, który niczym rzeka przepływał spiesznie obok nas. Zamienił się on w spokojny ocean, na którym unosiliśmy się razem, smakując każdy moment, jakby był ułamkiem wieczności. Ona wspierała i umacniała moją duszę, sprawiając, że byłem nieskończenie mądrzejszy i niedostępny złym mocom.

Razem dostąpiliśmy stanu duchowej łaski.

Po chwili dłużej jak wieczność moja dusza odezwała się znowu:

– Inano, nie chcę, żeby się to skończyło. Chcę pozostać z tobą na zawsze, tak blisko ciebie jak teraz.

Usłyszałem jej głos, odpowiadający z samych głębin mojego jestestwa:

– Jesteś częścią mnie, Taito, a ja jestem częścią ciebie. Ale jednocześnie istniejemy oddzielnie, jako odrębne całości, każde z nas dla siebie. I każde z nas prowadzi własną egzystencję, do której musimy wrócić. Mamy własne przeznaczenia, które musimy urzeczywistnić samotnie.

– Nie opuszczaj mnie, proszę – zwróciłem się do niej błagalnym tonem.

– Zostawiam cię teraz. Czas na mnie, muszę odejść. – Jej głos nie był już stopiony z moim.

– Wrócisz do mnie?

– Tak.

– Gdzie? – spytałem.

– Tam, gdzie będziesz przebywał.

– Ale kiedy, Inano? Kiedy zobaczę cię znowu?

– Jutro, za rok lub może za tysiąc lat.

Poczułem, że jej ciało odkleja się, uwalniając mnie z jej uścisku, a potem jej ramiona odsunęły się ode mnie.

– Zostań jeszcze przez chwilę – poprosiłem, ale jej już nie było. Usiadłem. Rozejrzałem się ze zdumieniem na wszystkie strony. Stwierdziłem, że leżę na moim posłaniu na pałacowym tarasie. Zerwałem się na nogi i pobiegłem do sypialni. Zatrzymałem się na środku dużego pokoju i wlepiłem wzrok w przeciwległą ścianę, gdzie tak niedawno widziałem przejście prowadzące do tajemnego ogrodu, do którego poszybowałem z Inaną. Ale nie było śladu żadnych drzwi.

Powoli podszedłem bliżej i zacząłem dokładnie badać ścianę, muskając jej powierzchnię czubkami palców w poszukiwaniu szczeliny między drzwiami i framugą. Tynk był gładki i pozbawiony rys. Przypomniałem sobie wtedy, co powiedziała Inana.

„Musisz wiedzieć, Taito, że w naszym świecie bogów i półbogów wszystko jest możliwe”.

Wydawało mi się, że minęło wiele lat od chwili, gdy po raz ostatni stałem przed tą ścianą. Zastanawiałem się, czy w tamtym odległym miejscu, do którego Inana mnie przeniosła, istnieje taki wymiar jak czas. A jeśli nawet istnieje, to być może czas został zamrożony w tym świecie, gdy przebywałem z nią?

Podczas gdy snułem te myśli, próbując oddzielić rzeczywistość od fantazji i prawdę od zmyślenia, mój wzrok spoczął na bukietach czerwonych róż w olbrzymiej amforze z brązu stojącej na środku podłogi. Podeszedłem do niej i przyjrzałem się kwiatom na kolczastych łodygach. Były równie świeże, jak wtedy, gdy oglądałem je po raz ostatni.

– Mogły zostać wiele razy podmienione podczas mojej nieobecności – powiedziałem głośno. Potem spojrzałem na posadzkę. Zobaczyłem pojedynczy czerwony kwiat leżący na marmurowej płycie. Przypomniałem sobie, że zerwałem go z łodygi ostatniego popołudnia, żeby wciągnąć do nozdrzy jego aromat, a potem upuściłem na podłogę, żeby usunęli go pałacowi służący.

Pochyliłem się i uniosłem go do nosa. Pachniał tak samo jak wczoraj po południu, a kiedy przyjrzałem mu się bliżej, odkryłem, że chociaż był bez wody, nie zwiędł, ale jest równie świeży i rześki jak w chwili, gdy zerwałem go z łodygi.

– Czy spędziłem z Inaną tylko jedną noc w jej boskich objęciach, a nie całe życie, jak sobie wyobrażałem? – zastanawiałem się. Nie wydawało się to możliwe. Stałem zamyślony, muskając sobie usta płatkami czerwonej róży.

Usłyszałem, że drzwi się otwierają, a potem dobiegły mnie stłumione głosy mówiące po egipsku.

– Kto tam? – zawołałem.

– To ja, panie – odpowiedział mi jeden z nich. Rozpoznałem głos Rustiego. Chwilę potem pokazał się w drzwiach sypialni.

– Gdzie byłeś? – zapytałem.

– Powiedziałeś mi, panie, żebym cię nie budził, dopóki słońce nie ukaże się nad widnokregiem – zaprotestował ze źle ukrywanym oburzeniem Rustie.

– Kiedy ci to powiedziałem?

– W nocy, kiedy mnie odsyłałeś, panie.

A więc spędziłem tam tylko jedną noc. A poza tym być może w ogóle do tego nie doszło. Być może wszystko to było tylko snem, ale miałem rozpaczliwą nadzieję, że nie. Już tęskniłem za następną randką z Inaną, jeśli oczywiście ona istniała naprawdę, a nie jedynie w mojej wyobraźni. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek otrzymam odpowiedź na tę zagadkę... Złudzenie czy rzeczywistość? Kim jest Inana?

– Zapomniałem o tym. Przepraszam cię, Rustie.

– Oczywiście, panie. Ale to ja powinienem się tłumaczyć.

Rustiego można tak łatwo udobruchać. Jest miłym człowiekiem i naprawdę go lubię. Jednak przypomniałem mu surowym tonem:

– Nie zapominaj, że za pięć dni wyruszamy do Sydonu. Do tego czasu masz być gotowy do podróży.

– Zapakowałem już na wozy większość naszych rzeczy. Mogę wyruszyć choćby za godzinę.

Każda godzina tych ostatnich pięciu dni spędzonych w Babilonie wypełniona była gorączkowymi zajęciami. Odbywały się ostatnie spotkania z Nemrodem i jego radą, podpisywaliśmy porozumienia między naszymi krajami, uzgadnialiśmy szczegóły przekazania pozostałego srebra, które zgodnie z moim przyrzeczeniem słudzy Nemroda mieli odebrać w Tebach. Cieszyłem się ogromnie, że nie będę obecny, gdy faraonowi Tamose zostanie zaprezentowana umowa dotycząca wydania owych dwudziestu siedmiu lakhów srebra, którą zawarłem, wykorzystując pieczęć sokoła.

Do tych wszystkich kłopotów doszło jeszcze przybycie wysłannika, którego Najwyższy Minos przysłał do Babilonu, żeby powitał moją misję i odbył z nami podróż na Kretę. Wypłynął on z Knossos z eskortą flotylli galer wojennych. Zostawił je w Sydonie i wraz ze świtą przybył lądem do Babilonu.

Nazywał się Toran, co tłumaczy się z minojskiego jako syn byka. Był przystojnym mężczyzną w kwiecie wieku i podróżował z wielką pompą, jak przystało przedstawicielowi najbogatszego i najpotężniejszego monarchy na świecie. Król Nemrod przeznaczył na mieszkanie dla jego świty całe skrzydło pałacu. Tylko na wyżywienie i zabawianie kreteńskich gości Nemrod zmuszony był wydać większość z trzech lakhów srebra, które mu przekazałem. Nie mógł się doczekać, kiedy Toran wróci na swoją wyspę, i robił co w jego mocy, żeby przyspieszyć jego wyjazd.

Niezależnie od swej urody i królewskich manier, Toran był jednym z najbardziej przebiegłych i inteligentnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem. Już przy pierwszym spotkaniu połączyła nas mocna więź wzajemnego szacunku. Prawie natychmiast obaj rozpoznaliśmy atuty tego drugiego.

Tym, co nas łączyło, była między innymi odraza do barbarzyństwa Hyksosów i do wszystkiego, co się z nimi wiązało, choćby nawet luźno. Przez prawie godzinę wyrażałem mu moje ubolewanie i współczucie z powodu nikczemnego i niesprowokowanego ataku, jaki ci barbarzyńcy przypuścili na minojski fort w Tamiacie, i okrucieństw, jakich się dopuścili wobec schwytych tam kreteńskich żołnierzy. Jednym z niższych rangą oficerów, którzy padli ich ofiarą, był najmłodszy syn Torana. Hyksosi ścięli go, gdy się im poddał.

Żaden z nas nie wspomniał jednak o trzech wielkich kreteńskich trierach, które Hyksosi ukradli Najwyższemu Minosowi wraz ze skarbem pięciuset osiemdziesięciu lakhów w srebrnych sztabkach. Wyglądało to tak, jakby ten olbrzymi skarb nigdy nie istniał. Przynajmniej ja byłem gotowy przysiąc przed wszystkimi bogami, że nic o nim nie wiem.

Ale tym, co ostatecznie przekonało mnie o wyższych talentach Torana i jego wybitnej inteligencji, była płynna znajomość języka egipskiego i fakt, że czytał i studiował wiele moich pism na różne tematy. Powiedział mi, że uważa mój traktat o taktyce i prowadzeniu wojny na morzu za dzieło genialne oraz że przetłumaczył większość mojej poezji na język minojski.

Jednak dopiero drugiego dnia rozmów poruszyliśmy temat proponowanego przymierza między naszymi dwoma potężnymi krajami oraz sposobu, w jaki moglibyśmy potwierdzić i umocnić ten pakt. Pertraktacje zajęły nam następne trzy dni, w czasie których nawzajem przetestowaliśmy do końca wszystkie nasze negocjacyjne umiejętności, by wreszcie czwartego dnia zdecydować się na podpisanie porozumienia, które przygotowałem zarówno w egipskich hieroglifach, jak i w minojskim piśmie linearnym.

Uznałem, że nadszedł właściwy moment na przedstawienie Toranowi księżniczek. Zaprosiłem go na następny wieczór wraz z jego orszakiem do nas na kolację.

Osobiście dopilnowałem wyboru win i zdecydowałem, jakie dania mają zostać podane. Moje menu było prawie tak samo długie, jak dopiero co podpisany przeze mnie traktat z Kretą, ale znacznie bardziej czarujące. Potem poświęciłem całe popołudnie na przygotowanie na tę okazję moich dziewcząt. Podstawowe znaczenie dla mnie, by nie wspomnieć o korzyściach dla naszego umiłowanego Egiptu, miało to, żeby zauroczyć Torana i zachęcić go do wysłania do pałacu w Knossos świetlistego opisu wszystkich walorów księżniczek.

Z najwyższą troskliwością wybrałem z obszernej garderoby, jaką przywiozłem z Teb, materiały i kolory, które najlepiej podkreślały urodę dziewcząt – różowy dla Bekathy i zielony dla Tehuti.

Usiadłem obok kobiet, które malowały im twarze. Postanowiłem nie zaakceptować u żadnej z nich niczego, co nie będzie perfekcyjne. Gdy wreszcie ich wysiłki mnie zadowolily, przyprawiłem obie o płacz, ale efekt wart był mojego uporu. Jedyłą pięknoscią, na której kiedykolwiek spoczęły moje oczy i która przewyższała urodę moje dziewczęta w ten wyjątkowy wieczór, była bogini Inana i jej oblicze w księżycowej poświacie. Byłem pewien, że ani Toran, ani jego pan na Krecie nie będą umieli oprzeć się księżniczkom, tak jak i ja nigdy nie byłem do tego zdolny.

Tego wieczoru zacząłem, aż Toran i wszyscy członkowie jego świty rozsiądą się przy wspaniale udekorowanym stole, jaki przygotowałem, oraz wszystkim zostanie podane wino, i dopiero wtedy dałem dziewczętom sygnał do wejścia.

Gdy pojawiły się w podwójnych drzwiach przy końcu sali, sunąc ramię przy ramieniu, całe towarzystwo natychmiast pogrążyło się w głębokim milczeniu. Mężczyźni byli urzeczeni i pełni podziwu, a kobiety umierały z zazdrości.

Księżniczki przystanąły przed Toranem i ukłoniły się wdzięcznie. Tuż za nimi szła Loxias. Także ona wykonała kurtuazyjny dyg. Jeśli o mnie chodzi, to oczywiście nie poświęciłem najmniejszej uwagi dziewczynie z Krety. Ubrana była w raczej bezbarwną sukienkę, która nie sięgała jej kolan. Zarówno jej buzia, jak i kolana były całkiem ładne, ale nie odznaczały się niczym wyjątkowym. Rzecz jasna, sama zajęła się swoimi włosami i twarzą. Koniec końców, była tylko służącą, więc powinna się czuć bardzo szczęśliwa, że pozwoliłem jej uczestniczyć w uczcie.

Spojrzałem ukosem na Torana, żeby osądzić jego reakcję na ten pokaz kobiecej urody, i stwierdziłem, że spogląda ponad głowami moich dwóch piękności i się uśmiecha. Podążyłem wzrokiem w tym samym kierunku i ze zdziwieniem i smutkiem zobaczyłem, że Loxias wstydliwie oddaje mu uśmiech. Wtedy przypomniałem sobie, że wcześniej zachwycała się panem Remremem. Przyszło mi do głowy, że to dziecko musi mieć skłonność do starszych mężczyzn.

Natychmiast zmieniłem moją opinię na temat Torana, oczywiście na jego niekorzyść. Mógł być uprzejmym i wykształconym politykiem mającym wyborny smak literacki, ale jeśli chodzi o kobiety, nie ulegało wątpliwości, że nie jest w stanie odróżnić lśniącego kolibra od bezbarwnego małego wróbelka.

Dałem znak moim dziewczętom, żeby zajęły miejsca po obu stronach Torana. Poinstruowałem je wcześniej, żeby postarały się olśnić go umiejętnością płynnego posługiwania się językiem minojskim. Potem zdecydowanym ruchem głowy przepędziłem Loxias na sam koniec sali, gdzie miała możliwość oczarować swoim banalnym urokiem kilku moich młodszych oficerów, bliższych jej pod względem wieku i pozycji społecznej.

Przez kilka następnych tygodni musiałem poświęcić wiele czasu na tajne, szczerze rozmowy z Toranem, panem Remremem i wyższymi dowódcami sumeryjskimi. Spotkania były poświęcone zaplanowaniu i uzgodnieniu naszej połączonej kampanii przeciwko królowi Gorrabowi. Dni uciekały i wydawało się, że nie ma dla mnie chwili wytchnienia.

Dwa dni przed wyruszeniem naszej karawany z Babilonu do Sydonu nie mogłem już oprzeć się wewnętrznemu przymusowi, który nakazywał mi złożyć pożegnalną wizytę w świątyni Isztar. Miałem gorącą nadzieję, że znajdę jakiś znak pozostawiony przez Inanę we wnętrzu zagadkowej budowli, być może w postaci ukrytej wiadomości od niej lub co najmniej ezoterycznego śladu jej obecności.

Uzgodniłem z Onyosem, ubranym w zieloną togę kapłanem bogini, że pozwoli mi wejść do świątyni po jej zamknięciu dla wszystkich innych wyznawców. Zjawiłem się tam samotnie, ubrany w szary płaszcz z kapturem przypominający strój, jaki nosiła Inana. Była godzina po północy, gdy dotarłem do furtki w świątynnej bramie, przy której czekał na mnie Onyos.

– Chcę zostać sam – powiedziałem i wsunąłem w jego dłoń srebrnego mema. Wycofał się z szacunkiem, robiąc głęboki i zamaszysty ukłon, a potem rozplynął się w mroku między rzędami kolumn podpierających sklepienie.

Bez promieni słonecznych, odbijanych od wielkiego zwierciadła na dachu, w świątyni panował posępny i tajemniczy

nastrój. Była pusta, jeśli nie liczyć kilkorga kapłanów i kapłanek w zielonych togach. Wnęki, w których kobiety wyczekiwały na możliwość wypełnienia obowiązkowej posługi wobec bogini, były puste. Kilka najbardziej spektakularnych fresków oświetlały oliwne lampy z polerowanymi miedzianymi odbłaskami.

Po namalowanych na nich postaciach błąkało się chwiejne światło, napełniając je własnym ponurym życiem. Przystanąłem przed paroma z nich, zastanawiając się nad przepaścią, jaka oddzielała te obrazy od prawdziwej natury niebiańskiego, czystego bóstwa, któremu były poświęcone. W trakcie odkrywczej podróży, w którą zabrała mnie Inana, dowiedziałem się, że to, co ludzie myślą na temat bogów, w większości jest ich własną wyobraźnią. Przekonanie, że człowiek może nagiąć nieśmiertelnych do swej woli za pomocą modlitwy, ofiar albo pobożnej spowiedzi, jest niedorzecznością. Nieśmiertelni robią tylko to, co najlepiej im służy i co jest przedmiotem ich troski o zachowanie władzy i zapewnienie sobie przyjemności.

Powoli i uważnie przepatrywałem przepastne sale i krużganki, ale nigdzie nie byłem w stanie odkryć żadnego, choćby najmniej znaczącego dowodu istnienia Inany. Król Marduk wzniósł tę ogromną budowlę, żeby zwabić do niej boginię i ją zdobyć, ale wiedziałem już, że ta bogini nigdy nie staje się zdobyczą, ona jest łowczynią.

Ruszyłem w górę tarasem, który piął się spiralnie wzdłuż zewnętrznych ścian świątyni. To na nim Inana ukazywała mi się tak często, ale teraz nie było po niej śladu. Wszedłem na płaski dach i usiadłem obok gigantycznego metalowego zwierciadła, które w godzinach dziennych odbijało promienie słoneczne i kierowało je w dół do wnętrza nawy.

Przeszukałem ozdobione gwiazdami sklepienie nocnego nieba nade mną. Niestety, i tam nic mi nie zostawiła. Miałem tylko jej obraz w pamięci i obietnicę, że pewnego dnia do mnie wróci.

Król Nemrod kazał wznieść za główną bramą miejską królewski namiot. Udekorowano go chorągwiami, kwiatami i gałązkami palmowymi. W dniu naszego wymarszu do Sydonu Jego Wysokość zasiadł wysoko na honorowym podium, z którego zamierzał nas pożegnać.

Był otoczony sumeryjską arystokracją, najwyższymi rangą dowódcami wojskowymi i miejskimi dygnitarzami. Pan Remren, pułkownik Hay i inni egipscy oficerowie, którzy mieli pozostać przy nim w Babilonie, również zajęli honorowe miejsca na podwyższeniu.

Poprzedniego dnia wysłałem wszystkich służących, niewolników i pozostałych cywilów przodem, przed czołem naszych głównych sił. Wraz z nimi wyruszyły wozy z bagażami i stada zapasowych koni oraz wielbłądów. Tak więc, maszerując przed królem Nemrodem, miałem przy sobie tylko oficerów i podległych im żołnierzy.

Wszystkie nasze rydwany bojowe, broń i zbroje zostały naprawione, odnowione i wypucowane, błyszcząły więc w promieniach słońca. Konie i wielbłądy były w najlepszej formie, dobrze odkarmione, wypoczęte i oporządzone. Zaras poświęcił również należytą uwagę ludziom, żeby nie okazali jakichkolwiek zaniedbań. Wyglądaliśmy jak mała, dzielna armia, jaką rzeczywiście byliśmy.

Wielu naszych ludzi nawiązało stosunki z miejscową ludnością, toteż przy drodze prowadzącej w kierunku wybrzeża

stało wiele zapłakanych kobiet. Niektórym z nich zaczynały już rosnąć brzuchy. Wszystko to mocno podnosiło atmosferę podniecenia i wzmagало dramatyzm chwili.

Toran jechał po mojej lewej ręce, a księżniczki po prawej. W jakiś dziwny sposób Loxias zdołała znaleźć sobie miejsce tuż za minojskim posłem. Nie dziwiło mnie to ani nie niepokoiło. Dowiedziałem się, że nie sypiała już w tym samym pokoju, co moje dziewczęta, i że po przyjeździe Torana do Babilonu znalazła sobie nową kwaterę. Nie dociekałem, co się za tym kryje.

Mając po obu stronach posła i księżniczki oraz pułkową orkiestrę rogów, fletów i bębnów za plecami, wyprowadziłem naszą kolumnę poza bramę miejską. Zatrzymaliśmy się, gdy zrównaliśmy się z królewskim namiotem. Zsiadłem z konia i wszedłem po stopniach do miejsca na podium, w którym stał król Nemrod.

Orkiestra ucichła i tłum zamilkł z szacunkiem, gdy przyklęknąłem na jedno kolano przed królem. Jego Wysokość podniósł mnie z powrotem na nogi i objął tak czule, jak mógłby to zrobić mój rodzony brat, gdybym go miał. Było to z jego strony jedyne godne zachowanie, gdyż odnowiłem jego królestwo i armię. Uczyniłem go też bogatym człowiekiem i przywróciłem mu wielką część fortuny, którą roztrwonił jego ojciec, król Marduk.

Wymieniliśmy przysięgi wieczystej przyjaźni, które z mojej strony nie były całkiem szczere. A potem się pożegnaliśmy.

Wsiadłem z powrotem na mojego ogiera i prawą ręką dałem znak do wymarszu. Orkiestra odegrała początkowe takty pułkowego hymnu.

W tej doniosłej chwili tak bardzo mi drogi głos na lewo ode mnie wydał okrzyk, który odbił się echem od masywnych murów miasta.

– Stać! – zakrzyknęła księżniczka Bekatha. Znieruchomieliśmy posłusznie na jej rozkaz. Ucichły dźwięki orkiestry wraz z okrzykami tłumu i zapadła dziwna cisza. Wszyscy, łącznie ze mną, odwrócili się i wlepili w nią oczy.

– O co chodzi, moja droga? – spytałem uspokajającym tonem. Zauważyłem, że dziewczę znajduje się o krok od jednego z jej sławetnych napadów wściekłości. Nie mogę wykluczyć, że jestem po części odpowiedzialny za takie, a nie inne ukształtowanie charakteru Bekathy. Być może w przeszłości byłem dla niej nadmiernie wyrozumiały.

– Co ten Hay sobie wyobraża, ukrywając się tam na podium za panem Remremem, podczas gdy mnie wysyła się samotnie na jakąś ponurą i bezbożną wyspę na samym końcu świata? – Bekatha wyciągnęła prawą rękę i wskazała nią osobę, która tak okrutnie zgrzeszyła przeciwko niej. – Popatrzcie tylko, jak on się tam chowa! – Głowy zgromadzonych, łącznie z królem Nemrodem, odwróciły się w stronę Haya.

– Powiedziałaś przecież, że nie chcesz go więcej oglądać – przypomniała jej Loxias.

– Nie wtrącaj się, bo pożałujesz! – odcięła się Bekatha.

– Loxias ma rację. Naprawdę powiedziałaś, że nie cierpisz tego Haya. – Tehuti śmiało wsparła kreteńską dziewczynę.

– Nic takiego nie powiedziałam. Nie użyłam słowa „nie cierpię”!

– Ależ tak, zrobiłaś to – potwierdziły unisono dwie pozostałe dziewczyny, a Tehuti posunęła się jeszcze dalej. – Powiedziałaś nawet, że każesz go ściąć.

– Nie powiedziałam, że każę go ściąć. – Oczy Bekathy wypełniły się łzami wściekłości. – Powiedziałam, że każę go ukarać.

Osoby z tylnej części zatłoczonego podium zaczęły się domagać wyjaśnień od stojących z przodu, którzy byli w stanie zrozumieć parę egipskich słów.

– Co ona powiedziała?

– Powiedziała, że ma zamiar nakazać, żeby komuś ucięto głowę.

Małe dzieci z tłumu zaczęły jęczeć, żeby rodzice posadzili je na ramionach, ponieważ chcą mieć lepszy widok na egzekucję.

– Nawet ja słyszałem, jak mówiłaś, że ten Hay to potwór i barbarzyńca – wtrąciłem się ostrożnie do rozmowy pod osłoną ogólnej wrzawy.

– Powiedziałam tylko, że Hay nie powinien się ze mnie wyśmiewać.

– I nie uważasz, że jest brzydalem?

Bekatha spuściła oczy i zniżyła głos.

– Tak naprawdę, to nie. W rzeczywistości jest całkiem miły, na swój śmieszny sposób.

– A co z jego pięcioma żonami?

– Obiecał, że odeśle je do domów, do ich matek.

Zamrugąłem. Najwyraźniej sprawy wymknęły się mocno spod mojej kontroli.

– Może lepiej zostawmy go tu w Babilonie, bo co będzie, jeśli dotrzymasz obietnicy i każesz go ściąć? – zaproponowałem.

– Nie bądź taki okropny, Taito.

– Jesteś absolutnie pewna, że chcesz, żeby Hay pojechał z nami na Kretę?

Bekatha kiwnęła głową, a jej uśmiech rozmiękczał serca, przynajmniej moje. Uniosłem się w strzemionach i zawołałem nad głowami tłumu:

– Hay! Spakuj się i zajmij miejsce w szeregu. Nie zamierzam czekać na ciebie. Jeżeli przed zmrokiem nie zameldujesz się w swoim pułku, to uznam cię za nieobecnego bez usprawiedliwienia.

Kopnąłem piętami boki mojego konia i ruszyliśmy w stronę wybrzeża. Kącikiem oka przyglądałem się, jak pułkownik Hay z nieprzyzwoitym pośpiechem przepycha się na dół z królewskiego podwyższenia. Nie zważając na protesty Remrema, pognął w kierunku bramy miejskiej po swój ekwipunek.

Zadałem sobie pytanie, dlaczego czuję się tak z siebie zadowolony. Zająłem właśnie stanowisko w trudnej sprawie, które będzie niemal absolutnie nie do utrzymania. Nie odniosłem z tego żadnych osobistych korzyści, z wyjątkiem tego, że pod

moją komendę wrócił najlepszy woźnica wozu bojowego w Egipcie, no i sprawiłem, że moja mała Bekatha poczuła się znowu szczęśliwa.

Przez następnych sześć dni jechaliśmy wzdłuż Eufratu w kierunku północno-zachodnim, aż dotarliśmy do królewskiego gościńca, który rozpoczynał się w Resafie. Podążyliśmy nim przez góry do Asz-Szam, Jaśminowego Miasta.

Od czasu, gdy opuściliśmy Morze Czerwone, zatoczyliśmy ogromne koło, dzięki czemu w żadnym miejscu nie znaleźliśmy się bliżej niż na odległość siedmiuset mil od ziem opanowanych przez Hyksosów, położonych wokół północnego biegu Nilu.

Z Jaśminowego Miasta mogliśmy wreszcie skierować się prosto na zachód w kierunku Sydonu, leżącego na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego. Była to najpiękniejsza i najprzyjemniejsza część naszej długiej wędrówki. Droga biegła przez góry i lasy Libanu.

Gościniec prowadził szpalerem gigantycznych cedrów, które nigdy nie poczuły siekiery. Wydawało się, że są to filary, na których opiera się niebo, i sięgają prawdziwego domu bogów. O tej porze roku ich górne konary oszronione były girlandami kruchego, świeżego śniegu, a powietrze przepełniał zapach żywicy.

Gdy zjechaliśmy niżej i znaleźliśmy się bliżej wybrzeża, zrobiło się cieplej, mogliśmy więc pozdejmować futra i grube wełniane szale, które zakupiliśmy w Jaśminowym Mieście. Wyłoniliśmy się z cedrowych lasów i odkryliśmy na naszej drodze jeszcze jedną górę. Przewodnicy powiedzieli, że nazywa się Rana, co w języku kananejskim oznacza „doskonale piękna”.

Wznosi się na wybrzeżu Morza Śródziemnego między fenickimi portami Tyrem i Sydonem, oddzielając je od siebie o prawie dwadzieścia mil.

Szlak handlowy, którym podążaliśmy, rozwidłał się u jej stóp. Wybraliśmy prawe odgałęzienie i po okrążeniu Rany mogliśmy już rzucić pierwsze spojrzenie na morze. Z tej odległości rysowało się jak cudowny cień w kolorze głębokiego błękitu, który ciągnął się daleko na horyzoncie. Nawet brzuchy piętrzących się wysoko nad nim chmur były zabarwione na niebiesko, odbijając się od leżących niżej wód.

Port Sydon był jednym z najlepiej prosperujących i ruchliwych handlowych miast na tym wybrzeżu. Tłoczyło się w nim mrowie statków. Nawet z tej odległości byłem w stanie dojrzeć na żaglach większych jednostek dwugłową siekierę, symbol Krety. Należały one do flotylli, która przywiozła tu Torana. Przyszedł do mnie, żeby się pożegnać, a potem odjechał do portu, żeby wsiąść na okręt flagowy i przejąć jego dowództwo. Miał pożeglować przed nami, żeby uprzedzić Najwyższego Minosa o naszym rychłym przybyciu.

Wybrałem kawałek otwartego terenu obok drogi w odległości pół mili od kamiennych murów portu. Biegł tędy strumień spływający ze stoków góry, który mógł zapewnić nam dostateczne zaopatrzenie w wodę. Poleciałem Zarasowi, żeby urządził w tym miejscu nasz pułkowy obóz. Zanim zdążyliśmy się w nim rozgościć, z głównej bramy miasta ruszyła w naszą stronę delegacja.

Zauważyłem, że idący na jej czele człowiek ubrany jest w szaty wysokiego rangą oficera sumeryjskiego. Podjechał do mnie i zsiadł z konia.

– Nazywam się Naram Sin i jestem gubernatorem prowincji Sydonu – powiedział, kładąc zaciśniętą dłoń na sercu w geście wyrażającym szacunek. – Wiem oczywiście, że mam przed sobą pana Taitę. Twoje imię, panie, jest już znane i szanowane w całym Sumerze. Otrzymałem ścisły rozkaz od Jego Wysokości króla Nemroda, żeby złożyć ci uszanowanie i wypełnić

natychmiast i bez szemrania twoje polecenia, panie. Mam dopilnować, żeby tobie i królewskim damom pod twoją opieką niczego nie brakowało.

– Dziękuję za tak przyjazne powitanie. Na początek proszę, abyś zechciał dostarczyć nam paszy dla zwierząt.

Naram Sin zakręcił się na pięcie i wydał szereg poleceń swoim podwładnym. Popędzili natychmiast, żeby je wypełnić, po czym gubernator odwrócił się znowu do mnie:

– Czy jest jeszcze coś, w czym mógłbym ci pomóc, dostojny panie?

– Proszę zaprowadzić mnie do stoczni, w której remontowana jest moja flotylla. Pilno mi przyjrzeć się tym pracom.

Już na pierwszy rzut oka sześć galer, które zakupiłem od Nemroda, poważnie mnie rozczarowało. Stały w doku na podporach, mogłem więc zbadać ich kadłuby poniżej linii wodnej. Zrobiłem błąd, porównując je z wielkimi minojskimi trierami, które zdobyłem koło fortu w Tamiacie. Te sumeryjskie okręty były prawie o połowę mniejsze, a linie ich kadłubów pozwalały mi stwierdzić, że będą dużo wolniejsze i znacznie mniej poręczne w obsłudze.

Z wysiłkiem przełamałem niechęć i postanowiłem skupić całą moją uwagę na wyciągnięciu ile się da z tego, co miałem pod ręką.

W ciągu kilku następnych tygodni spędziłem z Zarasem i cieślami okrętowymi większość bezsennych godzin.

Przyglądałem się każdej listwie poszycia i wszystkim drzewcom. Wyciągałem na chybił trafił gwoździe z kadłuba i sprawdzałem, czy nie są zardzewiałe. Tak samo postępowalem z okuciami z brązu. Wciskałem czubek miecza w uszczelnienia między listwami poszycia kadłuba, żeby zweryfikować jakość prac. Kazałem rozwinąć wszystkie żagle i rozłożyłem je na brzegu, żeby dokładnie je obejrzeć. Szukałem rozdarć i słabych miejsc w płótnie, które należało naprawić.

Poleciłem też wprowadzić szereg modyfikacji do konstrukcji kadłubów. Omówiłem te sprawy szczegółowo z Zarasem w czasie długiej podróży z Babilonu. Gdy pokazałem moje rysunki

nadzorcy stoczni, zaczął mrużyć i gderać, przedstawił też z tuzin zastrzeżeń, które zbilem bezlitośnie.

Chciałem wykorzystać te galery jako bliskie wsparcie dla naszych sił lądowych, które niebawem miały podjąć działania przeciwko legionom Hyksosów na północnych obrzeżach Egiptu. Pomimo początkowych obaw doszedłem do przekonania, że okręty te będą mogły szybko przerzucać duże oddziały ludzi z każdej okolicy Deltę do miejsc, w których będą one najbardziej potrzebne. Jednak wojska lądowe są nieskuteczne bez rydwanów bojowych i koni.

Nadzorca stoczni w końcu skapitulował przed moimi żądaniami i nadbudował na rufach galer rampy ładownicze. Kazałem mu wzmocnić pokłady pomiędzy ławami wioślarskimi, tak żeby nawet na wzburzonym morzu mogły unieść dwanaście rydwanów bojowych wraz z końmi.

Chodziło mi o to, żebyśmy mogli dobijać rufami tych jednostek do każdej półki skalnej lub do innego dogodnego miejsca w celu wyładowania oddziału przeszło siedemdziesięciu wozów bojowych z ich konnymi zaprzęgami i załogami, które byłyby gotowe do podjęcia natychmiastowych działań. Po wykonaniu zadania można by było równie szybko zabrać je z brzegu i odpłynąć.

W trakcie wykonywania tych prac Toran otrzymał od Najwyższego Minosa polecenie odłożenia wyjazdu i pożeglowania w konwoju z nami. Miał oddać do mojej dyspozycji swoje duże i wygodne galery, żeby zapewnić królewskim księżniczkom i ich świcie większe wygody, niż to było możliwe na moich dużo mniejszych statkach.

Ta uprzejmość wyświadczona przez kreteńskiego władcę okazała się dla mnie bardzo szczęśliwa, ponieważ w przeciwnym razie Toran nie mógłby być świadkiem pokazu bitewnych możliwości mojego małego oddziału.

Z chwilą dokończenia prac nad modyfikacją konstrukcji kadłubów okrętów zakończyła się też pora burz i sztormów. Bogowie byli łaskawi, obdarowując nas dobrą pogodą

i umiarkowanie rozkołysanym morzem. Jednak zanim postawiliśmy żagle, żeby wyruszyć na Kretę, doszedłem do wniosku, że musimy przetestować sprawność odnowionych kadłubów na morzu oraz użyteczność zainstalowanych przeze mnie modyfikacji. Jednocześnie mógłbym przećwiczyć moich woźniców w operacjach wyładowywania wozów i ładowania ich z powrotem na pomosty rufowe.

Wyszliśmy w morze i przez kilka dni żeglowaliśmy tu i tam wzdłuż brzegu, wyładowując nasze wozy na ląd w każdym nadającym się do tego miejscu wybrzeża, a następnie ładując je z powrotem. Prowadziłem te zajęcia dopóty, dopóki ludzie wraz z końmi nie zostali dokładnie przeszkoleni i nie nabrali wprawy w tych manewrach. Gdy w końcu byłem z nich zadowolony, pożeglowaliśmy z powrotem do portu w Sydonie.

Dwa dni przed planowanym wypłynięciem na Kretę szedłem wczesnym rankiem z naszego obozu do stoczni, żeby nadzorować codzienne roboty, gdy na obrzeżach portu podszedł do mnie jednooki żebrak. Próbowałem odsunąć go na bok i kontynuować rozmowę z Zarasem i Hayem, którzy mi towarzyszyli. Ale brudny szelma nie dawał za wygraną. Jęcząc, uczeplił się mojego rękawa. Odwróciłem się i uniosłem kij, żeby go odpędzić, ale wcale nie okazał strachu i posłał mi zuchwały uśmiech.

– Pan Aton wyzywa cię na partię bao, panie – powiedział.

Opuściłem kij i wlepiłem w niego oczy, otwierając usta ze zdumienia. Oświadczenie tego bezzębego i brzydko pachnącego osobnika było tak bardzo nie na miejscu, że tym razem naprawdę mnie zatkało. Zanim zdążyłem pozbierać myśli, biedaczyna wcisnął mi do ręki maleńki zwitek papirusu, a potem oddalił się spieszenie zatłoczoną dróżką.

Zaras natychmiast popędził za nim, ale zawołałem do niego, żeby wracał.

– Zostaw go, Zarasie. To przyjaciel mojego przyjaciela. – Zaras przystanął z wahaniem i obejrzał się na mnie.

– Jesteś pewien, że nie urznął ci sakiewki? Nie chcesz, żebym wy dobył z niego prawdę kijem, tak na wszelki wypadek?

– Daj spokój! – odparłem. – Niech sobie idzie! Wracaj tu do mnie, Zarasie.

Zaras posłuchał, ale obejrzał się z żalem przez ramię.

Natychmiast wróciłem do obozu i zamknąłem się w namiocie, a potem rozwinąłem papirus. Już na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że rzeczywiście jest to wiadomość od Atona. Jego pisma nie można było pomylić z żadnym innym. Jest pretensjonalne, podobnie jak jego zachowanie.

„Piątego dnia miesiąca Pachons Sęp wysłał z Zanatu na wschód stado dwustu szakali, żeby przechwycili rannego sokoła w pęknięciu muru i przeszkodzili mu w locie do nowego gniazda na wyspie”.

Już sama zawartość listu nieomylnie potwierdzała tożsamość autora. W prywatnym kodzie, jakiego używałem w korespondencji z Atonem, Sęp oznaczał króla Gorraba. Dwieście szakali oznaczało taką właśnie liczbę hyksoskich rydwanów bojowych. Zanat była to nasza zaszyfrowana nazwa granicznego miasta Nello między północnym Egiptem a Synajem. Pęknięcie w murze oznaczało Sydon, a nowe gniazdo na wyspie – Krete. Oczywiście ranny sokół to ja.

Jasnym językiem Aton ostrzegł mnie, że piętnaście dni temu Gorrab wysłał oddział dwustu rydwanów bojowych nadmorską drogą z Nello do Sydonu, żeby mnie przechwycili i uniemożliwili mi pożeglowanie na Krete.

Fakt, że Gorrab i jego słudzy dowiedzieli się o misji, nie zszokował mnie zbyt ani nie zaskoczył. W każdej tak dużej i zróżnicowanej grupie ludzi jak ta, którą prowadziłem z Teb do Babilonu, a teraz jeszcze do Sydonu, znajdzie się ktoś niedyskretny albo paru osobników opatrzonych długimi uszami. Byliśmy w drodze wystarczająco długo, żeby wiadomość o tym dotarła do nory Gorraba w Memfisi i żeby zdążył na nią zareagować. Mimo iż podjąłem wszelkie możliwe środki ostrożności, żeby zatrzeć za sobą ślady, pogodziłem się z tym, że

Gorrab dowie się o misji i o tym, że stoję na jej czele. Moja sława idzie przede mną. Ten łotr z pewnością zdaje sobie również sprawę z tego, jak groźnym jestem przeciwnikiem.

Nie traciłem ani chwili na zastanawianie się, jak Aton zdobył tę informację, jeśli była prawdziwa, i jak mi ją dostarczył. Aton ma sposoby i środki, żeby robić różne rzeczy, podobnie jak ja. A przy tym nie popełnia błędów, znowu tak jak ja.

Wystawiłem głowę z namiotu i krzyknąłem na Zarasa. Czekał w pobliżu i zjawił się niemal natychmiast, prowadząc za sobą Haya.

– Każcie natychmiast załadować ludzi i wozy z powrotem na statki. Chcę wypłynąć jeszcze przed południem – poleciłem im.

– Dokąd? – spytał Hay. – Czy to kolejne ćwiczenia?

– Nie zadawaj głupich pytań – skarcił go ostro Zaras. – Rób, co ci każe Taita, i to szybko.

Godzinę przed południem wyprowadziłem flotyllę z portu w Sydonie. Toran przyjął moje zaproszenie i stał teraz obok na rufie mojego okrętu flagowego, któremu nadałem nazwę *Zniewaga*. Bo tak właśnie się poczułem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem tę jednostkę. Znieważony.

Gdy tylko wyszliśmy poza falochron, obrałem kurs na południe. Reszta moich statków skręciła po kolei za mną i popłynęliśmy wzdłuż brzegu w szyku liniowym. Dokonałem paru błyskawicznych obliczeń opartych na informacji przesłanej mi przez Atona.

Jeśli, jak ostrzegał mnie Aton, hyksoscy łupieżcy rzeczywiście wyruszyli z Zanatu piątego dnia miesiąca Pachons, to aby dotrzeć do Sydonu, musieli pokonać czterysta mil. Na tak długim dystansie obciążone wozy mogą przejechać w ciągu dnia zaledwie dwadzieścia mil, żeby nie wycieńczyć koni. Konie muszą wypoczywać i się posilać, gryząc trawę. Zatem cała droga powinna im zająć w sumie prawie dwadzieścia dni. Według zdobytej przez Atona informacji byli w drodze już od szesnastu dni. Prawdopodobnie znajdowali się mniej więcej osiemdziesiąt mil od Sydonu. Zakotwiczyłem nasze statki zaraz po zachodzie słońca.

Toran zapytał mnie, dlaczego nie mam ochoty na żeglugę w nocy.

– Nie mogę narażać się na ryzyko żeglowania po ciemku, mając pod nosem nieprzyjaciela – wyjaśniłem mu. – Ale noc

spędzona na kotwicy nie opóźni zbyttnio naszego spotkania. Wozy Hyksosów będą się do nas zbliżać najszybciej, jak potrafią. Możemy się spodziewać spotkania z nimi około południa pojutrze. – Gdy przedstawiłem Toranowi moje obliczenia, zadał mi wnikliwe pytanie:

– Skąd będziemy wiedzieli, że zrównaliśmy się z nimi? Z pewnością z pokładu naszego okrętu będziemy mogli tylko od czasu do czasu rzucić okiem na nadbrzeżną drogę.

– Kurz i dym – odparłem.

– Nie rozumiem.

– Dwieście wozów podniesie chmurę kurzu, którą dostrzeżemy z morza z wielkiej odległości.

Toran kiwnął głową, ale nie dał za wygraną.

– A skąd dym?

– Jednym z wielu sympatycznych zwyczajów, jakie mają Hyksosi, jest podkładanie ognia pod każdą zdobytą wioskę, zwłaszcza jeśli mieszkańcy zabarykadują się w swoich domach. Możesz być pewny, że będą ciągnąć za sobą chmury kurzu i słupy dymu. Ci ludzie naprawdę nie budzą miłości.

Tak jak przewidziałem, godzinę po południu drugiego dnia zobaczyłem dym wznoszący się spoza zagajnika, który rósł w głębi lądu, nie dalej niż kilkaset kroków od krętej linii brzegowej, wzdłuż której rozbijały się niskie fale przyboju.

Wspiąłem się na czubek masztu. Spoglądając z tego wysokiego miejsca, mogłem stwierdzić, że ogień został podłożony bardzo niedawno. Byłem pewien, że tak było, ponieważ słup dymu na moich oczach gęstniał i wznosił się coraz wyżej. Potem w trzech innych miejscach, nieco dalej, podniosły się następne.

– Idzie tam z dymem kolejna wioska wraz z wszelkimi żywymi stworzeniami – mruknąłem. W tym momencie zobaczyłem dwie kobiece postacie, które wyłoniły się z krzaków i zarośli nad piaszczystą plażą. Obie uciekały, gnane przerażeniem i rozpaczą. Jedna z nich niosła na ramionach małe dziecko i w biegu oglądała się za siebie. Dobiegły przez pas żółtego piasku do samej wody i skręciły, żeby pobiec zmoczonym

skrajem plaży, gdzie piasek pod ich stopami był twardszy. Spoglądały na nasze statki i gorączkowo wymachiwały rękami w naszą stronę.

Nagle kolejnami dróżki prowadzącej przez nadbrzeżne zarośla nadjechał wóz bojowy podobny do hyksoskich rydwanów. Jechało nim trzech ludzi. Wszyscy mieli na sobie charakterystyczne hyksoskie zbroje i hełmy z brązu w kształcie kielicha. Woźnica wstrzymał konia, zanim dotarli do zdradliwego miękkiego piasku na skraju morza. Wszyscy trzej wyskoczyli z wozu i ruszyli w pościg za uciekającymi kobietami. Prawie nie zwrócili uwagi na nasze statki. Były zbyt daleko od brzegu, żebyśmy mogli wyraźnie im zagrozić. To dziwne, że mieszkańcy lądu mają tak nikłą wiedzę na temat statków i ich możliwości. Cała uwaga prześladowców skupiona była na ściganych kobietach. Wiedziałem z gorzkiego doświadczenia, że kiedy skończą z matką, równie brutalnie obejdą się także z jej dzieckiem.

– Zamierzasz uratować te kobiety? – Toran złożył dłonie przy ustach i krzyknął do mnie w górę z pokładu rufowego.

– Nie ma tu miejsca na bezpieczne dobiecie do brzegu. Dajmy tym hyksoskim świniom pożyć jeszcze trochę, rozprawimy się później i z nimi, i z ich dwustu kompanami! – odkrzyknąłem mu, a potem rzuciłem rozkaz sternikowi, żeby skierował statek na pełne morze. Toran pozostał przy relingu na rufie, spoglądając w kierunku brzegu, żeby zobaczyć, co napastnicy z rydwanu zrobią ze schwytanymi kobietami. Nie zważałem na jego gwałtowne krzyki, zdradzające oburzenie i wściekłość.

Nie obejrzałem się nawet na to, co działo się na brzegu. Widziałem to wszystko wcześniej wielokrotnie, co jednak w żaden sposób nie uodparniało na tego rodzaju horror. Teraz całkowicie skoncentrowałem się na tym, żeby wyprowadzić moją małą flotyllę jak najdalej w morze, a potem położyć się z powrotem na kursie wzdłuż brzegu i pożeglować tą samą drogą, którą przebyliśmy.

Kilka godzin wcześniej przepłynęliśmy obok małej zatoki osłoniętej skalistymi cyplami. Została ona wyżłobiona przez sporą rzekę. W obecnej, suchej porze roku rzeka skurczyła się do rozmiarów małej strugi. Nadbrzeżna droga przekraczała ją w miejscu, w którym znajdował się bród osłonięty po obu stronach przez strome i skaliste brzegi. Powinny one stanowić poważną przeszkodę dla kolumny wozów nadjeżdżającej drogą w kierunku Sydonu. Hyksosi musieliby przejeżdżać przez bród każdym wozem oddzielnie, prowadząc konie za uzdy. Pozbawieni zdolności manewrowania staliby się bezbronni w trakcie wykonywania tej operacji.

Wcześniej tego samego dnia, gdy przepływaliśmy obok tej zatoki, zauważyłem wąską piaszczystą plażę, wciśniętą poza północny cypel, który osłaniał ją przed bezpośrednim działaniem morza. Brzeg opadał dość łagodnie, a piasek wydawał się wystarczająco twardy, żeby umożliwić naszym wozom przejechanie po nim i dotarcie do twardego gruntu.

Kierowałem się z powrotem wzdłuż brzegu do tego miejsca, które dzięki naturalnemu ukształtowaniu nadawało się idealnie do urządzenia zasadzki. Mijając inne moje galery, starałem się płynąć dość blisko nich, żeby ludzie na pokładach usłyszeli moje rozkazy. Jedna za drugą zawróciły i popłynęły za *Zniewagą* do zatoki wybranej przeze mnie na miejsce przybicia do lądu. Mieliśmy postawione wszystkie żagle, a wiosłarze zwiększyli tempo pociągnięć z szybkości rejsowej do szybkości natarcia. Rejsowa szybkość to taka, którą ludzie przy wiosłach mogą utrzymać przez trzy godziny bez odpoczynku, podczas gdy szybkość do natarcia wyczerpuje ich kompletnie już po godzinie.

Pędziliśmy tak, że kilwatery za rufami okryły się pianą i falami. Zacząłem wątpić, czy wiosłarze utrzymają to tempo. Nie załamali się jednak i nie zachwiali ani razu do chwili, gdy przed dziobem naszej galery zobaczyliśmy otwarte wejście do zatoki.

Przyjrzałem się jej dokładnie i doszedłem do wniosku, że nadaje się do zrealizowania moich zamiarów lepiej nawet, niż wyobrażałem sobie na początku. Była wystarczająco szeroka,

żeby pomieścić jednocześnie dwie galery. Mogło to przyspieszyć operację wysadzenia sił na brzeg.

Zauważyłem ponadto, że po obu stronach drogi, którą kolumna hyksoskich wozów zmuszona była podjechać do brodu, rosła gęsta, niemal nieprzebyte zarośla i drzewa. Okoliczność ta powinna poważnie im przeszkodzić w rozwinięciu tylnego rzutu ich wozów. Nie mogłyby posuwać się do przodu, ponieważ bród byłby zablokowany przez pojazdy z czoła kolumny, przeciągane na drugą stronę rzeki. Nie mogłyby też szybko się wycofać, ponieważ droga była zbyt wąska, aby wozy mogły przeprowadzać precyzyjne manewry. Gdybym ukrył moich łuczników w krzakach po obu stronach drogi, mogliby z morderczo bliskiej odległości zasypać strzałami ludzi na unieruchomionych rydwanach.

Gdy zbliżaliśmy się do zatoki, zasygnalizowałem Hayowi, żeby płynął swoją galerią obok mojej. Przekazałem mu rozkazy, krzycząc głośno przez wąską lukę między naszymi statkami. Od razu zrozumiał, o co go proszę, więc gdy znaleźliśmy się pod osłoną cypla, jednocześnie opuściliśmy żagle i za pomocą przeciwnych pociągnięć wiosłami na obu burtach wykręciliśmy statki tak, żeby zwróciły się rufami do brzegu. Nasze wozy stały już naprzeciwko pomostu rufowego służącego do wyładunku na brzeg. Konie były zaprzężone, a załogi przygotowane na stanowiskach z bronią i w pełnych zbrojach.

W ostatniej chwili Toran zbiegł z górnego pokładu i poprosił mnie, żebym go zabrał do prowadzącego wozu. Byłem pełen podziwu dla jego odwagi, ponieważ nie był wojownikiem. Znalazłszy się na brzegu, mógłby nam tylko zawadzać. Był pośrednikiem między mną a Najwyższym Minosem, toteż nie ośmieliłem się wziąć na siebie ryzyka, że mógłby zginąć w zbliżającej się bitwie.

– Zostań na pokładzie i obserwuj nasze działania, żebyś mógł później zdać raport Najwyższemu Minosowi! – odpowiedziałem mu szorstkim tonem. W tym momencie rufa statku weszła tak ostro na mokry i twardy piasek, że Toran zwałił się z nóg

i potoczył w kierunku otworów odpływowych w nadburciu. To rozwiązało problem. Zostawiłem go tam samemu sobie.

– Jazda! Jazda! Jazda! – zawołałem, gdy opadł z hałasem pomost rufowy. Zaciąłem batem mój zaprzęg i skierowałem go po nim w dół. Konie zaczęły rozchlapywać wodę, która sięgała im nie wyżej niż do pęcin. Gdy tylko wyszły na suchy piasek, moja załoga i ja wyskoczyliśmy z wozu i zaczęliśmy popychać go wspólnie, żeby pomóc koniom wyciągnąć go na suchą i twardą ziemię. Potem wskoczyliśmy do środka i ruszyliśmy kłusem w głąb łądu. W krótkich odstępach popędziły za nami następne wozy, które zjeżdżały jeden za drugim po pomoście.

Zanim dotarliśmy do nadbrzeżnej drogi, natknęliśmy się na nędzną małą wioskę, aż do tej chwili zasłoniętą przez fałdę terenową. Składało się na nią nie więcej niż tuzin nędznych domostw. Gdy pędziliśmy między nimi, ich mieszkańcy wybiegli na dwór. Kobiety i dzieciaki piszczwały ze strachu. Było z nimi dziesięciu mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie łachmany i byli tak brudni, że ich twarze można było z trudem uznać za ludzkie. Ale mężczyźni uzbroili się w drewniane pałki i na nasz widok przyjęli wzruszająco dzielną postawę, tak jakby chcieli rzucić nam wyzwanie.

Nie zatrzymując się, ryknąłem do nich po sumeryjsku:

– Zabierzcie kobiety i dzieci i uciekajcie w bezpieczne miejsce do lasu! Z południa zbliża się armia gwałcicieli i morderców! Będą tu przed południem. Ratujcie się! Zmykajcie stąd jak najprędzej. – Wiedziałem, że mają kryjówki niezbyt daleko w lesie. Gdyby ich nie mieli, nie żyliby już dotąd. Obejrzałem się i zobaczyłem, że natychmiast posłuchali mojego ostrzeżenia. Niosąc dzieci i nędzne tobołki z dobytkiem, zaczęli opuszczać swoje chałupiny i zmykać w zarośla niczym stado przerażonych dzikich zwierząt. Nie zwracałem na nich więcej uwagi i skierowałem się w stronę nadbrzeżnej drogi, która wyłoniła się już przede mną.

Gdy do niej dotarliśmy, zatrzymałem się, nie przejeżdżając na drugą stronę brodu. Wszystkie siedemdziesiąt wozów zjechało

bezpiecznie na ląd i skupiło się za mną w zwartej kolumnie. Spojrzałem na morze i stwierdziłem, że flotylla moich statków odpłynęła już na pół mili wzdłuż wybrzeża i szykuje się do okrążenia następnego cypla, za którym miała zakotwiczyć. Oczywiście wiosła były podniesione na pokłady, ponieważ na statkach zostało za mało ludzi, żeby przy nich zasiać. Wszyscy, którzy nie byli potrzebni do pracy przy żaglach, chwycili za broń i zeszli na ląd pod komendą Zarasa. Posuwali się biegiem za moimi rydwanami.

Mogłem się tylko domyślać, ile czasu Hyksosi potrzebują na dotarcie do brodu, ale jeśli nie opóźnili marszu dla przyjemności grabienia i gwałcenia, to według moich przypuszczeń nie powinno to trwać dłużej niż dwie lub trzy godziny, czyli tyle, ile potrzebowałem, żeby wydać dyspozycje, w jaki sposób ich przyjmiemy, i przygotować się na to spotkanie. Czekając niecierpliwie, aż Zaras nadbiegnie z piechurami, przyjrzałem się dokładnie terenowi po obu stronach rzeki.

Las po drugiej stronie brodu był zbyt gęsty dla moich wozów. Postanowiłem wysłać za rzekę Zarasa i jego piechurów, każąc im wykorzystać gęstą zieleń i dobrze się tam ukryć. Po tej stronie rzeki zaś otwarty teren ciągnął się od brzegu, do którego przybiliśmy, aż po krawędź lasu trzysta kroków za drogą, na której teraz staliśmy. Tutaj powinienem mieć dość miejsca, żeby optymalnie użyć moich wozów.

Podjąwszy decyzje dotyczące naszych działań, poleciłem Hayowi, żeby zabrał swój oddział na drugą stronę piaszczystej drogi, ukrył wozy na skraju lasu i czekał tam na moje dalsze rozkazy. Hay był specjalistą od rydwanów bojowych. Wiedziałem, że mogę mu zaufać. Przyglądałem się, jak każde woźnicom zejść z pojazdów i powoli przeprowadzić konie przez drogę, żeby nie podniosły chmury kurzu, która mogłaby ostrzec Hyksosów o naszej obecności.

Gdy wszystkie jego wozy przejechały ostrożnie na drugą stronę, woźnice wskoczyli z powrotem na miejsca i odjechali kłusem po sprężystej darni w stronę lasu. Tam wysiedli znowu

i wprowadzili wozy tyłem pod osłonę gęstych zarośli. Następnie pobiegli do lasu naciąć liściastych gałęzi i przyciągnęli je na czoło, żeby ustawić z nich maskującą osłonę przed frontem linii wozów. Wróciłem wraz z Hayem na brzeg drogi, żeby się upewnić, czy wozy są całkowicie niewidoczne.

W trakcie tych przygotowań do drogi dotarł Zaras ze swymi łucznikami. Jako uzupełnienie potężnych zakrzywionych łuków, które nieśli wszyscy, każdy z nich miał owinięty wokół szyi pęk zapasowych cięciw oraz zawieszony na ramionach trzy skórzane kołczany wypełnione strzałami, po pięćdziesiąt sztuk na łuczniaka.

Dałem im kilka minut na złapanie oddechu, a tymczasem pokazałem Zarasowi, gdzie chcę ich postawić po drugiej stronie brodu. Potem wysłałem ich, żeby zajęli wyznaczone pozycje, i patrzyłem z wysokiego brzegu, jak brodzą przez strumień dwieście kroków poniżej brodu.

Gdy wszyscy przeszli przez wodę, posmarowali sobie twarze i zewnętrzne strony dłoni czarnym mułem rzeczonym, a potem wspięli się na przeciwny brzeg. Zaras i jego zaufany przyboczny Akemi weszli na stok jako ostatni, żeby mieć pewność, że nie zostawili żadnego śladu, który mógł obudzić czujność Hyksosów.

Gdy tylko znaleźli się na płaskim terenie nad korytem rzeki, Zaras ukrył ich w gęstym lesie, który graniczył z drogą, rozmieszczając ich w odstępach dwudziestu kroków po obu stronach drogi. Dzięki gęstemu listowiu i maskom z czarnego błota byli niewidoczni nawet z bliskiej odległości. Kolumna Hyksosów powinna wejść między te dwa szeregi śmiertelnie sprawnych łuczników.

Gdy ludzie Zarasa zajęli już pozycje, pospieszyłem z powrotem na skraj lasu, gdzie czatował w linii oddział moich wozów.

Upewniwszy się, że są całkowicie niewidoczne, wybrałem wysokie drzewo, które rosło tuż za nimi. Bez większego trudu wdrapałem się na najwyższe gałęzie. Miałem stąd dobry widok na drogę po obu stronach brodu. Cieszyło mnie, że nawet z tej

wysokości nie mogę dojrzeć żadnego śladu obecności żołnierzy Zarasa po drugiej stronie rzeki.

Byłem w końcu zadowolony z naszych przygotowań na przyjęcie hyksoskich najeźdźców. Spojrzałem jeszcze tylko w kierunku morza i stwierdziłem, że okręty wojenne również skryły się za skalistym cyplem po północnej stronie ujścia rzeki. Morze było puste, a las wokół mnie skąpany w spokoju i ciszy, której nie zakłócał nawet szelest dzikich zwierząt czy wołanie ptaka.

Czekałem na gałęzi, dopóki położenie słońca na niebie i kąt padania jego promieni nie utwierdziły mnie, że minęła następna godzina, która wlokła się niczym kaleka bez kul. Wreszcie na granicy pola widzenia dostrzegłem blady cień kurzu podnoszący się nad lasem, daleko za miejscem, w którym Zaras czatował ze swoimi łucznikami.

Chmurka ta przybliżała się stopniowo i nabierała coraz bardziej wyraźnych konturów. Nagle u jej podstawy dostrzegłem błysk słońca odbitego od polerowanej metalowej powierzchni, być może hełmu lub ostrza jakiejś broni.

Krótko potem zobaczyłem pierwszą parę wozów, która wyłoniła się zza odległego zakrętu drogi. Nie było wątpliwości, że to Hyksosi. Ich rydwany wyróżniały się tym, że były wysokie i niezgrabne, miały też ciężkie i niezdarne koła z błyszczącymi ostrzami umocowanymi do obręczy.

Kolumna Hyksosów wjechała w odcinek drogi, wzdłuż którego Zaras czekał z łucznikami. Gdy czoło kolumny dotarło do brodu, hyksoski oficer w pierwszym wozie uniósł pięść w rękawicy, dając nadjeżdżającym za nim ludziom sygnał do zatrzymania.

Dowódca bardzo dokładnie przyjrzał się leżącemu niżej brodowi oraz terenowi po naszej stronie rzeki. Nawet z tej odległości mogłem zauważyć, że to jakiś fircyk. Jego płaszcz był ufarbowany na jaskrawoniebieski kolor. Z szyi zwisały mu trzy albo cztery połyskujące naszyjniki. Hełm z polerowanego brązu miał umocowane na zawiasach srebrne, misternie rytowane

osłony policzków. Pomyślałem, że też chciałbym mieć takie nakrycie głowy.

Upewniwszy się w końcu, że nie czekają go żadne przeciwności, hyksoski oficer zeskoczył z rydwanu i zbiegł po skalistym zboczu aż do samej rzeki. Wraz z trzema podążającymi za nim ludźmi wszedł bez wahania do wody i przebrnął przez nią na drugi brzeg. Zadowolony, że bród można przebyć, wrócił tą samą drogą i wdrapał się z powrotem do miejsca, w którym zostawił swój wóz. Wsiadł do niego i pokrzykując zachęcająco na konie, skierował je w dół po stromym brzegu.

Zwierzęta znarowiły się tuż nad wodą, ale oficer strzelił z bata nad ich łbami i w końcu z ociąganiem weszły do rzeki i zaczęły się w niej nurzać, sięgając brzuchami lustra wody. Nagle prawe koło rydwanu uderzyło o podwodny głaz i wóz wywrócił się na bok. Ciężki pojazd pociągnął konie z zaprzęgu, tak że się przewróciły, również pod działaniem wartkiego nurtu. Woźnica i jego dwaj załoganci wpadli do wody i zostali pociągnięci na dno pod ciężarem zbroi i ekwipunku.

Ludzie z następnych wozów natychmiast pobiegli na dół i zaczęli brodzić w kierunku zablokowanych w rzece ludzi i koni. Przy akompaniamencie głośnych krzyków i sprzecznych rozkazów wyciągnęli nieszczęśników na powierzchnię, ratując ich przed utonięciem, a potem postawili wóz na kołach. Gdy tylko konie dźwignęły się na nogi, wyciągnęły pojazd z wody, a potem wyjechały po stromym podejździe na równy teren, na wprost miejsca, w którym ukryte były nasze wozy.

Zachowując ostrożność, kolejni woźnice wroga zaczęli zjeżdżać w dół do brodu, gdzie czekający już pomocnicy popychali i przeprowadzali ich przez rzekę, trzymając konie za uzdy. Z mojego wysoko położonego stanowiska miałem świetny widok na kolumnę wrogich wozów zablokowanych za brodem, czekających na swoją kolej, żeby się przeprawić. Mogłem nawet policzyć dokładnie, ile ich jest w sumie, i doszedłem do wniosku, że nie więcej niż sto sześćdziesiąt, a nie dwieście, czego mogłem się spodziewać zgodnie z ostrzeżeniem przesłanym mi przez

Atona. Domyśliłem się, że różnicę tę tłumaczą straty, jakie Hyksosi musieli ponieść w ciągu ostatnich szesnastu dni na długiej i trudnej trasie z północnego Egiptu. Z powodu wad konstrukcyjnych w ich wozach często łamały się osie i pękały obręcze kół. W grę wchodziło też wyczerpanie koni spowodowane długimi godzinami ostrej jazdy po falistym terenie i kamienistych drogach.

Załogi kolejnych wozów, które przeprowiły się przez bród i wjechały na równy teren po tej stronie rzeki, wyprzęgały konie i puszczały je wolno, żeby się posiliły na trawie. Ludzie rzucali się na murawę, żeby odpocząć i się przespać, albo zbierali się wokół pospiesznie zapalonych ognisk, żeby ugotować sobie gorącą strawę.

Zdziwiło mnie, ale również ucieszyło to, że ich dowódca pozwolił im na tego rodzaju swobodę i rozluźnienie dyscypliny w sytuacji, gdy znajdowali się na nieznanym i potencjalnie wrogim terenie. Nie wystawił żadnych wart ani czujek, nie wysłał też zwiadowców, żeby rozpoznali drogę przed nimi. Pozwolił nawet swoim ludziom, żeby na czas odpoczynku odłożyli na bok ciężkie zbroje i broń. Wydawało się, że wielu z nich jest na krawędzi fizycznego załamania, żaden nie podszedł też na skraj lasu, w którym ukryte były nasze wozy. Nawet ci, którzy musieli zaspokoić naturalną potrzebę, nie odchodzili zbyt daleko od swoich kompanów, żeby to zrobić. Znalazłszy się na dziwnej i obcej ziemi, hyksoscy żołnierze instynktownie trzymali się razem, żeby wzajemnie się osłaniać.

Skupienie ludzi, wozów i koni na drodze przez las po drugiej stronie rzeki stopniowo się zmniejszało. Liczyłem wozy, w miarę jak docierały na ten brzeg. Wyczekiwałem chwili, gdy nieprzyjaciel podzieli się na dwie równe grupy i obie kompletnie uspią swoją czujność wobec braku widocznego zagrożenia. Gdy ten moment nadszedł, wyjąłem z kieszeni jasnożółty jedwabny szalik i rozwinąłem go.

Dowódca Hyksosów w swoim niebieskim płaszczu i rzucającym się w oczy hełmie ciągle stał na brzegu nad brodem,

nadzorując przeprawę swoich żołnierzy. Jednak nie dostrzegalem najmniejszego ruchu ze strony Zarasa ani jego ludzi, chociaż dokładnie wiedzialem, gdzie ukrywa sie kazdy z nich. Kiedy Zaras zobaczył, że wspinam się na drzewo, pomachał mi wesoło, a potem schował się w swojej kryjówce.

Następny wóz Hyksosów wspinał się po zboczu rzecznej wąwozu, konie zapierały się kopytami, a mężczyźni dźwigali i popychali z wysiłkiem pojazdy. Był to osiemdziesiąty piąty rydwan z tych, które do tej pory przeprawiły się przez rzekę. Siły Hyksosów znajdowały się teraz w krytycznym położeniu, podzielone na dwie prawie równe części, z których żadna nie była w stanie udzielić wsparcia tej drugiej.

W moim dziele na temat sztuki wojennej napisałem: „Nieprzyjaciel podzielony to nieprzyjaciel przepędzony”. Teraz miałem okazję zademonstrować mądrość moich nauk.

Uniosłem się powoli, zachowując z łatwością równowagę na gałęzi drzewa. Pomachałem trzy razy nad głową jasnożółtym szalem. Zobaczyłem, że Zaras podnosi się natychmiast na nogi po drugiej stronie rzeki. Uniósł zaciśniętą pięść w moją stronę, potwierdzając odbiór sygnału. W drugiej ręce trzymał łuk bojowy z założoną i gotową do wypuszczenia strzałą.

Zaczekałem jeszcze chwilę, żeby zobaczyć, jak gęste zarośla po obu stronach drogi ozywają za sprawą ludzi Zarasa, którzy wyskoczyli z ukrycia. Jak jeden mąż unieśli łuki, czekając w gotowości na rozkaz wypuszczenia strzał.

Zaras posłał strzałę jako pierwszy. Poszybowała wysoko na tle dalekich sinych gór. Wiedziałem, jaki obrał cel, nim jeszcze strzała zaczęła opadać. Hyksoski dowódca stał ciągle na brzegu, odwrócony do niego plecami. Mocne uderzenie strzały rzuciło go do przodu. Upadł i zwałił się po stromym stoku, znikając mi z pola widzenia.

Tymczasem Zaras zdążył już wypuścić trzy następne strzały. Ten młodzieniec jest pod każdym względem bardzo szybki, tak samo jak ja. Jego ludzie wzięli z niego przykład i ich pociski poszybowały niczym szybko płynąca ciemna chmura szarańczy,

a potem opadły na stojące rzędem hyksoskie wozy, unieruchomione między dwoma rzędami łuczników.

Panował upał, dlatego większość hyksoskich woźniców i żołnierzy z załóg wozów zdjęła hełmy i zbroje. Ich konie osłonięte były tylko grubymi bitewnymi derkami z wojłoku, które przykrywały im grzbiety, ale kłęby i zady miały odsłonięte. Moich uszu dochodziły wyraźne odgłosy uderzania krzemiennych grotów strzał, które wbijały się głęboko w ciała zwierząt.

Natychmiast dały się słyszeć krzyki rannych ludzi i rzenie trafionych strzałami koni. W stłoczonych gęsto szeregach nieprzyjaciela zapanowało pandemonium.

Ogarnięte przerażeniem konie szarpały się w uprzężach i wierzgały przednimi kopytami na ludzi, którzy próbowali zapanować nad nimi. Zwierzęta, które zostały trafione w tylne okolice, waliły z bólu zadnimi nogami. Uderzały kopytami w przednie części rydwanów, do których były zaprzężone, i wyrzucały z nich ludzi.

Gdy tylko któryś z woźniców utracił kontrolę nad swoimi oszalałymi z bólu zwierzętami, próbowały ponieść, ale nie miały przed sobą miejsca na żadne takie manewry. Wpadały na wóz blokujący im drogę i popychały ten pojazd na kolejny, stojący przed nim. Prędko doszło do reakcji łańcuchowej, w wyniku której kilka wozów się przewróciło, inne utraciły koła, kalecząc konie i woźniców, a gdy na koniec jej ofiarą padły wozy stojące na przedzie, zostały one zepchnięte po pochyłości i wpadały do rzeki.

Zwierzęta i wozy z ludźmi ześlizgiwały się i toczyły po stromym brzegu na Hyksosów, którzy byli już po pas w wodzie i starali się przedostać na drugi brzeg. Skłębiona masa oszalałych zwierząt i ludzi oraz porozbijane wozy, wszystko to ostatecznie zablokowało bród. W tym kierunku nie można było uciekać.

Każdy z łuczników Zarasa miał pięćdziesiąt strzał, a że posyłali je z tak bliskiej odległości, bardzo niewiele z nich chybiło. Zauważyłem hyksoskiego żołnierza, który został

wyrzucony z wozu głową do przodu, ale jakimś cudem zdołał utrzymać się na nogach, unikając stratowania i posiekania przez ostrza na kołach. Ruszył biegiem, żeby wydostać się z tego zamętu, ale już po kilku krokach zatrzymał się nagle, trafiony w gołe plecy jednocześnie trzema strzałami. W jego owłosionej piersi pokazały się nagle ostre jak brzytwa krzemienne groty. Zakręcił się niczym tancerz w eleganckim piruecie, a potem runął na ziemię, ginąc w tym kłębowisku śmierci.

Załogi hyksoskich wozów, które przebrnęły już przez bród i znalazły się po mojej stronie rzeki, zerwały się z murawy albo od palących się ognisk. Woźnice i żołnierze zaczęli się przyglądać w bezradnym przerażeniu rzezi ich kamratów na drugim brzegu.

Nie patrzyłem dłużej, ale zsunąłem się po pniu drzewa na dół i popędziłem do swojego wozu. Jeden z członków mojej załogi wychylił się i chwycił mnie za rękę, żeby wciągnąć mnie do środka. Złapałem lejce i rzuciłem rozkaz:

– Naprzód do ataku. Stępa! Kłusem! Galopem! – Mój głos poniósł się wzdłuż rzędu wozów, które w rozciągniętej szeroko linii wypadły pełnym galopem z lasu. Hay i ja byliśmy w środku, jadąc koło przy kole. Na lewo i prawo od nas pędziły nasze wozy, ustawione w szyku grota strzały.

Większość Hyksosów, którzy rozsypali się po otwartym polu przed nami, pobiegła z powrotem nad rzekę. Stłoczyli się na brzegu, wlepiając z bezsilnym przerażeniem wzrok w to, co spotkało ich kompanów w brodzie i na zatłoczonej drodze przez las, na którą spadała ciągle ulewa strzał ludzi Zarasa.

Żaden z hyksoskich wozów po tej stronie rzeki nie był obsadzony. Konie zostały wyprężone, więc nie mogły ich pociągnąć. Zwierzęta, które zostały puszczone wolno ze spętanymi przednimi nogami, rozproszyły się po otwartym, porośniętym trawą terenie. Tymczasem większość woźniców nieprzyjaciela zawróciła znad rzeki. Zaczęli biegać za swoimi końmi, daremnie próbując je schwytać. Konie przestraszyły się nagłą wrzawą i zamieszaniem i spłoszone rzuciły się do ucieczki.

Chociaż miały pęta na nogach, pędziły z szybkością biegnącego człowieka.

Odrzuciłem głowę do tyłu i zacząłem się śmiać na cały głos, żeby pozbyć się strachu i dać upust triumfalnej radości. Pomimo hurkotu kół i grzmotu kopyt na twardym gruncie słyszałem śmiech Haya, który poszedł za moim przykładem. Natarliśmy na wroga zwartą falangą, jadąc koło przy kole i nie zostawiając żadnych luk, przez które mogliby się przedostać jacyś Hyksosi. Ale oni ciągle zdawali się nie zauważać naszego ataku. Wielu z nich nawet nie patrzyło w naszą stronę. Tylko ci, którzy zaprzestali gonitwy za własnymi końmi, stali teraz jak zahipnotyzowani ze strachu i wlepiali w nas oniemiałe spojrzenia. Wiedzieli, że nie uciekną przed natarciem. Nasze łuki były uniesione, a strzały założone na cięciwy.

Gdy znaleźliśmy się mniej niż siedemdziesiąt kroków od najbliższego z nich, wydałem głośno rozkaz wypuszczenia strzał. Większość moich ludzi potrafiła trafić biegnącego człowieka z odległości pięćdziesięciu kroków, nawet gdy strzelali z pędzącego wozu. Przeważająca część uciekających padła trupem, zanim zdążyli dotrzeć do swoich wozów.

Zauważyłem tylko jednego, który zdołał wrócić do miejsca, gdzie zostawił wóz. Chwycił łuk z kosza na broń i garść strzał z kołczana, po czym odwrócił się w naszą stronę. Był to potężny, mocno owłosiony olbrzym, silny i oszalały z gniewu niczym odyniec osaczony przez sforę psów gończych. Uniósł łuk i wypuścił tylko jedną strzałę, gdyż zaraz potem zaczęły uderzać w niego pociski naszych łuczników. Jego strzała ugodziła woźnicę trzeciego wozu z naszej linii, licząc ode mnie. Był to jeden z synów Kratasa. Świetny chłopak, dzielny jak ojciec i pięćdziesiąt razy przystojniejszy niż on. Był jednym z moich ulubieńców. Strzała zabiła go na miejscu.

Wypuściłem trzy strzały do hyksoskiego bydlaka, zanim zdążył założyć nową. Potem zaczęły go trafiać pociski wypuszczane przez co drugiego łucznika z naszej linii, aż w końcu najeżył się strzałami niczym jeżozwierz kolcami. Stał

jednak ciągle na nogach i posłał jedną strzałę w moim kierunku. Trafiła w górną część hełmu i ześlizgnęła się, bucząc, a jej uderzenieomal nie zrzuciło mnie z wozu.

Nigdy nie twierdziłem, że Hyksosi to tchórze. Koniec końców, trzeba było aż siedemnastu strzał, żeby zabić tego osobnika. Pięć z nich wypuściłem ja. Policzyłem je później.

A potem nastąpiła jatka. Nie jestem przeciwnikiem niedużej rzezi, kiedy nastęczy okazja ku temu, zwłaszcza w takich okolicznościach jak te. Jednak branie niewolników jest znacznie bardziej lukratywne niż zarzynanie, toteż byłem pierwszym, który zawołał do uciekających Hyksosów w ich własnym języku:

– Wyjące psy Gorraba, poddajcie się albo zginiecie!

– Poddajcie się albo zginiecie! – Mój okrzyk podchwyciły załogi innych naszych wozów. – Poddajcie się albo zginiecie!

Większość uciekających Hyksosów padła na kolana na moje pierwsze wezwanie i uniosła puste ręce na znak, że się poddają, ale kilku z nich biegło nadal, dopóki linia moich wozów nie rozdzieliła się i nie rozjechała, żeby ich okrążyć. Dopiero wtedy zaczęli przystawać, dysząc ciężko z wyczerpania i strachu. Rozglądali się, patrząc na napięte łuki, które mierzyły w nich ze wszystkich stron, aż wreszcie ich przerażenie ustąpiło rezygnacji i jeden po drugim padli na ziemię, wołając:

– Litości, w imię wszystkich bogów! Oszczędź nas, Taito, wielki panie. Nie chcieliśmy zrobić ci nic złego. – Dobry bóg Horus zaświadczy, że w żadnym razie nie szukam chwały. Ale jestem na tyle uczciwy, by przyznać, że byłem zadowolony i mile połączony tym, że wrogowie rozpoznali mnie na polu bitwy.

– Każ zwięzać tych małych zuchów – poleciłem Hayowi. – Przeczesz całe pole i przyprowadź wszystkie ich konie. Dopilnuj, żeby żaden nie uciekł.

Ustawiłem wozy w zwarte półkole i skierowałem je na skraj wąwozu, w miejscu przeprawy przez rzekę. Zatrzymałem się na brzegu i spojrzałem w dół na pobojuwisko, które zablokowało bród i drogę za nim.

Także tu walka się zakończyła i ludzie Zarasa brali jeńców i zbierali łupy. Jedno szybkie spojrzenie pozwoliło mi stwierdzić, że liczba ofiar jest tam prawie taka sama jak po tej stronie rzeki, może odrobinę mniejsza. Ucieszyłem się, że Zaras nie odniósł ran i nadzorował teraz branie jeńców i wyłapywanie hyksoskich koni. Zwierzęta te były równie cenne jak ludzie.

Zaras spojrział nagle w górę i zobaczył, że stoję na brzegu. Zasalutował, a potem złożył dłonie wokół ust i zawołał na cały wawóz:

– Twój miecz jeszcze zyskał na sile, Taito, panie mój! Kolejne udane polowanie, zaiste! Niedługo będę mógł pozwolić sobie na żonę. – Był to niemądry żarcik. Zrobiłem już z Zarasa bogatego człowieka, przekazując mu udział w łupach, jakie zdobyliśmy w forcie w Tamiacie. A jego żart o wzięciu sobie żony nie był na miejscu. Mimo to uśmiechnąłem się i pomachałem mu ręką, a potem odwróciłem się w drugą stronę.

Posłałem jeźdźca na cypel, za którym ukrył się nasz oddział, z poleceniem, żeby pomachał niebieską flagą, nakazującą statkom powrót.

Ale mój triumfalny nastrój zaczął się szybko ulatniać, ponieważ miałem przed sobą najgorszą część dnia. Musiałem coś zrobić z końmi Hyksosów, z których wiele odniosło rany. Zawsze miałem wielką słabość do koni. Byłem pierwszym człowiekiem w Egipcie, który ujeździł i oswoił jedno z tych cudownych zwierząt, co spowodowało, że teraz poczucie obowiązku wobec nich ciążyło jeszcze bardziej.

Dosiadając na oklep dziesięciu nieporanionych koni, stajenni zapędzili, wraz ze mną, w jedno miejsce te, które przeżyły i mogły ciągle utrzymać się na nogach. Szybko oddzieliłem zwierzęta, które nie miały ran lub były jedynie lekko ranne, i wysłałem je nadbrzeżną drogą na północ do Sydonu, pod opieką stajennych. Były to konie przyuczone do ciągnięcia wozów i dlatego szczególnie cenne.

Zwierzętom, które odniosły ciężkie albo śmiertelne rany, kazałem natychmiast ukrócić cierpienia. Ale przed zadaniem im

śmierci składałem przed każdym z nich ofiarę z pokruszonego prosa, i dopiero gdy spuściły łby i nabrały do pyska porządną porcję ziarna, jeden z moich ludzi uderzał je między uszy ciężką maczugą opatrzoną w głowicę z brązu, żeby strzaskać czaszkę. Śmierć była dla nich litościwa i następowała szybko.

Gdy ta upiorna praca została zakończona, przenieśli uwagę na hyksoskich jeńców. Miałem ustaloną hierarchię wartości. W takim samym stopniu, w jakim kochałem konie, nienawidziłem ich właścicieli i odczuwałem do nich głęboką i zawziętą odrazę. Przeszedłem szybko przed klęczącymi w rzędach ludźmi, przyglądając się im pobieżnie. Jeśli nie byli ranni albo odnieśli tylko lekkie rany, odsyłałem ich na wybrzeże, żeby tam czekali na powrót moich galer.

Jednak było wielu jeńców, którzy byli zbyt ciężko ranni, abyśmy mogli mieć z nich jakiś pożytek, nawet w charakterze niewolników. Mężczyźnie, w którego piersi utkwiał głęboko kolczasty grot strzały, nie zostało wiele czasu i sił na pociąganie za wiosło. Kazałem położyć te nędzne kreatury w cieniu, dać im pić, żeby podtrzymać ich trochę dłużej przy życiu, i zostawić ich tam własnemu losowi pod opieką ich podłego boga, który kręcił się blisko nich, byłem tego pewien.

Wiem, że powinienem skrócić ich cierpienia, tak jak to zrobiłem z ich rannymi końmi, za pomocą uderzenia pałką w głowę. Ale to byli Hyksosi, więc nie musiałem wyświadczać im żadnej łaski.

Na koniec nadeszła chwila, kiedy mogłem pomyśleć o sobie i moich dwóch królewskich podopiecznych. Wsiadłem do wozu i podjechawszy z powrotem nad rzeczny bród, zostawiłem go na wysokim brzegu. Powierzyłem lejce woźnicy i ruszyłem na skraj wąwozu. W tej części pola bitwy nie było teraz żywej duszy. Mimo iż wiedziałem, gdzie szukać ciała nieprzyjacielskiego dowódcy, nie dojrzałem go od razu w kłębowisku połamanych wozów, rozrzuconego ekwipunku i ciał na przeciwległym zboczu. Po chwili zauważyłem jednak wyróżniającą się plamę

indygowego błękitu na pochyłości, dużo niżej, niż się spodziewałem. Leżał tuż nad wodą.

Zacząłem schodzić po stromym stoku, utrzymując równowagę pomimo uciekających mi spod nóg kamieni. Dotarwszy na dół, skoczyłem do wody i zacząłem brodzić w kierunku przeciwległego brzegu.

Ciało dowódcy Hyksosów zaklinowało się głęboko między dwiema dużymi skałami. Tocząc się na dół, dotarł niemal na skraj wody. Tylko fałda jego płaszcza pozwoliła mi znaleźć miejsce, w którym leżał.

Pochyliłem się i chwyciłem go za kostkę u nogi, wyciągając zakleszczone w rozpadlinie ciało. Na płaszczu widać było dużą plamę krwi, ale mój służący jest doskonałym praczem. Zwinąłem płaszcz i odłożyłem go na bok. Potem rozejrzałem się za hełmem martwego oficera. Musiałem wspiąć się na stok, do miejsca, w którym po raz pierwszy uderzył w skałę. Znalazłem go tam, był szczęśliwie ukryty pod wrakiem wozu. Amatorzy łupów, którzy byli tu przede mną, przeoczyli zarówno hełm, jak i ciało.

Usiadłem z hełmem na kolanach i zacząłem podziwiać jego rytowania. Były to cudownie oddane wyobrażenia egipskich bogów: Hathor i Ozyrysa na ochraniaczach policzków, a Horusa na osłonie czoła. Hyksoski dowódca musiał zdjąć go z ciała któregoś z naszych wyższych oficerów na innym polu bitwy. Był to prawdziwy skarb, niemal bezcenny. W porównaniu z nim moje nakrycie głowy wyglądało nędznie i pospolicie. W dodatku zostało nieprzyjemnie wyszczerbione w miejscu, w które uderzyła hyksoska strzała.

Zdjąłem hełm i odrzuciłem bez namysłu. A potem z niemal uroczystym namaszczeniem zastąpiłem go złoto-srebrnym arcydziełem. Hełm, którego wnętrze wysłane było skórą, pasował na mnie tak, jakby został wykonany na moją miarę. W tym momencie dałbym wiele za jakieś zwierciadło.

Podszedłem ponownie do zwłok dowódcy. Zdobiły je trzy naszyjniki, które podobnie jak hełm były pięknymi przedmiotami. Ale jeden z nich był przyozdobiony wyrzeźbioną

w kryształe górskim głową Seta. Wyrzuciłem go do rzeki. Pozostałe dwa były cudownie rzeźbionymi figurkami słoń i wielbłądów. Księżniczki powinny wpaść na ich widok w zachwyty, choć z powodu młodego wieku nigdy dotąd nie widziały słońca.

Wdrapałem się z powrotem do miejsca, w którym zostawiłem wóz. Oniemiały z podziwu woźnica strzelił oczami na widok mojego hełmu. Pojechałem z powrotem na brzeg morza, gdzie większość ludzi przerwała swoje zajęcia, żeby na mnie popatrzeć. Musiałem przedstawiać sobą zdumiewający widok.

Okręty z mojej flotylli okrążyły cypel i wróciły do zatoki. Dobiły do brzegu rufami i opuściły pomosty ładunkowe.

Wybranim przeze mnie jeńcom kazano wejść na statki, a potem zostali zaprowadzeni na dolne pokłady i przykuci za obie kostki u nóg do ław wioślarskich. Mieli tam pozostać, trzymając gołe stopy w wodzie pokrywającej dno statku, dopóki Set nie ześle anioła śmierci, żeby ich uwolnił z tego uwięzienia.

Godzinę przed zachodem słońca wszyscy nasi ludzie oraz wszystkie wozy były już na pokładach i byliśmy gotowi pożeglować z powrotem do Sydonu. Toran stał obok mnie na pokładzie rufowym. Obejrzał się w kierunku brzegu i ruchem głowy wskazał rannych Hyksosów, których zostawiłem na piaszczystej plaży.

– Widzę, że oszczędziłeś życie wrogom. Nigdy dotąd nie słyszałem o tak litościwym zachowaniu zwycięskiego dowódcy.

– Przykro mi, że sprawiam ci zawód. Ale zostawiłem ich innym, żeby się nimi zajęli. O, już nadchodzą.

Zaczęli właśnie wracać mieszkańcy wioski, którym wcześniej kazałem się ukryć przed hyksoskimi rydwanami. Mężczyźni byli ciągle uzbrojeni w drewniane łopaty i grace.

Teraz kompletnie nie zwracali na nas uwagi. Przyglądaliśmy się, jak jeden z nich, wyglądający na przywódcę tej nędznej hałastry, stanął nad rannym Hyksosem i uniósł łopatę. A potem zamachnął się nią, unosząc ją obiema rękami wysoko nad głowę, jakby zabierał się do przerąbania kłoca drewna. Nawet z tej

odległości usłyszeliśmy, jak roztrzaskuje się czaszka ofiary, wydając charakterystyczny odgłos, jakby przejrzały melon został upuszczony na kamienną podłogę. Człowiek z łopatą poszedł obojętnie dalej, zostawiając ciało hyksoskiego wojownika, które rzucało się i miotło w przedśmiertnych drgawkach.

Następny ranny żołnierz dostrzegł nadchodzącego oprawcę i próbował unieść się na łokciach. Z jego pleców ciągle wystawał trzon strzały, która rozłupała mu kręgi piersiowe. Pociągnął za sobą sparaliżowane nogi, jęcząc niczym rodząca kobieta. Wieśniak roześmiał się, stając nad nim, i dźgnął nieszczęśnika łopatą, zmuszając go do przyjęcia pozycji nadającej się do zadania śmiertelnego ciosu.

Tuż za mężczyznami wlokły się ich niechlujne kobiety wraz z umorusanymi dzieciakami. Zaczęły kręcić się między świeżymi trupami Hyksosów jak mięsne muchy, zdzierając z nich resztki zakrwawionych ubrań i wszelkie ozdobne drobiazgi, które mogły przedstawiać jakąś wartość. W naszym kierunku niosły się po wodzie wyraźne odgłosy ich podnieconych wrzasków i śmiechów.

– Mój panie, teraz widzę jasno, że wbrew pozorom jesteś człowiekiem, z którym nie ma żartów – powiedział Toran, spoglądając na mnie z jeszcze większym respektem.

Gdy godzinę przed południem następnego dnia wprowadziłem *Zniewagę* do portu w Sydonie, obie moje dziewczyny były na nabrzeżu, wymachując rękami i tańcząc w podnieceniu. Zawsze rywalizowały ze sobą, która powita mnie jako pierwsza, gdy wracałem po czasowej nieobecności. Tehuti była zazwyczaj przesadnie powściągliwa, ale tym razem zaskoczyła zarówno mnie, jak i swoją siostrę. Dzięki treningowi, który niedawno zaaplikował jej Zaras, nabrała wyjątkowej sprawności fizycznej i biegłości w posługiwaniu się mieczem.

I właśnie teraz zademonstrowała kilka tych nowych umiejętności. Zrzuciła sandały, pomknęła boso po kamiennych płytach nabrzeża i przeskoczyła szczelinę, która ciągle oddzielała mój statek od brzegu. Jej szerokość wynosiła pełne siedem kroków. Gdyby jej się nie udało, zostałaby zmiażdżona między kadłubem a nabrzeżem i utopiłaby się, zanim zdążyłbym ją wyratować.

Przeżyłem chwilę przejmującego strachu, gdy szybowała w powietrzu. Ale gdy jej stopy dotęły pokładu, moje przerażenie w jednej chwili zamieniło się w złość. Ruszyłem po pokładzie, gotów udzielić jej reprimendy za tak niestosowne zachowanie.

– Kochany Taito, masz taką dziarską postawę w nowym płaszczu i hełmie. Gdzie je znalazłeś? Wyglądasz w nich tak szlachetnie, jak jakiś król! A przywiozłeś też coś dla nas? –

wyrzuciła jednym tchem. Złość przeszła mi natychmiast i przycisnąłem ją do piersi.

– Oczywiście, przywiozłem ci prezent. Ale najpierw powiedz mi, czy dobrze się zachowywałaś podczas mojej nieobecności?

– Nie dałeś mi żadnej szansy, aby było inaczej. Zabrałeś ze sobą wszystkie moje pokusy. – Uśmiechnęła się szelmowsko, spoglądając w stronę galery, która weszła do portu zaraz za moją. Na jej pokładzie rufowym stał Zaras, i choć oddzielała ich spora odległość, wymienili spojrzenia z szybkością błyskawicy.

Kolejne cztery dni zajęło nam dokończenie przygotowań do ostatniego etapu podróży do Knossos na Krecie. Toran zaproponował nam, żebyśmy popłynęli na jego okręcie flagowym. Ta wspaniała triera była co najmniej dwa razy większa od moich galer zbudowanych przez Sumerów.

– Ty i twoje podopieczne będziecie się czuli dużo wygodniej na pokładzie *Świętego Byka* niż na którejś z tych twoich małych łódek. – Jego okręt nosił raczej pretensjonalną nazwę. Ponadto szczególnie lubiłem, kiedy lekceważono moje wojenne galery, które właśnie dowiodły swej wartości, odnosząc pierwsze znaczące zwycięstwo nad Hyksosami. Zawahałem się. – Gdybyś popłynął ze mną, mielibyśmy czas i warunki na bardziej szczegółowe omówienie tego, czego powinieneś się spodziewać po przybyciu do Knossos. Na dworze Najwyższego Minosa należy ściśle przestrzegać protokołu i politycznych reguł, które są bardzo skomplikowane. – Wahałem się ciągle, ale nie ustępowałem. – Mój pan słynie z tego, że jest jednym z najwspanialszych władców helleńskiego świata, a powinienem też wspomnieć, że mam na pokładzie dwadzieścia dużych amfor najlepszego czerwonego wina, jakie wytwarza się na Cykladach. Domyślałem się, że perspektywa spędzenia dwóch tygodni w moim towarzystwie nie jest dla ciebie wyjątkowo zachęcająca, ale ja jestem zakochany w twoim poczuciu humoru i podziwiam twoją wiedzę i erudycję. Błagam cię, mój panie, ustąp mi i przyjmij moją propozycję ugoszczenia cię.

Wszelkie zastrzeżenia, jakie mogłem jeszcze mieć, wyparowały wobec tak zniewalających argumentów.

– Jesteś niezmiernie dla mnie łaskaw, panie. – Przyjąłem zaproszenie, ale zastanawiałem się ciągle, czy on rzeczywiście tak wysoko ceni sobie moje towarzystwo, czy też bardziej zależy mu na małej Loxias, minojskiej pokojówce moich księżniczek.

Zarówno Tehuti, jak i Bekatha opierały się mocno zorganizowaniu podróży w sposób, jaki ustaliłem z Toranem. Przyszły do mojej kajuty na *Zniewadze* i przedstawiły mi długą listę zastrzeżeń, z których każde następne było coraz słabsze i mniej przekonujące niż poprzednie.

Zrobiłem najsurowszą minę, na jaką było mnie stać, i wysłuchałem bez przerywania wszystkich ich protestów, aż w końcu popatrzyły na mnie z takim strapieniem, że poczułem dla nich litość.

– No tak, więc mam przyjąć, że obie jesteście skrajnie nieufne wobec pana Torana i podejrzewacie go o spiskowanie przeciwko wam? Sądzicie, że chce was zwabić na pokład swojego okrętu po to, żeby was zamordować we śnie? – Obie skrzywiły się z zakłopotaniem. – A może doszłyście do wniosku, że *Święty Byk* jest zbyt dużym okrętem, żeby mógł utrzymać się na powierzchni, i że zatonie, a my razem z nim?

Milczały nadal, aż w końcu z oczu Bekathy trysnęły łzy i spłynęły strumieniem po policzkach. Byłem przerażony. Gdybym zdawał sobie sprawę z rozmiarów jej strapienia, nie drażniłbym jej tak nieuprzejmie. Zerwałem się ze stołka, żeby ją pocieszyć. Odepchnęła mnie i odwróciła się ode mnie.

– Nigdy więcej go nie zobaczę – powiedziała, szlochając.

Udałem, że nie rozumiem, co ma na myśli.

– Kogo więcej nie zobaczysz? Pana Torana?

Bekatha zignorowała moje pytania i zalała mnie potokiem słów.

– Obiecałeś Tehuti, że będziemy mogli być wszyscy razem przynajmniej do chwili, gdy dotrzemy na Krete. Dopiero wtedy zostaniemy zamknięte w pałacu Najwyższego Minosa. Ale

przysięgłem, że jeżeli zachowamy dyskrecję, będziemy mogli widywać się z nimi aż do przyjazdu na Kretę. Ale teraz już nigdy ich nie zobaczymy. To jest koniec mojego życia.

– Droga Bekatho, wyjaśnij mi to bliżej – przerwałem jej. – O kim my tu mówimy?

Bekatha odwróciła się znowu twarzą do mnie, ale teraz miała wściekłą minę.

– Wiesz doskonale, o kim mówimy. Mówimy o moim Hayu.

– I o moim Zarasie – dodała Tehuti spokojnym, ale równie przekonującym tonem jak jej młodsza siostrzyczka.

Rzeczywiście zamierzałem w uprzejmy i łagodny sposób odzwyczaić je obie od tych niebezpiecznych kontaktów na długo przed przybyciem na Kretę i zamieszkaniem w pałacu Minosa. Teraz mój plan rozbijał się o rafę ich uporczywości i groziło mu, że legnie w gruzach.

Robiłem, co mogłem, żeby je udobruchać, ale przy każdym zwrocie napotykałem ich sprzeciw. W końcu się poddałem.

Gdy wreszcie wypłynęliśmy z portu w Sydonie, na pokładzie *Świętego Byka* wraz z nami znalazł się zarówno Hay, jak i Zaras.

Nasza flotylla składała się z siedmiu okrętów. *Święty Byk* żeglował w środku formacji. Dwie najszybsze galery, które miały płynąć pod komendą Zarasa i moją, wysforowały się na czoło. Ale ich kapitanami byli teraz Dilbar i Akemi.

Moje pozostałe cztery galery pełniły funkcję osłony na skrzydłach oraz stanowiły straż tylną. Każdy z okrętów utrzymywał wizualny kontakt z najbliższymi sąsiadami. Tak więc mogliśmy rozciągnąć się na sześćdziesiąt mil we wszystkich kierunkach. Opracowałem system prostych sygnałów flagowych, dzięki temu okręt, na którym się znajdowałem, mógł zostać ostrzeżony o zagrożeniu na długo przedtem, zanim ono by się zmaterializowało.

Wszystkie te środki ostrożności miały podstawowe znaczenie, ponieważ ta część Morza Śródziemnego była terenem grabieżczych poczynań Ludów Morza. Byli to renegaci i wyrzutki ze wszystkich cywilizowanych i przestrzegających prawa krajów. Znalazłszy się na wygnaniu, łączyli się w luźne związki piratów. Nie byli niczymi poddanymi, nie mieli nad sobą żadnego pana. Kompletnie wyzuci z moralności, sumienia i skrupułów, byli groźni niczym żarłoczne lwy lub jak jadowite węże i skorpiony. Stanowili groźniejszą przeszkodę niż ukryte rafy czy stada rekinów ludojadów. W Egipcie zwaliśmy ich „synami Jama”. Jam jest bogiem morza, gdy ono się burzy i wścieka. Nie należy do grona dobrotliwych bogów.

Jednak był to najlepszy okres roku na żeglowanie po Wielkiej Zieleni, która jest naszą egipską nazwą tej części Morza Śródziemnego. Utrzymywała się piękna pogoda, wiały pomyślne wiatry, a morze było spokojne. Będąc pasażerami na *Świętym Byku*, bawiliśmy się bardzo dobrze.

Zaras nadal szkolił Tehuti w posługiwaniu się bronią. Zaimprovizował dla jej strzał pływający drewniany cel holowany za rufą na linie o zmiennej długości.

Zabrał też ze sobą drewniane miecze do ćwiczeń, których klingi były osłonięte owczą skórą, oraz drewniane tarcze. Jego szermiercze pojedynki z Tehuti odbywały się na otwartym pokładzie. Gdy wydawała triumfalny okrzyk, oznaczało to, że zadała kolejny cios. Była nieokiełznana w zadawaniu gwałtownych pchnięć i cięć. Wkładała w wymierzanie ich cały swój temperament i nawet tak wytrawny szermierz jak Zaras zdawał się mieć trudności z ich unikaniem. Co dziwne, nigdy nie zdobył się na to, żeby oddać jej wet za wet.

Bekatha także zaczęła pobierać lekcje strzelania z łuku, ale nie miała tyle siły co jej starsza siostra, żeby naciągnąć łuk o tej samej sztywności, toteż nie była w stanie posyłać strzał równie daleko ani z taką samą celnością. Dąsała się przez jeden dzień, a potem wyzwiała Tehuti na pojedynkę na drewniane miecze. Trzeba było całego tygodnia, aby pozbyła się wreszcie siniaków, jakie nabiła jej siostra.

Wycofała się z wdziękiem z tego współzawodnictwa i poświęciła całą swoją energię na uczenie pułkownika Haya gry w bao. Hay okazał się beznadziejnym uczniem i Bekatha niemiłosiernie go ogrywała. Gdy w końcu zbuntował się przeciwko tym torturom, obrała za przedmiot swoich lekcji śpiew, taniec i zadawanie zagadek.

Ku zaskoczeniu nas wszystkich okazało się, że Hay ma dobry głos i lekki krok. Bryłował w pierwszych dwóch dyscyplinach, zwłaszcza że taniec dostarczał mu wymówki do obejmowania nauczycielki. Jednak dopiero w zagadkach pokazał, co potrafi.

Bekatha musiała mocno się wysilać, żeby dotrzymać mu kroku w pokrętnym rozumowaniu.

– Dwie matki i trzy córki jadą konno na spacer. Ilu potrzebują koni? – zadał jej pytanie.

– Oczywiście pięciu.

– Błąd, potrzebują tylko trzech. Jedna jest babcią, druga matką, a trzecia córką – wyjaśnił, pożerając ją wzrokiem.

– Och, ty głuptasie! – Bekatha rzuciła w niego granatem, który właśnie jadła, wycelowała w głowę. Hay chwycił go w locie i odgryzł kawałek owocu, a potem go odrzucił.

Kucharz pana Torana spełniał wszelkie obietnice swojego pana. Podawał nam bezustannie arcysmaczne dania, które jedliśmy pod płóciennym baldachimem na niższym pokładzie rufowym przy muzyce granej przez czteroosobowy zespół fletów i innych instrumentów dętych.

Wina z archipelagu Cyklady, które podawał nam Toran, były rozkoszą dla podniebienia i sprawiały, że nasze rozmowy iskrzyły jeszcze bardziej.

Były to radosne dni, w czasie których śmialiśmy się bezustannie i czuliśmy się szczęśliwi niczym beztroskie dzieci.

Oczywiście nic nie jest doskonałe. Miałem wrażenie, że na *Świętym Byku* jest mnóstwo szcurów lub jakichś innych nocnych stworzeń. Gdy wszyscy byliśmy już w kojach, słyszałem, jak przemykają ukradkiem tam i z powrotem przejściami koło mojej kajuty albo szeleszczą i popiskują w sąsiednich kajutach, w których, o czym byłem święcie przekonany, spały twardym snem moje niewinne dziewczęta.

Od tajemniczych szmerów nie była wolna nawet kapitańska kajuta pana Torana, położona naprzeciwko mojej, po drugiej stronie przejścia. Wydawało się, że te odgłosy zupełnie mu nie przeszkadzają, bo co jakiś czas słyszałem, jak chichocze i coś szepcze, a odpowiedzi, jakie otrzymywał, brzmiały w moich uszach jak głosik minojskiego dziewczęcia, które zachęcało go do zwiększenia wysiłków.

Byliśmy już czternaście dni na morzu i Toran siedział ze mną w cieniu rzucanym przez główny żagiel na pokładzie dziobowym. Byliśmy głęboko pogrążeni w rozmowie przy karafce jego doskonałego wina, gdy nagle zaalarmowało nas poruszenie na niższym pokładzie rufowym.

Spojrzałem w tamtym kierunku i zobaczyłem, że kapitan Hypatos, minojski kapitan *Świętego Byka*, wciąga flagę sygnałową na szczyt masztu. Zerwałem się na nogi, przerywając Toranowi w połowie zdania.

– Dzieje się coś poważnego. Chodź ze mną. – Pospieszyliśmy do grupy oficerów okrętowych, zgromadzonych na dolnym pokładzie rufowym. Wszyscy wpatrywali się przed siebie.

– O co chodzi, Hypatosie? – zapytał Toran kapitana, a ten wyciągnął rękę, wskazując coś nad naszym dziobem.

– Mamy sygnał od jednej z czołowych galer, panie. Ale odległość jest bardzo duża, a wiatr odwiewa flagi w drugą stronę. Wiadomość jest niejasna – odparł tonem usprawiedliwienia kapitan Hypatos.

Spojrzałem na okręt, którego kadłub rysował się niewyraźnie na horyzoncie. Była to moja własna galera, *Zniewaga*, obecnie dowodzona przez Akemiego.

– Raportują, że galera płynąca obok nich została zaatakowana przez obcy okręt, którego załoga dokonała abordażu – przetłumaczyłem sygnał flagowy na zwykły język. – Akemi sygnalizuje, że płynie na pomoc Dilbarowi.

– Jak doszedłeś, co oznacza ten sygnał, mój panie? – Hypatos wydawał się zdumiony.

– Po prostu odczytuję sygnały Akemiego – wyjaśniłem cierpliwie.

– Z takiej odległości? – wtrącił się Toran. – Ależ drogi Taito, to mi wygląda na czarnoksiężstwo.

– Moim osobistym hieroglifem jest sokół – odparłem beztrąsko. – Zarówno ten ptak, jak i ja mamy doskonały wzrok. Proszę polecić Hypatosowi, żeby podniósł wszystkie żagle i nakazał wioślarzom tempo jak do ataku.

Dopędzenie statków płynących na czele zajęło nam przeszło godzinę. Gdy znaleźliśmy się koło nich, stwierdziliśmy, że stoją w dryfie z wiosłami podniesionymi na pokład i opuszczonymi żaglami. Ścierali się w bezpośredniej walce z arabską *dawa*. Była to dwumasztowa jednostka, większa od wszystkich moich galer, z trójkątnymi żaglami na masztach i żaglem dziobowym. Wszystkie żagle były teraz opuszczone i kłębiły się w nieładzie. Widać było, że walka ma się już ku końcowi, ponieważ napastnicy rzucali broń i podnosili puste ręce.

Gdy podpłynęliśmy do szcepionych okrętów, zobaczyłem, że nazwa zdobytej jednostki widniejąca na jej dziobie wypisana jest w egipskich hieroglifach. Była to *Gołębica*. Skwitowałem uśmiechem jej niestosowność. Z pewnością nie była ptakiem niosącym pokój.

– Dobij do burty wroga! – rozkazałem Hypatosowi.

Gdy manewr został zręcznie wykonany, wspiałem się po drabinie sznurowej i stanąłem na pokładzie pokonanego statku. Zaras szedł tuż za moimi plecami. Jak mi się wydawało, był mocno zawiedziony tym, że nie wziął udziału w walce. Zarówno Dilbar, jak i Akemi wyszli mi naprzeciw z mieczami w dłoniach. Obaj zasalutowali na powitanie.

– Co my tu mamy? – zapytałem.

Dilbar wskazał zakrwawioną klingą swojej broni jeńców klęczących rzędami na pokładzie. Mieli ręce związane na karkach i przyciskali czoła do desek poszycia pokładu.

– Ci drobni szubrawcy zobaczyli, że płyniemy samotnie – wyjaśnił Dilbar. – Udali, że mają kłopoty i potrzebują pomocy. Było ich tylko kilku na pokładzie. Kiedy podeszliśmy bliżej, spod pokładu wyskoczyli inni i zaczepili nas hakami abordażowymi. A potem rzucili się przed burłę na nasz pokład – dodał z zadowoloną miną. – Oczywiście byliśmy na to przygotowani. Daliśmy im zajęcie do czasu, aż dotarł Akemi i włączył się do zabawy.

– Ilu ich schwytaście? – zapytałem.

– Musieliśmy kilku zabić, zanim reszta tych łajdaków poszła po rozum do głowy i się poddała – usprawiedliwił się Akemi. Wiedział, że wolę niewolników niż trupy. – W każdym razie związaaliśmy trzydziestu ośmiu żywych.

– Obaj wykonaliście dobrą robotę. Podzielcie ich między wasze galery i znajdźcie im zatrudnienie na ławach wioślarskich.

Gdy nasi ludzie zaczęli podnosić jeńców na nogi i prowadzić ich na nowe miejsca na pokładach dla niewolników na moich galerach, zauważyłem, że jeden z jeńców w ostatnim rzędzie próbuje odwrócić od siebie moją uwagę. Ale wysiłał się na próżno. Najwyraźniej był kapitanem piratów, ponieważ miał na sobie najbogatsze ubranie i mimo iż próbował okazywać służalczość, miał w sobie naturalny wdzięk i pewność siebie. W każdym razie starał się unikać nawiązania ze mną kontaktu wzrokowego.

– Nakati! – odezwałem się, podchodząc do niego.

Wyprostował plecy i uniósł głowę, a potem spojrzał mi w oczy. Po czym zasalutował jak gwardzista, kładąc zaciśniętą dłoń na piersi.

– Mój pan! – Rozpoznał mnie. – Modliłem się, żeby już nigdy nie spotkać się z tobą.

– Jak widać, bogowie nie zawsze wysłuchują naszych błagań – zauważyłem współczująco.

– Znasz tę bestię, panie? – Do naszej rozmowy włączył się Dilbar.

– Był dowódcą czerwonego batalionu straży faraona. Pięć albo sześć lat temu zasztyletował swojego pułkownika w pijackiej awanturze, która wybuchła w kurewskiej speluncie w Abydos. Zniknął, zanim zdążyli go schwytać i powiesić.

– Mam go zabić w tej chwili?

– Odłożmy tę przyjemność. – Pokręciłem głową. Był czas, gdy Nakati był pierwszorzędny wojownikiem i oficerem, pozornie zasługującym na awans i wyższe stanowisko. – Tymczasem daj mu zajęcie przy wiosłach.

– Czy mam oszczędzać na nim bata?

– Chyba żartujesz, Dilbar? Dopilnuj, żeby otrzymywał pełną rację dla niewolników, z batami włącznie.

– Jak sobie przypominam, Taito, byłeś zawsze dobrotliwym panem – powiedział Nakati, zachowując obojętną minę. Uznałem, że w tych okolicznościach jego poczucie humoru zasługuje na pochwałę, w dodatku wymówił z szacunkiem moje imię. Kiwnąłem głową oficerowi pokładowemu, żeby go zabrał wraz z innymi jeńcami. Potem podszedłem do głównego luku ładowni *Gołębicy*.

– Dilbar, każ swoim ludziom wybić kliny i otworzyć te pokrywy.

Kiedy pokrywa luku upadła z hałasem na pokład, zajrzałem do ładowni. Zapełniały ją sztabki miedzi i cyny. Było rzeczą oczywistą, że już wcześniej uwagę Nakatiego i jego kompanów przyciągnął kupiecki statek.

– Przenieś te skarby na *Zniewagę* – poleciłem Dilbarowi. – Potem obsadź załogą piracki okręt i niech popłynie w naszym konwoju na Kretę. – W mojej wyobraźni zaczynał już kiełkować pewien plan. Chciałem jednak, żeby Nakati spędził wystarczająco dużo czasu na ławie wiosłarskiej, gdyż mogło to nastroić go odpowiednio do przyjęcia z całą uwagą propozycji, którą zamierzałem mu złożyć.

Zaczekałem, aż znajdziemy się w odległości zaledwie czterech lub pięciu dni żeglugi od Krety, i dopiero wtedy poleciłem

przewieźć Nakatiego łodzią na *Świętego Byka* i przyprowadzić go pod strażą do mojej kajuty.

Utracił wszystkie śliczne piórka. Miał na sobie tylko łańcuchy oraz wąską i brudną przepaskę, która zasłaniała mu krocze. Znikł też jego arogancki sposób bycia. Plecy znaczyły mu pręgi od uderzeń bata. Jego ramiona wyszczuplały i stwardniały od pociągania za wiosła. Miał wklęsnięty brzuch niczym wygłodzony chart. Na jego ciele nie było grama niepotrzebnego ciała.

Ocenilem jednak, że choć był porządnie chłostany, nie poddał się jeszcze. Pod popiołami jego dumy żarzyły się ciągle niewygasłe węgle. Nie zawiodłem się na nim.

– Twoja żona jest ciągle w Tebach czy też z kimś uciekła? – zapytałem. Nakati wlepił we mnie wzrok. Spojrzenie jego oczu było twarde i jasne. Najwyraźniej powściągnął swoje słynne poczucie humoru. – A dzieci? – nie ustępowałem. – Ile ich masz? Chłopaki czy dziewczyny? Zastanawiam się, czy czasami myślą o tobie. A ty, myślisz w ogóle o nich?

– Dlaczego nie chcesz wyhodować sobie drugiej pary jaj, żebyś mógł zajebać się na śmierć? – odciął się Nakati.

Powstrzymałem się od uśmiechu. Naprawdę podziwiałem jego buńczuczność. Zignorowałem jego uwagę, jakby jej nie wypowiedział.

– Myślę, że w głębi serca jesteś ciągle synem naszego umiłowanego Egiptu, człowiekiem cywilizowanym, a nie przeklętym piratem. – Nie zareagował, ale nie ustępowałem. – Zrobiłeś jeden błąd i zapłaciłeś za to, tracąc wszystko, co miało dla ciebie jakąś wartość.

Nakati wzdrygnął się bezwiednie. Bezbłędnie potrafiłem w nim jeszcze jeden czuły nerw. Rzucił mi gniewne spojrzenie.

– A co to wszystko cię obchodzi, ty kołtuński sukinsynu?

– Nie tyle mnie – zgodziłem się z nim. – Ale przypuszczam, że może to bardzo obchodzić twoją żonę i dzieci.

– Za późno. Nikt nie może już na to zaradzić. – Ton jego głosu zmienił się znowu i teraz pobrzmiwał w nim głęboki żal.

– Mogę sprawić, że otrzymasz przebaczenie – powiedziałem.
Nakati zaśmiał się gorzko.

– Nie jesteś faraonem.

– Nie, nie jestem, ale mam pieczęć sokoła. Moje słowo znaczy tyle, co słowo faraona. – Dojrzałem w głębi jego oczu błysk nadziei i ten widok mnie ucieszył.

– Czego chcesz ode mnie, mój panie? – zapytał błagalnym tonem, w którym nie było nic wyzywającego.

– Chcę, żebyś mi pomógł uwolnić nasz ukochany Egipt od hord Hyksosów.

– W twoich ustach brzmi to tak prosto, ale ja poświęciłem dla tej beznadziejnej sprawy przeszło połowę mojego życia.

– Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że od czasu ucieczki z Teb zostałeś jednym z książąt Ludów Morza. Jestem pewien, że wielu twoich kamratów to także egipscy wygnańcy, którzy podjęliby walkę w zamian za szansę powrotu do ojczyzny.

Nakati pochylił głowę, potwierdzając moje słowa.

– Walczyliby jeszcze mocniej dla odrobiny srebra i kawałka czarnej i żyznej egipskiej ziemi, którą mogliby uprawiać – zasugerował.

– To jest nagroda, jaką mogę obiecać zarówno tobie, jak i im – zapewniłem go. Przyprawdź mi pięćdziesiąt takich okrętów jak ta twoja *Gołębica* i ludzi, którzy by na nich chcieli służyć i walczyć, a ja oddam ci z powrotem twoją własność, twój honor i wolność.

Nakati zamyślił się nad moją propozycją, a potem zaprzeczył ruchem głowy.

– Nigdy nie byłbym w stanie znaleźć ci pięćdziesięciu okrętów. Ale oddaj mi moją *Gołobicę* i jej załogę, a za trzy miesiące wrócę z co najmniej piętnastoma okrętami. Daję na to moje uroczyste słowo!

Podszedłem do drzwi kajuty i otworzyłem je. Czekał przed nią Zaras i trzech jego ludzi z gołymi mieczami, gotowi rzucić mi się na pomoc.

– Poślij któregoś do kuchni i każ kucharzowi przynieść jedzenie i wino.

Kiedy Zaras wrócił, siedziałem przy stole, mając naprzeciwko siebie Nakatiego. Umył twarz w mojej miednicy i uczesał mokre włosy. Miał na sobie ubranie, które mu dałem. Mimo iż był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, podobnie jak ja miał szczupłą sylwetkę i moje ubrania pasowały na niego.

Idący za Zarasem chłopiec okrętowy postawił przed Nakatim dużą miskę zimnego solonego mięsa. Napełniłem trzy kielichy czerwonym winem i dałem Zarasowi znak, żeby przysiadł się do nas. Zaczęliśmy rozmawiać i rozmawialiśmy nieprzerwanie, aż nastał świt.

Kapitan Hypatos opuścił żagle i moi ludzie obsługujący zdobyczny okręt podprowadzili go do naszej burty. Nakati zszedł na jego pokład, a potem popłynął nim w kierunku galer, na których uwięziłem jego załogę. Z pokładu niewolniczego każdej z nich zabrał kolejno swoich ludzi, którzy byli przykuci do ław wiosłarskich, i wyprowadził ich na światło słoneczne.

Byli w pożałowania godnym stanie. Mieli na sobie tylko przepaski biodrowe i podobnie jak Nakati nosili ślady po batach. Na moje polecenie Akemi i Dilbar obchodzili się z nimi bardzo surowo. Doszli do granicy, za którą jest już tylko rozpacz i rezygnacja. Byłem pewien, że tylko Nakati jest w stanie tchnąć w nich nowego ducha. Ja sam wolałbym nie stawać przed takim wyzwaniem.

Nakati zasalutował mi z rufowego pokładu *Gołębicy*. Następnie przełożył ster i odpłynął, biorąc kurs na północ. Znajdowała się tam piracka flotylla, która czaiła się w norach rozsianych na miriadach niezamieszkałych wysp na Morzu Egejskim.

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczysz? – zapytał Zaras.

Wzruszyłem ramionami. Nie chciałem kusić mrocznych bogów, odpowiadając twierdząco na jego pytanie, ale przecież zawarłem z Nakatim układ, a wystarczająco dobrze znam się na ludziach, aby uznać, że mogę mu zaufać i że zrobi wszystko, co będzie mógł, żeby dotrzymać słowa.

Ku memu zadowoleniu i zmartwieniu wroga dowiodłem już, że mogę wysadzić na ląd duży oddział bojowych rydwanów w każdym słabo bronionym miejscu na zajętych przez Hyksosów brzegu, zasiać śmierć i zniszczenie wśród wojsk Gorraba, a potem zabrać rydwany z powrotem na okręty, zanim nieprzyjaciel zdąży odpłacić mi za to. Oczywiście moja mała armia w żadnym razie nie mogła myśleć o podjęciu kampanii na wielką skalę przeciwko temu tyranowi, ale z pewnością mogłem zmusić go do wycofania bardzo dużej liczby żołnierzy z głównej linii południowego frontu na granicy z naszym umiłowanym Egiptem, żeby bronić rozciągniętego frontu północnego.

Uzgodniłem z Nakatim, że zapłacę jemu i każdemu z jego ludzi premię tysiąca srebrnych memów na głowę, tytułem rekompensaty za rezygnację z grabieżczych wypraw w okresie, gdy będą żeglowali pod moją komendą. A potem, gdy kampania przeciwko Hyksosom doprowadzi ewentualnie do wyzwolenia całego Egiptu, jego ludzie będą mogli otrzymać przebaczenie za wszelkie przewiny, jakie mogli popełnić, łącznie z piractwem i mordowaniem. Wszyscy zostaną z honorem zwolnieni ze służby we flocie i otrzymają egipskie obywatelstwo. W dodatku zostaną nagrodzeni działką pięciu tysięcy kha-ta urodzajnej i nawadnianej ziemi w posiadłościach pana Taity w Mechirze nad Nilem, na południe od Teb.

Przyglądając się odpływającej *Gołębicy*, zastanawiałem się, ile z tych szczodrych premii, jakie przyrzekłem Nakatiemu, zdołam odzyskać ze skarbca faraona, a ile będę musiał wyłożyć z własnej szkatuły. Bez wątplenia mogłem liczyć na wdzięczność faraona, ale nie byłem już takim optymistą, jeśli idzie o wyrażenie jego wdzięczności w bitej monecie. Mój Mem niechętnie rozstaje się ze swoim srebrem.

Wiedziałem, że kapitan Hypatos odbył wcześniej kilka podróży między Sumerem i Kretą. Ale gdy spytałem go, kiedy możemy się spodziewać dotarcia na wyspę, odpowiedział wymijająco:

– Oczywiście zależy to od wiatrów i prądów, jakie napotkamy, ale mógłbym się założyć, że w ciągu szesnastu dni zawiniemy na świętą wyspę Kretę.

Byłem zadowolony, znając to oszacowanie. Nasze konie z zaprzęgów rydwanów były już wystarczająco długo zamknięte w boksach. Pogarszała się ich ogólna kondycja. Wyłaziła im sierść, traciły na wadze i stawały się apatyczne. Hay był tym równie zmartwiony jak ja.

Przy kolacji, czternastego dnia z obiecanych szesnastu, przypomniałem Hypatosowi jego deklarację. Zaczął trochę się z niej wycofywać.

– Taito, mój panie, musisz zrozumieć, że wszyscy marynarze są na łasce i niełasce wielkiego boga Posejdona, który włada morzami. Szesnaście dni to było tylko moje oszacowanie, w dodatku dobre.

Zarówno Hypatos, jak i ja nie mieliśmy wątpliwości co do jednego – nie byliśmy już narażeni na piracki atak. Żaden korsarz nie ryzykowałby działań tak blisko głównego portu najpotężniejszej floty na wszystkich morzach. Wysłałem więc na moje galery sygnał przywołujący je z powrotem. Na długo przed

zachodem słońca utworzyły znowu zwartą formację eskorty wokół *Świętego Byka*.

Następnego ranka na długo przed świtem opuściłem po cichu moją kajutę, wszedłem na pokład i wdrapałem się na główny maszt. W pierwszym mglistym i szarym świetle przedświtomiotłem wzrokiem widnokrąg przed naszym dziobem i stwierdziłem, że jest pusty. Nie było śladu żadnego lądu.

Już miałem zejść z masztu i wrócić do kajuty, gdy z mgły wyłonił się albatros i zawisł nade mną na szerokich skrzydłach, kręcąc głową to w lewo, to w prawo, i przyglądając mi się uważnie. Fascynują mnie wszelkie formy życia ptaków i oto los dał mi pierwszą okazję, żeby przyrzeć się z bliska temu najbardziej majestatycznemu ze wszystkich uskrzydłonych stworzeń. Wydawało się, że jest równie mocno zainteresowany mną, co ja nim, gdyż prześlizgiwał się tak blisko, że niemal mogłem go dotknąć, gdy przyglądał mi się błyszczącymi czarnymi oczami. Gdy jednak wyciągnąłem do niego rękę, zanurkował szybko do dołu i zniknął we mgle, z której się wynurzył.

Zanim zacząłem zsuwać się na dół, spojrzałem na pokład i z zaskoczeniem stwierdziłem, że podczas gdy ja byłem zaabsorbowany wielkim ptakiem, spod pokładu wyszła jakaś para i stanęła na dziobie okrętu, wpatrując się w widnokrąg tak samo intensywnie, jak ja to robiłem kilka minut wcześniej. Nie byłem pewien, kto to jest, bo oboje byli otuleni grubym odzieniem chroniącym przed porannym chłodem i stali plecami do mnie.

Gdy w końcu odwrócili się do siebie twarzami, zorientowałem się wreszcie, że to Zaras i Tehuti. Rozejrzeli się po pokładzie, ale nie przyszło im do głowy, żeby spojrzeć w górę. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że nikt ich nie obserwuje, Zaras wziął Tehuti w ramiona i pocałował. Uniosła się na czubki palców i przytuliła do niego z namacalną wręcz desperacją. Poczulem się jak złodziej, który zakłóca intymny nastrój tej chwili. Ale zanim

zdążyłem odwrócić od nich wzrok, Tehuti cofnęła się lekko, żeby coś powiedzieć.

– Taita miał rację, jak zwykle – odczytałem z jej warg. – Nie widać lądu. Bogowie dali nam jeszcze co najmniej jeden cenny dzień, żebyśmy mogli być razem, zanim rozdzielią nas na zawsze.

– Miała tragiczną minę.

– Jesteś księżniczką – przypomniał jej Zaras. – A ja wojownikiem. Oboje musimy wypełnić święty obowiązek, bez względu na to, ile nas to będzie kosztowało. Musimy to znieść.

– Wiem, że to, co powiedziałaś, jest prawdą, ale odchodząc, zabierzesz moje serce i moje pragnienie, żeby żyć przy tobie. Zostawisz mi pustkę. – Uniosła się i pocałowała go znowu.

Odwróciłem głowę. Ani chwili dłużej nie mogłem patrzeć na ich głęboką rozpacz. Ja też miałem do spełnienia święty obowiązek. Jesteśmy tylko owadami schwytanymi w zastawioną przez bogów sieć. Nie ma sposobu, żebyśmy jej uniknęli.

Zaczekałem, aż oboje opuszczą pokład i udadzą się na dół, a potem ześlizgnąłem się z masztu i wróciłem do mojej kajuty.

Nie płakałem od owego dawnego dnia, w którym umarła matka Tehuti. Teraz rozpłakałem się znowu.

Następnego ranka wspiąłem się znowu na czubek masztu i tym razem nie spotkał mnie zawód. Na horyzoncie po prawej burcie rysowała się w porannym świetle niska i sina wyspa Kreta. Nie spodziewałem się, że zobaczę ją właśnie tam, bo nie leżała prosto przed nami, ale pięćdziesiąt lub nawet więcej mil na północ.

Zmierzaliśmy do portu w Knossos na północnym wybrzeżu, a tymczasem znaleźliśmy się daleko na południe od wyspy. Mieliśmy przed sobą zmianę kursu o dziewięćdziesiąt stopni i walkę z przeciwnym wiatrem, żeby opłynąć jej wschodnią połowę, i dopiero wtedy moglibyśmy wejść do portu, który był naszym celem. Oznaczało to wydłużenie podróży o dwa lub więcej dni.

Prawdę mówiąc, nie czułem się zbyt nieszczęśliwy z powodu tego drobnego niepowodzenia. Nie spieszyło mi się znowu tak bardzo, żeby zawrzeć znajomość z Najwyższym Minosem i pozbawić moje księżniczki kilku dodatkowych dni szczęścia. Postanowiłem jak najlepiej wykorzystać tę nieoczekiwaną okazję i obejrzeć jak najwięcej z tego królestwa mitów i legend. Wydawało się, że już teraz wychodzi mi naprzeciw jego niezwykła atmosfera i mistyczna potęga.

Chciałem cieszyć się tym w pełni bez ingerencji innych, ale nie było mi to pisane. Ze *Zniewagi*, która płynęła przed nami, doszły mnie odgłosy nagłego poruszenia i głośne okrzyki:

– Hej ho, przed nami ziemia!

Prawie natychmiast pokład pode mną zaczął się mrowić podnieconymi ludźmi. Gromadzili się przy relingu prawej burty i wdrapywali na olinowanie, żeby mieć lepszy widok na ląd.

Nie cieszyłem się długo samotnością, gdyż pan Toran wdrapał się również, żeby przyłączyć się do mnie na czubku masztu. Wspiął się nawet wyżej ode mnie i podobnie jak ja nie był zamartwiony odsunięciem końca naszej podróży.

– Można wybaczyć Hypatosowi ten błąd w nawigacji, bo przez dłuższy czas żeglowaliśmy bez punktu odniesienia, a trzeba też doliczyć kaprysy wiatru i prądów. Morska nawigacja nie jest zbyt precyzyjną dyscypliną. To raczej rozwinięty instynkt. A błędy Hypatosa w obliczeniach mogą tak naprawdę wyjść nam na dobre.

Spojrzałem na niego z ukosa.

– Mógłbyś wyjaśnić to bliżej?

– Pamiętasz z pewnością, że zanim odpłynęliśmy z Sydonu, wyjaśniałem, że z powodu zarządzenia Najwyższego Minosa żaden obcy okręt wojenny nie ma prawa wejść do portu w Knossos na północnym wybrzeżu jego królestwa. To tam znajduje się baza naszych galer wojennych.

– Rzeczywiście, powiedziałeś mi, że moje okręty będą musiały skorzystać z portu Krimad na wybrzeżu południowym. W istocie miejsce to będzie się dużo lepiej nadawać dla moich galer. Nie będą musiały płynąć tak długo, żeby dotrzeć do pozycji Hyksosów w delcie Nilu.

Toran skierował moją uwagę na odległy ląd.

– Widzisz te białe budynki u stóp góry Idy? Są to hangary dla łodzi w Krimadzie. Powinieneś natychmiast oddzielić swoją flotyllę i wysłać ją tam, żeby zacumowała w wyznaczonych miejscach w porcie. Kapitan Hypatos wyznaczy jednego ze swoich oficerów, żeby posłużył za pilota pańskim kapitanom.

– Doskonale! – przytaknąłem. – Czy Najwyższy Minos chce, żebym został z moją flotyllą w Krimadzie?

– Nie, nie, Taito! – pospieszył z wyjaśnieniem Toran. – Najwyższy Minos jest w pełni świadom, że jesteś wysłannikiem

faraona Tamose, i dlatego jesteś godzien najwyższego szacunku. Na stokach Idy stoi pałac, który został oddany do twojego wyłącznego użytku. Jednakże... – zawiesił głos i przymrużył filuternie oko – ...w tej chwili na pokładzie tego okrętu są osoby z twojego otoczenia, które powinny rozgościć się raczej w Krimadzie niż w Knossos.

– Ach! – Udałem, że nie wiem, o kim mówi. – Kto to może być?

– Nie zamierzam przypisywać nikomu niewłaściwego zachowania, ale są tu tacy, którzy wydają się zbyt zaprzyjaźnieni z przyszłymi żonami Najwyższego Minosa.

– Z pewnością nie masz na myśli małej Loxias, pokojówki księżniczki? – Toran spuścił oczy. Przypomniałem mu dyskretnie, że obaj mamy do ukrycia pewne sekrety.

– Zostawiam to twojemu bezbłędnemu osądowi – odparł, zamykając z wdziękiem naszą rozmowę.

Gdy zeszliśmy na pokład główny, czekał tam na mnie z uśmiechem na twarzy kapitan Hypatos.

– No i jest szesnaście dni, jak zapowiedziałem, mój panie Taito.

– Gratuluję pokazu mistrzowskiej nawigacji – pochwaliłem go.

– Proszę zasygnalizować kapitanom moich galer, żeby natychmiast przybyli na pokład tego okrętu.

Hypatos rzucił rozkaz opuszczenia żagli na okręcie flagowym i podniesienia sygnału: „Wzywa się wszystkich kapitanów”.

Dowódcy moich galer spuścili na wodę łodzie i kazali się przewieźć na *Świętego Byka*. Weszli na pokład za Dilbarem i Akemim, zachowując porządek według starszeństwa. Wskazałem im port w Krimadzie i wyjaśniłem, że będzie to baza ich przyszłych operacji.

Zaras i Hay przejęli formalnie dowództwo na swoich okrętach i przygotowali się do opuszczenia okrętu flagowego. Służący spakowali ich bagaże i opuścili je do łodzi, żeby je przewieźć na galery.

Rozmyślnie dałem Zarasowi i Hayowi mało czasu na przeniesienie się, powstrzymałem się też od poinformowania Tehuti i Bekathy o tym, że niebawem odpłyną. Za wszelką cenę chciałem uniknąć publicznego pokazu wzruszeń, które mogły towarzyszyć pożegnaniu.

Jednak nie da się tak łatwo oszukać moich księżniczek. Niemal natychmiast wyczuły, że dzieje się coś niedobrego.

Opuściły swoje kajuty i weszły na pokład rufowy. Były w beztróskim, swobodnym nastroju, który zmienił się nagle, gdy zobaczyły Zarasa i Haya na głównym pokładzie, stojących na czele swoich ludzi.

Przyglądałem się ukradkiem, jak moje dziewczęta przyjmują do wiadomości twardy i bezlitosny fakt, że ta straszna chwila nadeszła i że wkrótce nastąpi rozstanie.

Tehuti pobladła, a jej rysy skamieniały jak u trupa leżącego na stole w kostnicy. Bekatha skrzywiła się boleśnie i zamrugła, starając się powstrzymać łzy.

Na rozkaz rzucony przez Zarasa jego podwładni stanęli na baczność i zaszalutowali w kierunku rufy. Zauważyłem, że Bekatha sięga po rękę starszej siostry i ściska ją tak mocno, że aż zbieleły knykcie jej palców.

Usta Tehuti się poruszyły.

– Trzymaj się, Bekatho. Wszyscy na nas patrzą – powiedziała do siostry.

Stojąca tuż za nimi Loxias zrobiła krok do przodu i ujęła Bekathę za drugą rękę.

Zaras odwrócił się do kapitana Hypatosa i wygłosił przepisową formułkę:

– Kapitanie, proszę o pozwolenie opuszczenia okrętu.

Hypatos odpowiedział mu równie formalnym zwrotem:

– Udzielam pozwolenia, kapitanie!

Zaras odwrócił się do burty okrętu i sprowadził swoją drużynę po drabince sznurowej do czekających łodzi. Hay ruszył za nim. Żaden z nich nie był świadom tego, że dziewczęta stoją za ich plecami na rufie. Nawet się nie obejrżeli.

Przyglądając się Hayowi, Bekatha zachwiała się lekko i wydała zduszony jęk. A potem, trzymając się ciągle za rękę, wszystkie trzy odwróciły się w stronę zejścia prowadzącego do ich kajut. Bekatha potknęła się lekko na pierwszym stopniu, ale Tehuti dyskretnie ją podtrzymała, nie pozwalając jej się przewrócić.

Naprzeciwko mnie, po lewej stronie pokładu, stał Toran. Gdy trójka dziewcząt zniknęła pod pokładem, spojrzał w moją stronę i niemal niedostrzegalnie kiwnął głową na znak swojej aprobaty. Za sprawą tego prostego gestu staliśmy się współnikami. Byłem pewien, że w przyszłości będziemy ufać sobie nawzajem.

Gdy tylko łodzie odbiły od *Świętego Byka* i skierowały się w stronę galer, Hypatos kazał podnieść żagle i położył okręt na nowym kursie w kierunku wschodniego przylądka wyspy, z zamiarem okrążenia go.

Spojrzałem nad pochyłą rufą okrętu flagowego w stronę moich galer, które płynęły w szyku liniowym, zmierzając prosto do portu w Krimadzie. Byłem ciągle zasmucony strapieniem przeżywanym przez moje dziewczęta. Żeby się oderwać od tych przygnębiających myśli, podszedłem do Torana, który stał przy lewej burcie, i zadałem mu banalne pytanie, na które znałem już odpowiedź.

– Ile wynosi odległość po lądzie między Knossos i Krimadem?

– Liczy się nie tylko rzeczywista odległość. Ta wynosi zaledwie czterdzieści mil lub może nawet odrobinę mniej – wyjaśnił Toran. – Ale kłopot polega na tym, że droga jest urwista i zdradliwa na odcinku, który prowadzi wokół podstawy Idy, i trudna na całym pozostałym dystansie. Twoje konie mogłyby potrzebować nawet dwóch dni na pokonanie tej trasy. Wykończysz je, jeśli będziesz je zmuszał do szybszego marszu.

Miałem świadomość, że będę musiał regularnie przemierzać ten szlak, jeśli mam pozostać w kontakcie z oficerami moich okrętów, a także z moimi dziewczętami w królewskim pałacu. Nie mogłem jednak pogodzić się z tym, żeby zgodnie z oceną Torana podróże te tak bardzo się przeciągały. Doszedłem do wniosku, że będę musiał zorganizować łańcuch koni

rozstawionych przez całą szerokość wyspy. Mając do dyspozycji świeże konie czekające wzdłuż drogi w odstępach dziesięciu mil, mógłbym zmusić je do szybszej jazdy. Byłbym w stanie przebyć wyspę w siedem godzin lub nawet trochę mniej. Będzie to pierwsza sprawa, którą się zajmę, gdy tylko ulokuję dziewczęta w ich nowym domu.

Poszedłem na moment na dół, żeby wyciągnąć je na pokład z nadzieją, że uda mi się oderwać je od smutnych myśli. Moja prośba spotkała się jednak z odmową. Cierpiały tak mocno, że ledwie zdołały odpowiedzieć na moje pełne troski pytania. Obie przytulały się do siebie na jednej koi, próbując znaleźć odrobinę pociechy. Loxias siedziała u ich stóp na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Nie po raz pierwszy poruszyła mnie lojalność minojskiej dziewczyny.

Księżniczki potrzebowały czasu, żeby poradzić sobie z okrucieństwem losu i nieczułością bogów. Młodość ma stukrotnie większe wymagania wobec życia, ale w miarę upływu lat zmniejszają się one w takim samym stopniu. Wszyscy musimy się uczyć przetrwania.

Zostawiłem je i wróciłem na pokład. Toran udał się na dół, więc wdrapałem się znowu na takielunek.

Były to ojczyste wody Hypatosa, toteż znał je doskonale. Co jakiś czas omijał rafy i cyple, przepływając tak blisko nich, że zda się, mógłbym zejść z pokładu na ląd, nie moczając stóp.

Z zafascynowaniem obserwowałem przesuające się widoki. Nie spodziewałem się, że wyspa może być tak górzysta i porośnięta tak soczystą zielenią. Spędziłem wiele lat mojego życia w suchych pustynnych okolicach, dlatego krajobrazy te urzekły mnie swoim egzotycznym pięknem.

Minęło południe, gdy okrążyliśmy wysunięty najbardziej na wschód punkt wyspy i zmieniliśmy kurs, kierując się wzdłuż północnego brzegu w stronę Knossos. Promienie słoneczne padały teraz pod takim kątem, że woda pod naszym kilem nabrała cudownego odcienia błękitu.

Morze przed nami było usiane statkami. Od maleńkich, stojących na kotwicy łodzi rybackich po wielkie handlowe triery z nurzającymi się w wodzie rzędami długich wiosł i chmurami białych żagli. Kiedy mijaliśmy wejścia do zatok i portów rozsianych wzdłuż wybrzeża, zauważyłem, że także one zatłoczone są stojącymi na kotwicy statkami, które przyjmowały ładunek czy też się go pozbywały. Przewożone przez nie towary były przedmiotem handlu generującego bogactwo, które przekształciło tę małą wyspę w kolosa górującego nad resztą cywilizowanego świata.

Wiedziałem jednak, że powierzchnia wyspy jest skalista i pofałdowana, tutejsze gleby ubogie, pozbawione cennych

minerałów i nienadające się pod uprawę. Mimo iż wyspę porastają w obfitości wielkie lasy, ich korzenie stanowią kolejną barierę dla uprawy wartościowych gatunków zbóż.

Minojczycy rozwiązali problem w ten sposób, że wysyłają swoje statki na morza, żeby zwoziły surowce wytwarzane w innych krajach. Płacą za te bogactwa psie pieniądze i transportują je na Kretę, aby tutaj, dzięki wykorzystaniu umiejętności i innowacyjnego geniuszu swoich inżynierów, przerabiać je na produkty pożądane w całym świecie.

Ulepszają kruszec wydobywany z ziemi zaostrzonymi kijami przez inne, bardziej prymitywne ludy i przerabiają te metale na miecze, noże, hełmy, zbroje dla wojowników oraz na motyki, widły i lemieszce dla rolników.

Udoskonalili wypalanie piasków krzemionkowych i innych minerałów, żeby wytwarzać z nich szkło, nadzwyczajną substancję, którą przerabiają z kolei na szklane tafle, talerze, naczynia i inny sprzęt ozdabiający stoły królów czy też na ozdoby i kosztowności w niezliczonych kolorach, którymi rozkoszują się żony bogatych ludzi, a nawet na paciorki, wykorzystywane przez niektóre plemiona jako monety. Nie brak na świecie prymitywnych krajów, w których za sznur tych szklanych koralików można kupić rasowego konia, a nawet piękną młodą dziewczycę.

Minojczycy wymieniają te produkty na konopie, bawełnę, len i wełnę uprawiane w ciężkim trudzie w innych krajach. A potem przetwarzają je w swoich tkalniach na sukna i płótna, z których szyją odzież, namioty i żagle.

Te z kolei wysyłają w świat, żeby nimi handlować, i powtarzają ten cykl w nieskończoność, skutkiem czego żaden inny naród, nawet nasz umiłowany Egipt, nie jest w stanie dorównać ich zamożności.

Ta jednostronna pogoń za bogactwem nie obywa się jednak bez ukrytych kosztów.

Przyglądałem się temu krajowi z wysokiego miejsca w takielunku *Świętego Byka* i dostrzegałem dymy unoszące się

z niezliczonych kuźni i pieców, w których przetwarzano kruszce, przetapiano metale i zamieniano piasek w szkło.

Nad miastami i warsztatami, na stokach gór widać było szerokie pustkowia pokieroszowanej ziemi, pozostałe po wycięciu lasów w celu zdobycia drewna, które wykorzystywano na kadłuby minojskich statków handlowych albo przerabiano na węgiel do fabrycznych pieców.

Zauważyłem, że przybrzeżne wody są brudne i zanieczyszczone trującymi barwnikami i używanymi w warsztatach żrącymi płynami, które odprowadzano wprost do morza.

Podobnie jak każdego innego człowieka, mnie też cieszy ciężar i blask srebra i złota, gdy trafią one do moich rąk. Ale stojąc w obliczu szkód wyrządzanych dziewiczej przyrodzie, zastanawiałem się nad tym, jak wielką cenę człowiek gotów jest zapłacić, byle tylko zaspokoić swoją nienasyconą chciwość.

Moje rozmyślenia przerwały odgłosy z dołu. Spojrzałem w tym kierunku i zobaczyłem pana Torana, który wrócił na pokład i dawał mi znaki, żebym dołączył do niego na dole. Gdy stanąłem przy nim, próbował się usprawiedliwić.

– Nie mogę pozostawać zbyt długo tam na górze – wyjaśnił. – Gdy jestem na szczycie masztu, odnoszę nieprzyjemne wrażenie, że statek wpada w przesadne przechyły, mam nawet ochotę pozbyć się doskonałego śniadania, które mój kucharz przygotował mi z takim trudem. – Ujął mnie za ramię i poprowadził na przód statku. – Widok z dziobu będzie równie dobry, jak z czubka masztu, a ja chciałbym mieć możliwość zwrócenia twojej uwagi na ciekawe widoki, jakie się otworzą, gdy minimy już wyspę Dragonadę i ukaże się pełna panorama Knossos i Góry Kronosa. – Usadowiliśmy się wygodnie w cieniu żagla dziobowego, podczas gdy okręt halsował wokół skrajnego przylądka wyspy i przed naszymi oczami zaczął się rozpościerać dziewiczy krajobraz północnego wybrzeża Krety.

Po lewej burcie mieliśmy cudowny widok na górę Idę, który był kompletnym odwróceniem tego, czym cieszyliśmy oczy po

południowej stronie wyspy. Oglądana z tej perspektywy góra wydawała się wyższa, bardziej stroma i poszarpana. U jej stóp leżało przed nami miasto Knossos i jego port.

Port był przestronny, ale wydawało się, że jego wody ledwie są w stanie pomieścić flotę stojących tam na kotwicy minojskich galer wojennych i statków handlowych. Niektóre z tych jednostek były tak duże, że *Święty Byk*, na którego pokładzie się rozłożyliśmy, mógł się przy nich wydać karzełkiem.

Powyżej portu wznosiły się miejskie budynki. Natychmiast uświadomiłem sobie, że miasto jest dużo większe niż Teby i Babilon razem wzięte. Jednak w porównaniu z Knossos te dwa mniejsze miasta wydawały się piękne, wesołe i gościnne.

Pomimo tła w postaci wysokich i majestatycznych gór oraz rozmachu i rozmiarów jego architektury Knossos robiło wrażenie miasta posępnego i mrocznego. Moje zmysły są tak wyostrzone na subtelne odcienie i ukryte niuanse wszystkiego, co nadnaturalne, że natychmiast domyśliłem się udziału bogów w stworzeniu tego miasta, wzniesionego na nielicznych obszarach, na których skupiają oni całą swoją energię.

W naszym wieku oświecenia wykształceni ludzie zgadzają się co do tego, że ziemia jest żywą, oddychającą istotą, gigantycznym żółwiem, który od niepamiętnych czasów pływa w czarnym oceanie wieczności. Płyty, z których składa się skorupa okrywająca jego grzbiet, są połączone krawędziami, wzdłuż których przebiegają linie potężnych sił. Dzięki tym połączeniom ziemia może podczas ruchu zginać swój korpus i członki. W tych właśnie miejscach znajdują się ośrodki niewyobrażalnej potęgi, z których część służy dobru, a inne złu.

Tutaj skupiały się siły zła, wyczuwałem jego wstrętny smak na czubku języka, a jego cuchnąca woń wypełniała mi nozdrza.

Wzdrygnąłem się, próbując dojsć do ładu z jego ogromem.

– Nie jest ci zimno, Taito? – spytał zatroskanym tonem Toran. Zaprzeczyłem ruchem głowy i uśmiechnąłem się w obawie, że wyraz mojej twarzy może zdradzić, co naprawdę odczuwam. Odwróciłem się od niego i spojrzałem na morze. Daleki od

uspokojenia złych przeczuć, stwierdziłem, że nadal podsycą je wrażenie, jakie odniosłem przy pierwszym spojrzeniu z bliska na bliźniacze szczyty Góry Kronosa. Toran musiał zauważyć moje wzburzenie, gdyż zachichotał i poklepał mnie dobrodusznie po ramieniu.

– Rozwesel się, Taito! Większość ludzi reaguje tak samo jak ty, gdy po raz pierwszy spoglądają na tę twierdzę Kronosa, ojca wszystkich bogów. Czy znasz dzieje tego miejsca i wiesz, jak rozegrały się wszystkie te tajemnicze wypadki?

– Wiem o nich niewiele lub zgoła nic. – Prawdę mówiąc, byłem pewien, że znam je dużo lepiej niż Toran, ale często lepiej udawać niewiedzę. Dzięki temu można poznać więcej sekretów, które w przeciwnym wypadku mogłyby zostać ukryte.

Toran z zadowoleniem przyjął moje zwierzenie.

– Jako literat i erudyta zgodzisz się z pewnością, że Kronos jest ojcem wszystkich bogów. Przed nim była tylko Gaja, czyli Ziemia, i Uranos, czyli Niebo. Gdy tych dwoje się połączyło, z ich związku narodził się Kronos.

– Tyle to i ja wiem – przyznałem ostrożnie. Nie chciałem dać się wciągnąć do sprzeczki, ale wiedziałem też, że istnieją inne, bardziej wiarygodne wyjaśnienia stworzenia świata. – Ale mów dalej, proszę, miły Toranie.

– Z czasem Kronos wydał wojnę swemu ojcu Uranosowi i pokonał go. Następnie go wykastrował i zamienił w swego niewolnika. Kronos rządził przez cały złoty wiek bogów. Był jednak świadom proroctwa, że jedno z jego dzieci wyda mu wojnę, tak jak on swemu ojcu. Żeby temu zapobiec, pożerał kolejno wszystkie swoje dzieci tuż po urodzeniu.

– W tych okolicznościach zjadanie ich było prawdopodobnie rozsądnym wyjściem – zauważyłem. – Znam niejednego śmiertelnego ojca, który chętnie sięgnąłby po ten środek – zażartowałem z kamienną miną, ale Toran poważnie potraktował moje słowa i kiwnął głową.

– Właśnie! Jednak, kontynuując ten wątek, kiedy Rea, najważniejsza żona Kronosa, urodziła szóste dziecko, dała

chłopcu imię Zeus i ukryła go przed ojcem w jaskini, właśnie tu, na górze Idzie. – Wskazał jej zbocza po drugiej stronie zatoki. – Dzięki temu Zeus przeżył i osiągnął wiek dojrzały. A potem, jak głosiło proroctwo, stoczył walkę z Kronosem. Pokonawszy go, otworzył jego brzuch i uwolnił z niego całe swoje rodzeństwo.

– A jeszcze później Zeus wraz ze swymi braćmi i siostrami odleciał na szczyt Olimpu, gdzie mieszka po dziś dzień, despotycznie rządząc naszym życiem – przyspieszyłem tok opowieści. Czasami Toran jest zbyt pedantyczny. – Tak więc obecnie to Zeus jest ojcem bogów i władcą burz. Do jego rodzeństwa należy siostra Hestia, bogini domu i domowego ogniska, Demeter, bogini rolnictwa i bogatych zbiorów, Hera, bogini małżeństwa, Hades, pan podziemnego świata, oraz Posejdon, władca mórz.

– Powiedziałaś, że nie znasz ich dziejów. – Toran miał lekko urażoną minę, ale mówił dalej, zanim zdążyłem zrelacjonować resztę tej historii.

– Zeus nie mógł zabić swego ojca z powodu jego nieśmiertelności, więc przed wyruszeniem na Olimp uwięził Kronosa w ognistych głębinach wulkanu, który obecnie nosi jego imię.

Przez chwilę obaj w milczeniu przyglądaliśmy się górze.

– Jest to najstarszy i najpotężniejszy wulkan na świecie – przerwał ciszę Toran. – Cała jego siła znajduje się pod kontrolą Kronosa. Za jej pomocą chroni nas przed zawiścią cudzoziemskich królów i skąpstwem mniej cywilizowanych narodów. W jednym tylko przypadku, kiedy Eubejczycy wysłali przeciwko nam swoją flotę, Kronos stoczył na nich z wysokości swojej góry wielkie rozżarzone skały, zatapiając większość ich okrętów i przeganiając ich niedobitki z powrotem tam, skąd przybyli.

Przyglądałem się górze z uwagą. Był to rzeczywiście groźny widok. Na stromych, przypominających piramidę stokach nie było śladu żadnego życia roślinnego ani zwierzęcego. Sięgały

niemal aż po skraj wody, połyskując ciemnymi i czerwonawymi płytami zastygłych, szklistych strumieni lawy.

Z bliźniaczych otworów, które przebiły się przez wierzchołki obu szczytów, wyciekała ciągle i spływała na dół roztopiona lawa, świecąc i iskrząc żarem. Nad tymi rzekami ognia unosiły się obłoki pary, gdy docierały one do morza omywającego podstawę góry.

– Kiedy Kronos jest bardzo zadowolony lub wpada w wielką złość, wyrzuca dym i ogień – wyjaśnił Toran. – O intensywności jego gniewu czy uciechy można sądzić na podstawie rozmiarów i siły tego ognistego oddechu. Po dzisiejszych łagodnych wyziewach możesz poznać, że śpi lub jest w jowialnym nastroju. Gdy popada w prawdziwe pobudzenie, wyrzuca roztopione skały i obłoki przesyconego siarką dymu, który strzela w niebo tak wysoko, że miesza się z chmurami. Jego wrzaski i ryki można wtedy usłyszeć we wszystkich zakątkach Krety, a gwałtowne wstrząsy odczuwa się w odległych krajach za morzem.

– Co mogłoby go aż tak rozżłościć? – zapytałem.

– Kronos to najpotężniejszy ze wszystkich bogów. Może się gniewać bez powodu, a my nie jesteśmy w stanie przewidzieć jego kaprysów i fantazji. Gniewa się, bo jest zły, to bardzo proste.

Przezornie kiwnąłem głową, słuchając, jak Toran wychwala pod niebiosa potęgę i usprawiedliwia ekscesy swojego wyjątkowego boga. Oczywiście nie zgadzałem się z nim. Badałem pochodzenie i dzieje wszystkich bogów. Są ich setki. Podobnie jak śmiertelni i półbogowie, różnią się znacznie między sobą pod względem siły i usposobienia, a także posiadanych cnót i skłonności do popełniania podłych postępów.

Intrygowało mnie, dlaczego taki niepospolity człowiek jak Toran składa hołd i deklaruje poddaństwo wściekającemu się potworowi, stawiając go wyżej niż tak szlachetną i dobrotliwą boską istotę jak Horus.

Nie mam zaufania ani do Kronosa, ani do Seta. Co więcej, nigdy nie byłem całkiem pewien Zeusa. Bo jak można ufać komuś, choćby nawet był bogiem, kto znajduje rozkosz

w płatanu niegodziwych figli całej ludzkości i swojej najbliższej rodzinie?

Nie, ja jestem oddany tylko Horusowi i nikomu więcej.

W porcie w Knossos i wokół niego tłoczyło się tak wiele statków, że gdy podpłynęliśmy bliżej, jego komendant wysłał do nas łódź żaglową z wiadomością, że odmawia *Świątemu Bykowi* prawa do niezwłocznego wejścia, nakazuje rzucić kotwicę na redzie i czekać, aż znajdzie się dla nas miejsce w wewnętrznym porcie.

Pan Toran popłynął na brzeg łodzią komendanta portu, żeby zawiadomić pałac o naszym przybyciu.

Godzinę po odpłynięciu Torana do naszego stojącego już na kotwicy okrętu podpłynął kuter, na którym powiewała flaga króla Krety. Na jej jednej stronie widniał złoty byk, a na drugiej podwójny katowski topór o dwóch ostrzach, symbolizujący władzę życia i śmierci sprawowaną przez Najwyższego Minosa.

Przed odpłynięciem na ląd Toran ostrzegł mnie, że Tehuti i Bekatha, jako przyszłe oblubienice królewskie, powinny pozostawać zamknięte w swoich kajutach z dala od męskich oczu. A gdy wyjdą na widok publiczny, powinny osłonić twarze szczelnym welonem, a nawet kompletnie zakryć dłonie i stopy, dopóki nie dotrą bezpiecznie do królewskiego pałacu.

Dziewczęta były oburzone, gdy powiedziałem im o minojskich wymaganiach dotyczących ubrań. Były przyzwyczajone do chodzenia zupełnie nago, jeśli miały na to ochotę. Trzeba było całego mojego taktu i negocjacyjnych umiejętności, żeby przekonać je do podporządkowania się minojskim zwyczajom

i konwenansom i do zachowania, jakie przystoi osobom należącym do minojskiej rodziny królewskiej.

Mając głowę nabitą tymi ograniczeniami, byłem jedynym nie-Minojczykiem na pokładzie rufowym *Świętego Byka*, który powitał delegację z pałacu.

Na dziobie podpływającego kutra obok Torana stało trzech pałacowych oficjeli. Jeden z nich zawołał w naszą stronę, gdy tylko znaleźli się w zasięgu głosu. W imieniu Najwyższego Minosa poprosił o pozwolenie wejścia na pokład. Kapitan Hypatos ochoczo mu go udzielił.

Cała trójka miała na sobie sięgające ziemi czarne togi, których rąbki zamiatały pokład, kiedy niespieszonym i statecznym krokiem szli w moim kierunku. Głowy wieńczyły im wysokie kapelusze bez rona, przystrojone czarnymi wstążkami. Ufarbowane na czarno brody były mocno ufryzowane gorącymi szczypcami, a twarze upudrowane białą kredą, oczy zaś otaczały obwódki z proszku antymonowego. To skonstrastowanie wyglądało dość groźnie. Mieli posępne miny.

Tuż za nimi podążał pan Toran, który przedstawił mi ich, gdy się zatrzymali. Ukłoniłem się każdemu z nich po kolei, kiedy Toran recytował ich liczne imiona i skomplikowane tytuły.

– Dostojny panie Taito! – zwrócił się do mnie najstarszy rangą emisariusz, oddając mi ukłon. – Najwyższy Minos polecił mi powitać cię w królestwie Krety... – W dalszych słowach zapewnił mnie, że nasze przybycie było gorąco oczekiwane. W pałacu panowała jednak niepewność co do dokładnej godziny i daty tego szczęśliwego wydarzenia. Potrzebują teraz kolejnych dwudziestu czterech godzin, żeby przygotować godne powitanie królewskich dam z Egiptu, które zostały zaręczone Najwyższemu Minosowi.

– Królewska barka wypłynie do tego okrętu jutro w południe. Odwiezie ciebie, panie, oraz królewskie panny młode do pałacu, gdzie będzie czekał Najwyższy Minos, aby przyjąć je do swojej rodziny.

– Wasz Najwyższy Minos jest niezmiernie łaskaw! – odparłem, przyjmując do wiadomości jego słowa, które w zasadzie były

raczej dyplomatycznie zawołowanym królewskim rozkazem niż zaproszeniem.

– Jego Wysokość kazał mi zapewnić królewskie damy, że z przyjemnością wita ich przybycie. Co więcej, poprosił mnie, żebym wręczył im te oto dowody królewskiej łaski. – Wskazał na ciężkie srebrne szkatuły, które nieśli ubrani na czarno mężczyźni. Złożyli prezenty na pokładzie, a potem oddalili się w głębokich ukłonach.

Spotkanie dobiegło końca. Emisariusze wrócili do kutra, który ich przywiózł. Stopniowo dowiadywałem się, że Minojczycy to ludzie poważni, którzy nie tracą wiele czasu na ceremonie ani na grzecznościowe formalności. Pan Toran odpłynął wraz z nimi na ląd. Wchodząc do kutra, posłał mi tylko krótki uśmiech i dyskretnie pomachał do mnie ręką.

Miałem nadzieję, że prezenty przesłane przez Najwyższego Minosa rozjaśnią głęboko zasępione miny moich księżniczek. W istocie, godne były najbogatszego monarchy na tym świecie. Lśniły złotem i srebrem, a drogie kamienie napełniły kajutę odblaskami wielobarwnego światła. Tehuti i Bekatha przyjrzały się im obojętnie, a potem popadły znowu w melancholijny nastrój.

Aż do tej chwili narzucałem surowe ograniczenia, dzięki którym żadna z moich dziewcząt nie szukała nigdy pocieszenia w winie, teraz jednak doszedłem do wniosku, że nadszedł czas, aby użyć silniejszego środka na to straszliwe strapienie. Zszedłem do ładowni okrętu i napocząłem jedną z amfor pana Torana. Napełniłem do połowy trzy duże miedziane kielichy słodkim czerwonym winem z Cyklad. Potem dopełniłem je wodą i kazałem zanieść je do kajuty, w której ginęły z rozpaczyny moje dziewczęta.

– Chcesz, żebyśmy napiły się tej trucizny? – spytała Tehuti. – Mówiłeś nam przecież, że wypadną nam od niej włosy.

– Ona powoduje takie skutki tylko wtedy, gdy pije się ją w bardzo młodym wieku. Ale teraz jesteście już dorosłe –

wyjaśniłem. – Popatrzcie na mnie. Czy jestem łyсы? – Z ociąganiem przyznały, że nie.

– Mówiłeś też, że wypadną nam od niej zęby – przypomniała mi Bekatha. W odpowiedzi błysnąłem dwoma rzędami doskonale utrzymanych zębów. Przez chwilę zastanawiały się nad tym.

– Ten napój rozweseli was i uszczęśliwi – nie ustępowałem.

– Ja nie chcę czuć się wesołą i szczęśliwą – odparła stanowczo Bekatha. – Po prostu chcę umrzeć.

– No to przynajmniej umrzesz szczęśliwa – podsunąłem.

– Może powinniśmy poprosić najpierw Loxias, żeby go spróbowała – powiedziała Tehuti, spoglądając w zamyśleniu na minojską dziewczynę.

Bekatha popchnęła kielich po stole w jej kierunku. Loxias westchnęła z rezygnacją. Już dawno przyzwyczała się do tego, że powierzano jej najmniej przyjemne i najbardziej ryzykowne zadania. Podniosła kielich do ust i wypła drobny łyček, a potem wyprostowała się, trzymając wino w ustach.

– Przełknij je! – poleciła jej Tehuti. Loxias zrobiła, co jej kazano, podczas gdy obie przyglądały się jej uważnie, niepewne, czy nie straci włosów albo zębów. Loxias się uśmiechnęła.

– Przyjemne w smaku – powiedziała, pochylając znowu głowę nad kielichem.

– Wystarczy! Nie musisz wypijać wszystkiego – zaprotestowała Tehuti i wyjęła kielich z jej rąk. Puściły go w kółko, omawiając z ożywieniem jego smak. Bekatha była zdania, że ma smak śliwek, ale Tehuti oświadczyła, że smakuje zdecydowanie jak dojrzały granat. Loxias nie wygłosiła żadnej opinii, ale starała się dopilnować, żeby nie odmówiono jej należytnej porcji. Roześmiała się jako pierwsza. Pozostałe wlepiły w nią zaskoczone spojrzenia. Potem zachichotała też Bekatha.

Godzinę później wszystkie trzy zrzuciły z siebie ubrania i okryły się błyszczącą biżuterią, którą przysłał im Najwyższy Minos. A ja wygrywałem im na mojej lirze jedną z ich ulubionych tanecznych melodii, podczas gdy one brykały po całej kajucie, zanosząc się od śmiechu. Było już po północy, gdy Bekatha

opadła w końcu na swoją koję, a niebawem dwie pozostałe poszły za jej przykładem. Przykryłem je kołdrami, pocałowałem każdą na dobranoc i zdmuchnąłem lampkę. Wystarczająco z siebie zadowolony, wyszedłem na główny pokład, żeby posmakować nocnego powietrza.

Moje księżniczki ubrane były po minojsku i czekały na głównym pokładzie, gdy w południe następnego dnia królewska barka wyłoniła się z portu i powiosłowała w kierunku *Świętego Byka*. Dopóki się nie poruszyły, nic nie wskazywało, że pod warstwami okrywających je czarnych ubrań i welonów są żywe istoty. Wcześniej tego dnia pan Toran przysłał nam te stroje i dodatki inną łodzią. Trzeba było całej mojej przebiegłości i pomysowości, żeby nakłonić dziewczęta do włożenia dziwacznych okryć. Loxias oszczędzono tego poniżenia. Choć miała na sobie długą czarną suknię oraz wysoki stożkowy kapelusz obwiązany czarnymi wstążkami, przynajmniej jej twarz i dłonie były odsłonięte. Będąc jedynie dziewczyną służebną, mogłaby nawet odsłonić piersi, i nikt by tego nie zauważył.

Sprowadziłem je do barki przy uroczystych dźwiękach bębnów, na których grało czterech siedzących na rufie kapłanów ze świątyni Kronosa. Wpłynęliśmy na wiosłach do wewnętrznego portu i miałem wreszcie okazję przyjrzeć się bliżej piętrzącym się wokół budynkom, które sięgały zwartą formacją aż na skraj wody.

Zbudowano je w całości z bloków szarobrazowego kamienia, który, jak dowiedziałem się później, dobywano w górach. Budynki bardzo nieznacznie różniły się między sobą. Wszystkie były masywne i brzydkie, z płaskimi dachami i wąskimi, szczelinowatymi oknami zasłoniętymi szarym matowym szkłem.

Największa z tych budowli stała na wprost wejścia do portu. Nie trzeba było nawet posągu złotego kreteńskiego byka na dachu, żeby się domyślić, że jest to jeden z czterech wielkich pałaców Najwyższego Minosa.

Wioślarze z wyuczoną precyzją dobili barką do nabrzeża przed pałacem, na którym czekał tłum dygnitarzy, aby powitać na łądzie moje małe towarzystwo. Wszyscy mieli na sobie identyczne długie czarne uniformy i wysokie stożkowe kapelusze. Wszystkie twarze były białe od kredy, a oczy obwiedzione proszkiem antymonowym. Płaszczki kilku z nich zdobiły złote i srebrne łańcuchy i inne ozdoby, wskazujące na ich wyższą rangę i pozycję.

Także ja byłem ubrany w długą czarną togę, którą przysłał mi pan Toran. Ale na głowie miałem wspaniały złoty hełm z pierzastym grzebieniem, a na mojej twarzy nie było śladu kredy czy antymonowego proszku.

Jedynymi osobami w całym zgromadzeniu, które nie miały na sobie jednolitej czerni, byli czterej smukli i bardzo śniadzi wojownicy w jaskrawozielonych tunikach. Na ich piersiach krzyżowały się skórzane pasy, a głowy nakrywały skórzane hełmy. Z wdziękiem ruszyli naprzeciw moim księżniczkom, gdy wychodziły na brzeg. Byli uzbrojeni w krótkie miecze i sztylety. Dwaj z nich trzymali w rękach bicze, co do których miałem nadzieję, że pełnią raczej ceremonialną niż praktyczną funkcję. Zajęli miejsca po obu stronach moich dziewcząt.

Owi gwardziści ubrani na zielono mieli w sobie coś dziwnie kobiecego. Ich twarze były gładkie i pozbawione bród. Mieli delikatne, subtelnie rzeźbione rysy twarzy i drobne dłonie. Brakowało im tylko kobiecych wypukłości na piersiach, które były płaskie jak u zwyczajnych chłopców. Doszedłem do wniosku, że są jakiegoś rodzaju obojnakami, po prostu kolejnymi dziwolągami wśród wielu innych, jakie już zaobserwowałem w tym wyjątkowym kraju. Przestałem o nich myśleć i ruszyłem za księżniczkami wejściem do przestronnego przedsionka pałacu.

Tłoczył się w nim ramię przy ramieniu tłum ubranych na czarno ludzi, którzy także mieli twarze pokryte kredą. Jednak w całym tym zgromadzeniu nie dojrzałem nawet jednej kobiety. My, Egipcjanie, jesteśmy dumni z naszych kobiet i oczekujemy, że będą one odgrywać wyraźnie widoczną, doniosłą rolę w życiu naszego kraju. Uznałem tę płciową dyskryminację za coś nienaturalnego i odpychającego.

Przez środek wyłożonej marmurowymi płytami posadzki pozostawiono przejście wystarczająco szerokie, aby mogły nim przejść moje dziewczęta i eskortujący je gwardziści w zielonych strojach. Nasza mała grupka ruszyła tym torem, jednak już po kilkunastu krokach ktoś wyszedł z tłumy i przyłączył się do mnie. Przez chwilę nie zdawałem sobie sprawy, że jest to pan Toran, ponieważ on także ubrał się w całości na czarno i miał śmiertelnie białą twarz z trupio czarnymi oczodołami, ale z jego szyi zwisał złoty łańcuch, który od razu rozpoznałem, i chociaż dobywał z siebie grobowe tony, jego głosu nie można było pomylić z innym.

– Wszystko idzie zgodnie z planem. Najwyższy Minos i cała jego rada czekają na nas w sali tronowej, do której prowadzą te oto drzwi przed nami – powiedział, wskazując je ruchem brody. – Jest z nim nawet królowa matka. To rzadki zaszczyt. Nie będziesz brał żadnego udziału w dzisiejszych uroczystościach, ale od jutra podejmiesz bliską współpracę z wysokim admirałem i jego radą wojenną, żeby zaplanować kampanię przeciwko Hyksosom.

– Miło mi to słyszeć, od razu lżej mi na sercu. – Starłem się mówić równie cicho jak on. Poświęciłem prawie trzy lata na intensywne planowanie i jeszcze bardziej wyęczone zabiegi, żeby znaleźć się w tym miejscu. Byliśmy u progu sukcesu. – Ale kiedy odbędzie się ceremonia ślubna? – zapytałem.

Toran rzucił mi niespokojne spojrzenie oczu w antymonowych obwódkach, ale zanim zdążył odpowiedzieć, przed nami otworzyły się bezszelestnie lśniące cedrowe drzwi zdobione podobiznami złotego byka. Przy uroczystych dźwiękach ukrytego gdzieś bębna weszliśmy do sali tronowej.

Zatrzymaliśmy się, podczas gdy drzwi zamknęły się równie cicho za naszymi plecami.

We wnętrzu panował półmrok. Nie było tu ani jednej lampy. Kilka wąskich okien zasłaniały draperie w ciemnych kolorach. Sklepienie znajdowało się tak wysoko, że ginęło w cieniu. Jednak mój wzrok prędko odzyskał swoją zwykłą ostrość i niebawem zacząłem dostrzegać szczegóły kształtów i postaci.

Pośrodku sali stał tron umieszczony na podwyższeniu, a wokół jego stóp zgromadził się zwarty tłum mężczyzn. Po lewej stronie stali kapłani Kronosa. Mieli na sobie długie peleryny z kapturami, które zasłaniały im twarze. Stroje te były utrzymane w ciemnobrunatnym odcieniu, który, jak się później dowiedziałem od Torana, określano tu mianem „czerwieni byczej krwi”.

Po drugiej stronie tronu stała inna grupa dworzan i arystokracji. Niektórzy z nich mieli na sobie tradycyjne długie czarne togi i wysokie kapelusze. Przyozdobili je srebrnymi i złotymi łańcuchami oraz insygniami wysokich urzędów.

Naprzeciwko nich stali wyżsi dowódcy wojsk i floty. Ich zbytkowe i różnobarwne mundury pozostawały w absolutnym kontraście z szarzyzną ubrań arystokracji.

Sam tron miał masywną konstrukcję. Był wyciosany z hebanu i wyłożony macicą perłową. Choć na siedzeniu było dość miejsca, aby mogło na nim usiąść pięciu potężnych mężczyzn w zbrojach, w tej chwili zajmowały je tylko dwie osoby. Jedną z nich była jedyną kobietą w sali tronowej, oprócz moich księżniczek i Loxias.

Przyglądałem się jej z niedowierzaniem. Była najstarszą kobietą, na jakiej kiedykolwiek spoczął mój wzrok. Jej kościste ciało okrywały nieciekawe czarne koronki, ale nie włożyła rękawiczek. Miała palce powykręcane w groteskowe kształty od artretyzmu i starości, a wierzchy jej kościstych dłoni pokrywały kiście poskręcanych sinych żył.

Jej pożółkła i poorana zmarszczkami twarz przypominała strącone przez wiatr jabłko, które przeleżało dłuższy czas pod

drzewem na słońcu. Nie wyglądało to dobrze. Ufarbowane na jasnoczerwony kolor, rzadkie i przetłuszczone kosmyki włosów kleiły się do czaszki albo zwijały koło uszu. Oczy tonęły w głębokich oczodołach. Jedno jej oko było czarne i błyszczące jak wypolerowane wulkaniczne szkliwo. Drugie było matowe i ciekły z niego łzy, które toczyły się po zwiędłym policzku, aby spłynąć w końcu na czarną koronkę okrywającą jej tułów.

Kobieta odchrząknęła w panującej ciszy i wykasła dużą kluchę żółtozielonego śluzu. Kiedy otworzyła usta, żeby ją wypluć na marmurową posadzkę, zauważyłem, że ma czarne i poszczerbione zęby, przypominające pieńki pozostałe po wypalonym lesie.

– Pazyfae, królowa matka – szepnął Toran tak cicho, że tylko ja mogłem go dosłyszeć.

Obok niej siedziała olbrzymia człekokształtna postać ubrana w togę ze srebrnymi filigranami i napierśnikiem z kutego złota. Kreatura ta wydawała się jednak za duża, aby mogła być człowiekiem. Zastanawiałem się, czy nie jest to jakaś nadprzyrodzona bestia lub może istota z minojskiego panteonu nieśmiertelnych.

Jej dłonie okrywały rękawiczki z czarnego futra, które, jak przypuszczałem, pochodziło z dzikiego bawołu. Nogi kryły się w wysokich butach z tego samego materiału.

Najbardziej zdumiewająca zaś była jej głowa. Zasłaniała ją całkowicie maska z drogocennych metali w kształcie głowy samca dzikiego tura, z rozwartymi nozdrzami i kudłatą grzywą. Umocowane do maski potężne rogi były prawdziwe, zdjęte z łba tego samego zwierzęcia. Długie i zakrzywione do przodu miały morderczo spiczaste zakończenia. Niemal identyczne egzemplarze oglądałem wśród myśliwskich trofeów króla Nemroda w Babilonie.

Otwory na oczy w masce wydawały mi się czarne i puste, dopóki nie przesunąłem się trochę w bok. Głowa w masce obróciła się w tę samą stronę, dzięki czemu zmienił się kąt padania światła z wysokich okien. Głęboko w oczodołach

dostrzegłem błysk i migotanie poruszających się żywych oczu. Czy były one ludzkie, zwierzęce, czy boskie? Nie było sposobu, żeby się tego dowiedzieć.

Dały się słyszeć dwa uderzenia w ukryty bęben, który następnie zamilkł. Nikt i nic nie poruszyło się w ciszy, która nagle zapadła. Siedząca na tronie postać w masce wstała i rozłożyła ręce, a potem wydała z siebie odgłos podobny do ryku dzikiego bawołu, który ma w nozdrzach zapach samicy w okresie rui. Ryk ten odbił się echem wewnątrz maski dziwnej kreatury z taką intensywnością, że zacząłem podejrzewać minojskich inżynierów o wynalezienie jakiegoś sposobu na wzmacnianie głosu do tak nadzwyczajnego poziomu.

Całe zgromadzenie łącznie z kapłanami wydało unisono głęboki i intensywny jęk uwielbienia, który zabrzmiał tak, jakby zdjęło ich nagłe przerażenie, po czym wszyscy padli na twarz. Ubrani na zielono gwardziści po obu stronach moich dziewcząt zmusili je, żeby położyły się twarzą do dołu na marmurowej posadzce. Pan Toran chwycił mnie za nadgarstek i pociągnął za sobą w dół.

– Leż spokojnie! – syknął. – Za żadne skarby nie spoglądaj w górę! – Posłuchałem go. Nie miałem pojęcia, co tu się dzieje, ale zdawałem sobie sprawę, że nie ma czasu na dyskusje czy sprzeczki. Leżałem bez ruchu, pojękując tylko wtedy, gdy jęczała reszta zgromadzenia, i uderzając czołem w posadzkę, gdy robili to wszyscy pozostali. Postać na tronie nieprzerwanie wygłaszała swoją tyradę, której natężenie urosło tak, że poczułem ostre pulsowanie w głowie.

Chociaż tak pilnie uczyłem się języka minojskiego, nie zrozumiałem ani słowa z tego, co mówił Najwyższy Minos. Być może przemawiał do nas w tajemnym języku albo nagłośnienie zdeformowało jego słowa tak bardzo, że nie byłem w stanie ich rozpoznać.

Na prawym nadgarstku noszę bransoletę na takie okazje jak ta. Na cienkim łańcuszku zawieszony jest mały złoty krążek, który wypolerowałem do tego stopnia, że lśni całkiem jak lustro,

dzięki temu mogę oglądać odbijające się w nim obrazy, nie poruszając się ani nie unosząc głowy. W ten sposób dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy i niejeden raz uniknąłem śmierci.

Teraz ujrzałem nagle w moim małym lusterku czarną kolistą zasłonę, która zaczęła opadać bezgłośnie spod ukrytego w cieniu sufitu. Była dokładnie takich samych rozmiarów jak podium, na którym ustawiono tron. Kompletnie zakryła i osłoniła Najwyższego Minosa i jego matkę Pazyfae.

Chwilę potem uniosła się równie szybko, jak opadła, odsłaniając podwyższenie i tron, które były puste. Najwyższy Minos i jego matka zniknęli. Nigdy dotąd nie oglądałem tak pomysłowej teatralnej sztuczki.

Ukryty dobosz zaczął znowu uderzać w bęben. Na ten sygnał wszyscy dźwignęliśmy się na kolana i unieśliśmy głowy. Dały się słyszeć trwożne pomruki i okrzyki zdumienia, wywołane zniknięciem Najwyższego Minosa i jego matki. Toran nie musiał mnie zachęcać, żebym się do nich przyłączył. Gdy dałem już w pełni wyraz zdumieniu cudowną mocą króla Krety, podniosłem się wraz z Toranem na nogi.

– Przypuszczam, że Najwyższy Minos wyznaczył czas i datę na ceremonię weselną, prawda? – zapytałem go.

– Wybacz mi, proszę, mój panie Taito. Powinienem był udzielić ci pełniejszych wyjaśnień. Przyjąłem, że rozumiałeś to, co się tu działo. – Miał szczerze zakłopotaną minę. – Byliśmy właśnie świadkami ceremonii weselnej.

Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni zatkało mnie tak, że nie byłem w stanie zdobyć się na inteligentną albo dowcipną odpowiedź, ale w końcu zebrałem się na odwagę, choć z mojego gardła dobyło się dziwne krakanie.

– Nie rozumiem, Toranie. Pytałem o wesele moich egipskich księżniczek.

– Właśnie je obejrzelśmy. One już nie są księżniczkami. Są teraz minojskimi królowymi. A ty i ja dopięliśmy tego, co chcieliśmy osiągnąć – odparł Toran, biorąc mnie pod ramię, tak

jakby chciał mnie uspokoić. Odsunąłem jego rękę, wpatrując się ciągle w niego.

– Co stanie się teraz z moimi dziewczętami? – nie ustępowałem.

– Strażniczki odprowadzą je do pałacu królewskich żon. – Ruchem głowy wskazał ubranych na zielono gwardzistów.

– Nie jestem jeszcze gotowy, żeby im towarzyszyć – zaprotestowałem. – Najpierw muszę zabrać moje rzeczy ze *Świętego Byka*.

– Mężczyznom nie wolno wchodzić do pałacu królewskich żon. Naprawdę bardzo mi przykro, mój panie.

– Dobrze wiesz, Toranie, że nie jestem w pełni mężczyzną. Nigdy nie oddzielano mnie siłą od moich dziewcząt.

– Według minojskiego prawa jesteś mężczyzną – oświadczył Toran.

– A co z tymi osobnikami? – spytałem, wskazując gwardzistów w zielonych mundurach, którzy podnosili moje dziewczęta na nogi. – Czy oni nie są mężczyznami bardziej nawet niż ja, Toranie?

– Nie, Taito. To są kobiety z plemienia Mbelala, które żyje w Afryce Zachodniej.

– Ależ one nie mają piersi! – zaprotestowałem.

– Zostały im amputowane w okresie dojrzewania, dzięki czemu mogą zręczniejsz posługiwać się mieczem, ale od pasa w dół są w pełni kobietami. Zaraz ci to udowodnię – odparł Toran, a potem odwrócił się do dowódcy bab-dragonów i rzucił coś ostrym tonem. Gwardzistka uniosła bez protestów rąbek zielonej tuniki i pokazała swój żeński narząd, któremu niczego nie brakowało.

– Jeśli sobie życzysz, możesz ich dotknąć, panie. Ale pod warunkiem że zapłacisz za ten przywilej swoim ramieniem. – Baba-dragon uśmiechnęła się, kładąc rękę na rękojeści miecza, jakby chciała zachęcić mnie, żebym podjął tę próbę. Zaprzeczyłem głową i odwróciłem się do Torana.

– Kiedy będę mógł zobaczyć znowu moje dziewczęta? – Usłyszałem w moim głosie błagalny odcień.

– Odpowiadam na twoje pytanie z przykrością, ponieważ odpowiedź brzmi: nigdy – odparł stanowczo Toran. – Żaden człowiek, oprócz Najwyższego Minosa, nie ujrzy więcej ich twarzy... aż do dnia ich śmierci.

Spoglądając na tę sprawę później ze spóźnioną mądrością, odkryłem, że ostatnia część jego oświadczenia była w istocie ukrytym ostrzeżeniem, byłem jednak tak oszołomiony w obliczu czekającej mnie straty, że tego nie wychwyliłem.

Cztery gwardzistki uniosły moje księżniczki na nogi i zabrały się do wyprowadzania ich z sali tronowej. Loxias ruszyła za nimi, ale obejrzała się jeszcze w moim kierunku i szepnęła coś tak cicho, że nawet ja tego nie dosłyszałem, choć na szczęście odczytałem słowa z ruchów jej warg.

– Będę czuwać nad nimi, poświęcę na to cały mój czas.

Nie mogłem powstrzymać się dłużej i ruszyłem, żeby przeszkodzić ich odejściu, ale Toran chwycił mnie za ramię i przytrzymał.

– Jesteś nieuzbrojony, Taito. Te gwardzistki mają wprawę w mordowaniu. Nie znają litości.

Zatrzymałem się i popatrzyłem za nimi. Zauważyłem, że Bekatha płacze, jej osłonięte welonami ciało wstrząsały szlochy. Za to Tehuti szła w nieznane jak bohaterka.

W ścianie po drugiej stronie hebanowego tronu otworzyły się bezgłośnie drzwi. Z bolesną rozpaczą przyglądałem się, jak obie znikają za nimi.

Wydawało mi się, że moje życie dobiegło końca. Odeszły ode mnie na zawsze dwie istoty, które przez wiele lat były racją mojego istnienia.

Pan Toran wiedział, jak głęboko jestem przywiązany do moich podopiecznych i jak mocno zraniła mnie ta strata. Udowodnił teraz, że stał się moim prawdziwym przyjacielem. Wziął na siebie zadanie poprowadzenia mnie przez dziwaczne złożoności minojskiego społeczeństwa. Miał powóz, który czekał na nas na dziedzińcu za pałacem. Wsiedliśmy do niego i powieziono nas krętą drogą do dużej rezydencji stojącej na zboczu góry nad Knossos. Miała pełnić teraz funkcję siedziby poselstwa Egiptu, a ja posła.

W czasie jazdy pod górę Toran zabawiał mnie lekką rozmową, żebym mógł się odprężyć. Wskazywał charakterystyczne punkty miasta rozciągającego się pod nami. Należały do niego dzielnice marynarskie oraz rozległy kompleks budynków królewskich, z których Najwyższy Minos rządził swoim rozległym imperium.

– Na czele naszego rządu stoi Rada Państwa, która składa się z dziesięciu dostojników wyznaczonych przez Najwyższego Minosa. Ich obowiązki i odpowiedzialne funkcje obejmują wszelkie przejawy życia naszego kraju, począwszy od oddawania boskiej czci bogu Kronosowi, co jest równoznaczne z obowiązkiem płacenia podatków, od których nie można się wykręcić. – Toran zachichotał, wygłaszając ten żarcik. – Inne

główne ministerstwa to admiralicja, departament handlu oraz armia.

Z wysiłkiem zdołałem odsunąć na bok ból po poniesionej stracie i skupić się na tej ważnej informacji. Byłem w stanie nawet nawiązać rozmowę.

– Cały świat zna oczywiście minojską flotę, która góruje nad flotami wszystkich innych krajów, ale nie wiedziałem, że posiadacie liczącą się armię.

– W naszej armii służy prawie pięćdziesiąt tysięcy świetnie wyszkolonych ludzi – wyjaśnił z dumą Toran.

– Na Horusa, musi to być większa część całej waszej ludności! – wykrzyknąłem ze zdziwieniem.

– Wszyscy wyżsi oficerowie są Minojczykami, ale zwykle szeregi wypełniają najemnicy. Przeważająca część naszej ludności to zręczni fachowcy, a nie żołnierze.

– Teraz rozumiem. – Byłem tak zafascynowany tą informacją, że odsunąłem na bok inne sprawy. – No i jestem pewien, że wasza wspaniała flota potrafiłaby bardzo szybko przewieźć tych wojowników, gdzie tylko byliby potrzebni.

Toran wymienił mi nazwiska i funkcje wszystkich głównych dowódców wojskowych. Potem omówił mocne i słabe strony każdego z tych pozostających u władzy ludzi.

– Niektórzy z nich to utalentowani i dalekowzroczni żołnierze, ale są też tacy, których wzrok nie sięga dalej niż ich własne sakiewki, brzuchy albo miłości.

Gdy jednak próbowałem wypytać Torana o szczegóły dotyczące Najwyższego Minosa i charakteru kreatury kryjącej się za złotą maską, spłoszył się jak nieujeżdżony źrebak i uchylił od mówienia na ten temat, wygłaszając krótkie ostrzeżenie.

– Rozmawianie o osobie Najwyższego Minosa jest obrażą majestatu karaną śmiercią. Dość, byś wiedział, że ucieleśnia on ducha naszego narodu. Tym razem wezmę pod uwagę fakt, że zadałeś to pytanie z powodu niewiedzy, ale uprzedzam cię, Taito, weź poważnie to ostrzeżenie.

Obaj zapadliśmy w niezręczne milczenie, okrążając skaliste ramię góry, gdy nagle ukazała się przed nami rezydencja oddana do mojej dyspozycji. Budynek był duży, ale jak wszystkie inne, które oglądałem do tej pory, wyglądał ponuro i brzydko. Brakowało mu ogrodów, które mogłyby upiększyć jego surowe kamienne ściany. Jediną roślinnością była winorośl na kratkach.

Przed głównym wejściem ustawili się w rzędzie moi służący, żeby mnie powitać, chociaż ich miny były równie posępne, jak ściany za ich plecami.

– Oczywiście są to niewolnicy – wyjaśnił niezwłocznie Toran. Wszystkim usunięto języki i struny głosowe, więc nie będą ci przeszkadzać ich próżniacze rozmowy.

Ale ja nie dowiem się od nich niczego ciekawego ani ważnego, pomyślałem, nie wypowiadając tego zastrzeżenia głośno.

– To jest Bessus, twój majordomus – powiedział Toran, wskazując na mocno zbudowanego nicponia, który uśmiechał się miło. – Rozumie język egipski, ale z oczywistych powodów nim nie mówi. Pytaj go, o co tylko chcesz.

Toran ruszył szybko przodem, żeby oprowadzić mnie po moim nowym domu. Pokoje były wygodne, ale skromnie urządzone. Moje osobiste rzeczy i zapasowe ubrania zostały wysłane wcześniej z portu przed naszym przybyciem. Były rozpakowane, uprane i schludnie ułożone, tak żebym miał je pod ręką. Z sypialnią sąsiadowała biblioteka, w której znajdowało się sto lub więcej dużych zwojów złożonych na półkach.

– Jest to kompletna historia imperium minojskiego, po większej części spisana przeze mnie. Mam nadzieję, że uznasz ją za pouczającą – wyjaśnił Toran, a potem wskazał niski stół na środku pokoju. – Są tu atramenty i pędzelki oraz czyste zwoje papirusu dobrej jakości do twojego wyłącznego użytku. Będę w stanie zorganizować wysyłkę twoich listów pod wszelkie adresy na całym świecie.

– Jesteś bardzo uprzejmy, mój dobry Toranie – podziękowałem mu z poważną miną, ale uśmiełem się w duchu z jego propozycji. Przypuszczam, że będziesz je wysyłał dopiero

po sporządzeniu ich wiernej kopii, pomyślałem. Zdawałem sobie sprawę, że jego przyjaźń i uprzejmość mają swoje granice.

– W piwnicach jest pięćdziesiąt amfor dobrego wina – ciągnął Toran. – Zostaną uzupełnione, gdy tylko je opróżnisz. Każdego ranka będziesz otrzymywał z portu świeże ryby i mięso. Będziesz miał dwóch doskonałych kucharzy, których kwalifikacje znam z własnego doświadczenia. Sam ich wybrałem.

Wyszliśmy na dziedziniec stajni, gdzie rzucił się przede mną na twarz główny stajenny. Na jego gołych plecach zauważyłem świeże pręgi od bata.

– Wstań, przyjacielu! – rzekłem do niego, ukrywając prawdziwe odczucia za przyjaznym tonem. Dawno temu ja też byłem niewolnikiem i dobrze pamiętałem uderzenia batem.

– Jak masz na imię? – zapytałem. Stajenny z wysiłkiem wygulgotał coś w odpowiedzi. Był wesołym chłopcem, najwyraźniej nie Kreteńczykiem.

– Waaga? – powtórzyłem jego imię, na co on zareagował jęklwym śmiechem. – Bardzo dobrze, Waaga, pokaż mi konie.

Waaga pobiegł przodem do stajni, wydając z zapałem niezrozumiałe dźwięki z pustego gardła.

Po małym wybiegu za stajnią chodziło osiem ładnych wierzchowców. Waaga gwizdnął i wszystkie od razu do niego podeszły, rżąc radośnie. Zaczął wyjmować z rękawa swojej brudnej i poszarpanej chlamidy małe prażone placuszki i dawać każdemu z nich do zjedzenia. Pomyślałem, że jeśli ufają mu konie, to i ja zrobię to samo, przynajmniej dopóki się na nim nie zawiodę. Zazwyczaj konie nie mylą się w swych ocenach.

– Któregoś z najbliższych dni będę musiał pojechać do Krimadu na południowym wybrzeżu. Będę potrzebował przewodnika, który mnie poprowadzi. Znasz drogę? – Waaga kiwnął głową z pewną siebie miną. – Przygotuj się – ostrzegłem go. – Zawiadomię cię z bardzo krótkim wyprzedzeniem. Będziemy jechać ostro. – Waaga się uśmiechnął. Wydawało się, że już nawiązujemy porozumienie.

Następnego ranka wstałem przed wschodem słońca, pospiesznie zjadłem śniadanie i ruszyłem konno na dół do admiralicji. Spędziłem tam cały dzień, dyskutując i negocjując z wiceadmirałem Herakalem i jego sztabem, ale rezultaty tych rokowań były bardzo marne. Zaoferowali mi osiem zniszczonych dwurzędowców, które najwyraźniej pływały przez wiele lat jako statki handlowe i obecnie dosięgły kresu użytecznego żywota. Oczekiwali, że na czymś takim pokonam hordy Hyksosów. Stopniowo dochodziłem do wniosku, że Minojczycy to ludzie posępni i trudni, w dodatku niezwykle wrogo odnoszący się do obcych i cudzoziemców. Jedynym wyjątkiem od tej zasady, z jakim jak dotąd się zetknąłem, był Toran. Zachowywał się tak grzecznie i uprzejmie, że mógłby być rdzennym Egipcjaninem.

Wieczorem wróciłem do mojego nowego domu wyczerpany duchowo i zniechęcony. Ledwie tknąłem kolację, na którą kucharz przygotował mi pieczone jagnię. Ale karafka wyśmienitego wina, w które Toran zaopatrzył piwnice, podbudowała moją wytrwałość i o świcie następnego dnia wsiadłem na konia i ponownie pojechałem na dół do admiralicji.

Wykorzystałem wszystkie moje negocjacyjne umiejętności i niewielką pomoc Torana, ale w końcu dziesiątego dnia rozmów zebrałem flotyllę sześciu prawie nowych trójrzędowców. Wiceadmirał z ociąganiem przydzielił mi doświadczonych minojskich oficerów, żeby objęli na nich dowództwo, oraz zahartowanych najemników, pochodzących z dzikich plemion

północnej Italii, do obsadzenia załóg. Ludzie ci nazywali siebie Latynami i Etruskami. Toran zapewnił mnie, że są doskonałymi żeglarzami i nieustraszonymi wojownikami. Mając stu dwudziestu dzikusów na pokładzie każdej triery, byłem pewien, że dorównamy każdemu okrętowi z floty Hyksosów.

Poleciłem moim nowym kapitanom, żeby pozęglowali wokół wyspy do portu w Krimadzie, gdzie pod opieką Zarasa i Haya stały na kotwicy moje sumeryjskie dwurzędowce, gotowe do wyjścia na morze. Od tej chwili miała to być nasza główna baza operacyjna, z której mogliśmy zadawać ciosy nieprzyjacielowi znajdującemu się zaledwie sześćset mil na południe, w odległości pięciu dni żeglugi przy sprzyjających wiatrach.

Gdy moje świeżo zakupione triery wypłynęły z Knossos, rankiem następnego dnia wyruszyłem konno mrocznym przedświtem w towarzystwie Waagi, zamierzając dotrzeć do Krimadu wcześniej niż okręty. Zgodnie z moimi instrukcjami Waaga osiodłał dwa konie, a cztery inne prowadziliśmy na linkach. Mogliśmy zmienić konie, gdyby tylko te, na których jechaliśmy, zaczęły okazywać pierwsze oznaki zmęczenia.

Toran ostrzegł mnie, że od czasu do czasu w lasach porastających góry grasują bandy rabusiów i bandytów. Wziąłem to pod uwagę i zabrałem krótki miecz w pochwie, zawieszony na bandolecie, oraz mój długi zakrzywiony łuk, który przewiesiłem przez prawe ramię.

Będąc niewolnikiem, Waaga nie miał prawa nosić żadnej ostrej broni. Był jednak uzbrojony w procę i skórzany woreczek rzecznych okrągłaków. Przyglądałem się, gdy za pomocą tej broni strącał kuropatwy w locie, widziałem też, jak obalił jelenia, którego zauważył, gdy ten buszował w naszym kuchennym ogródku. Byłem pewien, że jest w stanie równie skutecznie roztrzaskać głowę bandycie.

Wyjechaliśmy przed wschodem słońca, gdy tylko rozwidniło się na tyle, żeby było widać kamienistą ścieżkę. Waaga był wprawnym jeźdźcem, mógł więc dotrzymać mi kroku. Znał każdy zakręt i każde rozwidlenie szlaku. Jechał tuż obok mnie po prawej stronie i prowadził mnie za pomocą zwierzęcych pomruków i ręcznych sygnałów.

Na początek przecięliśmy na ukos niższe partie stoków Idy, kierując się ku przełęczy położonej na wschód od najwyższego szczytu, który nawet tak późnym latem okrywały płaty śniegu. Drzewa z lasu rosnącego na tej wysokości zostały zdziesiątkowane, żeby zapewnić opał do odlewni i fabrycznych pieców. Zasmucał mnie widok wyniszczenia. Uzbrojeni w siekiery drwale nie zostawili nawet jednego stojącego drzewa.

W końcu dotarliśmy do rosnących wyżej dziewiczych lasów i wjechaliśmy między wspaniałe drzewa, których wysokie pnie stały tu od czasów, gdy bogowie byli młodzi. Ich górne gałęzie splatały się wysoko nad naszymi głowami, ocieniając przejścia i utrzymując chłodną świątynną ciszę. Grube dywany zielonych mchów tłumiły stukot kopyt naszych koni. Słyszać było jedynie krzyki ptaków i odgłosy wydawane przez drobne zwierzęta. Poiliśmy konie w przejrzystych i czystych strumykach, które niosły lodowato chłodną wodę z topniejących w górskim powietrzu śniegów.

Zatrzymaliśmy się pośród leśnej polany na grzbiecie góry, żeby popatrzeć, jak bóg słońca Helios podnosi złotą głowę nad wschodnim widnokrzem.

Była to święta ziemia, na której urodził się ojciec wszystkich bogów Kronos, a po nim jego synowie i córki. Czułem ich obecność i zapach w łagodnym powietrzu i w leśnej glebie. Wrażenie tak bliskiego kontaktu z nieśmiertelnymi było wręcz niesamowite. Pomyślałem, że być może powodem mojej podwyższonej wrażliwości jest to, że łączą mnie z nimi więzy krwi, o czym poinformowała mnie Inana. Ale potem skarciłem się surowo w duchu, przypominając sobie, że Inana jest jedynie istotą z moich snów i że padłem ofiarą bezpodstawnego złudzenia. Drażniło mnie, że jej obraz powraca do mnie tak uparcie.

Postanowiłem stanowczo, że usunę Inanę z mojej świadomości, ale podejmując tę decyzję, usłyszałem echo jej wyrozumiałego śmiechu. Czy była postacią ze snu, czy

prawdziwą boginią, miałem świadomość, że jest blisko, i moje śmiałe postanowienie się załamało.

Skierowałem konia w dół stromego zbocza, w kierunku portu w Krimadzie, który usadowił się u stóp południowego skalnego wybrzeża Krety. Do południa brakowało jeszcze dwóch godzin. Mieliśmy doskonały czas.

Z przyjemnością stwierdziłem, że nawet z dwudziestu mil dostrzegam gołe maszty moich sumeryjskich okrętów ściśniętych w porcie. Gdy obróciłem się w siodle i spojrzałem na drogę, którą przebyliśmy, zobaczyłem wulkan, gdzie został uwięziony bóg Kronos. Dominował nad morskim horyzontem północnym. Z jego dwóch szczytów unosił się spokojny strumyk dymu o kremowym zabarwieniu. Uśmiechnąłem się. Bóg był w miłym nastroju.

Waaga skorzystał z tej krótkiej przerwy w naszej podróży, żeby zsiąść z konia i przycupnąć za najbliższym drzewem. Już samo to zachowanie wskazywało, że zanim został niewolnikiem, musiał być osobą wychowaną i o dobrych manierach. Tylko mężczyźni i kobiety z najniższych i najbardziej prostackich warstw sikają tam, gdzie akurat stoją.

Nagle Waaga poderwał się na nogi, nie obciążony nawet dołu chitonu, który opadł mu na kolana. Wydając nieokreślone chrząkania i pomruki, zaczął wskazywać ziemię w pobliżu miejsca, w którym się schował. Był tak poruszony, że zsiadłem z konia i pospieszyłem do niego, żeby zbadać powód jego zaniepokojenia.

Miękka ziemia u podstawy drzewa była tak skotłowana i poorana, że dopiero po dłuższej chwili zauważyłem odcisnięte w błocie wielkie ślady rozszczepionych racic. Były wiele razy większe niż ślady pozostawiane przez mleczone krowy w moim majątku na brzegach Nilu.

Uklęknąłem, żeby zmierzyć prawą dłońią jeden z tych śladów, przykładając do niego maksymalnie rozczapierzone palce. Jednak moja dłoń okazała się za mała. Aby objąć w całości odcisk jednej racicy, musiałem rozczapierzyć nad nim palce obu dłoni.

– Na złośliwego Seta Złośliwca, co za potworna bestia zostawiła te ślady? – rzuciłem, dzieląc się z Waagą moim zdumieniem.

Zupełnie nie mogłem zrozumieć jego odpowiedzi. Powtarzał coraz głośniejszy ten sam dźwięk, kuląc się i trzęsąc w przypływie strachu. Po czym odwrócił się, podbiegł do swojego konia i wdrapał się na siodło. Dawał znaki, żebym też wsiadał, a jednocześnie rozglądał się trwożnie po otaczającym nas lesie. Udzieliło mi się jego zaniepokojenie, więc również wskoczyłem na grzbiet konia i ruszyłem do przodu.

Próbowałem znaleźć sensowne wyjaśnienie, skąd mogły się wziąć te gigantyczne odciski. Miałem wrażenie, że ich rozmiary to coś raczej ze świata fantazji niż rzeczywistości, dopóki nie przypomniałem sobie potężnych czaszek i rogów, które widziałem wśród myśliwskich trofeów króla Nemroda w Babilonie. Jednak dalekie góry Zagros położone na północny wschód od Eufratu, w których on je zdobywał, oddalone były o pół świata od tej maleńkiej, gęsto zaludnionej wyspy.

Wydawało się nieprawdopodobne, żeby w tych pięknych lasach mogły się uchować i żyć nadal dzikie tury czy żubry, chyba że były pod ochroną za sprawą dekretu Najwyższego Minosa. Być może uznał te monstrualne bestie za zwierzynę królewską i za heraldyczny symbol minojskiego ludu, a także za stworzenia poświęcone bogu Kronosowi. Srebrna maska Minosa przydawała tej koncepcji pewnej wiarygodności. Wątpiłem jednak, czy mądrze by było próbować dyskusji na ten temat nawet z Toranem. Ostrzegł mnie przecież, żebym nie wnikał zbyt głęboko w sprawy minojskiego władcy.

Rozejrzałem się za Waagą. Ciągle był mocno poruszony. Pocił się i drżały mu wargi. Kręcił się w siodle na wszystkie strony, rzucając niespokojne spojrzenia w zarośla po obu stronach ścieżki. Zaczynał mnie irytować. Jeśli nawet w tych górach żyły ciągle dzikie tury, jego zachowanie nie znajdowało żadnego usprawiedliwienia.

Niezależnie od swych wielkich rozmiarów, tury są w zasadzie krowami, a krowy to spokojne zwierzęta. Już miałem przywołać Waagę ostro do porządku, gdy nagle krzyknął. Z jego okaleczonego gardła i ust wyszedł tak niespodziewany dźwięk, że się wzdrygnąłem i oniemiałem.

Jego koń wpadł na mojego tak gwałtownie, że gdybym błyskawicznie nie zareagował, spadłbym z siodła. Poprawiłem się na siedzeniu i warknąłem na niego. Ale zdjęty strachem Waaga mamrotał coś, wskazując zarośla nad ścieżką, którą jechaliśmy.

– Uspokój się, głupku! – krzyknąłem do niego, ale w tej samej chwili zaniemówiłem na widok ciemnej, masywnej sylwetki w gąszczu nad nami. Na pierwszy rzut oka wydało mi się, że jest to fragment wystającej skały. Ale potem ten kształt się poruszył i jego kontury ukazały mi się z pełną ostrością.

To rzeczywiście było żywe zwierzę.

Mój koń miał szesnaście piędzi w kłębie, ale mimo to musiałem odchylić się do tyłu w siodle, żeby spojrzeć tej bestii w oczy. Były ogromne. Wpatrywały się we mnie mrocznym spojrzeniem, które zdawało się wychodzić z piekielnych czeluści. Zwierz nastawił do przodu swoje ogromne uszy w kształcie dzwonu, nasłuchując krzyków Waagi. Miał grzbiet garbaty jak u wielbłąda, a rogi rozstawione na szerokość moich rozłożonych rąk. Były grube i ostro zakończone, niczym kły słonia, którego widziałem w pałacu faraona w Tebach.

Nie była to spokojna, przeżuwająca trawę krowa. Skwitowałem moje oszołomienie krzykiem, który był równie głośny, jak wrzaski Waagi.

Bestia opuściła łeb, nastawiając morderczo zaostrzone rogi, a jednocześnie przednimi kopytami zadrapała ziemię, wyrzucając grudy miękkiego leśnego łu na swój grzbiet. A potem rzuciła się w dół z boczna jak lawina, przedzierając się przez krzaki. Jej oczy ciągle utkwione były we mnie.

Znalazłem się w potrzasku na wąskiej ścieżce, bez drogi ucieczki ani miejsca na zawrócenie czy inny manewr. Nie

miałem nawet tyle czasu, żeby wyciągnąć miecz lub założyć cięciwę na łuk.

Koń Waagi przestraszył się i go poniósł. Skoczył wraz ze swoim jeźdźcem do przodu i przeciął drogę nacierającemu turowi. Ale nawet w obliczu śmierci ten drobny chłopak zdobył się na akt niewiarygodnej odwagi. Jego zwinięta w kłębek wełniana chlamida przywiązana była do łęku siodła. Zerwał ją jednym szarpnięciem, rozwinął, a potem narzucił na łeb byka. Nigdy się nie dowiem, czy zrobił to świadomie i celowo, ale płaszcz zaczepił się o opuszczone rogi i owinął wokół łba byka, całkowicie go oślepiając.

Chociaż tur przestał widzieć konia i jeźdźca, to jednak instynktownie machnął łbem, żeby ich zahaczyć swoją potężną bronią. Zauważyłem, że jeden z jego rogów zagłębia się w pierś Waagi, poniżej prawej pachy, i przebija go na wylot. Przedarł się przez jego klatkę piersiową i wyszedł po drugiej stronie.

Tur potrząsnął łbem i ciało Waagi wyleciało wysoko w powietrze. Wciąż oślepiony, natarł znowu i tym razem zahaczył konia, obalając go.

Dzikie zwierzę było kompletnie zdezorientowane. Zagłębiło się w zaroślach, uderzając o pnie drzew i próbując zrzucić płaszcz, który ciągle owijał mu łeb i rogi.

Waaga dał mi cenną chwilę, abym zdążył wysunąć stopy z wyciętych z drewna strzemion i zeskoczyć z siodła na ziemię. Miałem już w ręku łuk i w mgnieniu oka nałożyłem cięciwę.

Kołczan pozostał przy siodle, do którego był przywiązany, ale zawsze noszę dwie luźne strzały wciśnięte za pas właśnie na takie okazje jak ta. Nałożyłem jedną z nich i naciągnąłem cięciwę, spinając się na moment w olbrzymim wysiłku, jakiego wymagało naciągnięcie wygiętego drzewca jesionowego łuku.

Tur musiał mnie usłyszeć albo wyczuć węchem. Zawrócił wielkim cielskiem w moim kierunku. Nadal kołysał łbem z boku na bok, próbując być może zorientować się, gdzie jestem, lub zrzucić chlamidę, która była ciągle zaplątana w jego rogi. Oczekałem, aż dzięki tym ruchom odsłoni prawą łopatkę

i przód tułowia. Dopiero wtedy zwolniłem strzałę. Odległość była wystarczająca, żeby strzała mogła rozwinąć olbrzymią prędkość i nabrać wielkiej siły. Zagłębiła się kompletnie w piersi tura, zostawiając tylko ślad w postaci małej zewnętrznej rany, z której trysnęła strumieniem jasna krew z serca.

Moja druga strzała trafiła o palec wyżej, ale pod tym samym kątem. Tur zachwiał się i przysiadł na zadzie, a potem zawrócił i rzucił się na ślepo w zarośla. Przysłuchiwałem się, jak przedziera się po stromym zboczu góry. Chwilę później upadł i zaczął się zsuwać. Usłyszałem, jak jego cielsko wali się z ciężkim łoskotem na ziemię. Przez chwilę rzucał się jeszcze w zaroślach, konwulsyjnie wierzgając zadnimi nogami. W końcu dobył z siebie posępny śmiertelny ryk, który odbił się echem od skał.

Pozbierałem się błyskawicznie i uspokoilem roztrzęsione ręce. Potem podszedłem najpierw do miejsca, w którym leżał Waaga. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, że został rozpruty jak świeżo złowiony tuńczyk. Z ziejącej rany tryskała krew, ale gdy klęknąłem koło niego, zobaczyłem, że jej struga zaczynała już zasychać. Źrenice jego nieruchomych, szeroko otwartych oczu zwrócone były w górę, otworzył też usta. W żaden sposób nie mogłem mu już pomóc.

Obok niego leżał jego koń. Biedne zwierzę miało przeszyte gardło. Z dziurawej tchawicy wydostawało się z bulgotaniem powietrze z jego płuc. Zobaczyłem też, że na dodatek ma złamaną przednią prawą nogę, przez skórę wystawał poszarpany kikut goleni. Stałem nad nim i wyciągnąłem miecz. Uderzyłem między uszami, otwierając czaszkę aż do mózgu. Uśmierciłem go na miejscu.

Do siodła nieżywego konia przywiązana była ciągle linka, na której Waaga prowadził zapasowe konie. Podprowadziłem je do najbliższego drzewa i uwiązałem do pnia. Potem rozejrzałem się za moim koniem i zapasowymi wierzchowcami, które sam prowadziłem. Nie odeszły daleko, zobaczyłem, że skubią trawę na najbliższej leśnej polanie. Przyprowadziłem je do miejsca,

w którym zostawiłem pozostałe, i uwiązałem do tego samego drzewa.

Kiedy wszystkie były zabezpieczone, ześlizgnąłem się i spuściłem po zboczu do miejsca, w którym leżał tur. Obszedłem potężne cielsko, jeszcze raz dziwiąc się jego rozmiarom. Teraz rozumiałem, dlaczego Waagę ogarnęło takie przerażenie. Było to jedno z najdzikszych zwierząt, jakie mogłem sobie wyobrazić. Zaatakowało nas bez najmniejszej prowokacji z naszej strony.

Dopiero teraz pojąłem też w pełni, dlaczego król Nemrod chwalił się, że zabił setkę tych zwierząt, a także powody, dla których Minojczycy obrali je na heraldyczny symbol swojego narodu.

Uklęknąłem z szacunkiem obok martwego cielska, pełen respektu dla tak groźnego przeciwnika i świadom tego, że otarłem się o śmierć. Odwinąłem zakrwawioną chlamidę Waagi z rogów, złożyłem ją i wcisnąłem pod pachę. Podniosłem się i oddałem martwemu bykowi salut zaciśniętą pięścią, a potem się odwróciłem. Był to przeciwnik godzien moich strzał.

Wdrapałem się z powrotem do miejsca, w którym leżało ciało dzielnego Waagi, otarłem mu krew z twarzy i owinąłem go w chlamidę. Potem przewiesiłem go przez ramię, wspiąłem się do rozwidlenia pnia jednego z leśnych drzew i zostawiłem tam ciało Waagi. Umieściłem je dostatecznie wysoko nad ziemią, żeby zwierzęta żywiące się padliną trzymały się z dala od niego do czasu, aż będę mógł urządzić mu należyty pochówek.

Usiadłem obok niego na gałęzi i zmówiłem krótką modlitwę, powierzając go opiece jego osobistego boga, kimkolwiek mógł on być. A potem zsunąłem się na ziemię.

W chwili gdy dotknąłem stopami ziemi, drgnęła ona pod mną tak gwałtownie, że omal nie straciłem równowagi. Chwyciłem się pnia, żeby się nie przewrócić. Również drzewo trzęsło się dziko, a jego gałęzie miotają się i kołysały. Kiedy spojrzałem w górę, na twarz opadł mi deszcz liści i gałązek. Przyszło mi do głowy, że z powodu tych zakłóceń ciało Waagi może spaść, mimo że zaklinowałem je mocno.

Cały las wokół kołysał się gwałtownie. Tańczyła sama góra. Moich uszu doszedł huczący grzmot. Obejrzałem się na szczyt Idy właśnie w chwili, gdy oderwał się od niego i stoczył w dolinę wielki blok granitu.

Konie były przerażone. Kręciły i trzęsły łbami, szarpiąc krępujące je powrozy i starając się uwolnić. Podszedłem do nich, stawiając chwiejne kroki na kołyszącej się ziemi. Przemówiłem łagodnym tonem, żeby je uspokoić. Mam szczególny sposób na konie, podobnie zresztą jak na większość ptaków i zwierząt. Udało mi się je uciszyć i nakłonić do położenia się płasko na ziemi, dzięki czemu nie groziło im już, że zerwą się, uciekną w popłochu i poprzewracają, narażając się na jakieś zranienia.

Obejrzałem się znowu ku północy, żeby rzucić okiem na port w Knossos i dalej, nad otwartym morzem, na dwa wulkaniczne szczyty Góry Kronosa.

Bóg był wściekły. Walczył, starając się uwolnić z łańcuchów, w jakie zakuł go syn Zeus. Nawet z tak dużej odległości słyhać było jego ogłuszające ryki. Z otworów jego górskiego lochu

buchały dym, para i ogień, zasnuwając północny horyzont. Zauważyłem, że wyrzuca w niebo skały dorównujące wielkością miejskim budynkom.

Poczułem się jak bezbronny karzełek w obliczu wściekłości wywołującej tak katastrofalne skutki. Zasłonięte było nawet oblicze Heliosa, boga Słońca. Na cały nasz świat spadła czarna rozpacz. Ze strachu trzęsła się ziemia, a powietrze wypełnił zapach siarki.

Usiadłem koło koni i ukryłem twarz w dłoniach. Nawet ja zacząłem się bać. Ale był to strach pełen żarliwej pobożności. Nie ma na tej ziemi miejsca, w którym można znaleźć schronienie przed gniewem bogów.

Zabiłem potwornie wielką, rogatą bestię, która była alter ego boga. Z pewnością z powodu tej świętokradczej obrazę Kronos obrócił swój gniew przeciwko mnie.

Bóg gniewał się przez godzinę, potem przez jeszcze jedną, aż wreszcie, gdy słońce stanęło w zenicie, przestał się złościć równie nagle, jak zaczął. Nasycone siarką chmury odpłynęły, góra uspokoiła się i na świat wrócił spokój.

Podniosłem konie, wskoczyłem na siodło i poprowadziłem luzaki w dół zbocza, szukając drogi wśród rozrzuconych gałęzi, drobnych odłamków skalnych i luźnej ziemi, które bóg strącił z góry.

Trzy dni wcześniej wysłałem do Zarasa wiadomość, żeby oczekiwał mojej wizyty. Na długo przed dotarciem do portu w Krimadzie zobaczyłem, że wyjechał mi na spotkanie i wraz z Hayem podąża kłusem w górę dróżki. Obaj rozpoznali mnie z daleka i pobudzili swoje konie do galopu, wydając okrzyki ulgi. Dojechawszy do mnie, wstrzymali konie i zeskoczyli na ziemię. Niemal ściągnęli mnie z siodła i jeden po drugim zaczęli obejmować. Przysięgam na moją miłość do Horusa i Hathor, że kiedy Zaras uwolnił mnie wreszcie ze swego miazdzącego uścisku, naprawdę uronił z oka łzę.

– Byliśmy pewni, że w końcu uwolniliśmy się od ciebie – powiedział. – Ale jak widać, nawet sam Kronos nie był w stanie wykonać dla nas tej roboty. – Oczywiście moje oczy były suche, ale cieszyłem się, że nie ma tu żadnego innego świadka tego ckliwego powitania.

– Czy minojskie okręty wojenne dotarły już do portu w Krimadzie? – spytałem, próbując zawrócić rozmowę na rozsądne tory.

– Nie, panie mój. – Zaras zdołał usunąć uśmiech ze swojej twarzy. Wskazał ręką morski widnokrąg. – Jak sam widzisz, morze wpadło we wściekłość z powodu trzęsienia ziemi. One

prawie na pewno zostały zepchnięte z kursu. Sądzę, że mogą się spóźnić kilka dni.

– A jak poradziła sobie ze sztormem nasza flotylla? – Gdy ruszyliśmy w dół zbrocza, dopilnowałem, żeby tematem rozmowy były wyłącznie sprawy morskie. Udałem, że nie widzę znaków, jakie Hay dawał ręką Zarasowi, i równie ukradkowych sygnałów tego drugiego, że odmawia spełnienia próśb kolegi. Gdy jednak ujrzeliśmy przed sobą port w Krimadzie, Hay nie mógł powstrzymać się już dłużej, i kręcąc się z zakłopotaniem, wygadał, co mu leży na sercu:

– Zastanawialiśmy się, czy wiesz nam jakieś wiadomości, panie mój.

– Wiadomości? – spytałem, marszcząc brwi. – Od kogo oczekujesz wiadomości?

– Być może z pałacu... – Nie miał odwagi dokończyć zdania.

– Oczekiwaliście wiadomości od Najwyższego Minosa? – spytałem, udając, że nie rozumiem, o co mu chodzi. Ale ich błagalne spojrzenia były tak przejmujące, że wbrew wszelkiemu rozsądkowi powiedziałem:

– Żadnych wiadomości, ale prawdopodobnie słyszeliście już, że księżniczki Tehuti i Bekatha zostały zaślubione minojskiemu monarsze i bezpiecznie ukryte w królewskim haremie. Obaj wykonaliście swój obowiązek i zasługujecie na wysokie pochwały. Przy najbliższej okazji poinformuję o tym faraona. Wiem, że będzie wam wdzięczny. – Przerwałem, żeby wziąć oddech. – Jestem pewien, że zastanawiacie się, dlaczego przyjechałem bez żadnej eskorty. Zdarzył się wypadek, w którym mój sługa został zabity przez dzikie zwierzę. Chcę, żebyście przy pierwszej sposobności wysłali na górę ludzi od pochówku, którzy zabiorą jego szczątki i zapewnią mu przyzwoity pogrzeb.

Mówiłem nadal, wydając różne polecenia, żeby nie mieli żadnej szansy na dalsze pytania w sprawie księżniczek. Nie chciałem przyznać się przed nimi, że ani razu nie kontaktowałem się z dziewczętami i że nie mam pojęcia, jak im się wiedzie.

Gdy dotarliśmy do portu, byłem zdziwiony odkryciem, że nawet po tej stronie wyspy, która była osłonięta przed wulkanicznymi wstrząsami Góry Kronosa, morze burzy się tak gwałtownie, że w całym porcie fale przelewają się przez falochrony i podnoszą na wysokość pokładu. Na szczęście Zaras i Hay sięgnęli po wszelkie możliwe środki zabezpieczające, żeby uchronić okręty. Uwiązali je do nabrzeża na podwójnych, najgrubszych cumach, jakie mógł im dostarczyć komendant portu, oraz obwiesili je grubymi odbijaczami z plecionych lin, żeby uchronić je od zderzania się ze sobą czy walenia o ściany nabrzeża.

Na wszystkich okrętach pozostawili tylko straż kotwiczną. Reszta załóg schroniła się w pustym magazynie na brzegu, który oddał im do dyspozycji gościnny komendant portu. Miał na imię Poimen i był typowym, melancholijnym i pesymistycznie nastawionym Minojczykiem.

Tego pierwszego wieczoru zaprosił mnie i moich oficerów do siebie na kolację. Zaskoczył nas swoją gościnnością. Dopiero później odkryłem, że jest nie tylko komendantem portu, ale również pułkownikiem minojskiej tajnej policji, i że sporządzał raporty na temat każdego z członków mojej egipskiej ekipy na użytek przełożonych w Knossos.

Przygotowane w jego kuchni jedzenie było przesolone i przegotowane, a wino cienkie i kwaśne. Nudna rozmowa toczyła się na ogólne tematy i koncentrowała na trzęsieniu ziemi i wywołanym przez nie sztormie. Gorąco pragnąłem wprowadzić jakąś odmianę, dlatego zadałem pytanie, kierując je do całego towarzystwa:

– Co jest powodem tych trzęsień ziemi i wulkanicznych erupcji?

Nikt nie miał wątpliwości, że są karą zsyłaną na ludzi za jakieś przestępstwo lub za obrazę bogów.

– Jakie przestępstwo mogłoby się okazać na tyle poważne, żeby sprowadzić tak uciążliwą karę? – spytałem naiwnie i miałem spory kłopot z zachowaniem poważnej miny, gdy

słuchałem ich różnorodnych i absurdalnych odpowiedzi, które zawierały całą listę ludzkich słabości i arogancji w odnoszeniu się do spraw boskich.

Po chwili byłem nimi znudzony, więc zapytałem:

– A w jaki sposób możemy odpokutować nasze przewinienia wobec bogów?

Wszyscy zwrócili głowy w stronę komendanta portu, głównego przedstawiciela Najwyższego Minosa wśród obecnych. Zrobił uczoną minę i przybrał ton godny arcykapłana.

– Nie do nas należy odgadywanie woli bogów. Tylko Najwyższy Minos, niech jego imię będzie błogosławione na wieki, może mieć taką wiedzę. Jednak możemy znaleźć pewną pociechę w tym, że Jego Wysokość wysondował już powody boskiego gniewu i zadba o pełne zadośćuczynienie. – Nachylił głowę, żeby posłuchać odgłosów sztormu dochodzących zza ścian magazynu. – Posłuchajcie tylko! Sztorm cichnie. Gniew bogów został już zaspokojony. Jutro o tej porze morze będzie spokojne, a góry ucichną.

– W jaki sposób Najwyższemu Minosowi udaje się tak łatwo udobruchać bogów? – ciągnąłem temat, nie ustępując.

– W jedyny, w jaki można ugłaskać każdego boga – odparł komendant, wzruszając ramionami z wyrazem wyższości na twarzy. – Oczywiście poprzez ofiarę!

Gdyby nie ostrzeżenie Torana, mógłbym wkroczyć na niebezpieczny teren natury Najwyższego Minosa, ale ugryzłem się w język. Komendant portu odwrócił się ode mnie i wszczął przyjemną rozmowę ze swymi pomocnikami o tym, w jakim stopniu wzburzone morze może wpłynąć na połowy ryb.

W mojej głowie zagnieździła się niezbyt miła myśl, że zabicie przeze mnie tura i boski gniew Kronosa wystąpiły zbyt blisko siebie, żeby mógł to być zwykły zbieg okoliczności.

Zastanawiałem się, jakiej ofiary zażądał Kronos od Najwyższego Minosa.

O świcie następnego ranka fale nie rozbijały się już nad murami osłaniającymi port w Krimadzie, toteż Zaras i Hay mogli kontynuować przygotowania do naszej morskiej kampanii przeciwko Hyksosom.

Cztery dni później do Krimadu dotarło sześć trzyczęściowców, które przydzielił mi wiceadmirał Herakal. Sztorm zagnał je daleko na wschód, niemal aż do Cypru. Pozostały im resztki słodkiej wody w kilku ostatnich beczkach, a wioślarze byli niemal zupełnie wyczerpani.

Pozwoliłem wypocząć kretańskim załogom całe trzy dni i dopilnowałem, żeby zostały dobrze zaopatrzone w jedzenie, oliwę i wino znośnej jakości. Dobrze na to zareagowały. Gdy okres wypoczynku dobiegł końca, zacząłem połączone ćwiczenia obu flotylli.

Głównym problemem, na jaki się natknęliśmy, był język, ale wybrnąłem z tego, umieszczając na pokładzie każdego okrętu co najmniej dwóch tłumaczy, ujednoliciłem też sygnały flagowe, żeby Minojczycy mogli je rozumieć tak samo jak Egipcjanie.

W obu flotyllach znajdowali się dobrze wyszkoleni i doświadczeni marynarze, toteż po tygodniu wykonywały one skomplikowane manewry, żeglowanie w szyku i formowanie szyku bojowego. Minojczycy prędko nauczyli się wyładowywać na ląd rydwany i piechotę w strefie fal przybrzeżnych oraz ładować z powrotem ludzi, konie i pojazdy po przeprowadzeniu ataku.

Gdy nabrali już większej biegłości, między Egipcjanami i Kreteńczykami zaczęło kwitnąć zaufanie i koleżeństwo. Pod moją komendą zaczynali się stapiać w niedużą, ale groźną siłę bojową. Byłem pewien, że bardzo prędko będę mógł wysłać ich przeciwko Hyksosom. Oczywiście moją główną troską było podjęcie decyzji, w jakich miejscach mogą dokonać największych zniszczeń.

Dobry wywiad zapewnia zwycięstwo w bitwie na długo przed wystrzeleniem pierwszej strzały czy dobytciem pierwszego miecza z pochwy.

Któregoś dnia przed wejściem do portu w Krimadzie zjawiała się niespodziewanie mała i zaniedbana handlowa *dawa*. Miała podarty i zaplamiony żagiel, a jej kadłub pokryty był niczym zebra pręgami od ekskrementów, które załoga wylewała przez nadburcie. Ośmiu żeglujących nią obszarpanych ludzi wylewało rozpaczliwie wodę, żeby utrzymać ją na powierzchni. Wyglądali raczej na jakichś pariasów niż na ludzi morza. Ich stateczek nie miał żadnej flagi i zanurzony był głęboko, gotów zatonać w każdej chwili. Nie wyglądało na to, żeby jakiś godny tego miana pirat rzucił na niego okiem po raz drugi, i prawdopodobnie tylko dlatego dotarł do kresu podróży, która rozpoczęła się nie wiadomo gdzie.

Ale ja nie jestem aż tak naiwny i arogancki, jak przeciętny korsarz. Jednostka znajdowała się w zbyt przerażającym stanie, żeby mogła być niewinna. Wyczuwałem idący od niej z wiatrem zapach starego lisa. Kazałem Zarasowi spuścić na wodę pięć naszych barkasów, zapełnić je ludźmi uzbrojonymi w lśniącą broń i natychmiast do niej podpłynąć.

Gdy tylko nasze gotowe do ataku łodzie wyszły z wejścia do portu, dziwna łódź opuściła żagiel i podniosła egipską flagę. Zaras przyholował ją do portu i uwiązał do nabrzeża, żeby odsunąć groźbę zatopienia.

Domniemany kapitan wdrapał się na nabrzeże i zażądał rozmowy z panem Taitą. Pokazałem mu się z wykrzywioną teatralnie twarzą i kazałem wymierzyć mu dwadzieścia batów,

żeby zapamiętał, kto na tym terenie ma prawo wysuwania żądań. Nieszczęśnik padł na kolana, przycisnął czoło do kamiennego nabrzeża i dał mi znak rozpoznawczy palcem lewej dłoni. Aton i ja używaliśmy tego znaku dawno temu, w latach gdy obaj byliśmy jeszcze niewolnikami.

Odwołałem polecenie chłosty i zaciągnąłem go bezceremonialnie do mojej kajuty na pokładzie *Zniewagi*, mojego okrętu flagowego. Gdy tylko do niej dotarliśmy, odesłałem gwardzistów i kazałem moim służącym przynieść więźniowi gorącej wody, żeby się mógł umyć, oraz świeży chiton, żeby zastąpił jego cuchnące łąchmany.

– Jak masz na imię, przyjacielu? – spytałem go, gdy mój kucharz postawił przed nami potrawę z mięczaków i płatów tuńczyka. Odszpuntowałem też amforę etruskiego wina.

– Przyjaciół jest równie dobrym imieniem, jak każde inne – odparł, szczerząc zęby w uśmiechu. – Dużo lepszym niż to, które wybrała dla mnie moja matka.

– W takim razie, jak się miewa nasz wspólny znajomy? – zapytałem.

– To Wielki Człowiek – odparł. – Przesyła ci pozdrowienia i dary. – Podeszedł do stosu swoich odrzuconych łąchmanów i zaczął w nich grzebać, aż w końcu znalazł zwój papirusu, zaszyty w rąbku jednego z nich. Podał mi go. Rozwijając zwój, wskazałem mu jedzenie. Podeszedł do stołu i ochoczo zabrał się do pałaszowania.

Rzuciłem okiem na papirus i stwierdziłem od razu, że jest to aktualny „Rozkaz bojowy” dla floty Hyksosów. Dodatkowo Aton wymienił cele na terenie Deltę Nilu, które jego zdaniem były najbardziej godne tego, żebym wziął je pod uwagę.

Nawet nie próbowałem zgadnąć, skąd Aton mógł zdobyć tego rodzaju dokument. Zwinąłem go z powrotem. Zasługiwał na moją troskliwą uwagę, chociaż prawdopodobnie był spóźniony o kilka tygodni.

– Wspomniałeś, przyjacielu, że przywiozłeś mi prezenty?

– Przywiozłem ci czterdzieści osiem gołębi pocztowych. Znajdują się w klatkach na moim statku. – Wydawało się, że jest z siebie zadowolony.

Rozwinąłem list Atona i przyjrzałem mu się ponownie.

– Wielki Człowiek pisze, że posyła mi sto gołębi – powiedziałem łagodnym tonem. – Co się stało z pozostałymi pięćdziesięcioma dwoma ptakami?

– Nie mieliśmy co jeść.

– Zjedliście moje ptaki? – Byłem przerażony jego tupetem. Ale on wzruszył ramionami i uśmiechnął się bezwstydnie, szczerząc zęby. Zawołałem głośno Zarasa. – Natychmiast udaj się na łódź tego hultaja – powiedziałem mu, gdy stanął w drzwiach kajuty. – Na jej pokładzie znajdziesz czterdzieści osiem gołębi. Przynies mi je niezwłocznie, zanim znikną w tajemniczych okolicznościach.

Nie pytając o nic, Zaras pospieszył, żeby wykonać moje polecenie.

Gość nalał sobie następny kielich cennego wina i uniósł go w moją stronę.

– Dobre wino. Masz doskonały gust, panie. Nasz wielki przyjaciel prosi, żebyś posłał mu w darze coś podobnego do jego prezentu, żebyście mogli komunikować się bardziej regularnie. – Poświęciłem tylko chwilę na rozważenie tej sugestii. Wiedziałem, że pan Toran ma w Knossos duży gołębnik.

– Jak twoim zdaniem mam mu przesłać moje ptaki, żeby po drodze nie pożarły ich szakale i hieny?

Nawet nie mrugnął okiem na moją rozmyślną zniewagę.

– Dostarczę mu je osobiście. To znaczy, zrobię to, panie, jeśli któryś z twoich ładnych okręcików przewiezie mnie przez morze i wysadzi na ląd w niezamieszkałym miejscu Deltę Nilu.

– Mam lepszy pomysł, przyjacielu – odparłem. Mój gość pytająco przechylił głowę. – Do Krimadu zawinęła właśnie kartagińska handlowa *dawa*. Wczoraj wieczorem jej kapitan był u mnie na kolacji. Za cztery dni zamierza wypłynąć z powrotem do Kartaginy, zawijając po drodze do hyksoskiego portu Rosetta w Delcie. Jak wiesz, sułtan Kartaginy i król Hyksosów Gorrab

zachowują neutralność. Mogę uzgodnić z kapitanem, że zawiezie cię do Rosetty. Zabierzesz ze sobą sto gołębi, które zostały wyhodowane w Knossos, i gdy tylko się je wypuści, niezwłocznie wrócą do swojego gołębnika. W ten sposób Wielki Człowiek w bardzo krótkim czasie będzie mógł nawiązać ze mną bezpośredni kontakt.

– Jestem pewien, że będzie tym zachwycony. Będziecie nawet mogli skorzystać z okazji i rozegrać kilka partii bao za pośrednictwem gołębiej poczty. – Uznałem ten żart za przejaw niesubordynacji gościa, a jego znajomość moich spraw osobistych nawet mnie zaniepokoiła. Nigdy nie czuję się całkiem swobodnie w towarzystwie tych tajnych agentów. Wszyscy oni to fałszywa i nieszczerza banda. Jak można ufać człowiekowi, który gotów jest zjeść czyjeś gołębie?

Oczekując, aż Toran przyśle mi z Knossos gołębie, kazałem zaholować na głęboką wodę zaniedbaną łódź, którą nasz Przyjaciel przypłynął z Egiptu, i zatopić ją tam, zanim przyciągnie uwagę któregoś z hyksoskich szpiegów, których moim zdaniem nie brakowało na Krecie. Siedmiu członków jej załogi posłałem na ławy wioślarskie *Zniewagi*.

Cztery dni później, gdy kartagiński statek handlowy wypływał w kierunku Rosetty, Przyjaciel był na jego pokładzie z setką zdrowych i dobrze odżywionych gołębi z gołębnika Torana.

Nim jeszcze kartagiński statek zniknął za południowym horyzontem, wypuściłem jednego z gołębi Atona, żeby zaniósł mu wiadomość, w której podziękowałem mu za jego prezent i poinformowałem, że Przyjaciel wiezie do Rosetty prezent ode mnie. Zakończyłem list, wpisując mój pierwszy ruch kamieniem bao, w którym uwolniłem Czapłę z zachodniej wieży. Posunięcie to wprawiało zawsze Atona w zakłopotanie.

Fakt, że uznałem niezręczną uwagę Przyjaciela za obraźliwą, nie oznaczał, że powinienem odrzucić jego nader rozsądną sugestię, żebym skorzystał z rzadkiej sposobności i odnowił moją rywalizację z Atonem.

Następnego ranka słońce wyłaniało się właśnie zza horyzontu na wschodzie, gdy pożegnałem się z Zarasem i Hayem i wyruszyłem konno w kierunku góry Idy, zmierzając do Knossos szlakiem łańcucha stacji z rozstawnymi końmi, który urządził na moje polecenie Hay. Wykonał porządną robotę.

Jego ludzie opatrzyli szlak brązowymi tabliczkami, na których wypisali odległości, a potem umocowali je gwoździami do drzew. Dzięki temu nigdy nie miałem najmniejszych wątpliwości, gdzie się znajduję, i ani razu nie zszedłem poniżej kłusa. Zbliżając się do kolejnej stacji, dawałem sygnał rogiem, żeby uprzedzić stajennych. Gdy docierałem na miejsce, czekał już na mnie następny osiodłany koń. Robiłem tylko krótką przerwę, żeby wypić kilka łyków wina wymieszanego z wodą. Niezwłocznie wskakiwałem na siodło i ruszałem dalej, pogryzając po drodze kiełbasę z cebulą, którą wciskał mi do ręki któryś ze stajennych.

Pociągnąłem za cugle koło kopca świeżej ziemi znaczącego grób niewolnika, który oddał dla mnie życie.

– Śpij w pokoju, dobry Waago. Jestem pewien, że niebawem się spotkamy. Będę mógł wyrazić ci wtedy w pełni moją wdzięczność. – Zasalutowałem, unosząc zaciśniętą dłoń, a potem pobudziłem obcasami wałacha pode mną i ruszyłem w dół zbocza góry, w kierunku portu w Knossos.

Wjeżdżając na dziedziniec stajenny mojej rezydencji, rzuciłem okiem na popołudniowe słońce, żeby ocenić, o ile

zmienił się kąt padania jego promieni od czasu, gdy wyruszałem z Krimadu.

– Przemierzyłem wyspę w niecałe sześć godzin! – mruknąłem do siebie z zadowoleniem. Pomimo wyczerpującej jazdy ruszyłem prosto do biblioteki, żeby zająć się stosem czekających na mnie papirusowych zwojów. Większość z nich pochodziła od pana Torana.

Wysłałem jednego z niewolników do miasta, żeby zaniósł moje odpowiedzi do domu Torana w pobliżu pałacu, a potem zjadłem samotnie kolację i udałem się do sypialni.

Tej nocy znowu śniła mi się Inana. Stała na tarasie przed moim pokojem, a jej kaptur i płaszcz spowijała księżycowa poświata. Nie mogłem tym razem dojrzeć jej twarzy ukrytej pod kapturem. Próbowałem podnieść się z posłania i podejść do niej, ale moje kończyny były jak z ołowiu i odmówiły mi posłuszeństwa. Chciałem też odezwać się do niej, ale głos mi zamierał, nim jeszcze wyszedł z moich ust. Jednak to, że nie mogę nawiązać z nią kontaktu, wcale mnie nie zaniepokoiło. Prawdę mówiąc, czułem, że owiewa mnie jej dobroć, a jej boska potęga osłania mnie niczym tarcza. Z ufnością pograżyłem się znowu we śnie.

Zbudziłem się przed świtem i wyskoczyłem z pościeli cudownie odświeżony i pełen życia. Nie byłem przygotowany na tego rodzaju dobre samopoczucie, gdy nagle przypomniałem sobie sen. W tym momencie moją radość przytłumił leciutki żal, że senne widziadło nie było rzeczywistością.

Wyszedłem nagi na taras i wypełniłem płuca powietrzem, które zostało oczyszczone w liczącej tysiąc mil drodze nad oceanem.

Popatrzyłem na Górę Kronosa i stwierdziłem, że bóg jest znowu w przyjaznym nastroju. Uśmiechnąłem się, gdy wyrzucił obłoczek ciemnego dymu. Być może dostrzegł mnie na tarasie i życzył mi przyjemnego dnia lub może zjadł na kolację coś, co przyprawiło go o lekkie wzdęcie. To, że potrafię wybaczyć sobie

takie dziecinne głupstewka, było znakiem, że jestem w dobrym humorze.

Jednak była to ekstrawagancja, na którą nie powinienem sobie pozwalać. W ciągu najbliższych dziesięciu dni planowałem rozpoczęcie pierwszego najazdu na pozycje Hyksosów na północnym brzegu Delty, toteż liczyła się każda godzina.

Odwrociłem się energicznie w stronę drzwi do mojego pokoju i potraściłem stopą coś miękkiego. Spojrzałem w dół, żeby zobaczyć, co to jest. A potem pochyliłem się, podniosłem i przyjrzałem się temu, najpierw z nikłym zainteresowaniem, a potem z coraz bardziej rosnącym zdumieniem.

Był to kwiat, a dokładnie lilia. Nigdy nie widziałem podobnej do niej, a jestem zapalonym ogrodnikiem. Dorównywała wielkością dużemu kielichowi do wina. Miała płatki w kolorze świeżo stopionego złota przechodzącym na dnie kielicha w płomienny cynober. Pręciki były białe niczym rzeźbiona kość słoniowa, a ich czubki niebieskie jak szafiry.

Kwiat był wspaniały i ścięty tak niedawno, że z łodyżki jeszcze kapały krople przezroczystego soku. Obróciłem go delikatnie w palcach i poczułem łagodny zapach. Był mi znany tak dobrze, że włosy na głowie stanęły mi dęba.

Był to zapach bogini Inany, zapach bogini kwiatów Isztar, której symbolem jest lilia.

– To nie był sen – szepnąłem. – Ona tu była.

Uniosłem lilię do ust i pocałowałem ją. Poczułem, że więdnie w moich dłoniach, a płatki skręcają się i kruszą. Jej żywe kolory zaczęły płowieć i przybierać odcień zmatowiałego brązu, podobny do plam od słońca na rękach bardzo starego człowieka. A potem płatki pokruszyły się i zamieniły w drobny pył, który przesypał się między moimi palcami i poszybował na płytki posadzki tarasu. Rozwiała go lekka poranna bryza.

Wydawało się, że duch bogini opuścił lilię i został wchłonięty przez moje ciało, żeby mnie wesprzeć i ufortyfikować przeciwko zagrożeniom, o których nadejściu nie miałem pojęcia.

Wykąpałem się w gorącej wodzie, którą przynieśli mi w skórzanych wiadrach na taras niewolnicy. Następnie włożyłem niebieski wełniany chiton i wszedłem do biblioteki.

Drzwi były zamknięte, choć zostawiłem je otwarte, gdy poprzedniego wieczoru przechodziłem nimi do mojego pokoju.

Otworzyłem je spokojnym pchnięciem i zdębiałem w przyplýwie nabożnej trwogi na widok kobiecej postaci w płaszczu z kapturem, która stała tyłem do mnie przy oknie po drugiej stronie pokoju.

– Inana! – szepnąłem. Odwróciła się szybko i podeszła do mnie, a potem klękła i pocałowała mnie w rękę, zanim zdążyłem odzyskać głos.

– Taito, panie mój! Tak miło widzieć cię znowu. Brakowało mi ciebie. Wszystkie tęskniłyśmy za tobą – powiedziała i odrzuciła kaptur na plecy.

– Loxias! – wykrzyknąłem. – Wziąłem cię za kogoś innego. Jak mnie znalazłaś?

– Zapytałam mojego przyjaciela Torana. Powiedział mi, gdzie jesteś, panie.

Podniosłem ją z kolan i poprowadziłem do kanapy. Kiedy usiadła, potrząsnąłem mosiężnym dzwonkiem stojącym na biurku i z kuchni nadbiegło schodami trzech niewolników.

– Przynieście coś do jedzenia i do picia – poleciłem im.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie i zabraliśmy się do pałaszowania dużego talerza gotowanych jaj, suszonych ryb,

wieprzowych kiełbasek i czerstwego chleba, który niewolnicy postawili między nami.

– Czy wizyta u mnie niczym ci nie grozi? Myślałem, że jesteś uwięziona w królewskim haremie razem z Tehuti i Bekathą.

– Och, nie! – odparła, potrząsając lokami. – Strażniczki traktują mnie jak nisko urodzoną niewolnicę. Pozwalają mi wchodzić i wychodzić bez skrępowania.

– Widzę, Loxias, że żywot niewolnicy dobrze ci służy. Wyładniałaś od czasu, kiedy widziałem cię po raz ostatni.

– Taito, jesteś nieznośnym starym pochlebcą – powiedziała z nieśmiałym wdziękiem.

– Opowiedz mi o dziewczętach. Czy są równie beztrioskie jak ty?

– Obie twierdzą, że umierają z nudów. Tęsknią za choćby jedną twoją opowiastką, która by je rozweseliła.

– Czyżby nowy małżonek ich nie zabawiał? – spytałem taktownie.

– Masz na myśli Najwyższego Minosa, Starucha z Blaszaną Głową? – Loxias wybuchnęła śmiechem. – Tak właśnie go nazywamy, ale przypuszczam, że odrąbałby nam głowy, gdyby nas podsłuchał. Żadna z naszych nowych przyjaciółek z harem nie widziała go od dnia zaślubin, a niektóre z nich są tam od dwudziestu i więcej lat. Z pewnością nikt nie widział go nigdy bez tej bańki na głowie.

– Nie rozumiem – zaprotestowałem. – Czyżby żadna z jego żon nie zaznała cielesnego kontaktu z królem? Czy to masz na myśli?

Loxias wystarczająco długo przyjaźniła się z panem Toranem, żeby zrozumieć sens tego wyrażenia, i zapłonila się, skromnie spuszczaając oczy.

– Od czasu do czasu Minos poleca strażniczkom, żeby przyprowadziły mu jedną z żon. Ale gdy opuszczą one harem, już do niego nie wracają.

– Co się z nimi dzieje? – spytałem zaintrygowany.

– Strażniczki mówią, że zostają podniesione do rangi ulubienic bogów i wstępują do głównej świątyni w górach.

Zacząłem wypytywać Loxias o szczegóły, ale prędko wyszło na jaw, że wie niewiele więcej niż to, co już mi powiedziała, i że nie interesowała się specjalnie tym, gdzie ta główna świątynia w górach się znajduje. Próbowwała zmienić temat rozmowy, starając się dowiedzieć, gdzie przebywają i jak się czują Zaras i Hay. Domyślałem się, że chce zdobyć te informacje na życzenie królewskich pań.

Kilka razy musiałem wracać do sprawy licznych małżonek Najwyższego Minosa.

– Ile jego żon stało się ulubienicami bogów od czasu, jak zamieszkałaś wraz z księżniczkami w haremie? – spytałem nalegającym tonem.

– Czterdzieści – odparła bez wahania.

Zdziwiła mnie zarówno ta liczba, jak i pewność siebie, z jaką Loxias ją wymieniła.

– A więc jest to w przybliżeniu jedna dziennie od chwili, gdy ty i księżniczki znalazłyście się w haremie?

– Nie, nie, panie mój. Cała czterdziestka opuściła harem jednocześnie. Wyszły tańcząc i śpiewając, z kwiatami we włosach.

– Najwyższy Minos musiał być mocno zajęty tej nocy. – Nie mogłem się powstrzymać od wygłoszenia tego żartu. Loxias z wysiłkiem starała się zachować skromną minę, ale w jej oczach pojawiły się wesołe iskierki. Zadałem następne pytanie: – I żadna z tych czterdziestu kobiet nie wróciła do haremu, jesteś tego pewna?

– Z całą pewnością. Wiemy o wszystkim, co dzieje się w naszej części pałacu.

Zamyśliłem się nad jej odpowiedziami. Miałem nieprzyjemne uczucie, że brakuje mi czegoś o wielkim znaczeniu.

– Czterdzieści żon wyszło jednocześnie i żadna nie wróciła... – zamyśliłem się głośno.

– Już ci to powiedziałam, Taito – zauważyła z cierpliwą miną Loxias. – Tehuti chciałaby wiedzieć, gdzie przebywa obecnie Zaras. Czy jest w Krimadzie, czy też wypłynął swoimi statkami,

żeby patrolować morze? Chciałaby przesłać mu prezent. Czy zechciałbyś przekazać go Zarasowi? – Nie odpowiedziałem na jej pytanie. Stanowczo nie miałem ochoty wplątywać się w tę intrygę.

– Kiedy te żony opuściły harem? – spytałem po chwili namysłu.

– W południe w dniu, w którym zatrzęsała się ziemia – odparła niecierpliwym tonem Loxias. – Czyżbym ci już tego nie powiedziała?

Wlepiłem w nią oczy, podczas gdy moje myśli gnały jak szalone, żeby dotrzymać kroku zakrętom i zwrotom naszej rozmowy.

– Chcesz mi powiedzieć, że Blaszana Głowa przeleciała czterdziestkę dziewcząt w samym środku trzęsienia ziemi? – zapytałem.

– Tak przypuszczam – zachichotała Loxias. – A jeśli tak było, to z przyjemnością bym się temu przyjrzała – dodała i wstała. – Muszę już iść, inaczej strażniczki nie wpuszczą mnie z powrotem do pałacu. Czy mam przekazać dziewczętom jakąś wiadomość od ciebie, panie mój?

– Powiedz im, że kocham je bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

– A co ze mną? – spytała z mocno nadąsaną miną.

– Nie bądź taka zachłanna, Loxias. Masz już starszego pana, który cię kocha.

– Nie jest taki znowu stary – zaprotestowała Loxias. – Jest całkiem młody i bardzo bogaty. Chce się ze mną ożenić. Jeszcze trochę, a sam zobaczysz, panie.

Po jej odejściu usiadłem samotnie na tarasie, zastanawiając się nad wszystkim, co mi powiedziała. Dostrzegalem w tym bardzo niewiele sensu i zaczął ogarniać mnie niepokój. Czułem, że nadchodzi katastrofa.

Chciałem pospieszyć z powrotem do Krimadu, żeby z Zarasem i Hayem pogrążyć się w wojennych przygotowaniach, które, byłem tego pewien, oderwą mnie od tych myśli. Ale przedtem

musiałem zajrzeć do gołębnika Torana. Wrócił jeden z gołębi, które zabrał nasz Przyjaciół, żeby je zawieźć Atonowi do Teb.

Odbywałem konferencję z wiceadmirałem Herakalem i jego sztabem, gdy zza zamkniętych na zasuwę drzwi pokoju dowództwa dobiegły odgłosy zamieszania.

– Co tam się dzieje? – ryknął Herakal głosem, który odbił się echem w przepastnych pomieszczeniach admiralicji. – Mówiłem, żeby nie przeszkadzać!

Dowódca straży otworzył błyszczące drzwi z cedrowego drewna i wszedł, kłaniając się i przepraszając.

– Pan Toran z Tajnej Rady przysłał posłańca z listem. Mówi, że chodzi o sprawę najwyższej wagi i list musi niezwłocznie zostać oddany do rąk pana Taity, Egipcjanina.

Herakal rzucił mi naganne, ponure spojrzenie i uniósł ręce w geście udawanej desperacji.

– No to wpuść tego szelmę! Niech wejdą tu wszyscy! Róbcie tak dalej i lekceważcie moje rozkazy, kiedy tylko najdzie was na to ochota.

Podniosłem się szybko, żeby wziąć w obronę nieszczęśnika, który z zalęknioną miną cofał się przed gniewem Herakala.

– Panie admirale, biorę na siebie całą odpowiedzialność. Czekam na depezę z Egiptu z informacjami najwyższej wagi.

– Proszę spokojnie się tym zająć, zaczekamy wszyscy, panie Taito. – Burcząc pod nosem, Herakal podniósł się i podszedł do okna, żeby popatrzeć przez zatokę na Górę Kronosa. Wyrwałem list z drżącej ręki dowódcy straży.

Był to ściślo skręcony zwitek żółtego jedwabiu, nie większy niż ostatni człon małego palca mojej dłoni, leciutki jak piórko. Rozwinąłem go i stwierdziłem, że jest długi jak moja ręka i gęsto pokryty zakodowanymi symbolami, które wraz z Atonem obmyśliliśmy do naszej korespondencji. Stanowiły one wielki postęp w stosunku do jakiegokolwiek innego pisanego języka, zarówno z uwagi na zwięzłość, jak i na dokładność znaczenia treści przekazywanych przez autora.

Prędko przeczytałem list i spojrzałem na admirała, zanim zdążył obmyślić i wypowiedzieć kolejne żale.

– Panie admirale, mam cudowne wieści. Nastręczyła się nam sposobność zadania naszemu wspólnemu wrogowi ciosu w serce. Król Hyksosów Gorrab zgromadził konne siły w liczbie przeszło tysiąca rydwanów na równinie Szur przy zachodnim brzegu Delty Nilu.

– Znam ten teren! – wykrzyknął Herakal, odwracając się od okna, a potem dodał łagodniejszym tonem: – Rozciąga się wzdłuż brzegu Morza Śródziemnego między miastami Zin i Dhuaara.

– Tak, zgadza się! – potwierdziłem. – W ciągu ostatniego roku mój faraon i pan Kratas koncentrowali ofensywę na zachodnim brzegu Nilu. Posuwając się na północ, dotarli do jeziora Moeris, które położone jest tylko osiem mil na południe od Zinu. – Rozłożyłem na stole żółty jedwabny prostokąt i Herakal wraz z oficerami sztabu otoczyli go kołem. Aton napisał swój list na jednej stronie, a na odwrocie narysował szczegółową mapę północnego Egiptu, która ukazywała rozłożenie armii, zarówno hyksoskiej, jak i egipskiej.

– Moje źródła informują, że Gorrab planuje duży manewr oskrzydlaający, chce zejść na południe wzdłuż wschodniej granicy Egiptu, żeby uderzyć na nasze rozciągnięte linie tutaj, w Quam. – Dotknąłem jedwabnej mapy. – Jest to chytry plan, ale miejsce koncentracji sił w Zinie jest zupełnie niezabezpieczone przed atakiem od strony morza. Wydaje się, że Gorrab ciągle nie wie o naszej połączonej flocie, która obecnie czeka w Krimadzie na taką właśnie okazję.

– Mówisz, panie, że Gorrab ma tysiąc rydwanów? – zapytał Herakal. – Oznacza to, że prawdopodobnie ma tam przeszło trzy tysiące wojowników walczących na wozach bojowych. Będzie miał nad tobą znaczną przewagę liczebną. Jeśli Gorrab przeniknie twoje plany, zostaniesz unicestwiony.

Postukałem palcem w kawałek żółtego jedwabiu, żeby odeprzeć jego obiekcje.

– Tak, rzeczywiście, Gorrab zebrał w Zinie tysiąc wozów bojowych, ale mam informację, że nie wyznaczył jeszcze wojowników, którzy mają je obsadzić, ze swoich głównych sił stojących naprzeciwko wojsk faraona i pana Kratasa nad jeziorem Moeris. W tej chwili rydwanów pilnuje niecałe pięć setek ludzi. – Odczytałem te liczby z listu Atona na jedwabiu. – Pięciuset ludzi i dwa razy tyle koni.

Herakal w zamyśleniu pogłaskał się po wąsach.

– To jest w przybliżeniu oddział równy twoim siłom.

– Moja flotylla jest gotowa do wyjścia na morze. Możemy znaleźć się koło Zinu za sześć dni, zanim Gorrab zdąży przerzucić resztę swoich ludzi. Mogę wyładować moje rydwany na brzeg na ich tyłach i zaatakować ich, zanim dowiedzą się o naszym lądowaniu. Wykorzystamy zaskoczenie, które warte jest tyle, co tysiąc kompletnie obsadzonych wozów bojowych.

– Powiem wprost, panie Taito, że nie podoba mi się ten plan. Wszystko wydaje się zbyt czyste i zależne od przypadku. Pachnie mi to pułapką. Ale z woli Najwyższego Minosa jesteś niezależnym dowódcą, mój panie. Nie musisz mieć mojej zgody na to lekkomyślne posunięcie.

– W takim razie nie mamy już o czym rozmawiać, panie admirale. Chyba podziękuję za pańskie rady i życzenia i się pożegnaj.

Pokonałem samotnie górską drogę, ostro popędzając konie. Dotarłem do Krimadu na godzinę przed zachodem słońca i zastałem zarówno Zarasa, jak i Haya w stajniach. Zdziwili się na mój widok, ale ich zaskoczenie ustąpiło niesamowitej radości, kiedy powiedziałem im, co zamyślałem zrobić.

– Ładuj konie na okręty, dopóki jest jeszcze widno – powiedziałem Hayowi. – A ty, Zarasie, weź tylu ludzi, ilu będziesz potrzebował, i dopilnuj, żeby przed wypłynięciem rydwany na okrętach były mocno uwiązane.

Obaj ruszyli spiesznie, żeby wykonać moje polecenia, wykrzykując rozkazy do swoich ludzi.

Poszedłem do gołębnika służącego za nowy dom gołębiom Atona, które przeżyły niebezpieczną podróż z Egiptu. Wybrałem dwa najlepiej opierzone i najsilniejsze ptaki, po czym przywiązałem identyczne listy do ich nóżek. Pocałowałem je kolejno w czubek łepków i rzuciłem w powietrze. Okrążyły cztery razy port, żeby uchwycić swoje położenie, a potem odleciały w kierunku południowo-wschodnim i znikły w zapadającym mroku. Nocny lot był dla nich najbezpieczniejszy. Sokoły i jastrzębie nie polują, gdy jest ciemno. Zdublowałem moją wiadomość do Atona, żeby mieć podwójną pewność, że do niego dotrze.

Poprosiłem go, żeby za sześć dni na brzegu koło Zinu czekali na nas przewodnicy. Mieli się ujawnić po naszym desancie i poprowadzić do miejsca, w którym król Gorrab zgromadził swoje rydwany.

Godzinę przed północą moja flotylla sześciu galer wojennych wyszła z portu. Gdy tylko wypłynęliśmy na pełne morze, skierowaliśmy się na południe, płynąc jedna za drugą w stronę Egiptu i zatoki Zin.

W mroku poprzedzającym przedświt rozminęliśmy się z flotyllą dwunastu galer wojennych, które prowadził książę Ludów Morza Nakati, płynąc własną *Gołębicą*. Spieszył on do Krimadu, żeby ostrzec mnie przed zdradliwą pułapką, ku której żeglowaliśmy.

Dotarł do portu w Krimadzie kilka godzin po wschodzie słońca i nie zastał tam ani mnie, ani moich okrętów. Zostawiłem jednak w porcie pięciu moich ludzi, którzy z powodu ran i chorób nie mogli pożeglować ze mną. Chorzy ci towarzyszyli mi w żegludze z sumeryjskiego Sydonu, kiedy zdobyłem *Gołębicę*

i przykułem Nakatiego do wiosłarskiej ławy. Byli też obecni przy tym, jak uwolniłem go z łańcuchów i przywróciłem na stanowisko dowódcy jego okrętu. Wiedzieli więc, że Nakati jest jednym z nas, i bez wahania powiedzieli mu, dokąd oraz w jakim celu wypłynąłem.

Nakati zatrzymał się w Krimadzie tylko na czas niezbędny, aby uzupełnić zapas wody i zaopatrzyć się w żywność z moich magazynów. Niecałe trzy godziny po wschodzie słońca wypłynął ze swoją flotyllą znowu na morze, żeby podjąć pogoń za nami. Miałem jednak nad nim przewagę ośmiu godzin.

Oczywiście w tej sytuacji nie było sposobu, bym mógł się dowiedzieć, że Nakati ściga mnie z maksymalną prędkością. Przeciwnie, nie miałem od niego wiadomości od czasu, gdy przywróciłem mu wolność na słowo. Teraz byłem nawet skłonny żałować tamtej pospiesznej decyzji. Zaczynałem podejrzewać, że mnie oszukał i wrócił do roli księcia Ludów Morza. Przypuszczałem, że nigdy więcej go nie zobaczę, może jedynie w jakimś starciu, po drugiej stronie nagiej klingi miecza.

Dopiero dużo później, długo po opisywanych tu wypadkach, dowiedziałem się, że Nakati dotrzymał naszych uzgodnień. Cały ten czas poświęcił na rekrutowanie załóg okrętów spośród piratów i korsarzy, którzy tworzyli plemię Ludzi Morza.

Spoglądając wstecz, myślę, że powinienem był zachować się mądrzej, ale ja zawsze uważałem Ludy Morza za niesforną hałastrę, której brakuje organizacji i struktur nowoczesnej floty. Przeoczyłem fakt, że wielu pirackich książąt było wyszkolonymi i zręcznymi morskimi wojownikami, którzy tylko pod naciskiem okoliczności stali się renegatami. Okazało się, że mają oni do dyspozycji rozbudowaną i dobrze zorganizowaną sieć wywiadowczą, która z pewnością jest bardziej skuteczna niż wywiad, którym zawiadywał mój stary przyjaciel pan Aton. Nakati miał podwójnych agentów rozmieszczonych wśród ludzi Atona, ale miał też swoich szpiegów w sztabie Hyksosów w Memfis. Nie wątpię, że wniknął nawet do mojej własnej sieci informatorów. Dzięki tym źródłom doskonale znał treść listów,

jakie wymieniałem z Atonem. Wiedział, że planuję wypad na skupisko hyksoskich rydwanów w Zinie, ale wiedział też, że Hyksosi są świadomi moich zamiarów. Nakati nie miał jednak gołębi, dzięki którym mógłby przysłać mi ostrzeżenie o tym, co się dzieje. Przyłynął osobiście, żeby uratować mnie przed katastrofą, ale zjawił się za późno.

Piątego dnia po opuszczeniu Krimadu, w półmroku, na godzinę przed wschodem słońca, *Zniewaga* znalazła się w zasięgu widoczności afrykańskiego brzegu. Żeglowałem celowo kursem odchylonym nieco ku zachodowi. Nie ma na świecie nawigatora, który po pięciu dniach żeglugi bez punktu odniesienia mógłby dopłynąć precyzyjnie do takiego celu jak zatoka Zin. Uznałem, że lądowanie po wschodniej stronie zatoki mogłoby okazać się niebezpieczne. Wybrzeże położone bliżej delty Nilu było gęsto zaludnione. Zostalibyśmy dostrzeżeni w chwili pojawienia się na horyzoncie. A jeśli nie mogłem mieć całkowitej pewności, że wpływam prosto do zatoki Zin, lepiej było znaleźć się bardziej na zachód. Zachodni brzeg to już właściwa pustynia Sahara, zamieszkała przez rzadko rozsianą, nieliczną ludność wędrownych Beduinów.

Co ważniejsze, byłem absolutnie pewny, że jestem na dobrym kursie, gdy tylko spostrzegłem ląd. Bez wahania wydałem mojej flotyli rozkazy, żeby poszczególne okręty skrzyły po kolei w lewo i płynęły rzędem, mając pustynię w pobliżu po prawej burcie. Przez trzy godziny płynęliśmy równolegle do brzegu i dopiero wtedy stało się jasne, że nieco przedobrzyłem, popełniając ten rozmyślny błąd. W tym momencie mocno mnie to zmartwiło, ale pomyłka wyszła nam na dobre. Dała Nakatiemu dość czasu, aby zmniejszyć odstęp między nami.

W końcu wyszliśmy na wysokość wejścia do zatoki Zin, którą rozpoznałem po wysuniętych w morze cyplach, osłaniających jej

wewnętrzne wody od północy. Dałem moim okrętom rozkaz, żeby kolejno zmieniały kurs, i wpłynęliśmy w wejście do zatoki.

Hyksosi już na nas czekali. Natarli wielką liczbą, gdy tylko minęliśmy cyple zatoki. Musieli zgromadzić tu wszystko, co mogło utrzymać się na wodzie, ze stu mil wybrzeża i z delty Nilu. Nie sposób ich było nawet policzyć. Atakowali naszą flotyllę na jednostkach różnej wielkości, od małych łodzi aż po masywną, pojedynczą trierę. Ich najbliższe statki blokowały drogę tym, które były za nimi, większe jednostki zasłaniały mniejsze. Ale na podstawie pospiesznej oceny doszedłem do wniosku, że naprzeciw naszym sześciu galerom wypływa co najmniej dwadzieścia pięć hyksoskich statków.

Na pokładach wszystkich wrogich jednostek tłoczyli się uzbrojeni ludzie. W promieniach wstającego słońca lśniły ich hełmy, napierśniki, miecze i tarcze. Po wodzie niosły się wyraźnie bitewne okrzyki i wyzwania, gdy płynęli nam na spotkanie.

O tej wczesnej porze od otwartego morza przez wejście do zatoki wiała prosto w rufy naszych galer, ale w twarz Hyksosom, świeża poranna bryza. Uniemożliwiała mi odwrócenie kursu i podjęcie próby ucieczki tą samą drogą, którą przybyłem.

Jednak okręty Hyksosów płynęły pod wiatr, halsując tak ostro, jak na to pozwalały ich kadłuby. Wlokły się do przodu, niemal nie utrzymując sterowności. Sześć naszych galer mknęło do przodu z wiatrem wypełniającym nasze żagle, podnosząc białą pianę pod dziobami. Po wykonaniu tuzina pociągnięć wiosłami osiągnęliśmy pełną szybkość taranowania.

Zauważyłem, że pokłady wrogich okrętów są tak zatłoczone ludźmi, że ich łucznicy mają ograniczone ruchy, naciskani przez ciała i tarcze innych. Zaras, Hay, Akemi, Dilbar i inni moi dowódcy w pełni wykorzystali fakt, że ludzie z naszych jednostek mieli więcej wolnej przestrzeni. Nim jeszcze wpadliśmy w pułapkę po przepłynięciu między dwoma cyplami, nasi łucznicy byli przygotowani na każdą ewentualność. Ich łuki miały założone cięciwy, a strzały leżały na drzewcach. Gdy tylko

odległość między nieprzyjacielem a naszymi czołowymi okrętami zmalała do zasięgu strzał, Zaras dał rozkaz ich wypuszczenia. Naszym sprzymierzeńcem był wiatr wiejący od rufy, który zapewnił nam przewagę przeszło stu kroków. Każdy z naszych łuczników był w stanie wypuścić dziesięć strzał, zanim Hyksosi mogli wystrzelić swoje wystarczająco wysoko, żeby nas dosięgły.

Na ich pokłady spadł deszcz strzał, siejąc wielkie spustoszenie. Krzykom rannych towarzyszyły odgłosy uderzających grotów.

Wroga triera była niemal o połowę większa niż którakolwiek z galer w mojej flotyli, ale przy przeciwnym wietrze jej duże wymiary były raczej wadą niż zaletą. Zauważyłem, że schodzi z kursu pod naporem wiatru od dziobu. Jej wielki taran z brązu na dziobie nie był już groźnie wycelowany w naszą stronę. Zbacząc, odsłoniła rozchylenie burty na dziobie i śródokręciu, gdzie jej poszycie i trzy rzędy ław długich wiosel były najbardziej wrażliwe na atak.

– Taranować ją, ona skręca! – rzuciłem do Zarasa, który popędził wykonać mój rozkaz. Nasi bębniści podnieśli tempo uderzeń do prędkości ataku. Ludzie na naszych ławach wiosłarskich byli wypoczęci i pełni zapału. Pociągnęli tak, że gałki oczne zaczęły im wychodzić z oczodołów. Pod naciskiem wiatru i pociągnięć wiosel *Zniewaga* skoczyła z impetem do przodu. Poinstruowałem Zarasa, żeby robił stałe poprawki na sterze, tak by brązowy czub naszego tarana był stale wycelowany w najbardziej wrażliwe miejsce kadłuba triery.

Odrzuciliśmy na bok mniejsze łodzie i barkasy Hyksosów, które znalazły się między nami a trierą.

– Wiosła na pokład! – ryknął w ostatniej chwili przed uderzeniem Zaras. Nasi wiosłarze jednocześnie unieśli i złożyli wiosła. Brązowy taran *Zniewagi* w kształcie opatrzonej dziobem głowy orła wbił się z głośnym hukiem w kadłub triery i przewrócił ją na burtę. Krzyki znajdujących się na niej ludzi stopiły się z trzaskiem ustępujących listew i łamiących się wiosel. Jej oba maszty zwały się na pokład. Przewracając się,

przechyliła się tak, że już nie mogła się podnieść. Przez otwory na wiosła woda zaczęła lać się do środka. Niewolnicy przykuci do ław potopili się niemal natychmiast, a wojownicy stłoczeni na górnym pokładzie zostali zmieceni do morza, nim jeszcze kadłub zaczął się w nim pogrążyć.

Siła uderzenia zwała z nóg zarówno Zarasa, jak i mnie. Obaj padliśmy na pokład *Zniewagi*, która zatrzymała się gwałtownie. Gdy podnosiliśmy się na nogi, mniejsze jednostki Hyksosów zdążyły otoczyć nas gromadnie i zaczepić haki abordażowe o nasze burty. Ich uzbrojeni wojownicy wdrapywali się już wściekle na pokład naszej galery, wyjąc niczym stado wilków nad trupem jelenia. Wdzierali się przez okrężnice obu burt, machając bojowymi toporami i zadając pchnięcia mieczami. Zostaliśmy otoczeni.

Razem z Zarasem i innymi oficerami pokładowymi stanęliśmy w kole, opierając się o siebie plecami i zwracając twarzami na zewnątrz. Wszyscy byliśmy doświadczonymi szermierzami, którzy walczyli razem przy licznych okazjach. Przewyższaliśmy atakujących Hyksosów, którzy wymachiwali bezładnie bronią i wykonywali niezdarne ruchy. Ale równie szybko, jak ich wycinaliśmy, przez burty *Zniewagi* na ich miejsce wdrapywało się mrowie innych.

Pokład pod moimi stopami zrobił się śliski od krwi, ręce zmoczyły mi się posoką po same łokcie, a hyksoscy barbarzyńcy wciąż nacierali i umierali. Walczący na prawo ode mnie Zaras wydawał się niezmordowany, ale ja czułem, że błyskawicznie opadam z sił. Ręce zaczęły mi ciążyć, a stopy tracić swoją ruchliwość i zwinność.

Zabiłem następnego wroga i strąciwszy go z czubka mojego miecza, rzuciłem okiem nad burtą okrętu, stwierdzając, że wszystkie nasze galery zostały otoczone przez wrogie jednostki i ciężko walczą o przeżycie. Chwilę później zobaczyłem z przerażeniem, że od strony morza wpływa do zatoki następny tuzin wrogich okrętów. Wielkie wojenne galery wypełnione były wrzeszczącymi ludźmi, którzy gorliwie pociągali za wiosła.

Zdawałem sobie sprawę, że jesteśmy o krok od klęski z powodu czystej przewagi liczebnej wroga i nie utrzymamy się już zbyt długo. Zastanawiałem się przez chwilę, co zrobić, żeby wyłączyć się z walki i uciec na otwarte morze. Prędko jednak zdałem sobie sprawę, że ta myśl to nie tylko ostatnia deska ratunku dla upadającego ducha, ale również rozpaczliwe fantazjowanie. Nie było ucieczki z tej krwawej kąpieli. Walczyliśmy, a świeże fale nieprzyjaciół wdzierały się na nasze pokłady. W końcu zacząłem słaniać się na nogach z wyczerpania. Zaras podstawił swoją tarczę pod moją, żeby mnie podeprzeć, ale teraz nawet uniesienie miecza wymagało olbrzymiego wysiłku. Moja twarz i ręce spływały krwią ludzi, których zabiłem.

W tym momencie pojawiła się przede mną kolejna brodata gęba wroga. Rąbnąłem w nią tępą stroną klingi miecza. Jego ostra krawędź była już stępiona i poszczerbiona, a czub się odłamał. Ale cios był tak niezręczny i słaby, że mój nowy przeciwnik odbił go na bok pogardliwym ruchem nadgarstka.

– Taito! – wrzasnął mi w twarz. Powstrzymałem następne pchnięcie i wlepiłem w niego oczy, kompletnie osłupiały. Jeszcze przez chwilę nie byłem w stanie rozpoznać jego brodatej twarzy, mając wzrok przytępiony pod warstwą rozmazanej czerwonej krwi. Ale w końcu uświadomiłem sobie, że nie jest hyksoskim mordercą. Szlachetne rysy jego twarzy były mi znane.

– Opuść miecz, mój panie. Jestem twoim wasalem. – Teraz rozpoznałem także jego głos.

– Nakati? – spytałem, łapiąc z trudem powietrze. – Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę.

– Bogowie nie zawsze wysłuchują naszych błagań. – Uśmiechnął się szeroko, odpłacając mi moimi własnymi słowami. A potem chwycił mnie za ramię, żeby uchronić mnie od upadku. Odtrąciłem jego rękę. Wraz z przyływem nadziei nabrałem nowych sił.

– Wybrałeś ładny moment, żeby się zjawić, Nakati. Mimo to witam cię z radością. – Wyciągnąłem rękę nad dziobem *Zniewagi*, wskazując niedobitki Hyksosów, którzy zaprzestali już walki.

Uciekali pod osłonę lądu, wyciągając na brzeg swoje łodzie. Porzucali je tam i zmykali między wydmy. – Weź się za tych miłych osobników na chyżych nóżkach. A potem obrócimy naszą uwagę na skład ich rydwanów, jeśli zdołamy je znaleźć, żeby się z nimi rozprawić.

Nakati zareagował śmiechem na moje słowa.

– Nie są ani mili, ani na wystarczająco chyżych nóżkach. Skład hyksoskich wozów bojowych położony jest niecałą milę stąd – zapewnił mnie.

– Jesteś tego pewien? – spytałem.

– Nie mam tak wielu informatorów jak ty, panie, lub jak Aton, ale działają oni co najmniej tak samo skutecznie. Poinformowali mnie o zasadzce, w którą ludzie Gorraba postanowili cię wciągnąć, panie. Popłynąłem do Krimadu, żeby cię ostrzec, ale kiedy tam dotarłem, wyszedłeś już w morze. Dziękuję Horusowi i Izydzie, że zdążyłem tu na czas i zastałem cię jeszcze przy życiu.

– Ja też jestem im za to wdzięczny! – Otarłem pot i krew z twarzy rąbkiem chlamidy i pochyliłem się, żeby podnieść z pokładu porzucony nieprzyjacielski miecz i zastąpić nim moją poobijaną broń. Prostując się, zawołałem do Zarasa: – Przybij do brzegu! Nie pozwól uciec żadnej hyksoskiej bestii!

Dobiliśmy galerami do piaszczystego brzegu. Posłuszny moim rozkazom Nakati poprowadził swoich ludzi w pościg za uciekającymi Hyksosami, podczas gdy Zaras i Hay wyładowywali wozy bojowe i zaprzęgali do nich konie.

Z ukrycia między wydmi wyłonili się beduińscy przewodnicy, których Aton wysłał nam na spotkanie. Wraz z Hayem zajęliśmy miejsce w wozie i w otoczeniu połowy naszych rydwanów ruszyliśmy za przewodnikami na miejsce koncentracji hyksoskich wozów bojowych.

Zaras połączył swoje siły z ludźmi Nakatiego. Ruszyli na pozostałych wozach w pościg za hyksoskimi uciekinierami z bitwy, którzy czmychnęli między wydmy.

Hyksoscy strażnicy w składzie wozów znajdowali się zbyt daleko od zatok, żeby usłyszeć wrzawę i odgłosy bitwy. Gdy wraz

z Hayem dojechaliśmy wozami do zewnętrznego ogrodzenia składu, zawołałem do nich w ich własnym języku, żeby otworzyli bramę. Wzięli nas za wzmocnienie przysłane z głównej armii na południu, więc bez wahania wykonali rozkaz.

Zanim zdążyli się zorientować, że popełnili błąd, nasi ludzie natarli na nich, wytrącili im broń i zmusili, żeby rzucili się na kolana, trzymając ręce za plecami, a potem zaczęli ich wiązać.

Na terenie składu znajdowało się osiemset pięćdziesiąt nowo zbudowanych wozów bojowych, ustawionych bardzo blisko siebie w czterech równych rzędach.

Oczywiście hyksoscy cieśle brali wzór z naszych egipskich pojazdów. Stanowiły one wielkie udoskonalenie w stosunku do tradycyjnych hyksoskich rydwanów. Korpus był wykonany z trzciny i z bambusa, które są dużo lżejsze i bardziej elastyczne niż lita sosna czy cedr. Miały najczęściej koła szprychowe, a nie z litego drewna, dzięki czemu były szybsze i bardziej trwałe.

Pojazdy były świeżo pomalowane i ustawione tak blisko siebie, że stykały się piastami. Pomazaliśmy je szczerze oliwą do lamp, którą przywiozłem specjalnie w tym celu. Kiedy podłożyliśmy pod nie płonące żagwie, płomienie przeskakiwały z jednego wozu na drugi, zamieniając je w popiół w czasie, jakiego potrzebuje spragniony człowiek, żeby wypić kielich dobrego wina. Z radością przyglądałem się pożerającym je płomieniom i cieszyłem się, że nie staną do walki przeciwko mnie, ponieważ byłyby groźnymi przeciwnikami.

Gdy tylko uporaliśmy się z rydwanami, przewodnicy Atona poprowadzili nas do miejsca, w którym Hyksosi trzymali konie. W zadaszonych trzcinowych boksach stało prawie dwa tysiące rumaków.

Jest jedna rzecz, być może jedyna, jaką skłonny jestem przyznać Hyksosom, a mianowicie to, że są świetnymi hodowcami koni. Najwyraźniej zwierzęta, które znaleźliśmy, były troskliwie hodowane i selekcyjonowane, a potem z oddaniem pielęgnowane i szkolone, aż osiągnęły idealny blask. Kocham konie bardziej niż inne gatunki zwierząt, wliczając do nich

większość istot ludzkich. Koniec końców, koniowi można przynajmniej zaufać.

Sprowadziliśmy je na brzeg zatoki, do miejsca, w którym nasze okręty stały na piasku. Nie byłem pewien, jak nimi zadysponować. Dwa tysiące koni to jednak bardzo dużo. Nie mieliśmy dla nich wszystkich miejsca na naszych galerach, nawet przy uwzględnieniu flotyli Nakatiego.

Gdy ze strony jednego z oficerów Nakatiego padła propozycja, żeby raczej zarznąć te wspaniałe stworzenia niż pozwolić, żeby odzyskali je Hyksosi, poczułem, że wszystkie nerwy i ścięgna mojego ciała płoną oburzeniem. Odwróciłem się do Nakatiego.

– Czy wśród tych twoich szubrawców nie ma choćby pięćdziesięciu ludzi, którzy rozumieją i kochają konie? – spytałem.

– Jest ich tyłu, mój panie. – Widział, w jaką popadłem wściekłość.

– Daj mi ich, Nakati. Podzielę między nich to stado. A potem niech każdy z nich stara się samodzielnie poprowadzić te zwierzęta na południe, na terytorium Egiptu. Niech wybiorą różne drogi. Zapłacę premię w wysokości srebrnego debena za każdego konia, jakiego dostarczą do mojej posiadłości w Mechirze. Gdyby któryś z tych ludzi umarł w drodze, zaopiekuję się wdową po nim i jego dziećmi do końca ich życia. Przysięgam, że dotrzymam słowa!

W ciągu niespełna godziny Nakati zebrał ochotników. Pociągnęli losy o udział każdego z nich w stadzie zdobytych zwierząt, a potem pognali je w zapadającym zmierzchu, podzieliwszy się przed wyruszeniem na mniejsze grupki.

Niektórzy postanowili poprowadzić swoje konie przez Saharę i starać się dotrzeć do naszego ukochanego Egiptu, okrążając od zachodu pozycje Hyksosów. Inni woleli przemierzyć deltę Nilu w kierunku wschodnim, przeprawiając się z końmi przez dopływy wielkiej rzeki, żeby dotrzeć do Synaju, a potem skręcić na południe i powędrować do Teb wzdłuż brzegów Morza Czerwonego.

Przyglądając się ich odejściu, zmówiłem szczerą i gorącą modlitwę do Horusa i Inany, błagając ich, żeby roztoczyli opiekę nad moimi końmi w trakcie niebezpiecznej drogi, która je czekała.

Teraz mogłem wreszcie obrócić uwagę na jeńców.

Zliczywszy garnizon składu rydwanów i niedobitki z bitwy w zatoce Zin, stwierdziliśmy, że w naszych rękach znalazło się siedmiuset dziewięćdziesięciu trzech hyksoskich wojowników i marynarzy. Zaras i Nakati kazali jeńcom uklęknąć w długich rzędach na piasku powyżej linii wodnej. Zostali odarci do naga z odzieży, a ich broń została przywiązana za ich plecami. Byli zrezygnowani i markotni, niczym ludzie czekający u stóp szubienicy na wezwanie kata.

– Co zrobimy z tymi nieszczęśnikami? – zapytałem Nakatiego i moich oficerów. Żaden z nich nie okazał wielkiego zainteresowania sprawą. Nasze zniszczone w bitwie okręty wymagały szybkiej naprawy i ponownego spuszczenia na wodę. Te, które nie nadawały się do remontu, zostały podpalone i płonęły na piasku. Bitwa została rozegrana i wygrana. Wszystkim było pilno wejść na pokład i odpłynąć, zanim świeże, złaknione krwi i zemsty hordy Hyksosów nadejdą z wyciem od strony wydm.

– Każ ich zabić – zaproponował bezceremonialnie Hay.

– Ja się zgadzam – przytaknął mu Zaras. – Zabij ich wszystkich – powiedział po hyksosku wystarczająco głośno, żeby najbliżsi jeńcy mogli go usłyszeć i zrozumieć.

– To jest dobra rada – wyraził swoją opinię Nakati. – Jeśli puścimy ich wolno, wrócą nazajutrz, żeby zabijać naszych ludzi i gwałcić nasze kobiety. – Inni zaczęli wyrażać pomrukiwaniem

aprobatę, ale Nakati uniósł rękę, żeby przyciągnąć ich uwagę. – Jednakże, panie mój, Taito, znam cię już wystarczająco dobrze, żeby mieć pewność, że nigdy nie zgodzisz się na nasze bardzo rozsądne sugestie. Nie byłbyś w stanie zabić z zimną krwią człowieka, który ci się poddał.

– Prawdopodobnie przypisujesz mi zbyt wiele rycerskości. – Wzruszyłem ramionami. – Mógłbym sprawić ci niespodziankę – odparłem, ale wiedział oczywiście, że moje protesty są nieszczerze. Wyszczrzył do mnie zęby.

– Pozwól, panie, że coś ci zaproponuję – rzekł. – Chciałbym wskazać ci sposób, który da nam pewność, że te świny nigdy już nie wystrzelą strzały ani nie podniosą miecza przeciwko faraonowi i naszemu kochanemu Egiptowi. A potem, panie mój, będziesz mógł ich wypuścić, jeśli tak nakaże ci twoje sumienie.

– Co proponujesz, żeby osiągnąć ten cel? Załadamy od nich, żeby dali nam słowo, i zaufamy im? – Byłem poirytowany daremnością tej dyskusji. Mnie też się spieszyło, żeby wejść na pokład *Zniewagi* i pozełdować z powrotem na Krete, gdzie przebywały moje księżniczki. Postanowiłem już, że wypuścimy jeńców, gdy tylko będziemy gotowi do wypłynięcia.

– Błagam cię o jeszcze jedną chwilę twojej uwagi – powiedział Nakati, a potem kiwnął w stronę swoich ludzi, którzy pilnowali klęczących jeńców. Przyciągnęli jednego z hyksoskich wojowników, który miał ciągle ręce związane za plecami, i rzucili go twarzą w dół na piasek. Nakati stanął nad nim i wyciągnął miecz. – Unieś w górę duże palce, kolego! – rzucił rozkazującym tonem, i jeniec łatwowiernie spełnił polecenie. Nakati ciachnął dwa razy mieczem i odciął mu kciuki u obu rąk, tuż za drugim stawem. Jeniec krzyknął z bólu i rozpacz, gdy z kikutów trysnęła krew i odcięte części potoczyły się po piasku.

– Założę się, że ten człowiek nigdy więcej nie podniesie miecza ani nie naciągnie łuku przeciwko Egiptowi – powiedział Nakati.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w niego, zszokowani i w osłupieniu, po czym wszyscy moi ludzie zaczęli pokrzykiwać,

śmiejąc się z zadowoleniem. W tym momencie do jeńca podszedł Zaras, zanim zdążyłem go powstrzymać. Odwrócił stopą nagiego i okaleczonego jeńca na plecy. Dobył miecza i wyciągnął go przed siebie, tak że jego koniec znalazł się pod zwisającym penisem mężczyzny.

– A to jest sposób, żeby się upewnić, że nigdy więcej nie zgwałci egipskiej kobiety ani żadnego z naszych nowo narodzonych dzieci. – Pociągnął w górę i odciął narząd równo z kroczem jeńca. Po czym nadział go na czubek miecza i cisnął w fale przyboju, które zwilżały piasek.

– To ofiara dla boga mórz Posejdona, jeśli zechce przyjąć taki obrzydliwy kawałek świńskiego ścierwa.

Stojący wokół mnie ludzie zaczęli wykrzykiwać pochwały, ale ich przekrzyczałem.

– Zarasie, natychmiast skończ z tym brutalnym zachowaniem. Schowaj miecz. Zniżasz się do tego samego poziomu, co pierwsze lepsze hyksoskie bydlę! – Zaras wsunął miecz do pochwy, ale kiedy odwrócił się twarzą do mnie, miał uniesioną głowę, a jego oczy spoglądały tak samo zawzięcie jak moje.

– Taito, panie mój – powiedział prowokującym tonem. – Na naszych okrętach nie ma miejsca, żeby wziąć ich do niewoli. Jeśli uwolnisz te zwierzęta bez szkody, ilu jeszcze twoich ludzi zabiją? Ile jeszcze naszych dzieci i kobiet umrze z ich ręki?

Poczułem, że mój gniew zaczyna powoli ustępować wobec jego żelaznej logiki.

Zdałem sobie sprawę, że na moje sądy wpływa pamięć o ranach, jakie zadał mi niegdyś nóż człowieka, pozbawiając mnie męskości. Byłem niechętny zezwoleniu na takie same brutalne traktowanie innej istoty ludzkiej, bez względu na to, jak zły i potwornej. Wzięłem głęboki oddech, żeby się uspokoić, a potem odparłem tonem, w którym nie było już gniewu:

– Mówisz rozsądnie, Zarasie. Zamierzam spotkać się z tobą w pół drogi. Pozbawimy ich kciuków, ale zostawimy im dzióbki, niech sam Set im je wydziobie. – Celowo użyłem dziecięcego eufemizmu dla penisa. Próbowałem obniżyć napięcie, jakie

wytworzyło się między nami. Hay i inni parsknęli rubasznym śmiechem, a Dilbar sięgnął do krocza Akemiego.

– Czy twój dzióbek nie miałby ochoty, żeby sobie trochę podziobać? Nie widziałeś dojrzałej cipci od czasu, jak wypłynęliśmy z Krimadu. – Wszyscy moi ludzie czuli się chłopcami. Zmusiłem się, żeby wziąć z nich przykład i też się uśmiechnąć. Ale kiedy odwróciłem się znowu do Zarasa, uśmiech znikł z moich ust.

Zaras utkwiał we mnie dzikie spojrzenie. Reszta ludzi stopniowo zamilkła. Ciszę mącił tylko wiatr i pojękiwania zranionego jeńca, który leżał, wijąc się na piasku. Gdy Zaras odezwał się znowu, jego głos był zimny i jasny. Trafiał do każdego z nas, przejmując wszystkich lodowatym chłodem.

– Moje siostry miały siedem i osiem lat, kiedy Hyksosi najechali naszą wioskę. Mój ojciec przebywał w tym czasie w swoim pułku. Hyksosi najpierw zgwałcili mi matkę, a potem obie siostry, pastwiąc się nad nimi na zmianę przez pół dnia. Miałem pięć lat, ale udało mi się uciec i ukryć na polu, skąd mogłem przyglądać się wszystkiemu. Kiedy skończyli już z moją matką i siostrami, wrzucili je w ogień palącej się wioski, gdy były jeszcze żywe i krzyczały. – Zaras wziął długi oddech, a potem zapytał: – Co chcesz, żebym teraz zrobił?

Zabrakło mi słów, żeby mu odpowiedzieć. Pokiwałem ze smutkiem głową i rzekłem:

– Spełnij swój obowiązek wobec faraona i wobec pamięci twojej rodziny.

– Dzięki, panie mój – odparł Zaras. Wyciągnął miecz i podszedł do Nakatiego.

Wybrali we dwójkę trzydziestu swoich najlepszych toporników, żeby przeprowadzili amputacje. Każdy z nich miał czterech pomocników, którzy wyciągali jeńców z rzędu i przytrzymywali ich na piasku. Pierwsze ofiary zacisnęły pięści i odmówiły wystawienia kciuków na cios topora. Ludzie z toporami nie tracili czasu na przekonywanie opornych. Po

prostu odcinali całą dłoń przy nadgarstku. Kolejni jeńcy byli już bardziej ulegli.

Następnie pomocnicy odwrócili ich na plecy, aby w równie bezceremonialny sposób pozbawić ich genitaliów, po czym uwalniano ich z więzów, by mogli pokuśtykać na wydmy, jęcząc i ściskając zranione miejsca w celu powstrzymania upływu krwi.

Zapach krwi przyciągnął mewy. Żarłoczne stada tych czyszcicieli nadlatywały, żeby trzepotać i skrzeczeć nad rosnącymi stertami kciuków i męskich organów. Połykały te smakołyki niemal w takim samym tempie, w jakim topornicy je odcinali.

Wszystko to przyprawiło mnie o mdłości. Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku naszych wyciągniętych na brzeg galer. Starłem się nie słyszeć krzyków i błagań hyksoskich jeńców. Skupiłem się na nadzorowaniu ładowania wozów bojowych i koni, razem z amforami wody i zaopatrzeniem, jakie znaleźliśmy w składzie rydwanów.

Gdy krwawa robota na brzegu dobiegła końca, Nakati przyszedł, żeby się ze mną pożegnać. Zgodnie z naszym układem zamierzał nadal siać zamęt w hyksoskich portach i miastach na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Ale najpierw chciał dostarczyć tyle zdobycznych koni, ile był ich w stanie załadować na swoje statki, do sumeryjskiego portu Al-Arisz. Miał nadzieję, że jego ludzie poprowadzą je przez Synaj do Morza Czerwonego, a potem do Egiptu, żeby mógł odebrać zaofiarowaną przeze mnie nagrodę. Pochwaliłem jego plany. Życzyłem sobie, żeby znalazło się miejsce na większą liczbę koni także na moich, i tak już przeciążonych, okrętach.

Gdy w końcu Zaras wdrapał się na pokład *Zniewagi*, natychmiast podszedł do mnie i uklęknął przede mną na jedno kolano.

– Panie mój, okazałem ci nieposłuszeństwo – wyznał. – Sprzeciwiłem się twoim rozkazom na oczach naszych ludzi. Będiesz całkowicie usprawiedliwiony, jeżeli zdegradujesz mnie do stopnia zwykłego żołnierza i zwolnisz spod swoich rozkazów.

– Postąpiłeś tak, jak uważałeś za słuszne – odparłem. – Żaden człowiek nie może uczynić nic lepszego. Obejmij komendę na okręcie i stawiaj żagle na kursie do Krimadu.

Zaras podniósł się na nogi.

– Dziękuję ci, Taito. Nigdy więcej cię nie zawiodę.

Kiedy znużone słońce zawisło tuż nad zachodnim widnokregiem, wspiąłem się na czubek masztu *Zniewagi*, żeby po raz ostatni zlustrować morze za naszą rufą i zyskać absolutną pewność, że nie ściga nas hyksoska flotylla. Północne wybrzeże Egiptu było tylko cienką niebieską wstążką ciągnącą się nad nieco ciemniejszym morzem. Okręty naszej flotylli płynęły blisko siebie jeden za drugim, z zapalonymi lampami rufowymi, żeby ułatwić nawigatorom utrzymanie dokładnych pozycji w szyku w godzinach mroku.

Sondujący na dziobie marynarz zawołał:

– Lina nie sięga dna!

Byliśmy na głębokiej wodzie, płynąc kursem na Krete. Zajmowałem moją ulubioną pozycję na szczycie masztu. Słyszałem, jak Zaras zwalnia na dole wachtę. Wioślarze złożyli wiosła i skulili się na pokładzie do snu. Wiał świeży wiatr z baksztagu i wszystkie żagle były postawione.

Poczułem się nagle zmęczony do samej głębi ciała i duszy. Walka była wyczerpująca, a starcie z Zarasem jeszcze bardziej. Zacząłem się zastanawiać, czy nie zejść z masztu i nie zaszyć się na wąskim posłaniu w kajucie rufowej, ale bryza od rufy była ciepła i ciągle niosła zapachy mojego ukochanego Egiptu. Kołysały mnie łagodne przechyły głównego masztu. Czulem w całym ciele tępy ból od sińców i przecięć, jakie otrzymałem w bitwie z Hyksosami. Miałem wrażenie, że kajuta jest daleko ode mnie. Upewniłem się, że lina wokół moich bioder jest dobrze

umocowana do masztu, do którego przyciskałem się plecami. Wreszcie zamknąłem oczy i oparłem brodę na piersi.

Kiedy się zbudziłem, księżyc stał już w zenicie i jego odbicie w zwierciadle morza dotrzymywało nam kroku, rzucając na drobne fale smugę lśniącego srebra. W miejsce zapachów Afryki pojawiło się słone szczypanie morza. Słyszeć było tylko szum wody pod kadłubem, regularne skrzypienie masztu oraz szepty wiatru w olinowaniu.

Moje bóle ustąpiły, a wraz z nimi również znużenie. Czułem się znowu raźnie i pełen życia. Wypełniało mnie owo dziwne uniesienie, które nauczyłem się rozpoznawać jako pewny znak, że bogini Inana jest blisko. Rozejrzałem się za nią skwapliwie i nie poczułem się zaskoczony, gdy zobaczyłem, że sunie szlakiem księżycowego światła w kierunku naszego statku. Odrzuciła kaptur płaszcza na plecy, toteż na jej twarzy igrały odblaski księżycowej poświaty. Była niewyobrażalnie piękna.

Gdy zrównała się ze *Zniewagą*, weszła na nasz pokład i uniosła głowę, żeby spojrzeć w górę na mnie.

Ale w wyrazie jej twarzy zaszła zmiana i w tym samym momencie zmienił się też mój nastrój. Nagle poczułem, że wypełnia mnie strach i złe przeczucia. Miałem świadomość, że Inana nie zjawiała się po to, żeby mnie chwalić za zwycięstwo na równinie koło Zinu.

Nie odzywała się, ale mimo to słyszałem jej głos odbijający się łagodnym echem w mojej głowie.

– Bóg jest zagniewany. Kronos domaga się najwyższej ofiary.

– Nie rozumiem. – Próbowałem mówić, ale słowa uwięzły mi w gardle.

– Spiesz do nich. Są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. – Milczała nadal, ale ja wyraźnie usłyszałem jej ostrzeżenie, które niosło się ponad odgłosami wiatru i wody.

Próbowałem się poruszyć, żeby zejść do niej, jednak nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu. Chciałem, żeby mi wyjaśniła zagadkową wiadomość, ale głos uwięził mi w gardle.

A potem spadły na mnie niczym sieć mroczne cienie snu, a ona zniknęła. Z wysiłkiem starałem się ożywić na nowo moje zmysły. Chciałem krzyknąć za nią w ciemność: „Nie odchodź, Inano! Zaczekaj na mnie! Niczego nie rozumiem”. Ale otuliła mnie ciemność. Nie wiem, na jak długo zapadłem w ten drugi sen, ale kiedy zdołałem wydostać się z powrotem z mroku, był już świt i w naszym kilwaterze muskały wodę i nurkowały mewy z czarnymi skrzydłami.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że na pokładzie mrowią się zaaferowani ludzie. Pierwsza wachta wioślarzy schodziła zejściówką, żeby zająć miejsca na ławach wioślarskich.

Odwiązałem linkę, która zabezpieczała mnie na maszcie, i ześlizgnąłem się po baksztagu na górny pokład. Gdy moje stopy dotknęły drewnianych listew, podbiegł do mnie Zaras. Uśmiechał się i kręcił głową.

– Panie mój, chyba nie spałeś znowu w takielunku, prawda? Już nie lubisz swojej koi? – zapytał. Ale w tej samej chwili zobaczył moją minę i uśmiech zniknął z jego twarzy. – O co chodzi?

– Natychmiast wyrzucić do morza wszystkie rydwany – rozkazałem. – Przeprowadź na inne galery wszystkie konie.

– Dlaczego, Taito? – zapytał z gamoniowatą miną.

– Przestań kwestionować moje polecenia. Nie mam czasu, żeby znowu kłócić się z tobą. – Byłem tak zniecierpliwiony, że chwyciłem go za ramię i potrząsnąłem nim. – Weź ze wszystkich pozostałych okrętów pełną obsadę wioślarzy. Chcę mieć możliwość zmiany wioślarzy co godzinę.

– Co godzinę? – bąknął Zaras.

– Chcę utrzymać prędkość jak do ataku przez resztę drogi do Krimadu.

– Prędkość ataku? – Zaras spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Niech cię Set porwie, Zarasie, przestań powtarzać moje słowa – warknąłem do niego. – Chcę być w Krimadzie za pięć dni, albo nawet wcześniej, jeżeli się uda.

– Zamordujesz moich ludzi – zaprotestował Zaras.

– Lepiej, żeby zginęli oni niż królewskie księżniczki.

Zaras wlepił we mnie przerażony wzrok.

– Nie rozumiem...

– Obie księżniczki znalazły się w śmiertelnym zagrożeniu. Być może już jest za późno, ale każda stracona godzina przybliża je do pewnej śmierci.

Zaras odwrócił się na pięcie, wołając do oficera wachtowego:

– Podnieś sygnał dla wszystkich kapitanów!

Pozostałe galery zaczęły podpływać do nas po dwie jednocześnie, jedna po lewej, a druga po prawej burcie. Z każdej z nich przeszło na pokład *Zniewagi* dwudziestu najlepszych wioślarzy, wraz z zapasem wody i racjami żywnościowymi na pięć dni. W zamian daliśmy im niewolników i mizeraków wybranych z naszej załogi.

Przeładowaliśmy na ich pokłady wszystkie konie, podciągając je na blokach ładunkowych i wprawiając w rozkołys nad luką między pokładami. Za pomocą tych samych urządzeń podnieśliśmy po kolei wozy, żeby wyrzucić je za burtę. Chciałem, żeby *Zniewaga* zrobiła się lżejsza i zmniejszyła zanurzenie. Zamiar dotarcia w ciągu pięciu dni na Kretę był wielkim wyzwaniem.

Gdy do naszej burty podpłynął okręt Haya, Zaras wziął go na stronę i zaczął rozmawiać z nim po cichu, ale odczytałem słowa z ich ust. Hay odwrócił się od niego i podszedł do mnie ze stanowczym wyrazem twarzy.

– Bardzo dobrze, Hay – uprzedziłem jego prośbę. – Przekaż jakiemuś zuchowi dowództwo na twoim statku i płyń z nami. Ale ostrzegam cię, będziesz musiał odsiedzieć swoje na ławie wiosłarskiej.

Gdy tylko na naszym pokładzie znalazł się komplet ludzi i pierwsza osada zasiadła przy wiosłach, bębniarz zaczął wybijać im rytm wiosłowania. Przyspieszał stopniowo od prędkości manewrowej do prędkości ataku, dziesięć pociągnięć na minutę.

Zniewaga dostała skrzydeł i pomknęliśmy po falach niczym ptak. Wystarczyła jedna godzina, abyśmy zostawili resztę flotyli daleko za horyzontem.

Gdy poleciłem zmienić osadę, uwolnieni od wiosł i złani potem ludzie pospadali z ław, z trudem łapiąc powietrze. W ciągu następnych trzech dni i nocy nasza szybkość nie spadła ani na chwilę.

Zaras i Hay odsiedzieli swoje kolejki na ławach wiosłarskich, i nawet ja sam co dwanaście godzin zasiadałem do wiosł na pełną godzinę. Podtrzymywała mnie pamięć o bezgłośnym ostrzeżeniu Inany: „Spiesz do nich. Są w śmiertelnym niebezpieczeństwie”.

Nastało popołudnie czwartego dnia. Właśnie zwolniłem miejsce na ławie wiosłarskiej i ociekając wciąż jeszcze potem i oddychając ciężko, poszedłem na dziób okrętu, żeby omieść wzrokiem morze przed nami.

Nie było żadnego sposobu, abym mógł obliczyć, ile drogi pozostało nam do wyspy. Nie byłem pewien nawet tego, czy jesteśmy ciągle na właściwym kursie. Zaufałem Inanie, że będzie mnie prowadzić. Jednak morze przed nami było ciągle puste, a horyzont gładki i niczym niezakłócony.

Brakowało wiatru. Bezchmurne niebo płonęło jasnym i bezlitosnym blaskiem, niczym ostrze katowskiego topora. Powietrze było ciężkie i duszne. Wyczuwałem w nim słaby i nieprzyjemny smak siarki, który drażnił mi język i podniebienie. Odkaszlnąłem i wyplułem ślinę za burtę, a potem obejrzałem się w kierunku rufy. Zobaczyłem tylko rozfalowaną smugę naszego kilwateru i drobne plamy zawirowań pozostawianych na gładkiej powierzchni morza przez unoszące się i opadające wiosła.

Już miałem odwrócić się i ruszyć na dół, żeby trochę odpocząć – od wypłynięcia z zatoki Zin prawie wcale nie spałem – kiedy właśnie w tym momencie coś na horyzoncie zwróciło moją uwagę. Miało postać cienkiej, ciemnej, falującej kreski. Przyglądałem się jej przez chwilę, aż w końcu uświadomiłem sobie, że jest to stado ptaków lecących prosto w naszą stronę. Lubię wszelkie gatunki tych skrzydlatych stworzeń, ale te

rozpoznałem dopiero wtedy, gdy się znacznie przybliżyły. Zdziwiłem się, widząc, że są to zwykłe wrony. Kreteńskie wrony żyją zazwyczaj samotnie lub łączą się w pary. Co więcej, wrony zawsze trzymają się blisko lądu. Wszystkie te powody sprawiły, że nie rozpoznałem ich z daleka. Nadlatujące stado liczyło kilkaset sztuk i znajdowało się o trzy dni żeglugi od najbliższego lądu. Przyjrzałem się im, gdy przelatywały nad moją głową, natarczywie kracząc do siebie. Odniosłem wrażenie, że te ich pokrakiwania zdradzają zaniepokojenie lub są co najmniej ostrzeżeniem.

Gdy przeleciały, spojrzałem znowu ku północy i zobaczyłem na niebie następne nadlatujące ptaki. Wśród nich były również wrony, ale nie brakowało wielu innych gatunków. Leciały nad nami ibisy i czaple, pustułki, orły i inne drapieżniki. Potem pokazały się mniejsze ptaki, rudziki i skowronki, wróble, gołębie i dzierzby. Niebo pełne było ptaków. Leciało ich tyle, że niemal przesłoniły słońce. Ich krzyki składały się na przeraźliwą, niemal ogłuszającą kakofonię. W tym ptasim exodusie było coś rozpaczliwego.

Z nieba spadł nagle maleńki kanarek i wylądował na moim ramieniu. Był wyraźnie wyczerpany. Całe jego ciało drżało, a kiedy wziąłem go w dłoń i pogłaskałem po łepku, wydał wzruszający gwizd.

Zdziwiony spojrzałem znowu w górę, gdzie ciągle widać było przelatujące nad nami niezliczone stada. Hay i Zaras podeszli i stanęli obok mnie, zadzierając głowy.

– Co się dzieje, Taito? – spytał Hay.

– Wygląda to na masową migrację. Ale nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego.

– Wydaje się, że uciekają przed jakimś śmiertelnym zagrożeniem – zauważył Hay.

– Dzikie zwierzęta, a zwłaszcza ptaki, instynktownie wyczuwają niebezpieczeństwo – zgodził się z nim Zaras, a potem spojrzał na mnie, czekając na potwierdzenie. – Czy nie tak, panie mój? – Nie odpowiedziałem na jego pytanie nie dlatego, że nie

znałem odpowiedzi, ale raczej z powodu odgłosu rozbryzgującej się wody w okolicy dziobu naszego statku, tak jakby wpadło do niej coś dużego i ciężkiego.

Wyjrzałem za burtę i zobaczyłem, że powierzchnia wody wrze i kipi. Pod kadłubem przemykały wielkie lśniące kształty. W tym samym kierunku, co stada ptaków zapełniających niebo nad naszymi głowami, pędziła olbrzymia ławica tuńczyków. Spojrzałem przed siebie i stwierdziłem, że ciągnie się ona ku północy i sięga aż po horyzont.

Srebrzyste kształty przepływały nieustannie obok nas, a potem zaczęły pojawiać się wśród nich inne stworzenia. Połyskujące czarne morświny cięły powierzchnię wody swoimi ostrymi jak nóż płetwami grzbietowymi, zostawiając za sobą grzebienie bryzgów. Wieloryby dorównujące niemal długością naszemu statkowi wypuszczały obłoki pary z otworów na głowach, gdy wynurzały się, żeby zaczerpnąć powietrza. Mknęły obok nas rekiny pokryte prążkami niczym tygrysy, krzywiąc w złośliwych uśmiechach swoje paszcze z ostrymi, przypominającymi ostrze piły zębami. Wszystkie kierowały się na południe.

Wydawało się, że całe stworzenie ucieka w panicznym strachu przed jakimś straszliwym kataklizmem, który dotknął obszary położone za północnym horyzontem.

W miarę upływających godzin to wielkie nagromadzenie latających i pływających stworzeń stopniowo zaczęło się kurczyć, aż w końcu znikło zupełnie.

Byliśmy sami w świecie opuszczonym przez wszystko, co żyje, kilkunastu śmiertelników i małeńki żółty kanarek, który został ze mną, siedząc na moim ramieniu i wyśpiewując mi do ucha swoje słodkie trele.

Zapadła nad nami noc, ale wiosłowaliśmy zawzięcie w ciemnościach, mając nad sobą tylko gwiazdy, które oświetlały nam drogę. Po wschodzie słońca stwierdziłem, że niebo i morze są ciągle pozbawione wszelkiego życia. Cisza i osamotnienie wydawały się coraz groźniejsze i działały na nas coraz bardziej przygnębiająco.

Wydawało się, że jedyne odgłosy, jakie do nas dochodzą, to skrzypienie popychających nas w kierunku Krety wiosł w dulkach, szmer wody opływającej kadłub i rytmiczne uderzenia bębna dyktującego tempo wiosłowania. Nikt się nie odzywał ani nie śmiał.

Umilkł nawet mój żółty kanarek, który tuż przed południem zsunął się z mojego ramienia i spadł na pokład. Gdy go podniosłem, był już martwy. Zniosłem go na rufę i powierzyłem jego małe ciało opiece Artemidy, bogini ptaków. Rzuciłem je w kilwater. A potem wspiąłem się na maszt, żeby zająć ulubioną pozycję na jego szczycie.

Gorączkowo przeszukałem horyzont, ale był pusty, dlatego doznałem trudnego do zniesienia rozczarowania. Siedziałem na mojej grzędzie przez godzinę, a potem następną, przepatrując morze i nie tracąc nadziei.

Bezlitosne słońce raniło mi oczy i po chwili zacząłem dostrzegać nieistniejące rzeczy, jakieś statki widma i zwodnicze wyspy. Zamknąłem oczy, żeby mogły wypocząć.

Zdumiałem się, otworzywszy je znowu, gdyż moje halucynacje jeszcze się wzmożyły. Przed naszym małym stateczkiem wznosił się ku niebu wodny horyzont, przypominający górski grzbiet, raczej masywny i krzepki niż płynny. Z każdą chwilą te potężne oceaniczne szczyty rosły coraz wyżej i stawały się coraz groźniejsze. Okryły się lśniąca pianą, białą niczym świeżo spadły śnieg.

W tym momencie usłyszałem szmer głosów dochodzący z pokładu pode mną. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że Zaras, Hay i inni oficerowie pokładowi biegną na dziób statku. Zbili się tam w gromadkę, kłócąc się i wyciągając przed siebie ręce. Ludzie na ławach górnego pokładu przestali wiosłować, podnieśli się i zaczęli spoglądać ku dziobowi. Statek utracił szybkość i zaczął dryfować w miejscu.

Przeskoczyłem na linę baksztagu i ześlizgnąłem się po niej na pokład. Stanąwszy na nim, pobiegłem na dziób, wołając do ludzi, żeby wzięli się do wiosła i przywrócili statkowi ruch do przodu.

Oficerowie na dziobie usłyszeli mój głos i odwrócili się do mnie. Zaras wybiegł mi naprzeciw.

– Co się dzieje? Czyżby świat wywrócił się do góry nogami? – spytał, wskazując za siebie ręką. – Morze podnosi się na wysokość nieba. – Ogarniało go paniczne przerażenie.

– To tylko fala – odparłem. Z trudem zdołałem zachować spokojny i opanowany ton głosu.

– Nie! – Zaras gwałtownie pokręcił głową. – To jest zbyt wielkie. Zbliża się zbyt szybko, jak na zwykłą falę.

– To fala pływowa – odparłem pewnym siebie głosem. – Taka sama, jak fala, która w dawnych czasach zatopiła imperium Atlantydy.

– Na wszystkich miłych, kochanych bogów, czy jest jakiś sposób, żeby przed nią uciec? – Niepodobieństwem było, żeby Zaras poddał się bez walki, toteż wrzasnąłem mu prosto w twarz:

– Uprzedź załogę, do cholery! Dopilnuj, żeby mieli pod ręką zapasowe wiosła. Kiedy to coś w nas uderzy, doznamy uszkodzeń. Wyrwie nasze wiosła. A my musimy utrzymać

sterowność i kurs. Jeśli uderzy na nas z boku, przewróci nas jak kłoc i kompletnie zaleje. Każ pozamykać wszystkie luki. Połóż maszty i dobrze je przywiąż. Przeciągnij liny bezpieczeństwa wzdłuż wszystkich ław wiosłarskich, bo inaczej zmyje nam załogę do morza.

Zaras zareagował natychmiast na moje apodyktyczne rozkazy i krzyknął do Haya, żeby mu pomógł. Więcej się nie wtrącałem. Zostawiłem wszystko w ich rękach, stanąłem na dziobie i zacząłem się przyglądać nadchodzącej fali.

Im była bliżej, tym stawała się wyższa i szybsza, wydawało się, że po prostu pędzi w naszą stronę. Niemal zabrakło nam czasu, żeby przygotować się na jej przyjęcie, zanim uderzył w nas jej czołowy stok.

Uniósł nasz dziób tak prędko, że nogi ugięły się pode mną, a żołądek skoczył do gardła, zmuszając do złapania tchu. Wspinaliśmy się coraz wyżej. Rufa statku opadła, a pokład nachylił się pod tak ostrym kątem, że musiałem chwycić się obiema rękami nadburcia. Nieumocowane wyposażenie potoczyło się po pokładzie i z hałasem wypadło przez rufę do morza.

Zapanowało istne piekło, ale Hay i Zaras utrzymywali statek dziobem do fali, wydając błyskawiczne komendy ludziom na ławach wiosłarskich: „Ciągnąć lewym!” lub „Dość obracania w prawo!”.

Ludzie wznosili błagalne prośby do swoich bogów i matek, żeby ich ratowali, ale nie przestawali wiosłować.

Im wyżej się wznosiliśmy, tym bardziej strome stawało się zbocze fali, aż w końcu nasz pokład niemal stanął dęba, celując dziobem w niebo.

Przez krótką chwilę przyglądałem się grzebieniowi potężnej fali. Byliśmy tak wysoko, że na dalekim horyzoncie dostrzegałem wyraźnie południowe brzegi Krety, a powyżej nich słup dymu bijący z otworów na szczycie Góry Kronosa po drugiej stronie wyspy. Żółte obłoki siarki wznosiły się jeden za drugim, wypełniając do samej góry całe północne niebo. A potem okryty

pianą grzywacz zwałił się na nas i pogrążył pokład *Zniewagi* pod dwumetrową niemal warstwą zielonkawej wody.

Jedna z lin bezpieczeństwa pękła pod jej naporem i czterech ludzi z naszej załogi zostało zmiecionych razem z nią za burtę. Nie zobaczyliśmy ich już nigdy. Reszta zniknęła pod pędzącą wodą niczym szczury schwytane w pułapkę przepelnionego ścieku. Czułem, że szorstka konopna lina wokół mojego pasa przecina mnie na dwoje. Nie byłem w stanie nawet krzyknąć, żeby znaleźć ulgę w szponach przerażenia. Zacząłem ślepnąć. Uświadomiłem sobie, że się topię.

A potem nagle dziób statku przebił się przez czarny grzbiet ogromnej fali. Zdołałem zaczerpnąć do płuc świeżego, czystego powietrza i zaraz potem spadliśmy w otchłań. Staczaliśmy się swobodnie przez chwilę długą jak wieczność. Tylko liny bezpieczeństwa uratowały resztę załogi od wypadnięcia za burtę z całą resztą nieumocowanego wyposażenia.

W końcu uderzyliśmy znowu o powierzchnię morza z hukiem i wstrząsem, który groził potrzaskaniem wszystkich desek poszycia kadłuba, nadburcia i pokładu. Wiosła zostały ścięte koło dulek niczym suche gałązki.

Przyszło mi do głowy, że za chwilę znowu zostaniemy wepchnięci głęboko pod wodę. Ale nasz dzielny mały okręcik otrząsnął się z niej. Zaczął podskakiwać na powierzchni, mocno przechylony, mając zalane wszystkie pokłady. Ludzie leżeli jak kłody, zwaleni jeden na drugiego i przemieszani z wyposażeniem.

Zaras i Hay wściekali się na nich, przeklinając i zapędzając ich kopniakami z powrotem na miejsca na ławach. Niektórzy członkowie załogi byli jednak ciężko ranni, mieli połamane kończyny i zmiażdżone żebra. Zostali odciągnięci na bok. Pod ławami przywiązaliśmy wcześniej do pokładu zapasowe wiosła. Wioślarze zaklinowali je w dulkach, wyrzuciwszy przedtem za burtę połamane kikuty.

A potem wszyscy zabraliśmy się jak opętani do wybierania wody. Powoli odciążona *Zniewaga* zaczęła się podnosić na

wodzie. Dobosz podjął wybijanie rytmu. Potykając się, wiosłarze wrócili na swoje miejsca w ławach, i pióra wiosł zaczęły na nowo zagłębiać się w wodzie. Pomknęliśmy do przodu w kierunku Krety. Ponieważ znaleźliśmy się nisko na wodzie, jej brzegi zniknęły znowu za horyzontem. Ale teraz prowadził mnie dym z wulkanu na Górze Kronosa.

Krótko po południu zerwał się silny południowy wiatr. Załoga postawiła i umocowała na nowo maszty, a potem podniosła wszystkie żagle. Przy wietrze od rufy nasza prędkość wzrosła niemal dwukrotnie. Po przejściu olbrzymiej fali morze było lekko wzburzone, pojawiały się też wiry. Jego powierzchnia usiana była odłamkami drzew i fragmentami zniszczonych statków oraz budynków, zabranych przez ogromną falę z leżącej przed nami wyspy. Torowaliśmy sobie wśród nich drogę, a postawieni na dziobie ludzie chronili nas przed bardziej niebezpiecznymi szczątkami.

Dwie godziny później z morza przed nami zaczęły się znowu wyłaniać zarysy Krety. Była maleńka i nic nieznacząca w porównaniu z wznoszącym się nad nią, sięgającym nieba słupem wulkanicznego dymu. Naszych uszu zaczęły dochodzić grzmoty i ryki szalejącego Kronosa. Odgłosy te były nieznacznie tylko stłumione z powodu oddalenia. Wokół nas powierzchnia morza zdawała się tańczyć wskutek furiackich wyskoków wściekającego się boga.

W miarę przybliżania się do wyspy, z każdym pociągnięciem wiosł załoga coraz częściej oglądała się przez ramię, drżąc ze strachu. Część ludzi zbiła się w gromadkę na pokładzie, wraz z rannymi i umierającymi. Wszyscy byli bladzi z przerażenia. Ale ja gnałem ich bez skrpułów w kierunku Krety. Gdy wydawało się, że za chwilę się zbuntują, Zaras i Hay stanęli nad nimi z biczami na niewolników, gotowi ich użyć.

Gdy podpłynęliśmy bliżej lądu, przejęła mnie groza na widok zniszczeń, jakie fala pozostawiła za sobą. Kiedy w zasięgu wzroku znalazł się port w Krimadzie, niemal go nie poznałem.

Zidentyfikowałem go tylko dzięki odniesieniu do szczytu wznoszącej się za nim góry Idy.

Woda zabrała wszystkie budynki, zwała do morza nawet ciężkie płyty falochronu niczym rozdrażnione dziecko, które rozrzuca swoje klocki.

Las i pola uprawne u podnóża góry zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Wielkie drzewa, ruiny budynków i fragmenty kadłubów potężnych statków wymieszały się w jednolitą masę szczątków i gruzu.

Najbardziej wzburzyło mnie to, że morze zniosło też stajnie. Fala musiała połknąć i zmyć do morza stajennych wraz z końmi. Moje księżniczki znajdowały się po drugiej stronie wyspy. Nie mając koni, musiałbym przez wiele dni przedzierać się przez połamane resztki lasu, żeby do nich dotrzeć.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie lepiej by było opłynąć wyspę, ale porzuciłem ten pomysł. W tych niebezpiecznych warunkach zajęłoby to wiele dni, a nie było sposobu, żeby przewidzieć, co zastaniemy na miejscu, nawet jeśli uda się nam dotrzeć do Knossos.

Pozostała mi tylko nikła nadzieja związana z tym, że kilka stacji z rozstawnymi końmi, które poprowadziłem przez grzbiet wyspy, znajdowało się wystarczająco wysoko, żeby uniknąć furii ogromnej fali, i być może niektóre z tych zwierząt przeżyły.

Rzuciliśmy kotwicę na krawędzi głębokiej wody, od strony ruin Krimadu, gdzie okręt był osłonięty samą wyspą. Potem wezwałem do siebie Zarasa i Haya.

– W każdej ze stacji prowadzących przez górę stało w stajniach od dziesięciu do dwudziestu koni, które być może się uchowały – powiedziałem. – Każde zwierzę może ponieść jednego jeźdźca na grzbiecie oraz pociągnąć dwóch ludzi uczepionych rzemiennych strzemion. Wybierzcie trzydziestu najsilniejszych ludzi, żeby zeszli z nami na ląd. Powinni nieść tylko broń, ale żadnej zbroi, żeby nie przeciążać wierzchowców.

Gdy grupa wyznaczona do zejścia na ląd była gotowa, spuściliśmy na wodę barkasy, które oparły się niszczącej sile

wielkiej fali. Kiedy odbiliśmy od statku w tych maleńkich łódkach, okazało się, że niebezpiecznie je przeciążyliśmy.

Modliłem się w duchu do Inany, gdy fale zaczęły uderzać w nas tak mocno, że woda przelewała się przez dziób do środka. Przypomniałem bogini, że wypełniam tylko jej polecenia. Musiała usłyszeć moje błagania, bo zanim dotarliśmy do ruin falochronu, za burtę wypadło tylko trzech ludzi, a jeden z nich zdołał nawet dopłynąć z powrotem do *Zniewagi*.

Barkasy rozleciały się w drzazgi prawie od razu, gdy tylko dobiliśmy do kamiennych bloków. Zdołaliśmy się jednak wdrapać na pozostałości falochronu, chwytając się za ręce i wspomagając nawzajem. Wyszliśmy na ląd, nie doznając więcej strat.

Zaras ustawił ludzi dwójkami i poprowadził ich przez ruiny miasta. Było puste, jeśli nie liczyć kilku opuchniętych ciał, w połowie pogrzebanych w gruzowisku. Potem zaczęliśmy się wspinać na położone niżej zbocze góry, które również zostało zalane. Rozglądałem się za początkiem dróżki prowadzącej do pierwszej stacji z końmi. Nie było po niej śladu. Pewnie nigdy byśmy jej nie znaleźli, gdyby nie poprowadziły nas dźwięki myśliwskiego rogu dochodzące z położonego wyżej lasu. Trzech ludzi, którzy zostali przy koniach, widziało z góry nasze lądowanie. Ruszyli ścieżką w dół, żeby wyjść nam naprzeciw.

Byli przerażeni, ale doszli do wniosku, że wyszliśmy na ląd, żeby ich wyratować. Okazali wzruszające rozczarowanie, gdy uświadomiliśmy im, że jest inaczej. Poprowadziłem moich ludzi w górę w tempie wolnego truchtu, gdyż nachylenie zbocza nie pozwalało na szybszy bieg. Ziemia pod naszymi stopami trzęsła się i drżała albo kołysała i podskakiwała jak mała łódka na fali przypływu, w miarę jak rósł lub opadał w nieprzewidywalny sposób gniew szalejącego ciągle boga Kronosa.

Dotarłszy do pierwszej stacji, zastaliśmy w niej w sumie sześciu ludzi i dwadzieścia koni, które przeżyły kataklizm. Zwierzęta szalały z przerażenia, gdy ziemia pod ich nogami zaczynała się trząść, a w nozdrza uderzał swąd palącej się siarki,

dochodzący z wulkanu po drugiej stronie wyspy. Musiałem użyć całej mojej zręczności, żeby je uspokoić na tyle, bym mógł je osiodłać.

Zatrzymaliśmy się tam tylko na czas potrzebny do sprawdzenia broni. Ulżyło mi, kiedy stwierdziłem, że mój zakrzywiony łuk w futerale z woskowanej skóry jest suchy. Byłem mniej zadowolony ze stanu zapasowych cięciw. Przywłaszczyłem sobie torbę ładnych i suchych cięciw dowódcy stacji, ku jego wielkiemu zmartwieniu. Ale gdy zaczął protestować, spojrzałem mu w oczy tak stanowczo, że zamilkł. Poleciałem jemu i wszystkim jego ludziom pozostać na stacji, żeby mogli osłonić nasze tyły, gdybyśmy musieli się wycofać.

Nie straciłem ani minuty więcej. Krzyknąłem na Zarasa i Haya, żeby wsiadali na koń, i poprowadziłem nasz mały oddziałek w kierunku przełęczy przez grzbiet Idy.

Byliśmy już blisko niej, gdy ozwał się grzmot kopyt, parskanie i porykiwanie stada dzikich bestii, które nadbiegały w naszym kierunku. Ledwie zdążyłem wprowadzić moich ludzi do gęstej kępy drzew obok dróżki, gdy pojawiła się na niej masa potwornych, pędzących dziko cielsk.

Oczywiście rozpoznałem je natychmiast. Było to stado turów. Z grzmotem racic przemknęły obok nas, świecąc nabiegłymi krwią oczami. Miały garby na grzbiecie. Ich zady były jednolicie pokryte czarnymi i rudobrunatnymi cętkami. Z otwartych paszczy zwisały im ozory i ochlapywały sobie spienioną śliną wystające łopatki. Gnane panicznym strachem, pędziły z grzmotem racic dróżką, która prowadziła skrajem pionowej ściany.

Gdy przyglądaliśmy się im, góra pod nami zatrzęsa się znowu. Zobaczyłem, że na skraju urwiska otwiera się głęboka szczelina, przecinając drogę stada turów. Zbocze góry było tak strome, a rozpęd zwierząt tak olbrzymi, że w żaden sposób nie mogły uniknąć poszybowania w dół. Całe stado zaczęło przelewać się przez krawędź pionowej ściany. Zwierzęta pędzące z tyłu wpadały na te na przedzie, aż w końcu wszystkie zsunęły

się w przepaść. Doszły nas odgłosy uderzania masywnych cielsk o skały setki stóp pod nami. Potem nastąpiła cisza, aż w końcu i ona została przerwana kolejnym rykiem wulkanu.

Wyprowadziłem moją drużynę z powrotem na dróżkę i zaczęliśmy pokonywać ostatni odcinek stromego zbocza prowadzącego na grzbiet góry. Tutaj zatrzymaliśmy się znowu. Obejrzałem się w tył, żeby spojrzeć na maleńką sylwetkę *Zniewagi* stojącej na kotwicy koło ruin Krimadu.

Potem obróciłem się w siodle i spojrzałem przed siebie, na ruiny pałaców i budowli, które jeszcze tak niedawno składały się na miasto Knossos, stolicę najpotężniejszego imperium na świecie.

Wielki port zniknął. Nie było śladu po latarni morskiej. Musiała zostać zmieciona do portowego basenu. Woda zniosła kamienne mury portu, nie pozostały po nich nawet fundamenty. Rozfalowane morze przewalało się bez przeszkód po gołych skałach, na których wznosiło się wielkie miasto.

Flota złożona z dziesięciu tysięcy statków, którą chełpił się Najwyższy Minos, została rzucona ponad linię przyboju, zmiażdżona i zamieniona w drzazgi. W całej rozległej zatoce nie było śladu nawet jednego kadłuba, który zachowałby pływalność. A jej kipiące wody były gęsto usiane unoszącymi się na powierzchni szczątkami.

Zniknął pałac, w którym Najwyższy Minos poślubił moje księżniczki, podobnie jak budynek admiralicji oraz wszystkie pozostałe stojące tuż nad wodą kamienne budowle.

W oddali, po drugiej stronie pogrążonej w chaosie zatoki, grzmiały bliźniacze wulkany, wyrzucając płomienie i dymy przesłaniające niebo.

Z niedowierzaniem błądziłem wzrokiem po tych ruinach. Imperium minojskie przestało istnieć. Zostało zmiecione przez własnego oszalałego boga.

– Gdzie są moje dziewczyny? – Moje serce łkało i cierpiało mocniej, niż mógłbym to wyrazić własnym głosem. – Dlaczego

przysłałaś mnie tu, Inano? Czy tylko po to, żeby ze mnie zadrwić i narazić na męczarnie?

Poczułem, że jakby za sprawą jakiejś zewnętrznej siły moje oczy kierują się do stóp góry, na wprost miejsca, w którym się znajdowałem. Zobaczyłem, że siedziba poselstwa Wielkiego Egiptu, która przez krótki okres była moim domem, wciąż stoi cała i nietknięta. Olbrzymia fala nie sięgnęła tak wysoko. Był to jedyny ocalały budynek na północnym stoku wyspy.

– Jedziemy! – krzyknąłem do Zarasa i Haya. – Za mną! – Po czym przejechałem ostrogami po żebrach mojego konia. Gdy ruszyliśmy przez las w dół zbocza, omiotła nas kolejna fala wstrząsowa wywołana wybuchem w bliźniaczych kraterach na szczycie Góry Kronosa. Ogier pode mną spłoszył się wściekle, ściągnąłem więc ostro cugle, żeby nad nim zapanować. Uczepieni moich strzemion ludzie zostali niebezpiecznie szarpnięci, ale obaj zdołali się utrzymać. Koń uspokoił się w końcu i pomknęliśmy znowu w dół zbocza.

Odniosłem wrażenie, że siedziba poselstwa jest całkowicie opuszczona przez wszystkich, gdy podjechałem galopem do frontowego wejścia i zeskoczyłem z siodła.

– Zaras i Hay! Idźcie na dziedziniec stajenny na tyłach i zobaczcie, czy są tam jeszcze jakieś konie. Kiedy odnajdziemy dziewczęta, będą nam potrzebne dodatkowe wierzchowce, żebyśmy mogli wrócić do Krimadu. – Postanowiłem nie poddawać się rozpacz. Inana nie przysłałaby mnie tutaj, gdyby moje księżniczki już nie żyły.

Drzwi do budynku siedziby poselstwa stały otworem. Wbiegłem do środka, wołając, czy jest tu ktoś żywy. Odpowiedziało mi tylko echo moich krzyków. Pokoje były puste, ale większość z nich została splądrowana. Wszystko rozrzucone było w dzikim nieładzie. Moi służący lub może uciekinierzy z miasta skorzystali z okazji, żeby chapnąć to i owo w trakcie ucieczki.

Nie wiedziałem, w którą stronę się obrócić. Poczułem w trzewiach pierwszy ucisk rozpacz. Nie poddałem się jednak

i zacząłem błagać na cały głos boginię, żeby mi pomogła.

– Inano! Gdzie one są? Nie opuszczaj mnie w takiej chwili. Błagam cię, zaprowadź mnie do nich.

Bogini odpowiedziała mi natychmiast, usłyszałem jej głos dochodzący z górnego piętra budynku.

– Taito! Czy to ty, panie mój? – Tupot jej stóp ozwał się na schodach. – W pierwszej chwili pomyślałam, że to plądruje następna banda rabusiów! – krzyknęła.

Zbiegła z ostatnich stopni w swojej sukni z kapturem i rzuciła się w moje ramiona. Ująłem w dłonie jej głowę i uniosłem ją. Przez chwilę wpatrywałem się w jej oblicze, nie mogąc odzyskać głosu.

– Loxias! – zawołałem w końcu. – Co ty tu robisz, dziecinko? Wziąłem cię za kogoś innego.

– Przysłał mnie tu Toran, mój pan, i kazał mi czekać na ciebie. Wiedzieliśmy, że się zjawisz. Jestem tu, żeby ci pokazać drogę do Wielkiej Świątyni boga Kronosa w górach – wyrzuciła z siebie jednym tchem w sposób tak niekontrolowany, że trudno mi było zrozumieć, co mówi. Przycisnąłem ją mocniej, żeby przywrócić jej spokój.

– Wolniej, moja mała! Nie rozumiem ani słowa. Weź głęboki oddech i mów powoli.

– Na rozkaz Najwyższego Minosa kapłani zabrali Tehuti i Bekathę do Wielkiej Świątyni. Tam złożą z nich ofiarę, żeby ułagodzić boga Kronosa i odwieść go od zamiaru zniszczenia ogniem i siarką minojskiego imperium. – Wzięła kolejny głęboki oddech i mówiła dalej: – Poświęcili już czterdzieści dziewiczych żon Najwyższego Minosa, ale Kronos je odrzucił. Nie załagodziło to jego gniewu. Domaga się najwyższej ofiary, dziewiczych księżniczek z królewskiego rodu faraonów Egiptu.

– Gdzie jest teraz Toran?

– Udał się do Wielkiej Świątyni, będzie próbował odwieść Najwyższego Minosa od tego straszliwego czynu lub przynajmniej nakłonić go, żeby odłożył ofiarę do czasu, aż ty sam się tu zjawisz. Mówi, że jesteś jedynym człowiekiem, który może

uratować Tehuti i Bekathę. Jakimś sposobem dowiedział się, że przybędziesz. Przyśniła mu się dama w płaszczu z kapturem, która go ostrzegła...

– Znasz drogę do tej świątyni? – przerwałem jej.

– Tak – odparła Loxias. – To niedaleko stąd. Toran powiedział mi, jak znaleźć sekretne wejście i przedostać się przez labirynt.

Chwyciłem ją za rękę i pociągnąłem ją przez opuszczone pokoje do frontowych drzwi. Zaras i Hay czekali tam na mnie, mając przy sobie wszystkich swoich ludzi. Zaras zeskoczył z siodła i wybiegł mi na spotkanie.

– Znalazłeś... – zaczął mówić, ale w tej samej chwili rozpoznał Loxias pod jej kapturem. – Gdzie są księżniczki?

– Dość! – uciąłem jego pytania. – Wyjaśnię ci wszystko w czasie jazdy. Loxias wie, gdzie je znaleźć. Zaprowadzi nas tam.

Hay znalazł w stajniach sześć dodatkowych koni, dlatego mieliśmy teraz wystarczającą liczbę wierzchowców, aby wszyscy mogli jechać konno. Posadziłem na siodle za moimi plecami Loxias, która objęła mnie mocno w pasie, i zaciąłem ogiera batem.

Jechaliśmy zwartą grupą. Loxias skierowała mnie na drogę, która biegła ku zachodowi wzdłuż górzystego kręgosłupa wyspy. Po dwóch milach dotarliśmy do rozwidlenia. Główna odnoga prowadziła dalej w tym samym kierunku, ale węższy szlak odbijał w stronę szczytu Idy. Stał przy nim cedr monsturalnych rozmiarów. Jego martwe górne gałęzie wycelowane były w górę, w kierunku zasłony z kłębiących się wulkanicznych chmur.

– Pan Toran mówi, że to drzewo ma tysiąc lat – powiedziała Loxias przez moje ramię. – A to jest symbol boga Kronosa – dodała, wskazując czaszkę olbrzymiego byka, która była przybita gwoździami do pnia cedrowego drzewa. Wystające z niej rogi były prawie dwa razy potężniejsze od rogów tura, który zabił niewolnika Waagę. Pod działaniem czasu i słońca wszystko stało się oślepiająco białe.

Nie poświęciłem ani chwili dłużej na podziwianie czaszki, ale zwróciłem wierzchowca na wskazaną przez Loxias ścieżkę. Pięła

się ona zboczem przez gęsty las i była szeroka tylko na tyle, aby mogły galopować nią obok siebie dwa konie. Kończyła się nagle pod wysokim urwiskiem z ciemnoczerwonych bazaltowych skał. U podnóża pionowej ściany widać było wbudowane w nią, masywne drzwi z brązu. Wystawało z nich umocowane centralnie koło zamka z tego samego metalu.

Loxias zeskoczyła z siodła za moimi plecami i wylądowała jak kot na nogach. Podbiegła do drzwi i zaczęła kręcić kołem, obracając je to w lewo, to w prawo i licząc głośno obroty.

Ja również zsiadłem i nałożyłem na łuk jedną z nowych i suchych cięciw. Potem wyciągnąłem z kołczana dwie strzały i wetknąłem je za pas, żeby mieć je pod ręką. Założyłem trzecią strzałę na łuk i chwyciłem drzewce łuku w lewą rękę. Prawą poluzowałem miecz w pochwie. Zaras, Hay i ich ludzie poszli za moim przykładem, przygotowując broń, a potem stanęli mi za plecami.

Loxias obróciła koło zamka po raz ostatni i mechanizm szczęknął głośno. Dałem znak Zarasowi, żeby pomógł jej uporać się z drzwiami. Jednocześnie odsunąłem się na bok i maksymalnie napiąłem łuk, celując nad ramieniem Zarasa.

Drzwi otworzyły się ociężale. Tuż za nimi stały dwie ubrane na zielono strażniczki z królewskiego haremu. Obie trzymały w gotowości miecze. Ruszyły do przodu, żeby natrzeć na Loxias i Zarasa.

Zaras również był gotów na ich przyjęcie. Przeszył jedną z nich pchnięciem w jej odsłoniętą chłopięcą pierś. Drugą uśmierciła moja strzała. Uderzając z tak bliskiej odległości, przeszła ją na wylot, poszarpała kręgosłup i wyszła między łopatkami. Grot pocisku skrzesał snop jasnych iskier z krzemiennej ściany tunelu za jej plecami. Obie strażniczki upadły, nie wydając nawet jęknięcia. Ramię w ramię z Zarasem przestąpiliśmy ich ciała i wbiegliśmy do tunelu. Był blado oświetlony dymiącymi pochodniami umieszczonymi w uchwytych na bocznych ścianach.

– Toran mówi, żeby za każdym razem skręcać w lewo, bo inaczej możemy się zgubić – zawołała Loxias, która podążała tuż za moimi plecami.

Skręciłem w lewo trzy razy z rzędu. Potem usłyszałem bardzo ciche odgłosy śpiewów, dochodzące z głębi tunelu przed nami i odbijające się echem od jego ścian. W miarę przybliżania się stawały się coraz głośniejsze. Jeszcze raz skręciłem w lewo i nagle zobaczyłem przed sobą blask dziennego światła.

Poleciałem Loxias i moim ludziom, żeby zatrzymali się i poczekali, sam zaś ruszyłem do przodu, mając po obu stronach Zarasa i Haya. Światło rozjaśniało się stopniowo. Skręciliśmy na ostatnim rogu.

Tunel przed nami blokowały dwie inne strażniczki. Obie zwrócone były do nas plecami. Całą swoją uwagę kierowały przed siebie, nie zdając sobie sprawy z naszej obecności. Zaczęliśmy się skradać w ich kierunku. Zaras i Hay zamknęli im dłońmi usta, żeby nie mogły krzyknąć, po czym błysnęli klingami i obie wojowniczkę osunęły się na ziemię. Przeszliśmy ich ciała i znaleźliśmy się na balkonie widokowym wyciętym w żywej skale.

Dwadzieścia łokci lub trochę więcej pod nami ukazała się olbrzymia grotka oświetlona dziennym światłem, które sączyło się do środka przez podparte kolumnami wejście w przeciwległej ścianie. Otwierał się przez nie widok na szeroką panoramę ruin Knossos i na rozległą zatokę, aż po szczyty Góry Kronosa na dalekim horyzoncie.

Bezpośrednio pod nami znajdowała się przestronna półkolista arena. Na posadzce, pokrytej warstwą drobnego białego piasku, stał ołtarz wykonany ze srebra i złota, a na nim widać było posąg zwieńczonego kwiatami byka, wokół którego porozstawiano garnki z tłącym się kadzidłem.

Arena i ołtarz otoczone były rzędami wznoszących się amfiteatralnie kamiennych ław.

Dwa najniższe rzędy zapelniali ubrani na czarno arystokraci minojscy w wysokich kapeluszach. Ich twarze pokryte były białą

kredą, a oczy otoczone tradycyjnymi obwódkami z proszku antymonowego. Wszyscy siedzieli bez ruchu, wpatrując się w napięciu w pustą posadzkę areny. Poruszali jedynie ustami, zawodząc żałobną pieśń pogrzebową.

Byłem zdziwiony, że jest ich tak mało. W uroczystości w pałacu nad zatoką portową, w trakcie której Tehuti i Bekatha zostały zaślubione Minosowi, uczestniczyło ich kilka tysięcy. Dzisiaj zebrało się ich mniej niż pięćdziesięciu. Wybuch wulkanu i olbrzymia fala musiały straszliwie zdziesiątkować kwiat minojskiego społeczeństwa.

Za tymi nielicznymi niedobitkami wznosił się kolejny rząd pustych siedzeń. W środku tego rzędu stał złoty tron. Także i on był pusty.

Bezpośrednio za tronem znajdowało się wejście do podziemnej świątyni. Było to ogromne otwarcie tworzące obramowanie dalekiej perspektywy na Górę Kronosa ponad wzburzonymi wodami portu w Knossos. Bliźniacze wulkany wyrzucały słupy dymu, które sięgały nieba i niemal przesłaniały słońce, zamieniając je w niewyraźną żółtą kulę.

Balkon, na którym przycupnęliśmy, położony był tak wysoko nad posadzką areny, że wpatrujące się przed siebie zgromadzenie naprzeciwko nie mogło nas widzieć. Po części byliśmy zasłonięci przez długie, ciemne kotary, które zwisały ze sklepienia groty i niemal dosięgały pokrytej piaskiem posadzki. Mimo to poleciłem szeptem Zarasowi i Hayowi cofnąć się w cień i wsunąć do pochew miecze, żeby przypadkowe odbicie nawet tego rozproszonego dziennego światła nie zdradziło naszej obecności w świątyni.

Ledwie zdążyłem ich ostrzec, gdy do środka weszły z obu stron amfiteatru dwa rzędy kapłanów w togach w kolorze czerwonej byczej krwi. Zajęli miejsca wokół złotego tronu, a ich głosy dołączyły do śpiewów arystokracji, wypełniających świątynię żałobnym lamentem.

Nagle śpiewy ucichły i zapadła ciężka, jeszcze bardziej przygniatająca cisza. Zgromadzeni wydali jęk i jak jeden mąż

padli na kolana, przyciskając czoła do marmurowych płyt.

Oczekiwałem pojawienia się Najwyższego Minosa i z całą uwagą wpatrywałem się w pusty tron, spodziewając się kolejnej teatralnej sztuczki. Ale to, co się wydarzyło, kompletnie zaskoczyło nawet mnie.

W jednej chwili tron był pusty, a w następnej siedział na nim minojski monarcha, mając u swego boku kruchą, kościstą postać matki.

Miała na sobie wdowią suknię, ciemną i niesprzyjającą dobrej prezencji. On połyskiwał kompletem insygniów królewskich, dzięki czemu zdawał się górować nad swoimi poddanymi i wypełniać całą grotę swoją obecnością. Jego zbroja i szkaradna bycza maska z drogich metali rzucały naokół jasne odbłaski.

Jaskinię wypełniła zgiełkliwa muzyka wojskowa grana przez ukrytą orkiestrę. W przypływie uniesienia zgromadzeni wydali okrzyk wyrażający bałwochwalczą ekstazę.

Najwyższy Minos uniósł prawą pięść osłoniętą kolczugą i w grocie zapadła kompletna i przytłaczająca, niemal dusząca cisza. Nawet my trzej na balkonie, wysoko nad areną, poczuliśmy się zastraszeni.

Minos wykonał kolejny gest i zgromadzenie odezwało się znowu. Ale tym razem był to dziki okrzyk wypełniony prymitywną wściekłością. Chwilę potem zasłony zwisające spod sklepienia jaskini rozsunęły się, odsłaniając dwa zakratowane przejścia w skalnej ścianie, po jednym z każdej strony amfiteatru. Głosy zgromadzonych zaczęły przybierać na sile, wzmagając nastrój szaleńczego wyczekiwania. Do ogólnej wrzawy włączyli się nawet kapłani w czerwonych szatach, ale teraz słyhać w tym było coś więcej. Głosy nie miały już charakteru bałwochwalczego uwielbienia. Zamieniły się w ryk sprośnego podniecenia, cielesnej żądzy i sadystycznego upojenia.

Wejściem między zasłonami wkroczyła do środka falanga ubranych na zielono strażniczek. Ich głowy wieńczyły wysokie stroiki przybrane błyszczącymi piórami flamingów. Unosiły wysoko tarcze wykonane z wyprawionej krokodylej skóry,

trzymając je tak, że zachodziły na siebie na zakładkę, jakby chciały zasłonić coś, co znajdowało się w środku ich formacji. Doszły do środka areny i zatrzymały się. Chwilę potem na jakiś wcześniej ustalony sygnał ich szeregi rozstąpiły się i oczom wszystkich ukazały się moje księżniczki.

Tehuti i Bekatha stały, trzymając się za ręce. W kompletnym oszołomieniu spoglądały na rozwrzeszczany tłum w amfiteatralnych ławach. Miały na głowach wieńce z białych róż.

Ale te kwiaty stanowiły cały ich strój. Były zupełnie nagie. Wyglądały bardzo młodo i delikatnie, niemal dziecięco. Strażniczki odwróciły się jednocześnie i wymaszerowały z areny, pozostawiając Tehuti i Bekathę, stojące samotnie pośrodku areny.

Moje dwa skarby z drzeniem wsłuchiwały się w zgiełk wypełniający jaskinię. Najwyższy Minos podniósł się z tronu i zgiełk ponownie ustąpił ciszy. Obrócił się powoli, tak że jego złota maska znalazła się na wprost otwarcia w tylnej ścianie świątyni, przez które widać było daleką Górę Kronosa. Jego głos wzbił się pod sklepienie w inwokacji do groźnego boga. Nie byłem w stanie pojąć nawet jednego słowa z ryków i zwierzęcego wycia, które dobywały się z hełmu na jego głowie.

Docierał jednak do mnie ich niedwuznaczny sens, zwłaszcza z chwilą, gdy władca wyciągnął ze zdobionej drogimi kamieniami pochwy u pasa masywny miecz z brązu. Dorównywał on długością mojemu wzrostowi. Odwrócił się w stronę dwóch nagich dziewcząt stojących na ofiarnej arenie poniżej jego tronu.

Dopiero teraz zdołałem zrozumieć wypowiedane przez niego słowa, chociaż zamazywała je maska na jego twarzy, a dodatkowo ulegały zniekształceniu, odbijając się echem od skalnych ścian.

– Drogi, ukochany Kronosie! Kronosie, który byłeś pierwszym ze wszystkich bogów! Jestem twoim synem, owocem twoich lędźwi, ciałem z twojego ciała i krwią z twojej krwi. Oddaję ci

cześć od tysiąca lat. Od tysiąca lat darzę cię miłością i jestem ci posłuszny. I teraz znowu stoję przed tobą, żeby odnowić moje przysięgi. Przynoszę ci ofiarę, której łaknie twoja boska dusza. Przynoszę ci dziewiczą królewską krew, abyś mógł się jej napić. Przynoszę ci dziewicze królewskie ciało, abyś mógł się nim nasycić. Przyjdź w twojej ziemskiej postaci i zaspokój głód w uczcie, z której składam ci ofiarę. Zabij! Pij i jedz! Uniósł miecz i wykonał nim pchnięcie w kierunku zamkniętego na zasuwę wejścia naprzeciwko Tehuti i Bekathy.

Podwójne odrzwia otworzyły się, ukazując mroczną jamę. Wlepiłem w nią wzrok, ale z początku nie byłem w stanie dojrzeć niczego więcej poza ościeżnicą. Potem coś poruszyło się w środku, coś tak ogromnego i groźnego, że przekroczyło to wszelkie moje wyobrażenia.

Bekatha jęknęła i osunęła się na starszą siostrę, jej twarz pobladła z przerażenia. Tehuti objęła ją opiekuńczym gestem. Siostra przywarła do niej, obejmując ją obiema rękami. Dziewczęta cofnęły się od wejścia.

Nad areną i całym światem poza nią zawisła gęsta, niemal namacalna cisza. Huczące grzmoty wulkanów ustały nagle. Uspokoila się ziemia pod naszymi stopami. Wydawało się, że nawet wielki bóg Kronos uległ zaczarowaniu dramatem dziejącym się w jego własnej świątyni.

Ciszę przerwało nagle gniewne, ciężkie sapanie, a potem ozwały się odgłosy stąpania wielkich racic po piasku pokrywającym arenę. Z wejścia wypadł na arenę wielki tur. Na jego widok obecni w jaskini podnieśli wrzawę, która zbiła go z tropu. Zarył przednimi kopytami w piasku, podnosząc chmurę kurzu.

Wszystkie tury, jakie kiedykolwiek widziałem, były pokryte czarnymi i rdzawobrunatnymi cętkami, natomiast ten byk był olśniewająco biały, niczym piana na grzbiecie fali, która zniszczyła miasto Knossos. Oczy lśniły mu jak polerowane rubiny. Wydawało się nawet, że jego cielsko jeszcze bardziej nabrzmiało w przyływie furii, gdy zakołysał z boku na bok

masywnym łbem, rozglądając się za jakimś obiektem, na którym mógłby wyładować swoją wściekłość.

Łeb wieńczyły mu masywne, białe jak kość słoniowa rogi. Ich błyszczące zakończenia były czarne i ostre jak groty włócznie, a zasięg dwukrotnie przekraczał rozpiętość rozłożonych rąk mężczyzny.

Bestia wlepiła wzrok w dwoje nagich dziewcząt stojących naprzeciwko niej i opuściła łeb. Wydawało się, że wielki garb między jej łopatkami spuchł jeszcze bardziej od poirytowania. Grzebnęła nogą w piasku.

Uświadomiłem sobie nagle, że sądząc po maści i rozmiarach byka, a także po bijącej od niego diabelskiej aurze, nie jest on zwierzęciem z lasu i gór, ale czymś, co zostało posłane z ognistych głębin wulkanu, żeby przyjąć ofiarę w imieniu jego demonicznego pana.

Z gardła zwierza dobył się chrapliwy odgłos przypominający warknięcie, skierowany do ofiar. Górna warga jego paszczy odwinęła się, ukazując długie kły, zęby zwierzęcia żywiącego się mięsem, a nie trawą.

– Daję ci królewską krew, żebyś się jej napił. Daję ci królewskie ciało, żebyś się nim nasycił. – Najwyższy Minos ponaglił groźną kreaturę. – Zabij! Pij i jedz!

Otrząsnąłem się z przerażenia, które groziło mi paralizem.

– Zaras! Hay! – ryknąłem ponad ogłuszającą wrzawą minojskiego zgromadzenia. – Musimy dostać się na dół, żeby je osłonić. Spuście się po zasłonach. Najważniejsze, żebyście się tam dostali.

Obaj przemknęli obok mnie, w rozpędzie omal nie zwalając mnie z nóg. Jeden za drugim zanurkowali przez balustradę balkonu i chwycili się w locie zwisających zasłon. Zaczęli ześlizgiwać się po nich, żeby zamortyzować upadek na posadzkę

areny. Przeszedł mnie dreszcz trwogi, że się spóźnią i nie zdążą uratować Tehuti.

Lśniący biały byk skupił właśnie na niej całą swoją uwagę i z grzmotem racic zaszarżował w jej kierunku.

Bekatha wrzasnęła rozpaczliwie. Jej krzyk musiał z pewnością przyprawić monstrum o jeszcze większe rozdrażnienie. Zaras i Hay ześlizgiwali się ciągle po zasłonie i zanim byliby w stanie przeszkodzić bestii w jej ataku, mieliby dodatkowo do przebycia połowę areny.

Naciągnąłem łuk i wypuściłem strzałę. Grot zagłębił się w masywnej łopatce byka dokładnie tam, gdzie celowałem, ale zauważyłem, że natrafił na kość i trzon strzały odchylił się w bok. Strzała odbiła się i ugodziła jednego z minojskich arystokratów na widowni. Mężczyzna zniknął z pola widzenia.

Moja strzała zaledwie zadrasnęła byka. Nie odważyłem się wypuścić następnej, ponieważ Bekatha oderwała się od swojej siostry i, oszołomiona panicznym strachem, przecięła drogę atakującej bestii.

Byk skręcił w jej stronę i opuścił monstrualny łeb. Zahaczył o nią jednym z długich, lśniących rogów, którego koniec przeszył jej ramię nad łokciem. Zobaczyłem pękniętą kość i strumień tryskającej krwi, gdy byk przerzucił ją wysoko nad swoim grzbietem. Zwaliła się na posadzkę, ale miękki piasek, miałem nadzieję, złagodził jej upadek. Byk zawrócił, żeby rzucić się jej śladem.

Tehuti zareagowała szybciej niż którykolwiek z nas. Popędziła, żeby wziąć na siebie szarżę bestii. Zaczęła ostro wrzeszczeć i wymachiwać rękami, starając się ściągnąć na siebie jej uwagę.

Wbiegła pod rozwarte nozdrza byka, z których buchała w wilgotne powietrze jaskini para jego gorącego i cuchnącego oddechu. W biegu zerwała z głowy różany wieniec i cisnęła nim w jego oczy.

Zaskoczony olbrzym przyhamował trochę, zostawiając Tehuti dość czasu, aby mogła się obrócić i popędzić w kierunku Zarasa,

którego dojrzała w chwili, gdy ten, zjeżdżając w dół po zasłonie, znalazł się w połowie drogi między balkonem a posadzką areny.

– Zaras! – pisnęła.

Byk zawahał się na moment, a potem odwrócił się od Bekathy i ruszył w pościg za Tehuti, która pędziła jak gazela. Był jednak szybszy i byłby ją dopędził, gdyby nie zmieniła nagle kierunku ucieczki. Zanim zwierzę zdążyło skrócić i pognać za nią, zyskała nad nim przewagę dwóch kroków.

Zobaczyłem, że Tehuti przebiegnie za chwilę pod balkonem, na którym stałem, opierając się o jego balustradę. Wyciągnąłem miecz z pochwy u pasa, uniosłem go wysoko i cisnąłem na arenę. Uderzył czubkiem klingi w piasek i zaklinował się w nim przed biegnącą Tehuti, rękojeścią do góry.

– Chwyć za miecz! – wrzasnąłem do niej.

Tehuti znowu zareagowała z szybkością i siłą urodzonego atlety. Lekko skręciła w bok i biegnąc obok miecza, chwyciła go prawą ręką za rękojeść i wyciągnęła z piasku.

Byk znowu ją dopędzał. Zakołysał łbem i czub jego lewego rogu świsnął w powietrzu, ześlizgując się po jej ramieniu. Tehuti pochyliła się i wykręciła twarzą do bestii, wciągając brzuch, gdy byk ocierał się o nią. Zwierzę potrząsnęło łbem, żeby odzyskać równowagę, i w tej samej chwili Tehuti chwyciła się wolną ręką jego rogu, który był bliżej niej, przy samym czubie.

Nie opierała się, gdy tur szarpnął rogami do góry, ale pozwoliła się unieść, odbijając się od posadzki w tym samym kierunku. Poszybowała wysoko nad garbatym grzbietem tura i w chwili, gdy zaczęła opadać, wyprostowała ramię, w którym trzymała miecz, celując ostrym czubem w kłęb zwierzęcia.

Nie było tu żadnej kości, po której ostrze mogłoby się ześlizgnąć. Napierając całym ciałem, Tehuti wbiła klingę aż po rękojeść między łopatki, przebijając serce bestii. Wypuściła miecz z dłoni i zostawiła go w ciele byka.

Spadając lekko na nogi obok rannego tura, wygięła w łuk plecy i odskoczyła w bok, obracając się wokół własnej osi z rękami uniesionymi wysoko nad głową. Odzyskawszy

równowagę, popatrzyła na monstrualne zwierzę, które zatrzymało się w miejscu. Rozłożyło szeroko przednie nogi i opuściło łeb, niemal dotykając pyskiem piasku. Otworzyło szeroko paszczę i ryknęło. Z gardła strzelił mu strumień jasnej krwi.

Chwilę potem byk zachwiał się do tyłu i jego zadnie nogi załamały się pod nim. Zwalił się na posadzkę areny z hukiem drzewa cedrowego, gdy pada pod ciosem drwa. Przewrócił się na bok i kilka razy konwulsyjnie wierzgnął tylnymi nogami, aż wreszcie znieruchomiał. W grocie zapadła cisza, która trwała akurat tyle, abym mógł zaczerpnąć powietrza do płuc.

Niemal w tej samej chwili wielki bóg Kronos, uwięziony w czeluściach wulkanu po drugiej stronie zatoki, dał pełen wyraz swojej wściekłości. Pozbawiono go należnej mu ofiary. Bestia, która była jego alter ego, została uśmiercona w świątyni wybudowanej na jego, Kronosa, cześć.

Odwróciłem głowę od tego, co działo się na świątynnej arenie, i wyjrzałem na dwór, spoglądając nad zatoką Knossos, gdzie utworzył się zadziwiający widok.

W przypiływie skrajnej wściekłości Kronos zniszczył swą własną twierdzę. Wydawało się, że odbywa się to bardzo powoli. Ekspłodowała cała góra, rozpadając się na tysiąc masywnych odłamów skalnych. Niektóre z nich dorównywały wielkością samej Krecie, ale było też kilka dużo większych. Wyrzuciły je w powietrze niszczące siły uwolnione w samym sercu wulkanu znajdującym się tysiąc stóp poniżej powierzchni morza. Rozpalone w tym głębokim piecu skały stopiły się i płonęły teraz jasnym białym światłem, które zdawało się przyćmiewać słońce i oświetlać cały świat. Gdy opadły pod powierzchnię wody, morze zawrzało.

Z jego kipiących wód podniosła się gwałtownie para, tworząc wirujące białe chmury, które pięły się ku niebu, zasłaniając i zamazując wszystko. Morze, ziemia i niebo zniknęły. Pozostała tylko gęsta ściana pary.

Wszystko działo się w ciszy, jakby świat i wszelkie żywe stworzenia na nim wstrzymały oddech.

Dopiero po chwili nadleciały grzmiące odgłosy katastrofalnego wybuchu. Tyle czasu potrzebowały, aby przelecieć nad wodami zatoki. Uderzyły w Kretę niczym jakiś masywny obiekt, jak coś niemal równie materialnego, co spadająca skała.

Chociaż po części osłaniały nas ściany groty, gwałtowny, potwornie głośny huk rzucił nas na ziemię. Leżeliśmy, pojękując i zatykając sobie ogłuchłe uszy.

Grzmoty i podziemne wstrząsy naruszyły stabilność wielkich skalnych płyt sklepienia jaskini nad naszymi głowami. Spadające odłamy skalne miażdżyły wokół mnie ludzi, którzy umierali wśród krzyków i łkań, a posadzka pod naszymi stopami zaczęła się chwiać i podskakiwać niczym pokład okrętu w huraganowym sztormie.

Pozbierałem się jako jeden z pierwszych. Byłem jednak ciągle oślepiiony blaskiem bijącym od płonącej góry i ogłuszony przeraźliwym hukiem. Przekręciłem się na kolana i rozejrzałem po arenie. Nie byłem jedyną osobą, która się poruszyła.

Zaras podpełznął do Tehuti, która leżała obok martwego byka. Wziął ją w ramiona i zaczął kołysać. Zauważyłem, że ona też jest oślepiiona i oszołomiona.

Hay klęczał nad Bekathą. Wydawało się, że boi się jej dotknąć. Wojownik, który walczył na wielu bitewnych polach, przeraził się widokiem krwi na ciele ukochanej kobiety. A ona przytrzymała swoją złamaną rękę i wpatrywała się w niego jak dziecko szukające pociechy u ukochanego rodzica.

Spojrzałem nad ich głowami i zobaczyłem Najwyższego Minosa. Stał w szerokim wejściu do groty, zwrócony twarzą do obłoków pary zasłaniających miejsce, w którym wznosiła się niegdyś Góra Kronosa.

Minos trzymał w obu rękach wysoko nad głową kruche ciało swojej matki. Zobaczyłem, że kobieta ma zmiażdżoną czaszkę,

a jej oczy wychodzą z oczodołów. Została uderzona i uśmiercona przez skały spadające ze sklepienia groty.

– Dlaczego wyrządziłeś nam taką krzywdę? Jestem twoim synem, Wszechwładny Kronosie – ryknął Minos. – Moja matka była twoją kochanką i żoną. Nie mogłeś jej oszczędzić i przyjąć ofiarę, którą ci złożyłem?

Wiedziałem, że muszę go zabić, zanim zdoła ściągnąć na świat jeszcze więcej zła. Byłem pewien, że tym razem zniszczy nas wszystkich, moje księżniczki, moich przyjaciół, towarzyszy i mnie samego. Uniosłem łuk i posłałem strzałę przez całą szerokość groty. Trafiła Minosa w środek złotej blachy osłaniającej jego plecy. Przebiła jego ciało i z otworu, jaki pozostawiła w zbroi, trysnęła ciemna krew. Świątynię wypełnił jej odór przypominający smród psujących się zwłok, które przez dziesięć dni leżały na słońcu.

Siła uderzenia mojej strzały wyrzuciła Minosa przez otwarcie w ścianie jaskini. Zniknął mi z pola widzenia. Ciało jego matki wypadło mu z rąk i leżało niczym kupa czarnych starych łachmanów.

Przeskoczyłem przez balustradę balkonu i ześlizgnąłem się po zasłonach na posadzkę areny. Biegając w kierunku miejsca, w którym leżała Bekatha, odczepiłem pochwę miecza od pasa. Klęknąłem obok niej.

– Przytrzymaj ją mocno. To ją zaboli – rzuciłem Hayowi. – Bekatha popiskiwała, kiedy nastawiałem złamane kości jej ręki i unieruchamiałem je w tym położeniu, używając pochwy jako szyny. A potem wyjąłem flaszkę z winem z torby na biodrze i wręczyłem ją Hayowi.

– Daj się jej napić tyle, ile będzie chciała – powiedziałem. – Ale pamiętaj, to jest wyborne wino z Cyklad, o wiele za dobre dla takiego zbója jak ty. – Bekatha uśmiechnęła się pomimo bólu.

– Hay to mężczyzna mojego życia – powiedziała. – Od tej chwili pójdę za nim, gdziekolwiek się uda. Jego dom będzie moim domem. A wino, które piję, należy również do niego.

Byłem z niej dumny.

Rozejrzałem się po świątyni i stwierdziłem, że strażniczki z królewskiego haremu pouciekały. Pomyślałem, że wraz z nimi zniknęli pewnie wszyscy przedstawiciele minojskiej arystokracji, ale potem zobaczyłem Torana, który stał obok Zarasa i Tehuti, obejmując ramieniem Loxias.

– Zabierzesz się z nami, stary przyjacielu? – zapytałem.

Przez chwilę Toran zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Dziś imperium minojskie całkowicie upadło. Nie podniesie się nigdy więcej. Jego zagłada została przepowiedziana pięćset lat temu – powiedział z posępną miną. – Straciłem mój kraj rodzinny. Ale Egipt utracił swojego najpotężniejszego sprzymierzeńca przeciwko pladze, jaką stanowią Hyksosi – dodał i westchnął ciężko. – Dlatego Loxias i ja udamy się z tobą do Teb i to one będą naszą nową ojczyzną.

– Boję się odezwać do was – powiedziałem, odwracając się w stronę Zarasa i Tehuti. Nie byłem zaskoczony tym, że Tehuti odpowiedziała w imieniu obojga.

– Drogi Taito, kocham zarówno ciebie, jak i Egipt, ale jeszcze mocniej kocham Zarasa – oświadczyła zwyczajnie. – Jeśli wrócę z tobą do Teb, mój brat będzie się starał wydać mnie za następnego obłąkanego króla jakiegoś barbarzyńskiego kraju. Wypełniłam do samego końca moje obowiązki wobec faraona i mojego kraju. Teraz chcę być wolna, żeby żyć do końca moich dni u boku mężczyzny, którego kocham – dodała, biorąc Zarasa za rękę. – Oboje, razem z Hayem i Bekathą, udamy się do krajów północy po drugiej stronie Morza Jońskiego, żeby znaleźć tam nowy dom.

– Chciałbym pojechać tam z wami, ale nie mogę – odparłem. – Moim obowiązkiem jest stać u boku faraona w Tebach. Powiem mu, że ty i Bekatha straciłyście życie, więc nie będzie się starał was odnaleźć.

– Dziękuję ci, drogi Taito – powiedziała Tehuti, a potem zawahała się na chwilę. – Ale może któregoś dnia, jeśli bogowie będą łaskawi – dodała – przyjedziesz do nas w odwiedziny?

– Być może! – przytaknąłem.

– Dam twoje imię mojemu pierwszemu synowi – przyrzekła, ale ja odwróciłem się już od niej, żeby ukryć łzy, które napłynęły mi do oczu. A potem wszedłem między rzędy kamiennych pustych ław. Dotarłem do otwarcia w ścianie jaskini, przez które moja strzała dosięgła Minosa.

Stałem na krawędzi urwiska i spojrzałem w dół, gdzie trzysta stóp niżej na skale leżał on na plecach z rozrzuconymi rękami, w kałuży własnej krzepnącej już krwi. Moja strzała sterczała z jego srebrzystego napierśnika. Głowę ciągle zakrywał mu hełm. Nie byłem w stanie dojrzeć niczego w głębi ciemnych otworów na oczy, które zdawały się wpatrywać we mnie.

– Kim ty właściwie byłeś? – mruknąłem cicho. – Człowiekiem czy potworem, diabłem czy boską istotą? – Pokręciłem głową. – Wolałbym nigdy nie poznać odpowiedzi na to pytanie.

U moich stóp leżało ciało Pasifae, matki Minosa. Podniosłem je i cisnąłem w przepaść. Spojrzawszy ponownie w dół, zobaczyłem, że leżą razem ze splątanymi sprośnie kończynami, przypominając raczej parę kochanków niż matkę i syna.

Odwróciłem się i ruszyłem z powrotem na arenę, na której czekały na mnie moje dziewczęta. Opuściliśmy razem świątynię i przez labirynt dotarliśmy do miejsca w lesie, w którym czekały konie. Wsiedliśmy na nie i odjechaliśmy, czując się po raz ostatni rodziną. Skierowaliśmy się w górę zbocza Idy i zatrzymaliśmy się na przełęczy, żeby popatrzeć na zatokę Knossos.

Góra Kronosa znikła, wchłonęły ją przepastne głębie oceanu. Tylko wzburzone wody wrzącego morza znaczyły miejsce jej spoczynku.

Potem popatrzyliśmy przed siebie, tam, gdzie kiedyś znajdował się port w Krimadzie, i zobaczyliśmy wszystkie sześć okrętów naszej flotyli, które przetrzymały napór olbrzymiej fali i stały bezpiecznie na kotwicy, z dala od brzegu. Czekają na nas.

Wszyscy wokół mnie zaczęli wydawać w podnieceniu radosne okrzyki, poganiając konie dróżką idącą w dół przez las. Jechali parami, pan Toran obok Loxias, Hay z Bekathą, przyciskając ją

do piersi, żeby osłonić jej zranioną rękę, a Zaras obok Tehuti, która ponaglała go, żeby przyspieszył.

Zostałem nieco z tyłu.

– Niech drogi ich wszystkich połączą się tu i doprowadzą ich do Szczęśliwych Wzgórz – szepnąłem, ale moje życzenia pod ich adresem zagłuszył melancholijny nastrój, w jaki popadłem. Poczułem się biednym, samotnym Taitą. Chwilę potem usłyszałem głos, który mógł być tylko szumem wieczornego wiatru w wierzchołkach drzew.

– Nigdy nie będziesz samotny, Taito, ponieważ szlachetne serce jest magnetycznym kamieniem, który przyciąga do siebie miłość innych.

Rozejrzałem się w oszołomieniu i wydało mi się, że widzę ją, jak zbliża się do mnie przez las w swoim płaszczu z kapturem. Ale światło zamierało i być może uległem złudzeniu.